


you have lost it by the
illegible text

no more

 11

illegible text

Faint handwritten text, possibly a list or notes, mostly illegible due to fading.

Branchia

18

Large, stylized handwritten flourish or signature.

Objasni mi značenje slova
Kobacim: Mladost i mladi

П М ~~П М~~ ~~П М~~
П М ~~П М~~ ~~П М~~
П М ~~П М~~ ~~П М~~

Правда и верность не потеряне
на кроби твби и кривој стобигане
"Перво пута"

Лен на старо
Правда

WYPISY POLSKIE

DLA KLAS WYŻSZYCH

SZKÓŁ REALNYCH I SEMINARYÓW NAUCZYCIELSKICH.

Z WYPISÓW ST. TARNOWSKIEGO.

PRZEROBIEŃ

ROMUALD A. BOBIN.

CZEŚĆ DRUGA.

Wydanie drugie niezmienione.

Cena egzemplarza opr. 3 kor.

WE LWOWIE.

NAKŁADEM I DRUKIEM I. ZWIĄZKOWEJ DRUKARNI WE LWOWIE.

1900

H. JGEL

Antykwarnia
LWÓW

ul. Patorego 1. 16.

J. Dąbrowski: Zmieszanie

Stefan Lewicki:

1) Arzyman mści się

2) Gołkino



294511

Okres siódmy (1822—1850)

A. Czasy przed rokiem 1831

<i>Adam Mickiewicz</i>	1
Z Ballad: Świtezianka	24
Trzech Budrysów	27
Sonety krym	28
Oda do m'	30
Dziady. Z części czwartej	32
Z części trzeciej	36
Z ustępu: Petersburg. Droga do Rosyi	40
Z Konrada Wallenroda	43
Z literatury słowiańskiej. Piotr Skarga	65
<i>Antoni Malczewski</i>	70
Marya (w skróceniu)	73
<i>Józef Bohdan Zaleski</i>	92
Śpiew poety	95
Śpiewak tęskniący	97
Dumka	97
Czajki	98
Hej, hej, ojcie Atamanie	100
Z „Przenajświętszej Rodziny“	100
<i>Seweryn Goszczyński</i>	103
Z Zaniku kaniowskiego	104
Z Sobótki	107
<i>Joachim Lelewel</i>	110
Polska, dzieje i rzeczy jej. Uczczenie	113
<i>Klementyna z Tańskich Hofmanowa</i>	118
Z dzieła „O powinnościach kobiet“	120
<i>Aleksander Fredro</i>	124
Zręczność i przekora	128
Ogólny pogląd na czasy przed rokiem 1831	144
IV. Tablica porównawcza. Czasy od r. 1801—1830	148
B. Czasy po roku 1831	150
<i>Juliusz Słowacki</i>	152
Jan Bielecki	163
Z Balladyny	167
Z wierszy drobnych: Odwiedziny Piramid	175
Hymn o zachodzie słońca na morzu	178
<i>Zygmunt Krasiński</i>	179
Z „Irydyona“	187
Psalm dobrej woli (w wyjątku)	204
Do Kajetana Koźmiana	205
<i>Hieronim Kajsiewicz</i>	206
Z kazania o pokucie	208
<i>Karol Libelt</i>	214
Nauczyciel pod względem narodowym (w skróceniu)	215
<i>Ewaryst Estkowski</i>	222

Rysunki w szkole elementarnej	223
<i>Henryk Rzewuski</i>	226
Z Pamiętników Soplicy. Trybunał lubelski	228
<i>Ignacy Chodźko</i>	235
Z Pamiętników Kwestarza	235
<i>Józef Korzeniowski</i>	241
Mnich. Akt III (w skróceniu)	245
Ogólny pogląd na czasy po r. 1831	250
V. Tablica porównawcza. Wiek XIX (od r. 1831 - 1865)	258
Okres ósmy (od r. 1850 do naszych czasów)	260
<i>Wincenty Pol</i>	266
Z „Obrazów z podróży i życia“	270
Z Pieśni Janusza. Powrót konia	271
Z Gawęd. Wieczór przy kominie	272
<i>Władysław Syrokomla</i>	276
Księgarz uliczny	277
Matysek	279
Stary kapral	280
<i>Teofil Lenartowicz</i>	282
Mazur	284
Kalina	284
Wiecznie to samo	285
<i>Kornel Ujejski</i>	287
Z melodyj biblijnych, Jeremiasz	289
Za służbą	290
<i>Józef Ignacy Kraszewski</i>	292
Ze Sfinksa	296
<i>Antoni Edward Odynieć</i>	307
Na obchód rocznicy śmierci A. Mickiewicza	310
Z Listów z podróży	311
<i>Lucyan Siemiński</i>	315
Z wierszy drobnych. Wiejski kościółek	318
Komu w drogę — temu czas	318
Z obozu klasyków	319
<i>Karol Szajnocha</i>	325
Ze Szkiców historycznych. Zdobycze pługa polskiego	328
<i>Walerjan Kalinka</i>	340
Z Ostatnich lat panowania St. Augusta	343
<i>Józef Szujski</i>	353
Historyczny profil Nerona	357
<i>Antoni Małeckí</i>	368
Z dzieła p. t. Juliusz Słowacki	369
<i>Julian Klaczko</i>	378
Z Wieczorów florenckich	379
<i>Henryk Sienkiewicz</i>	392
Z Wycieczki do Aten. Akropolis	393
Ogólny pogląd na okres ósmy.	399
VI. Tablica porównawcza. Czasy od r. 1866 do 1900	410

(1822—1850).

Mickiewiczowski.

Okres to najświetniejszy w całej historii literatury polskiej. Chociaż trwa stosunkowo krótko, dzieli się na dwie części: na czasy przed i po roku 1831. Pierwsza część — to początki nowego kierunku, szukanie nowych dróg, zawisłość od obcych wpływów; druga — to doba największego rozkwitu naszej poezyi.

A. Czasy przed rokiem 1831.**Ogólne znamiona.**

Okres ten różni się od poprzednich pod wielu względami. Główne jego cechy stanowią:

1. **Romantyczność**: Wiadomo, że w drugiej połowie XVIII wieku dokonana się w zachodnich krajach europejskich, najpierw w Niemczech (Lessing, Goethe, Schiller) i w Anglii (Walter Skot, Moor, Byron) ważna przemiana pojęć estetycznych. Ponieważ naśladowanie dzieł starożytnych przerodziło się w pedantyzm bez głębszej myśli, przeto chcąc poezye odrodzić, zaczęto szukać nowych źródeł. Istniały one od dawna, ale od czasu, jak zapanowało uwielbienie klasycyzmu, były zapomniane lub lekceważone. Jednym z takich źródeł była dawna poezya wieków średnich, uprawiana przez trubadurów, bardów i „minnesängerów” (w południowej Francji i w Niemczech) a której przedmiotem była walka za wiarę, miłość i cześć dla kobiet, poczucie honoru i wierność panu. Zwrócono się z zapalem do tej poezyi i do wszystkiego, co miało związek z wiekami średnimi; nawet zabobemność, wiara w gusła i czary, tak w owych czasach powszechna, znajdują szerokie miejsce w tej odrodzonej poezyi. Że zaś ta rycerska poezya zrodziła się głównie pośród ludów romańskich, przeto nazwano ją romantyczną. — Myśmy takiej rycerskiej poezyi nie mieli nigdy, więc też nie mogła ona być źródłem odrodzenia naszej poezyi. Gdy się jednak i u nas okazała potrzeba wstąpienia na nową drogę, a tej odrazu odnaleźć nie umieliśmy, zwróciliśmy się także choć bez słusznego powodu, do owych wieków ubiegłych i tam szukaliśmy przedmiotów i natchnienia, a korzystając z naszych podań i baśni ludowych stworzyliśmy sobie poezye, która miała zastąpić dawną, klasyczną a nosi również nazwę romantycznej. Jej panowanie trwa jednak niedługo. Już w początkach ostrzegali przed nią Brodziński, jako przed kierunkiem obcym, który może się stać szkodliwym; — a po latach kilkunastu niknie prawie zupełnie ustępując miejsca prawdziwie narodowej.

2. **Kierunek ludowy**. Było to znameniem bardzo ważnem w ówczesnej poezyi europejskiej, a pewnikiem w ówczesnej estetyce, że w pierwotnej poezyi ludu należy szukać odmłodzenia i ducha i form poezyi

artystycznej. W tem źródle szukano i nowych pomysłów i prostego przyrodzonego sposobu wyrażania uczuć i wrażeń, zasobu form zapomnianych a rodzimych i do artystycznego obrobienia sposobnych.

Źródło to wskazywał głównie Herder (*Stimmen der Völker*), a niebawem zwróciły się do niego wszystkie poezye europejskie. Nasza także poszła tym śladem. Już niektórzy poeci czasów Stanisławowskich wchodzili na tę drogę; Brodziński szedł nią świadomie i śmieiej; ale teraz dopiero u młodych romantyków pierwiastek ten stał się jednym z istotnych, ważnych i bardzo charakterystycznych w naszej nowszej poezyi.

3. Narodowy charakter. Chociaż nie można zaprzeczać ani zapominąć, że poezya ta kształciła się w znacznej mierze na obcych pojęciach i wzorach, miała ona jednak mimo tych wpływów swój wybitny i odrębny charakter najrzetelniej narodowy, bo odtwarzała poetycznie świat polski w całej jego rzeczywistości i prawdzie. Odtąd prawie wyłącznym jej przedmiotem jest: ojczysta przyroda i człowiek, dzieje i tradycye, zwyczaje i przesady, nawet stroje i potrawy.

4. Przewaga natchnienia i uczucia nad rozumem i dowcipem. Znamieniem poezyi dawnej była miara i harmonia między treścią a formą. Przeważał w niej rozsądek i dowcip, a brakowało natchnienia, zapędu, polotu fantazyi jak również nowych, oryginalnych pomysłów: główną zaletę stanowiła wykwinna forma. Nasi romantycy biorą jak niegdyś Niemcy w epoce „*der Genialität*“ swoje natchnienie za jedyne źródło i jedyne prawo piękności; rozsądkiem, który je krępuje, gardzą, a dowcip lekceważą odmawiając mu w poezyi racyi bytu. W oburzeniu na krępujące przepisy lekceważą sobie także i formę (choć nie wszyscy), wprowadzając do niej zaniedbanie i niejasność.

5. Nowe formy. Przeobrażenie piśmiennictwa obejmuje nie tylko treść, ale i formę.

a) W stylu dawniejszym widzimy obok oglady i wypieszczenia pewną napuszoność i przesadę; jest w nim coś sztucznego, bo go krępują liczne przepisy „gustu“; bywa też przeważnie monotony. U pisarzy nowej szkoły jest on naturalniejszy, swobodniejszy, bardziej indywidualny. Wybitniejsi pisarze nie tylko wyrabiają sobie swój własny sposób pisania, po którym ich łatwo poznać można, a który przechodzi czasem w maniery (Zaleski, Pol, Krasiński, Lenartowicz i i.), lecz umieją go stosować do treści i rodzaju swoich dzieł (Grażyna — Dziady — Pan Tadeusz — Irydyon).

b) Dawniej ozdoby stylu, jak porównania, przenośnie, alluzye i t. p., brano przeważnie ze świata klasycznego, z mitologii, z autorów starożytnych; teraz biorą je ze świata własnego: z ojczystej przyrody, obyczajów, tradycyi i dziejów. Wystąpienie zyskuje przez to na prawdzie i jasności.

c) Dawne gatunki pism wychodzą z używania ustępując miejsca nowym. Ustępują poematy czysto opisowe i dydaktyczne w tym rodzaju jak Zofiówka, Okolice Krakowa, Ziemiaństwo, O sztuce rymotwórczej; tracą wziętość sielanki, satyry, bajki, listy i t. p.; — a wchodzi w modę bądź obce ballady, romance, powieści poetyczne, bądź na własnym wyrosłe

gruncie: dумы, dumki i gawędy. Dramat i tragedia pozostają, ale wzorem dla nich będzie odtąd Szekspir, Schiller i Kalderon; pozostaje i epos, ale w nowej odświeżonej szacie. Prócz tego powstają poemata, które nie dadzą się zaliczyć do żadnego ze znanych rodzajów, mimo to uznane za dzieła znakomite (Dziady — Kordyan — Anelli — Nieboska). W prozie zdobywa sobie coraz obszerniejsze pole powieść, najpierw historyczna, walterskotowska, następnie obyczajowa.

Powody tej przemiany.

1. **Powszechne odrodzenie literatury**, poczęte w Niemczech przez Lessinga, a dokonane przez Goethego i Schillera, rozeszło się po całej Europie, nabrało nowej siły od Anglików (Byron, Moore, Shelley, Walter Scott etc), a pod nazwą (niezupełnie właściwą) romantyzmu zmieniło wszystkie literatury europejskie, wszystkie sztuki: podniecona czynność umysłowa udzieliła się i naukom, dając im nowy i silny popęd.

Nasza literatura zbyt długo trzymana pod panowaniem pojęć i wpływów francuskich, od początku XIX wieku zwracała się, choć nieśmiało, w tę drugą stronę, miała instynktowe pragnienie form nowych, swobodniejszych, prawdziwszych i szlachetniejszych zarazem. Ale przyzwyczajenia były zbyt zadawnione i silne, zdolności niedość wielkie na to, by zmiana mogła być dokonana się rychło: a ciągle wojny i przywiązane do nich nadzieje zwracały w inną stronę główny prąd myśli, pragnień i zajęć ogółu. Po roku 1815 dopiero, kiedy nastął względny spokój, kiedy cała Europa z największym zapalem rwała się do dzieł i kwestyi literackich: wtedy i u nas zaczął się objawiać ten zapal, to podziwienie namiętne dla Schillera i Goethego, dla Byrona, nawet dla mniejszych Anglików i Niemców. Wpływ ich stał się tym czynnikiem, który naszym młodym poetom ułatwił i wyrobił formę; pod tym więc względem, pod względem potrzebnego artystycznego przysposobienia i wykształcenia, nasza poezja nie mogła być gotową podczas wojen napoleońskich, ale dopiero po roku 1815.

Oprócz tego powodu zewnętrznego były jeszcze silniejsze od niego powody wewnętrzne. Najważniejszym z nich był:

2. **Stan polityczny narodu.** Widzieliśmy jak od połowy wieku XVIII z uczuciem własnego upadku i upokorzenia podniosła się u nas miłość ojczyzny i pragnienie wydobycia jej z tego poniżenia. Uczucie to i pragnienie rosło przez cały ciąg panowania Stanisława Augusta, a w miarę klęsk i upokorzeń stawało się coraz silniejszym. Uczucie narodu było wstrząśnięte do głębi i nie mogło pogodzić się z tem, co się stało. Wojny napoleońskie dowiodły tego dość wyraźnie. Umysły, tymi wypadkami zajęte, mniej zwracały się ku literaturze. Ale gdy Napoleon upadł, a pokładane w nim nadzieje wcale się nie spełniły: wtedy te wszystkie uczucia i wrażenia, jakie naród przeżył od r. 1792 do 1815, zaczęły się odzywać na nowo w jego pamięci, odbijając w jego refleksyi i wyobraźni i stały się przedmiotem wszystkich myśli, tłem całego życia zbiorowego i czynnikiem głównym, kształcącym duszę i życie każdego człowieka z osobna.

3. Stan wychowania, poziom wykształcenia i oświaty, podnoszący się stopniowo od połowy XVIII wieku, a w początkach XIX rozwinięty silnie przez reorganizację szkół na Litwie i Rusi, był także ważnym czynnikiem w tem odrodzeniu literatury, jego koniecznym warunkiem. To była ta dobra uprawa gruntu, potrzebna na to, by zeszedł na nim plon bogaty. W okresie poprzednim była mowa o uniwersytecie wileńskim i o liceum krzemienieckim. Zakładom tym, najwyższym i najobfitszym w dobre skutki, odpowiadały rozsiane po kraju szkoły średnie, do nich zastosowane, do nich przygotowujące, a wydające z siebie co roku nowe warstwy młodzieży wykształconej i myślącej. Uniwersytet warszawski (otwarty w roku 1817) później od wileńskiego, ale świetnie także zasłużył się na tem polu. Poziom oświaty był wysoki, pokolenie było przystępne umysłowym kwestyom i szlachetnym wrażeniom; społeczeństwo było doskonale usposobione i przygotowane do tego, by wysoką literaturę z siebie wydać.

Uwaga. Ogniskami narodowej oświaty były więc w tych czasach: Warszawa, Wilno, Krzemieniec. Gorzej jest w W. Ks. Poznańskim i w Galicyi. Tam panuje w szkołach system germanizacyjny, a ślady życia narodowego i umysłowego są bardzo nieliczne. Do nich możnaby zaliczyć we Lwowie: Zakład narodowy im. Ossolińskich (założony przez J. M. Ossolińskiego w r. 1827) i teatr pod kierunkiem J. N. Kamińskiego (1810--1833). Uniwersytet lwowski, powołany do życia na nowo w roku 1817, nie wywierał na rozwój literatury polskiej żadnego wpływu, gdyż był na wskrós niemieckim. W Krakowie, który od kongresu wiedeńskiego jest wolnem miastem, skupia się życie umysłowe około uniwersytetu; w r. 1816 powstaje Towarzystwo Naukowe, którego członkowie, przeważnie profesorowie, ogłaszają swe prace w Rocznikach tegoż towarzystwa.

4. Prześladowanie młodzieży wileńskiej. Po kongresie wiedeńskim zaczęły się szerzyć w całej Europie tajne stowarzyszenia. Były one we Włoszech, w Hiszpanii, w Niemczech, w Rosyi; były i u nas, w Warszawie i w krajach dawniej zabranych. Rosyanie, od początku nienawistni królestwu kongresowemu i jego konstytucyi, znaleźli w nich pożądaną sposobność do odstręczenia cesarza Aleksandra od Polaków. Na jego umysł wrażliwy i chwiejny spiski te, krzwiące się wszędzie, działały silnie i służyły naszym nieprzyjaciołom za środek do przekonania, że nie tylko nie powinien (jak to przyrzekł) rozciągać na Ruś i Litwę praw i swobód nadanych królestwu, ale w królestwie samem ścieśniać je i ukrócić, jeżeli nie cofnąć zupełnie.

Uniwersytet wileński był jednym z takich ognisk polskiego życia; więc naturalnie zwrócił na siebie uwagę niechętnych i stał się ważnym punktem w ich planie zniweczenia polskiego żywiołu i charakteru.

Młodzież wileńska w tych latach, kiedy Mickiewicz był jeszcze uczniem uniwersytetu, miała dwa stowarzyszenia: jedno ogólniejsze i liczniejsze, Filaretów, drugie stanowiące niejako zarząd tamtego, z kilku zaufanych złożone, Filomatów.

Senator Nowosiłcow, z dawna patrzący niechętnie na uniwersytet wileński i na wychowanie publiczne w rękach polskich (kuratora ks.

Adama Czartoryskiego), tak i wielkiego księcia Konstantego, mniemanych spisków w ich wpływ, jaki miał na Nowosilców na podobnych i naciąganych na zesłanie w głąb się (w r. 1824) świeżym krok do jego zniesienia, to wielkiem nieszczęściem, a rozwijający się świetnie, był środkiem utrzymania i rozkręcenia i oświaty, zatem cywilizacji, ale w siły i polskiego ducha. Brak jego w tych krajach pod wszystkimi względami.

Na literaturę wywarł ten wypadek na stanowisko, siłę i przyszłość żywiołu polskiego na Litwie.

Adam Mickiewicz.

Żywot.

1. *Lata dziecięce i szkolne.* Mickiewicz Adam, syn i Barbary Majewskiej, urodził się w Zaosiu (pod Nowogródkiem) 24 grudnia 1798. Herb rodziny Poraj. Ojciec, przed rozbiorem urzędnik, po nim był adwokatem i właścicielem części Zaosia. Z dzieciństwa jego najważniejsze szczegóły są następujące: jako niemowlę upuszczony przez piastunkę spadł z okna na ziemię; matka zrobiła votum do Najświętszej Panny; wypadek ten na zdrowiu dziecięcia nie zostawił śladu. O tem zdarzeniu wspomina Mickiewicz w pierwszych wierszach Pana Tadeusza. W roku 1807 oddano go do szkoły (ks. Dominikanów) w Nowogródku, do klasy pierwszej. Uczył się pilnie, ale nie bez trudności i nie okazywał zdolności niezwykłych. W roku 1812 (na ukończeniu klasy czwartej) stracił ojca. W tymże roku widział wojska francuskie i polskie, ciągnące na kampanię rosyjską. Wspomnienie to przechował w Panu Tadeuszu, a wrażenie ówczesne wywarło wpływ stanowczy i niezatarty na kierunek jego uczuć. Szkołę w Nowogródku ukończył w roku 1815 i przeniósł się na uniwersytet do Wilna, z zamiarem sposobienia się do zawodu nauczycielskiego.

2. *Okres wileński (1815—1824).* W Wilnie znalazł opiekę dalekiego krewnego, księdza Józefa Mickiewicza, wówczas dziekana wydziału matematyczno-fizycznego w uniwersytecie, i za jego radą zdawał egzamin na kandydata stanu nauczycielskiego, co mu utatwiło przyjęcie do seminarium na koszt rządu. Na wydziale matematycznym wszakże pozostał tylko przez jedno półrocze, po którym przeniósł się na stosowniejszy dla jego usposobienia wydział literatury i sztuk wyzwolonych. Celniejszymi

16

upadku bohaterki n
doskonałości i jedyn
dobna jest do ep
Senecy dla
techną wspomnień z bohatera
i te należą do m pomysł
i uczuciem ni i dobrym
krymskie nowisko,
trzymałem i wzmo
spodziewam, siłę
je szybko órzy
mańskie byli
dań), zas
bania
i Mo
wy
czej
do

3. Stan wychowania, poziom wykształcenia i oświaty, podnoszący się stopniowo od połowy XVIII wieku, a w początkach XIX rozwinięty silnie przez reorganizację szkół na Litwie i Rusi, był także ważnym czynnikiem w tem odrodzeniu literatury, jego koniecznym warunkiem. To była ta dobra uprawa gruntu, potrzebna na to, by zeszedł na nim plon bogaty. W okresie poprzednim była mowa o uniwersytecie wileńskim i o liceum krzemienieckim. Zakładom tym, najwyższym i najobfitszym w dobre skutki, odpowiadały rozsiane po kraju szkoły średnie, do nich zastosowane, do nich przygotowujące, a wydające z siebie co roku nowe warstwy młodzieży wykształconej i myślącej. Uniwersytet warszawski (otwarty w roku 1817) później od wileńskiego, ale świetnie także zasłużył się na tem polu. Poziom oświaty był wysoki, pokolenie było przystępne umysłowym kwestyom i szlachetnym wrażeniom; społeczeństwo było doskonale usposobione i przygotowane do tego, by wysoką literaturę z siebie wydać.

Uwaga. Ogniskami narodowej oświaty były więc w tych czasach: Warszawa, Wilno, Krzemieniec. Gorzej jest w W. Ks. Poznańskim i w Galicyi. Tam panuje w szkołach system germanizacyjny, a ślady życia narodowego i umysłowego są bardzo nieliczne. Do nich możnaby zaliczyć we Lwowie: Zakład narodowy im. Ossolińskich (założony przez J. M. Ossolińskiego w r. 1827) i teatr pod kierunkiem J. N. Kamińskiego (1810--1833). Uniwersytet lwowski, powołany do życia na nowo w roku 1817, nie wywierał na rozwój literatury polskiej żadnego wpływu, gdyż był na wskroś niemieckim. W Krakowie, który od kongresu wiedeńskiego jest wolnem miastem, skupia się życie umysłowe około uniwersytetu; w r. 1816 powstaje Towarzystwo Naukowe, którego członkowie, przeważnie profesorowie, ogłaszają swe prace w Rocznikach tegoż towarzystwa.

4. Prześladowanie młodzieży wileńskiej. Po kongresie wiedeńskim zaczęły się szerzyć w całej Europie tajne stowarzyszenia. Były one we Włoszech, w Hiszpanii, w Niemczech, w Rosyi; były i u nas, w Warszawie i w krajach dawniej zabranych. Rosyanie, od początku nienawistni królestwu kongresowemu i jego konstytucyi, znaleźli w nich pożądaną sposobność do odstąpienia cesarza Aleksandra od Polaków. Na jego umysł wrażliwy i chwiejny spiski te, krzewiące się wszędzie, działały silnie i służyły naszym nieprzyjaciołom za środek do przekonania, że nie tylko nie powinien (jak to przyrzekł) rozciągać na Ruś i Litwę praw i swobód nadanych królestwu, ale w królestwie samem ścieśniać je i ukrócić, jeżeli nie cofnąć zupełnie.

Uniwersytet wileński, jednym z takich ognisk polskiego życia; więc naturalnie zwrócił na siebie uwagę niechętnych i stał się ważnym punktem w ich planie zniweczenia polskiego żywiołu i charakteru.

Młodzież wileńska w tych latach, kiedy Mickiewicz był jeszcze uczniem uniwersytetu, miała dwa stowarzyszenia: jedno ogólniejsze i liczniejsze, Filaretów, drugie stanowiące niejako zarząd tamtego, z kilku zaufanych złożone, Filomatów.

Senator Nowosiłcow, z dawna patrzący niechętnie na uniwersytet wileński i na wychowanie publiczne w rękach polskich (kuratora ks.

Adama Czartoryskiego), tak potrafił przestraszyć cesarza Aleksandra i wielkiego księcia Konstantego w Warszawie, że jemu polecono dochodzić mniemanych spisków w Wilnie. Książę Czartoryski, straciwszy wszelki wpływ, jaki miał na cesarza Aleksandra, musiał swój urząd złożyć, a Nowosilców na podstawie błahych poszlak więził, na podstawie urojonych i naciąganych dowodów skazał znaczną część dawnych Filaretów na zesłanie w głąb Rosyi. W tych liczbie był i Mickiewicz. Tak skończyły się (w r. 1824) świetne czasy uniwersytetu wileńskiego: był to pierwszy krok do jego zniesienia, które też po r. 1831 nastąpiło istotnie. Było to wielkiem nieszczęściem. Uniwersytet wileński, jako taki wcale znakomity a rozwijający się świetnie, był (łącznie z niższymi szkołami) najdzielniejszym środkiem utrzymania i rozkrzewienia w krajach zabranych nietylko nauki i oświaty, zatem cywilizacji, ale samych polskich uczuć i tradycji, polskiej siły i polskiego ducha. Brak jego musiał osłabić bardzo żywioł polski w tych krajach pod wszystkimi względami.

Na literaturę wywarł ten wypadek wpływ korzystny, ale szkodliwy na stanowisko, siłę i przyszłość żywiołu polskiego i polskiej cywilizacji na Litwie.

Adam Mickiewicz.

Żywot.

1. *Lata dziecięce i szkolne.* Mickiewicz Adam, syn Mikołaja i Barbary Majewskiej, urodził się w Zaosiu (pod Nowogródkiem) 24 grudnia 1798. Herb rodziny Poraj. Ojciec, przed rozbiorem urzędnik sądowy, po nim był adwokatem i właścicielem części Zaosia. Z dzieciństwa poety ważniejsze szczegóły są następujące: jako niemowlę upuszczony przez piastunkę spadł z okna na ziemię; matka zrobiła votum do Najświętszej Panny; wypadek ten na zdrowiu dziecięcia nie zostawił śladu. O tem zdarzeniu wspomina Mickiewicz w pierwszych wierszach Pana Tadeusza. W roku 1807 oddano go do szkoły (ks. Dominikanów) w Nowogródku, do klasy pierwszej. Uczył się pilnie, ale nie bez trudności i nie okazywał zdolności niezwykłych. W roku 1812 (na ukończeniu klasy czwartej) stracił ojca. W tymże roku widział wojska francuskie i polskie, ciągnące na kampanię rosyjską. Wspomnienie to przechował w Panu Tadeuszu, a wrażenie ówczesne wywarło wpływ stanowczy i niezatarty na kierunek jego uczuć. Szkołę w Nowogródku ukończył w roku 1815 i przeniósł się na uniwersytet do Wilna, z zamiarem sposobienia się do zawodu nauczycielskiego.

2. *Okres wileński (1815—1824).* W Wilnie znalazł opiekę dalekiego krewnego, księdza Józefa Mickiewicza, wówczas dziekana wydziału matematyczno-fizycznego w uniwersytecie, i za jego radą zdawał egzamin na kandydata stanu nauczycielskiego, co mu ułatwiło przyjęcie do seminarium na koszt rządu. Na wydziale matematycznym wszakże pozostał tylko przez jedno półrocze, po którym przeniósł się na stosowniejszy dla jego usposobienia wydział literatury i sztuk wyzwolonych. Celniejszymi

profesorami tego wydziału, którzy na umysł i wykształcenie młodego Mickiewicza wpływ istotny wywarli, byli Leon Borowski (literatura polska) i Joachim Lelewel (historia), po części może, ale niewątpliwie w mniejszej mierze Ernest Groddeck, profesor filologii klasycznej. Pobierał też naukę języka i literatury francuskiej i rosyjskiej. Wielka pracowitość obok wrodzonych zdolności a świetnego stanu uniwersytetu była pierwszym ważnym czynnikiem w jego umysłowym rozwoju. Drugim było pożycie koleżeńskie. Wielkiem dla siebie szczęściem znalazł się Mickiewicz w gronie kolegów zacnych, obyczajów czystych, przejętych miłością wszystkiego, co piękne i wzniosłe. Wśród nich odznaczał się wyższym umysłem i słodyczą charakteru Tomasz Zan, twórca stowarzyszenia Filomatów, do którego i Mickiewicz jako jeden z pierwszych siedmiu członków przystąpił (1817). W tem gronie spędzał chwile wolne od pracy, a głównym przedmiotem ich zajęcia i rozmów była poezya i nowy jej kierunek, jaki się objawił na Zachodzie. Czytali więc z największym zapalem i uwielbieniem poetów (Niemców naprzód, Anglików później), a z gorączkową ciekawością i żądzą wiedzy estetyków i krytyków (Lessing, Schlegel, Boutherwek). Było to przygotowaniem do nowego zwrotu w poezyi. Wszyscy młodzi koledzy Mickiewicza z mniejszym czy większym talentem, próbowali swoich sił w poezyi, pisywali wierszy dużo; pisywał je i Mickiewicz. W roku 1819 powstał wiersz do Filomatów, Zima miejska i ogłoszona w Pamiętniku warszawskim rozprawa literacka: Uwagi nad Jagielonidą (Tomaszewskiego), w pojęciach i sposobie pisania zbliżona jeszcze bardzo do dawnej szkoły klasycznej, wreszcie dwie powieści: Żywila (heroiczna) i Karyła (sielankowo-fantastyczna).

Trzecim wreszcie czynnikiem w jego życiu ówczesnem była miłość. W roku 1818, podczas wakacji, zawiózł Zan Mickiewicza do Tuchanowicz, majątności pani Wereszczakowej, wdowy, z której synami był w przyjaźni. Tu zobaczył Mickiewicz po raz pierwszy córkę tego domu, Maryę. Powstała w jego sercu miłość, która wywarła wpływ stanowczy na jego życie i talent. Marya Wereszczakówna (którą współcześni opisują jako panienkę rozmarzoną, sentymentalną, zatopioną w czytaniu poezyi i romansów) łatwo mogła spostrzec i podzielić uczucia młodzieńca, którego poetyczne usposobienie, talent (choć jeszcze nie objawiający się w zupełności, ale zapewne już wyraźny) i żywe, pełne zapału rozmowy musiały działać na jej wyobraźnię. Była mu też niewątpliwie wzajemną. Rodzina jej wszakże nie życzyła sobie związku z nieznanym młodzieńcem, nie mającym żadnego stanowiska. O pannę starał się właśnie Wawrzyniec Puttkamer, młody obywatel ziemski, a niedawno jeszcze waleczny oficer w wojsku napoleońskiem, prawy, godny i ujmujący.

W początkach roku 1821 odbył się ślub Maryi z Puttkamerem. Mickiewicz był już wtedy (od r. 1819) nauczycielem w Kownie. Wrażenie było tak silne, boleść tak namiętna, że zdrowie się zachwiało, a przyjaciele mocno byli o niego zaniepokojeni. Cios ten wszakże nie wstrzymał jego twórczości poetyckiej, owszem rozwinął ją, skoro w rok później (1822) wyszły dwa pierwsze tomy jego poezyi (Ballady i Romanse, Grażyna, Dziady, część II. i IV.). Uczucie, które go ośwładnęło, stało się

przodem dla zamkniętej w nim poetyckiej zdolności, a wielkie cierpienie, jakiego doznał, stało się krzemieniem, z którego padła iskra natchnienia.

Dwa tomiki Mickiewicza jak były objawieniem i urzeczywistnieniem nowej poezji, tak stały się naturalnie przedmiotem walki pomiędzy wielbicielami nowej a wyznawcami dawnej. Walka ta zapalała się teraz goręcej i obracała się około tych poezji. A tymczasem przed poetą otwierały się nowe, ciężkie koleje życia.

Stowarzyszenia uczniów wileńskich stały się pretekstem do prześladowania. Uwieziono wszystkich dawnych Filaretów, bawiących w Wilnie, i wielu takich, którzy bądź to na wsi, bądź w mniejszych miastach byli z nimi w stosunkach.

Mickiewicz, który jeszcze przed rozwiązaniem Towarzystwa udał się do Kowna na swoją posesję nauczycielską, który przez ostatnie lata rzadko i na krótko bywał w Wilnie, powinien był jeszcze mniej niż inni być narażonym na prześladowanie. Ale że kiedyś jeszcze jako uczeń należał do pierwszych Filomatów, więc aresztowany i przewieziony do Wilna, osadzony był w więzieniu, przerobionem z dawnego Bazylińskiego klasztoru koło Ostrej Bramy. (Wspomnienia te umieścił w Trzeciej części *Dziadów*¹⁾). W tem więzieniu poczęła się i, choć może nie zupełnie wyrobiła, ale dokonała się pierwsza wielka zmiana w duszy i życiu Mickiewicza. Dawna miłość i pozostały po niej żal ucichły i ustąpiły pierwszego miejsca w jego sercu miłości ojczyzny i patriotycznemu cierpieniu.

Śledztwo ciągnęło się długo. Wyrok, oparty na błahych i naciąganych powodach, skazywał niektórych (Zana, Czeczota i Suzina) na rok (lub pół roku) fortecy, a następnie na zsyłkę na Sybir; innych na wywiezienie w głąb Rosyi i umieszczenie tam w służbie rządowej. W liczbie tych był Mickiewicz. Uwieszony 23 października 1823, wyszedł z więzienia (po wyroku) w kwietniu 1824. Przez kilka miesięcy zostawał na wolnej stopie w Wilnie, czekając na wywiezienie. Nastąpiło ono 24 października 1824; w tym dniu pożegnał Mickiewicz Litwę już na zawsze.

3. *W Rosyi*. Zawieziono go naprzód do Petersburga. (Ślady tych wrażeń pozostały w wierszach *Droga do Rosyi*, *Przegląd wojska* i innych.) Potem przeznaczono go do Odessy na nauczyciela przy gimnazyum.

Miasto kosmopolityczne, pełne cudzoziemców, przez rząd mniej czujnie strzeżone, pełne także Polaków z Podola i Ukrainy, było (przy względności władz miejscowych, które nawet pełnienia służby nie żądały) wygnaniem stosunkowo łagodnem. Poeta zawiązał tam znajomości miłe, a nawet przyjaźni serdeczne. Z Odessy, w towarzystwie Henryka Rzewuskiego (później autora *Pamiętek Soplicy* i *Listopada*) i paru innych, odbył podróż po Krymie. Owocem poetycznym tego pobytu

¹⁾ Opis samego stowarzyszenia Filaretów i więzienia, z wielu najdokładniejszy i najwdzięczniejszy, jest Ignacego Domeyki, p. t. *Filareci i Filomaci*. (Poznań 1872).

w Odessie i tej podróży są, oprócz kilku wierszy miłosnych (Sen, Godzina, Do D. D.), Sonety 1826. Tymczasem rząd, niechętnie widząc stosunki wygnańca z licznymi w Odessie Polakami, przeniósł go do Moskwy (1826). Szczęściem i tu znalazł poeta zwierzchnika nie tylko ludzkiego, ale szlachetnego. Gubernator, książę Galicyń, wziął go do swojej kancelaryi i zostawiał mu wszelką swobodę, wykształceni zaś i uczeni ludzie stołecznego towarzystwa pociągnięci jego już głośną sławą, garnęli się do poety, niekiedy z prawdziwą i stałą przyjaźnią. Tu zawiązał Mickiewicz liczne i miłe stosunki, między innymi z poetami Kozłowem i Żukowskim. Przyjaźń wszakże najwierniejszą i najbardziej serdeczną powzięła dla niego księżna Zeneida Wołkońska, osoba już niemłoda, niezwykłego rozumu i bardzo dobrego serca, z którą związane tu stosunki odnowiły się później w Rzymie.

Podczas tego pobytu w Moskwie pisał Mickiewicz *Wallenroda*. Poemat ten wyszedł w Petersburgu (1828), gdzie cenzura była mniej drażliwa; a poemat, dedykowany cesarzowi Mikołajowi, tem samem usposabiał ją dla siebie łaskawiej. Tam też z Moskwy przeniósł się i Mickiewicz, tam zawiązał stosunki, które wywarły wpływ na całe jego dalsze życie. Najmniej trwały był stosunek z poetą Puszkinem, choć z obu stron wtedy przyjacielski. Znaczącym za to był wpływ Oleszkiewicza, malarza, człowieka religijnego, a nawet mistycznego usposobienia. Wiersz Mickiewicza, któremu za tytuł służy nazwisko malarza, stwierdza to usposobienie. Świadkowie zaś współcześni twierdzą, że Oleszkiewicz wywarł na Mickiewiczu wpływ bardzo silny, że on rozbudził w poecie uczucia religijne, że nadał im już wtedy kierunek cokolwiek mistyczny, że wreszcie stosunek księdza Piotra do Konrada w trzeciej części *Dziadów* ma być wspomnieniem tego wpływu, jaki na poetę wywierał Oleszkiewicz.

Wreszcie niemniej ważną była znajomość z panią Maryą z Wołowskich Szymanowską, artystką niemalej sławy, której gra na fortepianie podziwiana była powszechnie, a której rozum, dobroć i wdzięk ujęły tak Goethego, że miał dla niej przyjaźń szczerą i serdeczną. W jej domu przebywał Mickiewicz jakby w rodzinnym; z tego domu w lat kilka później (już po śmierci matki) wziął żonę.

Farys był po *Wallenrodzie* najznakomitszym jego utworem z tego czasu: rozmiarami niewielki, wspaniały jest jako wyraz świadomości siebie w człowieku genialnym, śmiałości i pewności siebie w walce z trudami i przeszkodami życia. Na obiedzie, dla siebie danym przez bawiących w Petersburgu Polaków (24 grudnia 1828), improwizował Mickiewicz całą tragedję Samuel Zborowski; z improwizacji tej wszakże nie doszło do nas ani jedno słowo. Z pobytu w Petersburgu zostały ślady widoczne w jego wierszach takich, jak *Pomnik Piotra Wielkiego*, *Oleszkiewicz*, *Do Przyjaciół Moskali* etc.

4. *Okres podróży* (1829—1832). Wyjazdu za granicę pragnął Mickiewicz gorąco i dla wydostania się z Rosyi i dla zdrowia i wreszcie dla zobaczenia świata, dla wrażeń i widoków, których łaknęła jego wyobraźnia. Potrzebą zdrowia i opieką wpływowych ludzi poparta prośba znalazła przychylnę przyjęcie: cesarz Mikołaj zezwolił na wyjazd. Zezwolił w samą porę. *Wallenrod* już się rozszedł i sprawiał ogromne wrażenie: władze

sposzregly (za późno dla siebie) jego ukryte znaczenie. W Warszawie zakazano mówić o nim w pismach publicznych, a nawet wymieniać nazwiska Mickiewicza; w Petersburgu powzięto zamiar aresztowania poety. Uwiadomiony na czas, mając paszport w rękę, wsiadł czempredzej na statek w Kronsztadzie i odplynał do Lubeki (15 maja 1829 r.).

Przez Berlin, Dreżno, Pragę udał się naprzód do Weimaru, celem widzenia Goethego¹⁾. Listy polecające od Marii Szymanowskiej zjednały mu przyjęcie nader uprzejme, a osobistość jego zrobiła na starym mistrzu wrażenie tak silne, że podług świadectwa synowej jego nigdy nie był tak serdecznym i przyjacielskim dla żadnego cudzoziemca.

Z Niemiec (Frankfurt n. M., Bonn, Heidelberg) udał się Mickiewicz do Szwajcaryi, stamtąd do Włoch. Wierszem Na Alpach w Splügen żegnał (po raz ostatni podobno) dawną kochankę. Po drugiej stronie Alp skierował się naprzód do Wenecyi; w październiku roku 1829 stanął w Rzymie.

Przez cały ciąg tego pobytu we Włoszech pisał bardzo mało i mamy z tego czasu ledwo parę drobnych wierszy. Niemniej pobyt ten musiał być ważnym w jego życiu, bo i rzeczy widziane i spotykani ludzie działali na jego wyobraźnię, myśli i uczucia. Znakomitych cudzoziemców lub Włochów, uczonych, artystów, dyplomatów zawsze tam wielu. Pośród tych byli ksiądz Lammenais i hr. Montalembert, Francuzi, podówczas obadwaj jeszcze główni reprezentanci pracy około katolickiego odrodzenia we Francyi, obadwaj jakby przeznaczeni na to, by na Mickiewicza wpływać i jego wpływ przyjmować. Dawna przyjaciółka z Moskwy, księżna Wołkońska, była tam także i pośredniczyła w wielu nowych stosunkach. Z Polaków (dość licznych) na szczególną wzmiankę zasługuje ksiądz Stanisław Chołoniewski i Henryk Rzewuski, a zwłaszcza dom hr. Ankwiczków, gościnnie, uprzejmie, zawsze pełny i chętnie odwiedzany. W domu tym była córka, panna Henryka, nie ładna, ale umysłu żywego, chciwa poetycznych i artystycznych wrażeń, bardzo wykształcona. Nic dziwnego, że młody a już wielki poeta zrobił wrażenie na jej umyśle i sercu; a i sam nie był względem niej obojętnym. Może ta skłonność wzajemna byłaby skończyła się małżeństwem, gdyby ubogiego poety i duma i delikatność nie była wstrzymywała od starania się o bogatą jedynaczkę, a gdyby ojciec panny był się temu związkowi okazywał mniej niechętnym. Ewa w trzeciej części Dziadów ma być podług świadectwa Odyńca wspomnieniem Henryki Ankwiczożny a dumny stolnik Horeszko z Pana Tadeusza wspomnieniem jej ojca.

Ważniejszym wszakże od tego uczucia, które zbyt silnem się nie okazało, był dokonany w Rzymie zwrot religijny w duszy i w przekonaniach Mickiewicza. Z nieustalonego usposobienia i uczucia religijnego, które było zawsze, zaczęła się była już w Petersburgu wyrabiać silniejsza potrzeba i pragnienie zupełnej, doskonałej wiary; w Rzymie, pod wpływem i miejsca samego i znakomitych katolików otaczających poetę, ustaliła się

¹⁾ W Karlsbadzie połączył się z Odyńcem, który odtąd był nieodstępnym jego towarzyszem w podróży po Niemczech, Szwajcaryi i Włoszech, a w późnej już starości opisał ją w Listach z podróży.

ta wiara, wyrobily się katolickie przekonania, odnowiły się zaniedbane od jakiegoś czasu praktyki religijne. Takim, jak się go widzi później na emigracji aż do towianizmu, stał się Mickiewicz już podczas tego pobytu w Rzymie.

W lecie r. 1830 widzimy Mickiewicza znowu w Szwajcaryi. Wtedy przypadkowo spotkał się i zawarł znajomość z ośmastoletnim Zygmuntem Krasińskim. Na jesień wrócił do Rzymu. Dnia 27 listopada, jak gdyby w przeczuciu wypadków, które zająć miały, napisał wiersz *Do matki Polki*.

Po wybuchu powstania nie wróżył mu dobrego skutku; chciał jednak wracać, ale nie mógł, bo fundusze, jakie miał, pożyczył był Stefanowi Garczyńskiemu. Gdy ten je odesłał, zaszły znowu zwłoki i opóźnienia na pocztach, tak, że dopiero w kwietniu roku 1831 Mickiewicz wyjechał z Rzymu do Wielkopolski. Tam przebywając u różnych przyjaciół kolejno, wybierał się przejść granicę Królestwa Polskiego, ale granica była strzeżona, przejście niełatwe — tak, że w Poznańskim doczekał się kapitulacyi Warszawy.

Nie był w wojsku, nie bił się, zatem nie potrzebował iść na emigracyę. Rzecz niemniej prosta, że autor Wallenroda w kraju nie miał co robić. W najlepszym razie nie byłby mógł pisać, w gorszym (a prawdopodobnym) byłby poszedł do więzienia lub na Sybir. Prócz tego musiał Mickiewicz podzielać powszechne podówczas złudzenie rychłego i szczęśliwego powrotu. Pociągnął więc z drugimi na emigracyę.

5. *Pierwsze lata na emigracyi* (1832—1842). Naprzód przybył do Dreżna, gdzie się ich zatrzymywało wielu, i tu napisał (1832) *Dziadów* część trzecią. W połowie roku 1832 wyjechał do Paryża i tam stale zamieszkał. Obudzona twórczość nie ustaje. Po *Dziadach*, które właśnie drukował, powstały *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego* (1832), świadczące o wysokim nastroju jego umysłu i wzniośłem pojmowaniu dziejowego stanowiska Polski i jej emigracyi.

Jego najbliższe otoczenie i towarzystwo składali wtedy Bohdan Zaleski, Ignacy Domeyko, Stefan Witwicki, Stefan Zan (brat Tomasza), a jego poetyczną pracą był teraz Pan Tadeusz. Rzecz trudna do pojęcia, że tak rychło po burzach i wybuchach *Dziadów* przeszedł poeta do tego pomysłu tak pogodnego; ale tak było, że jeszcze w roku 1832 zamyślał, a wkrótce potem i zaczął pisać ten nowy poemat. Zrazu sam nie wiedział, jakim on będzie; myślał o *sielance* „w rodzaju Hermana i Doroty” i w kilku księgach tylko. Ale w miarę pisania poemat rósł mu pod ręką i przywiązywał go do siebie coraz bardziej. Od tej ulubionej pracy oderwało go zdarzenie bolesne. Stefan Garczyński, przyjaciel w Rzymie poznany i gorąco kochany, później waleczny żołnierz w roku 1831, poeta (jako taki przez Mickiewicza zbyt wysoko ceniony i sławiony), po wojnie zapadł w piersiową chorobę. Gdy ta w roku 1833 zaczęła się wzmagać, Mickiewicz porzucił wszystko, zawiózł przyjaciela na południe (do Awinionu) i tam pielęgnował go z największą czułością i poświęceniem aż do śmierci. Pomagała mu w tem sławna ze swoich poświęceń przyjaciółka obudwóch, Klaudya z Działyńskich Potocka.

Pan Tadeusz, wydany w połowie r. 1834 był ostatniem słowem poezyi Mickiewicza, nie tylko co do wartości, ale i co do czasu. Po nim już Mickiewicz odwrócił się od poezyi. Wydał tylko (dawniej zrobione) tłumaczenie *Giaura* z *Byrona*, a później napisał po francusku dramat, *Konfederatów*, przeznaczony dla sceny. Pisał go wszakże nie w artystycznych, ale raczej w politycznych celach; chciał, żeby w ten sposób sprawa polska ze sceny przemawiała do Francuzów, utkwiała im w sercu i w pamięci. Dramat ten zaginał. Tylko dwa pierwsze akty, odnalezione i przetłumaczone wierszem na język polski przez *Olizarowskiego*, świadczą, że i na polu dramatu Mickiewicz był zdolnym do wielkich rzeczy. Szkoda to niepowetowana, że nie mamy dzieła tego w całości.

To odwrócenie się od poezyi było skutkiem usposobienia, w jakie wprawiły Mickiewicza ostatnie nieszczęścia krajowe. Wszystko wydawało mu się błażem i marnem, co nie służy bezpośrednio Bogu, podniesieniu i poprawie ludzkości, odrodzeniu Polski. „To tylko dzieło coś warte — pisze on w jednym ze swoich listów — które ludzi prowadzi do Boga“. Mniemał i powtarzał, że na to, by emigracyę i Polskę do Boga nawrócić, potrzebny jest z Polaków, z łona emigracyi powstały zakon. W tej to myśli, w najbliższem otoczeniu Mickiewicza jest początek zakonu *Zmartwychwstańców*, którego właściwym założycielem był *Bogdan Jański* (człowiek świecki i żonaty), a pierwszymi braćmi i organizatorami *Kajsiewicz* i *Semenenko*. Tych Mickiewicz w duchownem powołaniu utwierdzał, do założenia zakonu zachęcał i zostawał z nimi (aż do towianizmu) w serdecznych stosunkach.

W roku 1834 ożenił się z *Celiną Szymanowską*, córką (już wtedy osierociałą) wspomnianej wyżej *Maryi Szymanowskiej*. Po tem ożenieniu, przy zdrowiu żony niezawsze dobrem, zaczęły się rychło kłopoty i troski majątkowe, na które (z bolem przyznać trzeba) ówczesna Polska nie dosyć zwracała uwagi. W roku 1838 ofiarowano mu katedrę literatury łacińskiej przy akademii w *Lausanne* w *Szwajcaryi*. Spokojne miejsce, oddalone od *Paryża*, stała posada wreszcie, nęciły go tak, że miejsce to przyjął; wykłady wszakże, z powodu zdrowia żony, zostającej w *Paryżu*, rozpoczął dopiero w roku 1839. Pobyt w *Lausanne* nie trwał długo. Zaledwie tam Mickiewicz osiadł, kiedy skutkiem polskich starań rząd francuski postanowił utworzyć katedrę literatur słowiańskich w *Collège de France*. Był to środek i sposobność zapoznania Francyi i w ogóle Zachodu z tym światem dla nich obcym; a któż zdołałby zrobić to lepiej, jak najgenialniejszy podówczas człowiek w całym tem licznym i rozrodzonym plemienu? Zaczęły się starania podwójne: u rządu, ażeby Mickiewicza na tę katedrę powołał, u Mickiewicza, ażeby ją przyjął. Jemu żal było porzucić *Szwajcaryę*, a przerażała go trudność zadania. Jednak czuł, że odmówić nie może; że gdyby odmówił, katedra ta mogłaby wpaść w złe ręce i stać się trybuną fałszu. Przyjął.

Pierwsza lekcya odbyła się 23 grudnia 1840 roku. Jego Kurs literatury słowiańskiej jest dziełem bardzo znakomitem. Jest naprzód, o ile się odnosi do literatury polskiej, pierwszą jej prawdziwą historią. (*Wiszniewski* współcześnie mozolnie a bardzo rozumnie nad nią pracował, ale całości nie złożył). Mickiewicz dał obraz tej literatury

całkowity, od początku aż do czasów sobie współczesnych : obraz, w którym, prawda, wielu szczegółów brak, ale mówiąc dla cudzoziemców, zmuszony przytem wiele czasu poświęcić innym literaturom słowiańskim, musiał Mickiewicz przestawać na ogólnej charakterystyce epok i zwrotów, a z pisarzy wybierać tylko najważniejszych. To też on tylko robi. Ale ta charakterystyka epok i pisarzy jest najtrafniejsza, jaką dotąd mamy, zawsze świetna, często dziwnie głęboka i genialna. Wiek XVI zwłaszcza, czasy Batorego i ich literatura, i znowu okres Stanisława Augusta, należą do najświetniejszych części dzieła. Wiek XVII dla cudzoziemców mniej zajmujący, a dla naszej literatury mniej zaszczytny, zbył dość pobieżnie : na kilka chwil tylko i na parę postaci rzucił silne światło.

We wszystkim zaś, co mówi o literaturze innych ludów słowiańskich, jest Mickiewicz dziwnie i szlachetnie sumienny, bezstronny, dbały nie tylko o to, żeby każdemu oddać, co mu się należy, ale żeby o nim powiedzieć tyle dobrego, ile się da najwięcej. Lekcyce poświęcone rapsodom serbskim albo pisarzom i stosunkom rosyjskim, nie ustępują w niczem najświetniejszemu lekcynom o literaturze polskiej. Jemu zawdzięczają te wszystkie ludy, że Zachód powziął jakąś pierwszą wiadomość, jakieś wyobrażenie o ich literaturach, o ich znakomitszych ludziach, po części nawet o ich stosunkach i dziejach.

Dwa kursa przeszły szczęśliwie i świetnie: w trzecim wykłady literatury zaczęły wkraczać w dziedzinę filozofii, religii, mieszać się z obcemi sobie teoryjami i doktrynami, stopniowo ustępować im miejsca coraz bardziej, aż wreszcie jedne gdzieś znikły, a drugie dawały się słyszeć z katedry jedynie. Przyczyną tej zmiany był tak (przez wyznawców swoich) zwany *mesyanizmem* czyli nauka Andrzeja Towiańskiego.

6. *Okres towianizmu* (1842—1848). W lipcu roku 1841 przybył z Wilna do Paryża Andrzej Towiański, marzyciel, któremu się uroiło, że jest „człowiekiem opatrnościowym“, zesłanym na to, aby religię chrześcijańską udoskonalić i tą drogą Polskę i ludzkość uszczęśliwić.

Ponieważ nie był wymownym a i w pismach z trudnością i niejasno się tłómaczył, więc pragnął pozyskać ludzi znakomitych i wpływowych dla swojej nauki. Nie udało mu się z arcybiskupem Duninem ani z generałem Skrzyneckim, którzy zmiarkowawszy, że nauka jego nie prawdziwa, pociągnąć się nie dali. W końcu wybrał Mickiewicza na apostoła swej doktryny.

Mickiewicz skłonny był przez całe życie do wiary w styczność bezpośrednią naszego świata z światem nadzmysłowym; podczas pobytu w Petersburgu był pod wpływem mistyka Oleszkiewicza. W Rzymie znowu wyrobiła się w nim wielka pobożność i żarliwość; od roku 1831 zaś, pod wpływem patryotycznego cierpienia, rosła nadzieja i wiara, że sprawiedliwość Boska objawi się rychło i naprostuje, naprawi wszystko złe, jakie było. Tymczasem lata mijały, owe wypadki nie przychodziły, emigracyjne stosunki stawały się coraz przykrzejsze; jego stan oczekiwania i wytężenia przechodził wskutek tego w stan naprężenia i rozdrażnienia. Domowe troski, choroba żony, niepokój o dzieci i ich przyszłość musiały naturalnie przyczynić się także do utrzymywania go w tym stanie. Tak zastał go

Towiański, przedstawił mu się w sposób, który na wyobraźnię jego musiał działać; zapowiadał mu spełnienie wszystkich jego marzeń i pragnień, słowa i nauki swoje nagiął do jego myśli i przeczuć (wrażonych w pismach, głównie w *Dziadach* i w *Księgach pielgrzymstwa*), obiecywał nową epokę dziejów, obiecywał zwłaszcza cud i możność zrobienia cudu przez wielką, spotęgowaną moc woli i cnoty. Tem wszystkim Mickiewicza oczarował i podbił; wreszcie silnem, doraźnem wstrząśnieniem umysłu i nerwów przywrócił zdrowie jego żonie: a to wszystko razem sprawiło, że Mickiewicz w niego uwierzył, uznał go za posłańca Bożego, za mistrza i objawiciela nowej wiary, która tak się miała mieć do chrześcijaństwa, jak ono do starego Zakonu.

Zwrot ten w życiu Mickiewicza tłumaczy się więc naturalnie, psychologicznie, nadmiarem patryotycznego cierpienia i tem natężeniem oczekiwaniem i pragnieniem sprawiedliwości, w jakim żył naród od rozbiorów, ale zwłaszcza od roku 1831, a które w duszy Mickiewicza było silniejsze i gorętsze niż w każdej innej; tłumaczy się nadto tą skłonnością do mistycyzmu, do łatwej wiary w środki nadprzyrodzone, w cuda, które tkwiły zawsze na dnie jego natury.

Jakkolwiek powody mogły być naturalne i zrozumiałe, skutki były opłakane. Nauka Towiańskiego przez kościół uznana była za heretycką. Mistrz sam wtedy i jego zwolennicy zaczęli utrzymywać (jak wszyscy twórcy nowych wiar), że oni są w prawdzie, a kościół zatracił i prawdę i łaskę Bożą. Mickiewicz głoszący takie rzeczy, Mickiewicz opuszczający wiarę i kościół swego narodu, był dla jednych powodem wielkiej boleści, dla innych złym, gorszącym przykładem. To zły skutek mesyanizmu. Drugi był ten, że od tego czasu Mickiewicz, zamiast tworzyć i pisać, marnował się w apostołowaniu mylnej i mętnej doktryny. Poezyę zarzucił był dawno; ale był właśnie wtedy profesorem literatur słowiańskich w *Collège de France*; w dwóch pierwszych latach swoich wykładów dał ogólny, ale znakomity (najlepszy dotąd) obraz dziejów polskiej literatury; od owej chwili zaś kursa literatury słowiańskiej stały się wykładem nowej doktryny, świetnym nieraz, ale nieraz też niejasnym lub mylnym w myśli, łatwym do zbicia w dowodzeniu i rozumowaniu. W łonie emigracyi towianizm sprowadził nowe rozdarcie. Z przyjaciół pierwszy Stefan Witwicki zaklął Mickiewicza i błagał na wszystko, co święte, żeby nowych wiar nie wymyślał, a dawnej nie opuszczał; nie poszedł za Mickiewiczem Bohdan Zaleski; Domeyko, podówczas już w Chili, upominał i przestrzegał; duchowni z obowiązku musieli prosić, upominać, a gdy to nie pomagało, wiernych przed nową religią przestrzegać. Wreszcie Rzym uznał naukę Towiańskiego za heretycką i stanowczo ją potępił.

Mickiewicz, w przekonaniu, że pełni wyższą misję i służy Bogu i ojczyźnie, głosił dalej naukę mistrza, którą rozwijał, dopełniał, bogacił zasobem własnych myśli, tak że on dopiero zrobił ją tem, czem była, nadał jej treść i jaką taką żywotność. Bez niego nie byłaby zdołała ani tytuł zwolenników pozyskać ani utrzymać się przez pewien przeciąg lat.

Rząd francuski tymczasem nie chciał (i prawdę mówiąc nie mógł) pozwolić na to, by w zakładzie przezeń utrzymywanym, pod jego powagą, głosiły się nauki przeciwne religii, do której przyznawał się sam i ogromna

większość narodu. Cześć Napoleona zaś, którą Mickiewicz z katedry szerzył, uważał ten rząd za niebezpieczną dla siebie, tem więcej, że świeże przewiezienie zwłok cesarza z wyspy św. Heleny do Paryża obudziło dawne wspomnienia chwały i zwróciło umysły w tym kierunku. Z tych powodów Mickiewicza usunięto z katedry z połową dotychczasowej płacy.

Nieszczęściem to było dla ubogiego ojca licznej rodziny. Zniósł je z tą samą zawsze wrodzoną sobie godnością: z tą samą też wiarą w mistrza i jego naukę, pracował dalej około sprawy. Później zaszły między nimi jakieś nieporozumienia, które sprowadziły pewne oziębienie stosunków, ale nie zupełne zerwanie.

7. *Ostatnie lata życia* (1848—1855). W styczniu roku 1848 Mickiewicz, pod wpływem początków panowania Piusa IX, w których widział zapowiedź spełnienia swoich marzeń o inicjatywie kościoła w sprawie wolności i sprawiedliwości, pojechał do Rzymu. Zamiar pojednania się z kościołem był szczery, skoro poeta odbył spowiedź; nie był zupełnie jasny, skoro na audyencji usiłował przekonać papieża o prawdziwości nauki Towiańskiego. Gdy się zaczęły rewolucyjne ruchy w Berlinie, w Wiedniu, wszędzie z wyjątkiem tylko Rosyi, poeta wziął je za początek oczekiwanego odrodzenia ludzkości, za otwierającą się drogę do królestwa Bożego na ziemi. W tej nadziei chciał rozpocząć jakieś działanie polskie i zaczął formować legion, który jak niegdyś legiony Dąbrowskiego, miał niby iść z ziemi włoskiej do polskiej. Formacja ta, zaczęła w kilkunastu ludzi, nie przeszła nigdy liczby bardzo skromnej.

Wybór księcia Ludwika Bonapartego na prezydenta rzeczypospolitej powitał Mickiewicz z radością: myślał, że on będzie musiał wstępować w ślady pierwszego a nauczony doświadczeniem, ustrzeże się jego błędów. Zamknięcie dziennika, który wydawał (*la Tribune des peuples*), stanowcze usunięcie z katedry i odjęcie płacy (której część dotąd pobierał), nie ostudziło jego zapалу dla nowego cesarza i wiary w cesarstwo. Jego jedynym utrzymaniem była podówczas posada bibliotekarza arsenału (na der skromna), którą otrzymał za wpływem stryja cesarza, księcia Hieronima, niegdyś króla westfalskiego.

Zaniosło się na wojnę wschodnią. Mickiewicz ze swoją czią dla Napoleona pierwszego. a wiarą w cesarstwo, ujrzał w niej stwierdzenie swoich przeczuć, a zapowiedź spełnienia pragnień całego życia. Po wzięciu Bomarsundu przez floty sprzymierzonych napisał na cześć Napoleona III wiersz łaciński *Ode in Bomarsundum captum*. Ostatni to był jego wiersz. W Turcyi formowały się pułki, przy tureckim i angielskim wojsku wprawdzie, ale z Polaków, i budziły nadzieję, że będą zawiązkiem wojska polskiego. Mickiewicz rwał się tam, chciał pomagać, ileby i jakby mógł; choroba i śmierć żony (r. 1855) wypadły w tym czasie. Skoro jednak ochłonął z pierwszego wrażenia i dzieciom właściwą opiekę upatrzył, podjął swój zamiar na nowo i we wrześniu r. 1855 wyjechał do Konstantynopola. W ciągu tego pobytu był parę razy niezdrów, co jednak nie dawało powodu do obaw o jego życie. Dnia 26 listopada zapadł nagle na panującą w mieście cholereę. Czując się bliskim śmierci, kazał wezwać księdza, znajomego Litwina, przyjął Sakramenta, otaczającym dawał ostatnie polecenia do dzieci; skończył tegoż dnia około godziny 9 wieczorem.

Zwłoki, przewiezione do Paryża 21 stycznia r. 1856, pochowane były obok żony na cmentarzu w Montmorency, gdzie spoczywa większość znakomitych Polaków z emigracji. Dnia 4 lipca r. 1890 złożono je w osobnym grobie pod kościołem katedralnym na Zamku w Krakowie.

Rozbiór dzieł A. Mickiewicza.

Ballady i zbliżone do nich *Romance* powstały pod wpływem powszechnej poezji romantycznej: rodzaj to bardzo podówczas ulubiony a za przykładem obcych uprawiany gorliwie przez naszych młodych poetów. W balladach i romancach Mickiewicza można rozróżnić różne grupy, podług wpływów, pod którymi powstały. Bardzo widocznym i silnym jest wpływ niemiecki, mianowicie Goethego, Schillera i Bürgera (*Ucieczka* jest przerobieniem jego *Lenory*). Do tej grupy należy, choć z podań litewskich wzięta, *Świtezianka*, najdoskonalsza może z ballad Mickiewicza i wszystkich polskich. Inne pochodzą wprost od pieśni lub podań ludu i są ich przerobieniem (typem takich są *Lilie*). Jeszcze inne ukrywają pod tą formą własne wspomnienia i uczucia poety, odnoszą się do jego nieszczęśliwej miłości (*Dudarz*, *To lubię*). Romantyczność jest polemiką przeciw klasykom, a zarazem wczesnym świadectwem tej wiary w nadprzyrodzone wpływy i objawienia, która w późniejszym życiu poety miała znaczyć tak wiele. Na szczególną uwagę zasługują przez swój charakter oryginalny i swój wdzięk ballady wesole, humorystyczne, jak *Pani Twardowska* i *Trzech Budrysów*. W niektórych romancach (na przykład w *Kurhanku Maryli*) znać jeszcze wpływ i ślady dawnego smaku i dawnej konwencyonalnej sielanki Karpińskiego.

W okresie wileńskim powstała także, choć później dopiero ogłoszona drukiem *Oda do młodości*. Wspaniała jako wyraz lirycznego natchnienia, wzniosła przez ideał poświęcenia, przez miłość rzeczy wielkich i spraw szlachtetnych, *Oda do młodości* jest w tem jednostronna a zatem fałszywa, że młodości tylko przyznaje szlachetność uczuć i zdolność do poświęceń, które nie są przywilejem pewnych lat, ale istotą i cechą pewnych (szlachtetnych) natur i usposobień. Musiałaby też okazać się fałszywą, gdyby kto chciał wyciągać z niej niektóre zdania i uważać je za prawidła praktycznego życia i postępowania. Wzniosłe poetyckie natchnienie ma to zadanie i tę nawet praktycznie dobroczynną moc, że podnosi wyżej uczucia ludzkie i wytyka im szlachetny kierunek: ale nie idzie za tem, iżby zachwyty poety miał znajdować zastosowanie w wypadkach praktycznego życia.

Grażyna, małymi rozmiarami podobna do ulubionych podówczas powieści poetycznych, złożonych z epickiego i lirycznego pierwiastka, charakterem swoim różni się od nich zupełnie a przybliżyła się do wielkiej bohaterskiej epopei; Prostota i szlachetność stylu, zupełne oderwanie się poety od siebie samego, od własnych uczuć i wrażeń, wyrazistość i żywość figur, wszystko to wybija na tej powieści tę najrzadszą cechę prawdziwej epickiej doskonałości, którą nosi tak mało poematów na świecie. Zakończenie, prawda, pisane jest pobieżniej i słabsze, ale aż do

upadku bohaterki na polu bitwy Grażyna jest dziełem wyjątkowej doskonałości i jedna ze wszystkich powieści poetycznych w Europie podobna jest do epei.

Sonety dzielą się na *erotyczne* i *krymskie*. Z pierwszych jedne tchną wspomnieniem i Litwy i dawnej kochanki (do Niemna, Rezygnacya) i te należą do najpiękniejszych lirycznych wierszy Mickiewicza. Drugie są i uczuciem niższe i nawet w smaku nie zawsze zupełnie dobre. Sonety krymskie za to, tchnące tęsknem, ponurem a umyślnie na wodzy utrzymanem uczuciem, niezrównanie świetne mocą wyrażen i efektami niespodziewanych zwrotów myśli, zrywające się zuchwale na obrazy a kreślące je szybko i szkicowo, ale z zadziwiającą siłą i poezją (Stepy Akermanskie, Burza morska, Droga nad przepaścią, Czatyrdah), są w swoich małych rozmiarach wielkiem arcydziełem.

Były one także pierwszym w poezji polskiej odbiciem tego upodobania we wschodnich krajach i scenach, które za przykładem Byrona i Moora stało się modą w całej Europie. Te wschodnie obrazy (a nawet wyrazy) stały się dla klasyków powodem do licznych a niechętnych zaczepk i krytyk, kiedy romantycy przeciwnie znaleźli w nich nowy pochop do wzięcia i sławienia Mickiewicza.

Konrad Wallenrod rozmiarami, formą, sposobem pisania podobny do poetycznych powieści Byrona, a bohater sam, ze swoją tajemniczą przeszłością i tajemniczym celem, ponury, gorzki, uważający zdradę i zemstę za swój obowiązek, ale nieszczęśliwy, że ten obowiązek na niego spadł — jest w blizkiem pokrewieństwie z wielu bohaterami Byrona.

To jeden z zarzutów, jakich temu poematowi robiono wiele od chwili jego ogłoszenia, i to nie tylko ze strony klasyków, ale i romantyków także. Drugi nie mniej słuszny, jest ten, że poemat jest nierówny, od jednostajnej doskonałości Pana Tadeusza (a nawet Grażyny) daleki, że mięsi w sobie ustępy pisane z trudem i oporem, słabsze. Atoli jest w tym poemacie taka potęga uczucia, z każdej postaci i każdej myśli bije tak namiętna miłość ojczyzny i nienawiść nieprzyjaciela, Wallenrod sam w swoim tragicznem położeniu tak jest wielki i takie ma piętno nieszczęścia i bohaterstwa, że poemat staje się przez to wyrazem, a jego bohater wcieleniem (jednym z najdoskonalszych w poezji świata) całego jednego rodzaju wrodzonych ludzkich uczuć, obrazem powtarzających się nieraz na świecie stosunków. W tem jest jego prawda, jego prawo do bytu, jego logiczna konieczność w ówczesnej poezji polskiej i jego w niej wysokie, niewzruszone, wieczyste stanowisko. Jego zaś piękność artystyczna, w pewnych ustępach (jak Wojna albo Uczta) zapewne niższa, jest wzniesioną nad wszystko, co Mickiewicz dotąd napisał, przez tragiczną wielkość osób, przez porywającą siłę natchnienia i słowa w niektórych ustępach (Pieśń wajdeloty), przez doskonałość epickiego spokoju i stylu w połączeniu z najwyższą patetycznością uczuć i sytuacji (w Powieści wajdeloty). Gdyby nie było Pana Tadeusza, ta powieść byłaby samym szczytem poezji Mickiewicza; a i teraz nawet, pomimo Tadeusza, ma tę cechę i wartość osobną, że tragiczny jej przedmiot wymagał tonu wyższego, niż go Tadeusz mógł mieć przy swoich potocznych, spokojnych obrazach, stosunkach i ludziach i że ten

wysoki ton epicki, ten wielki styl, najwyższy, jaki w poemacie bohater-
skim być może, ona rzeczywiście ma.

Kwestyę osobną stanowi myśl i wartość moralna Wallenroda. Dzieło zemsty i zdrady, choć z poświęcenia dla ojczyzny i z bohater-
stwem podjęte i spełnione, dobrem nigdy być nie może. Zatem pomysł i bohater Mickiewicza, artystycznie wspaniały, moralnie zdrowym i dobrym nie jest. Nie było to jednak stałe Mickiewicza przekonanie i stanowisko, ale chwilowe uczucie, spowodowane świeżymi wrażeniami ucisku, a wzmo-
cnione pobytem w Rosyi, naocznem przeświadczeniem się o jej sile i prawdopodobnie wpływem tych rosyjskich znajomych i przyjaciół, którzy podówczas zajęci bardzo marzeniami o własnej wolności, nie troszczyli się o moralną wartość środków, jakich potemu użyćby mieli. U nas mówiono nieraz o złym wpływie Wallenroda na umysły i sumienia. Wpływ na wypadki, acz bardzo pośredni, mógł on mieć, bo mógł roz-
żarzyć te uczucia, których wybuchem było powstanie 29 listopada. Innego wpływu dostrzedz trudno. Być może, że Wallenrod był używany (raczej nadużywany) do uwodzenia ludzi, na dowód i przykład, że godzi się w dobrym celu źle robić, ale odpowiedzialność za takie wypadki (jeżeli istotnie były) nie może spadać na Mickiewicza ani na Wallenroda, tylko na tych, którzy z pomysłu poetycznego chcieli robić argument lub aksy-
omat moralny i polityczny.

Dziady. Trzeba przedewszystkiem rozróżnić w *Dziadach* części pisane w roku 1821 i 1822, i te, które pisane były w lat dziesięć później. Z pierwszych mamy część II i IV, ogłoszone przez poetę w roku 1823 i fragment części I, drukowany dopiero w pośmiertnem wydaniu pism. Z *Dziadów* późniejszych mamy część III.; ta oczywiście nie jest ową trzecią, jaka miała być między drugą a czwartą, — ale dalszym ciągiem owych dwóch znanych części. Do tej dołączył poeta ustępy Petersburga, które jakkolwiek w formie zupełnie odmiennej, są niejako uzupełnieniem dzieła.

W pierwszej, ułamkowej części *Dziadów* z roku 1822, chciał Mickiewicz, jak się zdaje, opowiedzieć swoje poznanie z Maryą Wereszczakówną i początki swojej miłości. Wprowadza tam bowiem dziewczynę i młodzieńca, z których każde marzy o uczuciu sobie nieznanem i o istocie, która będzie tego uczucia przedmiotem, ale jeszcze się nie spotkali, nie widzieli, nie pokochali wzajemnie.

Część druga odbywa się już po zerwaniu, po nieszczęściu, po zameściu ukochanej. Poprzedza ją i służy jej za wstęp, wiersz pod tytułem *Upiór*. Przez tego upiора rozumie poeta siebie samego. Z rozpaczny jest on jakoby umarły, błąka się po świecie jak upiór, ale na tym świecie już go nic nie obchodzi i nic dla niego nie ma.

Potem następuje obrzęd *Dziadów* czyli w noc dnia zadusznego wywoływanie duchów i pytania, czego na tamtym świecie potrzebują, czem można przynieść im ulgę. Zjawiają się po kolei widma: dziatek przez matkę psutych, nielitościwego pana i młodej dziewczyny, za życia puste i nieczułej.

Wkońcu zjawia się widmo, które niczego nie żąda, nic nie mówi, tylko wpatruje się w jedną z pasterek, a na żadne zaklęcia zniknąć nie chce.

To widmo, to jest Upiór ze wstępu, poeta sam; pasterka, ubrana w żalobę, choć jej „mąż i rodzina zdrowi“ — to jego ukochana, która, choć rękę oddała innemu, zapomnieć go nie mogła. Więc gdy zaklęcia nie pomogły, każe guślarz pasterkę wyprowadzić z kaplicy, a za nią „rusza kroku“ i widmo.

W części czwartej, w tę samą noc zaduszną, do domu księdza, który wychowuje kilkoro dzieci, puka i wchodzi człowiek, dziwacznie ubrany, z pozoru obłąkany, który mówi o sobie raz, że jest umarłym, drugi raz, że pustelnikiem: to owo widmo z części drugiej, Gustaw, niegdys wychowaniec księdza. Z bezładnego opowiadania, w którym mieszają się wspomnienia dzieciństwa i pierwszej młodości ze skargami na dzisiejsze nieszczęście, pokazuje się, że do tego stanu doszedł młodzieniec przez nieszczęśliwą miłość. W Gustawie wyobraża poeta siebie samego, ten stan duszy, w jakim był po swojej nieszczęśliwej miłości. Miał się za pustelnika, bo stronił od ludzi; zdziczał, żył sam ze swoją rozpaczą; miał się za upiora, błakającego się bez celu po tym świecie, bo „serce zamarło, pierś już lodowata“. Przepuszczał może, że z rozpaczcy wpadnie w obłąkanie, bo nadaje Gustawowi pozory szaleństwa. Wreszcie, czy istotnie w tej rozpaczcy przeszła kiedy poecie przez głowę myśl o samobójstwie, czy też tylko ten stan rozpaczcy i zubożenia na wszystko wyrzucał sobie jako samobójstwo moralne, Gustaw w końcu rozmowy przebija się sztyletem. „Przecież nie upada“ — nie odbiera sobie życia na prawdę, tylko „dla nauki scenę boleści powtarza“. „Minęły dwie godziny: miłości, rozpaczcy — a teraz następuje godzina przestrogi“. To znaczy, że ten stan rozpaczcy bezdennej i chorobliwej Mickiewicz, kiedy Gustawa pisał, już wyrzucał sobie jako zły, a rozpamiętywanie tego stanu i złych myśli, jakie podówczas miewał — może pokusy samobójstwa — uważał za swoją karę i pokutę. W tej świadomości, że taka rozpacz bez granic była zdrożną, a uczucie, które do niej wiodło, chorobliwem, jest dowód wyższości moralnej Mickiewicza i powód, dla którego jego Gustaw, choć jest naturą chorobliwą jak wiele poetycznych kreacji poprzednich i współczesnych, nie może tak źle wpływać na umysły, jak wpływał na przykład Werther Goethego, René Chateaubriande'a i t. p.

Poemat ten jest jego własną historią. historią jego nieszczęśliwej miłości. Za tło służy ludowy obrzęd Dziadów (obchód żałobny, święcony w dzień zaduszy na cześć lub ulgę zmarłych). Właściwą zaś treścią jest opowiadanie Gustawa, który z boleści prawie obłąkany, a uważający się poniekąd za umarłego, bo „serce umarło, pierś już lodowata, na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata“, wspomnienia swoich nadziei i swoich cierpień roztacza przed księdzem, swoim niegdys nauczycielem. Poemat ten, oprócz całej swojej piękności artystycznej, a zwłaszcza lirycznej, jest bardzo ciekawym pomnikiem historycznym, bo jest pierwszym potężnym i może najzupełniejszym wyrazem romantycznego kierunku w naszej poezyi. Przez wprowadzenie istot ze świata nadmysłowego (widm, duchów, upiórów) łączy się on z pojęciami i zwyczajami ówczesnego europejskiego romantyzmu; przez pierwiastek i charakter ludowy odpowiada estetycznym przekonaniom i dążnościom młodszych

poetów polskich (niemniej jak niemieckich lub angielskich). Przez swoją formę dramatu fantastycznego (pierwszego w poezji polskiej) łączy się znowu z całym tym rodzajem, który stworzony przez Goethego w *Fauście*, a przez Byrona pochwycony i często świetnie używany (*Manfred*, *Kain*), niezmiernie był w owym czasie podziwiany i pożądanym. Wreszcie, przez chorobliwy charakter miłości, jak ją czuje i pojmuje Gustaw, przez jego rozmiłowanie się w swoim nieszczęściu, przez tę niezdolność i niechęć do życia, odkąd go miłość zawiodła, stają się *Dziady* doskonałym wyrazem tego uczucia, jak je pojmoowało ówczesne pokolenie romantyków w całej Europie, a Gustaw staje się jednym z tych chorobliwych bohaterów miłości, których ojcem i wzorem był Werther. Że z tych bohaterów, od Werthera pochodzących, żaden nie zbliża się nawet do Gustawa, zbytecznie mówić. Oprócz wyższości poetycznej zaś ma on nad wszystkimi bohaterami podobnymi tę jeszcze wyższość etyczną, że przedstawiony i osądzony jest przez Mickiewicza właśnie jako człowiek usposobiony chorobliwie, zbyt wyłącznie owładnięty jednym uczuciem a przez to winny. Jest to jednym z dowodów ogromnej siły i rozumu i charakteru u Mickiewicza, że jeszcze pod wrażeniem swojej miłości, w samym swoim cierpieniu, w wiernym przedstawieniu swoich ówczesnych uczuć, już w sumieniu swoim poznał i osądził to, co było złego w tem uczuciu.

Jako poemat miłosny czwarta część *Dziadów* nie ma wyższego nad siebie w poezji polskiej, a należy do najpiękniejszych w poezji całego świata.

Część trzecia. Po latach dziesięciu wrócił Mickiewicz do dawnego poematu i pisał jego dalszy ciąg. Ten jest także jego własną historią, a on sam (Konrad) główną i środkową figurą tej części. Jest ona pisana nietylko po prześladowaniu uczniów wileńskich i po wygnaniu poety do Rosyi, ale po wielkiem narodowym nieszczęściu, po przegranej wojnie roku 1831. Jest więc z jednej strony wyrazem całego patriotycznego cierpienia, jakie się w duszy narodu gromadziło od rozbiorów, a po roku 1831 doszło do najwyższej potęgi, z drugiej strony wyrazem i świadectwem tych przeżyć, jakie przez te wszystkie lata przeżył w duszy Mickiewicz. Rozumie się, że te przemiany, które w poemacie ujęte są w kilka krótkich scen, w rzeczywistości odbywały się dłużej i wypełniły kilka lat życia poety.

W prologu, w celi bazylińskiego klasztoru w Wilnie, przerobionego na więzienie, śpi więzień, otoczony dobrymi i złymi duchami. Dobre wyrzucają mu pychę i spodziewają się, że przez więzienie nastąpi jego poprawa, złe starają się utwierdzić i podnieść go w tej pysze.

Więzień budzi się chwilami, дума o położeniu swoim i przyjaciół, o ojczyźnie i jej przyszłości i zapisuje na ścianie celi słowa: „*hic obiit Gustavus, hic natus est Conradus*“: czyli, że podczas tego więzienia Gustaw, zajęty i nieszczęśliwy swoją miłością jedynie, umarł, a odżył w nim człowiek inny, którego cała dusza wypełniona jest miłością ojczyzny i jej nieszczęściem.

W scenie pierwszej więźniowie, ująwszy kaprała, schodzą się do celi Konrada na rozmowę. Są to wszyscy dawni Filomaci i Filareci,

przyjaciele poety, każdy przedstawiony ze swoim właściwym charakterem. Scena ta, jak świadczą wszystkie wspomnienia współczesne, miała miejsce istotnie w wigilię Bożego Narodzenia r. 1823 i opisana jest w poemacie z historyczną wiernością. Rozmawiają o swoim uwięzieniu, śledztwie, o jego powodach: jeden, który rano prowadzony był do śledztwa przez miasto, opowiada, że widział, jak wielu skazanych w łańcuchach, na kibitkach wywieziono gdzieś w głąb Rosyi.

To opowiadanie wydobywa z duszy Konrada całe złożone w niej uczucie krzywd narodu i nienawiści do nieprzyjaciela. Towarzysze, widząc go zmienionym, przypuszczają stan poetycznego natchnienia i czekają nowej pieśni; Konrad śpiewa namiętną, wściekłą Pieśń zemsty. Wtem nadchodzi patrol, więźniowie rozbiegają się po swoich celach, Konrad zostaje sam.

Następuje jego sławny monolog, nazwany *Improwizacją* (sam szczyt może lirycznych natchnień Mickiewicza), której treścią jest pytanie, dlaczego Bóg na takie złe pozwala — żądanie, żeby jemu, wielkiemu geniuszem a większemu cierpieniem i miłością ojczyzny, objawił swoją myśl i wolę. Wkońcu, gdy Bóg odpowiedzi nie daje, następuje zuchwałe wyzwanie i straszne bluźnierstwo, którego omdlały Konrad nie wymawia, ale za niego odpowiada szatan. Tego szatana (szatana pychy) wyrzuca z Konrada egzorcyzmem ksiądz Piotr i każe mu ratować się i łaskę Bożą zdobyć skruchą, pokorą i wiarą. Sam zaś, pokorny i cichy, ma to objawienie myśli i woli Bożej, którego dumny Konrad żądał na próżno. Jego widzenie jest dopowiedzią na pytania tamtego, jest wytlómaczeniem dzisiejszych losów Polski i obietnicą jej przyszłości. Tłómaczenie to i obietnica są następujące: Jak niegdyś Chrystus Pan poniósł mękę i śmierć na odkupienie i zbawienie świata, tak niewinnie męczony naród jest ofiarą i zadośćuczynieniem za grzechy naszych wieków: to jego rola w historii, to powód jego cierpień. A wybrany na tę ofiarę jako niewinny właśnie i najlepszy, po skończonej ofierze powołanym będzie do chwały zmartwychwstania i królowania w królestwie Bożem na tej ziemi.

Taka jest główna, odłączona od dodatków, treść trzeciej części *Dziadów*. Wystarczy ona na to, by poznać szczególne i jedyne znaczenie tego poematu w historii naszej poezyi. Jest ono dwojakie. Naprzód, to pytanie, które było w duszach polskich od rozbioru, które stopniowo a coraz wyraźniej odzywało się w poezyi, ta niemożność zrozumienia swego losu i pogodzenia go ze sprawiedliwością Boską, dochodzi teraz w *Dziadach* do swego najpotężniejszego i najbardziej rozpaczliwego wyrazu. Te uczucia, które Mickiewicz miał zawsze i widział w drugich, które rozpały się w nim podczas prześladowania w Wilnie, a potem rosły ciągle w Rosyi, teraz, po nowem i gorszem nieszczęściu, po przegranej wojnie, skupiły się i zbiły wszystkie w jego sercu, a potem wybuchły z niego jak wulkan. Jako skarga, jako użalenie się przed Bogiem i ludźmi, nie ma w naszej poezyi nic silniejszego, może nic równie silnego, jak trzecia część *Dziadów*. To jest jeden powód ich wyjątkowego znaczenia.

Drugim jest to słowo zagadki, które Mickiewicz znalazł i którym sobie tajemnicę naszych losów rozwiązał, ta Chrystusowa ofiara Polski

za grzechy świata, ta rola wybranych i jedynych na świecie, ta na niej oparta pewność zmartwychwstania i tryumfu, która jego pociesza, która mu wystarcza i każe mu czekać rychłego, niezawodnego spełnienia obietnic. Tu, w widzeniu księdza Piotra, jest źródło tej całej nauki o Chrystusowej misji Polski, źródło całej późniejszej emigracyjnej poezji wieszczkiej i prorokującej, patryotyczno-religijnej i mistycznej. Znajdą się odmiany i nowe przerobienia tej myśli, ale jej początek i jej istota jest tu; nauka ta jest sama w sobie błędną: ofiarą za grzechy drugich może być tylko ten, kto własnych nie ma; ofiara, jeżeli ma być prawdziwą, musi być dobrowolną i świadomie spełnioną. Nietylko błędną zaś, ale była ta nauka i złą, bo w najwyższym stopniu dumną.

Dalszym jeszcze powodem wyjątkowego znaczenia *Dziadów* jest to, że one są dokumentem do życia Mickiewicza, że z nich poznaje się różne stany duszy i przemiany, jakie przeżywał, oraz jak sam siebie w każdym z nich (po jego przebyciu) rozumiał i sądził. Wreszcie z trzeciej części *Dziadów* także poznaje się jego usposobienie i skłonność do religijnego mistycyzmu, do oczekiwania objawień i cudów, którą to skłonność z czasem zawiodła go do towianizmu. Pod wpływem klęski roku 1831 zaczyna się, a w *Dziadach* się ukazuje zaród tego chorobliwego kierunku duszy i umysłu.

Pod względem artystycznym *Dziady*, dalekie od doskonałości, bardzo nierówne, obejmują w sobie najświetniejsze i najszczytniejsze ustępy, obok najłabszych może, jakie Mickiewicz napisał. Do pierwszych należy *Wywożenie kibitek i Improwizacya*, do drugich ustęp *Pan Senator*.

Formą i tonem od *Dziadów* różne, a jednak do nich przez autora dołączone, są ustępy, osnute na wspomnieniach i wrażeniach pobytu w Rosyi; dają one znowu miarę artystycznej biegłości i doskonałości poety. W zupełnym na pozór i klasycznym spokoju, takim jak w *Grąźnie*, niekiedy w świetnym, iskrzącym i gryzącym dowcipie, drga tu takie uczucie skupione i potężne jak w *Wallenrodzie*. Ustępy takie jak *Druga do Rosyi*, *Pomnik Piotra Wielkiego* należą do rzeczy najświetniejszych, jakie Mickiewicz kiedykolwiek napisał.

Dopełnieniem niejako trzeciej części *Dziadów*, jej konsekwencyą praktyczną, są *Księgi pielgrzymstwa*.

W Paryżu znalazł się Mickiewicz odrazu wśród wszystkich emigracyjnych swarów, stronnictw, wzajemnych oskarżeń i nienawiści. Nie tak, zdaniem jego, powinni byli zachowywać się między obcymi synowie wybranego narodu, reprezentanci najświętszej sprawy. Napisał tedy dla ich upomnienia i poprawy te *Księgi*, w których naśladowując styl *ewangelii*, często przez przypowieści uczy, że emigracya to rozstańcy, którzy ziarno słowa Bożego mają siać między narodami, pogrążonymi w używaniu i w materyalnych jedynie troskach. Praktycznie, potocznie odzywał się Mickiewicz do emigracyi o jej obowiązkach i położeniu politycznym w szeregu artykułów drukowanych w *Pielgrzymie*, piśmie redagowanym przez jego przyjaciela, Litwina, Eustachego Januszkiewicza.

Pan Tadeusz nie jest poematem bohaterским; jest tylko o wielkie wypadki i kwestye opartym obrazem domowego życia. Ton poematu

musiał być zastosowanym do jego treści, do rozmiaru figur, do charakteru scen i zdarzeń opowiadanych. Nie mógł więc być tak wysokim, jak ton Homera, opowiadającego walki bogów i bohaterów, lub Milтона, kreślącego nieśmiertelną nienawiść i zemstę szatana przeciw Bogu. Ten też ton raczej potoczny sprawia, że nie możemy liczyć Tadeusza do wielkich bohaterskich epepei. Ale liczyć go do najdoskonalszych, do najpiękniejszych możemy śmiało i mamy prawo. Ze wszystkich poematów epickich, pisanych w historycznych czasach i przez autorów wiadomych (powiedział to słusznie Klaczko), żaden nie zbliża się tak do Homera, jak ten poemat Mickiewicza. Jak w *Odysei* widzi i poznaje się świat grecki nie w walkach, ale w życiu spokojnem, w obyczajach, w zakresie jego pojęć moralnych i religijnych, w stopniu jego cywilizacji: tak tu stoi jak żywe dawne społeczeństwo polskie z całą tą sumą uczuć, pojęć, zasad, zwyczajów, słabości, cnót i błędów, które składały jego duszę i życie. A jak w *Odysei* pomimo długiego wieków przedziału porusza nam wyobraźnię i uczucie cierpienie lub pragnienie wiecznie żywych i młodych, wiekuisie i niezmiennie ludzkich postaci: tak tu niemniej życia, nie mniej prawdy, nie mniej wdzięku mają te polskie postacie Mickiewicza, a mają dla nas ten urok, ten czar podbijający i przywiązujący, że czujemy się tem samem co one, że w kształtach i (niestety) warunkach różnych, zmienionych, mamy przecież tę duszę, tę naturę, ten sposób uczuć, ten obyczaj i tę ziemię, co oni. Że żadne społeczeństwo europejskie, żadne w chrześcijańskim świecie nie zdobyło się na taki wierny a poetyczny wizerunek siebie samego jak ten, który ze społeczeństwa polskiego zrobił Mickiewicz, to pewna. Herman Goethego w swojej absolutnej doskonałości przecież musi mu ustąpić pierwszeństwa, bo jest istotnie małym sielankowym obrazkiem, jakim Tadeusz początkowo być miał, ale jakim nie został; bo przez wielkie historyczne sprawy, z którymi się łączy, przez wielkie uczucia i cele działających postaci, Tadeusz choć nie jest poematem bohaterskim w ścisłem znaczeniu tego słowa, przestaje być sielankowym tylko obrazem domowego życia, a bohaterskiego charakteru nabiera. Pod względem artystycznym zaś nie ustępuje w niczem Hermanowi i nie jest od niego niższym. Układ i prowadzenie powieści, charakterystyka figur, sceny zbiorowe, epizody, opisy natury — wszystko jest doskonałe; każda scena, każdy ustęp, niemal każdy wiersz, każde wyrażenie jest doskonałym (znajdź się ich zaledwo kilka, którym można by zarzucić), a całość jest arcydziełem poezji polskiej od jej początków aż do dnia dzisiejszego, jednym z wielkich arcydzieł poezji całego świata.

Klasyczny pod względem sztuki, jako doskonałość, jest też Tadeusz klasycznym i pod względem polskim także. Jest w nim uczucie polskie, jak być powinno, najczystsze i najzdrowsze, nie zamaczone i nie przyćmione żadną przymieszką przemijających, czasowych, stroniczych pojęć czy dążeń czy namiętności. A jak pod względem artystycznym i patryotycznym, tak doskonałym jest także Tadeusz pod względem moralnym. Świat w nim jest zdrowy i jędrny, ludzie nie bez ułomności, błędów, pokus, namiętności, a nawet występków (Jacek), ale z naturą dobrą i sumieniem prostem, z Bogiem w sercu, ze zdolnością do szczytnych poświęceń

i szczytniejszego jeszcze uznania swoich win i poprawy. W tym ideale ekspiacyjnym, pokutniczym, jakim jest Robak, godzi się widzieć wielką i mądrą naukę moralną. W udaremnieniu jego planów i zamiarów przez osobiste widoki i urazy (Klucznika) i przez zaścianek, dający się bezmyślnie porwać do zajazdu (a ten zajazd sprawił, że nie przyszło do powstania na Litwie), godzi się widzieć i praktyczną nawet naukę, niemale do naszych różnych spraw podobieństwo.

Charakterystyka. 1. Jak w ciągu życia swego Mickiewicz dwa razy stanowczo przebywał zmiany, tak i w jego twórczości poetyckiej rozróżnić można trzy okresy. Zrazu to młody poeta ogromnego talentu, ale zależny jeszcze od różnych wzorów i mistrzów, od Byrona, od Schillera i Goethego, od Bürgera, od Rousseau'a; wierzący zupełnie w estetyczne dogmata romantyczności, stosujący się do jej upodobań. Pomału jednak wyzwala się z pod tej zależności, staje o własnych tylko siłach, rozszerza granice swojej twórczości. W Powieści wajdeloty (choć ją heksametrem pisze) nie naśladuje już nikogo; w Pieśni wajdeloty, w Farysie, w Improwizacji dochodzi do najwyższych szczytów lirycznego natchnienia, w Tadeuszu do najwyższych szczytów doskonałości, do piękności niemal absolutnej, w której wyobraźnia, uczucie i forma — wszystkie w równym, a wszystkie w najwyższym stopniu doskonałości — zlewają się w rzadką na świecie harmonię piękności zupełnej, niczem nie przyćmionej ani zmąconej.

Na tej wysokości gdy stanął, uznał ją za niedostateczną i małą. Zaczął pojmować poezję w zwykłym znaczeniu słowa za rzecz marną i czerzą, a żądać od niej, żeby była intuicyjnym przeczuciem i przewidywaniem, wieszczaniem przyszłości, obwieszczaniem Bożej myśli i woli.

2. Właściwą, odrębną cechą jego poetycznego geniuszu, odróżniającą go od innych poetów, jest równa miara głównych sił i pierwiastków tworzenia, wyobraźni i uczucia. Nie we wszystkich chwilach jego życia i nie we wszystkich dziełach występują one w równej potędze: w Dziadach na przykład przeważa uczucie, w Grażynie wyobraźnia i artystyczna refleksja; ale obie te siły są sobie równe, obie są z sobą zawsze związane i nawzajem sobą przeniknięte, a kiedy występują w zupełnej i doskonałej równowadze (jak w Powieści wajdeloty i w Tadeuszu), to wydają arcydzieła równe tym wszystkim, które świat uznaje i podziwia jako najpiękniejsze.

3. Równowaga podobna jest może cechą jego poetycznego stylu i tajemnicą jego klasycznej piękności. W języku i stylu Słowackiego można znaleźć więcej gracyi, a czasem może nawet więcej blasku, w języku Zaleskiego więcej dźwięku i śpiewności, u Krasińskiego więcej jedności lub majestatu; ale każdy z nich ma pewne szczególne przymioty, na których zasadza się piękność jego stylu, które wracają i powtarzają się często, po których można ich zaraz poznać, które łatwo dadzą się naśladować — i nadużyć. Język i styl Mickiewicza niema na pozór takich wybitnych, odrębnych cech i właściwości, nie ma przymiotów, górujących nad innymi; ale ma wszystkie przymioty i wszystkie władze w równej mierze. Dlatego na pierwszy rzut oka mniej uderzający i niby nie tak wybitnie indywidualny, jest on do naśladowania trudny, nie da się nadużyć

do żadnej przesady i manieri; dlatego jest w swojej piękności zawsze jednaki i równy; dlatego Mickiewicza język i styl, a nie żaden inny, jest doskonałym, klasycznym stylem poetycznym polskim.

Jego stanowisko w literaturze europejskiej. Robić porównania między wielkimi poetami, dochodzić i oznaczać, który z nich większy, jest rzecz próżna a marna. Każdy ma swoje pierwiastki i warunki wielkości, każdy jest inny, a który wyższy, to się dokładnie zmierzyć nie da. Dość nam na tem, że Mickiewicz jest jednym z bardzo wielkich poetów całego świata. Naturą uczuciową i wzniosłością duszy podobny do Schillera, nad Byronem ma wyższość nie tylko swojego stanowiska moralnego, ale ma tę wyższość jako poeta, że zdolny jest wyjść z siebie, tworzyć postacie od siebie samego odmienne, tworzyć je obiektywnie, a tą zdolnością znowu zbliża się do Goethego. Różni się zaś od nich wszystkich tem, że jest poetą nawskróś i zawsze chrześcijańskim, wierzącym w Boga i w Jezusa Chrystusa; że objawienie jest dla niego prawdą, a prawo Boże podstawą, treścią i ideałem bytu ludzkości i jej dziejów, a obowiązującym prawem dla człowieka.

Jego znaczenie w literaturze polskiej. Pierwszy w literaturze polskiej od jej początku człowiek genialny, on dopiero wyniósł ją do tej wysokości, na której stoją wielkie literatury świata, i uczynił im równą. Przez to podniósł swój naród w godności, w cywilizacyjnem znaczeniu i stanowisku a zarazem dał mu nową siłę i nowy zasób umysłowego i duchowego życia. On dał początek tej literaturze, która w ciągu naszego wieku nie tylko utrzymywała nas na stanowisku narodu oświeconego, ale świadczyła o naszej żywotności i żywotność tę wzmagala i utwierdzała. Bez niego nie tylko nie mielibyśmy tylu i takich poetów, ale piśmiennictwo całe, we wszystkich swoich gałęziach, odżyło pod jego wpływem i do dziś dnia porusza się tym popędem, do którego później wielu innych przełożyło rękę i dodało swoją siłę, ale którego źródło jest w Mickiewiczu. Przez to, że był wyrazem wszystkich naszych zbiorowych uczuć i całego naszego historycznego stanu w wieku obecnym, że (jak sam mówi) jednym skrzydłem swego geniuszu o przeszłość, drugim o przyszłość uderzył, a teraźniejszości dostarczył słów na wszystkie jej uczucia, jest on najbardziej narodowym z naszych poetów i w całej sumie naszego narodowego życia siłą jedną z najdzielniejszych i największych.

Z Ballad.

Świtezianka.

Jakiżto chłopiec piękny i młody?

Jakato obok dziewica?

Brzegami sinej Świtezi wody

Idą przy świetle księżycy.

Ona mu z kosza daje maliny,

A on jej kwiatki do wianka;

Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny,

Pewnie to jego kochanka...

- Każdą noc prawie, o jednej porze,
Pod tym się widzą modrzewiem. 10
- Młody jest strzelcem w tutejszym borze;
Kto jest dziewczyna? ja nie wiem.
Skąd przysła? darmo śledzić kto pragnie;
Gdzie uszła? nikt jej nie zbada. 15
- Jak mokry jaskier wschodzi na bagnie,
Jak ognek nocny przepada.
„Powiedz mi piękna, luba dziewczyno,
Na co nam te tajemnice?”
- Jaką przybiegłaś do mnie drożyna? 20
Gdzie dom twój, gdzie są rodzice?
„Minęło lato, żółkniały liście
I dżdżysta nadchodzi pora:
Zawsze mam czekać twojego przyjścia
Na dzikich brzegach jeziora? 25
- „Zawszeż po kniejach jak sarna płocha,
Jak upior błądzisz w noc ciemną?
Zostań się lepiej z tym, kto cię kocha,
Zostań się, o luba, ze mną!
- „Chateczka moja stąd niedaleka 30
Pośrodku gęstej leszczyny;
Jest tam dostatkiem owoców, mleka,
Jest tam dostatkiem zwierzyny“.
- „Stój, stój, odpowie, hardy młokosie!
Pomnę, co ojciec rzekł stary: 35
Słowicze wdzięki w mężczyzny głosie,
A w sercu lisie zamiary.
- „Więcej się waszej obłudy boję,
Niż w zmienne ufam zapaly;
Możebym prośby przyjęła twoje: 40
Ale czy będziesz mnie stały?“
- Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy świetnym księżycu blasku...
Lecz, czy dochowa przysięgi? 45
- „Dochowaj, strzelcze, to moja rada:
Bo kto przysięgę naruszy,
Ach, biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!“
- To mówiąc, dziewczka więcej nie czeka, 50
Wieniec włożyła na skronie
I, pożegnawszy strzelca z daleka,
Na zwykle uchodzi błonie.
Próżno się za nią strzelec pomyka:
Rączym wybiegom nie sprostał; 55
Znikła, jak lekki powiew wietrzyka,
A on sam jeden pozostał.

- Sam został, dziką powraca drogą,
Ziemia uchyla się grzązka.
- Cisza wokół, tylko pod nogą
Zwiędła szeleszcze gałązka. 60
Idzie nad wodą, błędny krok niesie,
Błędniemi strzela oczyma:
Wtem wiatr zaszumił po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.
- Burzy się, wzdyma, pękają tonie: 65
O niesłychane zjawiska!
Ponad srebrzyste Świtezi błonie
Dziewicza piękność wytryska.
Jej twarz jak róży bladej zawoje,
Skropione jutrzeńki leżką; 70
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Obwiały postać niebieską.
„Chłopcze mój piękny, chłopcze mój młody,
— Zanuci czule dziewczica —
- Po co w okół Świtezi wody 75
Błędzisz przy świetle księżycy?
„Po co żałujesz dziekiej wietrznicy,
Która cię zwabia w te knieje,
Zawraca głowę, rzuca w tęsknicy
I może jeszcze się śmieje? 80
„Daj się namówić czułym wyrazem:
Porzuć wzdychania i żale!
Do mnie tu, do mnie! tu będziem razem
Po wodnym pisać kryształ⁴.
I na wiatr lotne rzuciwszy stopy, 85
Jak tęcza śmiga w krąg wielki,
To znowu siekąc wodne zatopy,
Srebrnemi pryska kropelki.
- Podbiega strzelec... i staje w biegu 90
I chciałby skoczyć i nie chce;
Wtem modra fala, prysnąwszy z brzegu,
Z lekka mu stopy zalechce.
Zapomniał strzelec o swej dziewczynie,
Przysięgą pogardził świętą,
Na zgubę oślep bieży w głębinie, 95
Nową zwabiony ponętą.
- Bieży i patrzy, patrzy i bieży,
Niesie go wodne przestworze:
Już z dala suchych odbiegł wybrzeży,
Na średniem igra jeziorze. 100
Wtem wietrzyk świsnął, obłoczek pryska,
Co ją w łudzącym krył blasku...
Poznaje strzelec dziewczynę z bliska...
Ach, to dziewczyna z pod lasku!

- „A gdzie przysięga? gdzie moja rada? 105
 Wszak, kto przysięgę naruszy,
 Ach, biada jemu, za życia biada!
 I biada jego złej duszy!
 „Nie tobie igrać przez srebrne tonie
 Lub nurkiem pluskać w głąb jasną: 110
 Surowa ziemia ciało pochłonie,
 Oczy twe żwirem zagasną.
 „A dusza przy tem świadomem drzewie
 Niech lat doczeka tysiąca;
 Wiecznie piekielne cierpiąc zarzewie 115
 Nie ma czem zgasić gorąca“.
 Słyszy to strzelec, błędny krok niesie,
 Błędniemi rzuca oczyma;
 A wicher szumi po gęstym lesie,
 Woda się burzy i wzdyma. 120
 Burzy się, wzdyma i wre aż do dna,
 Kręcącym nurtem pochwyca,
 Roztwiera paszczę otchłań podwodna —
 Ginie z młodzieńcem dziewica.
 Woda się dotąd burzy i pieni;
 Dotąd przy świetle księżycy 125
 Snuje się para znikomych cieni:
 Jest to z młodzieńcem dziewica.
 Ona po srebrnem płasza jeziorze,
 On pod tym jęczy modrzewiem, 180
 Kto jest młodzieniec? Strzelcem był w borze.
 A kto dziewczyna? Ja nie wiem.

Trzech Budrysów.

(Ballada litewska).

- Stary Budrys trzech synów, tegich jak sam Litwinów.
 Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
 „Wprowadźcie rumaki i narzędzie kulbaki,
 A wyostrzcie i groty i miecze.
 „Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie 5
 Trzy wyprawy na świata trzy strony:
 Olgierd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,
 A ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.
 „Wyście krzepcy i zdrowi; jedźcie służyć krajowi,
 Niech litewskie prowadzą was bogi! 10
 Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
 Trzej jesteście i macie trzy drogi.
 „Jeden z waszych biedz musi za Olgierdem ku Rusi,
 Ponad Ilmen, pod mur Nowogrodu;
 Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony 15
 I u kupców tam dziegi jak lodu.

„Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
 Niechaj tępi Krzyżaki psubraty;
 Tam bursztynów jak piasku, sukna cudnego blasku
 I kapłańskie w brylantach ornaty.

20

„Za Skirgiełłem niech trzeci poza Niemen przeleci,
 Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe;
 Ale za to wybierze dobre szable puklerze
 I mnie stamtąd przywiezie synowe.

„Bo nad wszystkich ziem branki miłsze Laszki kochanki,
 Wesolutkie jak młode koteczki,
 Lice bielsze od mleka, z czarną rzesą powieka,
 Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.

25

„Stamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym czło-
 Laszkę sobie przywożem za żonę; [wiekiem,
 A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
 Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę“.

30

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę;
 Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
 Idzie jesień i zima, synów nie ma i nie ma;
 Budrys myślał, że w boju poległi.

35

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
 A pod burką wielkiego coś chowa.
 „Ej, to kubeł! w tym kuble nowogrodzkie są ruble?“
 „„Nie mój ojczu, to Laszka synowa!““

40

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
 A pod burką wielkiego coś chowa.
 „Pewnie z Niemiec, mój synu, wiesz kubeł bursztynn?“
 „„Nie, mój ojczu, to Laszka synowa!““

Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci,
 Burka pełna, zdobyczy tam wiele;
 Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał
 Prosić gości na trzecie wesele.

45

Sonety krymskie.

Stepy Akermańskie.

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu —
 Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;
 Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
 Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu —
 Patrę w niebo — gwiazd szukam, przewodniczek łodzi —
 Tam zdala błyszczą obłok, tam jutrzienka wschodzi...
 To błyszczą Dniestr, to weszła lampa Akermanu!

5

Stójmy!... jak cicho!... słyszę ciągnące żórawie,
Którychby nie dościgły źrenice sokoła;
Słyszę kędy się motyl kołysa na trawie, 10

Kędy wąż ślizką pierśią dotyka się ziola...
W takiej ciszy, tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy... Jedźmy, nikt nie woła!

B u r z a.

Zdarto żagle, ster prysnął — ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki —
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki,
Słońce krwawo zachodzi, — z niem reszta nadziei!

Wicher z tryumfem zawył; a na mokre góry, 5
Wznoszące się piętrami z morskiego odmetu,
Wstąpił geniusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.

Ci leżą na pół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół żegnając się pada, 10
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnąć:

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie,
I pomyślał: szczęśliwy! kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać.

Cisza morska.

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie,
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda;
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu usnie.

Żagle, naksztalt chorągwi, gdy wojnę skończono, 5
Drzemią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem
Kołysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytchnął, podróżne rozśmiało się grono.

O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy, 10
A na ciszę długimi wywija ramiony.

O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiętek,
Co śpi w pośród złych losów i namiętnej burzy —
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony...

A j u d a h.

Lubię poglądać, wsparty na Judahu skale,
Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi

Ścisnąwszy się buchają — to jak srebrne śniegi
W milionowych tęczach kołują wspaniale.

Trącą się o mieliznę, rozbijają na fale — 5
Jak wojsko wielorybów, zalegając brzegi,
Zdobędą ład w tryumfie, i napowrót zbiegi
Mieczą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe serce, o poeto młody!
Namiętność często groźne wzburza niepogody: 10
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twej szkody

Ucieka w zapomnienia pograżyć się toni,
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
Z których wieki uplotą ozdobę twych skroni.

Pielgrzym.

U stóp moich kraina dostatków i krasy
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice, —
Dlaczegoż ztąd ucieka serce w okolice
Dalekie, i — niestety! jeszcze dalsze czasy?

Litwo! piały mi wdzięczniej twe szumiące lasy, 5
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice,
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

Tak daleki, tak różna wabi mię ponęta!
Dlaczegoż roztargniony wzdycham bez ustanku 10
Do tej, którą kochałem w dni moich poranku?

Ona w lubej dziedzinie, która mi odjęta,
Gdzie jej wszystko o wiernym powiada kochanku.
Depczą świeże me ślady, czyż o mnie pamięta?...

Z wierszy różnych.

Oda do młodości.

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy!
Młodości! podaj mi skrzydła:
Niech nad martwym wleczę światem
W rajską dziedzinę uludy,
Kędy zapał tworzy cudy, 5
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka nadzieję w złote malowidła!...

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy: 10

Młodości! ty nad poziomy
 Wylatuj, a okiem słońca
 Ludzkości całe ogromy
 Przeniknij z końca do końca! 15

Patrz na dół! Kędy wieczna mgła zaciemia
 Obszar, gnuśności zalany odmętem :
 To ziemia!...
 Patrz, jak nad jej wody trupie
 Wzbił się jakiś płaz w skorupie. 20

Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem ;
 Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
 To się wzbija, to w głąb wali ;
 Nie lgnie do niego fala ani on do fali :
 A wtem, jak bańka prysnął o szmat głazu!... 25
 Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby :
 To samoluby!

Młodości! tobie nektar żywota
 Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę ;
 Serca niebieskie poi wesele, 30
 Kiedy je razem nic powiąże złota.

Razem młodzi przyjaciele!
 W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele ;
 Jednością silni, rozumni szalem,
 Razem młodzi przyjaciele!... 35

I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
 Jeżeli poległem ciałem
 Dał innym szczebel do sławy grodu.
 Razem młodzi przyjaciele!
 Choć droga stroma i ślizka, 40
 Gwałt i słabość bronią wchodu :
 Gwałt niech się gwałtem odciska,
 A ze słabością łamać uczmy się za młodu!

Dziekiem w kolebce kto łeb urwał hydrze,
 Ten młody — zdusi Centaury, 45
 Piekłu ofiarę wydrze,
 Do nieba pójdzie po laury!
 Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga ;
 Łam, czego rozum nie złamie ;
 Młodości! orla twych lotów potęga, 50
 Jako piorun twoje ramię!

Hej ramie do ramienia! Spólnymi łańcuchy
 Opaszmy ziemskie kolisko!
 Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
 I w jedno ognisko duchy!... 55
 Dalej z posad, bryło świata!
 Nowymi cię pchniemy tory,
 Aż, opleśniałej zbywszy się kory,
 Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy, Skłóconych żywiołów waśnią, Jednem „stań się“ z Bożej mocy Świat rzeczy stanął na zrebie; Szumią wichry, cieką głębie, A gwiazdy błękit rozjaśniają:	60 65
W krajach ludzkości jeszcze noc głucha... Żywioły chęci jeszcze są w wojnie. Oto miłość ogniem zionie: Wyjdzie z zamętu świat ducha! Młodość go pocznie na swoim łonie, A przyjaźń w wieczne skojarzy spojnie.	70
Pryskają nieczule lody I przesady światło ćmiące... Witaj, jutrenko swobody, Zbawienia za toba słońce!	75

D z i a d y.

(Z części czwartej).

Gustaw (śpiewa).

„Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem,
Chyba śmiercią bole się ukoją;
Jeśli płochym obraził zapalem,
Tę obrazę krwią okupię moją.

Za coś dla mnie tyle ulubiona,
Za com z twojem spotkał się wejrzeniem?
Jednąm wybrał z tylu dziewcząt grona:
I ta cudzym przykuta pierścieniem!“

5

Ach, jeśli ty Goethego znasz w oryginale...
Gdyby przytem jej głoszek i dźwięk fortepianu!...
Ale cóż? ty o boskiej tylko myślisz chwale,
Oddany twego tylko powinnościom stanu.

10

(Przerzucając książkę).

Wszakże lubisz książki świeckie?
Ach, te to są książki zbójeckie!

(Ciska książkę).

Młodości mojej niebo i tortury!
One zwichnęły osadę mych skrzydeł
I wyłamały do góry,
Że już nie mogłem nadół skrócić lotu!
Kochanek przez sen tylko widzianych mamideł,

15

Nie cierpiąc rzeczy ziemskich nudnego obrotu, 20
 Gardzący istotami powszedniej natury,
 Szukałem, ach! szukałem tej boskiej kochanki —
 Której na podłonecznym nie bywało świetle,
 Którą tylko na falach wyobraźnej pianki
 Wydęło tchnienie zapалу 25
 A żądza w swoje własne przystroiła kwiecie...
 Lecz, gdy w czasach tych zimnych nie ma ideału,
 Przez terazniejszość w złote odleciałem wieki:
 Bujałem po zmyślonem od poetów niebie,
 Goniąc i błędząc, w błędach nieznużony goniec... 30
 I znalazłem ją nakoniec!
 Znalazłem ją blisko siebie,
 Znalazłem ją — ażebym utracił na wieki!

*

*

*

Ksiądz. Przeciwno światu i przeciwno sobie, 35
 Cięższe twoje, niżeli przeciw Bogu grzechy.
 Człowiek nie jest stworzony na lży i uśmiechy
 Ale dla dobra bliźnich swoich, ludzi.
 Jakkolwiek w twardej Bóg doświadcza próbie:
 Zapomnij o swym proszku, zważ na ogrom świata;
 Ta myśl wielka pomniejsza zapaly przystudzi. 40
 Sługa Boży pracuje do późnego lata;
 Gnuśnik tylko zawczasu zamyka się w grobie,
 Nim go Pan trąbą straszliwą przebudzi.

Gustaw (zdziwiony).

Księżę?... A to są czary! sztuka niepojęta!

(Na stronie).

Musi posiadać czarodziejskie sztuki; 45
 Albo też nas podśledzał i wszystko pamięta.

(Do księdza).

Wszak ja od niej słyzałem te same nauki!...
 Cała rzecz słowo w słowo, jak z ust jej wyjęta,
 Przy owem pożegnaniu, owego wieczora...

(Z ironią)

Właśnie, właśnie to była do kazania pora!! 50
 Słyzałem od niej słówek pięknobrzmiących wiele:
 Ojczyzna i nauki, sława, przyjaciele!...
 Lecz teraz groch ten całkiem od ściany odpada;
 Ja sobie spokojnie drzemie.
 Kiedyś... duch mój przy wieszczym zapalał się rymie. 55
 Kiedyś, budził mię ze snu tryumf Milcjada.

(*Śpiewa*).

Młodości, ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

60

Już tchnienie jej rozwiało te kształty olbrzymie!...

Został się lekki cienik, mara blada,

Drobnouchne żdźbła odłamki,

Które lada motyl spasa,

Któreby ona mogła wciągnąć z odetchnieniem :

A ona chce budować na tym proszku zamki?

Zrobiwszy mnie komarem, chce zmienić w Atlasa,

Dźwigającego nieba kamiennem ramieniem!!

Napróżno!... Jedna tylko iskra jest w człowieku,

Raz tylko w młodocianym zapala się wieku...

Czasem ją oddech Minerwy roznieci:

Wtenczas nad ciemne plemiona

Powstaje mędrzec, i gwiazda Platona

W długie wieki wieków świeci.

Iskrę tę jeśli duma rozżarzy w pochodnie :

Wtenczas zagrmi bohater, pnie się do szkarłatu

Przez wielkie cnoty i przez wielkie zbrodnie,

I z pastuszego kija robi berło światu,

Albo skinieniem oka stare trony wali.

65

70

75

(*Po pauzie, zwolna*).

Czasem tę iskrę oko niebianki zapali...

Wtenczas — trawi się w sobie, świeci sama sobie

Jako lampa w rzymskim grobie...

80

Książd z.

O, nieszczęśliwy zapaleńcze młody

W żalach, które tak mocno zraniona pierś jąka,

Że nie jesteś zbrodniarzem, odkrywam dowody,

I że piękność, za którą twój się rozum błąka,

Nie z samej tylko powabna urody.

Jak z zapalem kochałeś, tak naśladuj godnie

Myślenia i uczucia niebieskiej istoty.

Zbrodniarz ją kochający wróciłby do cnoty:

A ty, niby cnotliwy, puszczasz się na zbrodnie!

Jakakolwiek przeszkoda tutaj was rozdwoi:

Idą ku sobie gwiazdy, choć je mgły zaciemnia,

Mgła zniknie, gwiazda z gwiazdą na wieki się spoi,

Łańcuchy tu wiążące prysną razem z ziemią,

A tam, nad ziemią, znowu poznają się swoi,

I namiętność, choć zbytnią, Pan Bóg wam przebaczy.

85

90

95

Gustaw.

Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki...

Ledwie go poznać mogłem; już ledwie ostatki!

Kędy spojrzysz, rudera, pustka i zniszczenie: 100
 Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
 Dziedziniac mech zarasta, piołun, ostu ziola;
 Jak na cmentarzu w północ, milczenie dokoła.
 O, inny dawniej bywał przyjazd mój w te bramy!
 Po krótkim oddaleniu, gdy wracał do mamy, 105
 Już mię dobre życzenia spotkały zdaleka:
 Życzliwa domu czeladź aż za miastem czeka;
 Na rynek siostry, bracia wybiegają mali,
 Gustaw! Gustaw! wołają, pojazd zatrzymali,
 Lecą nazad, gościńca wzięwszy po pierogu; 110
 Mama z błogosławieństwem czeka mię na progu;
 Wrzask spółuczniów, przyjaciół, ledwie nie zagłuszy...
 Teraz... pustka, noc, cichość, ani żywej duszy!...
 Słysząc tylko psa hałas i coś nakształt stuku;
 Ach, tyż to psie nasz wierny, nasz poczciwy Kruku! 115
 Stróżu i niegdyś całej kochanku rodziny!
 Z licznych sług i przyjaciół tyś został jedyny!
 Choć głodem przemorzony i skurczony laty,
 Pilnujesz wrót bez zamka i bez panów chaty.
 Kruku mój! pójdz tu! Kruku!... Bieży, staje, słucha, 120
 Skacze na piersi, wyje i — pada bez ducha!
 Ujrzałem światło w oknach; wchodzę: cóż się dzieje?
 Z latarnią, z siekierami pładrują złodzieje,
 Burząc do reszty świętej przeszłości ostatki!
 W miejscu, gdzie stało niegdyś łoże mojej matki, 125
 Złodziej rąbał podłogę i odrywał cegły:
 Schwyciłem, zgmiotłem, oczy na łeb mu wybiegły!
 Siadam na ziemi płacząc: w przedporannym mroku
 Ktoś nasuwa się, kijem podpierając kroku:
 Kobieta w reszcie stroju, schorzała, wybladła, 130
 Bardziej do czyścowego podobna widziadła.
 Gdy obaczy straszliwą marę w pustym gmachu,
 Żegnając się i krzycząc, słańia się z przeststrachu.
 Nie bój się! Pan Bóg z nami! ktoś moja kochana?
 Czego po domu pustym błąkasz się tak z rana? 135
 „Jestem biedna uboga — ze łzami odpowie —
 W tym domu niegdyś moi mieszkali panowie:
 Dobrzy panowie, niech im wieczny pokój świeci!
 Ale Pan Bóg nie szczęścił dla nich i dla dzieci:
 Pomarli, dom ich pustką, upada i gnije; 140
 O paniczu nie słyhać, pewnie już nie żyje“.
 Krwią mi serce zabiegło, wsparłem się u proga:
 Ach, więc wszystko minęło?...

Książdz.

Prócz duszy i Boga!

Wszystko minie na ziemi, szczęście i niedole. 145

Gustaw.

Ileż znowu pamiątek w twoim domku, w szkole!

Tum z dziećmi na dziedzińcu przesypywał piasek,

- Po gniazda ptasie w tamten biegaliśmy lasek ;
 Kapielą była rzeczka, u okien ciekąca ;
 Po błoniach z studentami graliśmy w zająca. 150
 Tam do gaju chodziłem w wieczór lub przededniem,
 By odwiedzić Homera, rozmówić się z Tassem
 Albo oglądać Jana zwycięstwo pod Wiedniem.
 Wnet zwoływam spółuczniów, szykuję pod lasem :
 Tu krwawe z chmur pohańskich świecą się księżyce, 155
 Tam Niemców potrwożonych następują rotę ;
 Każę wodze ukrócić, w toku złożyć grotę,
 Wpadam, a za mną szabel polskich błyskawice !
 Przerzedzają się chmury, wrzask o gwiazdy bije,
 Gradem lecą turbany i obcięte szyje, 160
 Janczarów zgraja pierchła lub do piasku wbita,
 Zrabaną z koni jazdę rozniosły kopyta,
 Aż pod wał trzebib drogę... ten wzgórek był wałem !
 Tam... ona wyszła patrzeć na igraszkę dzieci ;
 Tam, gdy ją przy chorągwi Proroka ujrzałem, 165
 Natychmiast umarł we mnie Godfred i Jan Trzeci ;
 Odtąd wszystkich spraw moich, chęci, myśli panią !
 Ach, odtąd dla niej tylko, o niej, przez nią, za nią !
 Jej pełne dotąd jeszcze wszystkie okolice :
 Tu po raz pierwszy boskie obaczyłem lice, 170
 Tu mnie pierwszej rozmowy uczciła wyrazem,
 Tutaj, na wzgórkę Russa czytaliśmy razem ;
 Altankę jej pod tymi uwiązałem chłody,
 Z tych lasów przynosiłem kwiateczki, jagody,
 Z tych źródeł, stojąc przy mnie, wywabiała wędką 175
 Srebrnopiórego karpia, pstrąga z krasną cętką ;
 A dziś!... (Płacz).
- Książdz.** Płacz; lecz niestety, boleść przypomnienia
 Nas samych trawi, a nic wkoło nas nie zmienia !
- Gustaw.** Dzisiaj, po latach tyłu, po takiej przemianie, 180
 Na miejscach najszczęśliwszych — w najsmutniejszym stanie !
 Gdybyś wziął martwy kamień, którym igra dziecko,
 I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,
 A potem do ojczyzny wróciwszy z daleka,
 Ten sam kamień, dla tegoż samego człowieka, 185
 Co nim kiedyś jak dziecko igrał przy piastunie,
 Dziś dla starca zmarłego dał pod głowę w trunie —
 Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła :
 Księżę, kamień bez sądu rzuć prosto do piekła!...

(Z części trzeciej).

Improwizacya.

Konrad (po długim milczeniu).

- Samotność!... Cóż po ludziach? czym śpiewak dla ludzi? 190
 Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha,

- Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?
 Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trzusi!
 Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie:
 Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie, 195
 A słowa myśl pochłona i tak drżą nad myślą,
 Jak ziemia nad połkniętą, niewidzialną rzeką;
 Z drżenia ziemi czyż ludzie głąb nurtów docieką?
 Gdzie pędzi, czy się domyśla!..
- Uczucie krąży w duszy, rozpala się, żarzy, 200
 Jak krew po swych głębokich, niewidomych cieśniach;
 Ile krwi tylko ludzie widzą w mojej twarzy,
 Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach.
 Wam, pieśni, ludzkie oczy, uszy nie potrzebne!..
- Płynięcie w duszy mej wnętrzościach, 205
 Świećcie na jej wysokościach,
 Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nadniebne.
 Ty Boże, ty naturo, dajcie posłuchanie!
 Godna to was muzyka i godne śpiewanie.
- Ja mistrz! 210
- Ja mistrz wyciągam dłonie,
 Wyciągam, aż w niebiosia i kładę me dłonie
 Na gwiazdach, jak na szklanych harmoniki kregach.
 To nagłym, to wolnym ruchem
 Kręcę gwiazdy moim duchem; 215
 Milion tonów płynię: w tonów milionie
 Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;
 Zgadzam je, dzielę i łączę
 I w tęczę i w akordy i w strofy płaczę,
 Rozlewam je we dźwiękach i w błyskawic wstęgach. 220
 Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę:
 Cóż Ty większego mogłeś zrobić, Boże?
- Depcę was, wszyscy poeci,
 Wszyscy mędrcy i proroki,
 Których wielbił świat szeroki! 225
 Gdyby chodzili dotąd wśród swych dusznych dzieci,
 Gdyby wszystkie pochwały i wszystkie oklaski
 Słyszeli, czuli i za słusznego znali
 I wszystkie sławy każdodziennego blaski
 Promieniami na wieńcach swoich zapalali: 230
 Z całą pochwał muzyką i wieńców ozdoba,
 Zebrana z wieków tyłu i z pokoleń tyłu,
 Nie czuliby własnego szczęścia, własnej mocy,
 Jak ja dziś czuję, w tej samotnej nocy,
 Kiedy sam śpiewam w sobie, 235
 Śpiewam samemu sobie.
- Tak! Czuję jestem, silny jestem i rozumny!
 Nigdy nie czułem, jak w tej chwili;
 Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj się przesili,

- Dziś poznam, czym najwyższy, czylim tylko dumny; 240
 Dziś jest chwila przeznaczona,
 Dziś najsilniej wyteżę duszy mej ramiona:
 To jest chwila Samsona,
 Kiedy więzien i ślepy dumał u kolumny...
 Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra... 245
 Potrzeba mi lotu!
 Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,
 Tam dojdę, gdzie graniczą Stwórcą i natura.
 I mam je, mam je, mam tych skrzydeł dwoje;
 Wystarczy: od zachodu na wschód je rozszerzę, 250
 Lewem o przeszłość, prawem o przyszłość uderzę
 I dojdę po promieniach uczucia — do Ciebie!
 I zavrzę w uczucia Twoje.
 O Ty! o którym mówią, że czujesz na niebie!
 Jam tu, jam przybył, widzisz, jaka ma potęga: 255
 Aż tu moje skrzydło sięga!
 Lecz jestem człowiek i tam, na ziemi me ciało;
 Kochałem tam, w ojczyźnie serce me zostało...
 Ale ta miłość moja na świecie,
 Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku 260
 Jak owad na róży kwiecie,
 Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku:
 Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
 Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia;
 Przycisnąłem tu do łona, 265
 Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec:
 Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
 Chcę nim cały świat zadziwić...
 Nie mam sposobu — i tu przyszedłem go dociec.
 Przyszedłem, zbrojny całą myśli władzą, 270
 Tej myśli, co niebiosom Twe gromy wydarła,
 Śledziła chód Twych planet, głąb morza rozwarła;
 Mam więcej: tę moc, której ludzkie nie nadadzą.
 Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa
 Jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa... 275
 I mocy tej nie wziętem z drzewa edeńskiego,
 Z owocu wiadomości złego i dobrego,
 Nie z ksiąg ani z opowiadań,
 Ani z rozwiązania zadań,
 Ani z czarodziejskich badań. 280
 Jam się twórcą urodził!
 Stamtąd przyszły siły moje,
 Skąd do Ciebie przyszły Twoje,
 Boś i Ty po nie nie chodził:
 Masz, nie boisz się stracić — i ja się nie boję. 285
 Czyś Ty mi dał czy wziętem, skąd i Ty masz, oko
 Bystre, potężne: w chwilach mej siły, wysoko

- Kiedy na chmur spojrzę szlaki
I wędrownie słyszę ptaki, 290
Żeglujące na ledwie dostrzeżonym skrzydle :
Zechcę i wnet je okiem zatrzymam jak w sidle...
Stado pieśń żalosalną dzwoni :
Lecz póki ich nie puszczę, Twój wiatr ich nie zgoni.
Kiedy spojrzę w kometę z całą mocą duszy, 295
Dopóki na nią patrzę, z miejsca się nie ruszy...
Tylko ludzie skazitelni,
Marni, ale nieśmiertelni,
Nie służą mi, nie znają — nie znają nas obu :
Mnie i Ciebie! 300
Ja na nich szukam sposobu
Tu, w niebie.
- Te władzę, którą mam nad przyrodzeniem,
Chcę wyrzucić na ludzkie dusze;
Jak ptaki i jak gwiazdy rządę mem skinieniem, 305
Tak bliźnich rozrządzać muszę.
Nie bronią — broń broń odbije,
Nie pieśniami — długo rosną,
Nie nauką — prędko gnije,
Nie cudami — to zbyt głośno: 310
Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie!
Rządzić jak Ty wszystkimi zawsze i tajemnie!
Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tem się uszczęśliwią :
A jeżeli się sprzeciwią, 315
Niechaj cierpią i przepadną!
- Niech ludzie będą dla mnie jak myśli i słowa,
Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa!
Mówią, że Ty tak władasz!...
Wiesz, żem myśli nie popsuł, mowy nie umorzył; 320
Jeśli mnie nad duszami równą władzę nadasz,
Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył
I większe niżli Ty zrobiłbym dziwo;
Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!...
- Jam cierpiał, kochał, w mękach i miłości wzrosłem; 325
Kiedys mi wydarł osobiste szczęście,
Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście,
Przeciw niebu ich nie wzniosłem.
- Teraz duszą jam w moją ojczyznę wcielony,
Ciałem połknąłem jej duszę: 330
Ja i ojczyzna, to jedno;
Nazywam się milion: bo za miliony
Kocham i cierpię katusze.
Patrzę na ojczyznę biedną,
Jak syn na ojca wplecionego w koło; 335
Czuje całego cierpienia narodu.

Cierpię, szaleję... A Ty, mądrzeł i wesoło

Zawsze rządzisz,

Zawsze sądzisz,

I mówisz, że Ty nie błądzisz!

340

Milczysz!... Jam Ci do głębi serce me otworzył....

Zaklinam, daj mi władzę; jedna część jej licha,

Część tego, co na ziemi osiągnęła pycha:

Z tą jedną cząstką ileż jabym szczęścia stworzył!...

Z ustępu „Petersburg“.

Droga do Rosyi.

Po śniegu, coraz ku dzikszej krainie

Leci kibitka, jako wiatr w pustynie;

I oczy moje jako dwa sokoły

Nad oceanem nieprzejrzanym krążą;

Porwane burzą, do lądu nie zdążą,

5

A widzą obce pod sobą żywioly,

Nie mają kędy spocząć, skrzydła zwinąć,

W dół patrzą, czując, że tam muszą zginąć.

Oko nie spotka ni miasta ni góry,

Żadnych pomników ludzi ni natury;

10

Ziemia tak pusta, tak niezaludniona,

Jak gdyby wczora wieczorem stworzona.

A przecież nieraz mamut z tych ziem wstaje,

Żeglarz, przybyły z falami potopu,

I mową obcą moskiewskiemu chłopu

15

Głosi, że dawno stworzone te kraje,

I w czasach wielkiej Noego żeglugi

Ląd ten handlował z azyjskimi smugi.

A przecież nieraz książka, ukradziona

Lub gwałtem wzięta, przybywszy z zachodu

20

Mówi, że ziemia ta niezaludniona

Już niejednego jest matką narodu.

Lecz nurt potopu siedł przez te płaszczyzny,

Nie zostawiwszy dróg swojego rycia,

I hordy ludów wyszły z tej ojczyzny,

25

Nie zostawiwszy śladów swego życia,

I gdzieś daleko, na alpejskiej skale

Ślad zostawiły stąd przybyłe fale,

I jeszcze dalej, na Rzymu pomnikach

O stąd przybyłych mówią rozbójnikach.

30

Kraina pusta, biała i otwarta,

Jak zgotowana do pisania karta...

Czyż na niej pisać będzie palec Boski?

I ludzi dobrych używszy za głoski,

- Czyliż tu skreśli prawdę świętej wiary, 35
 Że miłość rządzi plemieniem człowieczem.
 Że trofeami świata są — ofiary?
 Czyli też Boga nieprzyjaciel stary
 Przyjdzie i w księdze tej wyrze mieczem,
 Że ród człowieczy ma być w więzy kuty, 40
 Że trofeami ludzkości są — knuty?...
 Spotykam ludzi: z rozrosłemi barki,
 Z piersią szeroką, z otyłemi karki,
 Jako zwierzęta i drzewa północy,
 Pełni czerstwości i zdrowia i mocy. 45
 Lecz twarz każdego jest jak ich kraina,
 Pusta, otwarta i dzika równina;
 I z ich serc, jako z wulkanów podziemnych,
 Jeszcze nie przeszedł ogień aż do twarzy,
 Ani się w ustach rozognionych żarzy, 50
 Ani zastyga w czoła zmarszczkach ciemnych,
 Jak w twarzach ludzi wschodu i zachodu,
 Przez które przeszło tyle po kolei
 Podań i zdarzeń, żalów i nadziei,
 Że każda twarz jest pomnikiem narodu. 55
 Tu, oczy ludzi, jak miasta tej ziemi,
 Wielkie i czyste: i nigdy zgiełk duszy
 Niezwykłym rzutem żrenic nie poruszy,
 Nigdy ich długa żalność nie zaciemi.
 Z daleka patrząc — wspaniałe, precudne; 60
 Wszedłszy do środka — puste i bezludne.
 Ciało tych ludzi, jak gruba tkanica,
 W której zimuje dusza gąsienica,
 Nim sobie piersi do lotu wyrobi,
 Skrzydła wyprzędzie, wytcze i ozdobi... 65
 Ale gdy słońce wolności zaświeci,
 Jakiż z powłoki tej owad wyleci?
 Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię
 Czy ćma wypadnie, brudne nocy plemień?
 Nawskróś pustyni krzyżują się drogi. 70
 Nie przemysł kupców ich ciągi wymyślił,
 Nie wydeptały ich karawan nogi:
 Car ze stolicy palcem je nakreślił.
 Gdy z polską wioską spotkał się ubogą,
 Jeżeli trafił w polskich zamków ściany: 75
 Wioska i zamek wnet z ziemią zrównany,
 I car ruiny ich zasypał — drogą.
 Drog tych nie dojrzeć w polu między śniegi,
 Ale wśród puszczy dośledzi ich oko;
 Proste i długie na północ się wloką, 80
 Świecą się w lesie, jak w skałach rzek biegi.
 I po tych drogach któż jeździ? Tu cwałem

Konnica wali przyprószone śniegiem, A stamtąd czarnym piechota szeregiem Między dział, wozów i kibitek wałem.	85
Te pułki, podług carskiego ukazu, Ciagną ze wschodu, by walczyć z północą; Tamte z północy idą do Kaukazu; Żaden z nich nie wie, gdzie idzie i po co, Żaden nie pyta. Tu widzisz Mogoła	90
Z nabrzmałem licem, małem krzywem okiem; A tam chłop biedny z litewskiego sioła, Wybladły, tęskny, idzie chorym krokiem. Tu błyszczą strzelby angielskie, tam łuki, I zmarzłą niosą cięciwę Kałmuki.	95
A wtem kibitka leci. Przednie strażę I dział lawety i chorych obczy Pryskają z drogi, kędy się ukaże: Nawet dowódców ustępują wozy. Leci kibitka: żandarm powoźnika	100
Wali kułakiem, powoźnik żołnierzy Wali biczykiem: wszystko z drogi zmyka; Kto się nie umknął, kibitka nań wbieży. Gdzie? Kto w niej jedzie? Nikt nie śmie zapytać. Żandarm tam jechał, pędzi do stolicy:	105
Zapewne cesarz kazał kogoś schwytać, „Może ten żandarm jedzie z zagranicy?“ — Mówi generał. — „Kto wie, kogo złowił?“ Może król pruski, francuski lub saski Lub inny Niemiec wypadł z cara łaski	110
I car go w turmie zamknąć postanowił; Może ważniejsza pochwycona głowa, Może samego wiozą Jermołowa. Kto wie? Ten więzień, chociaż w słomie siedzi, Jak dziko patrzy! jaki to wzrok dumy!	115
Wielka osoba! Za nim wozów tłumi: To pewnie orszak nadwornej gawiedzi; A wszyscy, patrz-no, jakie oczy śmiałe! Myślałem, że to pierwsze carstwa pany, Że generały albo szambelany;	120
Patrz, oni wszyscy — to są chłopcy małe! Co to ma znaczyć, gdzie ta zgraja leci? Jakiegoś króla podejrzane dzieci.“ Tak z sobą cicho dowódcy gadali; Kibitka prosto do stolicy wali.	125

Z Konrada Wallenroda.

W s t ę p.

Sto lat mijało, jak Zakon Krzyżowy
 We krwi pogaństwa północnego brodził;
 Już Prusak szyję uchylił w okowy
 Lub ziemię oddał, a z duszą uchodził;
 Niemiec za zbiegiem rozpuścił gonitwy,
 Więził, mordował aż do granic Litwy.
 Niemen rozdziela Litwinów od wrogów:
 Po jednej stronie błyszczą świątyni szczyty
 I szumią lasy, pomieszkania bogów;
 Po drugiej stronie, na pagórku wbity
 Krzyż, godło Niemców, czoło kryje w niebie,
 Groźne ku Litwie wyciąga ramiona,
 Jak gdyby wszystkie ziemie Palemona
 Chciał z góry objąć i garnąć pod siebie.

Z tej strony tłumy litewskiej młodzieży
 W kołpakach rysich, w niedźwiedziej odzieży,
 Z łukami na plecach, z dłonią pełną grotów,
 Snują się, śledząc niemieckich obrotów:
 Po drugiej stronie w szyszaku i zbroi,
 Niemiec na koniu nieruchomy stoi;
 Oczy utkwivszy w nieprzyjaciół szaniec,
 Nabija strzelbę i liczy różaniec.

I ci i owi pilnują przeprawy.
 Tak Niemen, dawniej sławny z gościnności,
 Łączący bratnich narodów dzierzawy,
 Już teraz dla nich był progiem wieczności;
 I nikt bez straty życia lub swobody
 Nie mógł przestąpić zakazanej wody.
 Tylko gałązka litewskiego chmielu,
 Wdziękami pruskiej topoli necona,
 Pnąc się po wierzbach i po wodnem ziele,
 Śmiałe, jak dawniej, wyciąga ramiona
 I, rzekę krasnym przeskakując wiankiem
 Na obcym brzegu łączy się z kochankiem.
 Tylko słowiki kowieńskiej dąbrowy
 Z bracią swoimi zapuszczańskiej góry
 Wiodą, jak dawniej, litewskie rozmowy
 Lub, swobodnemi wymknąwszy się pióry,
 Latają w gości na wspólne ostrowy.

A ludzie? — Ludzi rozdzieliły boje!
 Dawna Prusaków i Litwy zażyłość
 Poszła w niepamięć; tylko czasem miłość
 I ludzi zbliża... Znałem ludzi dwoje...

O Niemnie! wkrótce runą do twych brodów

10

15

20

25

30

35

40

Śmierć i pożogę niosące szeregi ;
 I twoje dotąd szanowane brzegi
 Topór z zielonych ogołoci wianków,
 Huk dział wystraszy słowiki z ogrodów ;
 Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
 Wszystko rozerwie nienawiść narodów :
 Wszystko rozerwie... Lecz serca kochanków
 Złączą się znowu w pieśniach wajdeloty.

I.

O b i o r.

Z Maryenburskiej wieży zadzwoniono,
 Działa zagrzmiały, w bębny uderzono :
 Dzień uroczysty w Krzyżowym Zakonie ;
 Zewsząd komtury do stolicy śpieszą,
 Kędy zebrani w kapituły uradzą,
 Wezwawszy Ducha Świętego uradzą,
 Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszają
 I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.
 Na radach spłynął jeden dzień i drugi,
 Bo wielu mężów staje do zawodu :
 A wszyscy równie wysokiego rodu
 I wszystkich równe w Zakonie zasługi ;
 Dotąd powszechna między bracią zgoda
 Nad wszystkich wyżej stawi Wallenroda.
 On cudzoziemiec, w Prusach nieznajomy,
 Sławą nappełnił zagraniczne domy ;
 Czy Maurów ścigał na kastylskich górach,
 Czy Ottomana przez morskie odmęty :
 W bitwach na czele, pierwszy był na murach,
 Pierwszy zahaczał pohańców okręty ;
 I na turniejach, skoro wstąpił w szranki,
 Jeżeli raczył przyłbicę odsłonić,
 Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić,
 Pierwsze mu zgodnie ustępując wianki.
 Nie tylko między krzyżowemi roty
 Wsławił orężem młodociane lata :
 Zdobią go wielkie chrześcijańskie cnoty :
 Ubóstwo, skromność i pogarda świata.
 Konrad nie sływał w przydwornym nacisku
 Gładkością mowy, składnością ukłonów ;
 Ani swej broni dla podłego zysku
 Nie sprzedał w służbę niezgodnych baronów.
 Klasztornym murem wiek poświęcił młody ;
 Wzgardził oklaski i górne urzędy ;
 Nawet zacniejsze i słodsze nagrody,

- Minstrelów hymny i piękności względy,
 Nie przemawiały do zimnego ducha.
 Wallenrod pochwał obojętnie słucha, 90
 Na krasne lica pogląda zdaleka,
 Od czarującej rozmowy ucieka.
 Czy był nieczułym, dumnym z przyrodzenia,
 Czy stał się z wiekiem — bo choć jeszcze młody, 95
 Już włos miał siwy i zwędłe jagody,
 Napiętnowane starością cierpienia —
 Trudno odgadnąć. Zdarzały się chwile,
 W których zabawy młodzieży podzielał,
 Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,
 Na żarty dwórzan żartami odstrzelał 100
 I sypał damom grzecznych słówek krocie
 Z zimnym uśmiechem, jak dzieciom łakocie.
 Były to rzadkie chwile zapomnienia...
 I wkrótce lada słówko obojętne,
 Które dla drugich nie miało znaczenia, 105
 W nim obudzało wzruszenia namiętne;
 Słowa: ojczyzna, powinność, kochanka,
 O krucyatach i o Litwie wzmianka.
 Nagle wesołość Wallenroda truły;
 Słyszając je, znowu odwracał oblicze, 110
 Znowu na wszystko stawał się nieczuły
 I pogrążał się w dумы tajemnicze.
 Może, wspomniawszy świętość powołania,
 Sam sobie ziemskich słodczy zabrania.
 Jedne znał tylko przyjaźni słodczy, 115
 Jednego tylko wybrał przyjaciela,
 Świętego cnotą i pobożnym stanem:
 Był to mnich siwy, zwano go Halbanem.
 On Wallenroda samotność podziela;
 On był i duszy jego spowiednikiem, 120
 On był i serca jego powiernikiem.
 Szczęśliwa przyjaźń! świętym jest na ziemi,
 Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętymi.
 Tak naczelnicy zakonnej obrady
 Rozpamiętują Konrada przymioty. 125
 Ale miał wadę — bo któż jest bez wady?
 Konrad światowej nie lubił pustoty,
 Konrad pijanej nie dzielił biesiady:
 Wszakże zamknięty w samotnym pokoju.
 Gdy go dręczyły nudy lub zgryzoty, 130
 Szukał pociechy w gorącym napoju:
 I wtenczas zdał się wdziewać postać nową,
 Wtenczas twarz jego bładą i surową
 Jakiś rumieniec chorowity krasił;
 I wielkie niegdyś błękitne źrenice, 135

- Które czas nieco skaził i przygasił,
 Ciskały dawnych ogniów błyskawice;
 Z piersi żalodne westchnienie ucieka,
 I lżą perłową nabrzmiewa powieka;
 Dłoń lutni szuka, usta pieśni leją, 140
 Pieśni nucone cudzoziemską mową,
 Lecz je słuchaczów serca rozumieją.
 Dostyc usłyszeć muzykę grobową,
 Dostyc uważać na śpiewaka postać;
 W licach pamięci widać natężenie, 145
 Brwi podniesione, pochyłe wejrzenie,
 Chcące z głębiny ziemnej coś wydostać.
 Jakiż być może pieśni jego wątek?
 Zapewne myślą w obłądnych pogoniach
 Ściga swą młodość na przeszłości toniach... 150
 Gdzież dusza jego? — w krainie pamiętek.
 Lecz nigdy ręka w muzycznym zapędzie
 Z lutni weselszych tonów nie dobędzie;
 I lica jego niewinnych uśmiechów
 Zdają się lękać jak śmiertelnych grzechów. 155
 Wszystkie uderza struny po kolei,
 Prócz jednej struny — prócz struny wesela.
 Wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela,
 Oprócz jednego uczucia — nadziei. 160
 Nieraz go bracia zesłi niespodzianie,
 I nadzwyczajnej dziwili się zmianie:
 Konrad zbudzony zżymał się i gniewał,
 Porzucił lutnię i pieśni nie śpiewał;
 Wymawiał głośno bezbożne wyrazy. 165
 Coś Halbanowi szeptał pokryjomu,
 Krzyczał na wojska, wydawał rozkazy,
 Straszliwie groził, niewiadomo komu:
 Trwożą się bracia... Stary Halban siada,
 I wzrok zatapia w oblicze Konrada;
 Wzrok przenikliwy, chłodny i surowy, 170
 Pełen jakowejś tajemnej wymowy.
 Czy coś wspomina, czyli coś doradza,
 Czy trwogę w sercu Wallenroda budzi:
 Zaraz mu chmurne czoło wypogadza,
 Oczy przygasza i oblicze studzi. 175

II.

Za sprawą Halbana został Konrad wielkim mistrzem. Kiedy w wigilią wyboru po niespornych modłach i odśpiewaniu hymnu do Ducha św. rycerze wyszli na przechadzkę, a arcykomtur z Halbanem i kilku innymi udali się poza narożną wieżę, usłyszeli głos zamurowanej tamże pustelnicy: „Tyś Konrad! Przebóg! spełnione wyroki!“ Na głos ten i to imię, ustami pustelnicy wymówione, zwrócił Halban uwagę towarzyszy, dowo-

dząc, że sam Pan Bóg wskazuje im, kogo mają obrać. Zgodzili się na to wszyscy obecni i nazajutrz oddali swe głosy Konradowi, w tej nadziei, iż on, stanąwszy na czele zakonu, podejmie wielką wyprawę na Litwę.

III.

Gdy Mistrz praw świętych ucałował księgi,
 Skończył modlitwę i wziął od komtura
 Miecz i krzyż wielki, znamiona potęgi,
 Wzniósł dumne czoło; chociaż troski chmura
 Ciężła nad niem; w koło okiem strzelił, 180
 W którym się radość napół z gniewem żarzy;
 I niewidziany gość na jego twarzy,
 Uśmiech przeleciał, słaby i znikomy:
 Jak blask, co chmurę poranną rozdzielił,
 Zwiastując razem wschód słońca i gromy. 185

Ten zapał mistrza, to groźne oblicze
 Napętnia serca otuchą, nadzieją;
 Widzą przed sobą bitwy i zdobycze,
 I hojnie w myśli krew pogańską leją.
 Takiemu władcy któż dostoi kroku? 190
 Któż się nie zleknie jego szabli, wzroku?
 Drżycie Litwini! już się chwila zbliża,
 Gdy z murów Wilna błysnie znamię krzyża.

Nadzieje próżne. — Cieką dni, tygodnie.
 Upłynął cały długi rok w pokoju; 195
 Litwa zagraża, Wallenrod niegodnie
 Ani sam walczy, ani śle do boju,
 A gdy się zbudzi i coś działać zacznie,
 Stary porządek wywraca opacznie:
 Narzuca posty, pokuty, ciężary; 200
 Uciech, wygody niewinnej zaprzecza;
 Lada grzech ściga najsroższemi kary
 Podziemnych lochów, wygnania i miecza.

Tymczasem Litwin, co przed laty zdala
 Omijał bramy zakonnej stolicy, 205
 Teraz dokola wsi co noc podpala,
 I lud bezbronny chwyta z okolicy. —

Kiedyż być może czas lepszy do wojny!
 Litwa szarpana wewnętrzną niezgodą;
 Stąd dzielny Rusin, stąd Łach niespokojny,
 Stąd Krymskie chany lud potężny wiodą. 210
 Witold, zepchnięty od Jagielły z tronu,
 Przyjechał szukać opieki Zakonu;
 W nagrodę skarby i ziemie przyrzeka,
 I wsparcia dotąd nadaremnie czeka... 210
 Szemrają bracia, gromadzi się rada,
 Mistrza nie widać. Halban stary bieży,

W zamku w kaplicy nie znalazł Konrada:
 Gdzież on? zapewne u narożnej wieży.
 Śledzili bracia nocne jego kroki, 220
 Wszystkim wiadomo: każdego wieczora,
 Gdy ziemię grubsze osłaniają mroki,
 On idzie błędzić po brzegach jeziora,
 Albo kłęzący, przyparty do muru,
 Okryty płaszczem, aż do białej zorzy 225
 Świeci zdaleka, jak posąg z marmuru,
 I przez noc całą senność go nie zmorzy.
 Często na cichy odgłos pustelnicy
 Wstaje, i ciche daje odpowiedzi;
 Brzmienia ich zdala ucho nie dosłodzi,
 Lecz widać z blasku wstrząśnionej przyłbicy, 230
 Rak niespokojnych, podniesionej głowy,
 Że jakieś ważne toczą się rozmowy.

Pieśń z wieży.

Któż me westchnienia, kto me łzy policzy? 235
 Czy już tak długie przepłakałam lata?
 Czy tyle w piersiach i oczach gorzycy,
 Że od mych westchnień porzewiała krata?
 Gdzie łza upadnie, w zimny gład przecieka,
 Jak gdyby w serce dobrego człowieka. 240
 Jest wieczny ogień w zamku Swentoroga,
 Ten ogień żywią pobożne kapłany;
 Jest wieczne źródło na górze Mendoga,
 To źródło żywią śniegi i tumany;
 Nikt moich westchnień i łez nie podsycy, 245
 A dotąd boli serce i źrenica.
 Pieszczoty ojca, matki uściśnienia,
 Zamek bogaty, kraina wesoła,
 Dni bez tęsknoty, nocy bez marzenia,
 Spokojność, nakształt cichego anioła, 250
 We dnie i w nocy, na polu i w domu
 Strzegła mnie z blizka, chociaż niewidomie.
 Trzy piękne córki było u nas matki,
 A mnie najpierwej żądano w zameście;
 Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki: 255
 Któż mi powiedział, że jest inne szczęście?
 Piękny młodzieńcze! na coś mi powiedział
 To, o czem w Litwie nikt pierwej nie wiedział?
 O Bogu wielkim, o jasnych aniołach,
 Kamiennych miastach, kędy wiara święta, 260
 Gdzie lud w bogatych modli się kościołach
 I kędy dziewic słuchają księżęta,
 Waleczni w boju, jak nasi rycerze,
 Czuli w miłości, jak nasi pasterze:

- Gdzie człowiek, ziemne złożywszy pokrycie,
Z duszą ulata po rozkosznem niebie... 265
Ach, ja wierzyłam... bo niebieskie życie
Już przeczuwałam, gdyś słuchała ciebie!
Ach, odtąd marzę w dobrych i złych losach
Tylko o tobie, tylko o niebiosach!
Krzyż na twych piersiach oczy me weselił, 270
W nim oglądałam przyszłe szczęścia hasło...
Niestety! z krzyża gdy piorun wystrzelił,
Wszystko dokoła ucichło, zagasło!..
Nic nie żałuję, choć gorzkie łyżę leję,
Boś wszystko odjął, zostawił nadzieję... 275

- Nadzieję*, cichem powtórzyły echem
Brzegi jeziora, doliny i knieje.
Zbudził się Konrad i z dzikim uśmiechem:
„Gdzież jestem? — wołał — tu słyhać nadzieję!...
Na co te pieśni?... Pomnę twoje szczęście: 280
Trzy piękne córki było was u matki,
Ciebie najpierwej żądano w zameście...
Biada, o biada wam, nadobne kwiatki!
Straszliwa żmija wkradła się do sadu,
A kędy piersią prześliźnie się błędną, 285
Usechną trawy i róże uwiędną
I będą żółte, jako piersi gadu!
Uciekaj myślą i dni przypominaj,
Którebyś dotąd pędziła wesoło,
Gdyby... Ty milczysz?... Śpiewaj i przeklinaj; 290
Niechaj ła straszna, co głązy przecieka,
Nie ginie darmo; zdejmę szyszak z głowy,
Tu niechaj spadnie, niech mi pali czoło;
Tu niechaj spadnie, jam cierpieć gotowy:
Chcę znać zawczasu, co mię w piekle czeka.“ 295

IV.

U c z t a.

- Był dzień Patrona — uroczyste święto.
Komtury z braćmi do stolicy jadą;
Białe chorągwie na wieżach zatknięto:
Konrad rycerzy ma uczcić biesiadą.
Sto białych płaszczów powiewa za stołem, 300
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi:
To byli bracia, a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.
Konrad na czele. Po lewicy tronu
Wziął miejsce Witołd ze swymi hetmany; 305
Dawniej był wrogiem, dziś gościem Zakonu,
Przeciwko Litwie sojuszem związany.

- Już mistrz powstawszy daje uczyć hasło :
 „Cieszymy się w Panu!“ wnet puhary błysły; 310
 „Cieszymy się w Panu!“ tysiąc głosów wrzasło,
 Srebra zabrzmiały, strugi wina trysły.
 Wallenrod usiadł, i na łokciu wsparty
 Słuchał z pogardą nieprzystojnych gwarów ;
 Umilkła wrzawa, ledwie ciche żarty 315
 Gdzieniegdzie przerwą lekki dźwięk puharów.
 „Cieszymy się, rzeczce: „cóżto? bracia moi,
 Także rycerzom cieszyć się przystoi?
 Zrazu wrzask pijany, a teraz szmer cichy...
 Mamyż ucztować jak zbójce lub mnichy? 320
 „Inne zwyczaje były za mych czasów,
 Kiedy na pełnem trupów bojowisku,
 Śród gór Kastylskich lub Finlandzkich lasów,
 Przy obozowem piliśmy ognisku.
 Tam były pieśni!... Między waszym gminem 325
 Czyż niema barda czyli menestrela?
 Serce człowieka wino rozwesela,
 Ale piosenka jest dla myśli winem“.
 Zarazem różni śpiewacy powstali :
 Tam Włoch otyły słowiczemi tony 330
 Konrada mężtwo i pobożność chwali;
 Owdzie trubadur od brzegów Garony
 Opiewa dzieje miłosnych pasterzy,
 Zaklętych dziewic, i błędnych rycerzy.
 Wallenrod drzymał; piosenki ustały — 335
 Nagle zbudzony przerwany łoskotem,
 Cisnął Włochowi trzos ładowny złotem,
 „Mnie“, rzekł „jednemu śpiewałeś pochwały,
 Jeden nie może dać innej nagrody:
 Weź i pójdź z oczu!... Ów trubadur młody, 340
 Który piękności i miłości służy,
 Niechaj daruje, że w rycerskiem gronie
 Dziewicy nie masz, coby mu na łonie
 Wdzięczna przypięła marny kwiatek róży...
 Tu róże zwiędły... Innego chcę barda, 345
 Zakonnik-rycerz innej chce piosenki:
 Niechaj mi będzie tak dzika i twarda,
 Jak hałas rogów i oręża szczęki,
 I tak ponura jak klasztorne ściany,
 I tak ognista jak zalotnik pijany. 350
 Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,
 Mordercza piosenka niech świętość ogłasza,
 Niechaj rozczula i gniewa i nudzi,
 I znowu niechaj znudzonych przestrasza:
 Takie jest życie — taka piosenka nasza!... 355
 Kto ją zaśpiewa? kto?“ — „Ja“, odpowiedział

- Sędziwy starzec, który u podwojów
 Między giermkami i paziami siedział.
 Prusak czy Litwin, jak widać ze strojów;
 Brodę miał gęstą, wiekiem ubieloną, 360
 Głowę obwiewa ostatek siwizny,
 Czoło i oczy zakryte zasłoną,
 W twarzy wryte lat i cierpień blizny.
 W prawicy starą lutnię pruską nosił,
 A lewą ręką wyciągnął do stoła, 365
 I tem skinieniem posłuchania prosił.
 Ucichli wszyscy — „Ja śpiewam“, zawoła.
 „Dawniej Prusakom i Litwie śpiewałem;
 Dziś, jedni legli w ojczyzny obronie,
 Drudzy żyć nie chcą po ojczyzny zgonie, 370
 Inni sromotnie po lasach się kryją,
 Inni — jak Witold, między wami żyją.
 „O dzieci, jaka na Litwę sromota!
 Żaden mi, żaden nie przyniósł obrony,
 Gdy od ołtarza, stary wajdelota, 375
 Byłem w niemieckich kajdanach wleczoney...
 Samotny, w obcej ziemi zestarzałem:
 Śpiewak, niestety! śpiewać nie ma komu:
 Na Litwę patrząc oczy wyplakałem...
 Dzisiaj — jeżeli chcę westchnąć do domu, 380
 Nie wiem, gdzie leży mój dom ulubiony...
 „Jak zwyciężony rycerz na igrzysku,
 Zachowa życie, ale cześć utracą;
 I dni wzgardzone wlekąc w pośmiewisku,
 Znowu do swego zwycięzcy powraca: 385
 I, raz ostatni wyteżając ramię,
 Broń swą pod jego stopami rozłamie:
 Tak mnie ostatnia natchnęła ochota.
 Jeszcze do lutni ośmieliłem rękę;
 Niech wam ostatni w Litwie wajdelota 390
 Nuci ostatnią litewską piosenkę“.
 Skończył i czekał mistrza odpowiedzi.
 Czekają wszyscy w milczeniu głębokiem:
 Konrad badawczem i szyderczem okiem
 Witolda liców i poruszeń śledzi. 395
- Postrzegli wszyscy, kiedy wajdelota
 Mówił o zdrajcach, jak się Witold mienił,
 Zsiniął, pobladnął, znowu się czerwienił;
 Dręczy go równie i gniew i sromota;
 Nakoniec, szablę ściskając u boku, 400
 Idzie, zdziwioną gromadę roztrąca...
 Spojrzał na starca, zahamował kroku —
 I chmura gniewu, nad czołem wisząca,
 Opadła nagle w bystrym łez potoku.

- Powrócił, usiadł, płaszczem twarz zasłania
I w tajemnicze utonął dumania. 405
- A Niemcy z cicha: „Czyliż do biesiady
Przypuszczać mamy żebrające dziady?
Kto słucha pieśni i kto je rozumie?“
Takie odgłosy w biesiadniczym tłumie 410
Coraz żywszymi przerywano śmiechy;
Paziowie krzyczą, świstając w orzechy:
„Oto jest luta litewskiego śpiewu!“
Wtem Konrad powstał: „Waleczni rycerze!
Dziś Zakon, wedle starego zwyczaju, 415
Od miast i książąt podarunki bierze:
Jak winne hołdy z podległego kraju,
Żebrak wam piosnkę przynosi w ofierze;
Złożenia hołdu nie brońmy starcowi,
Weźmijmy piosnkę — będzie to grosz wdowi. 420
„Pośród nas widzimy księżęcia Litwinów,
Gośćmi Zakonu są jego wodzowie:
Miło im będzie pamięć dawnych czynów
Słyszeć, w ojczyściej odświeżoną mowie.
Kto nie rozumie, niechaj się oddali. 425
Ja czasem lubię te posępne jęki
Niezrozumiałej litewskiej piosenki,
Jak lubię łoskot rozhukanej fali
Albo szmer cichy wiosennego deszczu:
Przy nich spać miło — śpiewaj, stary wieszczu“. 430

Pieśń wajdeloty.

- Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jej przyjdzie wieszczka odgadnie żrenica;
Bo jeśli słuszna wajdelotom wierzyć,
Nieraz na pustych cmentarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica, 435
W bielźnie, z wiankiem ognistym na skroniach;
Czołem przenosi białowieskie drzewa,
A w rękę chustką skrwawioną powiewa.
Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją;
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi, 440
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.
Dziewica stąpa kroki złowieszczemi,
Na sioła, zamki i bogate miasta;
A ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie; 445
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.
Zgubne zjawisko!... Ale więcej zguby
Wróżył Litwinom od niemieckiej strony
Szyszak błyszczący ze strusimi czuby
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony, 450

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
 Niczem jest kłęska wiosek albo grodów:
 Cała kraina w mogiłę zapadła!
 Ach, kto litewską duszę mógł ochronić,
 Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
 Będziemy dumać, śpiewać i lzy ronić...

455

O wieści gminna! ty arko przymierza
 Między dawnemi i młodszemi laty;
 W tobie lud składa broń swego rycerza,
 Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty!

460

Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,
 Póki cię własny twój lud nie znieważy;

O pieśni gminna! ty stoisz na straży

Narodowego pamiątek kościoła,

Z archanielskimi skrzydłami i głosem —

465

Ty czasem dzierzysz i broń archaniola...

Płomień rozgryzie malowane dzieje,

Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:

Pieśń ujdzie cało! tłum ludzi obiega;

A jeśli podłe dusze nie umieją

470

Karmić jej żalem i poić nadzieją,

Ucieka w góry, do gruzów przylega

I stamtąd dawne opowiada czasy...

Tak słowik z ogniem zajętego gmachu

Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu:

475

Gdy dachy runą, on ucieka w lasy

I brzmiać piersią nad zgliszcza i groby

Nuci podróżnym piosenkę żałoby.

Słuchałem piosnek. Nieraz kmieć stuletni,

Trącając kości żelazem oraczem,

480

Stanął i zagrał na wierzbowej fletni

Pacierz umarłych; lub rymowym płaczem

Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni!...

Echa mu wtórzą, ja słuchałem z dala;

Tem mocniej widok i piosnka rozżala,

485

Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Jako w dzień sądny z grobowca wywoła

Umarłą przeszłość trąbą archaniola;

Tak na dźwięk pieśni kości z pod mej stopy

W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły;

490

Z gruzów powstają kolumny i stropy,

Jeziora puste brzmią licznymi wiosły;

I widać zamków otwarte podwoje,

Korony książąt, wojowników zbroje,

Świewają wieszce, tańczy dziewic grono...

495

Marzyłem cudnie — srodze mię zbudzono!

Zniknęły lasy i ojczyste góry!

Myśl, znużonemi ulatując pióry,

- Spada, w domową tuli się zaciszę;
Lutnia umilkła w otrętwiałem ręku. 500
Śród żalosego spółrodaków jęku
Często przeszłości głosu nie dosłyszę!
Lecz dotąd iskry młodego zapalu
Tlą w głębi piersi; nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią i pamięć oświecą. 505
Pamięć naówczas jak lampa z kryształu,
Ubrana pędzlem w malowne obrazy:
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jej serce,
Jeszcze świeżością barwy znęci oczy, 510
Jeszcze po ścianach pałacu roztoczy
Kraśną, acz nieco przyćmione kobierce...
Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości; gdybym umiał strzelać 515
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci:
Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy 520
I chwilę jedną tak górnje przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.
Lecz poco zbiegłe wywoływać wieki?
I swoich czasów śpiewak nie obwini:
Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki .. 525
O nim zaśpiewam — uczcie się, Litwini!
Umilknął starzec i dokoła słucha,
Czy Niemcy dalej pozwolą mu śpiewać.
W sali dokoła była cichość głucha;
Ta zwykła wieszczów na nowo zagrzewać. 530
Zaczął więc piosnkę, ale innej treści!
Bo głos na spadki wolniejsze rozmierzał,
Po strunch słabiej i rzadziej uderzał
I z hymnu zstąpił do prostej powieści.

Powieść Wajdeloty (w skróceniu).

- Skąd Litwini wracali? Z nocnej wracali wycieczki, 535
Wieźli łupy bogate, w zamkach i cerkwiach zdobyte.
Tłumy brańców niemieckich z powiązanemi rękami,
Ze stryczkami na szwach biegają przy koniach zwycięzców:
Poglądają ku Rusom — i zalewają się łzami,
Poglądają na Kowno — i polecają się Bogu. 540
W mieście Kownie, pośrodku, ciągnie się błonie Peruna.
Tam książęta litewscy, gdy po zwycięstwie wracają,
Zwykli rycerzy niemieckich palić na stosie ofiarnym.
Dwaj rycerze porwani jadą bez trwogi do Kowna:

Jeden młody i piękny, drugi latami schylony. 545
 Oni sami wśród bitwy, hufce niemieckie rzuciwszy,
 Między Litwinów uciekli. Książę Kiejstut ich przyjął,
 Ale strażą otoczył, w zamek za sobą prowadził.
 Pyta, z jakiej krainy, w jakich zamiarach przybyli?
 „Nie wiem, rzeczy młodzieniec, jaki mój ród i nazwisko, 550
 Bo dziecięciem od Niemców byłem w niewolę schwytyany.
 Pomnę tylko, że kędyś w Litwie, wśród miasta wielkiego
 Stał dom moich rodziców; było to miasto drewniane,
 Na pagórkach wyniosłych; dom był z cegły czerwonej.
 W koło pagórków, na błoniach puszcza szumiała jodłowa; 555
 Środkiem lasów daleko białe błyszczało jezioro.
 Razu jednego, w nocy, wrzask ze snu przebudził,
 Dzień ognisty zaświtał w okna, trzaskały się szyby,
 Klęby dymu buchnęły po gmachu; wybiegliśmy w bramę,
 Płomień wiał po ulicach, iskry sypały się gradem. 560
 Krzyk okropny: Do broni! Niemcy są w mieście! do broni!...
 Ojciec wypadł z orężem, wypadł — i więcej nie wrócił.
 Niemcy wpadli do domu. Jeden wypuścił się za mną,
 Zgonił, porwał mię na koń; nie wiem, co stało się dalej:
 Tylko krzyk mojej matki długo, długo słyszałem... 565
 Pośród szczyku oręża, domów runących łoskotu.
 Krzyk ten ścigał mię długo, krzyk ten pozostał w mem uchu.
 Teraz jeszcze, gdy widzę pożar i słyszę wołania,
 Krzyk ten budzi się w duszy, jako echo w jaskini
 Za odgłosem piorunu... Oto jest wszystko, co z Litwy, 570
 Co od rodziców wywozłem. W sennych niekiedy marzeniach
 Widzę postać szanowną matki i ojca i braci;
 Ale coraz to dalej jakaś mgła tajemnicza,
 Coraz grubsza i coraz ciemniej zasłania ich rysy.
 Lata dzieciństwa płynęły, żyłem wśród Niemców jak Niemiec. 575
 Miałem imię Waltera, Alfa nazwisko przydano;
 Imię było niemieckie, dusza litewska została,
 Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom nienawiść.
 Winrych, mistrz krzyżacki, chował mię w swoim pałacu;
 On sam do chrztu mię trzymał. kochał i pieścił jak syna: 580
 Jam się nudził w pałacach, z kolan Winrycha uciekał
 Do wajdeloty starego. Wówczas pomiędzy Niemcami
 Był wajdelota litewski, wzięty w niewolę przed laty;
 Służył tłómaczem wojsku. Ten, gdy się o mnie dowiedział,
 Żem sierota i Litwin, często mię wabił do siebie, 585
 Rozповідаł o Litwie, duszę stęsknioną otrzeźwiał
 Pieszczotami i dźwiękiem mowy ojczystej i pieśnią.
 On mię często ku brzegom Niemna sinego prowadził.
 Stamtąd lubiłem na miłe góry ojczyste poglądać;
 Gdyśmy do zamku wracali, starzec łyzy mi ocierał, 590
 Aby nie wzbudzić podejrzeń: łyzy mi ocierał, a zemstę
 Przeciw Niemcom podniecał. Pomnę, jak w zamek wróciwszy.

- Nóż ostrzyłem tajemnie; z jaką zemsty rozkoszą
 Rznąłem kobierce Winrycha lub kaleczyłem zwierciadła,
 Na tarcz jego błyszczącą piasek miotalem i płałem. 595
 Potem w latach młodzieńczych częstośmy z portu Kłajpedy
 W łódkę ze starcem siadali brzegi litewskie odwiedzać.
 Rwałem kwiaty ojczyste, a czarodziejska ich wonia
 Tchnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne wspomnienia.
 Upojony tą wonią, zdało się, że dziecinniealem, 600
 Ze w ogrodzie rodziców z braćmi igrałem małymi.
 Starzec pomagał pamięci; on piękniejszymi słowami
 Niżli ziola i kwiaty, przeszłość szczęśliwą malował:
 Jakby miło w ojczyźnie, pośród przyjaciół i krewnych
 Pędzić chwile młodości; ileż to dzieci litewskich 605
 Szczęścia takiego nie znają, płacząc w kajdanach zakonu.
 To słyzałem na błoniach; lecz na wybrzeżach Połagi,
 Gdzie grzmiącemi piersiami białe roztrąca się morze
 I z pienistej gardzieli piasku strumienie wylewa:
 Widzisz, mawiał mi starzec, łąki nadbrzeżnej kobierce? 610
 Już je piasek obleciał; widzisz te ziola pachnące?
 Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie:
 Ach daremnie! bo nowa żwiru nasuwa się hydra,
 Białe pletwy roztacza, łądy żyjące podbija
 I rozciąga dokoła dzikiej królestwo pustyni... 615
 Synu! plony wiosenne, żywo do grobu wtrącone,
 To są ludy podbite, bracia to nasi, Litwini;
 Synu! piaski, z zamorza burzą pędzone — to Zakon!...
 Serce bolało słuchając. Chciałem mordować Krzyżaków
 Albo do Litwy uciekać: starzec hamował zapędy. 620
 Wolnym rycerzom, powiadał, wolno wybierać orężę
 I na polu otwartem bić się równemi siłami;
 Tys niewolnik: jedyna broń niewolników jest zdrada.
 Zostań jeszcze i przejmij sztuki wojenne od Niemców,
 Staraj się zyskać ich ufność: dalej obaczym, co począć... 625
 Byłem posłuszny starcowi, siedłem z wojskami Teutonów;
 Ale w pierwszej potyczce, ledwiem obaczył chorągwie,
 Ledwiem narodu mojego pieśni wojenne usłyszał,
 Ledwiem narodu mojego pieśni wojenne usłyszał,
 Poskoczyłem ku naszym, starca za sobą przywodzę.
 Jako sokoł, wydarty z gniazda i w klatce żywiony,
 Choć srogimi mękami łowcy odbiorą mu rozum 630
 I puszczają, ażeby braci sokołów wojował,
 Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnie oczyma
 Po niezmiernych obszarach swojej błękitnej ojczyzny,
 Wolnem odetchnie powietrzem, szelest swych skrzydeł usłyszy: — 635
 Pójdź, myśliwczu, do domu, z kłatką nie czekaj sokoła.
 Skończył młodzieniec; a Kiejstut słuchał ciekawie, słuchała
 Córa Kiejstuta, Aldona, młoda i piękna jak bóstwo.
 Jesień płynie, z jesienią ciągną się długie wieczory:
 Kiejstutówna jak zwykle w siostr i rówiennic orszaku 640

- Za krosnami usiada albo się bawi przedziwem ;
 A gdy igły migocą, toczą się chybkie wrzeciona ,
 Walter stoi i prawi cuda o krajach niemieckich
 I o swojej młodości. Wszystko , co Walter powiadał ,
 Łowi uchem dziewica, myślą łakomą polyka ; 645
 Wszystko umie na pamięć , nieraz i we śnie powtarza .
 Walter mówił , jak wielkie zamki i miasta za Niemnem ,
 Jakie bogate ubiory, jakie wspaniałe zabawy,
 Jak na gonitwach waleczni kopie kruszą rycerze ,
 A dziewice z krążanków patrzą i wieńce przyznają . 650
 Walter mówił o wielkim Bogu, co włada za Niemnem ,
 I o Niepokalanej Syna Bożego Rodzicy,
 Której postać anielską w cudnym pokazał obrazku .
 Ten obrazek młodzieniec nosił pobożnie na piersiach :
 Dziś Litwince darował , gdy ją do wiary nawracał , 655
 Gdy pacierze z nią mówił ; chciał wszystkiego nauczyć ,
 Co sam umiał ; niestety, on ją i tego nauczył ,
 Czego dotąd nie umiał — on nauczył ją kochać .
 I sam uczył się wiele. Z jakim rozkosznem wzruszeniem
 Słyszał z ust jej litewskie, już zapomniane wyrazy . . , 660
 Z każdym wskrzeszonym wyrazem budzi się nowe uczucie
 Jako iskra z popiołu : były to słodkie imiona
 Pokrewieństwa, przyjaźni — słodkiej przyjaźni i jeszcze
 Słodszy wyraz nad wszystko, wyraz miłości, któremu
 Niemasz równego na ziemi, oprócz wyrazu — Ojczyzna. 665
 Skądże, pomyślał Kiejstut, nagła w mej córce odmiana?
 Gdzie jej dawna wesołość? gdzie jej dziecinne rozrywki?
 W święto wszystkie dziewice idą zabawiać się tańcem :
 Ona siedzi samotna albo z Walterem rozmawia.
 W dzień powszedni dziewice trudnią się igłą lub krosnem : 670
 Jej z rąk igła wypada, nici plątają się w krosnach . . .
 Ja myślałem , że on ją czytać i pisać nauczy,
 Słyszac, że wszyscy książęta dzieci swe uczyć zaczęli . . .
 Chłopiec dobry, waleczny, jak ksiądz w pismach ćwiczony :
 Mamże go z domu wypędzić? On tak potrzebny dla Litwy : 675
 Hufce najlepiej szykuje, sypie najlepiej okopy,
 Broń piorunową urządza, jeden mi staje za wojsko . . .
 Pójdź, Walterze; bądź zięciem moim i bij się za Litwę!
 Walter pojął Aldonę . . . Niemcy, wy pewnie myślicie,
 Ze tu koniec powieści; w waszych miłosnych romansach, 680
 Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę ,
 Tylko dodaje , że żyli długo i byli szczęśliwi . . .
 Walter kochał swą żonę — lecz miał duszę szlachetną ;
 Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie.
 Ledwie śniegi ponikły, pierwszy zanucił skowronek — 685
 Innym krajom skowronek miłość i rozkosz obwieszcza,
 Biednej Litwie co roku wróży pożary i rzezie —
 Ciągną szeregi krzyżowe niezliczonymi tłumami ;

- Już od gór zaniemeńskich echo do Kowna zanosi
 Wojska mnogiego hałasy, chrzęst zbroi, rżenie rumaków. 690
 Jak mgła spuszcza się obóz, błonia szeroko zalega,
 Tu i owdzie migocą straży naczelnych proporce,
 Jak łyskania przed burzą. Niemcy stanęli na brzegu,
 Mosty po Niemnie rzucili, Kowno dokoła oblegli.
 Dzień w dzień od taranów wala się mury i baszty, 695
 Noc w noc miny burzące kopią się w ziemi jak krety,
 Pod niebiosami ognistym unosi się bomba polotem
 I jak sokół na ptaki, z góry na dachy uderza
 Kowno w gruzy runęło: Litwa do Kiejdan uchodzi.
 W gruzach runęły Kiejdany: Litwa po górach i lasach 700
 Broni się. Niemcy dalej ciągną, pładując i pałac.
 Kiejstut z Walterem pierwsi w bitwach, ostatni w odwrocie.
 Kiejstut zawsze spokojny; od dzieciństwa przywyknął
 Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwyciężać, uciekać. 705
 Wiedział, że jego przodkowie zawsze z Niemcami walczyli:
 Idąc w ślady swych przodków bił się i nie dbał o przyszłość.
 Inne były Waltera myśli. Chowany wśród Niemców,
 Znał potęgę Zakonu; wiedział, że mistrza wezwanie
 Z całej Europy wyciąga skarby, oręż i wojska. 710
 Prusy broniły się niegdyś: starły Prusaków Teutony.
 Litwa, pierwiej czy później, równej ulegnie kolei;
 Widział niedolę Prusaków, drżał nad przyszłością Litwinów.
 „Synu, Kiejstut zawoła, zgubnym ty jesteś prorokiem;
 Z oczu mi zdarłeś zasłonę, aby otchłanie pokazać. 715
 Kiedy ciebie słuchałem, zda się, że ręce osłabły
 I z nadzieją zwycięstwa z piersi uciekła odwaga.
 Cóż poczniemy z Niemcami?“... — „Ojczy, Walter powiadał,
 Wiem ja sposób jedyny, straszny, skuteczny niestety!
 Może kiedyś objawię...“ Tak rozmawiali po bitwie. 720
 Nim ich trąbka ku nowym bitwom i kłęskom wezwała.
 Kiejstut coraz smutniejszy. Walter jak mocno zmieniony!
 Dawniej, chociaż nie bywał nigdy zbyt wesoły,
 — W chwilach nawet szczęśliwszych lekki mrok zamyślenia
 Lice jego przysłaniał — ale w objęciach Aldony 725
 Dawniej miewał pogodne czoło i lice spokojne:
 Zawsze ją witał uśmiechem, czułem pożegnał wejrzeniem.
 Teraz zda się, że jakaś skryta dręczyła go boleść;
 Cały ranek przed domem z założonymi rękami
 Patrzy na dymy płonących z dala miasteczek i wiosek, 730
 Patrzy dzikimi oczyma; w nocy porywa się ze snu
 I przez okno krwawą lunę pożarów uważa.
 „Mężu drogi, co tobie?“ pyta ze łzami Aldona;
 — „Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał Litwinom,
 Skruszyć potęgę Zakonu; mnie ten sposób wiadomy. 735
 Lecz nie pytaj dla Boga! stokroć przekłeta godzina,
 W której, od wrogów zmuszony, chwycę się tego sposobu!“

- Więcej nie chciał powiadać, prośb Aldony nie słuchał,
 Litwy tylko nieszczęścia słyszał i widział przed sobą.
 Aż nakoniec płomień zemsty, w milczeniu karmiony 740
 Kłęsk i cierpień widokiem, wzdał się i serce ogarnął;
 Wszystkie wytrawił uczucia, nawet jedyne uczucie,
 Dotąd mu życie słodzące — nawet uczucie miłości.
 Tak u białowieskiego dębu, jeżeli myśliwi,
 Ogień tajemny wzneciwszy, rdzeń głęboko wypala, 745
 Wkrotce lasów monarcha straci swe liście powiewne,
 Z wiatrem polecą gałęzie, nawet jedyna zieloność,
 Dotąd mu czoło zdobiąca, uschnie korona jemiół.
- Długo Litwini po zamkach, górach i lasach błądzili,
 Napadając na Niemców lub napadani wzajemnie. 750
 Aż stoczyła się straszna bitwa na błoniach Rudawy,
 Gdzie kilkadziesiąt tysięcy młodzi litewskiej poległo,
 Obok tyluż tysięcy wodzów i braci krzyżowych.
 Niemcom wkrótce posiłki świeże ciągnęły z za morza;
 Kiejstut i Walter z garstką mężów przebili się w góry; 755
 Z wyszczerbionymi szablami, z porąbanymi tarczami,
 Kurzem, posoką okryci, weszli posepni do domu;
 Walter nie spojrzął na żonę, słowa do niej nie wyrzekł;
 Po niemiecku z Kiejstutem i wajdelotą rozmawiał.
 Nie rozumiała Aldona, serce tylko wróżyło 760
 Jakies okropne wypadki. Gdy zakończyło obradę,
 Wszyscy trzej ku Aldonie smutne zwrócili wejrzenie.
 Walter patrzył najdłużej, z niemej wyrazem rozpaczycy;
 Wtem gęstymi kroplami łzy mu rzuciły się z oczu.
 Upadł do nóg Aldony, ręce jej cisnął do serca 765
 I przeproszał za wszystko, co ucierpiała dla niego.
 „Biada, mówił, niewiastom, jeśli kochają szaleńców,
 Których oko wybiegać lubi za wioski granice,
 Których myśli jak dymy wiecznie nad dach ulatują,
 Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć. 770
 Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie;
 Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek...
 Daruj, luba Aldono! dzisiaj chcę w domu pozostać,
 Dzisiaj o wszystkim zapomnę, dzisiaj będziemy dla siebie,
 Czem bywaliśmy dawniej; jutro...“ i nie śmiał dokończyć. 775
 Jaka radość Aldonie! Zrazu myśli nieboga,
 Że się Walter odmieni, będzie spokojny, wesoly:
 Widzi go mniej zamysłonym, w oczach więcej żywości,
 W licach dostrzega rumieniec. Walter u nóg Aldony
 Cały wieczór przepędził; Litwę, Krzyżaków i wojnę 780
 Rzucił na chwilę w niepamięć, mówił o czasach szczęśliwych
 Swego do Litwy przybycia, pierwszej z Aldoną rozmowy,
 Pierwszej w dolinie przechadzki i o wszystkich dziecinnych,
 Ale sercu pamiętnych pierwszej miłości zdarzeniach.
 Za cóż tak lubę rozmowy słowem *jutro* przerywa. 785

- I zamyśla się znowu, długo na żonę pogląda,
 Łzy mu kręcą się w oczach, chciałyby coś wyrzec i nie śmie?
 Czyliż dawne uczucia, szczęścia dawnego pamiętki
 Na to tylko wywołał, aby się z nimi pożegnać?
 Wszystkie rozmowy, wszystkie tego wieczora pieśczęoty
 Czyli będą ostatnim blaskiem świecznika miłości?
 Darmo się pytać. Aldona patrzy, czeka niepewna
 I, wyszedłszy z komnaty, jeszcze przez szpary pogląda.
 Walter wino nalewał, mnogie wychylał puhary
 I wajdelotę starego na noc u siebie zatrzymał. 790
- Słońce ledwo wschodziło, tętnią po bruku kopyta:
 Dwaj rycerze z tumanem rannym śpieszą się w góry.
 Wszystkieby straże zmylili — jednej nie mogli omylić;
 Czujne są oczy kochanki — zgadła ucieczkę Aldona!
 Drogę w dolinie zabiegła: smutne to było spotkanie. 800
- „Wróc się, o luba, do domu; wróc się, ty będziesz szczęśliwa,
 Może będziesz szczęśliwa w lubej rodziny objęciach;
 Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę, zapomnisz!
 Wielu książąt dawniej o twą starało się rękę;
 Jesteś wolna, jesteś wdową po wielkim człowieku, 805
- Który dla dobra ojczyzny wyrzekł się — nawet i ciebie!
 Bywaj zdrowa, zapomnij; zapłacz niekiedy nade mną;
 Walter wszystko utracił, Walter sam jeden pozostał,
 Jako wiatr na pustyni; błąkać się musi po świecie.
 Zdradzać, mordować i potem ginąć śmiercią haniebną,
 Ale po latach ubiegłych imię Alfa na nowo 810
- Zabrzmi w Litwie i kiedyś z ust wajdelotów posłyszysz
 Czyny jego. Natenczas, luba, natenczas pomyślisz,
 Że ów rycerz straszliwy, chmura tajemnic okryty,
 Jednej tobie znajomy, twoim był kiedyś małżonkiem;
 I niech dumy uczucie będzie pociechą sieroctwa“. 815
- „Słucha w milczeniu Aldona, chociaż nie słyszy ni słowa.
 „Jedziesz, jedziesz!“ krzyknęła i zatrwożyła się sama
 Słowem *jedziesz*, to jedno słowo brzmiało w jej uchu;
 Nic nie myślała, o niczem pomnieć nie mogła; jej myśli,
 Jej pamiętki, jej przyszłość, wszystko spletało się tłumnie. 820
- Ale sercem odgadła, że niepodobna powracać,
 Że niepodobna zapomnieć. Oczy zbląkane toczyła,
 Kilka razy Waltera dzikie spotkała wejrzenie:
 W tem wejrzeniu już dawniej nie znajdowała pociechy
 I zdawała się szukać czegoś nowego i wkoło 825
- Oglądała się znowu... Wkoło pustynie i lasy.
 W środku lasu samotna błyszczy za Niemnem wieżyca;
 Był to klasztor zakonnicy, chrześcian smutna budowa.
 Na tej wieżyicy spoczęły oczy i myśli Aldony:
 Jak gołąbek porwany wiatrem śród morskiej topieli,
 Pada na maszty samotne nieznajomego okrętu. 830
- Walter rozumiał Aldonę, udał się za nią w milczeniu,

Opowiedział swój zamiar, tać przed światem nakazał;
 I u bramy — niestety! straszne to było rozstanie! 835
 Alf z wajdelotą pojechał. Dotąd nic o nich nie słyhać.
 Biada, biada, jeżeli dotąd nie spełnił przysięgi,
 Jeśli zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony zatruwszy...
 Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświęcił!...
 Przyszłość resztę pokaże... Niemcy, skończyłem piosenkę... 840

V.

W o j n a.

Spełniając gorące życzenia Zakonu wyruszył Konrad wreszcie na Litwę, ale umyślnie prowadził wojnę tak niedbale, tak gnuśnie, iż kraju nie zdobył, a zaskóczył przez zimę, z garstką tylko niedobitków powrócił do Malborka. Klęską tą osłabił Krzyżaków tak, iż na sto lat nie byli już groźni dla Litwy.

Czyście widzieli, gdy z tego pogromu
 Wojsko upiorów prowadził do domu?
 Ponury smutek czoło jego mroczy,
 Robak boleści wywijał się z lica;
 I Konrad cierpiał — ale spojrzuj w oczy: 845

Ta wielka, na pół otwarta żrenica,
 Jasne z ukosa miotająca pociski;
 Niby kometa grożący wojnami,
 Co chwila zmienna, jak nocne połyski,
 Któreми szatan podróznego mami; 850
 Wściekłość i radość łącząc razem,
 Błyszczała jakimś szatańskim wyrazem!

Drzał lud i szemrał. Konrad nie dbał o to:
 Zwołał na radę niechętnych rycerzy;
 Spojrzał, przemówił, skinał — o sromoto! 855

Słuchają pilnie i każdy mu wierzy —
 W błędach człowieka widzą sądy Boga:
 Bo kogoż z ludzi nie pokona trwoga?

Stój, dumny władco! jest sąd i na ciebie!
 W Marienburgu wiem ja loch podziemny: 860
 Tam, gdy noc miasto w ciemnościach zagrzebie,
 Schodzi na radę trybunał tajemny.

Tam jedna lampa na podniebiu sali
 I w dzień i w nocy się pali;
 Dwanaście krzesel koło tronu stoi. 865

Na tronie ustaw księga tajemnicza.
 Dwunastu sędziów, każdy w czarnej zbroi;
 Wszystkich maskami zamknięte oblicza,
 W lochach od gminnej ukryli się zgrai,
 A larwą jeden przed drugim się tai. 870

Wszyscy przysięgli dobrowolnie, zgodnie,
 Karać potężnych swoich władców zbrodnie,

- Nazbyt gorszące lub ukryte światu.
 Skoro ostatnia uchwała zapadnie
 I rodzonemu nie przepuszczą bratu;
 Każdy powinien gwałtownie lub zdradnie 875
 Na potępionym dopełnić wyroku:
 Sztylety w rękę, rapiery u boku.
 Jeden z maskowych zbliżył się do tronu,
 I stojąc z mieczem przed księgą zakonu,
 Rzekł: — „Straszliwi sędziowie! 880
 Już nasze podejrzenie stwierdzone dowodem:
 Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,
 Nie jest Wallenrodem.
- Kto on jest? nie wiadomo. Przed dwunastu laty
 Nie wiedzieć skąd przyjechał w nadreńskie krainy; 885
 Kiedy hrabia Wallenrod szedł do Palestyny,
 Był w orszaku hrabiego, nosił giernka szaty.
 Wkrótce rycerz Wallenrod gdzieś bez wieści zginął.
 Ów giernek, podejrzany o jego zabicie,
 Z Palestyny uszedł skrycie, 890
 I ku hiszpańskim brzegom zawinął.
 Tam, w potyczkach z Maurami dał męstwa dowody,
 I na turniejach mnogie pozyskał nagrody:
 A wszędzie pod imieniem Wallenroda słynął.
 Przyjął nakoniec zakonnika śluby, 895
 I został Mistrzem — dla Zakonu zguby.
- Jak rządził, wszyscy wiecie. Tej ostatniej zimy,
 Kiedy z mrozem i głodem i z Litwą walczyliśmy,
 Konrad jeździł samotny w lasy i dąbrowy,
 I tam miewał z Witołdem tajemne rozmowy. 900
 Szpiegowie moi dawno śledzą jego czynów;
 Wieczorem pod narożną skryli się wieżycą,
 Nie pojęli, co Konrad mówił z pustelnicą:
 Lecz, sędziowie, on mówił — językiem Litwinów!
 Zważywszy, co nam tajnych sądów posły 905
 Niedawno o tem człowieku doniosły,
 I o czem świeżo mój szpieg donosi,
 I wieść już ledwie nie publiczna głosi:
 Sędziowie! ja na Mistrza zaskarżenie kładę: —
 O fałsz, zabójstwo, herezję, zdradę“.— 910
- Tu oskarżyciel przed zakonu księgą
 Ukłakł, i wsparłszy na krucyfix rękę,
 Prawdę doniesień zatwierdził przysięgą,
 Na Boga i na Zbawiciela mękę.
 Umilkł. Sędziowie sprawę roztrząsają; 915
 Lecz nie ma głosów, ni cichej rozmowy —
 Ledwie rzut oka lub skinienie głowy
 Jakąś głęboką, groźną myśl wydają.

Każdy z kolei zbliżał się do tronu, Ostrzem sztyletu, na księdze zakonu Karty przerzucał, prawa cicho czytał, O zdanie tylko sumienia zapytał; Osadził, rękę do serca przykładając; I wszyscy zgodnie zawołali: — biada!	920
I trzykroć echem powtórzyły mury: Biada! — W tem jednym, jednym tylko słowie Jest cały wyrok. Pojęli sędziowie: Dwanaście mieczów podnieśli do góry, Wszystkie zmierzone w jedną pierś Konrada. Wyszli w milczeniu, — a jeszcze raz mury Echem za nimi powtórzyły: — biada!	925 930

VI.

P o ż e g n a n i e.

Konrad dowiedziawszy się o wyroku poszedł pod wieżę, ażeby się pożegnać z Aldoną. Przytem porozumiał się z nią, iż na znak, że żyje, w oknie swego mieszkania, które widać było z okra pustelnicy, we dnie wywiesi chustkę, wieczorem zaś zaświeci lampę.

„Zaszło nakoniec“ — rzekł Alf do Halbana, Wskazując słońce z okna swej strzelnicy, W której zamknięty od samego rana	935
Siedział, patrząc w okno pustelnicy: „Daj mi płaszcz, szablę! Bądź zdrow, wierny sługo; Pójdę ku wieży. — Bywaj zdrow na długo, Może na wieki... Posłuchaj, Halbanie, Jeżeli jutro, gdy dzień zacznie świecić, Ja nie powrócę, opuść to mieszkanie. Chcę, chciałbym jeszcze coś tobie polecić... Jakżem samotny! pod niebem i w niebie Nie mam nikomu, nigdzie, nie powiedzieć W godzinę zgonu — prócz jej i prócz ciebie!... Bądź zdrow, Halbanie! Ona będzie wiedzieć: Ty zrzucisz chustkę, jeśli jutro rano... Lecz cóż to? słyszysz?... W bramę kołatano“.	940
„Kto idzie?“ trzykroć odzwierny zawołał; „Biada!“ krzyknęło kilka dzikich głosów. Widać, że strażnik oprzeć się nie zdołał I brama tęgich nie wstrzymała ciosów. Już orszak dolne krużganki przebiega, Już przez żelazne, pokręcone wschody, Do Wallenroda wiodące gospody, Łoskot stóp zbrojnych razwraz się rozlega. Alf, zawaliwszy wrzeciędzem podwoje, Dobywa szablę, wziął czarę ze stoła,	945 950 955

- Poszedł ku oknu: „Stało się!“ zawoła,
Nalał i wypił. „Starcze! w ręce twoje!“
Halban pobladnął. Chciał skinieniem ręki 960
- Wytrącić napój, wstrzymuje się, myśli;
Słychać za drzwiami coraz bliższe dźwięki...
Opuszcza rękę: — „To oni — już przyszli!“
„Starcze! rozumiesz, co ten łoskot znaczy? 965
- I czegoż myślisz? Masz nalaną czaszę,
Moja wypita... Starcze, w ręce wasze!“
Halban poglądał w milczeniu rozpaczy:
„Nie, ja przeżyję — i ciebie, mój synu!...
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki 970
- I żyć — ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki.
Obieję Litwy wsi, zamki i miasta;
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci;
Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta 975
- Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci;
Będzie ją śpiewać — i kiedyś w przyszłości
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych gości...“
Na poręcz okna Alf ze łzami pada;
I długo, długo ku wieży poglądał,
Jak gdyby jeszcze napatrzeć się żądał 980
- Miłym widokom, które wnet postrada.
Objął Halbana: westchnienia zmieszali
W ostatniem, długiem, długiem uścisknieniu.
Już u wrzeczadźwów słysząc łoskot stali;
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu: 985
- „Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie.
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu!
Oto jest starzec, kapelan Zakonu:
Oczyść twą duszę i umrzyj przykładnie!“ 990
- Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,
Lecz coraz blednie, pochyla się, ślania;
Wspart się na oknie i, tocząc wzrok hardy,
Zrywa płaszcz, mistrza znak na ziemię miota,
Depce nogami z uśmiechem pogardy: 995
- „Oto są grzechy mojego żywota!...
Gotowem umrzeć; czegoż chcecie więcej?
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy?
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierzawy! 1000
- Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów...
Tam marzną waszych ostatki szeregów!
Słyszycie? wyją głodnych psów gromady...
One się gryzą o szczątki biesiady!
„Ja to sprawilem! Jakem wielki, dumny! 1005
- Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem,

- Jak Samson, jednym wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem!...“
- Rzekł, spojrział w okno i bez czucia pada. 1000
- Ale nim upadł, lampę z okna ciska.
Ta, trzykroć kołem obiegając, błyska,
Nakoniec legła przed czołem Konrada.
W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,
Lecz coraz głębiej topi się i mroczy; 1005
- Wreszcie, jak gdyby dając zgonu hasło,
Ostatni, wielki krąg światła roztoczy;
I przy tym blasku widać Alfa oczy:
Już pobielają — i światło zagasło.
- I w tejsze chwili przebił wieży ściany 1010
- Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany...
Z czyjej to piersi? wy się domyślicie;
A ktoby słyszał, odgadnąłby snadnie,
Że piersi, z których taki jęk wypadnie,
Już nigdy więcej nie wydadzą głosu: 1015
- W tym głosie całe ozwało się życie...
- Tak struny lutni od tegiego ciosu
Zabrzmią i pękną; zmieszany dźwięki
Zdają się głosić początek posenki:
Ale jej końca nikt się nie spodziewa, 1020
- Taka pieśń moja o Aldony losach;
Niechaj ją anioł harmonii w niebiosach
A czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa.

Z literatury słowiańskiej.

Piotr Skarga.

(Lekcja XL z r. 1841.).

Szczegóły żywota tego wielkiego męża mało nam są znane; nie wiele zresztą tracimy na tem. Skarga nie wyobraża żadnej partyi ani żadnej epoki; odbija się w nim cały kraj, cały naród ze swoją przeszłością, obecnością i przyszłością nawet. Rodziną Skargi była Polska.

Współczesne dzieje Polski mogą nam wytlómaczyć to, czem powodował się Skarga na swoim stanowisku politycznym i religijnem. Przedsięwziąwszy zwalczać sektarzy, wspierać zachowawczą władzę króla i zwrócić — jeśliby jeszcze było można — Rzeczpospolitą w karby, z których wyszła — pisał on dzieła dogmatyczne, historyczne, homilie i kazania.

Jako pisarz dogmatyczny zajmuje wysokie miejsce między doktorami Kościoła, celuje nauką i biegłością w Piśmie św. Pisma tego nie przytacza, ale jest niem przesiąkły, wylewa je w ciągu własnych myśli; cytacye, płynąc mu z pod pióra, odznaczają się od własnego jego stylu tylko kolorem ciemniejszym i uroczystszym. Czytał wszystkie pisma polemiczne, jakie wychodziły naówczas; co zaś go najwięcej zaleca pod względem literackim, to sposób tłumaczenia się, jemu właściwy. Stara się zawsze dogmata najsubtelniejsze wyklądać jak najpopularniej. Dążność tę spostrzegamy i w innych pisarzach polskich, mianowicie w Reju; ale Rej bywa zbyt gminny, dawniejsi kronikarze prawią czasem nie do rzeczy — Skarga zawsze jest szlachetny i jasny.

Najważniejsze z jego rozpraw dogmatycznych są Kazania o siedmiu Sakramentach, przewyborne jako rozumowanie, a niekiedy jako wzór stylu. Wyluszczać językiem potocznym wysokie prawdy, szuka podobieństw, porównań i przenośni na ziemi polskiej, w codziennem życiu Polaków. Na przykład (położymy z tych kazań tylko parę okresów dla pokazania, jak się zwykł wyrażać) mówiąc o chrzcie św., porównywa ten sakrament z okrętem, bez którego niepodobna przebyć otchłani między nami a żywotem wiecznym. „Jako okręt na przewóz zamorski — powiada — bez którego nikt morza nie przepłynie, taki jest chrzest św., ktoby go rzeczą samą nie miał albo pragnieniem go swoim nie przywiódł. Taka jest pokuta, gdy kto po chrzcie grzechem śmiertelnym upadnie“. Razem też tłumacząc pożyteczność bierzmowania, dodaje, iż jest potrzebne „nie tyle, żeby zbawienie było, ale żeby bezpieczne było; jako kto konia ma na drogę, bezpieczniejszy jest do jechania tam, gdzie myśli, choć też pieszo chodzić może.“ Tymże trybem dając zrozumieć ważność innych sakramentów, z dziwną prostotą i mocą objaśnia cały system religii katolickiej.

Jako pisarz polityczny wydał dzieła nie mniej wielkiego znaczenia. Z jednej strony zbijając różnowierców, powstających na Kościół, z drugiej wskazywał rządowi, jakiej drogi trzymać się był powinien. Przekładał Polakom, że główne żywotne zadanie wewnątrz państwa odnosiło się do ziem ruskich, że nie było innego sposobu spojć nieodzownie tych ziem z Rzeczpospolitą, jak tylko przez węzeł jedności z Kościołem. Dla dopięcia tego celu radził koniecznie dać większą opiekę ludowi, polepszyć jego byt materyalny i na ostatek skłaniać go ku wierze prawdziwej, nie za pomocą środków gwałto-

wnych, ale przez apostołstwo. Wielkie te prawdy są zawarte w znanem dziele O jedności Kościoła.

Najwyżej jednak pomiędzy pracami Skargi stoją i najwięcej mu zjednały wziętości jego mowy polityczne czyli *K a z a n i a s e j m o w e*. Rodzaj ten on sam utworzył. Przy niezwykłym talencie nie mógł całej swej potęgi rozwinąć w homiliach i pismach dogmatycznych; dopiero w kazaniach sejmowych wznosił się na szczyt swego geniuszu. Tu objawia pojęcia, jakie miał o posłannictwie Polski, skreśla obowiązki obywateli względem Rzeczypospolitej, wykląda system polityczny, uznany przez się za najlepszy, przepowiada narzęście przyszłość Polsce: jest mowcą, politykiem, kapłanem i prorokiem.

Nadewszystko dzieła jego odznaczają się patryotyzmem.

Skarga stawia nam wzór kapłana patryoty. Cecha ta przebija się już w jego pismach polemicznych. Miłość dodawała mu siłę; ciągle dowodził różnowiercom, że gubili ojczyznę, i trzeba było nielada odwagi, nielada mocy do walczenia z tylu s k t a m i, rozdzielającemi natenczas Polskę. Apostołowie, doktorowie Kościoła, św. Augustyn, św. Klemens Alexandryjski, wszyscy dawni filozofowie, którzy wykładali naukę katolicką i wojowali z niedowiarkami, byli zawsze otoczeni swoją owczarnią, choć nie liczną, ale skupioną. Skarga znajdował się pośród wojska zbuntowanego przeciw swoim wodzom, musiał zniewalać sobie słuchaczy. Sektarze krzyczeli na niego, że był inkwizytorem, pieczeniarem królewskim, intrygantem, stronnikiem władzy absolutnej. Szkalowany, prześladowany, niekiedy publicznie łony; skoro wstępował na kazalnicy, widział przed sobą nieprzyjaciół, schodząc z niej napotykał nawet gwałtownych napastników. Powiadają, że raz przy wyjściu z kościoła dostał policzek; innego razu cudem uniknął śmierci. Nasadzeni siepacze jednego pana czekali go na drodze, kędy miał przechodzić, ażeby go porwać i utopić. Przyszła mu nagle myśl, zejść do pańskiego dworu i — tem się ocalił. Pan ów co kazał nań czatować, zmieszany zjawieniem się jego u siebie, przyjął go gościnnie i rozstali się po przyjacielsku.

Człowiek ten wystawiony na potwarze i niebezpieczeństwa, podnosząc głos z mownicy kościelnej, zamiast coby miał w usposobieniu, w przychylności swego audytoryum czerpać siłę, której tak potrzebował, musiał ją wydobywać z samego siebie, musiał w głębi swojego ducha roznieconym zapałem ogrzewać publiczność zimną i źle uprzedzoną. Nie puszczał się on na żadne wybiegi, używane przez mowców, nie starał się ująć sobie słuchaczy, nigdy im nie pochlebiał, a najczęściej, wyłożywszy senatorom i posłom ich obowiązki

z godnością i surowie, po krótkim wzniesieniu modlitwy do nieba, poczynął piorunować na występki prywatne i publiczne, nigdy jednak nie wytykając osób. Sam tylekroć obrzucany obelgami, nikomu nie zrobił najmniejszej przymówki; karmił tylko złe nauki i wady ogólne.

Tu potrzeba wyłożyć, co to był ten patryotyzm Skargi; jakie on miał pojęcie ojczyzny, które ukazuje się w jego dziełach.

Zawiązek tego pojęcia daje się nam widzieć już w bajecznych dziejach Polski, w najdawniejszych podaniach kronikarzy, w pismach Wincentego Kadłubka, który wyrzekł, że miłość ojczyzny jest przemożna jak śmierć; w powieści zmyślonej żywotopisarza św. Stanisława o tej koronie, co odebrana cudownie Polsce, miała jej znowu być zwrócona; nakoniec w historii Długosza. Ale dopiero Skarga wyluszcza, rozwija to pojęcie i w słowach swoich stawia je zupełnie przed oczy.

Skarga miłuje ojczyznę nie dlatego, że jest jego ziemią rodzinną, ale że jest, jak powiada, ustanowieniem Bożem. Bóg stwarza narody, nadaje im różne posłannictwa, a stosownie do tych mają one właściwe sobie obowiązki. Słowem, narody u Skargi są to jakby osobne stworzenia, jakby jakie jestestwa organiczne rozmaitego rodzaju. Poczynają się one z miłości Bożej, a prowadzi je mądrość. Ale ta mądrość jest wieloraka. Jest jedna dyabelska, która dowiec swój obraca na zdrady i szkody ludzkie, przez grzechy, oszukania i kłamstwa sławy świeckiej i dobrego mienia dostając; ta przewodniczy piekielnikom, narodom piekła zaprzędanym. Jest druga mądrość ziemską, której cały rozum w dostawaniu, zatrzymywaniu i mnożeniu dóbr tego świata; taką mądrość mają politycy dzisiejsi (dodaje Skarga), którzy nauczają panów i królów, aby tylko doczesnego pokoju, dobrego bytu poddanych swoich pilnując, zbawiennych potrzeb ich zaniechali. Jest nakoniec mądrość niebieska, przenikająca tajemnice Opatrzności; nie można jej inaczej nabyć, jak przez świętobliwość. Tą mądrością opatrzni byli Józef, Mojżesz, Machabeusze, i t. d. Podobni mężowie poznają drogi zakreślone narodowi od Boga a są powołani wprowadzać na nie swój naród.

Takie są wyobrażenia Skargi. W całej historii widzi on tylko dwa ludy, które odpowiadają wysokiemu jego pojęciu ojczyzny: lud wybrany, to jest hebrajski, i lud polski. Za dowód szczególniejszego błogosławieństwa nad Polską uważa naprzód to, że Opatrzność obdarzyła ją długim szeregiem królów, między którymi nie było żadnego tyrana, i nawet Bolesławowi Śmiałemu, jedynemu z pomiędzy nich mordercy, dozwoliła zbrodnię tę odpokutować przed śmiercią; po-

wtóre, że Polska, ostatecznie państwo chrześcijańskie, stoi jako przedmurze cywilizacji na północy; nakoniec, iż posiada wolność, wynikająca z konstytucji zupełnie takiej, jaka jest w organizmie ludzkim, gdzie serce i głowa nie mają władzy despotycznej nad członkami, ale są tem w ciele, czem religia i rząd królewski w Rzeczypospolitej.

Skarga kochał i ochraniał Polskę jako nową Jerozolimę, na którą Bóg zlał wielkie obietnice. Ale Polska, jaką on pojmował, była tylko w jego myśli; oddzielał ją nawet od ludzi. Ludzie, zdaniem jego, zdradzają tę ojczyznę, zbudowaną przez Opatrzność, sprzeniewierzają się swemu posłannictwu. Na generację, do której mówił, patrzył jako na występłą, jako na idącą drogą błędną do strasznych nieszczęść. Przetoż raz, kiedy stanie mu w oczach owa ojczyzna Boża, zrealizowana na ziemi przez cnoty przodków i patronów Polski, podnosi głos błogosławiący; drugi raz, kiedy weźmie przed się zbrodnie i złości współczesnych, zlorzeczy i grozi.

Skarga zdaniem naszym spełnił ideał kaznodziei i patrioty. Jako mowca, jako pisarz stoi na równi z Bossuetem i Massillonem, a poniekąd wyżej. W najpiękniejszych kazaniach Francuzów zanadto bierze górę forma; znać zaraz, że były przeznaczone dla publiczności uczonej — kiedy u Skargi formy nawet nie widać, nie można dostrzedz, jak się wytaczają jego okresy. Nie myślał on nigdy o swoich frazesach i dlatego tłómaczył się w sposób tak doskonały, tak powabny. Styl jego nosi na sobie piętno czasów, zwanych złotymi literatury polskiej; ma to szczególne brzmienie, ten dźwięk, jakby metaliczny, po którym pozna ową epokę każdy Polak. W układzie nawet swoich kazań różni się od wszystkich dawniejszych i dzisiejszych mowców. Nie kreśli sobie planu zewnętrznego, nie robi tak zwanego wstępu, nie rozdziela części, nie chowa najmocniejszych argumentów na zamknięcie. Ale niekiedy pośród rozbioru kwestyi dogmatycznej, po zimnem i ścisłem rozumowaniu zapala się nagle, wpada w natchnienie prorocze, przepowiada przyszłość, nawołuje lud do poprawy, ubolewa nad narodem i jest prorokiem, trybunem, nadewszystko zaś Polakiem. Rozgrzewany ciągle ogniem utarczek, zmuszony zawsze walczyć ze swoją publicznością, nabył ogromnej siły i wyrobił sobie ten styl, jaki jemu samemu tylko jest właściwy.

Dawniejsi mowcy duchowni są jedynie pisarzami kościelnymi: rozprawiają o dogmatach, o moralności chrześcijańskiej powszechnej, należą do wszystkich wieków i wszystkich narodów. Nowocześni kaznodzieje francuscy zbyt często dają uczuć chęć dogodzenia wymaganiom publiczności cywilizowanej, lękają się smak jej obrazić.

Skarga, wstępując na ambonę, zapomina zupełnie o sobie, obraca głos do tej ojczyzny idealnej, co zawsze stoi mu przed oczyma; dla swoich słuchaczy jest — jak sam powiada — „na przymówki, wrzaski, gniewy i groźby słupem żelaznym i murem miedzianym⁴”. Co zaś najbardziej go nad wszystkich tych mówców wynosi, to ów duch prorocki, jakiego złożył dowody tak niezaprzeczone i tak jasne.

Antoni Malczewski.

Urodził się w r. 1793 na Wołyniu (czy też w Warszawie). Ojciec, Jan, był generałem wojsk polskich i posiadał znaczne dobra na Wołyniu. Tam spędził Antoni pierwsze lata dzieciństwa i otrzymał wychowanie modne, powierzchowne, zasadzające się na układności i francuszczyźnie. W r. 1800 stracił matkę. W r. 1803 oddany do Krzemieńca, odbył tu całą naukę świetnie, dwa razy dostał medal (najwyższą nagrodę szkoły); sam Czacki po ukończeniu nauk dał mu najchlubniejsze świadectwo i polecenie do władz, u których w przyszłości szukałby służby. W r. 1811 Malczewski wstąpił do wojska jako podporucznik inżynierii. Kampanii rosyjskiej roku 1812 nie odbywał, bo właśnie przed jej rozpoczęciem ranny w pojedynku, a potem potłuczony ciężko upadkiem z konia, musiał się leczyć. Pozostał więc z garnizonem w Modlinie, a w roku 1813 wytrzymał oblężenie tej twierdzy przez wojska rosyjskie. Po utworzeniu królestwa kongresowego (1815) pozostał w wojsku, ale niebawem wziął z niego dymisyę i wyjechał za granicę (1816).

Świadkowie współcześni opisują go w tych latach jako młodzieńca rzadkiego wdzięku, szlachetnego serca, wesołego usposobienia, bardzo pięknej powierzchowności i pochopnego do zabaw i światowego życia.

Zdaje się, że miłość była powodem i jego dymisyi z wojska i sprzedaży dziedzicznego majątku i podróży za granicę. Podróż ta trwała pięć lat, w ciągu których przebywał w Paryżu, w Szwajcaryi, we Włoszech. Z tych wędrówek dwa zostały szczegóły wiadome i godne zapamiętania: jeden, że w roku 1818 wyszedł na Mont-Blanc (jeden z pierwszych i podówczas bardzo nielicznych); drugi, że w Wenecyi poznał się z Byronem. Podobno nawet wybierał się z nim do Grecyi, ale dla braku środków nie mógł wykonać tego zamiaru.

W roku 1821 powrócił na Wołyn i z resztek majątku wziął skromną dzierżawę. Wrócił w usposobieniu gorzkim, zboleiał; i w takim zaczął snuć pierwsze pomysły do Maryi, a prawdopodobnie już ją i pisał. Wtedy spadło na niego wielkie nieszczęście. Wdał się w stosunki, które go zmusiły do opuszczenia Wołynia. Przeniósł się do Warszawy (r. 1823). Tam dokończył i wydał *Maryę* (1825), ale ta nie zrobiła wrażenia, nikt się na niej zrazu nie poznał. Tymczasem środki jego wyczerpały się zupełnie, zdrowie zaczęło się psuć. Nieszczęśliwy, znękaný, w niedostatku, umarł w Warszawie, 2 maja 1826.

Oprócz *Maryi* zostało po nim parę drobnych wierszy i trzy małe powiastki prozą bez znaczenia.

Charakterystyka *Maryi*. Na piękności tego poematu zwrócił uwagę pierwszy Maurycy Mochnacki (r. 1890), później Michał Grabowski; od tego czasu wyszło kilkadziesiąt wydań, od groszowych do najwytworniejszych, wspaniale ilustrowanych, świadczących o wielkiej popularności dzieła.

Marya jest też jednym z najcelniejszych dzieł poezji polskiej, jest w poezji europejskiej jedną z najpiękniejszych powieści poetycznych, godną stać w tym rodzaju obok poematów Byrona i Mickiewicza, a wyżej od wszystkich innych.

Osnowę do niej wzięł Malczewski z rzeczywistego zdarzenia, z ostatnich czasów Rzeczypospolitej. Szczęsny Potocki, syn Franciszka Salezego, wojewody kijowskiego, poślubił bez wiedzy ojca szlachciankę Gertrudę Komorowską. Gdy się starania o rozwód nie powiodły, porwano Gertrudę z domu rodziców, zatkano usta, żeby nie krzyczała, przez to uduszono w drodze, a zwłoki wrzucono pod lód na oduodze Bugu. Poeta przeniósł jednak akcję w czasy i kraje odleglejsze (pod koniec XVII wieku na Ukrainę) zmieniając nietylko imiona lecz i charakterystykę działających osób.

Badając bliżej poemat, rozpoznajemy w nim trzy pierwiastki, które się nań złożyły: charakter narodowy polski, wpływ Byrona i osobiste usposobienie poety.

1. Ze wszystkiego, co wydała nasza poezja romantyczna w swoich pierwszych latach, ona ma niewątpliwie najwięcej polskiego narodowego charakteru. *Czwarta część Dziadów* jest poematem miłosnym tylko, a przez rodzaj miłości, jaki w niej jest, podobnym do wielu innych z tej epoki. Grażyna, przez sam swój przedmiot z przedwiecznych litewskich dziejów tego charakteru wiele mieć nie mogła. W *Maryi* występuje po raz pierwszy świat polski i polskie życie w poetycznym świetle i przedstawieniu; po raz pierwszy prosty staropolski szlachcic staje się bohaterem poematu; po raz pierwszy zjawia się w poezji szczeropolska postać niewieścia, ze wszystkimi charakterystycznymi cechami swojej natury. Jak treść sama wzięta jest z historycznej rzeczywistości, jak sam powód tragicznej kolizji — głęboki przedział w pozornej szlacheckiej równości — jest także uchwycony z samej głębi naszych stosunków: tak te postacie, od głównych i bardziej wypracowanych (jak Miecznik i *Marya*), aż do epizodycznych i zaledwo pokazanych (jak Wojewoda i Kozak), mają najważniejsze piętno polskiej rzeczywistości i prawdy. A jak prawdziwemu zdarzeniu umiał poeta z delikatnym i szlachetnym taktem zachować tragiczność a odjąć cechę historyczną, indywidualną, występujących w niem ludzi, tak znowu tym swoim bohaterom umiał nadać doskonałą prawdę i rzeczywistość indywidualną i polską, psychologiczną i narodową, a zarazem nadać im poetyczny urok i tragiczną wysokość.

Po raz pierwszy także występuje w poezji polskiej fizyczna natura kraju poetycznie pojęta i przedstawiona, i prócz

tego służąca za tło wypadkom, dostrojona do jednego z nimi tonu, wywołująca i potęgująca to samo wrażenie.

Na osobną uwagę zasługuje cecha ukraińska Maryi: stepowy kraj-obraz ze swoim charakterem melancholicznym, i Kozak z właściwościami swojej natury i swoim zewnętrznym kształtem — tu zjawiają się po raz pierwszy, i stąd dostaną się do mnogich późniejszych poematów i powieści.

2. Drugi pierwiastek składowy Maryi wyrobił wpływ Byrona.

Malczewski nie zostawał w związku z całą naszą współczesną literaturą, nie był pod wpływem romantyków: po jego niektórych wyrażeniach, a nawet po sposobie prowadzenia rozmów możnaby raczej poznać wpływ klasyków. Ale jeżeli nie polski, to europejski romantyzm działał na niego silnie, a przedewszystkiem Byron. Sama forma, sam rodzaj poetycznej powieści, zmieszanej z epickiego i lirycznego pierwiastka, wzięte są od Byrona. Od niego także przejął Malczewski ten sposób prowadzenia rzeczy i opowiadania, zawsze cokolwiek tajemniczy, niewyraźny, podniecający sztucznie ciekawość czytelnika, a podnoszący (znowu sztucznie) ponure wrażenie powieści. Wacław zwłaszcza, ze swoją naturą namiętną i burzliwą, przecuciową a gorzką, i z tą straszną na końcu przemianą, kiedy przez nieszczęście i rozpacz psuje się i każe się obawiać jakiejś przyszłości strasznej, jest charakterem i wrażeniem, jakie robi na czytelniku, podobny do bohaterów Byrona — co nie przeszkadza, że jest wspaniały i po mistrzowsku wykonany.

3 Trzecim pierwiastkiem, który się daje rozpoznać w Maryi i który wybija na niej to właściwe piętno poetycznego wdzięku i ciężkiego, tęsknego smutku, jest usposobienie poety samego i natura jego talentu.

Uspodobienie to opisują współcześni jako w młodości pogodnie i wesołe; jednak czy oni nie dostrzegli ukrytej pod wesołością tęsknoty, czy też wyrobiła się ona później pod wpływem wypadków życia, dość, że w Maryi jest smutek głęboki i ciężki, a do żadnego innego nie podobny. Nie ma w nim goryczy i namiętności Byrona ani rzewności Zaleskiego, a jest jakaś stałość i niezmiennosc, jakiś niby fatalizm smutku, z pod którego wydobyć i wyłamać się nie można. Jest to tło uczuć Malczewskiego i jego sposobu patrzenia na świat. A ten rodzaj ponurego (nie burzliwego) liryzmu odzywa się w Maryi w samym pojęciu i wykonaniu postaci i w tych ustępach wtrąconych, niby nie koniecznych, w których poeta mówi sam za siebie, a które należą do najświetniejszych w poemacie (naprzykład 2 i 8 pieśni pierwszej, 1, 7 i 19 pieśni drugiej).

Obok tego liryzmu, który ma swoją cechę odrębną, zważyć należy artystyczne usposobienie Malczewskiego, jego rzadki dar tworzenia, który daje się poznać i ocenić w jego postaciach, szkicowanych, niewykończonych, prawie przesuwających się tylko przez scenę powieści małej, której rozmiary nie dopuszczały innego ich traktowania, a tak żywych i plastycznych, tak prawdziwych w swojej typowej czy indywidualnej charakterystyce.

Od samego ukazania się Maryi robiono jej zarzutów wiele. Mochnacki wytykał jej retoryczność, deklamacyjność, naśla-

dowanie Byrona; a zarzuty te powtarzają się dotąd. Co do owego naśladowania, to wpływ Byrona jest widoczny, ale nie dochodzi do takiego stopnia, któryby szkodził czy oryginalności dzieła czy jego charakterowi polskiemu. Ze przemowy (Maryi, Miecznika, Wacława) są długie, to prawda, ale ta długość nie zmienia zawartych w nich piękności. Gorszą od długości byłaby zdarzająca się czasem zawilość zdań i okresów, niedoskonałość języka i stylu, która pochodzi stąd, że Malczewski przyzwyczajony od dzieciństwa mówić najwięcej po francusku, pomimo nauk w języku polskim, władał nim zawsze z pewną trudnością. Jednak jak język jego i styl, mimo zdarzających się niedoskonałości, jest ogółem wzięwszy bardzo piękny i wysoko poetyczny, tak i w dziele jego usterki, jakie są, znikają w porównaniu z nierównie liczniejszymi pierwszorzędnymi pięknościami. Z wyjątkiem Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, żaden poeta polski XIX wieku nie stworzył dzieła, któreby było równe Maryi, a Malczewski tym tylko wymienionym trzem ustępuje pierwszeństwa, wszystkich zaś innych przewyższa.

od poetycy...
rym...
...

M a r y a.

Powieść ukraińska (w skróceniu).

P i e ś Ń I.

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie:
A kto by chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, i nie będzie umiał w to ugodzić.

Jan Kochanowski.

- I. Ej ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozacze?
Czyś zaoczył zająca, co na stepie skacze?
Czy rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?
Lub może do swej lubej, co czeka śród niwy 5
Nucąc żalostną dumkę, lecisz niecierpliwie?
Bo i czapkęś nasunął, i rozpuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się po drodze;
Zapał jakiś rozżarza twojej twarzy śniadość, 10
I jak światółko w polu błyszczący na niej radość;
Gdy koń, co jak ty, dziki lecz posłuszny, żyje,
Porze szumiący wicher, wyciągnawszy szyję.
Umykaj Czarnomorcu! z swą małą skrzypiącą,
Bo ci synowie stepu twoją sól roztrąca.
A ty, czarna ptaszyno, co każdego witasz, 15
I krążysz, i zaglądasz, i o coś się pytasz,
Spiesz się swą tajemnicę odkryć kozakowi —
Nim skończysz twoje koło, oni ująć gotowi.

- III. Minał już kozak bezdnę i głębokie jary,
 Gdzie się lubią ukrywać wilki i Tatarzy; 20
 Przyleciał do figury (co jej wzgórek znany,
 Bo pod nią już oddawna upiór pochowany).
 Uchylił przed nią czapkę, żegnał się trzy razy,
 I jak wiatr świsnął stepem z pilnymi rozkazy,
 I koń rzeski, żadnym się urokiem nie miesza, 25
 Tylko parsknął i wierzgnął i dalej pospiesza.
 Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje,
 A śmiały wierny kozak myśl pana zgaduje —
 Szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi,
 A żwawy wierny konik kozaka rozumie — 30
 I przez kwieciste łąki, przez ostre bodiaki,
 Lżej się nie przesuwają pierzchliwe sumaki;
 I jak strzała schylony na wysokiej kuli,
 Czai się zwinny kozak, do konia się tuli;
 I przez puste bezdroża król pustyni rusza — 35
 A step — koń — kozak — ciemność — jedna dzika dusza.
 O! któż mu tam przynajmniej pohulać zabroni?
 Zginał — w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni.
- IV. Ruszaj, ruszaj kozacze — pośpiech nakazany;
 W starym wyniosłym zamku nie małe odmiany: 40
 Pan wojewoda z synem od dawna w rozprawie,
 Długo teraz rozmawiał. i bardzo łaskawie;
 A jednak — żywe były urazy i zwady.
 Zatruta serc pociecha, zniszczone układy,
 I lży czulej rozpaczy i pychy zapału 45
 Płynęły, często, gorzko — ale bez podziału.
 Już inaczej w tym zamku — znikły niesmak, żalność,
 Jaśnieje przepych pański, naddziadów wspaniałość;
 Już wśród licznych dworzan i służby orszaku,
 Grona paziów, rycerzy domowego znaku, 50
 W okazałe komnaty, długo niewidziany,
 Zeszedł pan wojewoda bogato przybrany;
 A gdy każdy to szczęście usiłował głosić —
 Zdawał się więcej synem niż chlubą unosić,
 W spokojnych jego rysach trudno poznać znamię 55
 Głębokich wewnątrz uczuć, tylko dzielne ramię —
 Świetna mowa, dla ludzi — imię znakomite —
 Co w sobie, to na zawsze dla wszystkich ukryte.
 Lecz teraz, czy z potrzeby, czy w nagłym wzruszeniu
 W pieśczętach dawał ulgę długiemu cierpieniu; 60
 I gdy w cichości z synem sprawę jakąś waży,
 Widocznie uśmiech igrał na poważnej twarzy;
 A w oczach nie mignęła szybka, dzika radość,
 Jak kiedy długim chęciom już się staje zadość,
 Jak gdy w trudzącym biegu i myśli uścisku 65

Spocznie, kto już na chwilę choćby na mrowisku.
 Spocznie! — och! może tylko czoło palające
 Położy, gdzie go żądeł czekają tysiące.

- V. Do późnej nocy w zamku zgiełk i tentent trwały,
 Do późnej nocy trąby i wiwaty grzmiały. 70
 Dawny wrócił obyczaj, wspaniała ochota
 Długie się stoły śkliniły od srebra i złota;
 I loch pański jak serce zdawał się otwarty —
 A stary węgrzyn płodził nie bez duszy żarty;
 I godząc huczne tony z wesołym bałasem. 75
 Muzyka z swą melodyą przebiła się czasem.
 Do późnej nocy twarze — ostre — malowane —
 Przodków, w długim szeregu zebranych na ścianę,
 Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami,
 I śmiać się do pijących — i ruszać wąsami. 80
- VI. Już ucichli surmacze; sen szczęście osłania —
 I puszczyk z wieży zaczął grobowe wołania;
 A jeszcze — w bocznem skrzydle obszernej budowy,
 Gdzie dzielny wojewoda wzrok orli surowy,
 Pomarszczoną powieką w ustroniu przyciska, 85
 Jak w jaszczur kryją kamień, którym duma błyska —
 Jeszcze stuk chodu słyhać — lub ciężkie westchnienia
 W przerwaniem tępotaniu wracają sklepienia,
 Nikt tam nie zawołany wnijsć się nie poważy —
 Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy — 90
 Tam może brnąć już w rozpacz: w niezwykłej niemocy
 Depce burzliwym krokiem po ciemnościach nocy,
 Jakby w jej czarnem tchnieniu chciał gdzieś znaleźć rękę
 Krwawej, zgubnej przyjaźni — lub zgasić swą mękę!
 I gdy z gorących oczu sen trwożny odlata, 95
 I gdy mu duszną była wysoka komnata,
 Otworzył wąskie okno — patrzył czas niejaki
 Na swoje liczne hufce, rozwinięte znaki,
 Co się do nakazanej zbierały wyprawy;
 Słuchał budzącej trąby i wojennej wrzawy. 100
 Pryskałą rączę konie, brzęczą w ruchu zbroje,
 Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje.
- VII. Dano znak — wrzasły trąby — szczęknęły podkowy —
 Mężnego towarzysza wierny szeregowy
 Jak cień nie odstępuje — i szybkim obrotem 105
 W ciasną gotycką bramę suną się z łoskotem.
 Dopiero to na polu — gdzie ogromne koło
 Wytoczyło już słońce — bujają wesoło,
 I pstrym swoim proporcem, nim sławy dostąpią,
 W żywych strumieniach światła jak orły się kąpią. 110
 Tysiące drobnych tęczy odbija się w zbroi;

- A na czele tych szyków wyniosły młodzieniec,
 Lecz któż on? jakież chwały czy szczęścia rumieniec,
 Lniane chce cieniść włosy?...
- Na lotnym jechał koniu — i nad jarów brzegi 115
 Poprowadził w porządku milczące szeregi;
 Znikli w zarosłą przepaść — aż krążąc parowy,
 Jeszcze raz świetne z krzaków ukazali głowy.
- IX. Pod staremi lipami Miecznik dumał stary,
 I dźwigał w zwiedłej głowie utrapień ciężary. 120
 Chociaż ten czarny żupan, smutny przy siwiźnie,
 Nosił i jasne barwy, gdy służył ojczyźnie.
 Ojczyźnie! której imię śród boju i rady,
 I spornego wyboru i hucznej biesiady,
 Czystym gorzało ogniem — a serce, jak w wiosnie 125
 Ptak do słońca, do niego skakało radośnie!
 Ale czas świetnych uczuć już ściemniał — ej! minął,
 I boli tylko życie, a kwiat jego zginął.
 Dumał — i przez złe żale, obecne zgryzoty,
 Pokrył kir nieprzebitą grożącą sromoty. 130
 O! póki tchu przynajmniej, tak łatwo i marnie
 Płomień zawziętej pychy gniazda nie ogarnie!
 O! póki czarny żupan żywe członki ciśnie,
 Wyszła ręka w potrzebie starą szablą błysnie!
 Lecz potem? — dumał Miecznik i wzrok wodził hardy, 135
 Pełen niechęci, gniewu — a może i wzgardy.
- X. Przy nim młoda niewiasta — czemuż, kiedy młoda,
 Tak zamglonym promieniem świeci jej nroda?
 Ni jej ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty:
 Czarne oczy spuszczone i żałobne szaty; 140
 A w twarzy smutek, czoło co schyla w cichości,
 Którego całym blaskiem uśmiech cierpliwości!
 Lub jeśli kiedy nagle, wpośród gęstych cieni,
 Jaka myśl, czy pamiątka jej lica zrumieni,
 To tak mdłym, bladym światłem, jak gdy księżyc w pełni 145
 Niezwykłym życiem rysy posągu napelni.
 Piękna, szlachetna postać do aniołów grona
 Dążyła ich czystości czarem otoczona;
 Ale trawiący oddech światowych uniesień
 Owiał pąk młodych uczuć i zarzył jak jesień: 150
 To jeszcze jest na drodze, gdzie nią wicher miota,
 W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota;
 Serce nosi uschnięte, a świeci jak zorza,
 Podobna do owoców Umarłego Morza,
 Pod których śliczną farbą, śród trudu, mozoly, 155
 Podróżny widzi nektar, znajduje — popioły.
 Jakaś posepna słodycz w jej każdym ruszeniu,
 Ani łzy, ani żalu, w jej mglistym spojrzeniu;

O! nie — przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny,
 Tylko znikłej nadziei grobowiec spokojny, 160
 Tylko się lampa szczęścia w jej oczach paliła,
 I zgasła — i swym dymem całą twarz zaćmiła.

XI. Przy nim młoda niewiasta nad księgą Żywota
 Jak trwożna gołębicą, pod jasności wrota
 Wzbijała ducha wiary, i skrzydły drżącemi 165
 Szukała swego gniazda daleko od ziemi.
 A że nad przepych świata i blasków pozory
 Widniejsze pióra białe niżonej Pokory,
 I drży nić, którą serce do nieba związane:
 To kropla słodkiej rosy upadła w jej ranę. 170
 I wznosząc w górę oczy, z tym tkliwym wyrazem,
 W którego jednym rzucie wszystkie czucia razem,
 Gdzie Przyszłość do Przeszłości po jasnym promieniu
 Biegnie jak czuła siostra łączyć się w spojrzeniu —
 I wznosząc w górę oczy — doznała, jak lubo 175
 Rozbłąkanej w swym żalu swego szczęścia gubą,
 Gdy już z ziemskich i chęci i strachu ochłódła,
 Tęsknić szlachetnej duszy do swojego źródła!

XII. „Ojczy! ja nazbyt długo, w miłych myśli kole,
 „Obląkałam się dzisiaj, a na twojem czole 180
 „Ciemne następstwo zgryzot zawsze się przebija;
 „A kiedy radość mignie, to zaraz i mija,
 „Jak promyk co z obłoków na wyniosłe góry,
 „Błyśnie — i znów go skryją wiatrem gnane chmury.
 „Oh! czemuż już nie spocznie twoja głowa siwa — 185
 „Tu na łonie? — nie bój się — teraz żal nie spływa
 „Jak wtedy, coś w mych rękach usnął zmordowany,
 „I wstał, schylonej córki łzami zapłakany!
 „Ojczy! drogi mój ojczy! czyż już żadnej chwili
 „Nigdy ci twoja córka, nigdy nie umili? 190
 „Gorzka jej była dola — ale to już przeszło:
 „Patrz, jakie słodkie światło we mnie się rozeszło;
 „I uśmiech biega w twarzy niż kiedy zabawniej,
 „I twój pragnie obudzić — jak w szczęściu — jak dawniej.
 „I gdzież to się podziła tej dziewczynki władza? 195
 „Pierwej zganiała chmury, a teraz sprowadza;
 „I gdzież to żywy, czysty strumyczek upłynął?
 „Mruczał na swą nikczemność, a w jeziorze zginął.
 „A nasz śliczny kanarek, gdzież to się obraca?
 „Chciał w ogniu piórka złocić i więcej nie wraca. 200
 „O! póki ten, co w mojem na zawsze był sercu,
 „Nim go moim nazwałam na ślubnym kobiercu —
 „O! póki ten, co jemu w uczucia się wplatać,
 „Brzmieć w szlachetnych pomysłach, w westchnieniach ulatać
 „W spojrzeniach czuć się swiałłem i życia potrzebą, 205

- „Było więcej niż szczęście, było dla mnie niebo —
 „O! póki ten mój miły, ten świat mojej duszy,
 „Łańcucha naszych węzłów swą wzgardą nie skruszy,
 „Wierny zostanie cnotcie, miłości, pamiętkom, 210
 „A gdy znikł pałac szczęścia, wierny jego szczątkom;
 „Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło wieko,
 „Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko,
 „Płynąć będzie tajemnie w umarłe uczucia,
 „I jak cudowny balsam bronić od zepsucia. 215
 „I tę straszną ofiarę — i to rozdzielenie —
 „Zniosę — cierpliwie zniosę — póki nasze cienie
 „W słodkich, czystych krainach złączone na zawsze,
 „Ludzi już nie zobaczą, lecz niebo łaskawsze!⁴
 Rzekła i jak w stojącej a popsutej wodzie, 220
 Wzruszone nagle męty osiadły na spodzie,
 Z serca jej wyszły uczucia, co w łzach długo mokły,
 I zielonym odcieniem jej błądź powlokły.
 „Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,
 „Niż żeby mi tak marnie wędnać miała córka, 225
 „Wolałbym w ciemnej turmie pewnej czekać zguby,
 „Niżli patrzeć spokojnie na te smutne śluby;
 „Alboż to w naszej Polsce braknie na młodzieńcach,
 „Co to pannom umięją wyskoczyć w rumieńcach,
 „I tak jak dawniej było — rycerskie kolano 230
 „Raz w życiu tylko ugiąć — po wianek, za wiano!
 „Nie Maryo! nie trza wzdychać — twego nie obrażam.
 „Mężny jest i cnotliwy — wiesz, że go poważam,
 „Lecz mnie jego rodziny pycha niecierpliwi —
 „A kiedy łzami Maryi swoje serce żywi, 235
 „Ha, toć i u mnie szabla nie czczy tylko blaskiem,
 „I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem.
 „Taż to u naszej szlachty dawne przywileje,
 „Skrzesać ognia w pałazę, gdy Przyjaźń ściemnieje —
 „Przyjaźń? a nasze hufy nie z sobą na sejmie, 240
 „A nasze *veto* krzyczy jeszcze i w rozejmie!
 „I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy,
 „Nie rzuciły mnie wówczas Szwedowi na głowy;
 „I gdyby twoja Matka (daj jej niebo Panie!)
 „W swe rańtuchy nie skryła młodych serc kochanie, 245
 „A niewieścim w błyskotkach, tajemnicach, smakiem
 „Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem:
 „Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować,
 „Anibym jego złości dozwolił grasować.
 „Bo cóż to ja zastałem? żonę zmiotła kosa — 250
 „A córę — szczep jedyny — z łez polewa rosa.
 „Dla starej karabeli zbyt to wielkie dziwy
 „Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.
 „Alboż choć raz do serca me dziecię przytulił?

„Alboż młodością — wdziękiem — choć raz się rozczulił? 255
 „Nie — od domu, imienia ze wzgardą odgania,
 „I teraz w Rzymie szuka ślubów rozwiązania.
 „O! co tak to najlepiej! i mnie to rozwiąże —
 „Wysunie rażna młodzież, i ja za nią zdążę :
 „Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc wezwą, 260
 „To w końcu tej tam waśni — dzwony się odezwą!“
 Otarł znużone czoło, czapkę głębiej wmiął,
 Kiwnął ręką i głowę czarnym myśłom zwiesił.

XIII.

Za wrotami koń grzebie, a we wsi psów wrzawa:
 Zkąd to kozak przypędził, że taka kurzawa? 265
 I zsiada, i na płocie cugle zarzuciwszy,
 Wchodzi w duży dziedziniec, waśa poprawiwszy.
 Na ogorzałej twarzy ostrych chwil wspomnienie.
 Prosty jego był ułkon, krótkie pozdrowienie;
 Jednak różnym się zdaje od służalców grona, 270
 Poddany — lecz swobodę z ojca powziął łona,
 I gdy dumnie pojrzawszy do pana iść żąda,
 Śród wiodącej go zgrai, jak władca wygląda;
 Zwinne jego obroty, kroki jego letsze,
 Bo swoje członki wędził na stepowym wietrze, 275
 A barania mu czapka za każdym ruszeniem
 Miga gdyby chorągiew czerwonym płomieniem —
 Pomiedzy chwast, zarośle, gdzie lipy z okopu
 Są i cieniem i trwogą poziomemu chłopu —
 Aż przed pana Miecznika stawi się z orszakim, 280
 A koń rży, jak za matką tęskni za kozakiem.
 „Czy masz pismo?“ — „Jest Panie - i jeszcze list wczora
 „Oddałbym nim kur zapał, bo świsnął z wieczora,
 „Ale że czart na stepie tumany wyprawiał,
 „To żeby was z Jejmością Bóg od złego zbawiał.“ 285
 „Że wasze mi z listami spóźnił się — to gorzej:
 „Czyj kozak co się djabłów, albo ludzi trwoży?“
 „Alboż wam nieświadoma krasnych czapek sława,
 „Co z rodu panom wierna? — czyj? — Grafa Wacława“.
 Czyta Miecznik: gdy w Maryi ocknionem wejrzeniu 290
 Nie czcza tylko ciekawość — życie w przesileniu;
 Jej łono podniesione w lekkiej pływa fali,
 Co ją do szczęścia niesie, lub szturmem obali.

XIV.

„Niechaj kto z ludzi zgadnie! — jeśli to nie zdrada,
 „To mojej biednej Maryi radość zapowiada. 295
 „Pisze mi wojewoda w cukrowych wyrazach,
 „Że mamy już zapomnieć o naszych urazach,
 „Ze żałuje za grzechy — nie tylko ogłasza
 „Swoją afekt dla synowej, ale w dom zaprasza,
 „Więcej jeszcze — takiego, jak mówi, zameżcia 300
 „Syn nie wart, bo zasługą trza się dobić szczęścia ;

- „Pragnie więc, żeby wprzódy w wojennej potrzebie
 „Jakim rycerskim czynem stał się godnym ciebie;
 „I gdy właśnie Tatarzy grasują w tej stronie,
 „Jemu stawić się kazał w twych wdzięków obronie; 305
 „A tak z laurem u czapki świata się pochwalił,
 „Że ten co umie kochać — potrafi ocalić!
 „Dziś ma tu z wojskiem ciągnąć“. — „Dziś? ja go zobaczę?
 „O Boże! jaka radość! jakże serce skacze!
 „Ale na cóż te bitwy? czyż z twarzy wyrazu, 310
 „Że śmiały i szlachetny nie widać od razu?“
 „Jednak to rzadko ludzi jak pan wojewoda;
 „Sam wyznaje się winnym — lecz mnie ciebie szkoda!“
 „Ojczy! ja taka blada — on mnie się przerazi,
 „Może się dużo zmartwi — może się obrazi! 315
 „Trzeba się — trochę przywdziać — jakże znajdujecie?
 „Jabym chciała być jemu najpiękniejszą w świecie!“
 „Czekaj! czekaj! — przed siecią nie złapiesz szczupaka;
 „Wszakże i ja Tatarów wypłoszyć stąd żądam.
 „A dla czego wždy siedzę? — bo się w zad oglądam, 320
 „Zobaczym tych rycerzy — mnie się wszystko roi,
 „Że jakieś mataczyny wojewoda stroi“.
 Ale już trąb w powietrzu rozlega się brzmienie,
 Słychać zdała chrzęst zbrojnych, a ziemi jęczenie;
 Już wyprzedziwszy hufce, co w wolnej szły mierze, 325
 Stanęli jacyś u wrót skwapliwi rycerze.
 „Wacław!“ krzyknęła Marya — i prędzej niż strzała
 Kirem okryta postać do niego leciała.
- XVI. „No, panie zięciu!“ Miecznik z mokremi oczami,
 Błyszcząc radością serca, mówił pod lipami, 330
 „W tym widzę dzikim świecie wiatr pociechą wodzi;
 „A ledwo witać zdążysz — żegnać się przychodzi!
 „Tą razą nie na długo — mężnie się postawim,
 „Ja moich także zbiorę, to się nie zabawim.
 „Dobrze mówią, że twarda powinność rycerza, 335
 „Kiedy mu zwłaszcza miłość wygląda z pancerza,
 „Ależ po krótkim znoju, spokojnej swobody
 „Użyć bezpieczniejsz można na wesołe gody.
 „Ja ludziom oręż rozdaję, siebie też przysłonię;
 „Ale jak w trąby wrzasną, to zaraz na konie!“ 340
- XVII. Poszedł. — Na świetnem, zimnem rycerza ramieniu
 Sparta śliczna twarz blada, w piór łagodnem cieniu.
 Czarne warkocze dźwięczą, bo w łusce pierś harda,
 Giętką kibić nie ciśnię, choć ściska dłoń twarda:
 „Nie drzyj, wszystko minęło, gdym ciebie zobaczył — 345
 „Jeszcze pierwej: tylko, żeś moją, oświadczył,
 „Tak mi tem jednym słowem serce usposobił,
 „Jak gdyby mi nikt — nigdy nic złego nie zrobił,

- „Och! z jakąż ja radością te lipy ujrzałem!
 „Jakże ich chłodu dusza pragnęła z zapalem! 350
 „Ty nie wiesz — ty, co umiesz bez chluby łyzy koić,
 „Co to jest dzikie serce do siebie przyswoić,
 „Co tęsknić za dobrocią, a wdzięków żałować,
 „W których wspomnieniu umysł chciałby istność schować.
 „Maryo! czyś ty nie chora? bo masz taką postać, 355
 „Jakbyś się do aniołów myślała już dostać;
 „I w nowem udręczeniu, choć się tobą pieścisz,
 „Prawie się spytać pragnę, czy mnie kochasz jeszcze?“
 „Czy Marya ciebie kocha? mój drogi, mój miły!
 „Więcej niż kochać wolno i niż mogą siły: 360
 „Więcej niż wątłe serce, gdy jemu już zadość,
 „Znieść umie tak niezmierną, niespodzianą radość,
 „I gdyby nie Tatarzy, co mi w oczach błyszczą;
 „I gdyby nie ich strzały, co mi w uszach świszczą;
 „Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nic nie trzeba, 365
 „Jakbym w twojem objęciu leciała do nieba.
 „Czy Marya ciebie kocha? pytaj się jej cienia,
 „Czem dla Maryi świat cały bez twego spojrzenia?
 „Czem dla Maryi świat przyszedł — bez twego wspomnienia!...
 „Nieprawdaż mój Waclawie? ty będziesz odważny, 370
 „Stały, wytrwały, dzielny — ale i uważny!
 „A gdy już moje oczy wdrażone zgryzotą,
 „Długo patrząc w swój żywioł, swe życie rozplotą:
 „Gdy serce wytchnie z trwogi przy piersiach bez stali,
 „To może się na miłość Waclaw nie pożali? 375
 „Ach! z jak okropną trąby zagrały żałobą?
 „Och! nie rzucaj mnie znowu! och! zabierz mnie z sobą!“

- XIX. Dosiadł bystrego konia, lecz troski miał w oku
 Młody Waclaw, i w pierwszym osadził go skoku;
 Dosiadł bystrego konia, lecz spojrział wesoło 380
 Stary Miecznik, i w pędzie zawinał nim koło.
 Za nimi brzmią puzany, za nimi, za nimi,
 Zrywają się rycerze jakby ptaki z ziemi;
 Hasa szlachecka młodzież na wroga Tatara,
 Sunie się towarzystwo i w szeregach wiara, 385
 Pancerni i husarze, za nimi kozaki,
 I z spłoszonemi końmi harczą luzaki.
 I cicho — jak na sercu Śmierć swój obraz kreśli;
 I pusto — smutno — tęskno — jak u Maryi w myśli.
 Wzniosła swą lekką postać do góry, do góry: 890
 Nic nie widać, tylko wiatr szare goni chmury.
 Zniżają się kolana, prośba ręce składa,
 Z oczu w niebo utkwionych kroplami żal spada;
 I cicho jak modlitwa w łono Boga płynie,
 I pusto, smutno, tęskno, jak gdy szczęście minie. 395

P i e ś Ń II.

- II. Stało młode pachole, pod płótem zostało.
 Na smutek co się skarży, uważają mało,
 A ten, co z nim rozmawiał na wrotach oparty,
 Wyszczerył w inną stronę wzrok cały otwarty,
 Skąd w różnofarbnych strojach, huczne czyniąc wrzaski, 400
 Niespodzianym orszakiem zbliżały się maski.

1.

- Czy znasz weneckie zapusty?
 „I w noc, i we dnie,
 „Wesołe, szalone, przednie. 405
 „Maska twarz kryje — a kto się pyta
 „O sprawy czyje, tego przywita
 „Wrzawa, śmiech pusty.
 „Żywo, radośnie,
 „Skrycie, miłośnie,
 „Staruszek Doża, Arlekin młody, 410
 „Dziewczyna hoża, szuka osłody,
 „Matrony, oszusty
 „Swobody;
 „A kryte łodzie
 „Czernią na wodzie, 415
 „Wrzawa, śmiech pusty!
 „Czy znasz weneckie zapusty?“

2.

- „My sobie jedziem kulikiem,
 „I w noc, i we dnie,
 „Wesołe, szalone, przednie, 420
 „Maska nas kryje — a kto chce wiedzieć
 „Skąd my i czyje, to odpowiedzieć
 „Śmiechem i krzykiem.
 „Szczera ochota
 „Otwiera wrota: 425
 „Bo krakowiaki i pielgrzym stary,
 „Żydzi, Cyganki, uderzą w pary,
 „Wróżki, dyabli, nie oszusty,
 „W puchary.
 „Lecim saniami, 430
 „I jadą z nami
 „Wrzawa, śmiech pusty,
 „Czy znasz ty polskie zapusty?“
 „Ale tu wejść nie można; teraz nie zapusty,
 „Pan Miecznik na Tatarach, to i dworzec pusty“ 435
 Tak stary sługa wstrzymał tych przechodniów śmiałość,
 I znów rozparł na wrotach niewzruszoną stałość.

Lecz gdy grać, śpiewać, piszczeć, grzechotki potrząsać
 Poczęły wszystkie larwy, a nogami płaszać,
 I łączyć obce stroje, papierowe czoła, 440
 Wzrok żywy, rysy martwe, w migające koła,
 I farby, blaski, cienie, rozwijać w polocie,
 I skoczno, zwinno, huczno, rzucać się w obrocie;
 Tak mu w szumiącej głowie myśl wzięła tańcować,
 Że patrzył, a nie wiedział, jak się pomiarkować. 445
 Śmiał się z Żydów, Cyganek, bał Wrózek z dyabłami,
 I chciwie łapał ruchy, i mrużył oczami.
 A maski przed nim skacząc mijały się żwawo,
 A maski w nim ciekawość syciły obawą.
 „Ha! Pan Bóg święty z wami! jeśliście nie duchy, 450
 „To wasze pstre maskarki wesolej utuchy.
 „Alboż to nam pierwszyna? wszak nieraz kuligi
 „Po całych tu miesiącach skakały jak frygi
 „Prosim, Jegomość wróci; a choć nie jest w domu,
 „Na winie i pierzynie nie braknie nikomu.“ 455
 Weszły, nisko kłaniają; w parach się prowadzą,
 Obzierają się w koło i kupią i radzą.

III. Słońce już wówczas łuk swój zbiegając szeroki,
 Czerwonym blaskiem szare barwiło obłoki,
 A złotem drgając światłem po ziemi i wodzie, 460
 Na swym bogatym tronie płonęło w zachodzie.
 Już jego pełne dziwów nie razi spojrzenie,
 Lecz łagodne, widome, rozsiewa promienie,
 I w krótkim pożegnaniu, nim w głąb się zagrzebie,
 Śmiertelnym oczom patrzeć pozwala na siebie; 465
 Jeszcze w chwili ostatniej nie znika z pośpiechem,
 By wszystkie twory życia napoić uśmiechem;
 Jeszcze wзира przez szyby w mieszkanie człowieka,
 Jak wzrok tęsknej przyjaźni, co w podróż ucieka:
 I purpurowe szaty rzuciwszy na chmury, 470
 Nurza swe czyste łono w tajniki natury,
 Gdy noc, zazdrosnym palcem ścierając dnia ślady,
 Ciemny płaszcz wlecze z tyłu — dla zbrodni i zdrady.
 Lecz gdzie bawi pan Miecznik? właśnie to jest pora,
 W której przyrzekł po bitwie wziąć się do gąsiora, 475
 I miał żywej radości w sercu nie uchować,
 Dom zebrać, córę szczęścić, bo zięcia częstować;
 I piękna mu gromada przybyła w gościnę;
 Jakąż niewczesnej zwłoki może dać przyczynę!

IV. Od chwili, co zwycięstwa okryła się meta, 480
 Od chwili co w niej dosiadł żartkiego dzianeta.
 Od chwili, w której trąby w wszystkie jego żyły
 Głosem dzielnej przeszłości, jak grom uderzyły,

- I widział rażną młodzież, i słyszał chrzęst broni,
Trzask goleń, szum proporców, a chrapanie koni, 485
I dążąc w drużbie z zięciem, gdzie im sława świeci,
Czuł to, co stary orzeł, gdy piskłę z nim leci;
Od chwili, co mu w myśli wsteczny kręcąc biegiem,
Tatarskie zbrodnie krwawym stanęły szeregiem;
Hardość w zmarszczonem czole, ogień był w żrenicy, 490-
Czapka na lewem uchu, zniszczenie w prawicy,
Gdy chciwa walk dusza przeraźliwie wstrząsa
Każdy włos najeżony u siwego wąsa.
- V. Tymczasem wieś minawszy, z bitej schodząc drogi,
Coraz się — coraz głębiej wpędzali w odłogi; — 495
Tam wódz stary, jak żeglarz, podług biegu słońca
Szybował swoim wojskiem, w kierunku bez końca;
Wkrótce złączone hufce w umyślnym fortelu
Rozdzielił na dwie części — dla jednego celu,
Do zostających czapką kiwnął pożegnanie, 500
Z swoimi w bok się rzucił na niezmiernym łanie,
A kryjąc się w bodjaków rozkwitłych ogromie,
Już rycerze bez koni w czerwonym poziomie,
Już popiersia wędrują na skrwawionym spodzie,
Już kołpaki, proporce, już znikli jak w wodzie. 505
- VI. I Waclaw, pan wszechwładny, śród stepów przestrzeni
Sam buja w swojej woli: czegoż tak się mieni?
I Waclaw dziki, mężny, śród dzikiej natury
Wiedzie hufce do chwały: czegoż tak ponury?
Smutny on, zamysłony, choć pełen ochoty, 510
Nie spojrzął nawet jeszcze w swoje wierne roty,
A dlaczego? sam nie wie — tylko że mu sława,
Łzami Maryi splakana przed oczami stawa,
Szybkim głowy pomiotem strząsnął złote włosy,
Jakby się pozbyć starał zimnej na nich rosy; 515
Szybkiej konia w wysokoku przychylił się woli,
Jakby ulecieć pragnął od swojej niedoli;
Może on w boju legnie? co bądź mu przypadnie,
Jego umysł. ni szabla, nie uleże snadnie:
A chociaż śmierci oddech mgłą oczy zasłoni, 520
Rdzy nie będzie na sercu ni na jego broni,
I jak wstrzymany potok w swoim bystrym pędzie
Dno porze i rozwała łożyska krawędzie;
I jako rumak z pęta, gdy lot swój rozwija,
Rwie ziemię, ogień ciska i wiatry wymija; 525
Tak Waclaw niecofnięty w swym ciemnym zawodzie,
Rozdarłszy tło przyszłości, co mu na przeszkodzie,
Tem chciwiej, tem gwałtowniej na sztych się wydziera
Groźnym pewnością wzrokiem w swój orzeł poziera;

A jednak głos straszliwy (choć spojrzenie dumne) 530
Brzmi w całym jego ciele: „zdobędziesz ty trumnę!”

- VIII. Lecz cóż widać na wzgórkach z blizkiego rozdołu
Kłęby dymu z iskrami bubają pospołu,
Wiją olbrzymie słupy, co zgięte u góry
W ciężkie, czarne, skrwawione rozchodzą się chmury. 535
Lecz cóż słyhać na wzgórkach, w przyległej nizinie?
Płacz, jęki, krzyk rozpacz w słomianej dziedzinie,
Co biorąc serce w kręgi przeraźliwym brzmieniem,
Nawet pierś w stal oprawną podnoszą westchnieniem.
„Baczność! do broni wiara! chorągiew rozwinąć! 540
„Tatarzy wieś rabują zwyciężyć lub zginąć!”
I nagle, jak wodostok, rycerze zajadli
Z błyszczącym szumem z góry na dolinę wpadli.
Tak pożar z rąk łupieżców wieś całą ochłonał;
Gdy lud zlekty, bezbronny, w krwi i łzach utonął. 545
Lecz nie czas koić boleść, ni mienie ratować,
Lub pojedynczo z wrogiem o zdobycz harcować,
Bo już przez swoje czaty ich Han ostrzeżony,
Zebrał znaczniejsze hordy w taniec ulubiony,
Tam — za wsią — stoją, całe zakrywają pole, 550
Bór w lewo, strumień w prawo, a oni w półkole.
Widzi ich dobrze Waclaw, ale razem zważa,
Że napad uchybiony na zgubę naraża.
Jak się cofnąć przez ogień? ej! któż zdoła minąć,
Co mu niebo przeznaczy — zwyciężyć czy zginąć? 555
„Czyja wola, to za mną!” rzekł i spiał rumaka,
Co nim się rzucił w pożar zżyma się i skaka
(Mniej ów niżli Graf Waclaw odważny i dziki).
Jakżeby wodza polskie odstąpiły szyki!
To i oni w płomienie! wśród blasku pożogi, 560
Przez głównie i zarzewia szukają swej drogi.
Już za wsią — i wraz szybko, sformie, lekko, śmiało,
Rozwinęło się wojsko i w linii ostało:
Zagrzmiały wszystkie trąby jednym strasznym dźwiękiem,
Porwały się kopyta z jednym głośnym brzękiem, 565
A prycające konie i schylone ciała
Jednym pędem uniosła i Zemsta i Chwała.

- IX. Dzielne było natarcie. Tatarskie szwadrony,
Ich księżyce, buńczuki z końskimi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki, 570
Płec śniada, wasy zwiśte a czarne jak kruki,
Ich nasepione rysy, przymrużone oczy,
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy,
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały,
Pożar, stepy wokoło, świszczące już strzały, 575

Żadnego, albo raczej z bodźców odzienie,
 Takie na czuciach polskich zrobiły wrazenie.
 Pędem burzy lecieli, lecz nim przyszło z blizka
 Ludziom ostrza się dotknąć, koniom pyskiem pyska,
 Gdy w pół obręcz wpadali wślawniem prawidłem, 580
 Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem.
 „Alla hu!“ wrzasły hordy, i tysiączne roty
 Na opasanych strute wypuściły groty,
 „Hura!“ krzyknęła wiara i lotem sokoła
 Chmurę strzał przeszzywała w środku tego koła. 585
 Dochodzą, już dochodzą zbitym w rzędy tłumem,
 Lasem dzid najeżonych, z hukiem, z trzaskiem, z szumem,
 Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz a ściana
 Przebitych Bisurmanów wali się złamana.
 Tratują ludzie, konie; koncerze, kopie, 590
 Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije;
 Zapal głowy ogarnął; stal błyska; krew broczy;
 Śmierć trzusi się, zdmuchując wywrócone oczy!
 Wszystko to chwilę trwało, bo z boków i w tyle
 Barbarzyńcy nastają w niezliczonej sile; 595
 Czas ginąć hufcom polskim: młody wódz je zbiera,
 Zachęca ich, szykuje, obraca, naciera.
 Dopiero mieszanina: każdy obkoczony
 Wirem męztwa na wszystkie wywija się strony,
 Rąbie, sili, morduje z nieprzebraną zgrają. 600
 Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają;
 Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
 Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski.

X. W natłoku wrogów, co go od swoich oddziela,
 Sam, bez wsparcia, nadziei, świadka, przyjaciela, 605
 Walczył ponury Wacław, i walczył już o to,
 Żeby życia, co cięży nie oddać z sromotą:
 Śmierć miotał, śmierci pragnąc, cch! bo w serca głębi
 Pisk taki, jak gołębia pod dzióbem jastrzębi,
 Harmonią jego myśli. Lecz czyto z zdziwienia, 610
 Czy strachu, czy też skutkiem dzielnego ramienia,
 Ściskająca go w węzeł niezliczona tłuszcza
 Coraz to w większą przestrzeń przed nim się rozpuszcza;
 Widzą, poznają wodza, i każdy koleją,
 Rzuci się, zmiesza, zginie; zwyciężyć nie śmieją. 615
 I gdy błękitnem okiem rozpoznał młodzieniec
 Cofający się przed nim nieprzyjaciół wieniec,
 Smutku tylko doświadczył z tej dziwnej korzyści,
 Że już jego przeczucie na nim się nie ziści.
 Czemuż choć jednej strzały nie mieli w kołczanie, 620
 Coby jadem jaszczurki utkwiała się w ranie;
 Żal mu, że już uchodzą, życia się obawia,

Goni ich srogie dusze, piersi im nadstawia.
 Zaraz — zaraz — otyły, brunatno-czerwony
 Han tatarski tam wpada wściekłością spieniony; 625
 Postrzegł, że jego hordy jakaś moc zwycięża,
 Postrzega, że to męztwo samotnego męża;
 Targa kłaczystą brodę z rozpaczy w ohydzie,
 Gębę krzykiem rozdziawia, o! zgrozo! o! wstydzie!
 Na jednego tysiące, z zmarszczoną powieką, 650
 Miecze wznoszą, już lecą, rozsieką! rozsieką!

- XI. Jakież to grały trąby za przyległym lasem?
 Jakież to świeże hufce cwałują z hałasem?
 Jakiż to nowy rycerz krzyżowym zamachem 635
 Drogę sobie toruje śmiercią i przestraczem?
 Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe
 Wiatr z światłem rozwijają jak komota grzywę,
 A w płynających ruchach, w wydatnej postawie,
 Szparko biejący pośpiech o szybkość w obawie. 640
 Jak lwica opuściwszy swoje lwiątko skoczy
 Zajadłem męstwem, gdy je w pośród ludzi zoczy:
 Jak matka, o wygnańcu straciwszy nadzieję,
 Gdy ujrzy swoje dziecko, w radości topnieje:
 Z takim zmieszanem czuciem i matki i lwicy, 645
 Z kordem świecącym w ręku, z lotem błyskawicy,
 Zdziwionym, zlekłym oczom gdyby jakiej mary,
 Obok swojego zięcia Miecznik stanął stary.
 Jego hufce tuż za nim; jego przywitanie,
 Tobie należy najprzód, napuszony Hanie!
 Lecą obces na siebie: Polacy, Tatarzy, 650
 W bezczynnem zachwyceniu, patrzą co się zdarzy.
 Jakiś czas Miecznik żmudził: uderzy, odskoczy,
 I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy;
 Aż wybrawszy swą porę, w odwet silnym razem 655
 W kark niewierny święconem utopił żelazem.
 Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
 Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa,
 Toczy się, ziewa, blednie i gaśnie; z tułupa,
 Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
 Powstał krzyk przeraźliwy; pierzchają; koń Hana 660
 Ucieka między hordy z trupem swego pana.
 Strach przejął barbarzyńców: grzmiały trąby, rzeź grają,
 Nowi rycerze goniają, dawni się zbiegają,
 Trzask, iskry, świst z polyskiem, huk, wrzask, jęki, rzenie
 A zapyłona Sława upięknia zniszczenie. 665

- XII. Krótco już trwała walka. Wielu oręż składa,
 Więcej legło, płochliwych straż tylna dopada;
 Na stratowanej ziemi płyną krwi potoki,
 Leżą polskie, kozackie i tatarskie zwłoki;

- Jak który upadł tak mu zostać już niewola, 670
 Dusze k'niebu, ich konie rozbiegły się w pola;
 Opodał od nich w kurzu kołpaki, turbany,
 Tylko miecz wierny przy nich posoką zbryzgany.
 O! ty, co twój byt zawisł od współbraci męstwa,
 Pójdź słyszeć radość wojny i krzyki zwycięstwa! 675
 Zobacz, jak w pośród trupów, co już robak wierci,
 Wąsate twarze sobie winszują ich śmierci,
 I nasepione czoła rozwidniają śmiechem,
 Co w swym hucznym odgłosie jakby gromu echem!
 Chodź, nie drżj: stanąć przy nich każdemu zaszczytnie 680
 Krwią wrogów złana śmiałość tak bujnie w nich kwitnie:
 A jeśli w tobie budzi życia poświęcenie
 Za kraj swój, za swych ziomeków — tylko strachu drzenie,
 Jeślibyś wszystko za nich nie oddał w potrzebie;
 Opatrz się dobrze wewnątrz — to zleknieś się siebie. 685
 Chodź, do stalowych piersi twój kaftan wełniany
 Przyciśnij z wdzięcznem sercem — i całuj ich rany.
- XIV. O! jak ślicznie przez pole młody Waclaw bieży!
 Srebrny połysk na włosach, na piórach, a w zbroi
 Twarz ogromna księżycza malutka się dwoi 690
 O! jak ślicznie wśród ciszy w naturze rozlanej
 Lecieć z stęknionem sercem do swojej kochanej!
- XVI. Na nierozsłanem łożu, w żałobnej odzieży,
 Rozciągnięta niewiasta uszpięta tam leży.
 Ale jej snu twardego Wygoda nie pieści, 695
 I jakby nagłą przerwą gwałtownych boleści
 Jeszcze w tej sinej twarzy cierpienie zostało
 Choć spokojne, bez ruchu wyprężone ciało:
 To młoda, śliczna Marya! Rycerz przed nią stoi,
 Przyniósł jej ziemskie szczęście, i czegoż się boi? 700
 To młoda śliczna Marya? och! jakże zmieniona!
 Czy już się będzie robak tulić do jej łona?
 Ale nie długo Waclaw stał w tem podziwieniu,
 Prędko się w nim duch oparł swego ciała drzeniu:
 Schyla się na jej lica, usta do ust łączy,
 I słodycz swego serca rozkosznie w nie sączy.
 „O! moja droga Maryo! ty zimna i niema, 705
 „A dla nas już jest szczęście“ — echo mówi: „niema“
 „Maryo! kochana Maryo! w boju mnie widzieli,
 Ojciec mnie z tobą spoi“ — echo mówi: „dzieli“.
 Znowu ją pieści, cuci z miłością stroskaną,
 Coby się pocieszyła choć westchnień zamianą; 710
 Jej głowa nagłym rzutem na piersi mu spada,
 I w uderzonej stali jękiem odpowiada.
 Krzyczał — szukał ratunku — pusty dom przebiegał —
 Tylko się marny zapęd po ścianach rozlegał!

Wraca — znalazł nadzieję — może czy nie zetrze 715
 Mroku z jej czarnych oczu otwarte powietrze?
 Lecz gdy silne rycerza unosi ją ramię,
 W jakież okropne ruchy jej kibić się łamie!
 „Och! wody! wody!“ wołał z przeraźliwym wrzaskiem,
 Ogromne drzwi budynku wywalając z trzaskiem. 720

XVII.

W szarej chwastów zarośli lekki ruch się zdaje,
 Rozsuwają się liście i czapka wystaje
 I głowa się podnosi, i stanęło ciało,
 Co tam w cichem czekaniu ukryte siedziało,
 Młodego pacholecia, co na świat płakało. — 725
 I wzrokiem rozczulonym patrzy się w rycerza,
 Co jego zwiędłą młodość podziwieniem zmierza
 Czy strachu, czy uroku schowane tam siłą,
 Nie wiem: wyszło z gęstwiny i tak przemówiło:
 „Niech rycerz drżącym sercem nie pragnie tak wody, 730
 „Bo w niej zgasnął dopiero blask ziemskiej urody
 „To te obrzydłe maski w swej zdradnej zabawie,
 „Śliczne łono tej pani zatopiły w stawie;
 „A kto raz ludzi porzuci,
 „Nigdy już do nich nie wróci. 735
 „Wszyscy domowi — szlachta, panny, giermki, draby,
 „Pobiegli w pogoń, drudzy po księży i baby:
 „I dom teraz w cichości, lecz nim zorza znijdzie,
 „Mruczając, kadząc, śpiewając, służba śmierci przyjdzie,
 „A kto im się raz dostanie, 740
 „Zawsze już u nich zostanie.
 „Zawsze — och smutne brmienie, kiedy srogim losem
 „Ciężkiej straty i żalu stanie się odgłosem,
 „W miłości i przyjaźni, w każdej życia dobie,
 „Tak często powtarzane, a prawdziwe — w grobie; 745
 „Bo kto raz ludzi porzuci,
 „Nigdy już do nich nie wróci“.
 I podniósłszy na palcach swoją małą postać,
 Żeby się rycerzowi do ucha mógł dostać,
 Szeptał, szeptał swą powieść; a w twarzy rycerza 750
 Czarna, czarniejsza chmura coraz się rozszerza;
 I znów nagle rozpaczą zaciemnione lica
 Zapalał gniewu i wzdardę jak piorun oświeca.
 Aż w nim powstała wreszcie ta ponurość dzika,
 Co patrzy w jeden przedmiot — w trumnę przeciwnika. 755
 Kruszy najświętsze węzły w ogniu swego piekła,
 Gdy i w najbliższem sercu trucizny dociekle!
 Aż w nim powstała wreszcie ta chciwość szalona
 Krwi, krzyku, dzwonów — płomień popsutego łona,
 Co domowej niezgody rozpala pochodnię, 760
 I w własnem swoim gnieździe zbrodnią karze zbrodnię.

XVIII.

I tak Waclaw od razu wszystko w świecie traci,
 Szczęście, cnotę, szacunek dla ludzi swych braci;
 I nigdy już swej lubej ze snu nie obudzi,
 Co mu miała zastąpić wszystkie cnoty ludzi, 765
 Której blask czysty, słodki anielskim pronieniem
 Fałsz przyjaźni, serc próżność, powłóczył złudzeniem.
 I tak Waclaw pozostał samotny w pustyni:
 Jakże zniknięcie Maryi ciemną ją uczyni!
 Długo on przy jej zwłokach stał w niemej żałobie 770
 Jakby z kamienia posąg przy kochanki grobie,
 Bo zgroza srogiej złości i widok jej skutku
 Wygnały nawet z duszy rozczulenie smutku:
 Tylko ten gorzki pomysł do żalu go wrócił,
 „Ach! czemu ufał ludziom, czemu ją porzucił!“ 775
 I gdy w jej zbrzęklej twarzy widzieć mu się zdało,
 Co tam w walkach ze śmiercią mimo niej zmartwiało —
 Pierwszy, ostatni wyrzut, i to z tym wyrazem,
 Ze ich szczęście i siebie zagubił z nią razem;
 Wtedy dopiero serce odzyskało bicie, 780
 Twarz ukrył w obie ręce — i płakał jak dziecię!
 Lecz nie długo: już serce zdradzone, pokłute,
 Zepsuło się w truciznie przez jedną minutę;
 Już w duszy wprzód wyniosłej zatknięte to godło,
 Co wygnańców swych myśli w sromotę zawiodło; 785
 Czyż ten bujny młodzieniec już ziemi ohyda?

XIX.

Co Waclaw sobie w życiu może obiecywać?
 Trudnoby wytłumaczyć, i straszno zgadywać;
 Na jego sercu ciemna, skrwawiona zasłona,
 Dosyć — na cóż ją zdzierać z ranionego łona? 790
 Wszystko on już postradał, i chyba to zyska,
 Ze nie czas, ale płomień, zniszczy w nim zwałiska.
 To w krótkim zamyśleniu korząc się przed Bogiem,
 Ze swym małym przyjacielem czyli nowym wrogiem
 Umarłe ciało nazad wnieśli do komnaty; 795
 A księżyc mglistym oczom pożyczył oświaty.
 Tam Waclaw raz ostatni posłanie jej mości,
 I czułem wyęczeniem bezwładnej skromności,
 Jej członki, włosy, szaty w porządek układa,
 Bo ciekawa złośliwość i w śmierci ogada. 800
 Wtedy — z tęsknem wejrzeniem na jej martwe lica,
 W którym żalność rozstania, lecz i obietnica
 Prędkiego połączenia, z uwagą rozpaczy,
 Co każdy rys nieszczęścia w pamięć sobie znaczy —
 Wtedy dobywszy miecza, co świsnął, a w cięciu 805
 Srogim będzie i w trupa zostanie ujęciu,
 Wyszedł — i zaraz z twarzy wszelkie znikły bole
 Skoczył na koń — a za nim usiadło pachole,

Lecz któż był ten człek mały z okiem zapłakanem?
 Czy duchem jego losu? Aniołem? Szatanem? 810
 Czy szczerze drażni męki, lub smutek z nim dzieli?
 Nie wiem; objął rycerza i w cwał polecieli.

XX

Na ukraińskiej cerkwi błyszczą się trzy wieże;
 A ukraińskie baby szepcą swe pacierze;
 Biją we dzwony żaki, i zysk sobie krzeszą; 815
 Ludzie dobrzy — czy chrzciny, czy to pogrzeb, spieszą.
 Wewnątrz kiry, katafalk i trumna, a w rzędy
 Błado palą się świece: czarno, straszno wszędy.
 Czyjaż tam wzniosła postać śród ciekawych grona
 Leży długim i martwym krzyżem rozścielona? 820
 Czyjaż tam pierś rycerska w kurzawie się wala?
 I z tą cichą pokorą, co się nie użala,
 Choć i najsroższych kaźni ciężkie dźwiga brzemie,
 W swej niemej pobożności jakby wbita w ziemię?
 Błady — jak łysk od gromnic, co mu na twarz wbiega, 825
 Smutny, jak śpiew umarłych, co się tam rozlega,
 Z poziomego zniżenia, gdzie go wiara tłoczy,
 Jak robak świętojański świecą jego oczy.
 Ach! to Pana Miecznika siwa, nędzna głowa;
 Niedawno żonę stracił, teraz córę chowa: 830
 Na to huśtał kołyskę, by w trumnie uśpili,
 Na to jej woził lamę, żeby całun szyli.
 I dziwno — tak nieczułym zdał się na pogrzebie,
 Jakby już dusza jego była z córką w niebie,
 I takim był i potem: ni żalu, ni skargi 835
 Nie zwierzyły nikomu wypłowiałe wargi;
 Ni łez w hardem spojrzeniu nie było oznaki;
 Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, a zresztą — jednaki.
 Codzień on w jednej porze chodził pokryjomu,
 Lecz nim wydano hasła, powracał do domu. 840
 Raz — i północ minęła, a Miecznik nie wraca;
 I gdy patrząca czujność nadzieję utracą,
 Gdy dziko grają trąby, a ze snu, jak z procy,
 Rzucili się rycerze k'zemście lub pomocy,
 Znaleźli go w cmentarzu. Przy córki i żony 845
 Przyległych dwóch mogiłach klęczał nachylony:
 Taż sama w ustach słodycz, a w czole sędziwość,
 Ta sama bladość twarzy, ale z oczu żywość,
 Czapka, wąsy, dla Polski straszydło na wrogi,
 I żupan ten sam czarny; tylko, że gdy trwogi 850
 Odgłos z trąby wojennej dochodzi daleki,
 Nie porwał się do korda: już spał — spał na wieki
 I cicho, gdzie trzy mogił w posepnej drużynie:
 I pusto, smutno, tęskno — w bujnej Ukrainie.

Józef Bohdan Zaleski.

Urodził się 14 lutego 1802 r. w Bohaterce (na Ukrainie, koło Stawiszcz). Matkę stracił wkrótce po urodzeniu; na wychowanie wzięła go ciotka, którą do śmierci z rzewną wdzięcznością wspominał. Dziecko było wątłe i słabowite: uznano tedy, że dla wzmocnienia trzeba je chować w życiu najprostszem a hartującym, i oddano pod opiekę rodziny włościńskiej. Przebył tam chłopczyzna lat parę, a z tego ciągłego przestawania z wiejskim ludem ukraińskim nabrał na całe życie tego upodobania w dumkach i powieściach ludu tej śpiewności, tęsknoty i muzykalnej dźwięczności, które stały się później znamieniem jego poezyi. Do szkół chodził w Humanu, u księży Bazylianów (wtedy jeszcze klasztory i klasztorne szkoły, nawet unickie, nie były zniesione). Za kolegów i przyjaciół miał Seweryna Goszczyńskiego (poetę) i Michała Grabowskiego (krytyka), Aleksandra Grozę (pisarza powieści) i Józefa Mianowskiego (sławnego później lekarza i rektora Szkoły Głównej w Warszawie 1861). Na uniwersytet udał się do Warszawy, gdzie znowu zawarł przyjaźń z Maurycym Mochnackim i z Fryderykiem Chopinem, a Brodziński i przez lekcye swoje i przez osobistą znajomość wywierał znaczny wpływ na jego wykształcenie. Wtedy zaczął Zaleski pisywać pierwsze swoje wierszyki, a gdy poezya romantyczna zaczęła się szerzyć, gdy wyszły pierwsze dzieła Mickiewicza, on znalazł w nich nowy popęd do pisania i dał się już poznać przez niektóre wiersze, ogłaszane w warszawskich pismach literackich. W roku 1826 przyjął miejsce nauczyciela w domu generała Szembeka. Po wybuchu powstania roku 1830 wstąpił do wojska i służył w pierwszym pułku strzelców (z Maur. Mochnackim i Augustem Bielowskim).

Po upadku powstania musiał emigrować. Udał się naprzód do Lwowa, stąd do Paryża (1832).

Tu ściśłą zawarł przyjaźń z Mickiewiczem i ciągle przestawał w gronie kilku dobranych przyjaciół, z których najdroższym był Józef Zaleski, nie krewny, tylko imiennik Bohdana, ale rzecz można, przybrany jego brat. W tem gronie czytywał Mickiewicz ustępy i księgi Pana Tadeusza, w miarę jak je pisał, a Zaleskiego często prosił o uwagi i rady. W tem gronie także, które z umysłu trzymało się z daleka od emigracyjnych swarów, a usposobione było bardzo religijnie, dojrzewała myśl podniesienia religijnego ducha i życia w narodzie za pomocą polskiego zakonu. Zaleski był w tem niemniej gorliwy jak Mickiewicz. Niebawem sprzykrzył sobie życie w Paryżu, bo tęsknił za ciszą i spokojem; przeniósł się więc (z nierozłącznym przyjacielem Józefem) do Molsheim w Alzacyi (1835), następnie do Endoume pod Marsylią. Tu powstała część znaczna jego poezyi, między innymi Złota дума, Duch od stepu (1836) i Przenajświętsza Rodzina.

Po jej napisaniu odbył Zaleski podróż do Ziemi Świętej, potem do Włoch.

Kiedy Mickiewicz uwierzył w Towiańskiego, Zaleski był jednym z pierwszych, którym doniósł o mniemanym nowym objawicielu, i wezwał

go do uczestnictwa w „sprawie“ znanym wierszem Słowiczku mój; Zaleski jednak przejrzał odrazu fałsz tej nauki i przystać do niej nie chciał, co spowodowało pewną zmianę w stosunkach z Mickiewiczem. Przyjaźń została, ale spotkanie się i poufna wymiana myśli były rzadsze i trudniejsze wskutek różnicy zdań w rzeczy tak ważnej. W późniejszych dopiero latach wróciła dawna swobodna zażyłość.

W roku 1845 ożenił się Zaleski i przemieszkował najwięcej w Fontainebleau; żył w ścisłym tylko kółku rodziny i najbliższych przyjaciół; pisał niewiele, drukował jeszcze mniej. Życie było spokojne i przez dość długie lata wolne od nieszczęść, z wyjątkiem straty jednego synka.

Nieszczęśliwy koniec wypadków roku 1863 pograżył poetę w ciężki smutek, a nieszczęścia osobiste zaczęły się na niego walić jedno po drugim. W roku 1864 stracił ukochanego przyjaciela Józefa, w r. 1868 żonę. Nigdy nie sarknął przeciw, nie poskarżył się, tylko z wielką siłą duszy i cnotą znosił dopust Boży, a z coraz większą rzewnością tęsknił za Ukrainą, za Polską, do jej lepszej przyszłości i do wiecznego życia w niebie. Osiadł w Villepreux pod Wersalem, czuwał nad wychowaniem synów, córkę miał przy sobie, a gdy ją wydał za męża, mieszkał przy niej i przy mięciu.

W roku 1881, gdy na obchód tysiącletniego jubileuszu św. Cyryla i Metodego zjechały się w Rzymie wszystkie katolickie ludy słowiańskie, sędziwy poeta polski i ukraiński był ozdobą i najrzewniejszą może postacią w tej pielgrzymce i budującym dla wszystkich przykładem niezłomnej wierności i gorącej wiary. Szczególnie też serdecznym powitaniem i oznakami poważania przyjął go Leon XIII. Ostatnie lata przeżył w tej samej zawsze cichości, tęsknocie i rezygnacji.

Umarł w Villepreux dnia 31 marca 1886 r., pochowany w Montmorency, na tym cmentarzu, gdzie spoczywa tyłu jego przyjaciół i tyłu znakomitych ludzi jego czasów.

Dzieła: Dumy, Dumki, Szumki, Wiośnianki pisane były w różnych czasach; pierwszy ich zbiór ukazał się w r. 1838 we Lwowie. Z utworów większych tylko Przenajświętsza Rodzina i Duch od stepu są skończone; prócz nich Rusalki jeszcze, drobny obrazek, który właściwie jest wyznaniem własnych młodocianych uczuć. Dwa inne utwory, jak Damian Wiśniowiecki lub Księżna Hanka, zostały fragmentami. Po śmierci poety dopiero znalazł się i został ogłoszony drukiem dalszy ciąg Księżnej Hanki, pod tytułem Złotej dumy, w trzech pieśniach, ale zawsze bez końca, i całkowity rycerski poemat Potrzeba z baraska, największy i od wszystkich znanych piękniejszy.

Liczba dość znaczna aforyzmów pod tytułem Pyłki, i bardzo ładny zbiór przekładów (najwięcej z rapsodów serbskich) uzupełniają poczet jego dzieł.

Przenajświętsza Rodzina jest pobożną sielanką, wykonaną bardzo starannie i z prawdziwym w niektórych obrazach wdziękiem. Duch od stepu, jest to w formie lirycznej a w rytmie Dumki, poemat patriotyczny i filozoficzny. W pierwszej części robi poeta rzut oka na swoje własne życie, w drugiej na dzieje świata. Zajmuje się on tą samą kwestyą, co wszyscy inni nasi poeci (Mickiewicz, Krasiński, Słowacki itd.): —

chce zrozumieć i wytlómaczyć los swojej ojczyzny; w tem się wszakże od wszystkich innych różni, że nie wpada w mesyanizm, nie rozwiązuje zagadki mniemaną ofiarą na odkupienie świata, ale upadek i nieszczęście pojmuje jako expiację za własne winy, poczem (jak inni) wróży przyszłość szczęśliwszą.

Charakterystyka. 1. Talent miał przedewszystkiem liryczny i do małych form stworzony; w tym zakresie jest Zaleski pisarzem bardzo niepospolitym. Ma rzadkie i ujmujące dary rzewności i świeżości w uczuciu, lekkości i dźwięczności w formie. Pod względem różnaitości, giętkości i muzycznego brzmienia nie miał za młodu równego sobie w naszej poezji, a można twierdzić śmiało, że bez niego nie byłibyśmy doszli do takiego wyrobienia wiersza, jakie się daje widzieć u Słowackiego a za jego przykładem u późniejszych i mniejszych. Łagodna i cicha natura Zaleskiego sprawia, że jego uczucie wyraża się zawsze rzewnie, nigdy burzliwie i namiętnie; wyjątkowa dobroć i prostota serca, że nie ma w jego poezji nigdy gniewu, nienawiści lub zazdrości; jego zaś pochodzenie ukraińskie (może przestawanie z ludem wiejskim) daje mu tę tęsknotę, ten smutek łagodny, ale prawie nieustanny, które są cechą jego natchnień i wierszy. Ta prostota, świeżość i tęskność uczucia bywa zwykle właściwością młodego wieku, to też wszystkie, nawet późniejsze poezje Zaleskiego mają jakąś cechę młodzieńczą, a z tego samego powodu do najpiękniejszych może należą jego wiersze wcześniejsze. (Śpiew poety, Śpiewak w obcej stronie, Rojenia wiosniane itd.).

Po roku 1831, wskutek narodowego nieszczęścia i wygnania, smutek staje się stalszym, tęsknota jeszcze rzewniejszą, wjara i pobożność jeszcze żywszą, ale ton ich i sposób wyrażenia się zostaje ten sam. Sprowadza nawet pewną jednostajność, podobieństwo jednych wierszy do drugich, którego zaprzeczyć nie można; jak nie można zaprzeczyć i tego, że poeta czasem nadużywa tego co jest jego wdziękiem, t. j. dźwięczności i gracyi. Zmienia się dopiero na starość, po nowych krajowych i własnych nieszczęściach, a i wtedy jeszcze nie zmienia się bardzo. Charakter uczuć i forma wierszy zostają takie same; ale znika ta młodzieńczość, która długo była cechą jego poezji, a na jej miejscu zjawia się powaga cichego, zboląłego starca, który to samo i tak samo kocha jak za młodu, który stracił wszystko, więc tęskni jeszcze bardziej, ale z ufnością spokojną i prawie pogodną wygląda końca dla siebie, a zmiłowania dla narodu. Zmiana ta daje się widzieć po raz pierwszy w Wieszczem oratorjum, a jeszcze wyraźniej w dość licznych wierszach z ostatnich lat życia, znalezionych po śmierci poety.

2. Obok liryki osobistej drugą najwłaściwszą mu formą tworzenia jest Dumka, historyczna najczęściej i rycerska, której treścią są zawsze boje kozaczyzny (po stronie polskiej ma się rozumieć) i ich bohaterowie. Są pomiędzy temi dumkami prawdziwe arcydzieła (Duma o Kosińskim, Mazepa, Lach serdeczny), jest jakiś rycerski duch połączony z nkraińską smętnością, a rodzaj sam bodaj czy nie jest prawdziwie narodową, przyrodzoną polską formą ballady. Kiedy wszyscy romantycy litewscy naśladowali i przeschczepiali na nasz grunt balladę obcą, Zaleski

znalazł i pokazał tę, która na własnym gruncie, z rodzimych pierwiastków powstać mogła.

3. Należy to do jego charakterystycznych znamion, że z całą romantycznością zagraniczna nie ma nic wspólnego i nie naśladuje nikogo, co najwięcej, siebie samego czasem powtarza.

4. Wyobraźnia jego nie jest bardzo silna i czynna. Dlatego może większe poemata nie udają mu się tak dobrze jak drobne wiersze, a nawet często nie dochodzą do końca.

5. Jak w życiu Zaleskiego nie było przejść gwałtownych ani w jego usposobieniu burzliwych namiętności, tak w jego poezji nie znać zmian i zwrotów: te same formy, ten sam zawsze zakres natchnień i pomysłów, ten sam skład pojęć i te same podstawne uczucia.

Znaczenie w literaturze. Jako poeta — nie tak wielki, rozumie się, jak Mickiewicz lub Krasiński, — w swoim rodzaju i zakresie tworzył Zaleski rzeczy pełne wdzięku. Przez właściwe sobie zalety formy, przez swój charakter ukraiński i przez swą zupełną niezależność od jakiegokolwiek wzoru (z wyjątkiem chyba wiejskiej poezji ludu), przez to wreszcie, że przyczynił się ogromnie do wyrobienia rytmu i wiersza polskiego — ma Zaleski zapewnione na zawsze wysokie miejsce w historii naszej poezji; a przez swój charakter i żywot należy w niej do postaci najczystszych i najbardziej budujących, do tych, przez których duszę i pisma nie przeszło nigdy nic złego.

Śpiew poety.

Gdy na górach świta dzionek,
A w dolinie srebrzy rosa,
I ja śpiewam jak skowronek,
I ja lecę pod niebiosą.

Lecę, gonię wspomnień marę,
Z kwiatów życia wieniec plotę;
Piękność, miłość, czucie, wiarę
Na ogniwo spajam złote.

5

Świat odbija moja dusza,
Jak zielony brzeg krynica;
Wszystko piękne tkliwie wzrusza,
Wszystko tkliwe ją zachwyca.

10

Łza na krótko oko ciemi,
Częściej płoną w niem rozkosze;
Bo co ziemskie, rzucam ziemi,
Co niebieskie, w niebo wznoszę.

15

Z niewcielonych gdzieś tam światów
Garnę myśli, uczuć skarby;
Z nowych dolin, z nowych kwiatów
Do obrazów zbieram farby.

20

Wszystko kwitnie, wszystko woni,
Sympatyczne czucia wznieca;

Mic. Romantyzm.

- Kwili słowik u jabłoni,
 Zapłonionej jak dziewica. *wiosna* 25
 Brzmią śpiewacy polni, leśni, *niebie*
 Pierś podnosi rzewność błoga:
 Przyrodzenie wielbię w pieśni,
 W przyrodzeniu wielkość Boga!
 Brzmią śpiewacy i na przemian,
 To na dole, to na górze, 30
 To dla niebian, to dla ziemian,
 Wtórzą dla mnie, dla nich wtórzą.
- Tak przebiegam różne tony,
 Pierwej z sercem dźwięk pogodzę;
 I czystszy, upiękniony 35
 Po samotnej puszczałem drodze.
 Myśl mej pieśni nie przekwita
 Jako niebo, serce, wiosna;
 Wiecznie świeża, rozmaita
 I dziewicza i miłosna. 40
- Coraz w gaju śpiew ucicha,
 Wolniej buja kilka chwilek,
 I z wonnego róż kielicha
 Piję balsam jak motylek. 45
 Znowu lecę między ziółka,
 Między gaje, łąki, wody;
 Biorę miody, a jak pszczołka,
 Nie dla siebie biorę miody.
- Gdy w polocie mym z nienacka *złoty* 50
 Coś mię draśnie lub ukole,
 Widzę w koło piękne cacka
 I jak dziecię koję bole,
 Nie wyrzekam nigdy zbyt nie,
 Błogo w lubym żyję błędzie;
 Wiosna kwitła, więc odkwitnie, 55
 Lecz gdzieindziej kwitnąć będzie.
- Czara życia nie wciąż miodna;
 Gdy cykutek spełnić trzeba,
 Chrześcianin, spełnię do dna —
 I wesoło pojrzę w nieba. 60
 Duch nie zgaśnie przez skonanie...
 A dla ziemi — u mogiły
 Kilka piórek pozostanie,
 Co ku niebu mnie nosiły.

Śpiewak tęskniący.

D u m k a.

Nigdy serce tęsknione
 Mar minionych nie prześni!
 Wiecznież w jedną gdzieś stronę
 Zaczaruje me pieśni?

Jak świat długi, szeroki, 5
 Z gęsłą moją podróżną,
 Zmieniam miejsca, widoki,
 Ale zmieniam napróżno!

Przez miejsc tyle, chwil tyle, 10
 Każdy dla mnie zakątek,
 Wszystkie, wszystkie tu chwile
 Są bez wrażeń pamiątek!

Ach! przed mokrą powieką
 Darmo dzień mi tu płonie!
 Wzrok, jak pieśni — daleko — 15
 Wiecznie w jednej tkwi stronie...

Ku niej tęsknię z wieczora,
 Z jutrznią tęsknię i płacę;
 Bom pożegnał nie wczora,
 I nie jutro obaczę! 20

D u m k a.

Smutnoż tu — smutno, bracia, za Dunajem!
 I w oczach mokro, bo sercami tajem;
 Ludzie nas nudzą i świat cały nudzi;
 Cudzo och! pusto wśród świata i ludzi!
 Niema bo rady dla duszy kozaczej: 25
 U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! och! Ojczyzna Lasza,
 To wszechsłowińska królowa i nasza!
 Bracia zginiemy za nią, kiedy skinie,
 Ale śnić będziem o swej Ukrainie: 30
 Niema bo rady dla duszy kozaczej,
 U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! I bujnie i miło!
 Hej! nie zastępuj na drodze, mogiło!
 Nie ściel się cieniem! niech sokole oko 35
 Kąpię w burzanach lubo a szeroko!
 Niema bo rady dla duszy kozaczej:
 U nas inaczej — inaczej — inaczej!

- U nas inaczej! Ponad Ukrainą,
Wskróś okolicą jarzącą się, siną 40
Boże śpiewaki ciągną w różne strony,
Aż w uszach klaszcze, taki gwar zmacony:
Niema bo rady dla duszy kozackiej:
U nas inaczej — inaczej — inaczej!
- U nas inaczej! Wciąż nuta żaloby, 45
Bo nadmogilną, bo pomiędzy groby,
Ku duchom ojców przygrywa wspaniale
O ich minionych i bojach i chwale;
Niema bo rady dla duszy kozackiej:
U nas inaczej — inaczej — inaczej! 50
- U nas inaczej! Miłość i Tęsknota —
Te jak dwie prządki naszego żywota.
Bożeż mój, Boże! łzami modłę Ciebie:
Jak umrę, daj mi Ukrainę w Niebie! 55
Niema bo rady dla duszy kozackiej:
U nas inaczej — inaczej — inaczej!
- C z a j k i.
(Śpiew Zaporozców).
- Ura — ho! ura — ho! ura!
Limany! nasze limany!
W ogniach goreją kurhany, 60
I Czartomelik. i Dura!
Okrzyk bracia! a wesoło —
Aż rozgłośnie naokoło
Od Chortycy do Tawani,
Zagrzmia progi i ostrowy! 65
Niech nam żyje, niech hetmani,
Konaszewicz nasz Koszowy! ¹⁾
- Toż się to z chmury na wody
Pełnia odbija miesiąca?
Nie — to Synopa płonąca,
Natolskie dymią to grody! 70
Przy wojennej tej pochodni,
Kiedy lekko wiatr zachodni
Pędzi z dymem i popiołem
Czajki nasze w kraj niżowy;
Bracia! rażny okrzyk społem: 75
Niech nam żyje nasz Koszowy!

Pięknyż bo wieziem podarek
Dla braci naszej na Niżu:

¹⁾ Kosze, osady kozackie.

Działa błyszczące ze spiżu,
 Krocie złocistych janczarek! 80
 Zbroje, szable i kinżaly,
 Będą ludzki wzrok olśniały,
 Promieniące od kamieni.
 A gdy błysną w dzień godowy,
 Hukniem razem w sto kurzeni¹⁾: 85
 Niech nam żyje nasz Koszowy!

Poślem na ładan²⁾ i świece
 Do świętej Ławry³⁾ pieczarskiej,
 Łupy ziemicy agarskiej.
 Złote z meczetów księżyce. 90

Niech poległej braci w boju,
 Pieśń wiecznego brzmi pokoju!
 A wśród wypraw naszej młodzi,
 W łasce Boga, żyw i zdrowy,
 Niech w najdłuższy czas przewodzi 95
 Konaszewicz nasz Koszowy!

Pod ostrowami na przodzie
 Widzicie czajkę hetmana?
 Jak chorągwiami owiana,
 Lekko się ślizga po wodzie! 100
 Toż od naszych dum ucieka,
 Że samotny, że z daleka,
 Wódz, nasz ojciec, szuka ciszy?
 Bracia! rażno okrzyk nowy,
 Aż nogajska dzicz usłyszy: 105
 Niech nam żyje nasz Koszowy!

Lecz hetman w myślach jak niemy,
 I wciąż na niebie żrenica —
 I wciąż na sercu prawica —
 Nie wie skąd, dokąd płyniemy. 110
 Jakiś zamach knowa w głowie...
 Noweż boje nam zapowie?
 Ura bracia! niechaj skinie,
 Wnet ochoczo w taniec nowy,
 Z czajek na koń! — i w pustynie — 115
 Śród okrzyków: żyj Koszowy!

Ura-ho! ojczyźnie hetmanie!
 Oto na siczy drużyna,
 Z podarkiem chleba i wina

¹⁾ Kurzeniami zwały się u Kozaków obozowiska — ²⁾ Ładan, myrra —

³⁾ święta Ławra, cerkiew metropolitalna w Kijowie z pieczarami.

- Szerzy okólne wołanie! 120
 I my okrzyk! a radosny,
 Aż jak gromu huk rozgłosny,
 Od Chortycy do Tawani
 Wstrząsie progi i ostrowy :
 Niech nam żyje! niech hetmani 125
 Konaszewicz nasz Koszowy!
- Hej, hej Ojczy Atamanie!...
- Hej, hej Ojczy Atamanie!
 Ukraina śpi w najlepsze,
 I wiatr usnął na kurhanie
 I zasnęła woda w Dnieprze. 130
- I koń ledwie nogi wlecze,
 I człek żyje a nie żyje,
 Czas nie leci, ale ciecze!
 Gdzieś w limanie czajka gnije.
- Z Wyhoskiego szablą krzywą 135
 Mała bawi się dziecina,
 Płacze matka Ukraina,
 Ty, kozacze, śpisz leniwo.
- Skowroneczek strzepnął piórka,
 Gdzieś na stepie orzeł kracze, 140
 Rwie się pardwa i przepiórka,
 A ty jeno śpisz, kozacze.
- Z nad burzanu, z nad limanu,
 Przyspiewuje ptactwo pięknie,
 Lecz zerwana im zadźwięknie 145
 Złota struna teorbanu.
- Hej, hej Ojczy Atamanie,
 Niech przed tobą się użalę
 Jeśli dłużej tak zostanie,
 Taj chałupę starą spalę. 150
- Spisę w drobne drzazgi złamię,
 Szablę rzucę na dno morza,
 Sam usiądę w wilczej jamie
 Gdzieś na stepach Zaporozża.

Z „Przenajświętszej Rodziny“.

Łzawo, w miłości cudownym uroku
 Starsi się oto ściskają na boku,

- I Józefowy hasa już osiołek:
 Jezus z Maryą na inszym wspolek
 Zasiedli; zdala żegnają się z rzeszą, 5
 I wraz po drodze galilejskiej spieszą.
- Jezus za gońca wzrok posłał przed siebie,
 Bujał dumaniem wysoko — po niebie.
 Nagle, jakoby targniony za pole,
 Zwrócił na prawo źrenice wesole; 10
 Cichy ogrojec! posępna Golgota!
 Skąd odkupienie ludzkiego żywota
 Spłynie po krzyżu! — Na znak pewnie krzyża,
 Przed wołą Ojca czołem się uniża,
 I w ziemi łezki świecą się jak rosa; 15
 Weselej znowu spogląda w niebiosą.
 I na zwierciadle oczu myśli różne:
 „Matko! źle ludzie pędzą dni podróże.
 U boku często niepokój, to nuda,
 A po ich drodze naokoło cuda; 20
 Ale nie patrzą ni w prawo, ni w lewo,
 Nie myślą, czemu zieleni się drzewo?
 Kto umalował tę skrzydlatą dziatwę?
 I kto jej daje pożywienie łatwe?
 Przecież wietrznicy nie sieją i nie zną! 25
 Patrzaj, lilio, na twą siostrę śnieżną:
 Z lichego piasku jak strojnie wyrasta!
 Zaprawdę ani królewska niewiasta,
 Ani Salomon nawet w swojej chwale
 Tak przyodziani nie byli wspaniale. 30
 A wszakże kwiatek, żdźbło to marnej słomy,
 Wszystko wokoło proch jeno znikomy.
 Człowiek, duch duszą, a ducha sam waży,
 Chodzi w osobnej i łasce i straży:
 A oto światło swe tłumi w iskiec, 35
 Wołą zawichrza i rozum i serce.
 Złośnik niekarny w grzech płodniejszy codzień,
 Żyje w ciemnościach jako nocny zbrodzień,
 I odtracony od Ojca na wieki!
 Są obietnice! są wszechmocne leki, 40
 Krew niewinnego!“ — Łkaniem uciał słowo.
 Milczenie było długie — i nianowo:
 „Matko, tyś gwiazda wśród wybrańców grona!
 Dworem aniołów moich otoczona,
 Ponad tym światem rozlejesz oblaski, 45
 Jako jedyna pośredniczka łaski!
 Promień od ciebie otchłanie umili.“

Długo ku sobie słodko się tulili,
 I znów prorockie rozbrzmiewały słowa:

Matka je łowi, i w sercu swem chowa ; 50
A długa jazda przemija jak chwilka.

Owóz i wieczór! owóz i mil kilka!
Lasek oliwny, i strumień u brzegu :
I już we trojgu stają na noclegu.
Słońce za obłok czerwony się nurza, 55
Ozłaca Tabor; a niższe pogórza
Blaskiem rumianym gdzieniegdzie zapala;
Jaśniej i kraśniej migoce Magdala;
Z winnic Magdali promieniująca struga
Tam po kolczastych aloesach mruga; 60
I z winnic palma wysmukła, daleka
Aż ku nizinie cieniem się rozwleka;
I z winnic młoda tam Samarytanka,
Lekka, pierzchliwa, odbiega baranka,
A błysnąć wzrokiem ani się ośmiela, 65
Bowiem wykleła pośród Izraela.

Jezus wzrok utkwił za uciekającą ; —
Dumał w swem sercu. Już usta się mąca,
Prawa miłości nowej oto głoszą,
Miłości tchnącej najczystszą rozkoszą, 70
Która od nieba, niby pas uroczy,
Ku chmurnej ziemi tęczą się roztoczy,
I całą ludzkość w swym Bogu pojedna.
„Samarytanka“ mówił „ludzkość biedna
Zwaśniona z ojców, i pod klątwą starą; 75
Ale się wzmoże znów miłością, wiarą,
Nadzieją; bowiem czas się już domierza
Po wszystkie wieki nowego przymierza!“

Przy wychowanku piastun srebrnowłosa,
Jak orzeźwiony kroplami już rosy 80
Miłości onej, zachwycał swe ucho :
W płacz rozkwilony, i rozgrzany skruczą,
Chylił do kolan pomarszczone lice.
Jezus mu szeptał niebios obietnice:
„Będiesz piastunem dusz na mojem łonie, 85
W tem się imieniu rozmnożę w zakonie!“

A naokoło już głuchnie, i mierzchnie,
Tam, to sam gwiazdka pluska na powierzchni,
I Przenajświętsza na kłęzki Rodzina
Upadła wespół. I Jezus zaczyna 90
Roznośnie: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie!“
Za ukochanych swoich, i za siebie.

Nad Przenajświętszą uspioną Rodziną
 Sny w tajemnicach zwierciadłace płyną.
 Noc miliony ocząt swych zamruża:
 Ni stróża słońca, ni księżycy-stróża!
 Pełnią gdzieś służbę w otchłaniach zasuci.
 Blżej i niżej niebo całe nuci,
 Niby rozbrzmiewa w rozmiar na pokłony:
 „Synu człowieczy, bądź, bądź pochwalony!”

Seweryn Goszczyński.

Urodził się w Ilińcach na Ukrainie, w roku 1808. Nauki początkowe w Międzyrzeczu u Pijarów; późniejsze u Bazylianów w Humanu (razem z Bohdanem Zaleskim). Po ukończeniu szkół udał się do Warszawy, gdzie jednak dopiero od r. 1830 stale zamieszkał i z całym popędem swojej natury namiętnej rzucił się w dwa panujące właśnie pośród młodziży prądy: romantyczno-poetyczny i polityczno-spiskowy. Z pierwszego wyszedł jego poemat *Zamek kaniowski*, wydany w roku 1828; z drugiego uczestnictwo w tajnych sprzysiężeniach. W nocy 29 listopada 1830 był jednym z tych kilkunastu, którzy uderzyli na Belweder. Po wojnie Goszczyński schronił się do Galicji. Przebywał w różnych stronach, a różne jego pisma są śladem tych pobytów (*Król zamczyska w okolicach Krosna, Sobótka, Straszny strzelec w Tatrach*). Bawił i w Krakowie, gdzie w r. 1835 ogłosił w *Pamiętniku pow. nauk i umiej.* artykuł pod tytułem: *Nowa epoka poezji polskiej*; w tym dowodzi, że cała poezya polska, jak jest, Mickiewicza nie wyjmując, pozbawiona jest narodowego ducha.

W roku 1838 wydalony za granicę, pojechał Goszczyński do Paryża. Tu był jednym z najgorliwszych zwolenników tej polityki, która przez tajne spiski chciała wywoływać zbrojne ruchy w kraju. Pisał mało. Gdy się zjawił Towiański, Goszczyński przechylił się do tej mglistej, mistycznej nauki i został jej wiernym do śmierci. W jej duchu pisane są jego (bardzo nieliczne) wiersze z czasów starości. W Paryżu przetrwał oblężenie w r. 1871 znosząc głód i zimno. Na zaproszenie przyjaciół przeniósł się do Lwowa (w r. 1872), gdzie też umarł r. 1876.

Dzieła. *Zamek kaniowski*, niewątpliwie najlepszy z jego poematów, ma treść szczęśliwie wybraną, która mogła być poetyczną i tragiczną. Ale treść naprzód ułożona jest niezręcznie, tak że czytelnik często nie może zrozumieć, co się dzieje i dlaczego: a potem te działające osoby mimo wielkiej energii i namiętności, jaka w nich być ma, są martwe, zimne. Są i nadużycia romantycznej licencji i mody, jedne niesmaczne i odrażające, jak waryatka Xenia, ścigająca Nebabę swoją miłością; drugie niedorzeczne, jak rozmowa dwóch prawdziwych ptaków. Pomysł i sytuacje są własnością Goszczyńskiego, ale w wykonaniu jest naśladowanie dwóch poetów i dwóch poematów, mianowicie Mickie-

wicza i Grażyny w opisach, Malczewskiego i Maryi w lirycznych dygresjach. Jakkolwiekbaż, jest to najlepszy z poematów Goszczyńskiego.

Anna z Nadbrzeża, powieść poetyczna z XVII wieku, większa od Zamku kaniowskiego, ale znacznie słabsza, nigdy ani po ukazaniu się ani później za dobrą uważaną nie była — Sobótką jest fragmentem, zatem sądzić ją trudno; może byłaby piękna, gdyby była skończona: ale to, co jest, nie zaleca się ani szczególnym ruchem i życiem ani wdziękiem. — Prozaiczna powieść Król zamczyska świadczy lepiej o talencie autora. Jest to allegorya dziejów Polski, które waryat Machnicki (człowiek, który istotnie był i mieszkał w okolicach Krosna), wyobraża sobie wcielonymi w Zamek Odrzykoński, i tłumaczy je przyjacielowi swemu, autorowi. Stopniowe walenie się zamku wyobraża stopniowy upadek Rzpltej; a jak pod zamkiem są fundamenta od niego nierównie większe, tak kiedyś z prostego ludu odrodzi się naród potężniejszy, niż był dawniej. — Inne, mniejsze prozaiczne powieści nie mają wartości, prócz tej chyba, że niektóre mają za bohaterów emisaryuszów, a przez to są charakterystycznym pomnikiem swego czasu.

Wiersze liryczne, zebrane i wydane pod tytułem Trzy struny (1839), są z małymi wyjątkami tak zimne, że na prawdę nigdy cenione nie były.

Prozą wydał także Tłómaczenie Ossyana (1838) i Dziennik podróży do Tatr.

Szkolny kolega i przyjaciel Zaleskiego, a z nim i z Malczewskim nważany za przedstawiciela poezyi ukraińskiej, jest we wszystkim zupełnem Zaleskiego przeciwieństwem. Tamten jest z usposobienia łagodny i tęskny, a w wierszach dźwięczny i miękki: ten namiętny i gwałtowny a w poezyi swojej przesadnie ponury i szorstki. Tamtego fantazyja i uczucie opanowane są Ukrainą smętną, ale dla polskiego serca wdzięczną i drogą; ten łągnie do Ukrainy ponurej i krwawej. Tamten na bohaterów wybiera Kozaków rycerzy i wiernych Rzeczypospolitej: ten wrogich jej hajdamaków. Tamten w dziejach Ukrainy widzi boje z Turkiem i Tatarem: ten rzeź humanśką. Jako poeta, Goszczyński ma zapewne więcej od Zaleskiego wyobraźni, ale tych własności, jakie ma Zaleski: żywego uczucia, zdolnego udzielić się drugiemu człowiekowi, i wykwintnej, a własnej oryginalnej formy, Goszczyński nie posiada. A jeżeli tamten nadużywa czasem śpiewności i rzewności, to ten znowu nadużywa szorstkości i okropności.

Jako człowiek odznaczał się Goszczyński prawym, czystym charakterem, dobrą wiarą i gorącą miłością ojczyzny; zasługiwał przeto na szacunek, jakim go darzono. To może było powodem, że przeceniano znaczenie i wartość jego poezyi.

Zamek kaniowski.

Kozak Nebaba, urodzony na Ukrainie, porzuciwszy rodzinne strony, udał się do Kaniowa, gdzie zyskał naprzód względy u starszych,

a potem przełożenie nad przydwornem kozactwem w zamku kaniowskiego starosty. Tam też podbiła serce atamana Kozaków młoda, jaśniejąca urodą dziewczyna, Orlika. Ale i rządca zamku, Polak, uczuł równą ku pięknej Orlice skłonność. W nim więc miał Nebaba współzawodnika przemożnego, choć mniej szczęśliwego, ponieważ rzeczywiście Orlikę uczuć rządcy nie dzieliła. Rządca tedy podstępem zmusił Orlikę do oddania mu swej ręki, a Nebaba, chcąc się na nim zemścić, opuszcza zamek i udaje się do obozu hajdamaków, zostających pod wodzą Szwaczki

Ale stary i w pijaństwie rozmiłowany dowódca hajdamaków zbyt niedołąźnie prowadził rzecz całą. Dlatego Nebaba, zniecierpliwiony nieczynnością Szwaczki, zgromadził sam gromadę, stanął na ich czele i posunął się ku miastu, pragnąc zdobyć je nocą.

Wyrzeczony Szwaczka, gdy spostrzegł, że go kozactwo opuściło, z resztą swoich ludzi i ze zbuntowanym chłopstwem popędził do Kaniowa, chcąc uprzedzić Nebabę. W tym czasie Orlika postanowiła zamordować znieawidzonego męża. W chwili, gdy Szwaczka z hajdamakami zdobyli zamek i wpadają do komnat, zastają już trupa rządcy, a Orlika krwią zboczona ucieka przed pogonią na wieżę, której przepalony strop zapada się i grzebie w gruzach ją i jej prześladowców z Szwaczką na czele.

Nebaba w swym pochodzie na zamek wprowadzony w zasadzkę, spotyka się z wojskiem polskim, przegrywa bitwę, a dostawszy się do niewoli, ginie na palu wśród gruzów kaniowskiego zamku.

II 13. Już, po Kaniowie, straszna wieść latała:

Jak się wzburzyła Ukraina cała,
 Jak, zdradą Gonty, dobyto Humania,
 Ile tam mordów, ile krwi rozlania;
 Jak samo Lachów zda się ścigać piekło. 5
 A nigdzie schrony przed czernią zacieklą.
 Skoro, wieczorem, powstały tumany
 Od nasępionej strony Zaporozża,
 I mglistą bielą osłonią zorza,
 Z różgą komety, jak lampa złej doli, 10
 Gasnąc w obłokach zaczęła powoli:
 Zdwoił się w mieście przestrach niesłychany:
 Głuszej się zdały bełtać Dniepru szumy,
 Jęczeć okropniej wichry Ukrainy,
 I groźniej ciemnieć sklepienie dębiny, 15
 Jak po cmętarzu, nieme duchów tłummy,
 Snują się milczkiem, po ulicach miasta,
 Tłummy mieszkańców trwogą omroczone;
 A wieszczba kłęski, w którą pojrzysz stronę!
 Tam dziecię pyta: skąd ten tuman wzrasta, 20
 I w takie kształty miesza się olbrzymie
 Jak Lucyfera wojsko w piekła dymie?
 Cytnęła matka; wywróżyć się lęka.

- Dwóch się zbiegła oto ręka, —
 I zimno śmierci ich uściski ziębi, 25
 Dwojga kochanków spotkało się oko, —
 I męty śmierci widać w spojrzeń głębi,
 I jęki śmierci z westchnieniem się wloką.
 A topielnicy skrwawione widziadło,
 W skrwawionej szacie, ze skronią rozpadła, 30
 Ciągłe Kaniowa przelatuje bruki,
 W dziwniejszych ruchach, z dziwniejszemi huki:
 Jak co się wyrwał z łona matki ziemi,
 Nieprzetoczone unosząc ostatki:
 Bo, jak nad trupem, krążą nad nią kruki. 35
14. Z rękami w niebo, płakał lud skruszony.
 Śród poświęconych sklepień Wszchemocnego:
 Ściany świątyni wtórzyły płacz jego,
 Księża śpiewali pokutnymi tofy.
 Kaniowskich dzwonnice jęczały wciąż dzwony. 40
 W każdym ołtarzu światła wciąż pały,
 Nieocenione słano zewsząd wota,
 Z drogich kamieni, ze szczerego złota.
 Wielkie ofiary, bo i strach nie mały;
 Płakali wierni, płakali niewierni. 45
 Wprzód niżeli noc barwy poczerni,
 Dzieci Solimy, przed arką bożnicy,
 Bez płci różnicy, bez wieku różnicy,
 Upadli na twarz, w pogrzebowej bieli,
 Jakby od gniewu bożego olśniali, 50
 I, w pyle ziemi czoło ponurzywszy
 Podnieśli głucho lament, żałośliwszy
 Niżli go słyszał świata wiek daleki,
 Na obcych brzegach babilońskiej rzeki.
 I łzy Dawida z ich się oczu polały. 55
 Szczere to płacze, bo i strach niemały!..
- III 2. Niepomnych czasów nieznana mogiła
 W cieniach gęstego lasu się ukryła.
 Nad boki mszyste, nad jej szczyt okrągły
 Odwiecznym cieniem sklepienia się sprzągły 60
 Ze sklepem dębu, co z sklepów zarośli
 Strzelał gałęzią widniej i wynioślejsz,
 Niż wieża Ławry, złotem błyskająca,
 Pośrodku dzwonnice kijowskich tysiąca.
 Starszy brat sławnej puszczy Łebedyna 65
 Nie jednej puszczy plemię on zaczyna;
 Bo burze nieba i czasu wstrząśnienia
 Tak się po jego przesuwają szczycie,
 Jak tej piastunki, co chce usnąć dziecko,

- Zmyślone groźby i głaszczące pienia. 80
 Czy spiekle lato piorunami sieje,
 Czy płaszcz jesieni mgłami się odyma,
 Czy w nagich borach mroźna iskrzy zima —
 Korona jego ciągle zielenieje;
 Niby mąż wieków w mogile tej leży, 75
 Niby myśl jego, w kształt drzewa odziana
 I bohaterską posoką podlana,
 Piastuje wieniec chwały, zawsze świeży...
10. Co to Nebaba tak myśli głęboko,
 Między gałęzmi oparty bez ruchu? 80
 Czem tak zasunął rozigrane oko?
 Czy dąb, gaduła, szepce w jego uchu
 Smutne powieści o klęskach tej ziemi,
 Gdy, pod jej niebem sęp mordu ponury
 Toczył cień trwogi skrzydłami krwawemi, 85
 A z nim Tatarów napływały chmury?
 O, nieraz, może, na tym jego szczycie
 Rozwiewały się przestrogi znamiona;
 Nie jedno, może, ta z liści zastona
 Przed srogą śmiercią uchowała życie. 90
- Nie; w zadumaniu cichem i głębokiem,
 Puścił się Kozak swoich dni potokiem.
 Po jego myślach młody wiek przegania
 W kwitnących barwach świetnego zarania.
 Co za świat w ciszy rodzinnego siola! 95
 Gdy dusza grała ogniami jutrzeńki,
 A wabna przyszłość, jak wróżka wesoła,
 W kolej, nadziei uchyla wdzięki.

Z S o b ó t k i ¹⁾.

Pół słońca pała na nieba sklepieniu,
 A pół zagasło w polskich puszcach błękiecie.
 Czerwony wieczór na smereków cieniu,
 Po wzniosłej Wyźni²⁾ osuwa się szczycie, 5
 Z niebios podhalskich uchodzi ulewa,
 Jak nieprzyjazne wojsko z pół pogromu;
 Sztandarem tęczy od Pienin powiewa,

¹⁾ Sobótką, uroczystość ludów słowiańskich, która przypadała na dzień 24 czerwca. Mieszkańcy jednej lub kilku osad gromadzili się w pewne miejsce, nakładali wielki ogień, tańczyli około niego, śpiewali, czynili wróżby, to skacząc przez płomień, to wianki na wodę puszczając.

²⁾ Wyźnia, góra w paśmie leżącym nad Nowotarską doliną, na gruntach wsi Łopusznej.

I coraz bledziej wypuści strzał gromu.
 Podhalska ziemia, zdyszana od burzy,
 Kiedy niekiedy grzmotem z głębi runie, 10
 Kiedy niekiedy z lasów mgłą zakurzy,
 I jak westchnienie po górach ją sunie.
 Na wszystkie strony uciekają chmurki
 Łódkami wiatru, przez lasy i wzgórki:
 Wolnieje potok, co przed chwilą szalał;
 15
 Las rżesno płacze kroplami dżdżowemi;
 A cały przestwór, od nieba do ziemi,
 Jasny, jak żebyś kryształem go nalał.

Luby góralom ten wieczór czerwcowy:
 Na piersiach Wyżni spłonie stos sobótki. 20
 Brzmia długie trąby, przygrywają dudki,
 Krociami dzwoneków igrają parowy;
 Pod biciem siekier jęczą ciemne lasy,
 Pod trupem jodeł wzgórze się wzdrygają;
 Nuca juhaski, hukają juhasy; 25
 Wszystko wre gwarem i góralów zgrają.
 Drogi góralom ten wieczór czerwcowy!
 Na piersiach Wyżni, nad przejrzystą wodą,
 Wzniosą stos wielki dwunasto-jodłowy,
 I roczną ucztę do ranka zawiodą. 30

Jeszcze ot! jedna chmurka przeleciała:
 Las ciemny przejrzał, wystrzeliła skała.
 Na skale jodła i pięciu leżało —
 Leniwy tuman oblał im podnóże;
 Oni leżeli widziadłami w chmurze, 35
 Jakby w powietrzu, z jodłą i ze skałą.
 Brodate twarze, odzież ich jednaka:
 Czerwono szyta guńka na opaszki,
 Rżesno jarzące szkiełka u kołpaka,
 Kołczan na plecach, sążniowe watażki¹⁾, 40
 Szerokie pasy, za pasem topory.
 Włos pokręcony w obfite kędziory,
 Tu wisiał, w kraśne wstążeczki ujęty,
 Tam w skrzydła wiatru płał swoje skrety
 Jak orle skrzydła, gdy za łupem świszczą, 45
 Jak orle oczy, gdy nad łupem błyszczą.
 Tak groźne, bystre i twarze i oczy
 Gości, co Wiźnię szpiegują w uboczy.
 Rozbójnik Janosz spoczywał na ziemi —
 Głazem, co z wieków wjada się w pierś ziemi. 50
 Najgłębiej skryty w jodłowym zacieniu.
 Znać go po wzrpscie, znać go po wejrzeniu.

¹⁾ Siekierka, zwana także ciupagą.

- Żaden mu góral w niczem nie zrównywa;
Słynie jak Krywań!¹⁾, o nim ludek śpiewa:
- Janoszu! dzielny góralu! 55
- Skąd ty wziął się na Podhalu?
Taki rosły, taki wdzięczny,
Taki silny, taki zręczny?
Ty wysoki jak Łomnica,
Jak lawina twa prawica, 60
Jako Tatry twoje barki,
Jak lot gwiazdy bieg twój szparki.
Zatrzymasz orła w obłoku,
Gdy mu utkwisz oko w oku;
Ty obejmiesz ten buk w borze, 65
Co go objąć trzech nie może.
Janoszu dzielny góralu!
Skąd ty wziął się na Podhalu?
Nie kobieta ale skała
Zrodzić nam ciebie musiała. 70
- A dziś dni jego życiem zbójców płyną;
Lód i przepaście jego dziś dziedziną.
Po ciemnych jamach z puhaczami mieszka,
Trop dzikiej kozy zwykła mu dziś ścieszka.
Co o nim prawią, w głowie się nie mieści, 75
Jak o straszycdle krążą o nim wieści,
Tutaj ze mgłami spada na doliny,
Tu duchem zbiega nietknięte wyżyny;
Tutaj, od strzelców odważnych naparty,
Znika w szczelinie tak wązko rozdartej, 80
Że się zaledwo gadzina prześliznie.
Z wierzchów, gdzie kamień na proch się rozbryźnie,
On żywo zleci jakby skrzydłem ptaka,
Albo jak kozieł huśta się u krzaka.
Zachód mdlej coraz śniegi hal poślaca, 85
Ostatni odblask z cichych wód ucieka,
Spada na ziemię wieczoru powieka,
Ale na Wyżni rośnie gwar i praca;
Pnie się ku górze święty stos wspaniały.
Dwanaście jodeł z gałęzi odartych, 90
Zetkniętych wierzchem, spodem rozpostartych,
Śpiczastą wieżą ku niebu powstały.
We wnętrzu jego jeży się chróst suchy.
Czterech górali głównię rozżarzyli,
Rozkołysali, chróstem powili 95
Podęli razem silnymi podmuchy.
Grają płomyki, jak żądła wężowe

¹⁾ Krywań, po Łomnicy najwyższy szczyt w Tatrach.

- Wyrzą co chwila z ogniska paszczęki —
 Nagle rozjadły ogień wznosi głowę,
 Rzuca się błyskiem na sterczące sęki; 100
 Na niższych zrazu czepia swe sztandary.
 Oblata kłody, wyziera przez szpary,
 A jad pod korą zapuszcza tymczasem:
 A gdy zranione drzewa zapiszczały,
 I w jasnych gwiazdach smolną krew polały, 105
 Ogień wzdłuż stosu posunion z hałasem
 Chwyta się szczytu, siada na stolicy,
 Wyrzuca na świat setne dymu kręgi,
 Potrząsa w niebo płomieniste wstęgi,
 I już panuje całej okolicy. 110
- Radośna wrzawa i huczne oklaski
 Przyjęły zewsząd pierwsze ognia blaski.
 Na bór daleko spada ćmów zasłona.
 Młodzież góralska, od płomieni prędsza,
 Stoi już, w koła tańczące spleciona, 115
 Jak obraz z cieni urodzony wnętrza.
 Dziewice w kwiatach, chłopcy z długim włosem,
 Gęśle i kobzy, fujarki i dudki.
 Wszystko to naraz uderzyło głosem,
 I grzmotnym krokiem do tańca sobótki. 120

Joachim Lelewel.

Urodził się w Warszawie roku 1786. Od dzieciństwa okazywał szczególnie pociąg do historii. W roku 1801 oddany do szkół pijarskich w Warszawie, obok zajęć szkolnych oddawał się z własnej ochoty pracom historycznym. W r. 1804 udał się na uniwersytet do Wilna. Po ukończeniu nauk uniwersyteckich przebywał w Krzemieńcu i Porycku u Tadeusza Czackiego, od roku 1811 w Warszawie, ciągle pracując, szczególnie nad pierwotnemi dziejami Polski.

Uwagi nad Mateuszem, herbu Cholewa (1811) zwróciły na niego uwagę Śniadeckiego, który go powołał na zastępcę profesora historii w uniwersytecie wileńskim (1814), ale niebawem wrócił znowu do Warszawy, gdzie został bibliotekarzem przy uniwersytecie. W roku 1821 powołany powtórnie do Wilna już jako zwyczajny profesor historii został przyjęty przez uczniów z zapalem, którego ślad pozostał w wierszu A. Mickiewicza Do Joachima Lelewela.

Po śledztwie i skazaniu uczniów wileńskich przez Nowosilcowa, usunięty z katedry, wrócił do Warszawy. Należał do wszystkich tajnych przygotowań powstania, a po jego wybuchu został członkiem Rządu Narodowego. Po kapitulacji Warszawy zmuszony emigrować, udał się na przód do Paryża, potem przeniósł się (1832) do Bruxelli, skąd się już do ostatnich tygodni życia nie oddawał. Bez majątku, zmuszony koniecz-

nością, żył prawie jak nędzarz. Byłby zapewne mógł pozwolić sobie na lepszą cokolwiek wygodę, ale o nią nie dbał; grosz jaki miał, wolał wydać na książki lub na ubogich; a oprócz tego rozmiłowany był w swoim ascetyzmie, w którym z czasem doszedł aż do dziwactwa. W izdebce swojej przesiedział lat 29, prawie nie wychodząc i żadnych stosunków z ludźmi nie utrzymując, oddany od rana do nocy pracy, która zdumiewa ogromem swoim i zakresem.

W roku 1861 już prawie dogorywającego przewieźli uwiadomieni o jego stanie przyjaciele do Paryża, gdzie wkrótce zgasł 26 maja.

Dzieła (ważniejsze): *Badania starożytności we względzie geografii* (1818); *Bibliograficznych ksiąg dwoje* (1823); *Ocalenie Polski za Łokietka* (1822); *Dzieje Polski potoczny sposobem opowiedziane* (1829); *Polska odradzająca się* (1836); *Dzieje Litwy i Rusi* (1839); *Polska wieków średnich*; *Atlas do geografii wieków średnich* (który sam rytował) itd. Dzieła te zaczęły wychodzić w roku 1858 w zbiorowym wydaniu pod wspólnym tytułem *Polska, dzieje i rzeczy jej*, ale nie wszystkie są tem wydaniem objęte.

Prace jego francuskie, numizmatyczne i archeologiczne, do dziś dnia używają wielkiej u uczonych zagranicznych powagi, a odkrycia jego na tych polach zmieniły i podniosły zasób wiadomości i samo stanowisko tych nauk.

Charakterystyka. Jeden z największych uczonych, jakich Polska miała kiedykolwiek, Lelewel „przez lat sześćdziesiąt badał chronologię, genealogię, geografję, politykę, prawodawstwo, urzędy, dzieje świata, dzieje swego narodu, dzieje kultury i piśmiennictwa, bibliotek, druków, historyków i geografów, bałwochwalstwo, monumenta, monety, grobowce, budowy, herby, pieczęcie, dyplomata, pismo, ubiory, obyczaje, zabytki starożytne Polski, Litwy i Rusi...” badał i znał wszystko, co się dawnej Polski tyczyło, a rozległością wiedzy nie dorównał mu żaden z naszych historyków dawniejszych ani późniejszych.

Wielkie jest jego znaczenie w dziejach naszego dziejopisarstwa. Naruszewicz podniósł naszą historyografję z upadku; z kroniki lub słabego podręcznika, zrobił ją krytyczną i na źródłach opartą; postawił ją na tym stopniu, na jakim w wieku XVIII stała historia w oświeconych krajach Europy.

Po Naruszewiczu choć praca historyczna nie ustała, choć w niektórych szczegółowych kierunkach miała i ludzi znakomitych i skutki prawdziwie wielkie (na przykład Czacki w badaniu prawa polskiego) — to przecież potrzebowała rozleglejszego, wszechstronnego badania. Naruszewicz opierał swoją historję na źródłach: Lelewel pierwszy u nas (i jeden z pierwszych w Europie) zaczął krytycznie badać źródła same, ich wartość, prawdziwość tego, co podają; a od niego nauczyli się tego następcy.

Przez wyjątkową organizację swego umysłu, przez swoją namiętność do historii i pracowitość bezprzykładną, zdołał niezmierny ogrom kwestyi i stosunków rozpoznać, bystro wyrozumieć, określić i spamiętać. Najwięksi zagraniczni badacze historyczni jego czasów nie byli ucieńsi od

niego, nie badali sumiennie ani przenikliwiej; w tem tylko byli od niego szczęśliwsi, że było ich wielu, że mogli pracę między siebie rozdzielić, wybrać pewną jej część i tej wyłącznie się oddać, a przez to mogli wydawać dzieła bardziej skończone. Lelewel był jeden, i jeden musiał opanować cały ogrom stosunków polskich. Musiał mieć wyjątkową, prawie genialną zdolność, kiedy temu podolał; ale nie dziw, że nawet przy takiej zdolności nie mógł zrobić wszystkiego, i jeszcze pięknie i żywo pisać i opowiadać. Zrobił on to, że przez niego i od jego czasów znamy lepiej i początki naszych dziejów i stopniowe wyrabianie się naszych stosunków społecznych i politycznych urzędzeń, i następujące po sobie z biegiem czasu zmiany w tych stosunkach i urzędzeniach; śladów historycznej prawdy i sposobu rozwiązania historycznych zagadnień szukał wszędzie, gdzie one tylko być mogą. Za jego przykładem tak ich szukać nauczyli się następcy. Z rezultatów jego badania wiele jest dziś prześcigniętych, sprostowanych, ale wielkości jego nie ujmuje to nic, bez niego nie byłoby tych następców, nie byłoby ich wiedzy i pracy, oni nie mieliby na czem się oprzeć, od czego zacząć, ani co poprawiać i prostować.

Polem zaś, na którym Lelewel najwięcej zrobił odkryć głębokich i najwięcej zasług położył, są wieki średnie i polskie w nich stosunki.

Zdarza się to zazwyczaj, że umysły wybornie wyposażone do badania i rozpoznawania, mniej są zdolne do organicznego składania całości. Tak było i z Lelewelem. Niezrównany badacz, pracownik genialny na polu pomocniczych gałęzi historii, nie miał tego organicznego zmysłu, który szczegóły łączy i składa, a wskutek tego był wielkim badaczem szczegółów historycznych, nie był jednym z tych historyków, którzy odzwierają ubiegłe dzieje, dają je poznać i zrozumieć.

Jego sposób pisania, ciężki zazwyczaj a niekiedy aż dziwaczny (jak dziwaczna jest pisownia, której się uparcie trzyma), chwilami ożywia się przecież i staje się świetnym (na przykład w przedmowie do Ksiąg bibliograficznych).

Jego błąd największy jest ten, że opanowany swoją polityczną i społeczną doktryną (gminowładczo republikańską), przywiązany do niej fanatycznie widzi w przeszłości jej objawy lub dowody nawet tam, gdzie ich niema, a gdy nie widzi i nie znajduje, to je wyszukuje i zjawiska historyczne do swego sposobu myślenia naciąga.

Niemniej słuszność ma Siemieński, kiedy mówi o Lelewele (Portrety litarackie): „Wyjątkowa to postać, jakiej pozazdrościłby każdy naród, nawet na szczycie pomyślności i bytu. Było w niej coś ze starożytnych filozofów Grecyi lub rzymskich stoików, coś ze średniowiecznego ascety i uczzonego Benedyktyna; a w ogniu oka, w przekonaniu słowa przeglądał niekiedy trybun republikański. Uczoność i patryotyzm to dwa wielkie jego tytuły do zaskarżenia pamięci narodowej“.

Polska, dzieje i rzeczy jej.

U c z e z e n i e.

Jakie było w mowie i pisaniu wzajemne uczczenie się w pierwszych ukazania się Polski wiekach, pokryła łacina, nie do tego atoli stopnia, aby z pod niej cośkolwiek pewnego odgrzebać nie można, bo jak się wynalazły polskie urzędów i dostojności nazwy, tak i onych uczczenie tymiż wydobyć się daje sposobami. Środki do tego są nie liczne, gdy czyste do tego źródło w jednym Gallusie znajduje się, tudzież w niewielu niektórych dyplomatach; do ich zaś objaśnienia pierwsze piśmienne służy polskiego ukazywanie się języka.

Gallus, tak jak i późniejsi kronikarze, szczerą ręką obdarzają swych bohaterów epitetami. Nikt pewnie w takich nie zechce szukać rzeczywistego, we zwyczaju będącego uczczenia. Sądzimy też, że na epiteta kroniki Wincentego Kadłubka, pełnej przesady, a przeto o dziwactwo podejrzaney, bezpiecznie nie można się powoływać.

Stara powieść zapewnia, że lud zbiegający się naprzeciw przybywającego Kazimierza wywołał: A witajże, hospodyne. Było więc wówczas uczczeniem panującego, gospodyn król, gospodyn ksiądz.

Hospodyn, gospodyn, przypomina razem hospodara, gospodarza, w ruskim i innych mowach coś więcej znaczącego. W XV wieku w Mazowszu taki był tytuł panującemu nadawany, pewnie za przykładem Rusi. Ale to jest z pierwszego początku jedno, co gospodyn.

Gdy gospodyn i gospodar przeżyły dłuższe wieki na Rusi, przed którymi czołobitnie czołem bity; nie od rzeczy zastanowić się, czy podobnego wyrażenia i ceremonii nie było za Bolesława Wielkiego. Być może. Gallus mówi, że kiedy królowa chciała na śmierć skazanych ocalić, współ z dwunastu radnymi i ich żonami rzuciła się do nóg Bolesławowi, błagając przebaczenia. Wszakże ten zwyczaj, jeżeli był, nie długo trwać musiał; bo następnie o nim żadnego więcej śladu dostrzedz się nie daje.

Czołem bicie znane było na dworze Piastów, ale jedynie w okolicznościach uroczystych, błagalnych; dlatego rzadkiej są wzmianki, i jedynie w tych zdarzeniach ukazują się. Królowa małżonka czołem bije przed Bolesławem Wielkim, gdy za winowajcami się wstawia. Kronika węgiersko-polska, czyli legenda o św. Stefanie pisana koło 1250 r. w odmiecie swej powieści mająca na celu uwielbić Bolesława Śmiałego i jego Węgrom czynioną posługę, opowiada, jak Alba i Kaul węgierscy słańce, stają przed królową i młodocianym, małoletnim królem w radzie zasiadającym, *et genu flexo ante duces et matrem* błagają pomocy dla swych książąt *alumnów*, w Polszcze schronienie znajdujących. Sądzić tedy należy, że pokłękowanie i czołem bicie w pewnych uroczystościach w XIII wieku jeszcze było w użyciu.

Ceremonia ta nie była unizająca; ciż bowiem książęta, gdy na wyprawę wojenną ruszają, otrzymują od Bolesława *osculum pacis*, jakie udzielał równy równemu.

Cobadź, do Bolesława Wielkiego mówiono: gospodyn król; a Bolesław mówił do biskupów: gospodyn biskup, albo gospodyn ksiądz. Za Mieczysława niknęli wszyscy dostojnicy, za Popielów księdzami, książętami zwani; lud, przywykły do tego miana, przeniósł go na duchowieństwo, którego zrazu małą ilość, a odrazu na dworze i kraju wysokie znaczenie dostrzegł: widział w nich książąt chrześcijaństwa, i czczył równie każdego: gospodyn ksiądz.

Władysław Herman, pisząc 1087 do opata św. Idziego po łacinie, daje mu uczczenie, *venerabili abbati*, tak jak był zwyczaj owego wieku w łacińskim świecie. *Venerabilis*, niewątpliwie stosownie do znaczenia, odrazu przepolszczono, wielebny, wielbienia godny. Uczczenie to przetrwało w wiekach następnych, płacząc się z innymi.

Przy radzie był rząd, rada była rządem, a przy rządzie u rządu czynni, obowiązki pełniący, byli urzędnicy. Z pomiędzy nich byli ludzie czestni, wyższej godności czestnicy, wymagający osobliwego uczczenia. To niewątpliwie nie inne było tylko pan, co Gallus po łacinie przez *comes* oddaje. Być może, że od początku, naczelnicy i zawiadowcy grodów byli pany, do uczczenia siebie żadnego dodatku, prócz nazwiska grodu, nie potrzebujący: jak to do końca dla ich następców kasztelanów przetrwało. Ale pan, dokładał się pierwszych wieków do tytułu dostojnika wyższego dla uczczenia (*comes palatinus*, pan wojewoda, pan chorąży); a tego uczczenia dla dostojnika było dosyć. Uczczenia bowiem niewątpliwie były krótkie, a gdy z postępem cywilizacyi zbyt powszedniały, dodatków i nowego przystrojenia zapotrzebywały.

Tenże uczczenia wyraz pan po tytule dostojności, po godności położony, całe innego nabywał znaczenia, innej mocy, całe co innego wówczas oznaczał. Położenie jego po godności oznacza nie samo uczczenie godności, ale uniżoność dla niej. O Bolesławach i do Bolesławów mówiono: Król pan, książę pan. Tego przez *comes* po łacinie oddać nie można: jest to *dominus*. Czyli co więcej wówczas w uczczeniu dla dostojności panującego czyniono, wątpić się godzi; ponieważ łacina owego wieku poszlaki nie daje.

Dotąd książętom łacina uczczenia dostarczała, i z końcem królowania Piastów łacina jeszcze dostarczyła majestatu, który wcale na polski przełożonym nie został, ale odpowiedni polski spółdził. Majestat ugruntował król Ludwik, a Jagiełło i następcy jego stale go posiadali.

Za Jagiellonów mocno się uczczenia pomnożyły, a z dwu stron zbiegały, z Litwy czyli Rusi, i z Niemiec. Z ogromem państwa wzrastał majestat; ze wzrostem swobód i potęgą stanów usiłowano majestat wielką czcią otoczyć. Ruskim sposobem bijąc czołem przed królem i wielkim kniazem, kniazie bojary i sudy, wójty i mieszczany, i wsiaki lud, mówili: gospodar jego miłość; wasza królewska miłość, pan nasz miłostywy. Powtarzali to niższego stanu szlachta i ludzie, czołem bijąc przed kniaziami i pany. Za tym przykładem przy pokłonach i ukłonach w Polsce chwycono to wyrażenie do uczczenia królewskiego majestatu i wzajemnego między sobą. Wasza miłość, wasza królewska mość, pan nasz miłościwy, przyzwoitą i konieczną się stała.

Gdy nowe uczczenia w gościnę przybywały, dawne schodzić poczynały. Jeszcze w XV wieku szlachcic i szlachetny toż samo znaczyły, później szlachetności miano mieszczanom się dostało, a szlachectwo przy szlachectwie zostało. W XV wieku czczono urzędnika i dostojną szlachtę czestnicy, niższą pocześni, sławetni; nieco później, gdy się nowe rozgościły wyrażenia, te przestały być szlachty uczczeniem: to dawne szlachty uczczenie raczyło plebejów, mieszczan, szlachetnie urodzonych; szlachetnych, ale nieszlachciców.

Urodzony stało się wysokiem stanu rycerskiego uczczeniem, w aktach publicznych jedynie używanem. Nie cierpiało stopniowania, bo równość nie dopuściła nierównego urodzenia; każdy był urodzony ziemianin, każdy szlachcic dobrze urodzony *bene natus*. Mieszczanom pozwolono być tylko szlachetnie urodzonymi. Tak starodawne wyrażenia uczceń przechodziły w inne stanowiska, całkiem lub ułamkowo, ustępując nowym, ze swemi treściwemi resztkami, z nowemi się powinowacą. Działo się to za Zygmunatów wieku XVI.

Rozpowszedniony pan w pańskich rodzinach i ich paniczach, w rodzinach panoszych, zastąpił przestarzałe miano i uczczenie gospodyna. Kasztelanowie zachowali go w starodawnej im właściwej wysokości, ale w XIV już wieku pan, czy osobno wzięty, czy do godności lub jakiego uczczenia przyczepiony, był łacińskim *dominus*. Nie sami panosze nim się cieszyli: w równości stanu rycerskiego, jaka nastąpiła, każdy był panem, i ten, co miał poddanych, i ten, co ich nie miał. Niewiasta małżonka była pani, córka jej panną. W XVI wieku do chat i służby wygnane zostało miano dziewczki i dziewczycy: dziewice szlachcianki zwano panny.

Panowie szlachta, zapewniając sobie panowanie, nie zaniedbali i majestatu jego. Wzajem jeden drugiemu zdawał się na łaskę jego miłości, waszej miłości panu powierzał się jak poddany panującemu. Wzajem to czyniąc każdy w równości stanu szlacheckiego, równie dostojnie uczczonym się widział, równości nie targał, równie podnosił.

Wielmożność majestatu przystała zrazu senatowi, wielmożnym wojewodom, i panom kasztelanom. Lecz gdy bracia starsi tym wyrazem cześć odbierali, należał on i młodszym. Nim atoli zdążyła się wielmożność rozpowszechnić, oświeconość i jasność zamieszły jej pojedyncze stanowisko.

Oświecony (*illustris, illustrissimus*), stare już i przestarzałe panujących książąt uczczenie, nie miało nikogo w Polsce, coby je śmiało podnosić (wielmożność była lepsza), a nie przystało już królowi, gdy był mieniony najoświecieńszym. Sierotę opuszczoną przesłano tedy kniaziom i książętom Litwy i Rusi. A z unią lubelską, z tytułami kniaziów pożegnane uczczenie oświeconego do Polski też wracało.

Lecz w tym razie nie było jeszcze pewno, co godniejszego, czy jaśnie, czy oświecenie. Najoświecieńszy ustąpił najjaśniejszemu, królowi, bo się stan rycerski oświeconości książęcej wyrzekł: jasność tedy zasługiwała na wzgląd. Spajano ją z wielmożnością

dla lepszego czci uświetnienia: jaśnie wielmożny. A jasna wielmożność o godniejszość równie z oświeconością kniaziowską, jak szlachecką wielmożnością, zdawała się iść w zawody. A gdy 1558, 1559, 1560 do tegoż samego Mikołaja Radziwiłła pisano wielmożny, oświecony, jaśnie wielmożny, jest oczywiście, że w latach blizkich unii lubelskiej względem tego rodzaju uczceń nic jeszcze ustalonego nie było.

W czasie unii lubelskiej 1569, a więc w czasie blizkich bezkrólewii 1572, 1575 niezawodnie opatrzone zamętną niepewność we wzrosłych w poprzednich latach i zrozmaiconych uczczeniach. Świetne królestwo *inclitum regnum* było najjaśniejszą rzecząpospolitą, *serenissima respublica*. Król jej również *serenissimus*, najjaśniejszy pan. Król sam, mówiąc do senatu, czci ich wielmożnymi, a posłów i cały stan rycerski urodzonymi. Nie zna w tem żadnej różnicy, ni jakiego urzędu lub dostojności innej, a tem mniej tytułów, stanowi rycerskiemu obcych i nie przynależnych.

W aktach publicznych i w pospolitem użyciu każdy stanu rycerskiego, każdy szlachcic został wielmożnym. Wysokie tylko dostojęstwa zasługiwały na uczczenie jaśnie wielmożnym. Podkomorzowie ziemscy, starostowie grodowi po niektórych ziemiach, niektórzy wyżsi dostojnicy ziemscy, posłowie na sejm, senatorskiego rządu dostojnicy, senatorowie, deputowani do trybunału, i powołani do wysokich czasowych poleceń czczeni byli jaśnie wielmożnymi. Nie zadziwi, jeżeli ta jaśnie wielmożność w początkach rzadsza, z czasem gęściej na różnych stanowiskach porasta. W partykularnem użyciu krzewiła się jaśnie wielmożność na dzieci i potomków jaśnie wielmożnych, krzewiła się na obce żywioty, z przepisami stanu rycerskiego niezgodne, na orderowych, obcymi tytułami ozdabianych.

Skoro jaśnie wielmożność swój szeroki i rozszerzający się obręb znalazła, już oświeconych książąt wypadło również jasnością otoczyć. W pospolitem więc pisaniu, tudzież w aktach, gdzie to władze nie obrażało, czczono kniaziów i książąt jaśnie oświeconymi. A im więcej w czasach późniejszych książąt odżyło, tem rzęsiściej jaśnie oświeconości błyskotała.

Pan, osobno albo w dodatku do powyższych i do innych uczceń dodawany, służył każdemu i każdemu uczczeniu: mocy nabierał, i elegancyi uczczeniom dodawał, gdy był powtarzany i dwojony: panu a panu.

Gdy się uczczenie regulowało, straciła już swój walor miłość: w polykaniu jej syllab, i liter wymawianiem, w samem do króla nawet przemawianiu i pisaniu, wasza królewska mość, zbitym sposobem wyrażana. A tak nie wychodząc z użycia, i przy każdym uczczeniu do końca miejsce znajdując, w potocznym obrocie bez końca podcinana, ostatniemi z niej wyciśniętymi głoskami, raczej ujmę czci, ponieważ, groźbę, grubiaństwo, niż uczczenie niosła. Wasza miłość pan spadała na waszmość pan, waćpan, wacpan, wasan, wacan, wać; a zaś jego miłość pan na jegomość pan, jmc pan, mospan, mopan, mopanku.

Na miejsce takiego przeobrażenia wyrazu, który niegdyś zdawał na łaskę i miłosierdzie tego, do kogo się mówiło, w XVII wieku zjawiało się nowe tego, do którego się mówiło, za dobrodzieja poczytujące panie dobrodzieju; mości dobrodzieju, do końca już potem powszechnie całą, różnie rozciągniętą uczczenia formułę zamykało.

A gdy przed czasy uprzejmie służby w mowie i pisaniu oświadczano i przesyłano; poczęto się pod koniec mienić służbą. Każdy wzajem sługą pana swego, a zatem zgodne z równością. Ale uprzejmość i pokora sadziły się na rozliczne odcienia: sługa, uniżony sługa, najniższy sługa, upadam do nóg, podnózek, do stóp się ścielę, stopy całuję.

Duchowieństwo miało swe osobne uczczenia sposoby. W łacinie dawne *venerandus*, *venerabilis* z czasem ustąpiło *reverendo*. Polska wielebność jednostajnie została, tylko uzyskiwała stopniowanie, mieszała się i kojarzyła ze świeckimi uczczeniami, albo im też całkiem ustępowała.

Uwagi godne uczczenie prymasa i urodzonego posła (*legatus natus*) stolicy apostolskiej, arcybiskupa gnieźnieńskiego, w czasie bezkrólewia interrexa. Król i akta publiczne piszą doń jako do najprzewielebniejszego (*reverendissimus*) jaśnie wielmożnego. Podobne uczczenie dają mu dwory zagraniczne: duński nie wzdrygał się uczcić go jaśnie oświeconym. Prywatni piszą doń jako do najprzewielebniejszego jaśnie oświeconego, a są przykłady, że w czasie bezkrólewia posłowie niektórzy czcili go najjaśniejszy (*serenissimus*).

Arcybiskupa lwowskiego i biskupa krakowskiego król czcił przewielebnymi (*admodum reverendi*), innych zaś biskupów tylko wielebnymi (*reverendi*). Prywatne osoby bez różnicy wszystkich biskupów najprzewielebniejszymi czciły, dodając krakowskiemu i warmińskiemu jaśnie oświeconych książąt, a innym jaśnie wielmożnych.

Reszcie duchowieństwa w urzędowych aktach łacina duchowna oddawała cześć zwyczajną. W prywatnych zaś zanedbywana, była zastępowana, jak jakiej wysokości przynależało, wielmożnym, jaśnie wielmożnym, jaśnie oświeconym panem, jegomościę księdzem dobrodziejem. Proboszcz sieluński był jaśnie oświeconym, biskupi *in partibus*, sufragani, opaci, prałaci jaśnie wielmożeństwo uzyskiwali.

Te wszystkie wymienione uczczenia służyły tylko do podniesienia obywatelskich stanu rycerskiego zaszczytów. Osobno, oderwanie użyte stały tylko w zastępstwie prawdziwego zaszczytu. Istotnem osoby uczczeniem było wymienienie godności zaszczytu samego urzędu, dostojństwa; przyczem wszystkie te uczczenia przewlokłe, w potocznej mowie, krótkim wyrazem pan, ksiądz wyręczone były. Dworactwo, nadszkanie, uniżoność nie dopuszczały uczczenia przewlokłego, a mianowicie do jaśnie wielmożności i jaśnie oświeconości się uciekały. Ale najuniższy nie raził urzędnika, dostojnika, kiedy go nazwą jego urzędu czcił: pan wojewoda, pan starosta, pan podkomorzy.

Zaszczytów tych rzeczpospolita dostarczała stanowi rycerskiemu moc niezmierną. Od wojewodów, podskarbach, biskupów, hetmanów, do skarbników, wojskich, komorników, służby, urzędów, dostojności czynnych lub bez czynu, ziem nawet straconych, bez kosztu skarbu zasób ogromny a zaszczytyny.

Kiedy nie kasztelanem, dobrze było być łowczym wendeńskim. Szlachta wzajem się czcila po zaszczytach, a zaszczyty spływały na żony i dzieci. Małżonki nie były to żony wojewody, rotmistrza, ale były panie: wojewodzina, chorążyna, rotmistrzowa, sędzina, koniuszyna, pisarzowa, łowczyzna, miecznikowa, podkanclerzyna, jak gdyby obowiązki urzędu były ich udziałem.

Od pieluch synowie i córki, po zaszczycie ojca czczeni. Jeśli synowi nie zdarzyło się pozyskać zaszczytu, nie zostawał ogolony z uczczenia: do zgonu miał prawo po ojcowym zaszczycie być uczczony i przekazywał go swym dzieciom, które czczono dziadziwym zaszczytem. Giętki na to język dostarczał tytułarnych patronimików. Syn starosty był starościc, córka starościanka, wnuk starościcowicz, wnuczka starościcówna. Syn wojewody wojewodzie, córka wojewodzianka, wnuczka wojewodówna, czyli wojewodzicówna. Nie dobrze się czasem wydały wnuczki dziadziwe zaszczyty: szły w żart, w rzadszym były obiegu, ale były, a z nimi i jasnie wielmożństwa. Co bądź, synowie i córki urzędników i dostojników mieli prawo do uczczenia po zaszczycie ojcowym. Skąd kasztelanice, kasztelaniki; jenerałowicze, jenerałówny; rotmistrzowicze, rotmistrzówny; łowczyce, łowczanki; cześnikowicze; cześnikówny; skarbnikowicze, skarbnikówny; sędzicowie, sędzianki; rejentowicze, rejentówny; podkomorzyce, podkomorzanki, oboźnicowie, oboźnianki. A wnuczki kasztelanowicze, rotmistrzowiczówny, łowczycówny, podkomorzycówny i tym podobnie. I żaden urząd dożywotni od tego się nie wyłączał.

Z podobnego synów godnościami ojców uczczenia wyłączały się wszelkie doczasowe, z poleceń obywatelskich wynikające urzędowania. Nie było, i być nie mogło deputatowiczów, posłowiczów, delegatowiczów. Nie podobało się to ani w czasie urzędowania, i pełnienia powiernictwa przez ich ojców.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa *).

Urodziła się w Warszawie 23 listopada 1793. W roku 1805 straciła ojca. Matka miała stosunki, znajomości i przyjaźni z wielu znakomitymi ludźmi owego czasu, więc w tem otoczeniu chowała i córkę. Młoda panienka czytywała z wielkim zapalem, a z pomiędzy znajomych matki szczególnie lubiła pisarzy, przedewszystkiem Woronicza. Zajęta domem matki i wychowaniem młodszego rodzeństwa, czytała jak mogła najwięcej, ale pisać

*) Dla seminaryów nauczycielskich.

Wiele piosenek dla...
i czasu i odwagi nie miała. Raz przecie z siostrą wpadła na pomysł, że byłaby rzecz pożyteczna ułożyć słownik wyrazów blisko znacznych (Synonimów) polskich: Synonimy ukazały się w druku w Pamiętniku Warszawskim, co dodało młodej autorce zachęty i odwagi do pisania. Wpadła jej w rękę książka, która i chęć do pisania żywo pobudziła i ustaliła jej powołanie. Była to niemiecka książka Glatza o wychowaniu dziewcząt, pod tytułem Rosaliens Vermächtnis. Panna Tańska uznała ją za tak rozumną i dobrą, że postanowiła zastosować ją dla Polek; i przerobiwszy dość znacznie, na jej podstawie napisała swoją Pamiętkę po dobrej matce. Pamiętka zwróciła uwagę powszechną na młodą autorkę i dała ją poznać jako osobę szczególnie usposobioną do wychowania młodzieży i do pisania dzieł tej treści. Powodzenie Pamiętki dało jej pochop do napisania drugiego dzieła, poniekąd dalszego ciągu tamtego, którym jest Amelia matka, przeznaczona na to, by w młodych umysłach utwierdzać znajomość, należyte rozumienie i miłość wiary.

Z dziełami dla wychowujących ukazywały się równocześnie książeczki dla małych dzieci (Wiązanie Helenki), a wreszcie w roku 1824 zaczęło wychodzić pismo peryodyczne, w którym i dzieci i młodzież dorastająca mogły znaleźć upodobanie i pożytek, Rozrywki dla dzieci.

Prace literackie nadały młodej autorce stanowisko i powagę w kraju, zjednały jej przyjaźń niektórych pisarzy, nadewszystko Brodzińskiego, który ją radami swemi wspierał i namawiał już wtedy do pisania książki o Janie Kochanowskim.

W r. 1827 minister oświecenia Stanisław Grabowski mianował ją inspektorką szkół i pensji żeńskich w Warszawie. W r. 1829 wyszła za Karola Hofmana, późniejszego autora Historii reform politycznych w Polsce. Po ślubie została na swojej posiadzie inspektorki aż do roku 1831. Podczas wojny pielegnowała rannych w lazaretach. W chwili wzięcia Warszawy mąż był za granicą z jakimś poleceniem od rządu, wracać nie mógł; ona wyjechała za nim do Paryża. Tu nie mogąc się trudnić wychowaniem, pisała może więcej, niż przedtem.

W pracach tych stawało jej na przeszkodzie zdrowie, które się zaczęło psuć. Choroba długa i bolesna ciągnęła się przez kilka lat. Śmierć nastąpiła 21 września 1845 r. w Passy pod Paryżem.

Dzieła. Rozrywki są w swoim rodzaju doskonałością. Dobór i różnaitość treści, stosowność jej dla młodych czytelników, obfitość i właściwy zakres podawanych wiadomości i nauk (z historii, geografii i literatury polskiej, z życia znakomitych ludzi, wyjątki ze znakomitych pisarzy, opisy podróży), praktyczne rady w najrozmaitszych kierunkach, duch prawdziwie chrześcijański i polski, a przytem rzadki rozsądek i szczególny takt w działaniu na młode umysły — oto są zalety tego pisma, które wychodziło w roku 1828. Ozdobami jego są Listy Elżbietki Rzeczyckiej, Dziennik Franciszki Krasieńskiej, bardzo ładne i ciekawe obrazki obyczajowego życia polskiego w wieku XVIII, Listy o wychowaniu, Podróże po kraju etc.

Na emigracyi wydała dwie powieści obyczajowe, Karolinę i Krystynę; potem Jana Kochanowskiego, raczej obrazek poety,

300 str 16 str

jego rodziny i życia, niż powieść — nie bez wartości; oprócz tego Książkę do nabożeństwa dla Polek, opisy odbywanych podróży, pamiętniki własne, wreszcie obszerne dzieło: O powinnościach kobiet (1849).

Charakterystyka. Wdziękiem i zaletą Hofmanowej jest wielka szlachetność uczucia, przy wielkim rozsądku i naturze bardzo zdrowej i prostej. Mało jest w literaturze powszechnej kobiet piszących, któreby były jak ona przywiązane do swego zawodu, a tak wolne od wszelkiej próżności, zarozumiałości, pretensyi; mało kobiet któreby łączyły życie czynne, zawód pisarski, z tak doskonałym i trafnym pojęciem stanowiska kobiety i zakresu jej możliwości. Bardzo żywa i gorąca w swoich uczuciach, nie ma ani przesadnej tkliwości, ani romantycznej chorobliwości i melancholii, ani sztucznej egzaltacyi; jest we wszystkim i na wskroś rzetelna i prosta. Jej talent pisarski nie jest wyjątkowy ani nawet wielki, ale w swoim rodzaju jest niepospolity; i we wszystkim co u nas pisano dla dzieci lub dla dorastających, nie ma nic dotąd lepszego jak jej Rozrywki. Zdolnością pisarską nie trudno może ją przewyższyć, ale nie łatwo jej dorównać praktyczną wartością dzieł, moralną wartością charakteru i zasługą całego życia. Nie ma też dotąd w Polsce autorki, której imię byłoby tak powszechnie szanowane, tak popularne i sympatyczne, jak imię Hofmanowej, która prócz tego między nielicznymi naszymi prozaikami w latach od 1820 do 1830 należy z pewnością do celniejszych.

Pomiędzy jej zasługami jedną z największych jest ta, że jedna z pierwszych dziełami i przykładem wystąpiła przeciw wychowaniu, opartemu na francuskim języku i francuskich książkach, a zwracała je do pierwiastków i dzieł polskich.

Z dzieła „O powinnościach kobiet“.

O sztuce zatrudnienia się.

Światło i cnoty zdają się postępować w parze; wyższy stopień światła, wyższych, liczniejszych cnót wymaga; i postęp oświaty, w podobenstwie do podnoszącego się rannego słońca, coraz nam więcej przedmiotów wykrywa. I tak sztuka zatrudnienia się jest przymiotem, który właśnie osobom wyższej edukacyi, wyższego znaczenia zalecać należy, bo im tylko koniecznym jest do szczęścia. Oświata zdaje się, że na górze mieszka, im wyższy jej stopień posiadamy, tem widok rozszerza się przed nami; nie można mieć za złe stojącym na dole, że nie widzą dalekich przedmiotów: podobnie brakowi wielu przymiotów w osobach mniej oświeconych dziwić się wcale niepotrzeba. Stojący na dole trapić się o nabycie sztuki zatrudnienia wcale nie potrzebują; ich dni praca konieczna zajmuje; który z nich nie pracuje, czyli po naszymu, trudnić się nie umie, temu czas nie jest

długi i nudny: ale ten chleba nie ma, ten albo rad nierad do pracy powraca, albo też, ażeby żyć mógł, na łonie występku okropne dni wiedzic.

Lecz dla wyżej stojących, dla niewiast, którym, jak wiemy, w udziale prawie wyłącznie, zastępca pracy, zatrudnienie się dostało; dla tych wszystkich, którzy nie tyle z musu, co z przekonania i dobrowolnie nieczynności się chronią, tym, jeśli chcą być szczęśliwe, trzeba osiąść tę sztukę. Łatwo już ona przyjść powinna tym, którzy znają dobre użycie czasu, i według tej znajomości żyją; bo nawet w oczach wielu i dla wielu te dwa przymioty mogą się jednym wydawać. Jest jednak w nich różnica. Dobrze używać czasu i dobrze nim rozporządzać, jest to nie tracić go, nie marnować, wypełniać powinności i obowiązki nasze konieczne: słowem, jest to zaspakajając sumienie swoje względem ogólnego użytku życia. Kto umie się zatrudnić, ten dodaje wdzięku i większego sprawom swoim pospiechu i użytku, ułatwia je i nie jest nigdy zachodami około nich zgnębionym; w niedostatku koniecznych i nasuwających się samych przez się prac i zatrudnień, wynajduje sobie nowe: słowem, zyskuje sposób korzystania szczegółowo i przyjemnie z każdej minuty. Osoba umiejająca dobrze używać czasu, gdy ją słabość jaka napadnie, już powie sobie: cierpieć mężnie jest dostatecznie, a więc dosyć uczynię i dobrze czasu użyję, gdy zniosę i przecierpię. Umiejająca i lubiąca się zatrudniać, w samych cierpieniach wynajdzie sobie stosowne zajęcie. Kto dobrze czasu używa, wie życie użyteczne i porządne; ale gdy mu obowiązków braknie, może mieć chwile uciążliwe, z którymi nie wie co począć: samotność może mu być przykrą, w chwilach odpoczynku może drugim i sobie być ciężarem, może nudzić sobą.

Ta sztuka, jak powiadam, wyższego wychowania kobietom koniecznie jest potrzebna. Majętniejsze kiedy jej nie posiadają, dopełniwszy zwykle nielicznych powinności i obowiązków swoich, nie wiedzą co począć z sobą i szukają próżnych, często szkodliwych zabaw, acz i wśród nich często ścigane są przez nudy. Uboższe, albo te, dla których zabawy nie tyle przystępne, po dopełnieniu przykrych, często i mozolnych obowiązków, nie umiejając się zatrudnić, nie mają niczem ulżyć ciężarowi swemu; stąd zły ich humor, a często niesmak w życiu w przeznaczeniu sobie właściwem. Ta sztuka mniej jest potrzebna mężczyznom, a to z następujących powodów: mężczyzna dobrze używający czasu, pracując umysłem godzin kilkanaście, ma nareszcie wolną w dniu chwilę; jeżeli w domu zatrudniać się nie umie, wychodzi, a choćby do nocy przystojną rozrywką się bawił, jeśli obowiązków

cel niechcący wyszedł z powiastki
i pisatki dla talentów średnich. 40 str.

stanu swego pierwszej dopełnił, nikomu i niczemu tak dalece przez to krzywdy nie czyni. Przeciwnem zupełnie jest w tym razie, jak w innych, powołanie kobiety; podobna chęć u niej i jej częste dogadzanie, najszkodliwsze skutki miećby mogły. Nie tak łatwo o zabawy za domem dla kobiet jak dla mężczyzn; sam ubiór nasz, większe wygod i przyzwoitości wymaganie, już je daleko kosztowniejsemu czyni; wreszcie kobieta prawie na każdy moment w swoim domu potrzebna; jej obowiązki drobne, są prawie ciągle, zwłaszcza, kiedy ma dzieci i liczną czeladkę; powinna więc koniecznie umieć się zatrudnić, umieć użyć mile przerw małych ale częstych, jakie jej obowiązki zostawują: słowem, powinna umieć zabawić się i rozerwać w domu, choćby samą była, wtedy jej szczęście i cnota będą pewniejsze.

Ale tyle powiedziawszy o potrzebie sztuki zatrudnienia się dla kobiet, należy napomknąć przynajmniej, jak ją nabyć i utrzymać w sobie, czyli jakie przymioty do niej są nieodbitnie potrzebne. Jużto najprzód, jak do wszystkiego, co jest dobrem i do szczęścia naszego przydatnem, trzeba być w wartość osobistą zasobną, trzeba mieć nieprzebrane w samej sobie bogactwa. I tak, chcąc osiąść sztukę zatrudnienia się, trzeba mieć niemały zapas wiadomości i talentów a większy jeszcze gustów; trzeba posiadać zbawienny a rzadki nałóg oddawania się każdemu zajęciu zupełnie, nareszcie trzeba mieć wiele wytrwania i stałości, porządku i swobody. Te nieodzowne przymioty przejdziemy w kilku słowach.

Mieć zapas wiadomości i talentów, jest bezwątpienia najpewniejszą tajemnicą sztuki zatrudnienia się; kobieta, która zna dobrze kilka języków, której wszystkie nauki dla płci jej dostępne obcami nie są, która ma nadobne talenta, umie wiele robótek ręcznych; kobieta, mówię taka, mając w sobie niewyczerpane źródło rozmaitego zajęcia, zawsze zatrudnić, rozerwać się potrafi. Jednak nie dosyćby jej było, dla osiągnięcia tego celu umieć dużo; trzeba jeszcze, żeby lubiła co umie, żeby miała gustów niewinnych wiele. Naprózno by która z nas potrafiła czytać w różnych językach rozliczne dzieła, grać trudne sztuki, rysować co jej w oczy wpadnie, wyrabiać różne ręczne robótki, skoro nie będzie miała prawdziwego upodobania w tych i w innych zatrudnieniach, jakie pod ręką mieć może: nie przyniosą jej rzetelnej rozrywki, nie przyłożą się do jej codziennego szczęścia. Przeciwnie, kogo wszystko żywo zajmuje, kto, jak to mówią, do wszystkiego z duszą się bierze, ten dopiero prawdziwie sztukę zatrudnienia się posiada, temu rzecz każda rozrywką, osłoda, wdziękiem życia się staje. Znam osoby, którym pielęgnowanie kwiatów, piękna robota w kro-

snach, więcej uciech od świetnych zabaw przynoszą; ale te osoby żywo i z uczuciem, do tych drobnych zachodów się biorą i dla tego przyjemność w nich znajdują. Gusta niewinne, chęć i sposobność zaspokojenia ich, dla niejednej kobiety miejsce tego co ludzie szczęściem zowią, zająć mogą, a wszystkim w ogólności życie codzienne i dom miłszemi czynią.

Są kobiety, które tylko nowość zajmuje i bawi; zrazu biorą się żywo do wszystkiego, początek każdej pracy jest im łatwy i miły; ale daleko przed końcem wszystko im się sprzykrzy: rzucają wszystko i wołają się nudzić, być nieczynnymi, jak kończyć rozpoczęte dzieło. Ileż znam takich, które mówią z żalem: „Nie mam co czytać, co grać, co robić“, a stoją szafy zapełnione księgami, leżą stosy nut i rysunków, kryją się po stolikach różne rozpoczęte roboty; ale te książki, te nuty, te wzory i robótki nie mają wdzięku nowości, i dla tego już nie zajmują. Podobna niestałość największą bywa przeszkodą do nabycia sztuki zatrudnienia się; bo w tym razie, jak we wszystkich innych, ten wygrywa, kto ma wytrwanie, kto korzysta z tego co ma pod ręką. co ma rzeczywiście. nie marząc o rzeczach dalekich i niepodobnych. Nakoniec należy wprowadzić w zatrudnienie swoje porządek i spełniać je swobodnie. Wiele jest kobiet, które nie będąc obciążone natłokiem prac i zachodów, tak mało posiadają sztuki prawdziwej zatrudnienia się, że są przygnębione; zawsze w niezgodzie z zegarem, zawsze im czasu brakuje, nigdy chwili wytchnienia nie mają. Stąd to pochodzi, iż zaniedbują wprowadzenia porządku w codzienne zachody swoje, że są roztargnione, że spełniają rzecz jaką nie myśląc o niej, lub myśląc o czem innem, nie mogą jej dopełnić ani prędko ani dokładnie.

Sposób na to jedyny jest zadosyć czynić staraniom i zachodom, jakie po nas obowiązki codzienne wymagają z kolei, z zastanowieniem; zawsze umieć wybrać pilniejsze zatrudnienie, niem jednym tylko nie raz, ale już zupełnie być zajętą, wypełniać je bez pośpiechu, zamieszania, lecz zwolna, spokojnie, z zimną krwią. „Chi va piano, va lantano“, kto idzie zwolna zajdzie daleko, mówi włoskie przysłowie. Tym sposobem, choćby kto najbardziej obciążonym był, zawsze swobodnym będzie i chwilę wytchnienia upatrzy. Nieznośne są te osoby, które męczarnię czyniąc z pracy i zatrudnienia, ani komu ani sobie spocząć nie pozwalają. Potrzeba także koniecznie, zwłaszcza przy większych zatrudnieniach, upatrzeć sobie godziny, a czasem poranki i dni całe, na któreby innego zajęcia nie było, tylko spełnienie rzeczy zapomnianych, opuszczonych i przygotowanie dalszych. Nie wstydzmy

się jakiegoś zatrzymania się, jakiegoś wytchnienia; w drodze będąc trudno nie stanąć, nie wypocząć, toż samo i w życiu codziennem.

Kobiety, co przesadzają w zatrudnieniach, zniechęcić mogą do czynności, i każdy będzie wolał mniej pracowite ale miłsze niewiasty; i one same zazdrościć będą tym, które nieużyteczne, bo niezatrudnione, życie wiodąc, na pozór swobodniejsze i szczęśliwsze wydawać się mogą. Strzeżmy się pilnie takiego przeistoczenia pracy, tej sprawczyńi cnoty i szczęścia naszego; zasobne w sztukę zatrudnienia się umiejmy spełniać powinności i obowiązki powołania naszego, w ten sposób, żeby dodały, a nie ujęły wdzięków naszemu życiu; bo ta jest własność cnót i przymiotów, że wykonanie każdego z nich dokonali, uszczęśliwia człowieka; to jest piętno właściwe wad i występków, że uleganie im niesmak i nieporządek w życie wprowadza. Strzeżmy się więc przeistaczać przymioty w wady, bo takowe postępowanie, niezmiernie szkodliwe skutki mieć może.

Aleksander Fredro.

Herbu Bończa, syn Jacka i Maryanny z Dembińskich, urodził się w Surochowie (w Galicyi, pod Jarosławiem) w roku 1798. Matkę stracił wczesnie, wychowywał się w domu pod okiem ojca (w Bienkowej Wiszni, w Samborskiem). Do szkół publicznych nie chodził. Od r. 1809 służył w piątym pułku strzelców konnych księstwa warszawskiego, posunął się prędko na oficera, a kampanię rosyjską r. 1812 odbywał jako kapitan. W odwrocie z Moskwy zachorował na tyfus w Wilnie, i tak wzięty był w niewolę rosyjską. Ale umknął szczęśliwie, dogonił swoich pod Dreznem i był we wszystkich niemal wielkich bitwach roku 1813 i 1814 (Drezno, Lipsk, Hanau), jako adjutant sztabowy marszałka Berthier i księcia Neufchatelu.

Po wojnach napoleońskich wrócił do kraju, w wojsku królestwa kongresowego nie służył; ożenił się (z Zofią Jabłonowską) i osiadł na wsi. Reszta życia, z rzadkimi i krótkimi wyjazdami, upłynęła między Bienkową Wisznią a Lwowem.

Życie wiódł niezmiennie jednostajne i ciche; z wiekiem tylko, od wypadków roku 1863 zapadać zaczął w smutek coraz cięższy. Zachowywał wszakże całą świeżość umysłu i uczucia, a mimo smutku tryskał z niego chwilami dawny świetny humor i dowcip. Umarł po długiej chorobie we Lwowie 15 lipca 1876. Syn jego, Jan Aleksander, (ur. 1829 zm. 1891) pisał także komedye.

Dzieła. Niewiadomo, kiedy na prawdę zaczął myśleć o pisaniu. Jako dziecko pisał jakąś komedye dla zabawy własnej i rodzeństwa, a jako żołnierz (jak sam wspomina) puszczał nieraz między kolegów żartobliwe wierszyki; ale kiedy odezwało się w nim powołanie pisarskie, o tem nie mówi. Tyle wiadomo, że z jego komedyi pierwszy ukazał się

na scenie (w Warszawie) Pan Geldhab, a w ślad za nim poszły inne, tak, że większość ich napisana była przed rokiem 1830. Powodzenie ich i sława autora rosły ciągle, zwłaszcza, że talent jego coraz się rozwijał, a komedye późniejsze (Dożywocie, Jowialski, Zemsta i Śluby panięskie) były najświetniejsze ze wszystkich — kiedy nagle Fredro dzieła swoje ogłaszać zaprzestał. Mówiono, że zniechęciła go surowa choć niesłuszna krytyka Goszczyńskiego, zarzucająca jego utworom brak cech narodowych: ale Fredro zaprzeczał, a istotnego powodu nie wyjawiał. To pewna, że od roku 1835 żadnej nowej sztuki na scenę nie dał ani drukiem nie ogłosił. Pisać wszakże nie przestał, a po jego śmierci znalazło się niewydanych komedyi i ulotnych wierszy tyle, że zapełniły one większą część tomów zbiorowego wydania.

Najznakomitsze jego komedye mieszczą się między temi, które sam wydawał. Z tych głębsze te, których akcja, siła komiczna i wartość zasadza się na psychologicznych pierwiastkach lub sprzecznościach charakterów, są zawsze dłuższe (co najmniej trzyaktowe) i pisane wierszem (Zemsta, Śluby panięskie, Dożywocie, Cudzoziemczyzna). Wyjątek stanowi tylko Pan Jowialski, pisany prozą, a pomimo akcji na pozór błażej i komiczności niby niższej, zawierający głęboką i poważną moralną naukę. Komedye jednoaktowe i komedye pisane prozą, są z małymi wyjątkami (na przykład Zrządność i Przekora) poprostu tylko śmieszne; ale w swoim rodzaju i te są doskonałe (Damy i Huzary, Nikt mnie nie zna, z późniejszych Pan Benet).

Pisma, ogłoszone po śmierci autora, obejmują ośm tomów, a zawierają oprócz komedyi liczbę dość znaczną wierszy mniejszych, lirycznych lub satyrycznych, ballady rycerskie, bajędy, i pamiętnik autora z dzieciństwa i lat wojskowych pod tytułem Trzy po trzy. Z komedyi tych niektóre należą do najlepszych w naszej literaturze. (Wielki człowiek do małych interesów, Dwie bliźny, Godzien liłości, Co tu kłopotu, Ożenić się nie mogę), a od dawniejszych różnią się tem, że odstępują od dawnego molierowskiego typu, zbliżają się zaś do nowoczesnej komedyi, więcej potocznej i realistycznej w układzie i dyalogu.

Charakterystyka. 1. W naszej literaturze dramatycznej postać to jedyna i najpotężniejsza. Był on niezawodnie (bez swojej wiedzy i bez widocznego związku) skutkiem tych wszystkich usiłowań około podniesienia i wykształcenia komedyi, które zaczęły się za Stanisława Augusta, wydały Zabłockiego, a ciągnęły się dalej w początkach naszego wieku. Wszelako nie trzeba sądzić, jakoby Fredro z zamiarem i namysłem był wstępował w ślady swoich poprzedników, jakoby biorąc ich za punkt wyjścia i oparcia, chciał rozwijać dalej rzecz przez nich poczętą. W jego zawodzie pisarskim właśnie niema z góry powziętego zamiaru. Talent i powołanie objawiają się z nienacka, samorodnie. Nie studyował on też żadnych wzorów, nie zastanawiał się nad teorią swojej sztuki. Swoich poprzedników polskich znać musiał, ale prawdopodobnie zważał na nich mało.

2. Wzorem, działającym na niego widocznie i silnie był Molière, dziś przez nowe formy komedyi cokolwiek zepchnięty z pola, ale klasyczny zawsze, a w początkach naszego wieku podziwiany żywiej, bezwzględniej niż teraz. W układzie sztuk, w kreśleniu postaci, które są wiecej typowe niż indywidualne, nawet w niektórych błędach (jak na przykład w zbyt łatwym rozwiązywaniu dramatycznego zakłęcia) widać, że komedya Fredry od molierowskiej pochodzi.

3. Ale obok tej zależności formy jest u Fredry najzupełniejsza oryginalność, samodzielność treści, tworzonych postaci, i najwybitniej rodzimy, własny charakter polski. W pustej farsie czy w najwykwintniejszej komedyi charakterów, w kontuszowej czy w późniejszej sztuce, zawsze jest się u niego w świecie i w życiu polkiem, między figurami rdzennie polskimi, które w wyobraźni cudzoziemca wcale powstać nie mogły, a przynajmniej byłyby musiały przybrać inną fizyognomię. Literaturze, która dążyła do wyraźnie i odrębnie narodowego charakteru, komedya ta odpowiadała doskonale, urzeczywistniała jej dążenie; a polskie typy z komedyi Fredry są tak znakomite i żywe, że mogłyby stać się bez wstydu obok samych nawet postaci z Pana Tadeusza.

4. Fredro, jakkolwiek pisał najwięcej właśnie podczas toczącej się walki romantyków z klasykami, do walki tej nie mieszał się wcale. Stał na uboczu i pisał, jak mu jego natura i zdolność poddawała, nie troszcząc się o literackie teorye. Jest też od jednej jak od drugiej szkoły niezależny. Usposobieniem swoim podobny do starszego pokolenia, a w czynnym wojskowym życiu za młodu wyrobiony, nie ma on jak większość romantyków niepokoję w uczuciach, nie ma rozmarzenia chorobliwego w wyobraźni, niezгоды ze światem, ale w swojej trzeźwości i męskiej równowadze ma gorącego niezucia tyle, a wyobraźnię tak żywą i zdolną tworzyć żywe postacie, że żaden z dawnych klasyków nie dorównał mu tymi przymiotami, a niejeden z romantyków mógłby mu ich pozazdrościć.

5. W jego talencie jako pisarza komedyi są następujące zalety:

a) dar tworzenia postaci żyjących, pełnych psychologicznej prawdy, wiernych typów natury ludzkiej w jej różnych odmianach, a pełnych zarazem już to komicznego pierwiastku (na przykład Łatka, Papkin, Geldhab, Zręda i Przekora), już wdzięku niemal poetycznego (Aniela, Klara, Gustaw), już wreszcie szczeropolskiego, a czasem staropolskiego charakteru, z jego różnemi właściwościami, zdroźnościami lub śmiesznościami (Cześnik i Rejent, Jowialski, Radost z Cudzoziemczyzny).

b) Dalej, przymiotem rzadkim jest wielka sceniczność jego komedyi, ten szczęśliwy zmysł dramatyczny, który umie akcję zrobić żywą i zajmującą, zwięzłe i treściwie uchwycić i przedstawić sytuację w jej pierwiastkach najbardziej charakterystycznych, i w sposób, który musi wywołać wrażenie.

c) Wreszcie humor i dowcip, samorodny, niespodziewany, spiący jak z rogu obfitości najzabawniejsze koncepta albo zakłęcia komiczne. Humor ten i dowcip Fredry jest rozmaity, od najwykwintniejszego aż do rubasznego nieraz, a tak świetny, że koncepta i dowcipy

jego przeszły niemal w przysłowie; tak przytem szczerze i zupełnie polski, że przypomina i Reya i Kochanowskiego i Paska i Krasickiego, a żadnemu z nich nie ustępuje, raczej wszystkich przewyższa.

d) Na to zaś także zważać warto, i to wielka Fredry zaleta i chwala, że w swoich conceptach czasem nieprzyzwoity — w duchu i dążności swoich komedyi, w pojęciu ludzkich stosunków i obowiązków, jest zawsze uczciwy, prawy i prosty. Jego moralność jest zdrowa, a jego bohaterowie mają wrodzony i pewny instykt uczciwości, mają szlachetną delikatność uczuć. Skąpcy i krętacze są w jego komedjach, jak muszą być w życiu; ale ludzi uczciwi mają honor tak czujny, drażliwy i czysty, jak tylko można najbardziej. Nawet tacy wśród jego licznych młodzieńców, którzy prowadzą życie próżniacze lub zgoła zdrożne (Alfred z Pierwszej lepszej, Leon Birbancki itd.) mają tego uczucia tyle, że brzydkiego nie zrobią nic; a ulubionym jego bohaterem, który się w wielu komedjach (do roku 1830) powtarza, jest zawsze wojskowy, oficer tęgi i waleczny, nie rzadko ranny; bo ten jest dla niego zwierciadłem honoru i ideałem tego, czem mężczyzna być powinien.

e) Do tego ma język czysty i doskonały, wiersz łatwy, giętki; dyalog swobodny, naturalny, żywy; styl swój własny, jedrny, energiczny, świetny.

6. Jego największą wadą jest jakaś niedbałość czy pośpiech, które sprawiają, że czasem wymyśli dla swojej sztuki rozwiązanie zbyt łatwe, nie uzasadnione, nie wychodzące logicznie z wypadków poprzednich, a czasem znowu oprze akcję komedyi (doskonałą i bardzo zabawną) na podstawie jakiegoś zawiłanego a zbyt widocznego *ad hoc* wymyślonego, w rzeczywistości niemożliwego zbiegu okoliczności, który się musi wydać naciągany.

Znaczenie w literaturze. Małe to jednak wady a raczej okupione i nagrodzone hojnie ogromnymi przymiotami jego talentu, ogromną wartością jego komedyi, która sprawia, że Fredro w naszej literaturze należy do pisarzy prawdziwie wielkich. Zbogacił tę literaturę całym jednym działem, który przed nim zaledwo jakieś znaki życia dawał, a przez niego stanął na stopniu zupełnie wysokim; dał nam komedye własną, na wskróś polską, pod względem artystycznym znakomitą, pod względem moralnym zdrową, prostą, szlachetną.

„Jak komedye Moliera, tak komedye Fredry nie zwiędną i nie przemina. Po wiekach będą miały jakiś staroświecki kształt i pozór, ale w głębi zachowają młodość nieśmiertelną i prawdę niezmienną dla wszystkich czasów. A jak we Francji setki ludzi pisało komedye, ale Moliera żaden nie doszedł: tak na dziesiątki ludzi, którzy je pisali w Polsce, Fredro jest jeden“.

Zrzędność i przekora.

Komedia w jednym akcie wierszem.

Złej naturze nie wygodzisz: jakbyś węża
ugłaskać chciał, a on przecie kąsa.

And. M. Fredro.

O S O B Y:

PAN JAN ZRZĘDA }
PAN PIOTR ZRZĘDA } bracia, opiekuny Zofii.
ZOFIA, synowica Panów Zrzędów.
LUBOMIR.
LOKAJ.

Rzecz dzieje się na wsi, w majątności Zofii

S C E N A I.

Teatr wystawia pokój.

P. Jan, P. Piotr.

(*Słychać mocne dzwonienie na lewo i prawo.*)

P. Jan (*po prawej stronie w pokoju*). Jest tam kto?

P. Piotr (*po lewej stronie w pokoju*). Hej! jest tam kto!

P. Jan. Głosu mi nie staje!

P. Piotr. To służba!

Odydwa (*krzycząc*). Jest tam który!

(*wypadają z gabinetów; lokaj ze środkowych drzwi*).

P. Piotr. Łajdaki!

P. Jan.

Hultaje!

Cóżto, czyście pogłuchli? I krzyczę i dzwonię,

Aż mi język odrętwiał, aż mi spuchły dłonie...

Gdzie... poco... dokąd lata i jeden i drugi?

Wszyscy są do zapłaty, niema do usługi!

Już ja was do porządku doprowadzić muszę,

Ale aż z was każdemu dobrze karku wzruszę.

P. Piotr (*mówiąc powoli*).

A że też, Panie Janie, zrzedzisz jak najęty!

Jeszcze u ciebie gęby nie widział zamkniętej.

P. Jan. A pan brat niemy? nigdy, nigdy już nie gada

Ani słówka?

P. Piotr.

I owszem, gdy mówić wypada.

P. Jan. Gdy się kłócić wypada, dokuczyć, sprzeciwić;

Bo cóż to może szkodzić, co to może dziwić,

Że za niepilną służbę służącego łaje?

By siedzieli kamieniem na to są lokaje.

Musiałem wprzód ochrypnąć, nim usłyszeć raczył,

Chciałem go właśnie posłać, byś chwilę naznaczył,

- W którejbyśmy raz mogli rozmówić się z sobą: 25
 Niechaj napróżno doba nie mija za doba,
 Niech nasza synowica, już dłużej nie czeka,
 A zwłaszcza, niech się skończy ta nudna opieka.
- P. Piotr Przeszedłem, jestem, słucham; o cóż ci więc chodzi? 30
 Czegoż sobie krew psujesz, jeszcze ci zaszkodzi.
- P. Jan. O! i u pana Piotra zółci jest nie mało.
 Mówię biało, on czarno; ja czarno, on biało,
 I tak prawie od wschodu do zachodu słońca
 Nigdy kłótnie nie mają między nami końca. 35
 Już dalej żyć nie mogę w nieustannej wojnie,
 Chcę być panem nie sługą i rządzić spokojnie.
 Ach, nimem tu przyjechał, bodajem kark skrecił!
- P. Piotr. Dzień, w którym tu stanąłem, bodaj się nam święcił.
 P. Jan. Mój luby, słodki bracie, powiedźże mi, proszę,
 Jakież tu masz uciechy, jakie masz rozkosze: 40
 Dla nieznośnej opieki w cudzym domu siedzieć,
 Panne, jak ochmistrzynie pilnować, strzedz, śledzić.
 Na co, po co, dla czego? niechże mi kto powie.
 Dla tego, że Waćpanu ubrdało się w głowie,
 By moja synowica nie była w mym domu. 45
- P. Piotr. Nadanej współopieki nie zwierzę nikomu;
 Zofia nie potrzebuje zakosztować miasta,
 Gdzie, im dłużej się bawi, chęć bawienia wzrasta.
 Cóż tam w rzeczy dobrego nauczyć się może?
 Szukać uciechy w zbytkach a chwały w ubiorze, 50
 Gadać, prawić bez celu, oczkiem wabić skrycie
 I o niczem nie myśleć przez całe swe życie.
 Nie, tego znać nie będzie nasza synowica:
 Cnotą skromną, lecz trwałą niech duszę zaszczyca,
 Niech czczemi próżnościami nie zaprzęta głowy, 55
 Niech umie cenić mierność i spokój domowy,
 I na wsi podług stanu, niech męża wybierze.
- P. Jan. Na mnie pewnie Zofia spuści się w tej mierze.
 P. Piotr. W tej mierze na Waćpana wybór nie zezwołę.
 P. Jan. Czemu? 60
 P. Piotr. Bo zły.
 P. Jan. Wszak nie wiesz.
 P. Piotr. I nie wiedzieć wolę.
 Wiem tylko, że we wszystkim chcesz stanowić prawa:
 Stąd zawsze gdzie ty jesteś, te kłótnie, ta wrzawa; 65
 Lecz i ja też czasami, chcę mieć moje zdanie,
 Nie wszystko zatem tutaj na twojem się stanie,
 I jeśli cię opieka tak trudzi, tak dreczy,
 Jedź, wracaj...
- P. Jan. A braciszek chętnie mnie wyręczy, 70
 Sam będzie rządzić! dobrze wyszukał to w głowie.
 Pojadę, lecz los Zosi pierwszej postanowię.

- P. Piotr. Póki ty tu, nic z tego, żebyś o tem wiedział.
P. Jan. Ty mnie tu nie przesiedzisz, będę sto lat siedział.
(siadają).
- Lokaj. Mam czekać? 75
P. Jan. Idź do diabła!
P. Piotr. Czekaj!
P. Jan. Niech więc czeka;
Lecz na cóż masz daremnie udreć człowieka?
Czyż mu nie wolno zrobić i jednego kroku, 80
Ma-że wciąż jak niewolnik stać przy twoim boku?
Nie dość że już nieszczęścia, że musi mieć pana,
Trzebaż jeszcze by zawsze widział w nim tyrańca?
Ach, wolałbym pług ciągnąć, jak służyć u zrzędy,
Który tylko we wszystkim na siebie ma względy, 85
Który...
- P. Piotr. Lecz Panie Janie, zrzędzisz nadaremno,
Służący mi potrzebny i już idzie ze mną.
(Pan Piotr z lokajem odchodzi).

S C E N A II.

- P. Jan. Zrzędzisz! proszę, ja zrzędzę! brawo, to mnie bawi!
Ja zrzędzę! Nie, już nigdy świat się nie poprawi, 90
Wszak takich jak braciszek, posiada bez miary,
Co liczą chęć poprawy pomiędzy przywary.
Nie mi żona mniej gada, córki mniej się stroją,
Niech mnie słucha rodzeństwo, synowie się boją;
Niech sługa wierny, trzeźwy, zważny na me słowa 95
Swojej służby pilnuje, a mego nie chowa,
Słowem niech wszystko idzie jak chcę i ułożę,
A nigdy nie połaje, — gęby nie otworzę.

S C E N A III.

Pan Jan, Zofia.

- Zofia. Miałabym małą prośbę...
P. Jan. Fe, to wstyd dla Zosi, 100
Wstyd zawsze dla panienki, kiedy o co prosi:
Proszoną być powinna panna znakomita;
Ale każda z was dzisiaj o to się nie pyta,
Czy to tak skromnie, ładnie, czy to tak przystoi,
I starego panieństwa jedynie się boi, 105
A gdy duży majątek obejmie przed czasem,
Zaraz piskliwy szpaczek zacznie śpiewać basem.
A przytem są ciekawe, złośliwe, uparte...
Słowem, żeście wraz wszystkie nic a nic niewarte.
(odchodzi).

S C E N A IV.

Zofia, Lubomir.

- Lubomir. Jakiż, piękna Zofo, twojej prośby skutek? 110
- Zofia. Znikły nasze nadzieje, został tylko smutek;
Nawet mnie stryj nie słuchał, lajał mnie przed czasem.
Ganił szpaki w fryzurach i odszedł z hałasem.
- Lubomir. Przecież coś odpowiedział?
- Zofia. Nic, nic, ani słowa 115
Dobrze była w mej głowie ułożona mowa,
Chciałam wszystko wystawić rozsądnie, dokładnie:
Że długo nie iść za mąż dla panny nieładnie,
I że... że... Pan Lubomir pokochał mnie szczerze...
- Lubomir. I zawsze kochać będzie... 120
- Zofia. I że temu wierzę;
Więc kiedy mam chęć dobrą i zdatność po temu,
Trzeba zadość uczynić żądaniu naszemu.
Lecz cóż? stryjaszek wszystko łajaniem pokrywa.
(*zaczyna płakać*).
- Ja już nie wiem, co pocznę dalej, nieszczęśliwa; 125
Jeden z drugim się kłóci, a mnie uciemieża;
Nie wiem, co to im szkodzi, abym miała męża.
O Boże! dobry Boże! coto z tego będzie!
Że już mam rok szesnasty, mówią o tem wszędzie,
Za każdą moją wolę odbieram naganę, 130
A czas mija... i w końcu zostanę... (*szlochając*)
Starą panną...
- Lubomir. Zofio! umiem te łyzy cenić
Lecz się uspokój, nasz los musi się odmienić:
Stryjowie bez wątpienia przy końcu zezwolą, 135
Jeżeli twoje szczęście nad swój upór wola.
A posądzać ich nie chcę o myśli niegodne:
Nasze majątki równe, nasze serca zgodne,
Żadne więc mych zamiarów sprzeczności nie wzruszą,
I nie dzisiaj, to jutro, spełnione być muszą. 140
- Zofia. Wcale mnie nie pociesza ten widok daleki.
- Lubomir. Przecież się z czasem kończą najdłuższe opieki.
- Zofia. Ach, ja bardzo nie lubię na cokolwiek czekać.
Ale są tacy... o są... co lubią odwlekać.
- Lubomir. Ach, całe szczęście moje w tej złożone dobie, 145
W której przysięgnę kochać, żyć wiecznie przy tobie;
I możesz ty postrzegać obojętność we mnie?
Z tamtym stryjem mówiłem.
- Zofia. I pewnie daremnie.
- Lubomir. I owszem. 150
- Zofia. Owszem? jako? więc się już nakłania?

Lubomir. Swoim świętym zwyczajem zaczął od łajania,
 Kłócił się, choć milczałem, a gdy wyrzekł słowo,
 Przeciwnych sto dowodów leciało nanowo,
 I już myślałem odejść, ująć tego zapalu; 155
 Gdy przecie w końcu zaczął ostygąć pomalu
 I przyrzekł prawie...

Zofia. Prawie!

Lubomir. ... Ziścić nasze chęci.
 Chciałem nawiasem, niby dla lepszej pamięci, 160
 (pokazując papier). Aby nam to podpisał prawne
 [zezwozenie;
 Bo zawsze wolę pismo, choć i słowa cenię.
 Ale...

Zofia. Ale...

Lubomir. Odłożył na wolniejszą chwilę. 165

Zofia. Na nic więc zeszło kłótni i gadania tyle.

Lubomir. Nie, wszak nie potrzebuje, i pewnie nie zwodzi;
 O drugie zatem tylko zezwolenie chodzi.
 Idź, Zofio najdroższa, błagaj twego stryja,
 Kocha cię niezawodnie, bo któż ci nie sprzyja? 170
 Nie będzie więc nieczułym na twoje żądanie
 I szczęście nas obojga spełnionem zostanie.
 Na wszystkie jego słowa bądź na chwilę głucha,
 Powiedz...

Zofia. Wiem, co mam mówić, jeśli mnie posłucha.

Lubomir. Któżby twego boskiego nie chciał słuchać głosu! 175
 Pewnie więc dobre zyskasz rozstrzygnięcie losu;
 Ja zaś w czas należyty drugiego sprowadzę,
 A jeśli się nie uda, i temu zaradzę. (odchodzi)

Zofia (sama). Żeby mi też kto mądrze wytłómaczył przecie, 180
 Na co się opiekuny przydadzą na świecie?
 Dla płochych dzieci jeszcze, bo te mogą błądzić;
 Ale dla mnie!... Ja sama potrafię się rządzić,
 Nie potrzebuję, nie chcę w niczem mieć zawady,
 Niktby mi, gdybym chciała, nie dał tutaj rady.
 Ale stryj!... 185

S C E N A V.

Zofia, P. Jan.

P. Jan. Czegoż Waćpanna stoisz jak na straży?
 Pewnie jakiś koncepcik po głowie się marzy,
 Ale muszą złe myśli błądzić po rozumie:
 Kiedy kto się czem dobrem zatrudnić nie umie,
 Wtedy z kąta do kąta włóczy się i ziewa 190
 I patrzy, kto odchodzi albo kto przybywa.
 Czegoż Waćpanna żądasz, czy dzisiaj usłyszę?
 Przerwijże już łaskawie świątobliwą ciszę;

- Nie lubię tej pokory, milczenie mnie nudzi!
 Zofia. Boję się... 195
 P. Jan. Cóżto znowu, czym straszylłem ludzi?
 Od jakiegożto czasu tak straszonym zostałem?
 Kiedyż Pannie Zofii powód strachu dałem?
 Możem się nie dość umiał jej piękności dziwić,
 Możem się jej układow ośmielił sprzeciwić? 200
 Zofia. Ach nie...
 P. Jan. Skromność, łękliwość, piękne w płci niewieściej,
 Lecz czasem w tym układzie i chytrość się mieści:
 O znano już nie jedną z tak miłym pozorem,
 Co była trusią z rana a lwicą wieczorem. 205
 Jednak raz jeszcze pytam, bo chcąc odpowiedzieć,
 O co rzecz idzie, muszę przecie wiedzieć?
 Zofia. Chciałabym pójść... pójść...
 P. Jan. Dokąd? co? gdzie? mów potroszę.
 Zofia. Pójść za męża. 210
 P. Jan. Czy tak pilno?
 Zofia. O, i bardzo!
 P. Jan. Proszę!
 Pójść za męża bardzo łatwo!
 Zofia. Ach, stryjasku drogi, 215
 Niema nic łatwiejszego, bez najmniejszej trwogi...
 P. Jan. Księdza kazać zawołać, da błogosławieństwo,
 Goście się zjadą, spiją i będzie małżeństwo.
(Zofia biegnie z radością ku drzewiom)
 Gdzież? 220
 Zofia. Po Księdza proboszcza!
 P. Jan. *(z ironią)*. Już go zamówiono.
 Ale wiesz też Waćpanna, co to jest być żoną?
 Zofia. O, wiem: trzeba być dobrą... i kochać potrzeba.
 P. Jan. Przy dobroci, miłości, potrzeba i chleba, 225
 Trzeba to, co posiadasz, wiedzieć komu zwierzyć.
 I trzeba przed ołtarzem całą przyszłość zmierzyć.
 Ale to wszystko u was tylko pośmiewisko:
 Być Panią, mieć dom własny, odmienić nazwisko,
 Wyrwać się z pod opieki, wstrętem płacić za tę, 230
 W mieście tracić w kwartale dwuroczną intratę,
 Na balach, jak mężatka zaczynać mazury,
 Na mężczyzn patrzeć śmiało a na panny z góry,
 W modnych fiokach z ulicy latać na ulicę,
 Wzbudzając zazdrość, gnębić swoje rówiennice, 235
 Mieć prawo szczebiotania i wolności w świecie,
 Otóż to jest, dla czego iść za męża pragniecie.
 Zofia. Tak wysoko, stryjasku, myśl moja nie lata:
 Pragnę miłości męża i szacunku świata.
 A Lubomir wie wszystko, zna i świat i ludzi. 240
 P. Jan. Zatem to Pan Lubomir słówkami cię ludzi?

- Zofia. Nie ludzi, bo mnie kocha.
P. Jan. O, dziewczyno płocha!
Któż ci, kiedyś bogata, nie powie że kocha?
Znam ja dobrze paniczów w terażniejszej chwili, 245
Co już w szesnastym roku pół życia przeżyli.
Paryż! kochany Paryż! to ich hasło lubę:
Pedzi jeden i drugi jak na swoją zgubę,
A gdy tam, co posiada, wszystko wraz utraca,
Pełen najdroższych wspomnień, ale goły wraca, 250
I kiedy już ostatki swej spuścizny trwoni,
Jak pies gończy za lisem, za posagiem goni.
Zofia. Nie turbuj się, stryjaszku, ja sobie poradzę,
Jużem przecie nie dziecko, miej to na uwadze;
Daj tylko zezwolenie: on młody, ja młoda, 255
On kocha i ja kocham, a tak będzie zgoda.
P. Jan. Nie jestem opiekunem, jakich wielu liczą,
Którzy wiecznej opieki chętnie sobie życzą.
Małoletni dla takich najczystsza intrata,
I kiedy chce wyjść na świat, nim jeszcze ma lata, 260
Musi wprzód opiekuna niemało opłacić,
By miał wolność przed czasem swój majątek stracić.
Zofia. Więc jeśli moje szczęście masz szczerze na względzie,
Zezwól, nasze żądanie niech spełnionem będzie:
A przez cały ciąg życia w każdej, w każdej dobie, 265
Za wszelkie pomyślności będę wdzięczna tobie.
P. Jan. No, więc dobrze, za męża, weź swego kochanka,
Weź, weź tego słodkiego, miłego baranka;
Lecz nigdy mnie już nie nudź w najgorszej potrzebie.
(na stronie) Zbędę się raz kłopotu i wrócę do siebie 270
(do Zofii) Jeszcze ci powiem...

S C E N A VII.

Pan Jan, Zofia, Pan Piotr, Lubomir.

- P. Piotr. *(mając papier w ręku)*. Dobrze, zaraz ci podpiszę.
Zofia. *(do Lubomira)*. Oba więc zezwalają?
P. Piotr. Zezwala! co słyszę! 275
P. Jan. Zezwala! więc to łapka!
P. Piotr. Jegoto układy?
P. Jan. Tak? chcieliście mnie podejść?
P. Piotr. Nienawidzę zdrady.
P. Jan. O, nic z tego nie będzie.
P. Piotr. Pewnie, że nie będzie. 280
Pan Jan z swoim projektem na lodzie osiedzie.
P. Jan. Wszystko było usnute zrecznie i dokładnie,
Lecz szkoda, że lis stary rzadko w łapkę wpadnie;
Braciszek, krótko mówiąc, chciał mnie stąd oddalić,
Potem, że w pole wywiódł, przed światem się chwalić. 285

- Sam zaś zostawszy w domu, cudzym *nota bene*,
 Wyciągnąć swoje łaski na wysoką cenę,
 Wśród grona zalotników, jakby sam był Panna,
 Niszczyć prawem wieczornem obietnicę ranną.
 Wymyślać, gderać, zrzedzić choćby i dwa wieki, 290
 Słowem: żyć póki można, plonem tej opieki.
- P. Piotr. Gdybym cię zrzedą nie znał...
 Lubomir. Panowie łaskawi!
 Czyż udreczenie drugich tak was wielce bawi?
 Jeden i drugi prawo opieki posiada; 295
 Lecz jeśli jeden zniszczy, gdy je drugi nada,
 Wieczna kłótnia trwać będzie, końca temu nie ma,
 I nikt ręki Zofii pewnie nie otrzyma.
- P. Jan. Czemużec się wprost do mnie nie udał, mój Panie?
 Lubomir. Wtedy Pan Piotr toż samo zadałby pytanie. 300
 Zofia (*do pana Piotra*). Ach, luby stryju, zezwól...
 P. Piotr. Nie, to być nie może.
 Zofia (*do pana Jana*). Stryju, błagam...
 P. Jan. Nic z tego.
 Zofia. Cóż czynić, o Boże! (*placze*) 305
 Lubomir. Wskażcież mi Waćpanowie sposób, czynność, drogę,
 Jak Zofią zasłużyć i pozyskać mogę.
- P. Jan. Wcześniej tak trzeba było mówić ze mną szczerze,
 A teraz tej pokorze nie ufam, nie wierzę,
 I bądź pewnym, że głowy dla kształtu nie noszę. 310
 Lubomir. Proszę...
 P. Jan. Dłużej nie nudzić, ja go także proszę.
 Lubomir. Rzecz dziwna, niesłychana! niechże wiem przyczynę,
 Niechże poznam przestępstwo albo moją winę.
- P. Piotr. Jesteś młodym, więc słuchaj, co stary powiada: 315
 Każda, jakabądź władza przywilej posiada,
 Że czy szczęściem, czy smutkiem swych niższych nabawia,
 Nigdy się i z niczego przed nimi nie sprawia.
- Lubomir. Szanuję ten przywilej; ale każde dzieło
 Musi się kiedyś skończyć, gdy początek wzięło; 320
 Zatem i każda władza, zwłaszcza nadużyta,
 W szczęściu lub smutku niższych niech swój wyrok czyta;
 Nie jeden trwogi dozna, co rozrzuca trwogę
 Te małą, od młodego, chciej przyjąć przestrożę. (*odchodzi*)

S C E N A VIII.

P. Jan, P. Piotr, Zofia.

(*duże milczenie; wszyscy chodzą wzdłuż i poprzek*).

- Zofia (*śono i z determinacją*). Kiedy tak... więc powiadam... 325
 P. Jan, Piotr (*razem*). Cóż?
 Zofia (*pestraszona*). Nic... lecz chcę prosić.
 Chciejcie raz wasze myśli wyraźnie ogłosić,

- Aby się Pan Lubomir mógł do nich stosować;
Wszak mnie żywą w klasztorze nie chcecie pochować. 330
Trzeba, abym wiedziała, co się ze mną dzieje,
Chcę się dowiedzieć, jaką mieć mogę nadzieję.
W szesnastym roku życia myśli nie są płocze,
I można swoim losem zatrudnić się trochę;
Ślepo wierzyć nie będę lada jakiej radzie, 335
Zwłaszcza, gdy mojej woli stanie na zawadzie.
Zatem powiadam... męczcie, dręczcie moją duszę,
Róbcie, co tylko chcecie, ja męża mieć muszę.
- P. Piotr. Tam do kata! doprawdy?
P. Jan. Wszakżem rzekł dopiero, 340
Że panieńska lekliwość nie zawsze jest szczerą;
Otóż ta, co dwóch zliczyć nie umie z pozoru,
Patrzcie, jak nas odważnie wyzywa do sporu.
- P. Piotr. Co ja chcę, Mościa Panno, w jakimkolwiek względzie,
Niech zawsze dla niej prawem, świętem prawem będzie; 345
Łzom kobiecym nie wierzę, fochów się nie zlekne,
I błagać przebaczenia przed nią nie ukłękne;
Proszę więc pójść i czekać, aż przyszlęmy po nią.
Zofia (odchodząc, na stronie).
Sami kochać nie mogą, to i drugim bronią.

S C E N A IX.

P. Jan, P. Piotr.

- P. Piotr. (na str.). Czy to brata był układ, Bóg to raczy wiedzieć. 350
P. Jan (na str.). Trzeba więc będzie tutaj sto lat jeszcze siedzieć;
Jednakże nie zezwole.
- P. Piotr (na str.). Zezwolić nie mogę.
P. Jan (na str.). Byłoby tryumfalną uścielić mu drogę.
P. Piotr (na str.). Bo jeśli jego wola drwiłby potem ze mnie. 35
P. Jan (na str.). O zgrozo! chceć mnie, brata, podejść tak
Ale może na kogo innego się zgodzi, [nikczemnie!
A dając Zosi męża i mnie oswobodzi,
(do P. Piotra) Chciałbym, mój Panie Piotrze, pomó-
[wić z nim szczerze, 360
I stałe jego zdanie usłyszeć w tej mierze.
Kiedy się już tak stało, jak my sobie życzym,
I Lubomir nie wskórał i odjedzie z niczem,
Dobrzeby przecie było ukończyć te zwady
I na jedne, raz w życiu, zgodzić się układy. 365
Dużo o rękę Zosi... stara się młodzieży,
Kiedyśmy opiekuny, wybrać nam należy.
Zosia dziecko, pomału na wszystko zezwoli,
Nie umie poznać nadal szczęścia lub niedoli

- I jedynie nasz rozkaz stanowić tu będzie. 370
 Mów więc, kogo wybierasz w zalotników rzędzie?
- P. Piotr. A, nie do mnie należy w tej mierze wybierać
 Ja tylko słuchać będę...
- P. Jan. I będę się spierać.
 O, znam tę skromność twoją, nikt z nią nie poradzi, 375
 Niech cię kto, jak chce miją, a przecie zawadzi;
 Ale kiedy tak żądasz, bez złości uporu.
 Pierwszy do tak ważnego przystąpię wyboru.
 Na przykład: cóżbyś sądził.. młody Kasztelaniec?...
- P. Piotr. Co? ha, ha, ha; ten burda, król wszystkich pijanic, 380
 Który wszystkich zaczepia, aby pił przy zgodzie,
 Co ciężarem sąsiadów, zakąłem w swym rodzie?
 Jakże go, Panie Janie, mogłeś wybrać sobie?
 Nikt go trzeźwym nie widział, chyba by w chorobie.
 A! pozwól, nad tą myślą niech się jeszcze dziwię, 385
 Chciałeś Zofii zjednać piękny los prawdziwie!
 Obcą zawsze, czasami i zbytnią w swym domu,
 Być świadkiem, towarzyszką szaleństwa i sromu,
 Słyszeć i w dzień i w nocy krzyki i wiwaty,
 Bać się i nie móż wstrzymać majątku utraty, 390
 Nareszcie zwykłym skutkiem podobnego życia,
 Szukać gdzie w cudzym domu lichego ukrycia;
 To jest przyszłość niechybna i ta Zosię czeka,
 Jeżeli ją tak nasza obdarzy opieka.
 Lecz na cóż długo szukać, gdy potrzeby niema? 395
Pan Smętosz, blizki sąsiad, niechaj ją otrzyma.
- P. Jan. Ten kutwa, co do skrzyni przed gośćmi się chowa,
 Który już wszedł w przysłowie, gdy o skąpych mowa;
 Nędzą, głodem, wśród złota napół umorzony,
 Jakże mu myśl przyjść mogła szukać sobie żony! 400
 I korażto pomyśli zostać jego żoną?
 Nie było jeszcze takiej i nie będzie pono.
 Wszakto jego zdarzenie tak sławnem zostało,
 Że o niem niewiedzących znajdziesz bardzo mało.
Onto, sług wypędziwszy swem sknertwem bez miary, 405
 Został się sam przy skrzyni, przy bramie pies stary;
 Wierny, bo na łańcuchu, zażarty bo głodny,
 Był straszny dla hultajów, dla pana dogodny.
 Lecz gdy pan zawsze pościł, jak i teraz pości,
 A pies już nie dostawał ni chleba ni kości, 410
 Wychudł... nareszcie skonał jednego wieczora,
 A w nim razem i sługa i straży podpora.
 Wtedyto nasz pan Smętosz, tając śmierć brytana,
 Właził w wieczór do budy i czekał do rana;
 Lecz choć dobrze udawał brysia nieboszczyka, 415
 Łotr jakiś z lepszym węchem do domu się wmyka,

I gdy sknera aż chrypnie, tak wyje i szczeka,
 Złodziej z jego pieniędzmi szczęśliwie ucieka.

- P. Piotr. Hm, *species* dykteryjki...
- P. Jan. Prawda, prawda czysta, 420
 Zaświadczy sto żyjących, zaświadczy ich trzysta.
 A, pozwól, nad tą myślą niech się jeszcze dziwię,
 Chciałeś Zofii zjednać piękny los prawdziwie!
 Jednak nie mogę myśleć, abys mówił szczerze,
 Żeś się tylko chciał spierać, temu chętniej wierzę. 425
- P. Piotr. Czy tak?
- P. Jan. Tak, tak, tak!
- P. Piotr. Prawda, ja zrzędzę od rana!
- P. Jan. Bo jakże... ale proszę... bo czy rzecz słychana,
 Żeby chcieć synowicę zrobić Smętoszową! 430
 Ten, co...
- P. Piotr. Coś już powiedział, nie wszczynaj na nowo.
 Mniejsza z tem... bierz go lichy!
- P. Jan. Kiedy tak, więc za nic
 Niech będzie i mój projekt, za nic Kasztelanic; 435
 Bo nie jestem uparty...
- P. Piotr. Któż zatem zostaje?
- P. Jan. Pan Szambelan Dorancki godnym mi się zdaje.
- P. Piotr. Ten z miechowskim orderkiem *fircyk* posiwiaty,
 Co diabli wiedzą na czem strawił wiek swój cały, 440
 Nie w wojsku, i nie na wsi, ani na podróży,
 Z państwem się tylko brata lub mu raczej służy;
 Wprawdzie ma dość majątku, posag miernie ceni,
 Lecz mniema, że zaszczyci, z którą się ożeni.
 Wszakże już pan *Rymowicz* godniejszy jak wnoszę. 445
- P. Jan. Ach! tylko mi poety nie wspominaj, proszę!
 Żaden z nich ni o sobie ni też w sobie myśli:
 Jakies światy nieznanne wrzącym duchem kreśli,
 Nie lubi się zatrudnić ni dziećmi, ni żoną, 450
 Bo go gdzieś jakies wabi nieśmiertelnych grono;
 Lecz gdy się tak z dnia na dzień zajmuje Parnasem,
 Tu go na ziemi skubią i kradną tymczasem.
 Zostaje potem zwykle bez grosza dochodu,
 I chociaż nieśmiertelny, musi umrzeć z głodu.
 Tak, jak pan Pegaziński... znałem go przed laty; 455
 Wziął po ojcu majątność, miał piękne intraty,
 Lecz cóż, kiedy nieszczęściem pomyślał o Febie
 I zapomniał o ludziach, zapomniał o chlebie.
 Koło jego wrót jechać bały się sąsiady,
 Aby nie spotkać bajki, ody lub ballady, 460
 A gdy złapał, to szczęście, jeśli o zachodzie
 Mógł kto dwudziestej czwartej wysliznąć się odzie.
 O przyszłości nie myślał, wszystko wniwecz tracił,
 Długów dużo narobił, podatków nie płacił,

Rymował a rymował i latał Pegazem; 465
 Aż prozą wzięto wioskę za sądu rozkazem,
 I teraz gdzieś pod strychem pewnie z nędzy ginie
 I ukończa przy wodzie, co zaczął przy winie.
 Cóż z tego proszę, dzieciom i zgłodniałej żonie,
 Że mąż w biedzie wawrzynem uwieńcza swe skronie? 470
 Cóż są te chwały, sławy, świątynie, kościoły,
 Kiedy każdy poeta całe życie goły?

P. Piotr. Ten zły i ten nie dobry... i cóż Panie Janie,
 Jak tak zaczniesz wybierać, młodzieży nie stanie,
 I chociaż ja niby chętnie się przeciwię, 475
 Milczę całą godzinę.. ty gadasz szczęśliwie.

P. Jan Więc może znowu zrządzą?

P. Piotr. To nie twoja wada.

P. Jan. Jużci mówię czasami, gdy mówić wypada.
 Zwłaszcza kiedy nie jeden rozprawia od rzeczy, 480
 Swoje złe utrzymuje a dobremu przeczy.

P. Piotr. Każdy chętnie swe zdanie za dobre uważa.

P. Jan. Zbłądziwszy, kto błąd wspiera, swą winę pomnaża.

P. Piotr. Więc błądzi, kto Waćpanu nie da sobą rządzić.

P. Jan. Kto się lubi sprzeciwiać, musi często błądzić. 485

P. Piotr. Trzeba milczeć, gdy mówisz...

P. Jan. Lub mówić rozumnie.

Co jest dobrem u świata, jest dobrem i u mnie,
 Nie lubię drugich ganić, roztrząsać ich winy,
 I gęby nie otwieram, gdy nie mam przyczyny; 490
 Ale ścierpieć nie mogę, zatem nie zezwolę,
 By wtrącić synowicę w dozgonną niewolę.
 O? miałyby do twego przystąpić wyboru?
 Niech raczej jeszcze dzisiaj idzie do klasztoru.

SCENA X.

Pan Jan, Pan Piotr, Lubomir.

Lubomir. Zawsze razem i zawsze w najpiękniejszej zgodzie! 495
 Drogi przymiot, jak zważam, w ich szlachetnym rodzie.
 Prawdziwie, mało znałem tak uprzejmych braci;
 Żaden z was sposobności najmniejszej nie straci,
 By drugiemu usłużyć, być pomocnym w radzie;
 Uprzedzić, zobowiązać, ustąpić w układzie; 500
 Bo też nic piękniejszego, jak zgoda w rodzinie:
 Wspólnie podzielać chwałę, gdy dobrze uczynię,
 Znaleźć wad pobłażenie, przestrożę w złym kroku,
 Mieć doradcę w braterskiem i sercu i oku,
 Ufnością ufności płacić, wszystko poddać zgodzie, 505
 Znachodząc łzę w strapieniu a uśmiech w swobodzie,
 I słowem, do krwi związków, przyjaźni złączyć jeszcze;
 Ach, tę rozkosz ja w liczbę boskich rozkosz mieszczę.

- P. Piotr (*do p. Jana*). Drwi z nas pono.
P. Jan (*do p. Piotra*). Wyraźnie.
P. Piotr (*do p. Jana*). A może i w błędzie. 510
P. Jan (*do p. Piotra*). Wszakżeśmy rzadko w zgodzie.
P. Piotr (*do p. Jana*). Mówią o tem
[wszędzie.
- P. Jan (*do p. Piotra*). Czasem nadto się gniewam.
P. Piotr (*do p. Jana*). Jam trochę uparty...
P. Jan (*do p. Piotra*). Ale cóż ma za prawo stroić sobie żarty? 515
(*do Lubomira*) Nadszedłeś Waćpan właśnie nieszczęściem w tej
[chwili,
- Kiedyśmy trochę z bratem za głośno mówili,
Widzę więc, że te szczęścia i zgody pochwały
W wysmianiu naszej sprzeczki jedyny cel miały. 520
- Lubomir. Poznałeś się pan przecie na mnie i na sobie?
Tak jest, chciałem żartować, sekretu nie robię,
I zdaje się, że kiedym tak długo w tym domu,
W którym dobrego słowa nikt nie da nikomu,
Gdzie od samego rana i kłótnia i wrzawa, 525
Zdaje się, że m zrzędzenia już dostąpił prawa.
Prawdziwie, mało znałem tak niezgodnych braci:
Żaden z was sposobności najmniejszej nie traci,
By drugiemu dokuczyć, być nieszczerym w radzie,
Przeciwić się i nudzić w najlichszym układzie. 530
- Złem jest każda niezgoda, lecz zgrozą w rodzinie:
Doznawać wciąż niesnasek, dobrze czy źle czynię,
Mieć zawsze prześladowcę, szpiega w każdym kroku,
Czytać niechęć w braterskim i sercu i oku,
Chytrością, chytrość płacić, żyć ciągle w niezgodzie, 535
Widzieć radość w strapieniu a zazdrość w swobodzie,
I czuć, że się serc naszych natura wyrzekła,
Takie życie, mem zdaniem czysty obraz piekła.
- P. Jan A, już tego za nadto! cóż to jest u kata?
Lubomir. Że Waćpan jesteś zrzędą niezdolnym dla świata. 540
P. Jan. Ale...
- Lubomir. Słusznie, niesłusznie, wszystkiemu przyganasz.
P. Jan. A już!...
- Lubomir. A od nagany siebie nie zasłaniasz.
P. Jan. Panie... 545
- Lubomir. Co ci dobrem dziś, jutro złem się staje.
P. Jan. Słuchaj...
- Lubomir. Nie chęć poprawy, złość nauki daje,
I jak źmija zjadliwa, co się w koło ciska,
Waćpan tego kaleczysz, kogo zoczysz z blizka. 550
- P. Jan. Niemiej! czy ja żyję?
Lubomir (*do p. Piotra*). A Waćpan, mój panie,
Czego się śmiejesz, czego? tak śmieszne me zdanie?

Ale nie, znam go dobrze; udęczenie brata
 Jakby największa rozkosz do duszy mu włata 555
 I ten uśmiech sprowadza; dobrze wyśmienicie!
 Pięknemi uczuciami oba się szczycicie!
 Waćpan to jesteś pierwszą zawadą do zgody:
 Mogące przekonywać zarzucasz dowody,
 Najświętsza prawda, równie jak i błędne zdanie, 560
 Znajduje w tobie sprzeczność, podlega naganie;
 Myślisz tylko, czem wzniecić, czem utrzymać kłótnie,
 Smutnem zwaśnieniem drugich pastwisz się okrutnie,
 I tak jesteś nie tylko dla swoich zgrzyotą,
 Lecz i całej ludzkości szkodliwą istotą. (*odchodzi*) 565

SCENA XI.

P. Piotr, P. Jan.

P. Jan. No, i cóż Panie Piotrze, dosyć niespodzianie
 Usłyszałeś rzetelne, potężne kazanie.

P. Piotr. I Waćpan...

P. Jan. Ostrej prawdy słuchałeś cierpliwie.

P. Piotr. I Waćpan... 570

P. Jan. Jeszcze dotąd śmieję się i dziwię;
 Wszak językaś zapomniał...

P. Piotr. Ja się także śmieję,
 Kiedy wspomnę, jak Waćpan...

P. Jan. Tak się zawsze dzieje, 575
 Kiedy kto zna swe wady a wspierać je żąda,
 Wtedy komubądź w oczy nieśmiało spogląda.

P. Piotr. Ależ mój Panie Janie..

P. Jan. I co mnie w tem bawi,
 Że ten, co tak zuchwale zwierciadło ci stawi, 580
 Jest ów dzisiaj wybrany, ów przyjaciół drogi;
 Dla niegoś spiski knował, szukał krętej drogi,
 Jemuś dawał Zofią, mnieś chciał wywieść w pole.

P. Piotr. I może na ten związek jeszcze dziś zezwolę.

P. Jan. O, raczej na śmierć swoją. 585

P. Piotr. Co zechcę uczynię!

P. Jan. Wszystko, wszystko, nie wątpię, prócz tego jedynie,
 By za takie urazy...

P. Piotr. Jakież te urazy?
 Jeślim słyszał, com nie chciał, Waćpan dwa kroć razy, 590
 I żebym cię przekonał, jak to mało cenię,
 Oto jest opiekunów prawne zezwolenie,
 Siadam i podpisuję. (*siada i podpisuje*)

P. Jan (*na stronie*). Ten człowiek szalony!

P. Piotr. Któż z nas teraz obydwóch mocniej urażony? 595
 Masz w rzeczy i przyczynę, łącał cię bez miary.

- P. Jan. Co, mnie?
 P. Piotr. Wszakże przyrównał do jakiejś poczwary.
 P. Jan. Nie słyszałem.
 P. Piotr. Co wściekle rzuca się na ludzi. 600
 P. Jan. Nie słyszałem.
 P. Piotr. Czyjogoż to śmiechu nie wzbudzi?
 Nie gniewać się nie możesz.
 P. Jan (*na stronie*). Pęknę, umrę, zginę!
 P. Piotr. A gniewając się, trzeba powiedzieć przyczynę. 605
 Czemuż się już nie śmiejesz?
 P. Jan. Czemu się nie śmieję?
 P. Piotr. Zgryzło cię, żem podpisał.
 P. Jan (*na stronie*). Przeklęcie, szaleję! (*głośno*)
 Podpisałeś? więc dobrze; wiem, wszystko rozumiem, 610
 Znam całą myśl twoją, znam, zamiar pojąć umiem:
 Wszystkobyś wolał stracić, niżli szczęście sprawić
 Tego, co ci tak gorzko śmiał prawdę wystawić.
 Lecz chcesz, bym się sprzeciwił a dogadzał tobie,
 Tak miałbyś płon żądany i tryumf przy sobie, 615
 Ale nic z tego; gdzie? daj! na złość ci podpiszę.
 (*siada i podpisuje*)
 P. Piotr (*na stronie*). Podpisał! czy szalony!

SCENA XII.

P. Jan, P. Piotr, Lubomir.

Lubomir (*który we drzwiach podsłuchiwał chwilę*).

Co widzę, co słyszę?

Zezwalacie obydwu!

- P. Jan (*posuwając papier*). Na, masz zezwolenie. 620
 P. Piotr (*z ironią*). Kaducznie mi dokuczyl!
 P. Jan (*z ironią*). To dla mnie zmartwienie!
 P. Piotr. Rób co chcesz, ja odjeżdżam.
 P. Jan. I ja tu nie bawię.
 P. Piotr (*odchodząc*). Toś wyszedł doskonale! 625
 P. Jan (*odchodząc*). Toś zyskał w tej sprawie!

SCENA XIII.

Lubomir. Dobrze więc przewidziałem i poznałem braci:
 Za zmartwienie drugiego każdy mi dziś płaci;
 Co nie mogła cierpliwość, nie mogło błaganie,
 Przez sparte, sprzeczne siły spełnionem zostanie. 630
 Teraz klóćcie się, krzyczcie, zrzedźcie w dzień i w nocy,
 Wyrok naszego szczęścia już jest w mojej mocy.

SCENA XIV.

Lubomir, Zofia.

Lubomir (*otwiera drzwi*). Zofio! chodź Zofio! szczęście nam jaśnieje!(*Zofia wchodzi*) Spełnione przecie nasze najdroższe nadzieje!

Zofia Czy być może? stryjowie?

635

Lubomir. Zezwolenie dali.

Zofia. Jakże, powiedz, tak prędko, tak nagle przystali?

Lubomir. Później twoją ciekawość całkiem zaspokoje.

SCENA XV.

Zofia, Lubomir, P. Jan.

(*P. Jan w płaszczu, kapeluszu, laska w ręku, słuca pierwszego wiersza w głębi stojąc.*)

Lubomir. A teraz przyszedłem szczęściem cieszyć się oboje!

P. Jan. Szczęście? brawo, wybornie; każdy co się żeni, 640

Chwilę, w której ślub bierze, chwilą szczęścia mieni;

Ale gdy roczek jeden i drugi upływa,

Nie każdy dzień swych ślubów dniem szczęścia nazywa.

Waćpanna pewnie mniemasz, że ów panicz młody

Zawsze będzie zajęty celem jej swobody? 645

Że zawsze znajdziesz w mężu czułego kochanka,

Jakiego snadnie kreśli romans lub sielanka.

Poznasz, poznasz, lecz późno, coto jest mieć pana,

I czy tak, jak kochauka, jest żona kochana.

A Waćpan, co się cieszysz, prawie jak szalony, 650

Że dojdiesz tego szczęścia i dostąpisz żony,

Ach wierzaj, będziesz płakał wolnych chwil utraty,

Wierzaj mi, mogę mówić, bom i ja żonaty.

SCENA XVI.

Zofia, Lubomir, P. Jan, P. Piotr.

(*P. Piotr w płaszczu i w kapeluszu.*)P. Piotr. (*w głębi*). Znowu zrzedzi.

P. Jan. Cóż z tego? 655

P. Piotr. Gderaj sobie, ale...

P. Jan. Chcesz się kłócić?

P. Piotr. Ja?

P. Jan (*idąc ku drzwiom*). A ty.

P. Piotr. Nie mówię nię wcale... 660

P. Jan. Mówisz albo nie mówisz...

P. Piotr. Zawsze źle.

P. Jan. Szkaradnie.

P. Piotr. Czy tak?

P. Jan. Tak, bo co myślisz, każdy łatwo zgodnie. 665

(*ostatnie dwa wiersze mówią idąc, i kończą sa drzwiami*).

Zofia. Ach, czyliż między nimi nigdy nie ustanie.
 Lubomir. Do nas teraz należy przykładem swobody
 Zmusić ich do milczenia, zachęcić do zgody;
 A jeśli zawsze kłótnia będzie im tak drogą,
 Niech się kłóć, że szczęścia zaprzec nam nie mogą.

670

Ogólny pogląd na czasy przed r. 1831.

Poezya. Z poznanych autorów i ich dzieł okazuje się jasno, że w tych pierwszych dziesięciu latach poezya polska zupełnie się przeobraziła i weszła na tę drogę, którą już odbyły po kolei niemiecka, angielska, najpóźniej francuska. Zmienione są formy, zmieniony jest sposób pisania. W miejsce dawnych reguł francuskich, zbyt ścisłych i sztywnych, występuje swoboda i niezależność (nieraz aż zbyt duża); w miejsce dawnego stylu poetycznego, formułkowego i stereotypowego, występuje naturalny, samorodny sposób wyrażenia uczuć i myśli; w miejsce ogólnikowej, konwencyonalnej charakterystyki tworzonych postaci występuje ich wyraźny indywidualizm w swojej psychologicznej i historycznej prawdzie.

Zmieniły się formy poetyckiej twórczości. Ballada i Romanca, swoim pochodzeniem, w swoich przedmiotach rycerskich lub fantastycznych i w swojej formie obca, wydaje przecież rzeczy piękne, a niektóre znakomite; rozmiarami zaś i rodzajem zbliżona do niej Duma Zaleskiego jest może najdoskonalszem zastosowaniem tej formy do naszej poezyi, jej przerobieniem i spolszczeniem — odmiennym, szczeropolskim jej gatunkiem. Powieść poetyczna, rodzaj mieszany, złożony z epickiego i lirycznego pierwiastka, przez Byrona stworzony i z wielkim zapalem w całej Europie przyjęty, u nas w Wallenrodzie, w Maryi i w Grażynie wydaje dzieła tak znakomite, że sam Byron piękniejszych nie pisał. Wreszcie, w skargach nieszczęśliwego Gustawa (czwarta część Dziadów), w Odzie do młodości, w Farysie, w Pieśni wajdeloty podniósł Mickiewicz poezyę polską do takich wysokości lirycznego natchnienia, do jakich przedtem nigdy nie była doszła.

I treść tych utworów zupełnie od dawnych różna. W Dziadach znajduje (po raz pierwszy w poezyi polskiej) swój wyraz zupełny miłość nieszczęśliwa a namiętna, w Wallenrodzie miłość ojczyzny nieszczęśliwej i zagrożonej upadkiem. W Maryi Malczewskiego po raz pierwszy ukazuje się dawny świat polski, szlachecki i rycerski, jako przedmiot poezyi; po raz pierwszy polska kobieta jako prawdziwie poetyczna postać. W Grażynie (znowu po raz pierwszy w naszej literaturze) występuje historyczny charakter czasów i cywilizacji i pierwszy raz w tym stopniu przymioty właściwe poezyi epickiej.

Z poetów drugorzędnych, przeważnie naśladowców Mickiewicza, występują w tym czasie: Stefan Witwicki, ur. 1800, zm. 1847 (Ballady, Pieśni sielskie, Poezye biblijne; Edmund, naśladowanie Gustawa

z Dziadów). A. E. Odyniec (Ballady, Legendy, Izora, dramat). Aleksander Chodźko (Poezye wschodnie, Ballady). Julian Korsak (Poezye).

Należy jeszcze dodać, że w tych czasach powstała większa część komedyi Fredry i pierwsze dramata Korzeniowskiego.

Chociaż poezya tych czasów ma już wybitnie narodowy charakter, przecież jednak nie góruje w niej pierwiastek patryotyczny nad wszystkimi innymi, jak się to stało po roku 1831 pod wpływem nowych a smutnych wypadków. Czwarta część Dziadów, Grażyna, Marya Malczewskiego, wiersze Zaleskiego nie mają w sobie pierwiastka politycznego ani politycznej tendencji czy namiętności. Poezya polska jest jeszcze pod tym względem podobna do wszystkich innych: czerpie swoje natchnienia i pomysły ze wszystkich uczuć ludzkich zarówno, nie zwracając się wyłącznie (a przynajmniej przeważnie) do jednego. Pochodzi to niewątpliwie stąd, że społeczeństwo samo znajdowało się jeszcze we względnej przynajmniej równowadze, że miało warunki życia, do normalnych zbliżone (choć niezupełnie normalne), że mogło swoich sił używać, a potrzebom swego uczucia czynić zadosyć różnymi sposobami; miało różne organa i różne kierunki życia (wojskowość, administracyę, wszystkie rodzaje służby publicznej), w których znajdowało zaspokojenie i wyraz dla swego patryotyzmu i dla swego uczucia obowiązku.

Nowy kierunek romantyczny miał istotnie swoje strony słabe i niebezpieczeństwa.

1. Przedewszystkiem, w bezwzględnem podziwieniu dla wszystkiego, co romantyczne, nie dość rozróżniał, brał za dobre i naśladował łatwo-wiernie wszystko, co widział u Anglików i Niemców, a przez to narażał się na zarzut słuszny, że wyrzucając klasykom ślepe naśladownictwo, sam wpada w podobne, tylko innych wzorów.

2. Powtóre, w oburzeniu na krępujące przepisy i w dążeniu do wyzwolenia się, nasi romantycy, (zwłaszcza słabsze talenta), gwałcili nieraz prawa zdrowego rozsądku i tworzyli rzeczy niezrozumiałe, nieestetyczne, nawet niedorzeczne lub potworne i takimi poezyę szpecili.

3. Wiara zbyt wielka w moc i skutki uczucia i zapału samego, pewna pogarda rozważliwych i rachuby jako rzeczy niby poziomych i niskich, właściwa temu pokoleniu, okazywała się czasem w praktycznym życiu i działaniu i musiała nieraz okazać się szkodliwą.

4. Wreszcie, niebezpieczeństwo największe, bo grożące nie już literaturze, ale społeczeństwu samemu, to że za przykładem Byrona, za przykładem naśladowujących go powieściopisarzy i poetów mniejszych, romantyczność zaczęła pojmować niezgodę ze światem jako warunek i dowód wyższości, genialności i poetyczności. Stąd poszedł częsty w ówczesnym pokoleniu a szkodliwy i chorobliwy zwyczaj miłowania się we własnym nieszczęściu, przesadzania lub wmawiania w siebie takich nieszczęść, narzekania na świat, uważania się za ofiarę prześladowaną przez los, a niezrozumianą przez ludzi, wreszcie przesadzania własnych uczuć, nierzetelnego udawania przed sobą i ludźmi, sztucznej egzaltacyi i zapałów na zimno. Talenta prawdziwe, nawet kiedy były dotknięte tą chorobą, zdołały ją przemódz lub mimo niej tworzyć

wielkie rzeczy; ale słabsze krzywiły się i marniały w tem fałszywym pojęciu życia, i zasypały literaturę wielką liczbą dzieł niby bardzo poetycznych, a na prawdę bez wartości.

Nie byli więc klasycy zupełnie bez słuszności, kiedy przestrzegali przed tym nowym kierunkiem. Zbłądzili w tem, że jednostronnie i uparcie widzieli tylko jego złe strony, a piękności oczywistych i jasnych jak słońce widzieć i uznać nie chcieli. Walka ta, prowadzona w różnych pismach publicznych, ciągnęła się aż do roku 1829, w którym cenzura rosyjska zakazała nie tylko pisać o dziełach Mickiewicza, ale nawet wymieniać jego nazwiska. Z młodych krytyków odznaczyli się w niej najwięcej Maurycy Mochnacki i Michał Grabowski.

W literaturze prozaicznej zwrot nowy zaledwo daje się spostrzec.

W powieści na przykład, która jako utwór wyobraźni najpierwsza powinna była uleść tym wpływom, znać je chyba na jednej Pojacie Bernatowicza, która jest bardzo ładnym romansem historycznym w rodzaju Walter-Scotta. W powieściach obyczajowych i współczesnych, Skarbka na przykład albo Jaraczewskiej, choć jest niezaprzeczenie postęp od tego, co było dawniej, od „Malwiny“, a nawet od powieści Niemcewicza, to daleko jeszcze jest do tego stopnia wyrobienia, na jakim stała powieść w latach późniejszych. Wogóle literatura prozaiczna tych lat jest raczej uboga.

Dziejopisarstwo ma reprezentanta znakomitego w Lelewelu, który jak podówczas był, tak na zawsze zostanie jednym z największych u nas badaczy dziejów, ale jako pisarz wzorowym nie był nigdy, a jako historyk dał się opauować doktrynie, która we wszystkich jego dziełach późniejszych zbyt wyraźnie się przebija, a w ówczesnych już przebijając zaczyna. Niemniej jego badania są wielkim w naszej historyografii postępem.

W filozofii nowością jest wpływ bezpośredni i wielki uczonych niemieckich. — Józef Gołuchowski jest może pierwszym z Polaków studiujących filozofię z tym stopniem samodzielnego myślenia, który już prowadzi (jeżeli nie dochodzi) do własnego systemu.

Estetyka, filozoficzna teoria piękności, zjawia się także po raz pierwszy w naszej literaturze, w pismach naprzód Brodzińskiego, a potem Mochnackiego i Grabowskiego. Zrazu (zwłaszcza u Mochnackiego) od Niemców (od Schellinga) zupełnie zależna i zjawiająca się nie pod formą własnego systemu ani nawet osobnego dzieła, tylko jako podstawa literackich krytyk i rozpraw — jest przecież i ona także rzeczywistym i pożytecznym krokiem naprzód w nauce.

Te prace krytyczne i estetyczne, a po części i inne naukowe zjawiają się w peryodycznych pismach literackich i naukowych, które w tym czasie zaczynają się mnożyć i nabierać znaczenia. Takimi były z przeważnie naukowych: Roczniki Towarzystwa Przyjaciół nauk w Warszawie, w Krakowie Roczniki Towarzystwa naukowego, we Lwowie Biblioteka Ossolińskich. Z literackich ważniejsze były: Astrea, Dziennik warszawski i Pamiętnik warszawski (pod redakcją Brodzińskiego); w Wilnie

IV. Tablica porównawcza do historii literatury polskiej. Czasy od r. 1801—1830.

Rok	Dzieje oświaty europejskiej	P o l s k a	Dzieje literatury polskiej		
			autorowie	d z i e ł a	
1801	Schiller. <i>Dziewica orl.</i>	Organizacya uniwersytetu wileńskiego. Liceum krzemienieckie. Księstwo warszawskie. Powiększenie Ks. warszawskiego. Teatr polski we Lwowie	Krasicki †	J. Śniadecki. <i>O Koperniku.</i>	
2	Walter-Scott.		* B. Zaleski,		
3			* Goszczyński.		
4	Schiller. <i>Wilhelm Tell.</i>		* Odyniec. Kitowicz †		J. Śniadecki. <i>Geografia.</i> Trembecki. <i>Zofiówka.</i>
5	Schiller †				
6					
7	Byron.		* Pol. * Libelt. <i>Kniażuin</i> †		Linde. <i>Słownik języka polskiego.</i>
8	Goethe, <i>Faust I.</i>				
9			* Słowacki, * Siemieński.		
10					
1811	Körner.	Wyprawa Napoleona do Rosyji.		A. Śniadecki. <i>Teorya jestestw.</i> Lelewel. <i>Uwagi.</i>	
2	Stephenson. (<i>Lokomotywa</i>).		* Krasziński. * Kraszewski, Trembecki †		
3			. Czacki †		
4				Bentkowski. <i>Historia literatury polskiej</i>	

5	Kongres wiedeński.	Królestwo polskie. Rzpłta krakowska. Tow. przyjaciół nauk w Krakowie. Uniwersytet w Warszawie i we Lwowie. Związki młodzieży wileńskiej.	Mickiewicz w Wilnie.	Staszic. <i>O ziemiorodztwie Karpat.</i> Woronicz. <i>Świątynia.</i> Niemcewicz. <i>Spiewy hist.</i> Feliński. <i>Barbara Radz.</i> Kopczyński. <i>Gramatyka języka pols.</i>	
6				<i>Brodziński. O klasycyzmie.</i> Śniadecki J. <i>O pism. klas.</i>	
7	Grillparzer.			Mickiewicz w Kownie.	Mickiewicz. <i>Uwagi nad Jagiellonidą.</i> <i>Brodziński. Wiesław.</i>
8	Palacky			* Szajnocha.	
9					
20	Lamartine.				
1821	Hegel.	Śledztwo Nowosilcowa. Wyrok w sprawie młodzieży wileńskiej. Mikołaj I. Zakład Ossolińskich. Spisek koronacyjny.	* Małecki. Zabłocki †	Kamiński. <i>Krakowiacy i Górale.</i>	
2	Heine.		* Lenartowicz.	Mickiewicz. <i>Ballady i romance.</i> <i>Grażyna.</i>	
3			* Syrokomla * Ujejski.	Mickiewicz. <i>Dziady II. IV.</i> Zaleskiego pierwsze poezye.	
4	Byron †			Mickiewicz w Rosyji.	
5	Macaulay.			Karpiński †	<i>Malczewski. Marya.</i> Niemcewicz. <i>Jan z Tęczyna.</i>
6	Al. Dumas. Bulwer. Szafařík.			* Kalinka, Malczewski †	Mickiewicz. <i>Sonety. Fredro. Komedye.</i> 1826—1835.
7	Pestalozzi.		Zakład Ossolińskich.	Staszic †	
8					<i>Mickiewicz. Wallenrod.</i> Goszczyński. <i>Zamek Kaniowski.</i>
9				Mickiewicza wyjazd za granicę. Woronicz †	Kraszewskiego pierwsze wystąpienie.
1830	Wiktor Hugo. Ampère (elektrodynamika).	Powstanie 29 listopada		Korzeniowski. <i>Mnich.</i> Mochnacki. <i>O literaturze.</i>	

B. Czasy po roku 1831.

Ogólne znamiona.

1. **Emigracja.** Rok 1831 skończył się przegraną. Między jego skutkami (zniesienie konstytucji królestwa kongresowego, szkół polskich na Litwie i Rusi, uniwersytetu wileńskiego; w lat kilka później [r. 1839] krwawe prześladowanie Unii na Litwie i zapisanie ludu na prawosławie) do najważniejszych zaliczyć należy emigrację. Wojsko, które nie chciało złożyć broni, członkowie rządu, ogółem wszyscy ci, których czekała śmierć lub Sybir, gdyby byli w kraju zostali, wyszli za granicę. Ale za nimi pociągnęło mnóstwo takich, którzy z mniejszem niebezpieczeństwem zostać byli mogli, a wyszli, porwani jakimś silnym prądem, żłudną nadzieją, że w czasie niezbyt dalekim zajdą wypadki, które im pozwolą wrócić do ojczyzny z bronią w rękę, zwycięsko. Kilkanaście tysięcy Polaków przeniosło się w różne strony świata, głównie do Francji. Emigracyi równie licznej nie było dotąd przykłady w historii. Ta, aż do roku 1863, była czynnikiem niezmiernie ważnym w naszych dziejach.

Na literaturę polską wpłynął fakt emigracyi nie mniej jak na historję. Przedewszystkiem przez to, że co tylko było najzdolniejszych i najświetniejszych talentów, znalazło się za granicą. Jedni z konieczności, inni porwani przykładem, wyszli z kraju najznakomitsi poeci i pisarze od Mickiewicza począwszy, tak, że ognisko literatury było przez lat ośmnaście we Francji; w kraju zostały tylko mniejsze talenta albo ludzie zupełnie młodzi, którzy w przyszłości dopiero zdobyć sobie mieli imię i stanowisko. Za granicą literatura była wolna, nie krepowała jej żadna cenzura; wszelka myśl polska i polska boleść mogła tam wypowiedzieć się swobodnie. A właśnie po takim wybuchu silnym a nieszczęśliwym, jak było powstanie roku 1830, i po wszystkich publicznych i domowych nieszczęściach, jakie jej zły obrót za sobą pociągnął, uczucie patriotyczne potrzebowało wylać się na zewnątrz, wypowiedzieć wszystkie swoje uciski i swój ideał, swoje wspomnienia i swoje nadzieje. To zaś stać się mogło jedynie w słowie pisanem i przez nie, w poezyi przedewszystkiem, i to w poezyi swobodnej, zatem w emigracyjnej.

2. **Przewaga pierwiastka patriotycznego w poezyi.** Było rzeczą zupełnie naturalną, że poezya stała się jedynym wyrazem tych uczuć, które stanowiły treść duszy narodu; że skoro sama jedna mogła być takim wyrazem, więc stała się dla narodu częścią niemal najdroższą jego ówczesnego życia, a w tem życiu zajęła wyjątkowe, nigdzie może niewidziane stanowisko; że wreszcie, kiedy sama jedna mogła otwarcie i śmiało mówić o ojczyźnie i jej miłości, myślała o niej i mówiła przede wszystkim, prawie rzecz można wyłącznie i jedynie. Poemata, któreby w tych latach nie mówiły o Polsce, o jej świeżych nieszczęściach, o jej przeszłości, albo o jej przyszłości, są rzadkie i nieliczne. Pierwiastek patriotyczny, który był zawsze, ale nie był jedynym i wyłącznym, teraz bierze górę nad innymi stanowczo i zupełnie i wybija swoje piętno na całym tym okresie poezyi.

3 **Kierunek wieszczu.** Po
 wały ducha narodu: jedna —
 jaka będzie jego przyszłość?
 niemi zajmuje się głównie.
 Poezya wchodzi w dziedzinę
 szłości i tę chce zrozumieć,
 przeczuć, przepowiedzieć
 przyszłości. Ze zaś na
 niczego tak nie pożądał
 losów i dziejów: rzecz więc
 granic, a z wiarą aż zbyt
 przynosiła mu odpowiedź na powyższe
 odpowiedź pocieszającą, krzepiącą na
 poezji ku przyszłości, jej kierunek, z
 poety, aż do najmniejszych i najslabszych,
 myślał i nie pisał.

3. **Odrodzenie uczuć i przekonań katolickich.**

najważniejszych objawów ówczesnego życia europejskiego. Rewolucyi francuskiej, wywołało nowe życie w kościele, w stowarzyszeniach, w instytucjach, w zakonach, w przesiąkaniu i nauki, wpłynęło potężnie nawet na sztukę (przedewszystkiem na literaturę i architekturę): słowem, po tem osłabieniu i zgnuszeniu życia, jakie było w wieku XVIII, nastąpił jakby nowy i potężny wybuch. Do nas wszakże, przed rokiem 1830, dochodził on bardzo jeszcze. Kiedy emigracya znalazła się we Francyi, musiała bez swojej wiedzy i woli uleść wpływowi tych pojęć i dążności, i nabrać przekonania, że skoro odrodzenie narodu musi się rozpocząć od odrodzenia jego duszy, to to znowu nie może się zacząć bez odrodzenia życia religijnego.

Ten kierunek na emigracyi skupił się około Mickiewicza, a głównymi reprezentantami byli prócz niego Zaleski, Witwicki, Stanisław i Jan Koźmianowie, Cezary Plater i t. d. — Mickiewicz utrzymywał, że na to, by poprawić emigracyę i związać ją naprzód a przez nią naród z Bogiem i Kościołem, potrzebny jest nowy, z jej łona wyszły zakon. Znaleźli się ochotnicy, żołnierze z roku 1831, Kajsiewicz i Semeneńko, którzy przyjęli stan kapłański i założyli zgromadzenie Zmartwychwstania Pańskiego (1842). Ono było skutkiem, najlepszym wyrazem katolickiego zwrotu na emigracyi, a zarazem dalszą przyczyną, siłą poruszającą w postępie i wzroście katolickich uczuć i przekonań w Polsce.

5. **Towianizm.** Ideał równowagi świata, opartej na sprawiedliwości i wolności, na wprowadzeniu chrześcijaństwa rzetelnie i na prawdę w stosunki polityczne i międzynarodowe — ten ideał, pojęty jako zadanie i obowiązek naszego wieku, jako podstawa i warunek konieczny istotnego postępu, objawia się najwyraźniej i najczyściej wśród Polaków, ale nie był ich wyłączną własnością. W wielu narodach Europy są w tych latach umysły wysokie i serca szlachetne, które w ten ideał wierzą i do niego dążyć mają za swój obowiązek. Są takie we Włoszech, w Hiszpanii, nawet Anglii; najliczniej może we Francyi. Tylko przechodząc przez różne umysły i usposobienia ludzkie, ideał ten przybiera różne szaty

158

jest tyle surowej
 Anhellego na
 i obywatelskiej
 nad wszelkie
 stawna, zbawi
 piącego serw
 ale też nie
 postępowaj
 samych Po
 było uleg
 bardzo
 jakże, że
 Jaki
 i

B. Czasy po roku 1831.

Ogólne znamiona.

1. **Emigracya.** Rok 1831 skończył się przegraną. Między jego skutkami (zniesienie konstytucyi królestwa kongresowego, szkół polskich na Litwie i Rusi, uniwersytetu wileńskiego; w lat kilka później [r. 1839] krwawe prześladowanie Unii na Litwie i zapisanie ludu na prawosławie) do najważniejszych zaliczyć należy emigracyę. Wojsko, które nie chciało złożyć broni, członkowie rządu, ogółem wszyscy ci, których czekała śmierć lub Sybir, gdyby byli w kraju zostali, wyszli za granicę. Ale za nimi pociągnęło mnóstwo takich, którzy z mniejszem niebezpieczeństwem zostać byli mogli, a wyszli, porwani jakimś silnym prądem, żłudną nadzieją, że w czasie niezbyt dalekim zajdą wypadki, które im pozwolą wrócić do ojczyzny z bronią w rękę, zwycięsko. Kilkanaście tysięcy Polaków przeniosło się w różne strony świata, głównie do Francyi. Emigracyi równie licznej nie było dotąd przykłady w historii. Ta, aż do roku 1863, była czynnikiem niezmiernie ważnym w naszych dziejach.

Na literaturę polską wpłynął fakt emigracyi nie mniej jak na historię. Przedewszystkiem przez to, że co tylko było najzdolniejszych i najświetniejszych talentów, znalazło się za granicą. Jedni z konieczności, inni porwani przykładem, wyszli z kraju najznakomitsi poeci i pisarze od Mickiewicza począwszy, tak, że ognisko literatury było przez lat ośmnaście we Francyi; w kraju zostały tylko mniejsze talenta albo ludzie zupełnie młodzi, którzy w przyszłości dopiero zdobyć sobie mieli imię i stanowisko. Za granicą literatura była wolna, nie krępowała jej żadna cenzura; wszelka myśl polska i polska boleść mogła tam wypowiedzieć się swobodnie. A właśnie po takim wybuchu silnym a nieszczęśliwym, jak było powstanie roku 1830, i po wszystkich publicznych i domowych nieszczęściach, jakie jej zły obrót za sobą pociągnął, uczucie patriotyczne potrzebowało wylać się na zewnątrz, wypowiedzieć wszystkie swoje uciski i swój ideał, swoje wspomnienia i swoje nadzieje. To zaś stać się mogło jedynie w słowie pisanem i przez nie, w poezyi przedewszystkiem, i to w poezyi swobodnej, zatem w emigracyjnej.

2. **Przewaga pierwiastka patriotycznego w poezyi.** Było rzeczą zupełnie naturalną, że poezya stała się jedynym wyrazem tych uczuć, które stanowiły treść duszy narodu; że skoro sama jedna mogła być takim wyrazem, więc stała się dla narodu częścią niemal najdroższą jego ówczesnego życia, a w tem życiu zajęła wyjątkowe, nigdzie może niewidziane stanowisko; że wreszcie, kiedy sama jedna mogła otwarcie i śmiało mówić o ojczyźnie i jej miłości, myślała o niej i mówiła przedewszystkiem, prawie rzecz można wyłącznie i jedynie. Poemata, któreby w tych latach nie mówiły o Polsce, o jej świeżych nieszczęściach, o jej przeszłości, albo o jej przyszłości, są rzadkie i nieliczne. Pierwiastek patriotyczny, który był zawsze, ale nie był jedynym i wyłącznym, teraz bierze górę nad innymi stanowczo i zupełnie i wybija swoje piętno na całym tym okresie poezyi.

3 Kierunek wieszczu. Po roku 1830 dwie główne myśli opanowały ducha narodu: jedna — dla czego spotkał go taki los? druga — jaka będzie jego przyszłość? Do tych dwóch myśli zwraca się teraz, niemi zajmuje się głównie, te dwa pytania rozwiązać usiłuje poezya. Poezya wchodzi w dziedzinę filozofii historii, o ile zwraca się do przeszłości i tę chce zrozumieć i wytłumaczyć; w dziedzinę przewidywań, przeczuć, przepowiedni, kiedy stara się przedrzeć, i rozsunąć zasłony przyszłości. Że zaś naród cały (jego część myśląca i świadoma sobie) niczego tak nie pożądał namiętnie, jak rozwiązania tej zagadki swoich losów i dziejów: rzecz więc prosta, że z zapalem i wdzięcznością bez granic, a z wiarą aż zbytęczną przyjmował tę poezyę, która nietylko przynosiła mu odpowiedź na powyższe pytania, ale jeszcze dawała na nie odpowiedź pocieszającą, krzepiącą na duchu, rozkoszną. Zaczął się zwrot poezyi ku przyszłości, jej kierunek, zwany wieszczym, a nie ma poety, aż do najmniejszych i najsłabszych, któryby o tych kwestyach nie myślał i nie pisał.

3. Odrodzenie uczuć i przekonań katolickich. Należało ono do najważniejszych objawów ówczesnego życia europejskiego. Poczęte po rewolucyi francuskiej, wywołało nowe życie w kościele, stworzyło mnóstwo religijnych stowarzyszeń, instytucyi, zakonów, przesiąkło do literatury i nauki, wpłynęło potężnie nawet na sztukę (przedewszystkiem na malarstwo i architekturę): słowem, po tem osłabieniu i zgnuszeniu katolickiego życia, jakie było w wieku XVIII, nastąpił jakby nowy i potężny jego wybuch. Do nas wszakże, przed rokiem 1830, dochodził on bardzo słabo jeszcze. Kiedy emigracya znalazła się we Francyi, musiała bez swojej wiedzy i woli uleść wpływom tych pojęć i dążności, i nabrać przekonania, że skoro odrodzenie narodu musi się rozpocząć od odrodzenia jego duszy, to to znowu nie może się zacząć bez odrodzenia życia religijnego.

Ten kierunek na emigracyi skupił się około Mickiewicza, a głównymi reprezentantami byli prócz niego Zaleski, Witwicki, Stanisław i Jan Koźmianowie, Cezary Plater i t. d. — Mickiewicz utrzymywał, że na to, by poprawić emigracyę i związać ją naprzód a przez nią naród z Bogiem i Kościołem, potrzebny jest nowy, z jej łona wyszły zakon. Znaleźli się ochotnicy, żołnierze z roku 1831, Kajsiewicz i Semeniuko, którzy przyjęli stan kapłański i założyli zgromadzenie Zmartwychwstania Pańskiego (1842). Ono było skutkiem, najlepszym wyrazem katolickiego zwrotu na emigracyi, a zarazem — dalszą przyczyną, siłą poruszającą w postępie i wzroście katolickich uczuć i przekonań w Polsce.

5. Towianizm. Ideał równowagi świata, opartej na sprawiedliwości i wolności, na wprowadzeniu chrześcijaństwa rzetelnie i na prawdę w stosunki polityczne i międzynarodowe — ten ideał, pojęty jako zadanie i obowiązek naszego wieku, jako podstawa i warunek konieczny istotnego postępu, objawia się najwyraźniej i najczyściej wśród Polaków, ale nie był ich wyłączną własnością. W wielu narodach Europy są w tych latach umysły wysokie i serca szlachetne, które w ten ideał wierzą i do niego dążyć mają za swój obowiązek. Są takie we Włoszech, w Hiszpanii, nawet Anglii; najliczniej może we Francyi. Tylko przechodząc przez różne umysły i usposobienia ludzkie, ideał ten przybiera różne szaty

i kształty. U jednych trzyma się ściśle i stale prawdy katolickiej (Balbo, Lacordaire, Montalembert), wychodząc z przekonania, że tylko prawda Boża jedna ma moc prawdziwego odrodzenia ludzkości; — innych ta sama nadzieja i to samo pragnienie doprowadza do buntu i zerwania z kościołem (Lammenais); — jeszcze innych do wymyślania i tworzenia nowych wiar i nauk religijnych i oczekiwania nowych objawień. Powszechny niepokój dusz i sumień, powszechne uczucie, że sama dusza ludzkości potrzebuje naprawy, jeżeli poprawić się mają jej prawa i dzieje — wyraża się i objawia przez te różne dążności i nauki.

Tych usposobień, tego stanu umysłów u nas odbiciem i wyrazem stał się Andrzej Towiański, Litwin, mistyk, który uczuł się powołanym do objawienia nowej wiary i wybrał się do Francji w celu nawracania emigracyi.

Naukę tę zwolennicy nazwali mesyanizmem.

Do emigrantów, żyjących ciągle w oczekiwaniu blizkich, jak mniemali, a nadzwyczajnych wypadków, łatwy przystęp mogły mieć takie nowości, pełne obietnic i przepowiedni; wszakże jeżeli nauka Towiańskiego zdołała między nimi przyjąć się i szerzyć to dlatego głównie, że przyłgnął do niej Mickiewicz. On swoim potężnym umysłem dodał jej treści, swoim słowem powagi i ozdoby, swoim przykładem i wpływem siły, bo stał się niejako jej poręczycielem.

W emigracyi nie rozeszła się ona bardzo, ale szkody narobiła wiele, bo pociągnęła i zwichnęła niektórych ludzi znakomitych, przedewszystkiem, o Mickiewicza już nie mówiąc, Słowackiego, który teraz pod wpływem tej niejasnej nauki, działającej na jego fantazyę, stracił jasność myśli i doszedł do rozprzężenia talentu. Prócz niego pogrążył się w tej nauce (i został w niej do śmierci) Goszczyński i stary Antoni Górecki. Lucyan Siemiński był do niej przyłgnął, ale na krótko i odstał od niej rychło.

Juliusz Słowacki.

Syn Euzebiusza (profesora literatury polskiej w Krzemieńcu, a później w uniwersytecie wileńskim) i Salomei z Januszewskich, urodził się w Krzemieńcu 23 sierpnia 1809. W piątym roku życia stracił ojca. Matka (w roku 1817) wyszła powtórnie za mąż za doktora Bécu (profesora uniwersytetu wileńskiego), po czem chłopczyzna chował się w Wilnie, w domu ojczyma, ale główny wpływ na jego wychowanie wywarła matka, osoba niepospolicie wykształcona, uczuciowa, nieco egzaltowana, którą Juliusz przez całe życie kochał i uwielbiał — a dla której nie miał tajemnic. Ona też kierowała jego wykształceniem. Nauki szkolne odbywał świetnie, a od dzieciństwa okazywał już pociąg do poezji, skłonność do marzeń i rojeń, wyobrażeń niezwykle żywą. Zawarł w szkole przyjaźń ze starszym od siebie kolegą, Ludwikiem Spitznaglem, młodzieńcem chorobliwie romantycznego usposobienia, który później skończył samobójstwem, a wpływem swoim w młodym Julku rozwijał skłonność do rozmarzenia i niezgody z życiem. Rychło też objawiła się ona miłością (którą Słowacki nazywa

pierwszą i jedyną) do Ludwiki Sniadeckiej, córki Andrzeja. Miłość ta była nieszczęśliwą: bo panna znacznie od niego starsza, nie kochała go wzajemnie. Wkrótce spadło na dom prawdziwe nieszczęście: doktor Bécu zabity został uderzeniem piorunu (1824). Wdowa pozostała w Wilnie, żeby z bliska doglądać nauk i wychowania syna. W roku 1826 przerwał Słowacki nauki uniwersyteckie i odbył kilkumiesięczną podróż przez Podole do Odessy. W roku 1828 wstąpił do służby w Warszawie, w Komisji skarbu, pod ministrem ks. Lubeckim. Związał (lub odnowił dawne wileńskie) stosunki z młodymi literatami i poetami, a Niemcewiczowi dał do czytania pierwsze swoje poezye, mianowicie dramaty Minnowe, który stary Nestor literatury bardzo przychylnie ocenił.

Wybuchło powstanie 29 listopada. Słowacki pod jego wrażeniem napisał kilka wierszy (n. p. Oda do wolności, Kulig), a w ten niespodzianie w marcu roku 1831 wyjechał za granicę. Powód tego wyjazdu był następujący: Lelewel, podówczas członek Rządu Narodowego, wydał książeczkę pod tytułem Nowosilców w Wilnie, w której wystawiał zmarłego doktora Bécu jako zausznika i narzędzie Nowosilcowa. Słowacki, przywiązany bardzo do pamięci ojczyma, przekonany, że oskarżenie nie było prawdziwym, oburzony na Lelewela, nie mógł wytrzymać w Warszawie i wyjechał — bez powrotu. Udał się naprzód do Drezna, nie wiedząc, co z sobą począć po nagłym i nierozważnym wyjeździe, kiedy tam powierzono mu ważne papiery z Warszawy z poleceniem, żeby je zawiózł do Londynu. Tymczasem powstanie upadło, Słowacki pojechał do Paryża i został na emigracji.

Tu zajął się wydaniem swoich dawniejszych poezyi, zaczął pisać Żmiję i Lambra. Przyjechał do Paryża Mickiewicz. Pierwsze spotkania były nie serdeczne, ale uprzejme; niebawem jednak poczęła się jakaś obustronna niechęć. Pod koniec roku 1832 wyszła trzecia część Dziadów, a w niej znalazł Słowacki znowu swego ojczyma, zabitego piorunem doktora, w roli prześladowcy i donosiela. Powziął stąd żal gwałtowny do Mickiewicza, chciał go wyzwąć, ale odwiedli go przyjaciele od tego zamiaru. Zostać w Paryżu, spotykać Mickiewicza, a nie upomnieć się o tę obrazę drogiej sobie pamięci, było mu nieznośnem. Wyjechał do Szwajcaryi i osiadł w Genewie.

Tu zamieszkał w „pensjonacie“ pani Patteg a mając obok pięknej przyrody upragniony spokój i ciszę, oddał się z zapalem czytaniu, marmozom i poetyckiej twórczości (szczególniej w miesiącach jesiennych). W Genewie, gdzie bawił trzy lata, napisał Kordyana, którym chciał przewyższyć Dziady Mickiewicza, i tym sposobem na nim się zemścić, Mazepę, którego później przerobił, Balladyne i Horsztyńskiego. Zresztą życie służyło mu tu przyjemnie: choć bliższych stosunków nie zawierał, nie usuwał się jednak od zabaw towarzyskich i brał udział w górskich wycieczkach.

W roku 1834 przyjechała do Genewy rodzina polska, złożona z matki i kilkorga dzieci, między którymi była i córka dorosła, panna Marya. W lecie roku 1834 wybrał się Słowacki z całą tą rodziną na małą podróż po Szwajcaryi (góra św. Bernarda, jeziora Czterech kantonów, Thoun i Brienz).

Z tego wypadku w życiu poety powstał poemat *W Szwajcaryi*. Po wycieczce w góry opuścił poeta Genewę i przeniósł się na drugą stronę jeziora, do wioski Veytoux; ale po kilku miesiącach wrócił do Genewy. Właśnie wtedy brat jego matki wybierał się z żoną (jedną z jej pasierbic a przybranych siostr Juliusza) do Włoch, więc tam udał się poeta. W Rzymie poznał się i zaprzyjaźnił z Zygmuntem Krasin-skim, potem zachwycał się widokami Neapolu, kiedy niespodzianie nadar-zyła mu się sposobność podróży do Grecyi, do Egiptu i do Ziemi św. (w lecie 1836).

Podróż ta trwała prawie rok i zasiła jego wyobraźnię nowemi wrażeniami i obrazami Wschodu, a duszę jego pokrzepiła wzmocnieniem uczuć religijnych, które w nim odżyły w Palestynie i wśród gór libań-skich w klasztorze Belcheshban, gdzie półtora miesiąca samotnie na dumaniu przepędził. Jej zaś poetycznym plonem jest (oprócz drobnych wierszy, z których najpiękniejszy Hymn na morzu, List do Alex-andra H., t. j. Hołyńskiego, towarzysza podróży) fragment *Podróży na Wschód i Ojciec zadżumionych*.

Po powrocie ze Wschodu osiadł Słowacki na rok przeszło we Flo-rencyi (1838). Tam napisał: *Piastą Dantyszka poemat o piek-le, Ojca zadżumionych, W Szwajcaryi i Wacława*. Z końcem roku 1838 powrócił do Paryża, gdzie odtąd stale już zamie-szkał. Twórczość jego na nowo się wzmogła; powstają teraz coraz nowe poemata: jedne z nich (*Lille Wepedę, Beniowskiego*), ogłasza drukiem, drugie jak *Beatrix Cenci, Niepoprawni* itd., pozostały w papie-rach autora, a choć niektóre zupełnie już były wykończone, uległy w na-stępnym okresie jego życia poniewierce i częściowemu zniszczeniu. Powo-dem tego był towianizm.

Że Słowacki do tej nauki przyłgnał, to tłumaczy się łatwo i natu-ralnie całym jego usposobieniem i życiem. Do jego fantazyi przemawiała nauka, zasadzająca się na ciągłym i od naszej woli zależnym związku że światem nadmysłowym; do religijnych uczuć i popędów, zarazem do jego patryotycznego cierpienia przemawiała nauka, która obiecywała odrodzenie świata i Polski przez nowe objawienie, nowy wylew łaski Bożej; do jego zaś dumy i zarozumiałości przemawiała łatwo i rozkosznie nauka, która mówiła, że człowiek sam przez skupienie swego ducha może robić cuda, robić co zechce i ludzkość całą wyżej podnosić; która uzna-jąc wędrówkę dusz, pozwałała człowiekowi wyobrażać sobie i uwierzyć, że w różnych ciałach należał do całej historii świata, całą przebył, w całej działał i znaczył. Ciągnął więc towianizm Słowackiego za wszystkie lepsze i gorsze strony jego natury i, nie dziw, że go pociągnął. Nie był wszakże Słowacki uczniem powolnym, towianiszczykiem prawowiernym. On na pod-stawie tej nauki zaczął z własnej fantazyi snuć nowe do niej dodatki i pomysły, i rychło oddzielił się od braci, a został sam z jakimś messya-nizmem swoim własnym i odrębnym.

Fakt ten, psychologicznie naturalny i zrozumiały, był niemniej smutnym, bo na dalszy zawód poety wywarł wpływ najszkodliwszy.

Kiedy wybuchły wypadki roku 1848, Słowacki powziął i nawet ułożył plan konfederacyi, która miał być środkiem polskich działań.

Plan ten, w Paryżu uznany za fantastyczny, chciał on urzeczywistnić na ziemi polskiej i wybrał się do Poznania. Jedyńm praktycznym i dobrym skutkiem tej podróży było spotkanie z matką (w Wrocławiu), pierwsze od pożegnania w Krzemieńcu w roku 1828 i ostatnie w życiu. Z końcem lata wrócił Słowacki do Paryża i zaraz dostrzeżono tam zmiany w jego zdrowiu. Rozwinęła się choroba piersiowa. Z zimą nastąpiło pogorszenie; w początkach marca było już widocznem, że koniec blizki. Zostawał wtedy przy chorym poecie i pielęgnował go do ostatka młody przyjaciel, Zygmunt Szczęsny Feliński, później kapłan i arcybiskup warszawski. W dzień przed śmiercią jeszcze pisał Słowacki sam i dyktował Króla Duchą. Po nocy bardzo źle spędzonej zażądał księdza: przyjął ostatnie sakramenta z rozrzewniającą radością. Potem jeszcze kazał sobie przynieść i czytać swój poemat, ale po chwili zamknął go, mówiąc „wszystko to głupstwo“. Wkrótce potem skończył, 3 kwietnia 1849.

Dzieła. W życiu i poetyckiej twórczości Słowackiego dadzą się różnić trzy okresy.

Pierwszy, młodzieńczy, choć zapowiada już wielki talent, nie zapowiada jeszcze wielkiego ani oryginalnego poety.

W swoich powieściach poetycznych (Jan Bielecki, Hugo, Mnich, Arab, Żmija, Lambro) wydanych w r. 1832 i 1833 był prostym naśladowcą Byrona, podobnym do wielu, a dalekim od piękności Wallenroda lub Maryi Malczewskiego. W drobnych wierszach dawniejszych przypominał Zaleskiego; w patryotycznych, pisanych w roku 1831, był raczej zimnym mimo pozorów zapału. Po jego dramatach można było wróżyć lepiej, zwłaszcza po Mindowem, który ma sceny piękne i niektóre figury szczęśliwie pomyslane; ale i w Mindowem i w Maryi Stuart było tyle pomysłów nierozważonych i nieusprawiedliwionych, tyle sprzeczności między zamiarem a wykonaniem, że były to w każdym razie dzieła talentu bardzo niedojrzałego.

Okres drugi (1834—1842). Wielkie narodowe nieszczęście wstrząsa jego duszą, wygnanie rozwija jego smutek (i jego wrodzoną drażliwość); wrażenia zewnętrzne (Szwajcarya, Włochy, Wschód) działają potężnie na jego wyobraźnię. Pod tymi wpływami rozwija się talent pięknie, a rozwinały się jeszcze piękniej, gdyby melancholia, żal do ludzi i wielka дума nie były go w tym rozwoju krzywiły. Okres to najświetniejszy; powstały w nim następujące dzieła:

Kordyan. Był on dziełem talentu bardzo znakomitego. I w nim wprawdzie jest niedojrzałość, nie talentu, ale myśli i zamiaru, która niestety powtarzać się będzie u Słowackiego nieraz, aż do śmierci: niedojrzałość myśli i zamiaru w tem mianowicie, że chciał stworzyć w Kordyanie ideał bohatera, człowieka czynu, zbawcy, a stworzył poetycznego i szlachetnego, ale rozmarzonego, nerwowego, słabego romantyka, byronistę. Mimo tej różnicy między zamiarem a wykonaniem jest tyle w Kordyanie poetycznej piękności, że od niego liczyć należy drugi, najświetniejszy okres w zawodzie Słowackiego.

Mniemał on, że tym poematem przewyższy Mickiewicza dlatego, że Konrad z Dziadów tylko kochał i cierpiał za miliony, a jego Kordyan miał za miliony działać. Nie spostrzegł się jednak, że są

jego pomysł podstawny był wzięty od Mickiewicza i z Dziadów. Tu i tam główną treścią jest przemiana człowieka, który po różnych przejściach i uczuciach osobistych znajduje swoje powołanie w poświęceniu się dla ojczyzny. Że zaś sposób tego poświęcenia jest inny u Kordyana, to stanowi tylko odmianę w pierwotnym pomysle, jak monolog Kordyana na górze Mont-Blanc jest tylko odmianą (i dość słabą) Improwizacji Konrada. Wpływ Dziadów na Kordyana nie tylko w tem jest widoczny. Akt pierwszy, w którym Słowacki umieścił wspomnienia swojej miłości do Ludwiki Sniadeckiej, przypomina bardzo Dziadów część czwartą. Niemniej należy ten akt do rzeczy piękniejszych, jakie są w poezji europejskiej, w tym rodzaju postaci i uczuć chorobliwych, rozmarzonych i sentymentalnych, których ojcem i wzorem był Werther. Akt drugi, podróże i przygody Kordyana po świecie, jest znowu odbiciem Byrona, a zwłaszcza Child-Harolda. Trzeci, w którym odbywa się (i rozchodzi) spisek koronacyjny na cesarza Mikołaja, okazuje Kordyana rozmarzonym poetą, a nie dzielnym bohaterem; ale natchnienia i dramatycznej siły ma bardzo wiele. Scena w więzieniu, kiedy skazany Kordyan gotuje się na śmierć, należy do najpiękniejszych w poemacie, który ogółem wzięwszy, przy wszystkich swoich usterkach, ma piękności pierwszego rzędu.

Mazepa, (przerobiony i wydany dopiero w r. 1840) był przysłany i napisany pod wpływem romantycznego dramatu francuskiego. Naprężone i dreczące sytuacje, wykonanie ich przesadnie energiczne i jaskrawe, niektóre efekta blahe i naciągane, wszystko to wpływ dramatu francuskiego (głównie Wiktora Hugo), a zarazem powód, dla którego tragedia w całości piękna i dobrze pomyślana nie jest. Ale trzy figury: Zbigniew, Wojewodzina i Mazepa, mają tyle życia i poetycznego wdzięku, nieszczęśliwa miłość między pasierbem i macochą skreślona jest z tak delikatnym artystycznym a tak szlachetnym moralnym zmysłem, niektóre sceny (rozmowa Zbigniewa z Mazepą, jego pożegnanie z Wojewodziną, opowiadanie Mazepy przy jego odmurowaniu) są tak wzruszające, język i wiersz wreszcie tak piękny, że choćby nawet dramat polski doszedł z czasem do najwyższej możliwej doskonałości, to Mazepa zawsze liczyć się będzie do jego świetnych ozdób.

Balladyna. Z wyobraźnią bujną i lotną, która musiała zawsze snuć coraz nowe pomysły, powziął Słowacki zamiar bardzo śmiały, ale bardzo też ponętny. Chciał odtworzyć z podań i legend Polskę przedchrześcijańską, najdawniejszą, w szeregu kilku (jak się wyrażał) „dramatyzowanych kronik czy legend“. Mówił sobie, że z takich przedhistorycznych, mitycznych podań brali tragicy greccy przedmioty do swoich dramatów. i zrobili z nich arcydzieła dotąd nieprześcignione. W naszych podaniach, o poświęceniu Wandy na przykład albo o okrucieństwach Popiela, czy nie znalazłby się piękny materiał poetyczny i tragiczny? Fantazja, oczarowana tym pomysłem, zaczęła układać plan szeroki, obejmujący sześć takich dramatów, ale z czasem zarzucił poeta ten zamiar, z którego powstały dwa tylko dramata: *Lilla Weneda*, późniejsza, i napisana w Szwajcaryi *Balladyna*. Ale zachwycony swoim pomysłem, gdy przystąpił do wykonania, spostrzegł się, że te podania dostarczały mu bardzo mało i figur

Godziny myśli 2

i wypadków: osnowę swego dramatu musiał sam. Wtedy pomyślał, że w pieśniach i powieściach (lub artystycznie przerobionych) znajdzie i przydatne i taki rodzaj pojęć i uczuć, jaki mógł być w odległych, tchnych czasach. Z ballad tedy (Maliny Chodźki, Lilie zaczął brać motywa do swego dramatu; ale te z jego pierwotnym, z tem poetycznym odtworzeniem przedwiecznych dziejów Polaków w zgodzie nie były, mówiły o domowych, rodzinnych tylko zajściach i występkach. Prócz tego dostarczały mu materiału na jeden szczególny, jedną sytuację, ale nie na cały ciąg tragicznej akcji. Trzeba więc było oprócz tej pomocy szukać jeszcze innej. Słowacki z zapałem czytał i podziwiał Szekspira, przesiąkał (może bezwiednie) jego wspomnieniami i wrażeniami; z Szekspira też wziął to, czego mu jeszcze brakło do wątku jego dramatu. I tak z trzech różnych pierwiastków złożył Balladynę. Pierwszym jest ten śmiały zamiar odgadnienia i odtworzenia Polski przedchrześcijańskiej. (Zamek i rozprężenie, zrzucony z tronu król Popiel, rycerz Kirkor, który go chce na tron przywrócić, lud zebrany na wybór króla nowego — to są rzeczy należące do tego pierwiastka). Rycerz zdający wybór żony na los, dzbanek malin, zabójstwo jednej siostry przez drugą, spowiedź Balladyny przed pustelnikiem — to jest drugi pierwiastek, balladowy. Dalsze zaś losy Balladyny, ten fatalizm złego, który jej każe nowemi zbrodniami zakrywać stare lub zapewniać sobie to, co pierwszemi zyskała, to jest z Szekspira (z Macbetha, a po części z Lears), jak znowu świat fantastyczny, Goplana, Skierka i Chochlik, wzięte są także żywcem z Szekspira (ze Snu nocy letniej). Te trzy pierwiastki organicznie z sobą połączyć się nie mogły. Wątek balladowy poematu nie odpowiadał pierwotnemu zamiarowi historycznemu, legendowemu; sytuacje wzięte z Macbetha i z Learsa przywały i przygluszyły i treść balladową i zamierzoną legendę z dziejów polskich; a pierwiastek fantastyczny znowu (Goplana i jej wpływ na sprawy ludzkie) nie łączył się logicznie ani z jednym ani z drugim. Wszystkie razem wzięwszy, Balladyna jest (dziwnym poematem, który ma pozór i kształt organicznej jedności, a nie ma organicznego związku, jedności myśli, dostatecznej jasności i świadomości zamiaru. Co nie przeszkadza, że ma istotne i niepospolite piękności: za najcenniejszą z nich uważać należy ten świat fantastyczny, nadmysłowy (Goplana i jej podwładni), z Szekspira wprawdzie naśladowany, ale wykonywany tak cudownie, że sam Szekspir nie potrafiłby lepiej.

Anhelli jest może najdojrzałszym i najgłębszym ze wszystkich poematów Słowackiego. Jak Dziady i Księgi pielgrzymstwa, jak Kordyan, jak poezya Krasińskiego — tak i on natchniony jest dziśniejszem położeniem narodu i smutnem rozmyśleniem o jego przyszłości. Małcecki (w dziele o Słowackim) określił najlepiej jego cel i objaśnił znaczenie. Podług niego, Sybir jest tylko dekoracją, uboczne figury dodatkami i ozdobami, a prawdziwą treścią jest obraz tego, co naród cierpi, i tego, co czyni. Nigdy właściwa Słowackiemu tęsknota i rzewność nie była smutniejszą i bardziej rozdzierającą jak właśnie w Anhellim w obrazach tych cierpień; a znowu w przedstawieniu naszych czynów i błędów (przyczem Słowacki miał na myśli przedewszystkiem emigrację)

jego pomysł podstawny był wzięty od Mickiewicza i z Dziadów. Tu i tam główną treścią jest przemiana człowieka, który po różnych przejściach i uczuciach osobistych znajduje swoje powołanie w poświęceniu się dla ojczyzny. Że zaś sposób tego poświęcenia jest inny u Kordyana, to stanowi tylko odmianę w pierwotnym pomysle, jak monolog Kordyana na górze Mont-Blanc jest tylko odmianą (i dość słabą) Improwizacji Konrada. Wpływ Dziadów na Kordyana nie tylko w tem jest widoczny. Akt pierwszy, w którym Słowacki umieścił wspomnienia swojej miłości do Ludwiki Śniadeckiej, przypomina bardzo Dziadów część czwartą. Niemniej należy ten akt do rzeczy piękniejszych, jakie są w poezji europejskiej, w tym rodzaju postaci i uczuć chorobliwych, rozmarzonych i sentymentalnych, których ojcem i wzorem był Werther. Akt drugi, podróże i przygody Kordyana po świecie, jest znowu odbiciem Byrona, a zwłaszcza Child-Harolda. Trzeci, w którym odbywa się (i rozchodzi) spisek koronacyjny na cesarza Mikołaja, okazuje Kordyana rozmarzonym poetą, a nie dzielnym bohaterem; ale natchnienia i dramatycznej siły ma bardzo wiele. Scena w więzieniu, kiedy skazany Kordyan gotuje się na śmierć, należy do najpiękniejszych w poemacie, który ogółem wzięwszy, przy wszystkich usterkach, ma piękności pierwszego rzędu.

Mazepa, (przerobiony i wydany dopiero w r. 1840) był pomysły i napisany pod wpływem romantycznego dramatu francuskiego. Naprężone i dręczące sytuacje, wykonanie ich przesadnie energiczne i jaskrawe, niektóre efekta blahe i naciągane, wszystko to wpływ dramatu francuskiego (głównie Wiktora Hugo), a zarazem powód, dla którego tragedia w całości piękną i dobrze pomyślaną nie jest. Ale trzy figury: Zbigniew, Wojewodzina i Mazepa, mają tyle życia i poetycznego wdzięku, nieszczęśliwa miłość między pasierbem i macochą skreślona jest z tak delikatnym artystycznym a tak szlachetnym moralnym zmysłem, niektóre sceny (rozmowa Zbigniewa z Mazepą, jego pożegnanie z Wojewodzina, opowiadanie Mazepy przy jego odmurowaniu) są tak wzruszające, język i wiersz wreszcie tak piękny, że choćby nawet dramat polski doszedł z czasem do najwyższej możliwej doskonałości, to Mazepa zawsze liczyć się będzie do jego świetnych ozdób.

Balladyna. Z wyobraźnią bujną i lotną, która musiała zawsze snuć coraz nowe pomysły, powziął Słowacki zamiar bardzo śmiały, ale bardzo też ponętny. Chciał odtworzyć z podań i legend Polskę przedchrześcijańską, najdawniejszą, w szeregu kilku (jak się wyrażał) „dramatyzowanych kronik czy legend“. Mówił sobie, że z takich przedhistorycznych, mitycznych podań brali tragicy greccy przedmioty do swoich dramatów. i zrobili z nich arcydzieła dotąd nieprześcignione. W naszych podaniach, o poświęceniu Wandy na przykład albo o okrucieństwach Popiela, czy nie znalazłby się piękny materiał poetyczny i tragiczny? Fantazya, oczarowana tym pomysłem, zaczęła układać plan szeroki, obejmujący sześć takich dramatów, ale z czasem zarzucił poeta ten zamiar, z którego powstały dwa tylko dramata: *Lilla Weneda*, późniejsza, i napisana w Szwajcaryi *Balladyna*. Ale zachwycony swoim pomysłem, gdy przystąpił do wykonania, spostrzegł się, że te podania dostarczały mu bardzo mało i figur

Godziny myśli

i wypadków: osnowę swego dramatu musiał sam uzupełnić i dorobić. Wtedy pomyślał, że w pieśniach i powieściach ludu (oryginalnych lub artystycznie przerobionych) znajdzie i przydatne dramatyczne sytuacje i taki rodzaj pojęć i uczuć, jaki mógł być w odległych, prawie pierwotnych czasach. Z ballad tedy (Maliny Chodźki, Lilie Mickiewicza) zaczął brać motywa do swego dramatu; ale te z jego pierwotnym zamiarem, z tem poetycznym odtworzeniem przedwiecznych dziejów Polski, już w zgodzie nie były, mówiły o domowych, rodzinnych tylko zajściach lub występkach. Prócz tego dostarczały mu materiału na jeden szczegół, jedną sytuację, ale nie na cały ciąg tragicznej akcji. Trzeba więc było oprócz tej pomocy szukać jeszcze innej. Słowacki z zapałem czytał i podziwiał Szekspira, przesiąkał (może bezwiednie) jego wspomnieniami i wrażeniami; z Szekspira też wziął to, czego mu jeszcze brakło do wątku jego dramatu. I tak z trzech różnych pierwiastków złożył Balladynę. Pierwszym jest ten śmiały zamiar odgadnienia i odtworzenia Polski przedchrześcijańskiej. (Zamęt i rozprzężenie, zrzucony z tronu król Popiel, rycerz Kirkor, który go chce na tron przywrócić, lud zebrany na wybór króla nowego — to są rzeczy należące do tego pierwiastka). Rycerz zdający wybór żony na los, dzbanek malin, zabójstwo jednej siostry przez drugą, spowiedź Balladyny przed pustelnikiem — to jest drugi pierwiastek, balladowy. Dalsze zaś losy Balladyny, ten fatalizm złego, który jej każe nowemi zbrodniami zakrywać stare lub zapewniać sobie to, co pierwszemi zyskała, to jest z Szekspira (z Macbetha, a po części z Leara), jak znowu świat fantastyczny, Goplana, Skierka i Chochlik, wzięte są także żywcem z Szekspira (ze Snu nocy letniej). Te trzy pierwiastki organicznie z sobą połączyć się nie mogły. Wątek balladowy poematu nie odpowiadał pierwotnemu zamiarowi historycznemu, legendowemu; sytuacje wzięte z Macbetha i z Leara przywalały i przygłuszyły i treść balladową i zamierzoną legendę z dziejów polskich; a pierwiastek fantastyczny znowu (Goplana i jej wpływ na sprawy ludzkie) nie łączył się logicznie ani z jednym ani z drugim. Wszystko razem wzięwszy, Balladyna jest (dziwnym poematem, który ma pozór i kształt organicznej jedności, a nie ma organicznego związku, jedności myśli, dostatecznej jasności i świadomości zamiaru. Co nie przeszkadza, że ma istotne i niepospolite piękności: za najcenniejszą z nich uważać należy ten świat fantastyczny, nadzmysłowy (Goplana i jej podwładni), z Szekspira wprowadzie naśladowany, ale wykonany tak cudownie, że sam Szekspir nie potrafiłby lepiej.

Anhelli jest może najdojrzałszym i najgłębszym ze wszystkich poematów Słowackiego. Jak Dziady i Księgi pielgrzymstwa, jak Kordyan, jak poezya Krasińskiego — tak i on natchniony jest dzisiejszem położeniem narodu i smutnem rozmyśleniem o jego przyszłości. Małecki (w dziele o Słowackim) określił najlepiej jego cel i objaśnił znaczenie. Podług niego, Sybir jest tylko dekoracją, uboczne figury dodatkami i ozdobami, a prawdziwą treścią jest obraz tego, co naród cierpi, i tego, co czyni. Nigdy właściwa Słowackiemu tęsknota i rzewność nie była smutniejszą i bardziej rozdzierającą jak właśnie w Anhellim w obrazach tych cierpień; a znowu w przedstawieniu naszych czynów i błędów (przyczem Słowacki miał na myśli przedewszystkiem emigrację)

jest tyle surowej i gorzkiej, ale niezaprzeczonej prawdy, że napisanie Anhellego należy policzyć Słowackiemu za akt niepospolitej odwagi i obywatelskiej zasługi. Piękność języka i niektórych obrazów jest znowu nad wszelkie pochwały. Niektóre szczegóły nierozumiałe. Myśl zaś podstawna, zbawienie narodu przez cichą i bierną ofiarę szlachetnie cierpiącego serca, poetycznie wzniosła, praktycznie byłaby oczywiście mylną: ale też nie szuka się w poezji i nie żąda od poetów reguł praktycznego postępowania.

Poemat *W Szwajcaryi* nie jest wiernym obrazem ani wypadków samych ani nawet jego uczuć. Uczucie jego dla panny Maryi W., jeżeli było żywszem i czulszem, to nie było ani silnem trwałem, ani było mu bardzo daleko do tej miłości gorącej, do tej potem rozpacz bez granic, jakiej wyrazem jest jego poemat. Wypadki zaś są zupełnie zmyślane. Jest to fantazya na tle wspólnej podróży po górach. On sobie wyobraża i roi, coby się było mogło stać, gdyby oboje, porwani nieprzewyżczonym uczuciem, byli poszli gdzieś daleko od ludzi, gdyby w tej samotności był ją poślubił, i gdyby potem ona była umarła. Ale ta fantazya, to rojenie wyobraźni, stało się najpiękniejszym poematem miłości, jaki jest w języku polskim, i jedną z rzadkich doskonałości i arcydzieł w poezji Słowackiego.

Ojciec zadżumionych jest niezaprzeczenie jego artystycznym arcydziełem. W podróży z Egiptu do Ziemi św. odbywał on kwarantannę na pustyni, a miejscowy lekarz opowiadał mu historję nieszczęśliwego Araba, który na temsamem miejscu stracił po kolei siedmioro dzieci i żonę, potem zaś zdrów, tylko sam jeden, pojechał do domu. Z tego opowiadania zrobił Słowacki powieść, nad którą nie ma nic smutniejszego i nic doskonalszego. Stopniowanie żalu tego nieszczęśliwego ojca, rozmaitość tego żalu, który po każdej nowej stracie jest odmienny, rozpacz głucha i niepokieszona, która na nim ciąży, a w tej rozpaczce ani jednego słowa czy tonu przesadnego, zbyt jaskrawego — wszystko to daje nam prawo liczyć ten mały poemat do wielkich arcydzieł poezji świata. Sławny Więzień z Chillonu Byrona, rozmiarami a poniekąd treścią podobny (tam jest śmierć braci, tu dzieci), nie może przecie równać się z *Ojcem zadżumionych*, który tem jeszcze zasługuje na uwagę, że jest jednym z niezmiernie rzadkich w poezji świata wyrazów bólesci rodzicielskiej. Jakim sposobem zdołał ją tak odgadnąć i oddać człowiek, który nigdy nie był ojcem, to już tajemnica poetycznej intuicyi Słowackiego.

Wacław, pisany jak się zdaje w Neapolu przed podróżą wschodnią, jest niby dalszym ciągiem życia i dziejów Wacława z Maryi Malczewskiego. Jest to Wacław już stary, umierający z trucizny podanej mu przez żonę, a przed śmiercią robiący spowiedź ze swego życia. Gdyby był cały taki jak jego początek i jak ta spowiedź, byłby może godnym towarzyszem tamtych dwóch poematów. Ale dodatki (żona Greczynka, jej kochanek, Eolion syn z pierwszej żony, otrucie popiołami przodków) nie robią go smutniejszym i tragiczniejszym; a robią zawilim, przesadnym i niepodobnym do prawdy.

W poemacie *Piasta Dantyszka o piekle* pomysł był piękny. Kary i zgryzoty winowajców mogły być natchnąć i uczucie i wyobraźnię. Niestety wykonanie się nie udało: poemat pełen fałszywej rubasznosci, obrazów wstrętnych i budzących obrzydzenie zamiast zgrozy, jest rzeczą może najślabszą ze wszystkich, jakie Słowacki napisał.

Lilla Weneda należy, jak *Balladyna*, do owego zamierzonego a nigdy w zupełności nie wykonanego cyklu poematów z przedchrześcijańskiej przeszłości Polski. Za treść ma przyjęcie Lecha i wytepienie dawniej tu osiadłego ludu Wenedów. I wewnętrznej jedności, logicznego związku i natchnienia ma ona więcej niż *Balladyna*. Owszem, właściwe Słowackiemu przymioty ma w takiej mierze, że należy do jego dzieł najwyższych. Mianowicie tło poematu, rozpacz tego plemienia, które ulega pod przemocą silniejszego najeźdźcy, przemódz go nie może, a czuje, że ginie niesłusznie, skreślone jest mistrzowskimi rysami, z ogromną mocą żalości i oburzenia. Postacie niektóre mają heroiczne rozmiary wielkości, męstwa i smutku (Derwid, król Wenedów, jego córka Roza i synowie Lelum i Polelum). Lech i jego żona, on waleczny, porywczy a miękki, ona namiętna, przebiegła i twarda, są oboje znakomicie wymyśleni i skreśleni. Bohaterka sama, Lilla, która się trzy razy poświęca, żeby ojcu wziętemu w niewolę zbawić życie, a w końcu poświęca się za swój lud, kiedy oddaje się Gwinonie w zamian za harfę, w której zaklęta jest lakaś czarowna moc zwycięstwa, Lilla, w swojej naturze cichej i łagodnej, w swoich nieszczęściach i poświęceniach, ma niezmiernie wiele rzewnego smutku i poetycznego wdzięku. Słabą stroną poematu jest: niezrozumiały, niewytłumaczony związek między losem Wenedów a harfami, synowie Derwida zawsze przykuci do siebie łańcuchem, pozorne raczej niż rzeczywiste ocalenie Derwida od śmierci, przez które Lilla wygrywa zakład z Gwinoną o jego życie i kilka drobniejszych szczegółów. Szkodliwą zaś i fałszywą jest rozpaczliwa myśl podstawna Lilli Wenedy, ta zguba bez rady i ratunku, ten fatalizm złego, przeciw któremu ani ludzka wola i zasługa ani sprawiedliwość Boska mocy nie ma.

Beatrice Cenci. Fatalność złego, samowola jakichś potęg piekielnych, które wikłają ludzi bez ich winy i woli w szereg najstraszniejszych zbrodni i nieszczęść, jest główną traścią tej tragedyi, która przecież obok przesadnych efektów i straszliwie naprężonych sytuacji, ma ustępy niepospolitej piękności.

Podróż na Wschód (fragment znaleziony i ogłoszony po śmierci autora) jest poniekąd naśladowaniem Don Juana Byrona, a przez to przygotowaniem do Beniowskiego Przechodzi on ciągle z tonu poważnego lub uczuciowego w żartobliwy, a czasem ironiczny i gorzki, ale ani w jednym ani w drugim tonie świetny nie jest. Ma wszakże dwa ustępy wspaniałe. Jednym jest *Noc nad zatoką koryncką*, drugim *Grób Agamemnona*, rzecz pod względem uczucia jak formy jedna z najwyższych, jakie Słowacki napisał; niezrównany wyraz patryotycznego bólu. Wiersz ten byłby godzien bezwzględnie i najgorętszego podziwiania, gdyby w zakończeniu przez nadmiar swojego cierpienia nie był się poeta posunął do kilku słów obelgi dla swojej ojczyzny.

Beniowski, poemat bohaterski a żartobliwy, był Słowackiemu natchniony przez Ariosta, jak on mniemał, na prawdę przez Don Juana Byrona. Słowacki, dumny bardzo i w swoim rozumieniu niedość wysoko ceniony, miał zawsze żal do ludzi, a w szczególności do krytyków za obojętność, za niesprawiedliwość: chciał raz wziąć odwet i wysmiać lub wysmagać tych, do których miał urazy. Tak robił Byron w pomienionym poemacie, i jego, a nie Ariosta wziął Słowacki za wzór w swoim nowym utworze. Ten pierwiastek ujemny, niższy, nieszlachetny, zaszkodził bardzo dziełu. Nie żeby dowcip i sarkazm Słowackiego nie był świetny: owszem; jest takim często i bardzo; a nagłe zwroty i przeskoki z jednego tonu w drugi wykonane są z zadziwiającą zgrabnością i lekkością. Ale te żarty i przytyki, odnoszące się do osób i stosunków, nigdy zapewne niezna- czących, a dziś zupełnie zapomnianych, są dla czytelnika niezrozumiałe, obojętne i niecierpliwia go albo nudzą, kiedy mu przerywają zajmujące i pełne wdzięku sceny lub obrazy powieści. Szkoda jest nieodżałowana, bo bez tych dodatków *Beniowski* byłby może najpiękniejszą powieścią poetyczną w naszej literaturze. Tło czasu, konfederacja Barska, ostatnie walki Rzeczypospolitej upadającej, oddane są wspaniałymi rysami boha- terstwa i smutku; figury niektóre mają bardzo wiele rycerskiej tęgości lub wdzięku (*Beniowski Sawa*, *Panna Aniela*), a wszystkie bardzo wiele fizyognomii, życia, prawdy; opisy i dygresye liryczne są śliczne, a te wszystkie zalety razem mogły być złożyc dzieło pierwszego rzędu. Uważać i pamiętać warto, że ze wszystkich naszych poetów, żaden nie zajmował się tyle co Słowacki ostatnimi czasami Rzeczypospolitej, żaden tak nie przeniknął i nie oddał tragicznego charakteru ówczesnych uczuć, zdarzeń lub sytuacji. Dowodzi tego *Beniowski*, po części *Sen Salomei* i *Książd Marek*, a zwłaszcza wspaniałe, niestety nieskończony, fragmentowy dramat *Horsztyński*. *Beniowskiego* ogłosił poeta tylko pięć początkowych pieśni. Po jego śmierci znalazło się ich jeszcze kilka i znaczna liczba ustępów luźnych, fragmentów, które do dalszego ciągu służyć miały. Pierwiastek ironiczny i sarkastyczny znika w tych ułamkach zupełnie, a uczuciowy odzywa się czasem tak pięknie, że odża- łować nie można tego stanu niewykończenia, w jakim do nas doszły. Z *Beniowskim* (1841) kończy się drugi, najświetniejszy okres zawodu Słowackiego.

Okres trzeci (towianizmu 1842—1849). Dusza Słowackiego zmęczona ciąglem cierpieniem i ciąglem szarpaniem się, chwytła się zewnętrznej podpory, która na jej stan wewnętrzny potężnie oddziaływa. Następuje epoka trzecia, towianizmu, mistycyzmu. Człowiek ukolysany tą doktryną staje się spokojniejszym, szczęśliwszym, nawet lepszym niż był przedtem, ale poeta słabnie.

Pod wpływem towianizmu stracił do reszty władzę sądenia i do- zorowania swojej myśli, jej jasną świadomość. Pod wpływem tej nauki bowiem uwierzył, że jak on podda się zupełnie i ulegle duchowi Bożemu, to w ten duch zstąpi na niego niejako i przez niego objawiać będzie ludziom swoje prawdy i swoją wolę. Cokolwiek odtąd rola jego wyobraźnia, to nie były już jego własne myśli; to były natchnienia Ducha, których ani sądzić ani zmieniać się nie godziło, tylko należało je

tak ludziom podać, jak jemu były natchnione. Wpada więc w mistycyzm, w jakiś ton niby proroczy a rozkazujący; pisze to, co Duch pisać mu każe, a on sam jest tego ducha tylko posłusznym (ale przecież wybranym) narzędziem.

Niestety, w tem, co mu duchy pisać kazały, najczęściej niema ani związku ani prawdy ani znaczenia. On oczywiście jakieś znaczenie i jakąś myśl widzieć zawsze musiał, ale dla zwykłego czytelnika są to tak niewyraźne, niedokształcone, mgliste pomysły i widziadła. Wyjątków jest niestety bardzo mało. Do tych zaliczyć należy dramat „Niepoprawni“, po śmierci autora ogłoszony, przez niego nie wykończony ostatecznie, prawdopodobnie powstały z dwóch różnych pomysłów i redakcyi (które on byłby może doprowadził do jednności, gdyby był to dzieło ogłaszał): stąd złożony jakoby z dwóch połów, które do siebie niedobrze przystają; ale mimo to wszystko pełen talentu i ustępów świetnych. Wiersz do autora trzech Psalmów (oskarżenie Krasieńskiego), politycznie błahy i fałszywy, a moralnie niesprawiedliwy, w niektórych ustępach zepsuty niezrozumiałym i nاپuszonym mistycyzmem, ma przecież ustępy świetne, godne dawnego Słowackiego. Do takich wyjątków należy zaliczyć Rozmowę z Matką Makryną, opis przesładowania Unitów na Litwie. Jedynem wreszcie dziełem z tych lat, które należy do prawdziwych i wielkich ozdób naszej literatury, jest przekład Księcia Niezłomnego z Calderona, nie wierny, ale wspaniały, piękniejszy może od oryginału.

Calderona, poetę gorącego religijnego ducha, czytywał teraz Słowacki z wielkim zapalem, przejął się nim i od niego wziął formę swoich dwóch dramatów z ostatniego okresu. Te dramata — to Ksiądz Marek i Sen srebrny Salomei. Oba osnute na jakichś niedocieczonych i niezrozumiałych dogmatach nowej wiary poety, pisane z rozkazu duchów (o pierwszym mówi to Słowacki wyraźnie w liście do Krasieńskiego), są zbiorem różnych tajemniczych działań duchów i cudów, a mają zapewne (w myśli autora) być najzbawienniejszą dla nas nauką; ale myśl i znaczenie jej dla nas niedocieczone, dla niego samego nie musiały być jasne. (W Księdzu Marku mało, w Salomei więcej znać dawny Słowackiego talent, mianowicie kozak Semenka, herszt hajdamaków, jest szczęśliwie wymyśloną i nakreśloną postacią),

Największem jego dziełem z tego okresu (na rozmiary największem ze wszystkich ogółem) i tem, do którego sam przywiązywał największą wagę, jest Król Duch. Łączy się on poniekąd z dawnym zamiarem odtworzenia przedhistorycznej przeszłości Polski. Popiel (Król Duch) jest synem Rozy Wenedy i przepowiedzianym przez nią mścicielem jej ludu.

Wciela się on w różne ciała: jest Popielem, Mieczysławem, Bolesławem Śmiałym; kim miał być dalej, niewiadomo, bo poemat urywa się przed samem zabójstwem św. Stanisława. Zawsze jest tym duchem naczelnym, w którym skupia się cała siła i przyszłość narodu, i który raz przez srogość i okrucieństwa, kiedy naród potrzebuje zahartowania (Popiel i Bolesław), drugi raz przez cnotę i dobroć (Mieczysław) kształci go, wychowuje i podnosi; a zawsze, kiedy go najbardziej gnębi i upadła (Popiel), robi to z miłości dla niego, dla jego dobra.

Oały ten początek dziejów, jaki Słowacki podaje, wytepienie Wenedów przez Lecha jako pierwszy grzech Polski, potem spisek Rzepichy z cesarzem Ottonem na jej zgubę, potem anielskie sielankowe panowanie Ziemowita, albo ta misya Popiela, który srogością hartuje nas na naród rycerski, wszystko to są domysły poetycznej wyobraźni, ale nie historyczne fakta. W szczegółach niejasności bez liku i bez miary, a nieraz zawilość taka, że nawet gramatycznego, a nie już głębszego i ukrytego znaczenia dojść nie można. Błyski talentu trafiają się gdzieindziej, ale bardzo rzadko.

Charakterystyka. 1. Słowacki był najdoskonalszym u nas wyobraźnikiem tego usposobienia chorobliwego i nerwowego, tej niezgody ze światem, które same były skutkiem niezdrowych stosunków historycznych, a których typem był Byron i jego poeta. Ze wszystkich wszakże poetów tego rodzaju i usposobienia (Shelley, Musset, Heine), z wyjątkiem samego Byrona, był Słowacki i talentem najpotężniejszy i naturą najszlachetniejszy. Stan narodu powodował i tłómaczył w wielkiej mierze ten brak równowagi, jaki w nim był, a w życiu jak w dziełach jego nie znajdzie się nic tak zdrożnego i gorszącego, jak znajduje się u tamtych.

2. Posiadał on wiele pierwszorzędnych zalet. Z wyobraźnią bujną i świetną jak żaden może z naszych poetów, z formą, której czy wdziękiem czy siłą dorównać trudno, łączył on wielki zasób rzewnego i tęsknego, ale zarazem namiętnego uczucia.

3. Nadzwyczaj wrażliwy z natury, przyjmował bardzo łatwo wpływ tego, co właśnie czytał lub widział, i wpływ ten zawsze, — czasem bezwiednie — odbijał w swoich dziełach. Byron, Szekspir, Calderon (o innych nie wspominając) zajmowali kolejno jego umysł i wywarli wpływ na jego twórczość.

4. Dziwna jest rzecz i trudna do pojęcia, że poeta tak wrażliwy jak on i tak zawsze swoim własnym uczuciem opanowany, miał taką skłonność i taką zdolność do tego rodzaju poezji, który wymaga właśnie przeniesienia się poety w naturę i uczucia tworzonych przez niego postaci ludzkich; ale faktem jest, że ze wszystkich naszych poetów najwięcej pociągu i najwięcej talentu do dramatu okazał Słowacki. Jego tragedye, choć każdej z nich bardzo wiele można zarzucać, stoją do dziś dnia na samem czele naszej poezji dramatycznej.

5. Słabą stroną jego talentu było to, że pomysłu, zrodzonego w swojej fantazyi, on nie lubił (może nie był zdolny) należycie rozważyć i wykończyć refleksyą i zastanowieniem. Dlatego to przy tak znacznej liczbie dzieł tak mało jest zupełnie doskonałych, dlatego obok pierwszorzędnych zalet tak łatwo wpadają w oczy wady, których przy większej rozwadze mógł był unikać.

Stanowisko w literaturze. W poezji polskiej, od Mickiewicza oczywiście mniejszy (co go boleśnie zawsze dręczyło), od Krasińskiego myślą nierównie mniej głęboki i potężny, ale fantazyą świetniejszy, wszystkich innych poetów przewyższa Słowacki niezaprzeczenie i o wiele.

Wkońcu dodać warto, że ze wszystkich naszych poetów on jeden doczekał się dotąd dzieła doskonałego, które i jako żywot i jako sąd o dziełach jest zupełnie wyczerpujące: jest to Ant. Małeckiego Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki.

Jan Bielecki.

Powieść narodowa oparta na podaniu historycznym.

Już Zygmunt August w grobie złożył głowę,
 Na tronie zasiadł król Stefan Batory.
 Ciężkie dla szlachty były rządy nowe:
 Cześć po wsiach własne zamieszkała dwory;
 Co było w kraju? nie skreślę od razu, 5
 Jeden cień tylko maluję obrazu.

Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy!
 Zamek objęła rzeka w dwa ramiona;
 Nad bramą klasztor, w murach zakonniccy,
 Dalej — kaplica blachą powleczonea. 10
 W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy
 Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
 Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze:
 Co ma król polski i szlachcic mieć może.

Pan Brzeżan huczne wydaje biesiady. 15
 Oto go łatwo rozeznać za stołem:
 W złocistej szacie, ale bardzo blady,
 Wydaje troski zachmurzonym czołem
 Może biesiada cierpienia ukoi?
 Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi. 20

Dzisiaj na czole pozbył zwykłej dumy.
 Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwaty,
 Wesołej szlachty ozwały się tłumy,
 Wesołym gwarem zabrzmiały komnaty.
 Już wino słabsze zwycięża rozumy — 25
 Dość jednej iskry, wnet ogień wybucha.

Pan Brzeżan mówi — Szlachta wstaje słucha:
 „Bracia na chwilę uciszcie te gwary,
 Słuchajcie pilnie — a ja w krótkim słowie
 Wyjawię powód, wyłożę zamiary, 30
 A potem każdy swe zdanie wypowie.

„Słuchajcie! szlachcic obraził mię podły.
 Szedłem do króla, nie błagałem łaski —
 Wnet sprawę długie indukta wywiodły;
 I jam był winien! winien był Sieniawski! 35
 I oko w oko, przed króla obliczem,
 Widziałem wroga, nie próżno przychodził;

Król go pochwalił — pochwalił, nagroził,
 Nie spojrzął na mnie i odprawił z niczem.
 „Nasz dumny Stefan do czegoż on zmierza? 40
 Śmiałżeby władać jak niemiecki książę?
 Wszak nasze państwo to gotycka wieża,
 Z tysiącznych kolumn składa się i wiąże;
 Niechaj się jedna usunie kolumna,
 Gmach cały runie, cały się rozpręże. 45
 Ja się usunę! — niech mię grom dosięże;
 Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna! —
 „Hej! Szlachta znacie Bieleckiego Jana?
 Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,
 A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie, 50
 Jak król udzielny w darowanej grzędzie!
 A kiedy zamki wałą się pod gromem,
 On podparł domu padające ściany,
 I tak spokojny między niemi żyje,
 I tak szczęśliwy, że nad jego domem, 55
 Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.
 Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda,
 Jękiem i dymem, iskrami płomieni. —
 Bracia, noc widna! — nie daleka jazda!
 Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni. 60
 Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,
 Dom zburzę, spalę, grunt domu zaorzę“.
 Pali się szlachta — już dosiadła koni.
 Pieszym pan Brzeżan rozdaje rumaki;
 Już most zwodowy pod kopyty dzwoni, 65
 Dalej, na pola przez ubite szlaki.
 Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi.
 Już pojechali. — Niech ich Bóg prowadzi.

Bielecki wracając z żoną od ślubu nie zastał ze swojego domu
 nawet śladu. Miotany zemstą uszedł do Tatarów, przyjął ich wiarę
 i po latach na czele ordy wpadł do kraju, zamek Sieniawskiego spalił
 a samego w pojedynku zabił.

Była to cerkiew, z modrzewiu jej ściany,
 Już pochylone, wsparte na podpory; 70
 Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
 Słońce wzierając przez te szyby drżące,
 Różne już na nich wybiło kolory.
 Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
 Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły: 75
 Na progu żebrak pacierze powtarza.
 W okół smętarz kwiatami zarosły,
 I wiejskie groby błyszczą wśród smętarza.
 Daleko słychać wiejski dzwon kościelny —

Zadzwoił, zewsząd lud spieszy przez pola: 80
 Było to święto, był to dzień niedzielny;
 Dziś pług spoczywa, zieleni się rola.
 Dziewice ołtarz przystroili w kwiaty,
 Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa;
 Wyszedł ksiądz ze mszą, pochylony laty. 85
 Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca —
 Ucichła — Księdza tylko słyhać słowa,
 Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;
 Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy,
 Niekiedy starzec księdzu odpowiada; 90
 Świergocą wróble i pod szczytem wieży
 Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Msza się kończyła. — Oto w nizkie progi
 Jacys wędrowce weszli do kościoła —
 Jeden padł na twarz, całował podłogi, 95
 Drugi ponury, nie uchylił czoła.
 Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi
 Błysnął z pod płaszcza, i twarz nie wesoła,
 Bali się zasiąść w ławki lub nie śmieli,
 Bo oba kornie przy progu stanęli. 100

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,
 Teraz zaczyna mówić Boskie słowo: —
 „O Bracia! dzieci! i tegożem dożył,
 Ja stary wiekiem z ubieloną głową?
 Że kiedy nieraz osładzałem troski, 105
 Dziś żal pod strzechę niosę w Bożem słowie.
 Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta,
 Nasz Pan, Bielecki, niegdyś Pan tej wioski.
 Zdradził kraj, wiarę. — Ksiądz Prymas w Krakowie
 Wyklął go, kłątwe na me przesłał usta. 110
 Raz go ostatni bez kłątwy wspominam,
 Módlcie się! ja się będę modlił z wami —
 A teraz Bracia! dzieci! ja przeklinam!“ —
 Zachwiał się starzec i zalał się łzami,
 Zabrzmiało Amen — lecz Amen żałoby! 115
 Jakże niechętnie! dźwiękiem ledwo żywe;
 Potem się wzniosły łkania żałobliwe,
 Jakby w dzień sądu otwarły się groby.

Ale zaledwo podniosło się łkanie,
 Zaledwo doszło przed oblicze Boga, 120
 U progu nowy zgilek i zamieszanie
 Jeden z wędrowców, co stali u proga,
 Zadrżał i upadł bez czucia na głazy;
 Drugi zaś drżący i blady straszliwie,
 Kłął nad nim, ciche przemawiał wyrazy, 125
 Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

- Ksiądz na ratunek spieszył od ołtarza.
 Zaraz na smętarz niesiono wędrowca,
 I tam na zimnym kamieniu grobowca,
 Kładą martwego wśród kwiatów smętarza. 130
 Cieniem świeżości okryły go drzewa,
 Cieniem, co groby kwitnące okrywa;
 Wiatr go chłodził, co w grobach powiewa;
 Z pomocą pasterz troskliwy przybywa,
 Spojrzał i zadrżał — jakby blaskiem gromu 135
 Twarz go ta razi — twarz błada, nieżywa:
 I rzekł: „Wyklęty! — my idźmy do domu! —“
 Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,
 A ksiądz wychodził za kmieciów gromadą;
 We wrotach stanął, twarz odwrócił bładą, 140
 I rzekł poważnie: „Bóg jest miłosierny!
 A jego litość, liczniejsza nad ziarna
 Morskiego piasku, i głębsza nad morza.“
 Jeden z wędrowców spał wśród mogił łoża;
 Oto z drugiego spadła szata czarna, 145
 I twarz odkryła — Przebóg! to dziewica!
 To Anna! z ust jej nie słyszano słowa,
 Czy brak w niej czucia? bo sucha żrenica,
 Twarz nieruchoma — jakby marmurowa,
 A w oczach ogień gorączki sie pali. 150
 „O mój najmiłszy! — rzekła — o mój drogi!
 Jesteśmy sami — już jesteśmy sami!
 Tyś na mogile usnął, a w te progi
 Umarli wchodzą i śpią pod grobami. —
 Ty milczysz? luby! odpowiedz mi łzami! —“ 155
 Nagle spojrzała i krzyknęła srodze,
 Potem nań kwiaty rzuciła wonnemi:
 „Luby nie zaśniesz na rozstajnej drodze,
 Sama w święconej pochowam cię ziemi“.
 Rzekła; krzyż jeden wyrwała z mogiły; 160
 Kopie grobowiec wśród świeżej darniny,
 Lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły —
 I cicho smutne płynęły godziny.
 Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,
 Brzozy po grobach długie kładły cienie; 165
 Wonnej czeremchy orzeźwiało tchnienie,
 Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy.
 Lecz coraz bardziej ciemnieją kolory,
 I przez liść brzozy, księżyc zapłoniony
 Topił się we mgłach, w różne kształty, wzory, 170
 Lica wysrebrzał — a nocne zasłony
 Okryły cerkiew i groby smętarza.
 Już ciemno — Anna sama jedna w nocy,
 Do drzwi cerkiewnych stukanie powtarza!

Nieszczęsna, Boskiej wzywała pomocy! 175
 Widna jej postać przy blasku miesiąca,
 Jak mgły ulotnej srebrzyste obrazy.
 Bije we wrota coraz słabszą dłońią,
 Smutne się echo o groby roztrąca,
 Lecz echo coraz słabsze niosło razy; 180
 I coraz słabsze — nikły — jako w Bogu
 Tonące modły — jako śpiew daleki —
 Dziewica blada, na kamiennym progu,
 Usnęła — może usnęła na wieki —!

B a l l a d y n a.

Tragedya w 5 aktach.

Treść. Kirkor, młody dzielny rycerz, przybywa do pustelnika z prośbą o radę, jaką ma pojąć żonę, aby sobie zapewnić szczęście. Pustelnik, przez brata z tronu strącony Popiel III, własnem doświadczeniem zrażony do wyższych stanów, radzi mu szukać żony pod słomianą strzechą. Przypadek, którego uosobieniem są osoby fantastyczne dramatu: Goplana i jej służebne duchy, Chochlik i Skierka, prowadzi go do chaty wdowy, matki dwóch córek, Balladyny i Aliny. Goplana bowiem, zakochana w Grabcu, wstrętnym i rubasznym parobczaku, a wiedząc, że on się zaleca Balladynie, chce ją tym sposobem usunąć z drogi. Ale Skierka, sam niewidzialny, przyozdobił wieńcami i roztoczył czar tajemniczy na obie dziewice. Kirkor waha się w wyborze, wreszcie zgadza się na myśl wdowy, poddaną przez Skierkę, by tę pojąć za żonę, która więcej malin zbierze. Poszły obie do lasu, każda w inną stronę. Alina wkrótce napełniła swój dzbanek, Balladyna nie ma i połowy; więc spotkawszy siostrę, uniesiona zawiścią, że ona będzie panią, przebija ją nożem. Wróciwszy do domu zostaje żoną Kirkora. Ale na jej czoło padła kropla krwi siostrzanej, która się zmyć nie da; więc ukrywa ją pod czarną przepaską, a gdy ją matka i mąż proszą, aby przepaskę zdjęła, myśli, że już wiedzą o jej zbrodni.

Odtąd dla zabezpieczenia tego, co pierwszą zbrodnią zdobyła, popelnia Balladyna cały szereg nowych występków: przy pomocy obcego przybłądy, von Kostryna, zdradza męża, nielitościwie wypędza matkę, zabija pustelnika, który się dowiedział o popelnionej przez nią zbrodni, i Grabca, który na własne żądanie przez duchy w króla przemieniony przybył do jej zamku na ucztę; poczem dostawszy w swe ręce prawdziwą koronę Lecha, występuje przeciw własnemu mężowi, który po obaleniu Popiela IV stanął do walki z hufcami Kostryna. Gdy Kostryn odniósł zwycięstwo i Kirkor zginął, Balladyna trucizną zgładziła ze świata współnika i ostatniego świadka swych zbrodni, myśląc, że teraz będzie mogła spokojne i dobre wieść życie. Ale w chwili, gdy pierwszy raz zasiadła na tronie jako królowa i miała sądzić, stają oskarżyciele i żądają sprawiedliwości na (niewiadomych) morderców Aliny i Kostryna i na wyrodną

córkę, która wygnała matkę z domu. Na tych winowajców nieznanym wydaje Balladyna wyrok śmierci. W tej chwili pada piorun i ją zabija.

AKT I. — SCENA 3.

(*Chata wdowy. — Wdowa i córki jej Balladyna i Alina wchodzą z sierpami.*)

- W d o w a. Zakończony dzień pracy, moja Balladyno.
Twoje rączki od słońca całe się rozplyną
Jak lodu kryształiki. Już my jutro rano
Z Alinką na poletku doźniemy ostatka;
A ty, moje dzieciátko, siedź sobie za ścianą. 5
- A l i n a. Nie, nie, nie! jutro odpoczywa matka,
A my z siostrzycą idziemy na żniwo.
Słoneczko lubi twoją główkę siwą
I leci na nią, by natrętna osą
Do białych kwiatów, ani go od włosa 10
Liściem odpędzić; że też nigdy chmurki
Bóg nie nadwieje, aby cię zakryła,
O biedna matko!
- W d o w a. Dobrze moje córki,
Z wami to nawet ubożyżna miła, 15
A kto posieje dla Boga, nie straci.
Zawsze ja myślę, że wam Bóg zapłaci
Bogatym mężem — a kto wie? a może
Już o was słyhać na królewskim dworze?
A my tu żniemy, aż tu nagle z boru 20
Jaki królewic — niech i kuchta dworu
Albo koniuszy, zajeżdża karetą...
I mówi do mnie: poczcziwa kobieto,
Daj mi za żonę jedną z córek. Panie!
Weź Balladyne, piękna jak dziewanna — 25
Tobie się także, Alino, dostanie
Rycerz za męża; ale starsza panna
Powinna prędzej zostać panną młodą. —
W rzeczulkach woda goni się za wodą,
Mój królewiczu, żeń się z Balladyną. 30
- B a l l a d y n a. Gdzie ty mój grzebień podziałaś Alino?
Co ty tam słuchasz, jak się matce marzy.
- A l i n a. Wiesz, Balladyno, że to jej do twarzy,
Kiedy śni głośno, kiedy się uśmiecha.
- M a t k a (*do Bal.*) Dobrze ty mówisz! chata taka licha, 35
A mnie się marzy Bóg nie wie co. Ale
Bogu się także w wiekuiestej chwale
Musi coś marzyć... a gdyby też Bogu
Chciało się matce dać złotego zięcia.
- B a l l a d y n a. Ach! słyhać jakiś turkot na rozłogu, 40
Jedzie gościńcem dwór jakiegoś księcia,

- Pięć koni... złota kareta... ach kto to?
 Jedzie aleją. Jak to pięknie złoto
 Między drzewami błyska. Ach! mój Boże,
 Co im się stało? wśród naszego mostu
 Powóz prrr... stanął... i ruszyć nie może. 45
- Wdowa. Pewnie chcą konie napić...
 Balladyna. Ot właśnie
 Pan poi konie na drodze po prostu.
- Wdowa. Ha! jeśli pić chcą. 50
 Alina. Już słoneczko gaśnie,
 Trzeba zapalić sosnowe łuczywo...
 Balladyna (*Biegając do okna*). Ach lampę zaświecić... ach lampę...
 [co żywo!...
 O! gdzie mój grzebień? (*Słychać pukanie do drzwi*).
 Wdowa. Cóż to? co? ktoś puka. 55
 Otwórz, Balladyno.
- Balladyna. Niech siostra otworzy.
 Wdowa. Prędeż otwórzcie, ktoś do chaty stuka.
 Alina. Ach! ja się boję...
 Wdowa. Niech wszelki duch Boży 60
 Boga wychwala... ja odemknę chatę.
 (*Patrzy przez dziurkę od klucza.*)
 O! jakie stroje złocisto-bogate. (*Otwiera*).
 Czy w imię Boga? (*Kirkor wchodzi*).
- Kirkor. Tak, z Boga imieniem. 65
 Proszę wybaczyć, ale nad strumieniem
 Mostek pod mojem załamał się kołem —
 Szukam schronienia.
- Wdowa. Proszę poza stołem,
 Mój królewicu, siadać, proszę siadać. 70
 Chata uboga — raczyłeś powiadać,
 Że powóz... O! to nieszczęście! Dziewczęta!
 To moje córki, jasny królewicu...
 A to już dawno człowiek nie pamięta
 Takich przypadków, chyba przy księżycu, 70
 Młynarz, co jechał przeszłej wiosny.
- Balladyna. Matko,
 Dosyć — daj panu mówić.
 (*Wchodzi Skierka niewidzialny dla aktorów*).
- Kirkor. Przed tą chatką 80
 Słyszałem dźwięki lutni... Czy to córki
 Wasze grywają na lutni?
- Wdowa. Przepraszam,
 Nie, królewicu.
- Skierka. Z niewidzialnej chmurki 85
 Sympatycznymi kwiaty poukraszam

Obie dziewice, bo moja królowa
 Nie powiedziała, do której nakłonić
 Serce Kirkora. Muzyka echowa
 Zacznie hymnami powietrznymi dzwonić;
 A wieniec kwiatów taką woń rozleje, 90
 Że serce tego człowieka omdleje,
 Że jednym sercem dwa serca pokocha.

(Wkłada wieniec kwiatów na głowę dziewicom. — Słychać muzykę).

Wdowa. Może królewic chce odpocząć trocha...

Kirkor *(z zadziwieniem i niespokojnością)*.
 Odpocząć, kiedy dźwięki takie cudne
 Słyszę... Dziewice, wasze to są pieśni? 95
 Słyszę śpiewanie...

Alina. Czy się panu nie śni?
 Tu w chacie... cicho...

Kirkor. Ach! jakże mi nudne
 Wspomnienie zamku pustego!... 100

Skierka *(na stronie)*. Czar działa...

Kirkor. Z jakich kadzideł ta woń się rozlała?...
 To z pewna wasze wieniec, uroszone
 Łzami wieczora, dają takie wonie?

Balladyna. Lecz my nie mamy wienców. 105

Sługa Kirkora *(wchodzi bogato ubrany)*. Naprawione
 Koło w powozie...

Kirkor. Wyprząc z dyszla konie,
 Ja tu zostanę... *(Sługa odchodzi)*.

Wdowa. Cóż to za zjawienie? 110

Królewic w chacie! Na jakim on sienie
 Spać będzie?... Jemu listki róży cisną...

Kirkor *(do siebie)*. Prawdę wróżyłeś, pustelniku stary!
 Gdzie okienkami dwie różyczki blysną,
 Gdzie dach słomiany... 115

Skierka *(do siebie)*. Zakończone czary...

Kirkor *(do wdowy)*. Słuchajcie, matko! na świat wyjechałem
 Szukać ubogiej i cnotliwej żony;
 Dalej nie jadę, bo tu napotkałem
 Cudowne bóstwa... O! gdybym dwa trony!... 120

Ach! powiem raczej, gdybym miał dwa serca!
 Lecz zdaje mi się, że dwa serca noszę...

Dwoma sercami o dwie córki proszę;
 Ale Bóg jedną tylko wziąć pozwala
 I do ślubnego prowadzić kobierca; 125

Więc trzeba wybrać... Czemuż losu fala
 Rozbiła serce moje o dwie skały?

Ach! czemu oczy moje nie wybrały
 I nie powiodły czucia. Dziś nie umiem

Wybrać... 130

Wdowa. Ja ciebie, panie, nie rozumiem!...

- Kirkor. Proszę o rękę jednej z córek... może
Słyszałaś kiedy o hrabi Kirkorze,
Co ma ogromny zamek, cztery wieże,
Złocisty powóz, konie i rycerze
Na swych usługach?... Otóż Kirkor... to ja!... 135
Proszę o jedną z córek.
- Wdowa. Córka moja?..
Ja dwie mam córki — ale Balladyna...
- Kirkor. Czy starsza? 140
- Wdowa. Tak jest... a młodsza Alina
Także jak anioł...
- Kirkor (*do siebie*). Jaki wybór trudny!
Starsza jak śniegi — u tej warkocz cudny,
Niby listkami brzoza przyodziana; 145
Ta z alabastrów — a ta zaś różana —
Ta ma pod rzesą węgle — ta fijołki —
Ta jako złote na zorzy aniołki,
A ta zaś jako noc biała nad rankiem...
- Skierka (*śpiewa do ucha wdowy*). Matko, w lesie są maliny, 150
Niechaj idą w las dziewczyny.
Która więcej malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze.
- Wdowa. Coś matce staruszce
Przyszło do głowy... Mój ty królewicu! 155
Jeśli pozwolisz twej pokornej służce,
To ci poradzi, piękny krasnolicu.
Oto niech rankiem idą w las dziewczyny,
A każda weźmie dzbanek z czarnej gliny
I niechaj malin szukają po lesie; 160
A która pierwsza dzban pełny przyniesie
Świeżych malinek, tę weźmiesz za żonę.
- Kirkor. Wyborna rada... O! złota prostoto!
Ty mi dasz szczęście niczem nieskłócone,
Dni rozkoszami przepłatane z cnotą. 165
Tak, moja matko, niech o słońca wschodzie
W las idą córki z dzbankami na głowie.
A my w lipowym usiądziemy chłodzie;
Która powróci pierwsza, ta się zowie
Hrabini Kirkor... Sądź sam, wielki Boże! 170
- Wdowa. Królewic znajdziesz w tej chateczce łożo,
Pachnące siano, zakryte bielizną.
Wierzaj mi, panie, żabki się nie wślizną
Do twego sianka... proszę do alkowy.
- Kirkor (*klaszcze, wchodzi sługa*). Przynies z powozu puchar kry-
[ształowy, 175
Wino i zimne żubrowe pieczywo. (*Sługa odchodzi*).
Bądźcie mi zdrowe piękne narzeczone...
(*Odchodzi do alkowy, poprzedzany przez wdowę*).

- Alina. Siostrzyco moja, o! jakież to dziwo,
O jakie szczęście!
- Balladyna. Jeszcze nie złowione! 180
To szczęście, siostrze, może nie dla ciebie...
- Alina. O! moja siostrze! wszakże to na niebie
Jeśli nie słońce, to gwiazdy nad głową;
Jeśli nie będę panią Kirkorową,
To będę panią Kirkorowej siostrą. 185
A tobie trzeba jutro wziąć się ostro
Do tych malinek, bo wiesz, że ja zawsze
Uprzedzam ciebie i mam pełny dzbanek.
Nie wiem, czy na mnie jagody łaskawsze,
Same się tłoczą... czy tam... twój kochanek ... 190
- Balladyna. Milcz!...
- Alina. Ha, siostrzyczko? a ja wiem dla czego
Malin nie zbierasz...
- Balladyna. Co tobie do tego?
- Alina. Nic... tylko mówię, że jabym nie chciała 195
Rzucić kochanka ani dla rycerza,
Ani dla króla... A gdybym kochała,
Wzajem kochana, rolnika, pasterza,
To jużby żaden Kirkor...
- Balladyna. Nie chcę rady 200
Od głupiej siostry.
- (Słychać klaskanie za chatą. — Balladyna zapala świeczkę i ukrywszy ją w dłoni wychodzi).*
- Alina. Ha, zaklaskał w borze —
Wyszła ze świeczką... O! mój wielki Boże,
Co tam pan Grabek powie na te zdrady?...
- (Kłęk)* Widzisz, mój Boże! ja mam serce czyste, 205
A przysięgając, nie złamię przysięgi...
Boże, ptaszęta u twojej potęgi
Mogą uprosić o wisznię czarną,
Jaskółkom w dzióbek dajesz muszkę marną.
Jeśli ty zechcesz, Boże mój jedyny,
Gdzie stąpie... wszędzie czerwone maliny... 210
(Siada na ławie i usypia)
- Skierka *(śpiewa)*. Niech sen szczęścia połączany
Zamyka oczy dziewczyny,
A ja lecę do Goplany... *(Odchodzi)*.
- Alina *(przez sen)*. Wszędzie maliny! maliny! maliny! 215

Z AKTU II. SCENA 1.

(Las przy jeziorze Gople. — Wschód słońca, — Alina wchodzi z dzbankiem na głowie).

- Alina. Ach! pełno malin — a jakie różowe!
A na nich perły rosy kryształowe.

- Usta Kirkora takie koralowe
 Jak te maliny... Fijołeczki świeże 220
 Wzdychacie próżno, bo ja nie mam czasu
 Zrywać fijołków — bo siostrzyczka zbierze
 Dzban pełny malin i powróci z lasu
 I weźmie męża; a ja z fijołkami
 Zostanę panną... Choćbyście wy byli, 225
 Fijołki moje, złotymi różami,
 Wole maliny. (*Śpiewa, szukając malin*).
 Mój miły! mój miły!
 Złoty, wielki pan.
 Mojemu miłemu 230
 Niosę malin dzban.
 Bo on woli, mój kochanek,
 Taki pełny malin dzbanek;
 Niż zbożowy łąn. Och!
 Niż zbożowy łąn.
- (*Odchodzi w las. — Wchodzi Balladyna z dzbankiem na głowie*). 235
- Balladyna. Jak mało malin, a jakie czerwone,
 By krew. — Jak mało — w którą pójde stronę,
 Nie wiem... a niebo jakie zapalone,
 Jak krew... Czemu ty, słońce, wschodzisz krwawo?
 Noc wole ciemną niż taki poranek... 240
 Gdzie moja siostra?... musiała na prawo
 Pójść i napełnić malinami dzbanek,
 A wśród jagód chodzę obłąkana
 Jakąś rozpaczą i łzy gubię w rosie.
- Alina (*z głębi lasu*). Siostrzyczko moja! siostrzyczko kochana! 245
 A gdzie ty?...
- Balladyna. Jaki śmiech w Aliny głosie.
 Musi mieć pełny dzbanek.
- Alina (*wchodzi*). Cóż, siostrzyczko?
 Balladyna. Co?... 250
 Alina. Czy masz pełny dzbanek?
 Balladyna. Nie!...
 Alina. Balladyno,
 Cóż ty robiłaś?
 Balladyna. Nie!... 255
 Alina. To źle, różyczko,
 Ja mam dzban pełny mniej jedną maliną.
- Balladyna. Weź tę malinę z mego dzbanka.
 Alina. Miła
 Siostrzyczko moja, powiedz, gdzieżeś była?
 Wyszliśmy razem, miałaś dosyć czasu! 260
 Wszak ja ci, siostrzo, nie ukradłam lasu.
 Dla czegoż teraz z taką białą twarzą?
 I z przyciętymi ustami...

- Balladyna. Wyłaża
Z twojego dzbanka maliny jak węże, 265
Aby mię kąsać żądłami wymówek
Idź i bądź panią! siostra się zaprzęże,
Jak wół do pługą, będzie tłoczyć olej
Z kołających siemion i z brzydkich makówek.
- Alina. A wstydz się, siostró! proszę cię, nie boleję 270
Nad mojem szczęściem.
- Balladyna. Cha! cha! cha!
Alina. Co znaczy
Ten śmiech okropny? siostró, czy ty chora?
Jeżeli wielkiej doznajesz rozpaczę,
275 To powiedz... Ale ty kochasz Kirkora?
Ty bardzo kochasz? Siostró! powiedz szczerze!
Bo widzisz, rybko, są inni rycerze,
Jak będę panią, to ci znajdę męża...
- Balladyna. Ty będziesz panią? ty! ty? (*dobywa noża*). 280
Alina. Balladyna!
Co ten nóż znaczy?...
- Balladyna. Ten nóż?... to na węża
W malinach.
- Alina. Siostró, jesteś blada, sina. 285
Kalinko moja! co tobie? co tobie?
Czemu ty blada? ach! jak to okropnie!
Przemów choć słówko! Usiądźmy tu obie
I mówmy z sobą otwarcie, roztropnie,
290 Jak dwie siostrzyczki. (*Siadając na murawie*).
Ja kocham Kirkora,
Ach, nie dla tego, że Kirkor bogaty,
Że wielki rycerz, pan możnego dwora,
Że ma karetę złotą, złote szaty;
295 A jednak miło mi, że chodzi w złocie,
Że miecz ma jasny, służebników krocie;
Bo to jak rycerz w bajce, co się rodzi
Z wielkiego króla i w lesie znachodzi
Jakąś zaklętą królowną...
- Balladyna (*wstając z pomieszaniem*). Och!... 300
Alina (*wstając*). Miła!...
- Co tobie?...
- Balladyna (*ze wzrastającym pomieszaniem*). Gdybym cię siostró, 305
[zabiła?...
- Alina. Co też ty mówisz?...
- Balladyna. Daj mi te maliny!
- Alina. A kto wie, siostró? gdybyś poprosiła,
Pocałowała usteczka Aliny,
Możemy dała?... spróbuj Balladynko...
- Balladyna. Prosić?...
- Alina. Inaczej, żegnaj się z malinką. 310

- Balladyna (*przystępując*). Co?...
 Alina. Bo też widzisz, siostró, że ten dzbanek,
 To moje szczęście, mój mąż, mój kochanek,
 Moje sny złote i mój ślubny wianek
 I wszystko moje... 315
- Balladyna (*z wściekłością natrętną*). Oddaj mi ten dzbanek.
 Alina. Siostró!...
 Balladyna. Oddaj mi, bo...
 Alina (*z dziecinnem naigrzywaniem się*). Bo!... i cóż będzie?
 Bo?... Nie masz malin, więc suche żołędzie 320
 Uzbierasz w dzbanek — czy wierzbowe liście?
 I tak... ja prędzej biegam i przez miedzę
 Ubiegnę ciebie...
- Balladyna. Ty?...
 Alina. A oczywiście. 325
 Że ciebie w locie, siostrzyczko, wyprzedzę.
- Balladyna. Ty?
 Alina. O, nie zbliżaj się do mnie z takimi
 Oczyma?... Nie wiem... ja się ciebie boję...
 Balladyna (*zbliża się i bierze ją za rękę*). I ja się boję... połóż
 [się na ziemi... 330
 Połóż! ha! (*Zabija*).
- Alina. Puszczaj!... och!... konam... (*Pada*).
 Balladyna. Co moje
 Ręce zrobiły?... O!... 335
- Głos z wierzby. Jezus Maryja!
 Balladyna (*przerazona*). Kto to?... zawołał ktoś?... czy to ja
 Za siebie samą modliłam się?... Zmija, [sama
 Kobieta, siostra — nie siostra. Krwi plama
 Tu, i tu, i tu! (*Pokazując na czoło, plamę je palcem*).
 I tu. — Któż zabija 340
 Za malin dzbanek siostrę?... Jeśli z bora
 Kto tak zapyta, powiem — ja. — Nie mogę
 Skłamać i powiem: Ja! — Jaktó ja?... Wczora
 Mogłabym przysiąc, że nie... W las! w las!... w drogę!
 Wczorajsze serce niechaj się za ciebie 345
 Modli. — Ach! jam się wczoraj nie modliła.
 To źle! źle! — dzisiaj już nie czas... Na niebie
 Jest Bóg... zapomnę, że jest; będę żyła,
 Jakby nie było Boga. (*Odbiega w las*).

Z wierszy drobnych.

Odwiedziny Piramid.

...Na piaskowym wale
 Stały przedemną gmachy błyszczące wspaniale,
 Twarzami obrócone do słońca — i do mnie.

Patrzałem na nie — potem na siebie... Jak skromnie
Wyglądałem przy grobach takich! na osiołku, 5
W pustyni piasku w każdym topiący się dołku.

— — Na białym kamieniu

Siadłem strudzony w drzewa szerokiego cieniu.
Myślałem, jak ten wawóz cały piasków przebrnę?
Co czuć będę? i oto... jakieś mrówki srebrne 10
Pod nogami ujrzałem grzebiące się w piasku.
Wzięłem do rąk stworzenie perłowego blasku,
I bawiło mnie małe, jak ziarenko żyta...
A domek ich, jak ślady końskiego kopyta,
Obłożony wałami w budowę półkolną. 15
Przejrzałem cały — potem puściłem je wolno
Obie do rozbitego sarkofagu żłobu;
I wstawszy, szedłem prosto do Cheopsa grobu.
A kiedyś był u piasków przebytych połowy,
Wzniosłem czoło — spojrzałem górą ponad głowy, 20
I nie mogłem oczyma dolecieć do szczytu
Grobow, co uleciały w krainę błękitu.
A więc oczy ogromem piramid odparte
Spuściłem... W koło były grobowce otwarte,
W których i proch amarłych dawno powymierał. 25
Sfinx czarną Kopta twarzą nad piasek wyzierał.
I straszna była dzikość grobowej doliny!

Wtenczas wypadły słońcem wyschłe Beduiny,
Brazowe, w białych płaszczach, jak grobowe sępy;
I porwały mię czarnych szatanów zastępy, 30
I wiodły z krzykiem w groby od wieków milczące,
Pałac pochodnie, blado na słońcu płonące.

W piramidy ścianach

Jest otwór, gdzie do grobu wchodzisz na kolanach.
Arab z pochodnią wpełznął i zniknął. Musiałem 35
Synom stepów się oddać i z duszą i z ciałem.
Dwóch zaprzęgåo się do mnie, dłonie wzięli w kleszcze;
Trzeci lał rakiem świecąc, a czwarty mię jeszcze
Popychał i w ciemnościach mnie gmachu pogrzebli —
I ślizkimi kominy, bez schodów i szczebli, 40
Wiedli w górę — aż wreszcie mogłem podnieść głowy,
Obaczywszy się żywym w Komnacie Królowej.
I dalej korytarzem trumnianego ula
Pełznąć, obaczyłem się w Sali trupa Króla.
Blask pochodni się lekko po ścianach rozplonił. 45
Sarkofag próżny — ręką uderzyłem — dzwonił,
Jak rzecz pusta...

Wyszedłem z granitowej skały,
Jak senny, zadziwiony dniem, co świecił biały,

Palm zielonością, piasków oświeceniem złotem; 50
 Westchnąłem z głębi piersi... za niczem... a potem
 Obróciwszy się czarne zapytałem guidy,
 Gdzie — którędy się idzie na szczyt piramidy?
 Pokazali mi lewy brzeg nierówno zlany
 Z ciemnej i oświeconej promieniami ściany. 55
 Przemierzywszy, jak czynią podróżni roztropni,
 Wielkość każdego, mnogość do przebycia stopni,
 Wiedząc jak się grobowce pod nogami kruszą,
 Arabom się oddałem ciałem — Bogu duszą.

Z dwóch Beduinów tylko mój orszak się składał, 60
 Każdy na wyższy kamień wskakiwał, przysiadł,
 I podawał mi ręce... i tak szedłem długo;
 Raz mi kamień był stołem, drugi raz framugą.
 Trzy, a zaledwie z dołu widziane szczelinki,
 Były jak trzy komnaty, na trzy odpoczynki. 65
 W głowy zawrocie jużem niepomniał, gdzie idę —
 I tak wszedłem na pierwszą w świecie piramidę.

Jak dwaj czarni z białymi skrzydłami anieli,
 Dwaj Arabi na rogach pomnika stanęli;
 Ja na głazie najwyższym... Chciałem zebrać wzrokiem 70
 Cztery ściany spadzistym lecące potokiem,
 I nie mogłem ogarnąć — bo na to potrzeba
 Być słońcem, i na królów groby patrzeć z nieba.
 Arabi stali cicho — za nimi zwierciadłem
 Był sklep błękitu — w niebo spojrzalem i siadłem, 75
 Patrzac na różnych wkoło napisów kobierce.
 Cicho — zegarek słyszę idący i serce...
 Czas i życie. — Spojrzałem na błękit rozciągly:
 Świat przybrał kształty Bogiem widziane — był krągły.
 Z dala Kair... Nil... łąki... daktylowe laski... 80
 Bliżej — pustynia... złotem oświecone piaski...
 Bliżej — trzy drzewa, figa, pod nią cienia chłodnik,
 A w nim stał mój osiołek i Arab przewodnik.
 Patrzac na nich, myślałem o mrówce ze srebra...
 Bliżej — dolina piasku, cała w równe żebra 85
 Wichrem zmarszczona i Sfinx, i grobowce białe —
 Ziemia widoma... wszystko dojrzone, lecz małe...

Inny widok na prawo, inna była scena:
 Naprzeciwko Cheopsa stał pomnik Cefrena,
 Tak że orzeł po równej krainie błękitu 90
 Mógł płynąć od jednego do drugiego szczytu.
 Dwie piramidy wąwóz tworzyły głęboki;
 A zachodniego słońca czerwone potoki
 Jakby falami ognia płynęły tamtędy,
 Lejąc się przez grobowców utworzonych rzędy. 95

Ale większy był jeszcze widok z innej strony:
Pustynia — i ogromny krąg słońca czerwony
Chylił się do zachodu...

I większy był jeszcze
Widok — w myślach — na wieki, lecące jak deszcze 100
Po granitowych ścianach; na pożarów łuny,
Na ogromnych wypadków bijące pioruny...

Kiedym to wszystko wstawił i w grobie pochował,
Zdało mi się, że Mojżesz krwią Nil zafarbował,
I że płynął czerwony wypadków posoką... 105

H y m n

o zachodzie słońca na morzu.

Smutno mi Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze, 5
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosa z podniesioną głową
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu. 10
Ale przed Tobą głąb serca otworzę.
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski, 15
Choć wiem, że jutro błysnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem, 20
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumiał nad mogiłą ludzi, 25
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położy:
Smutno mi, Boże! 30

Ty będziesz widział moje białe kości,
 W straż nie oddane kolumnowym czołom ;
 Ale jest jako człowiek, co zazdrości
 Mogił... popiołom.

Więc że nieznane gotujesz mi łożę,
 Smutno mi, Boże! 35

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
 Modlić się za mnie codziennie, a ja przecie
 Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
 Płynąc po świecie. 40

Więc że modlitwa dziecka nic nie może,
 Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
 Anieli twoi w niebie rozpostarli.
 Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie 45
 Patrzący marli...

Nim się przed moją nicością ukorzę,
 Smutno mi, Boże!

Zygmunt Krasiński.

Syn Wincentego, generała wojsk polskich, i Maryi z ks. Radziwiłłów, urodził się w Paryżu 18 lutego 1812. Matkę stracił w dzieciństwie. Pierwsze nauki pobierał w domu (przez pewien czas od Józefa Korzeniowskiego, później głośnego pisarza) i okazywał od razu niezwykle w nich zdolności. W roku 1826 oddany do liceum warszawskiego, zaraz w następnym przeszedł na uniwersytet. Tu zaprzyjaźnił się z kolegą swoim Konstantym Gaszyńskim, która to przyjaźń została najściślejszą na całe życie. Bez matki, bez rodzeństwa, przy ojcu, który lubił życie światowe i wesołe, młodzieniec czuł się samotnym i smutnym; tem bardziej też Ignął do przyjaciela. Wszystkie wolne godziny przepędzali oni razem na nieskończonych rozmowach i na czytaniu wszystkiego, co przynosiła współczesna literatura romantyczna, a zwłaszcza poezya. Żywa wyobraźnia młodego Krasińskiego rozwijała się pod tym wpływem, a niebawem obudził się i popęd do pisania. Te zajęcia wszakże nie oderwały go od rzeczywistej obowiązkowej nauki, i wykształcenie jego, zwłaszcza znajomość języka i literatury łacińskiej, historii i literatur nowożytnych były bardzo gruntowne i niezwykle.

W roku 1829 zaszedł niespodzianie wypadek, który wpłynął na całe jego dalsze życie. Posłuszny ojcu, nie wziął udziału w manifestacyi politycznej, którą ojciec jego potępiał. Zato jednakże doznał od kolegów swoich uniwersyteckich obelgi i zniewagi. Po stronie skrzywdzonego stanął i wziął go w obronę tylko Gaszyński i drugi odtąd na całe życie przyjaciel, Konstanty Danielewicz.

Owo zajęcie w uniwersytecie warszawskim wywarło wpływ stanowczy na jego charakter i życie, rozwinęło w nim ten pierwiastek głębokiego

smutku, wzniosłego uczucia obowiązku i męstwa w cierpieniu, który był głównym znamiętem jego duszy i życia.

Po tem zająciu ojciec wysłał Krasińskiego na dalsze nauki do Genewy (1829).

Nowe wrażenia nieznanego świata działały wszakże silnie na młodą a bujną wyobraźnię i ukoili na pewien czas doznana boleść. W Szwajcaryi pisywał dla pism zagranicznych wiadomości o literaturze polskiej, dla siebie małe powiastki (zawsze w tym samym przesadnie romantycznym rodzaju i bez wartości). Przypadkowo spotkał się i poznał z jadącym do Włoch Mickiewiczem i wraz z nim i jego towarzyszem Odyńcem odbywał kilkudniową podróż po szwajcarskich górach. Połowę roku 1830 i część 1831 przepędził we Włoszech, głównie w Rzymie, w temsamem kółku znajomych, z którym przestawał Mickiewicz. Potem wrócił do Szwajcaryi.

W ciągu roku 1832 powołał Krasińskiego ojciec do kraju. Podróż ta, po skończonej wojnie, kiedy podczas wojny odbyć jej nie mógł, była dla niego męką: a tem większą, że miała się skończyć podróżą do Petersburga. Z tych udręczeń zapadł ciężko na zdrowiu już w Genewie, potem w ciągu podróży; wreszcie stanął w Warszawie i w Petersburgu. Tu (na swoje szczęście, jak później pisze w listach) był tak chory, że przez siedm miesięcy prawie nie wychodził z pokoju. Musiał wprawdzie przedstawić się cesarzowi Mikołajowi, który bardzo uprzejmie ofiarował mu miejsce w jakiejby chciał gałęzi służby (wspomnienie tego posłuchania i osoby cesarza znalazło się później w *Pokusie*). Ale zdrowie jego było tak widocznie złe, klimat północny działał na nie tak zgubnie, że za wymówkę starczyć musiało, a co więcej posłużyło do otrzymania paszportu za granicę. Ten mając w rękę, wyjechał Krasiński niezwłocznie i odetchnął swobodniej aż w Wiedniu.

Tu powstał pierwszy znakomity jego poemat p. t. *Nieboska komedya*.

Po jej napisaniu pospieszył Krasiński z Wiednia do Włoch, do których rwał się zawsze z utęsknieniem, w których ze szczególnem upodobaniem przebywał. Rzym zwłaszcza, ze swoją jedyną w świecie historją, ze swoim znaczeniem w starożytnym i chrześcijańskim świecie, z poezją swoich ruin i majestatyczną pięknoscią swoich widoków, był miejscem, w którym jego usposobienie, poety i myśliciela, znajdowało nieprzebrany zasób potrzebnych sobie wrażeń i rozmyślań. Śmiało też można twierdzić, że nikt nigdy poetycznego charakteru Rzymu tak nie czuł i w pismach swoich tak nie odbił, jak Krasiński. Z tych też wrażeń rzymskich począł się i na nich się osnuł jego drugi poemat, *Irydyon* (wyszedł w roku 1836).

Przez lata następne przebywał jak mógł najwięcej we Włoszech, zwłaszcza w Rzymie, w otoczeniu kilku serdecznych przyjaciół (Danielewicz, pułkownik Adam Sołtan, później August Cieszkowski, Jerzy Lubomirski, Stanisław Małachowski — w roku 1836 w Rzymie znajomość i przez lat kilka gorąca przyjaźń ze Słowackim). Latem tylko jeździł do Niemiec dla poratowania zdrowia u wód i dla spotkania się z ojcem. Pisał mało i same rzeczy drobne (*Noć letnia*, *Pokusa*, *Trzy myśli*).

Ale pisząc mało, myślał Krasiński i pasował się ze swoją myślą wiele. Wyteżał wszystkie siły swego umysłu na zrozumienie i odgadnienie myśli Bożej w dziejach i tajemnicy losów Polski. Po kilku dopiero latach stworzył poemat, który jest najjaśniejszym wyrazem jego pojęć: *Przedświt* (wydany pod imieniem Gaszyńskiego). Wszystkie swoje pisma wydawał Krasiński bezimiennie, z obawy rządu rosyjskiego: tym razem chciał się ukryć jeszcze bezpieczniej, za nazwiskiem rzeczywistego żyjącego człowieka, a przyjaciel zrobił dla niego to poświęcenie, że pozwolił położyć swoje nazwisko pod dziełem, które przechodziło miarę jego zdolności.

W r. 1843 ożenił się z Elżbietą hr. Branicką i spędził kilkanaście miesięcy w kraju, w którym z powodu zawaze słabego zdrowia i przykrych politycznych stosunków niedługo i niechętnie bawił. W tym czasie powstały *Psalmy* przyszłości.

Od roku 1848 aż do 1855 przebywał Krasiński najwięcej i najchętniej w Badeniu lub Heidelbergu, a to dla bliskości lekarza dra Cheliusa, do którego miał wielkie zaufanie, a którego jego zdrowie coraz gorsze koniecznie potrzebowało. Po śmierci cesarza Mikołaja dostał paszport do Francji (pierwszy raz w życiu) i przez ostatnie lata życia przebywał dużo w Paryżu. Zdrowie zdawało się poprawiać: pozwalało na dłuższe podróże, do ojca (do Warszawy i na wieś). Ale właśnie podczas takiego pobytu w kraju (1857) stracił najmłodsze dziecko, trzechletnią córeczkę; i wtedy zdrowie zepsuło się już bez ratunku. Cały rok 1858 przebył w strasznych cierpieniach i w ciągłym niebezpieczeństwie życia. Lekarze chcieli jeszcze spróbować skutków klimatu i wysyłali go z Paryża do Algieru, kiedy przyszła wiadomość o chorobie, a wkrótce o śmierci ojca poety. Ta strata dobiła go ostatecznie. Męczył się jeszcze trzy miesiące w coraz straszniejszych cierpieniach, w chwilach spokojniejszych wysiłał się na pisanie żywota ojca (początek istotnie napisał): z wszelką świadomością blizkiego końca gotował się na śmierć, ostatnie sakramenta przyjmował parę razy; umarł 23 lutego 1859.

Dzieła. Krasiński zaczął pisać bardzo wcześnie. Jeszcze na uniwersytecie w Warszawie wydał dwie powieści historyczne w guście walter-skotowskim: *Grób rodziny Reichsthalów* (1828) i *Władysław Herman* (1829), obie pełne przesadnej, ponurej romantyczności. W Genewie powstały dalsze próby w tym kierunku (*Teodoro, król borów, Starosta Wilczek*), wreszcie najlepsza z nich: *Agay-Han* (1833), która jest już niezaprzeczenie dziełem niezwykłego talentu, ale przesadną jaskrawością obrazów i napuszystością stylu dowodzi talentu bardzo jeszcze niedojrzałego.

W r. 1835 wychodzi *Nieboska komedia* (napisana już w r. 1833), pierwszy poemat poruszający głębsze kwestye, jakie odtąd będą zawsze przedmiotem dzieł Krasińskiego.

Powstała ona z rozmyślenia nad pytaniem, jaki może być koniec nienawiści społecznych, wzmagających się w naszym wieku. W krótkich, szkicowanych obrazach (poemat cały jest krótki i napisany od jednego rzutu, bez poprzedniego planu) poeta obejmuje różne rodzaje uposłedzeń i ucisków, namiętności i żądź, których skutkiem są nienawiści społeczne.

Żądza równości posiadania i równości używania działa przez zniszczenie wszystkich istniejących stosunków i praw — i zwycięża. Ale po jej zwycięstwie zostaje tylko zniszczenie, niema w niem żadnych pierwiastków, żadnych sił do stworzenia nowego lepszego porządku rzeczy, wyższej i prawdziwszej cywilizacji. Na tle tej walki rysują się dwie postacie, dwóch przywódców. Jeden, hrabia Henryk, broni dawnego porządku rzeczy, choć widzi i rozumie wszystko, co w nim jest złem; bo sądzi, że krwawa anarchia będzie od niego jeszcze gorszą: broni bez wiary w zwycięstwo, dla honoru, z obowiązku, z tradycyjnego przywiązania i z osobistego popędu poetycznego, z upodobania w walce i w roli, jaka mu przypadła. Drugi, wcielenie wszystkich społecznych nienawiści i wódz rozpasanych tłumów, Pankracy, zanim dzieło swoje rozpoczął, myślał, że po zniszczeniu wszystkiego, co było, stworzy świat nowy, szczęśliwszy, oparty na wolności i sprawiedliwości; ale wśród samych swoich zwycięstw stracił wiarę w swoje dzieło i w swoją drogę, uczuł, że gwałt i zniszczenie nie posuwa ludzkości naprzód, ale ją cofa w tył. Jeden jest tragiczny przez to, że broni porządku rzeczy, którego nie ceni, w którego wartość nie wierzy, z obawy czegoś gorszego; drugi przez to, że stanąwszy u celu, nie wie, co począć, nie znajduje ani w sobie, ani w swoich stronnikach sił i prawd, któreby mogły ludzkość podźwignąć: przekonywa się, że „dzieło zniszczenia nie jest usprawiedliwionem“. Henryk w chwili, kiedy ma się już dostać w ręce nieprzyjaciela, rzuca się w przepaść i kończy samobójstwem; Pankracy, w chwili, kiedy odniósł ostatnie już zwycięstwo, traci do reszty wiarę w siebie i swoją sprawę, i z tego zwątpienia umiera. W konaniu ma widzenie Zbawiciela z krzyżem w ręku, który go przeszywa wzrokiem i zdaje się sądzić; umiera wołając: Galilaeae vicisti.

Znaczenie tej sceny i całego poematu i tych dwóch jego głównych postaci jest to, że po żadnej stronie niema istotnej słuszności i prawdy; że nienawiść społeczna, jeżeli wybuchnie walką, sprowadzi tylko zniszczenie całej cywilizacji, zdziczenie społeczeństwa; że po takim jej końcu Bóg mocą swoją przywróci ludzkości siły do nowego życia; że w Jego nauce i Jego krzyżu są te prawdy i prawa, które ludzkość mogą odrodzić w przyszłości, a dziś odwrócić walki i nieszczęścia, uratować ją od barbarzyństwa, a do prawdziwego postępu, do rzetelnej i lepszej cywilizacji ją podnieść.

Irydyon (1836) wyniknęła z rozmyślenia nad pytaniem, czy i jakim sposobem dźwigać i odradzać się mogą narody, które straciły byt polityczny; czy nienawiść nieprzyjaciela i zemsta nad nim, wymyślona z największą przebiegłością, wykonana z największą energią i z nieograniczonym nawet poświęceniem, wystarczyłaby na to, by ożywić i odrodzić upadłą ojczyznę? Na to pytanie, które sam sobie zadał, odpowiada Krasieński: Nie. Odrodzenie polityczne narodu pokonanego nie może się udać i dokonać, jeżeli go nie poprzedzi odrodzenie moralne, poprawa w duchu, uznanie i pełnienie praw Bożych przez ogół (przynajmniej przez większość) tego społeczeństwa.

Myśl tę wyklada poeta na przykładzie następującym:

Wyobraża sobie Greka, potomka dawnych bohaterów, których duch przechodził dziedzicznie z ojca na syna przez wieki. Jeden po drugim marzyli oni o oswoobodzeniu Grecyi, a tchnęli namiętną nienawiścią Rzymu. Ale wiedzieli zarazem, że Rzym był zbyt silny, iżby można porwać się nań skutecznie, i czekali cierpliwie, ukrywając swoje zamiary i nadzieje. Przetrwali tak w oczekiwaniu ostatnie czasy republiki i Cezara i Augusta i następców jego i jeszcze Antoninów. Zawsze jeszcze Rzym był za silny na to, by się na nim pomścić. Ale z późniejszymi imperatorami zaczął się jego stopniowy rozkład i upadek: i wtedy można było myśleć o pomszczeniu Grecyi i o zgubie Rzymu.

Amfiloch, ojciec Irydyona, znacznie już to dzieło przygotował. U wszystkich ludów Rzymowi podległych na południu i na Wschodzie miał przyjaciół i stronników: w Chersonesie Cymbrów poślubił Grymhilde, kapłankę Odyna, a przez to wszedł w związki z barbarzyńcami północy. Umarł, poruczając synowi spełnienie dzieła.

Rzecz dzieje się za Heliogabala. Irydyon w dziedzictwie po ojcu objął stosunki ze wszystkimi nieprzyjaciółmi Rzymu: wszyscy czekają jego rozkazu; taksamo niewolnicy, gladiatorowie, wszyscy upośledzeni i nieszczęśliwi w mieście samem. W swój spisek przeciw Rzymowi chce wciągnąć i chrześcian z katakomb i dlatego pozornie przyjmuje chrzest. Ale to jeszcze nie wystarcza mu do działania. Potrzeba mu władzy: potrzeba opanować imperatora i przez tego wydawać rozkazy, któreby Rzym zgubiły. W tym celu poświęca Irydyon siostrę, Elsinoę, której Heliogabal zapragnął: przez nią opanuje umysł Cezara i wydrze mu władzę.

Wszystko przygotowane doskonale, wszystko idzie po myśli. Ale tymczasem resztki Rzymian uczciwych, oburzonych na Heliogabala, korzystają ze wzburzenia pretoryanów, domagających się wypłaty żołdu, i wchodzi z nimi w porozumienie, żeby zrzucić Heliogabala, a Cezarem obwołać Aleksandra Sewera. Irydyonowi to właśnie na rękę: będzie niby bronił Heliogabala, ale w tej walce jego ludzie zapalą Rzym ze wszystkich stron naraz, rzucają się między walczących, tak, że zginie i Heliogabal i Aleksander i Rzym.

Plan się nie udaje. Irydyon czeka na pomoc, jakiej się spodziewał z katakomb, ale ta nie przychodzi: biskup wstrzymał swoich i zabronił im walczyć. A tymczasem Aleksander ze swoimi dotarł na Forum, Heliogabal zabity, nowy Cezar obwołany, za nim jest wojsko i lud. Ten nowy stan rzeczy zwalić się w tej chwili nie da: Rzym zostaje, czem był, zemsta Irydyona spełza na niczem.

On wtedy chce sobie życie odebrać, ale wstrzymuje go Masynissa, szatan pod postacią starca, przyjaciela i nauczyciela, który i ojca i jego utwierdzał w nienawiści i zemście na to, by te złe uczucia, zmieszane z ich uczuciem dobrem, z miłością ojczyzny, prowadziły ich do złych uczynków, dla których znowu sprawiedliwość Boska nie będzie mogła dać zwycięstwa ich sprawie dobrej. Masynissa tedy obiecuje Irydyonowi, że po wiekach uczyni zadość jego zemście, pokaże mu Rzym poniżony i upokorzony, ale żąda za to, żeby Irydyon oddał mu swoją duszę na wieczność. Układ staje: Masynissa usypia Irydyona na długie wieki.

Budzi go w epilogu, w wieku dzisiejszym, i pokazuje mu Rzym w upadku, chrześcijaństwo opuszczone, lekceważone, poniewierane przez dzisiejszych chrześcian. Irydyon zrazu raduje się na widok miasta wyludnionego i zubożalego, ale rychło poznaje, że to nie ta zemsta, jakiej pragnął. On zasypiając spodziewał się ujrzeć jakiś w przyszłości tryumf słabszych i skrzywdzonych nad przemocnym ciemiężycielem, a szatan pokazuje mu tylko Krzyż opuszczony. Jest to tryumf Masynissy-szatana, ale nie Irydyona — miłości spraw dobrych i poświęcenia się dla nich. Irydyon też na ten widok jest tak smutny jak przed wiekami, kiedy patrzył na zwycięstwo Rzymu; i teraz w Colosseum odbywa się nad nim sąd. Szatan woła, że Irydyon do niego należy, bo nienawidził Rzymu: anioł (Kornelia, niegdyś przez Irydyona kochana i kochająca go chrześcianka) odpowiada, że należy mu się miłowanie, bo kochał Grecyę. Głos z góry posyła go na próbę „do ziemi mogił i krzyżów“, każe „ufać Imieniowi mojemu, być spokojnym na dumę i ucisk niesprawiedliwych, prosić nie o chwałę swoją, ale o dobro tych, których ci powierzam, czynić ciągle i bez wytchnienia“ — a jeżeli ten rozkaz Irydyon wypełni, obiecuje mu „zmartwychwstanie nie ze snu, ale z pracy wieków“. Miłość ojczyzny, która swojej sprawy nie zbawiła, bo służyła jej w złych uczuciach i złymi czynami, ale która potępioną być nie może, bo była miłością dobrego (choć mylnie pojętą), ma w tej próbie jak złoto w ogniu wyczyszczyć się i uświęcić, a wtedy nabędzie i siły i prawa do zwycięstwa.

Od Nieboskiej komedyi daleko większy i artystycznie bardziej wykonany, zdumiewa Irydyon i pomysłem i pięknnością wielu scen i obrazów, a zwłaszcza genialną charakterystyką i upadającego Rzymu i postaci dramatu (Irydyon, Masynissa, Heliogabal, Ulpianus etc.). Jego zaś myśl i znaczenie wskazuje, że poeta, który w swoim pierwszym dziele zajęty był ogólnym stanem naszego świata, teraz przeszedł do kwestyi szczegółowej, do tej mianowicie, jaką w tym stanie świata może być przyszłość jego własnej ojczyzny. Z tego pytania rozwinie się cała dalsza poezja Krasińskiego: cała będzie tylko szukaniem odpowiedzi.

W latach między 1830—1842 powstały: *Noc letnia*, którą natchnęło poecie zameęcie jakiejś młodej Polki z Rosyaninem, i *Pokusa*, napisana na przestrozę i upomnienie młodym ludziom, którzy w służbowych i towarzyskich stosunkach mogliby zapominać o godności narodowej i własnej, wreszcie: *Trzy myśli Henryka Ligenzy*.

Przedświt (1842) jest niejako szczytem całego tego kierunku przepowiadającego, wieszczącego, jaki przybrała nasza poezja po roku 1831. Wszystkie te pytania, które zadawali sobie i rozwiązać usiłowali wszyscy niemal poeci, skupiły się w tym poemacie Krasińskiego i w nim znalazły najjaśniejszą odpowiedź. Z *Przedświtu* znów jak ze źródła wypływają wszystkie późniejsze patryotyczno-przepowiadające poezye.

Poemat ten (pierwszy jaki Krasiński napisał wierszem) ma kształt długiej piosenki ilirycznej, podzielonej na kilka ustępów. W początkowych poeta i jego Beatrice znajdują się na łodzi, na wodach włoskiego jeziora, szczęśliwi oboje, ale temu szczęściu czegoś brak. Rozmowa schodzi na Polskę, i z piersi poety wyrывa się to pytanie, które było w sercu

wszystkich, zaco i dlaczego taki los? Wtedy następuje widzenie. Królowie i bohaterowie dawnej Polski stają przed pytającym, a na ich czele Czarnecki, który mu tłumaczy, że gdyby Polska była utrzymała się przy bycie, byłyby dziś w takim stanie rozstroju i upadku, jak są inne państwa w Europie, że wolna od win i odpowiedzialności, przechowała w swoim niebycie politycznym tę świadomość Bożego prawa, tego ducha chrześcijańskiego, którym siebie i ludzkość całą podniesie i stanie się ludem naczelnym w przyszłej lepszej i szczęśliwszej epoce dziejów.

Widzenie znika, a poeta uniesiony szczęściem, widzi znowu w zachwyceniu tę lepszą epokę przyszłą, wszystkie ludy połączone w miłości i jej prawem rządzone, a wśród nich i przed nimi Polskę, która je swoim przykładem wiedzie do królestwa Bożego na ziemi.

Pytanie, które Mickiewicz zadawał sobie w *Dziadach* i *Księgach pielgrzymstwa*, które później doprowadziło go do mesjanizmu, które wszyscy poeci rozwiązać usiłowali, rozwiązał sobie Krasiński w sposób powyższy. To tłumaczenie dziejów i losów Polski wydało się taką prawdą jasną i oczywistą, przyjęte było z takim uniesieniem radości i wdzięczności, z taką wiarą, że poeta, dotąd mało znany i uważany, stanął w uczuciu powszechnem wyżej od wszystkich poetów, z jednym tylko wyjątkiem Mickiewicza, a poemat jego wpłynął przeważnie na ukształcenie uczuć i pojęć późniejszego pokolenia. Dziś łatwo jest poznać się na tem, co w nim zbyt pochlebne i mylne: mylnym jest ten charakter narodu wybranego, jaki on nam przypisuje. Ale to, co mówi o dzisiejszym stanie świata i o nieuniknionej dla niego konieczności albo podniesienia się do wyższego bytu przez zastosowanie chrześcijaństwa do stosunków politycznych, albo jeżeli nie, to upadku i zagłady cywilizacji — to jest i prawdziwe i genialne.

Psalmy przyszłości powstały z następującego powodu. W zimie roku 1844, którą spędzał z żoną w Warszawie przy ojcu, zgłosił się do niego emisaryusz emigracyjny z żądaniem, żeby przystąpił do gotującego się nowego powstania, które miało głównie opierać się na rewolucji socyalnej i nie cofać przed bratobójczą walką. Wtedy Krasiński, przerażony przyszłością, jaką te zamysły musiały zgotować krajowi, gdyby miały dojść do skutku, uznał za swój obowiązek zrobić co mógł na to, by je odwrócić. Chwyć się za pióro i napisał *Psalmy przyszłości*. Trzeci i najważniejszy. Psalm miłości, napisany był w Warszawie bezpośrednio pod wrażeniem pomienionej rozmowy, później tylko wykończony i poprawiony. Dwa pierwsze dodane już za granicą, w roku 1845. Pierwszy, filozoficzny Psalm wiary, jest wyrazem jego pojęć o człowieku i jego stosunku do Boga, o przeznaczeniach ludzkości i narodów w niej, a przede wszystkim polskiego. Psalm nadziei jest przypomnieniem wszystkich obietnic Przedświtu, tego odrodzenia, które niechybnie nastąpić musi, jeżeli mu sami nie przeszkodzimy i nie odepchniemy go własną ręką. Po tem przypomnieniu dopiero przychodzi w Psalmie miłości upomnienie i zaklęcie zaślepionych, ażeby „rzucili hajdamackie noże“, bo inaczej lud zepsują, przyszłość odsuną w dal jakąś niewiadomą i niedostrzeżoną, i „będą kłać na nich wieki — że cel wieków znów daleki“. Psalm miłości ma charakter dziwny: jest okolicznościowem

pismem politycznym; broszura, żeby się tak wyrazić, w poetycznej formie; ale napisany z ogromną siłą poetycznego natchnienia, jest on niemniej silnym wyrazem politycznego rozumu, a jednym z najsilniejszych na świecie wyrazów zbolącej miłości ojczyzny, na widok tejże ojczyzny dobrowolnie lecącej w przepaść. Demostenes kiedy w Atenach mówił Filippiki, Skarga kiedy mówił kazania sejmowe, byli w podobnym położeniu i mówili w takim uczuciu, w jakim Krasiński pisał Psalm miłości.

W roku 1848 wydał jeszcze dwa Psalmy. W pierwszym z nich, Psalmie żalu, powtarza na nowo swoje dawne myśli i dowodzi, że miał słusność. Początek należy do najpiękniejszych rzeczy, jakie Krasiński napisał; ciąg dalszy zato, w którym wyklada znowu swoje pojęcia, jest ciężki i prozaiczny. Ale obrona własna, a choćby obrona słusności, to nie było dosyć: narodowi, zgębionemu świeżą a straszną klęską, wielki umysł i wielkie serce poety winne były dać coś więcej, radę i naukę, jak ma się ratować i do lepszej przyszłości dążyć. Tem jest Psalm dobrej woli. Zaczyna on się od słów zbyt pochlebnych: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie“, ale zawiera najmądrze, najświętsze prawdy, których trzymając się może naród ducha i życie w sobie przechować i wzmocnić.

Pod względem poetycznego natchnienia nigdy może Krasiński nie był tak wzniosłym jak w tym Psalmie, który też uważać można za ostatnie i najwyższe słowo jego poezji, a zarazem jako dopełnienie i zakończenie całej natchnionej poezji patriotycznej, wieszczącej i nieraz mistycznej. Wielka epoka poezji polskiej kończy się chronologicznie dwoma ostatnimi Psalmami Krasińskiego.

Po nich wydał on jeszcze (w roku 1848) dwa poemata, dawniej napisane. Jednym jest Dzień dzisiejszy, obraz wszystkich najrozmaitszych opinii, zdarzających się między Polakami. Ostatni, którego ustęp niejeden niewątpliwie pisany był jeszcze w Genewie w pierwszej młodości poety, jest to ostatni więzień, zamknięty przez całe życie w lochach jakiejś turmy, żyjący nadzieją ostatecznego zwycięstwa; a kiedy to zwycięstwo istotnie przyszło, kiedy wszyscy wychodzą na wolność, on jeden, zapomniany przez swoich, zostaje w więzieniu i umiera, składając ten ostatni ból Bogu na ofiarę za szczęście i chwałę ojczyzny. Pod względem poetycznym Ostatni jest od Dnia dzisiejszego wyższy, jest bardzo piękny.

Potem pisał Krasiński już bardzo mało, a nie wydawał nic, prócz jednego wiersza *Resurrecturī*, który jest krótkim streszczeniem całej jego nauki, zbiorem najistotniejszych prawideł postępowania moralnego i politycznego dla dzisiejszej Polski. Głoszę św. Teresy pozwolił wydać tylko na usilne prośby przyjaciół. Niedokończony poemat jest to dorobiona do Nieboskiej komedji młodość hrabiego Henryka, jako całość daleki od Nieboskiej i od Irydyona.

Charakterystyka. 1. Główną cechą poezji Krasińskiego jest to, że cała wyłącznie zajmuje się politycznymi i społecznymi kwestyami, kwestją lepszej przyszłości świata. W stopniowym pochodzie i rozwoju swoich idei i swego talentu, zaczyna Krasiński od kwestyi najszerszej

szych, ogólnych: przedmiot Nieboskiej komedyi obchodzi cały świat europejski, wszędzie jest zarówno ważnym i z życia wziętym. W Irydyonie przechodzi już do kwestyi więcej szczegółowej, do odrodzenia jednego narodu i do sposobów, jakimi ono sprawić się może. Przy tem pytaniu pozostał już Krasiński zawsze, tylko pracował nad znalezieniem coraz jaśniejszej, coraz prostszej i pewniejszej odpowiedzi. Taką wydała mu się ta, którą po długiej pracy wewnętrznej sobie i nam dał w Przedświcie.

2. Umysł przedewszystkiem filozoficzny i polityczny, Krasiński jest więcej myślicielem niż poetą. Jego poezya zajęta politycznemi i społecznemi ideami i kwestyami, wskutek tego często allegoryczna i symboliczna, jest niekiedy do zrozumienia trudną.

3. Jego poezya jest najzupełniej oryginalna, treścią jak forma do żadnej innej nie podobna, niezależna ani od starożytnych ani od Anglików ani od Niemców ani od współczesnych poetów polskich

4. Strona artystyczna i wartość literacka dzieł nie była nigdy dla niego celem, lecz zawsze tylko ta moralna i polityczna prawda, której przez te dzieła chciał dowieść. Wskutek tego jego poezya nie może być tak piękna, jak poezya Greków albo Goethego albo Mickiewicza, ale niemniej musiała w nim być ogromna zdolność poetyczna i potęga wyobraźni, jeżeli pomimo takiego zakresu i takiego charakteru swojej poezyi mógł tworzyć dzieła tak piękne, postacie tak wielkie.

5. Styl Krasińskiego, czasem nienaturalny i napsuszony, ma znowu takie przymioty jędrności, dosadności, mocy i powagi, że może niema w naszym języku wyższego pod względem wielkości i majestatu. Jego słabą stroną jest zbyt częste upodobanie w przyborach i dekoracyach, skłonność do pewnej przesady w pomysłach a napsuszności w stylu.

Pomiędzy ludźmi, którzy w pierwszej połowie naszego wieku oczekiwali oparcia stosunków politycznych Europy na zasadach chrześcijańskich i to uważali za zadanie i przeznaczenie tego wieku, Krasiński był jednym z najwyższych. Jego poezya jest doskonałym i bardzo szlachetnym, a może ze wszystkich najgenialniejszym wyrazem tego kierunku, który się objawiał we wszystkich prawie narodach i literaturach europejskich.

I r y d y o n .

W s t ę p .

Już się ma pod koniec starożytnemu światu. Wszystko, co w nim żyło, psuje się, rozprzega i szaleje. Bogi i ludzie szaleją.

A jako Jowisz pan na niebie, tak Rzym pan na ziemi kona i szaleje. Fatum jedno spokojne, niewzruszone, rozum nieubłagany świata, patrzy z wysoka na wiry ziemi i nieba.

Wśród zamętu wznoszę pieśń, która mi gwałtem z piersi się dobywa. Niechaj duch zniszczenia ku pomocy mi będzie, niech moje natchnienie kręci się i toczy się i rozlega się na wsze strony jako piorun

burzy, która grzmi teraz nad wiekami przeszłości i wszelkie życie strąca do otchłani; a potem niech umiera jako on po dokonaniu dzieła. — Tam nowy świt na wschodzie! Ale mnie już nic do tego.

Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniosłe kroczyły dawniej po twoich siedmiu wzgórzach, o Rzymie? — Gdzie patrycyusze twoi z nożem ofiarnym i włócznią w rękę, z sercem pełnym tajemnic, z chmurą grozy na czole, ojcowie rodzin, ciemniejący plebejanów, ukrócciele Włoch i Kartaginy? Gdzie Westalka wstępująca w milczeniu z ogniem świętym na schody Kapitolu?

Gdzie mówcy twoi, panowie dusz tysięcy, stojący ponad falami ludu, gwarem poszeptów obwiani i burzą poklasków? — Gdzie żołnierze legionów, bezsenni, ogromni, z twarzą spiekłą od słońca, ochładzaną znojem, rozjaśnianą połyskami mieczów? — Wszyscy zniknęli, jedni po drugich — przeszłość ich zagarnęła i jak matka tuli do łona. — Nikt ich nie wydrze przeszłości!

Miasto nich podnoszą się nieznane dotąd kształty, ni piękne jak półbogi ni silne jak olbrzymy tytańskich czasów, ale dziwaczne, migające złotem, z wiankami na czole, z pułkami w dłoni; a wśród kwiecista sztylety, a wśród biesiad trucizny, a w ich tańcach konwulsyjne podrzuty — niby to życie bez granic, wśród pieśni i jęków, ryku hyen i nawoływań gladyatorów. — Śmiech z takiej wiosny, umajonej krwią i woniami spiekłych kadzideł! Śmiech z takiego życia! — Ono przejściem tylko, ono nic nie utworzy, nic nie zostawi po sobie, prócz krzyków kilku i sławy marnego skonania!

Mołoch i Cezar — oto jest Rzym cały!

Izdo, matko wiadomości i milczenia, stopy twoje zbryzgane pianą morza, okryte pyłem długiej podróży, obca mowa brzmi naokoło ciebie i stoisz na *forum Romanum* i dotąd się rozpatrzeć nie możesz, kędy sama jesteś, kędy brzegi Nilu.

Z pagórków Armenii, z nizin Chaldei Mitra też, pan młodości i śmierci, ciągnie ku Rzymowi i już stanął w lochach Kapitolu i nożem ofiarnym potrząsa wśród głuchoj nocy nad trupami ofiar.

W portykach greckich, w słodkim cieniu korynckich filarów barbarzyńskim chodem stąpa syn północy; stanie czasami i na toporze wsparty szuka błękitnymi oczyma, czy gdzie nie spotka Odyna, boga ludów swoich.

Odyn cymbrycki dotąd się nie zjawił — żal mu borów sośnianych i śnieżnej pościeli i szarego nieba i chórów Walhalli. — Ale chwil kilka jeszcze — i on puści się na pielgrzymkę do Rzymu!

Naprzód, bogi i ludzie! Szalejcie do woli — ostatni to szął, ostatnia to gonitwa wasza — a Fatum z was się urąga, krzyż godłem swoim wzięło i wy wszyscy wcześniej czy później padniecie przed krzyżem.

Z tego świata, co się zżyma i kona, wycisnę myśl jedną jeszcze! — w niej będzie miłość moja, choć ona jest córką szaleństwa i zwiastunką zguby!

* Naprzód w szął, naprzód w tan, bogi i ludzie, wokoło myśli mojej — bądźcie muzyką, co przyspiewuje jej marzeniom — burzą, pośród której ona się przedziera jak błyskawica; — bo imię jej nadam i postać nadam i, choć poczęta w Rzymie, dzień, w którym Rzym zginie, nie będzie jej ostatnim. — Ona trwa, dopóki ziemia i ziemskie narody — ale zato w niebie dla niej miejsca nie masz.

Gdzież jesteś, synu zemsty? — W jakiej ziemi leżą zwłoki twoje? Duch twój pomiędzy jakimi duchami?

Ze świata gruzów wywołałem cienie umarłych; w nocy na *forum* stanął senat przede mną — schylone widma, obarczone pamięcią po-
dłości: i między nimi nie było ciebie!

Gładyator powstał z lochów cyrku i szedł na czele swoich przy świetle księżycy; przebici wszyscy, usta sine powtarzały w śnie śmierci: „*Morituri te salutant, Caesar!*“ — ale pomiędzy nimi nie odkryłem ciebie.

Na Palatynie, na wzgórzu ruin i kwiatów, panów świata dla mnie wzruszyły się prochy, płynęli przede mną; dyadema krwią zlutowane trzymało się ich czoła; każdy na czole niżej miał znak potępienia; purpura na ich barkach powiewała, a z za niej świeciły gwiazdy przez otwory wydarte sztyletami zabójców — ale i tam nie ujrzałem ciebie.

Męczenników Chrystusa słyszałem śpiewy i modły. Dźwięki te wlatywały z katakomb i szły prosto ku niebu; był tam głos jeden niewieści, smutniejszy, piękniejszy nad inne — znany tobie kiedyś, ale teraz sam jeden nie związany z twoim.

Gdzież jesteś, synu zemsty, synu pieśni mojej? Już czas zmar-
twychwstać, by deptać po zwłokach olbrzyma.... Pamiętasz — przy-
siągnęś? — Wyrzekniesz się nadziei, wiary, miłości, by raz tylko, raz jeden spojrzeć, a potem zanurzyć się tam, gdzie miliony....

Godzina dobiega — bo kędy miasto wieczne panowało, dziś grób szeroki, rozwarty, napełniony kośćmi i gruzem, opleciony pełzającym

i bluszczem i ludem. — Powstań! — chodź! wzywam cię — ja i straszniejsza potęga jeszcze, od której cię wybawić nie zdołam; ale imię twoje oderwę od ciała twego i ono na zgubę nie pójdzie wraz z tobą!

Zdala ode mnie! Nie dla was te dzikie manowce! W Kampanii rzymskiej zostańcie u stóp Apeninów, towarzysze moi. — Ja pójdę, ja go raz jeszcze chcę ujrzeć przed zgonem, przed śmiercią na wieki!

W tej jaskini, leżącej wśród mroków przepaści, on na marmurowym łożu rozciągnięty, bez oddechu, bez sennych poruszeń, bez żadnego marzenia, czeka na przebudzenie, obiecane, straszne, i na dzień sądu, bliższy dla niego, niż dla reszty świata.

Starożytne próchna świecą naokoło jak oczy sfinksów; wąż z łuską promienistą śpi od wieków przy stopach jego; rysy zasępione, spalone gorączką: sen tak długi chłodu po nich rozlać nie potrafił.

Kształty jego ciała podobne do kształtów greckiego posągu i takich już dzisiaj niema na tej ziemi; nogi białe jak marmur paryjski w czarnych koturnach, złożone na czarnej pościeli. — Stąd i zowąd, pod nimi, nad nimi, mchy i bluszcze się wiją.

Tunika biała na piersiach spoczywa, odłamek lampy w dłoni i miecz rdzą stoczony u boku spoczywa, a druga ręka opuszczona, martwa i palce jej skurczone, jak gdyby zasnął w rozpacz.

On cały zawieszony leży między snem a śmiercią — między ostatnią myślą, którą pomyślał przed wiekami, a tą, która niedługo w nim się obudzi, między potępieniem życia całego a potępieniem wieczności.

Nim powstaniesz, opowiem tve dzieje.

Z części pierwszej.

SCENA 5.

(*Część pałacu Cezarów. — Szczyt wieży otoczony kolumnadą*).

Heliogabal. O ratuj mnie, lub jeśli nie możesz ocalić, nie zwódź, nie udawaj; wyznaj od razu, a ja ciało moje białe przebiję tą złotą klingą. (*Zdejmuje puginał z filaru*). Czy widziałeś kiedy takie szmaragdy?

Irydyon. Skąd boskiemu Cezarowi przyszło dzisiaj myśleć o zawczesnym zgonie?

Heliogabal. Cyt, przyjacielu! Mylisz się, jeśli sądzisz, że Cezar nie zdoła się zabić. A z tego puharu jeśli wypiję elizejskie pola? (*Bierze czarę z trójnoga*). Stu nurków przepadło w morzu, nim jeden tę perłę wy dostał — niezrównana!

Irydyon. Z tej czary pić będziem zdrowie słońca, ale pod innym niebem, wśród innych ludzi.

Heliogabal. Spójrzj mi w oczy. — Czy ty nie kłamiesz? Ach! odwróć oczy! — Bogi w nich szczerym ogniem zapisały, że matka twoja czarownicą była. Przystap bliżej filarów — trzymaj się kraty — mów, co widzisz w dole.

Irydyon. W głębi dziedziniec iskrzy się od drogich kamieni, gdyby jasnolite dno czarnej przepaści!

Heliogabal. Sam, sam wybierałem topazy, beryle i ostre kanty chryzolitów i krwawe onyxy. — Dzień jeden i noc całą brukowali ten podwórzec, a ja nie zasnąłem, nie odszedłem, aż skończyli. Wtedy ich wszystkich stracić kazałem!

Irydyon. Kogo?

Heliogabal. Podłe niewolniki! — Co się pytasz o nich? Oni poprzedzili pana swojego. — Czyż w Rzymie kto powinien wiedzieć, że się Cezar do śmierci gotuje? Było ich stu tylko i chłopiąt dwoje. — Ach! ja nie oddam w ręce ludu śnieżnych członków moich — ja tu głowę moją świętą rozbiję; niech po dyamentach krew moja spływa do Erebu....

Irydyon. Bądź lepszych myśli. — Czyż w odwiecznych walkach między człowiekiem a miastem człowiek nigdy wygrywać nie zdoła?

Heliogabal. Co mówisz!

Irydyon. O losach waszych! Zginęliście jedni od miecza, drudzy od trucizny, inni z rąk własnych, wszyscy wśród hańby i przeżrazenia, zdradzeni przez powierników — przekłęci od nieprzyjaciół. — Dlaczegoż jednym trybem zawsze dźać się mają sprawy ludzkie? Rzym dotychczas knuł spiski, mordował Cezarów — niech Cezar stanie się spiskowym, niech Cezar uderzy na wroga.

Heliogabal. Kto? jak? widzę potęgę na czole twojem, ale jej nie pojmuję.

Irydyon. Czyż te pałace, świątynie, cyrki — czyż ten zamek, trzy razy spalony, z starym bogiem swoim nigdy upaść nie mają? Czy nie słyzałeś o miastach wschodu piękniejszych i ogromniejszych, co niegdyś były cudem dla ludzi, pieszczotą dla bogów — a dziś tumany piasku przechadzają się po nich i na zwalonych arkadach samotne skowyczą hyeny? Czyż Hyeropolima z rojami wściekłych obrońców oparła się wszystko niszcącym losom? a jednak miała Boga samotnego i silnego jak Fatum! Idź i zapytaj się pustyń, z czego powstały! — A te wzgórza, osadzone marmurami i granitem, czyż to nieśmiertelne bogi? Patrz na nie i zrozumiej słowa moje. — Oto

prawdziwy Aleksyan, oto wróg twój mściwy, rozciągnięty u nóg twoich, ale nadymający się dniem i nocą, by obalić ciebie. — Jeśli go nie ubieżysz, biada ci, nieszczęśliwe dziecie, w ramionach olbrzyma: (*Chwyta go za rękę*). Wznieć silną wolę w sobie — ten świat, który ci wskazuję, wyzwij do boju! Stań się, czem kilku było na ziemi: niszczycielem, a te gmachy pijane życiem tysięcy, te wille rozigrane w promieniach słońca, te trofea, te wszystkie pamiątki i rozkosze ludzi, oddamy w spuściznie po ludziach skororpionom i wężom!

Heliogabal. Teraz przejrzałem! Nieraz to samo czułem, pragnąłem. — Ha! jaka chwała dla Mitry, kiedy Jowisz kapitoliniński piasek gryźć będzie! — A czyje ramię podejmie się czynu? kto powstanie na święty zamek i na wieczne miasto?

Irydyon. Syn kapłanki i Amfilocha Greka.

Heliogabal. Czy myślisz, że jaki żołnierz pójdzie za tobą lub za mną w tak ostatecznej chwili? a senatorzy, a rycerze, a lud wreszcie cały! Bój się nieśmiertelnych — co tobie się stało, co ty zamysłaś, Irydyonie?

Irydyon. Z natchnienia bogów Cezara ocalić.

Heliogabal. Strach mnie ogarnia. — Geniusz miasta zwyciężył wszystkich — jażbym się miał targnąć na niego!

Irydyon. Żyj więc w trwodze, dopóki nie skonasz w mękach.

Heliogabal. Dopełnij zlecenia bogów, potężny śmiertelniku — purpurą cię obłoczę — zdejmę sandały z nóg własnych i do twoich je przywiążę, jeno bądź mi ku pomocy, nie opuszczaj mnie, wybaw mnie od śmierci!

Irydyon. Zbawić cię tylko mogę rozpędzeniem senatu, wycięciem pretoryanów i przeniesieniem stolicy!

Heliogabal. Senat rozegnać, to jeszcze potrafię — ale reszty dokonać?

Irydyon. Dawniej Katylinie, późniejszymi laty Neronowi nie brakło na pożarnikach. — Łatwiej rozrzucić w perzynę to, co żyje dzisiaj, niż zbudować w głązy to, co ma żyć jutro. — Zresztą ci, co się zostaną na zgliszczach, zwać się jeszcze będą Rzymianami. — Długo jeszcze kilka pałaców, rozpadłych na chaty, zwać się będzie Rzymem. — Zostawić zgrzybiałym dzieciom to imię drogie — ale siły żywotnej, ale siły pochłaniającej już nie będzie w tych miejscach. Cezarze, w dni wielkiego morderstwa ja sam ludzi ci dostawię i stanę przy boku twoim!

Heliogabal. Skąd — jakich — gdzie oni?

Irydyon. Nie tobie jednemu Rzym wszystkie dni życia powlókł

śmiertelnymi ciemnościami. — A niewolnicy, a gladyatorowie, a barbarzyńcy, a wyznawcy proroka nazareńskiego? Ty na czele, oni w ostatnich szeregach, ale ich i ciebie. zarówno geniusz Romy przeznaczył bolesnemu życiu i haniebnej śmierci! Zbijmy więc ich nędzę w jeden podrzut zemsty, na jedną chwilę tylko — a panowie amfiteatru, a żołnierze pretoryum, nie dotrzymają kroku tyłu zgłodniałym, namiętym i wściekłym!

Heliogabal. Dobrze — dobrze — a potem czyż oni nas samych nie pożrą? gdzie się podzić wśród takiego zgiełku? Kto skróci ich zuchwałość, czem pragnienie krwi zgasimy w ich piersiach?

Irydyon. W pierwszych dniach zemsta i chciwość upiją się krwią i złotem wśród pożaru miasta. Następnie i ramiona i chęci, związane tylko wspólną nienawiścią Rzymu, rozpręgna się i każdy wróci do przesądów wiary swojej lub do zwyczajów swego narodu. — Wtedy już rozdzielonych i osłabłych na wschód pociągniem za sobą, obietnicami lepszej jeszcze rozkoszy. Tam wymrą od skwarów nieznosnego słońca, wymrą od zbytków, na które się rozpaszą obyczajem zwycięzców i dzikich — a reszta rozplynie się i wyschnie wśród ludów, które cię kochają i boga twego wyznają. — Naprzód więc bez trwogi, ale w milczeniu śmierci, inaczej nigdy nie dorwiemy się życia!

Heliogabal. *Io triumphe!* Tyś z Prometeuszem razem chodził po ogień do niebieskich progów. (*Klaszcze w dłonie*). O gdybym nową świątynię zbudował w Emezach — o gdybym żyć mógł wśród wieszczbiarzy moich!

Irydyon. Młode państwo założysz na miejscach, w których wzięłeś życie — wolny od bezsennych nocy, razem arcykapłan i Cezar, podobny starożytnym pół-bogom Nilu, słodkie dni pędzić będziesz wśród dymów aloesu i mirry, wśród tonów cytary i fletu. — Gdzie spojrzysz, tam czołgać się będą niewolniki ciche i stopę wegniesz w ich karki czarne. — Czego zażadasz, stanie się twojem — co każesz pamiętać, zapamiętają — wielkie imiona przeszłości zgasną w obliczu twego — a nie będzie już wtedy senatora lub prawnika, coby marząc o Rzeczypospolitej śmiało przedrzeźniać twoją mitrę chaldejską, natrzasać się z obwisłych rękawów wschodniej szaty twojej!

Heliogabal. Przemierźle Kwiryty! niby ich stara toga, ich fibule, ich tuniki piękniejsze! Mitro, słuchaj mojej przysięgi — obym nigdy do twoich promieni się nie dostał, oby geniusze nocy członki moje rozerwali, jeśli wszystkich bogów Rzymu spętanych w łańcuchy nie rzucę przed twoje ołtarze! — Synu Amfilocha, co radzisz, uważam

za dobre i pożyteczne — przez Baala i Astarota, zburzymy to miasto — radź dalej tylko!

Irydyon. Każ potajemnie skarby twoje wywieść do Emezów. — Zabawiaj lud igrzyskami, pretoryanów hojnymi datkami — a tymczasem ściągaj do miasta żołnierzy z legii windelickich: w miarę jak będą przybywali, ja zapoznam się z nimi — matka nauczyła mnie dzikiej mowy północnych!

Heliogabal. Zapominasz o włoskich legiach stojących w Efezie, w Tarsus, w Pergamie, w Milecie.

Irydyon. Wyślij gońca do pretora Variusa, by je zgromadził i najspieszniejszym pochodem udał się na Partów. — Zajętych nad Kaspją przykremlu utarczki dojdzie wieść o tem, co się stało w Rzymie — wtedy jednych złowi nieprzyjaciół, drudzy się rozsypią, inni przybiegną połączyć się z nami i żyć z łask dworu twojego.

Heliogabal. Bitne to kohorty — pomyśl jeszcze — może niebezpiecznie?

Irydyon. Nie lękaj się nikogo po zniszczeniu Romy. — Bezkarnie deptać można po ciele, z którego wyleciała dusza — a my samą duszę państwa, duszę świata wydrzem i zabijem!

Heliogabal. A gdyby nas Aleksyan uprzedził tymczasem? Zamiejskie pretoryany szemrzą coraz bardziej i piosnki nucą o jego odwadze. — Ulpian senat przyciągnie. — Obudzą mnie w nocy, przetrzną mi gardło...

Irydyon. Ty wprzód wyrzeczysz nad nimi „*Salve aeternum*“ — Tylko Eutylianowi nie zwierzaj się z niczem — przybierz zimną i spokojną postać — odwiedź Aleksyana i Mammę — a kiedy z nimi będziesz rozmawiał, niech słowa słodkimi, niech spojrzenia twoje spokojnymi będą. — Uwierzali czy nie, zawždy to ich wstrzyma na czas jakiś od stanowczego działania.

Heliogabal. Uśmiechnijcie się bogi! Mitro, rozjaśnij zasepione czoło! Bacchusie, pij zdrowie Heliogabala! Dajcie róż i Falernu! — Chodź, najmilszy z ludzi — rozciągniem się na purpurze — pić będziem i chwalić bogów za to, że wróg nasz zginie! (*Skacze mu na piersi*).

Z części czwartej.

SCENA 2.

(*Sala Amfiocha. — Ciało Elsinoi na wzniesionem łożu, w białych szatach, osypane cyprysu gałązkami. — Obok woda lustralna. — Ołtarz po środku sali. — Chór dziewic płaczek. — Pylades. — Wchodzi Irydyon, za nim gladyatorowie i niewolnicy*).

Irydyon. Gdzie Masynissa?

Pylades. Nie widziałem go od chwili, w której i ty po raz ostatni widziałeś go, Panie.

Irydyon. Masynisso!

Chór. Masynisso!

Irydyon. Dwa razy sklepienia odpowiadały za niego. (*Siada pod posągiem ojca*).

Pylades. Starzec zdradził, Panie!

Irydyon. Nie mów tego. (*Twarz zakrywa rękoma*).

On, przyjaciel Amfilocha, on, przed którym groby pękają, kiedy je zaklnie potęgą słowa! — Nie, nie! — on wróci, on nie opuści Sigurda. (*Wstaje*).

Zgromadziłem was w chwili, kiedy znużone kohorty Rzymian odstepują od walki, byście wyrządzili cześć ostatnią zwłokom siostry mojej.

Ona pierwsza padła ofiarą naszej świętej sprawy. Kto mnie poważa, niechaj jej pamięć szanuje; kto nienawidzi Romy, niechaj jej wdzięcznym będzie; kto przysiągł zginąć ze mną, niechaj błogosławi jej ceniom. (*Podnosi kropielnicę cyprysową i rzuca kropel kilka na ciało — wszyscy, jedni po drugich przechodzą i to samo czynią*).

Chór niewiast. Dotąd jeszcze straszny sternik, syn Erebu i Nocy, nie zabrał cię pod czarne żagle; dotąd jeszcze, o Elsinoe, błędzisz z tej strony Styxu. Ale już sztukę złota kładziemy ci w usta, byś okupiła się przewoźnikowi. Ale już mak i miód kładziemy ci w dłonie, byś uspiła Cerbera.

Chwil kilka, a pójdziesz. kędy się wiją roje umarłych jako dymy ciężkie, jako liście jesienne; pójdziesz ku sądowi Radamanta, ku płaczom i jękom. — *Salve aeternum!*

Ale stopy twoje dotkną się tylko płomieni i znikome, białe jak skrzydła, uniosą cię dalej. Zostawisz za sobą miedziane progi Erebu, ognistą, siedm razy w okół Tartaru okręconą rzekę przelecisz i słodkie ujrzysz światło i zielone gaje. Tam spokój cichy i smętny, tam pełna czara zdroju Letejskiego czeka na ciebie, i cienie dziewic, co jako ty zniknęły przed czasem, kwiatów ściętych ocalone liście. — Idź — już sztukę złota kładziemy ci w usta, już miód i mak kładziemy ci w dłonie. *Salve aeternum!* (*Wchodzi Euforyon*).

Irydyon. Co nowego?

Euforyon. Poseł Cezara i konsul o posłuchanie prosi.

Irydyon. Niech go wpuszczą! (*Ulpianus wchodzi -- za nim niosą orły cesarskie*).

Ulpianus. Jako ty niedawno do nas, tak ja dzisiaj, wrogu, do ciebie przychodzę w poselstwie.

Irydyon. Jak wy mnie wtedy, tak ja dzisiaj wam odpowiem: „do broni“!

Ulpianus. Ale jednakowe słowa nie jednakowy skutek wyróżą: nam przyniosły zwycięstwo...

Irydyon: Zwycięstwo! — Czy już zaszedł rydwan na *via sacra*? czy już posąg Fortuny trzyma wieniec nad głową tryumfatora? Czy kto już spędził Alboina z Wiminalu? czy Scypion ustąpił z Awentynu? Ostatniej nocy, powiedz mi, kto kościół Faustyny, kto bazylikę Emiliusa w popioły rozwiął przed waszemi oczyma?

Ulpianus. Widziałem skazanych, którzy szli na śmierć, wrzeszcząc i poklaskując. I wy tak czynicie! Tymczasem Aleksander, jak dziecię swawoląc z pomyslnymi losy, ofiaruje ci pokój i przebaczenie zbrodni...

Irydyon. Może zelżonego majestatu?

Ulpianus. Czy jej nie popełniłeś?

Irydyon. Majestat wasz od wczoraj się poczyną, a zbrodnia moja stara jako serce wolnych — dalej!

Ulpianus. Imperator żąda, abys stolicę opuścił na zawsze i wrócił do Chiary. — Wprzód jednak przysięsz mu na wierność przy dymiących trzewach i co do jednego wydasz współników twoich. — Jeżeli zgodzisz się na te warunki, on, który cię może okuć w łańcuchy i rozbić na krzyżu, poda ci rękę w chwili pożegnania i zapomni...

Irydyon. Głośniej, mężu konsularny! (*Odwraca się do swoich*).

Czy słyszycie, ludzie moi? Cezar wróci mi swoje względy, bylebym was spętanych jak bydłęta rzucił pod różgi liktorów! Cóż mam począć, ludzie moi? Wszak prawda, zdajmy się na łaskę Cezara, wszak miło czołem rozbić się o stopy jego?

Nieśmiertelne bogi! wy, które o nas nie dbając, drzemiecie na wierzchołkach Olimpu, roześmiejcie się przynajmniej w chwili, kiedy syn Mammei hańbę przesyła mi w darze przez usta prawnika swego. (*Wstaje i zbliża się do Ulpiana*).

Prędej skorpion usiądzie jak niewinny motyl na dłoni Cezara, prędej piorun Zeusa prosić się go będzie: „Daj, daj tę chmurę rozedrzeć“, niżli ja broń złożę i wydam braci moich!

Ulpianus. Nie nalegam na ciebie, dopełniam tylko zleceń tego, który mnie przysłał. — Owszem, bądź ślepy do końca i z garstką złoczyńców dni jeszcze kilka zżymaj się na wielkiem łonie Romy; walcz za pamięć i sławę pana, którego obrałeś sobie na ziemi.

A kiedy na czele swoich zasuwac się będziesz w ciemności Tartaru, jeszcze na brzegach Styxu wołaj: „Niech żyje Syryjczyk!“ a trójgłowy Cerber wtórować ci będzie!

Irydyon. Takżeś prawdy doszedł, znawco serc ludzkich? — Robak, co wił się po ziemi, proch, co z koturnów moich zlatywał, dłużej mi się ostały w pamięci niż jego wspomnienie. Zapytaj się ich, czy którykolwiek odpowie, że znał Syryjczyka!

Część chóru. Irydyonowi służyliśmy tylko!

Inni. Sigurdowi tylko!

Ulpianus. A umarła?

Irydyon. Sam ją poświęciłem, ale nie grożbom przemocy, nie obietnicom podłości! Nie obrażaj śpiącej, która się już nigdy nie przebudzi! Ona czystsza była pod technieniem tyrana, niż wszystkie wasze matki i córki!

Ulpianus. Za kogo więc się bijesz i przeciwko komu?

Irydyon. Długie to dzieje, starcze!

Ulpianus. Aleksander Severus łaskawym był zawsze na ciebie.

Irydyon. On też drobną cząstką tylko nienawiści mojej.

Ulpianus. Mów więc, kto wrogiem twoim?

Irydyon. Powiedzcie głuchemu i ślepemu, powiedzcie, o bracia, kto was odpędził od bitej drogi człowieczego rodu i przymusił stąpać ścieżkami ciemności? kto od kolebki wycisnął wam na czołach znamię pragnienia i głodu? kto w latach późniejszych nie dał wam ukochać niewiasty i zasiąść w świetle domowego ogniska?

Chór. Roma!

Irydyon. Kto, sam śmiertelny, w nędzy i poniżeniu śmiertelnych położył najśłodsze nadzieje? kto pochwalił syna Mitrydata, kiedy rękę podniósł na starego ojca? kto zdrajców południa i zdrajców północy zaprosił na festyny swoje? kto czarę niedoli świata wychylił aż do dna?

Chór. Roma!

Irydyon. I nektarem z łez i nektarem z krwi upił się jako bóg piekielny?

Chór. Roma — Roma!

Irydyon. Słyszałeś? wiesz teraz, czem jestem?

Ulpianus. Szaleńcem! To miasto od pierwszych dni swoich żyło uśmiechami bogów; ono było drugim fatum świata. — Czy nie wiesz, że Fortuna jak niewolnica, niosąc ostatki strzaskanego koła, szła za wozem jego tryumfalnym? Czy nie wiesz, że słabi padli twarzą na ziemię, że co było upartych i wściekłych, zniknęło z po-

wierzchni ziemi? A ty się porwałeś, szczupły siłą, mierny zasobami, niedojrzały wiekiem, by zniszczyć boga, którego pioruny grzmia nad urną Hannibala i nad mogiłami Cymbrów!

Stąd widzę miejsce, na którym głowa twoja padnie pod cięciem liktora!

Irydyon. Wprzódę jeszcze pocisk Cymbra utkwi w sercu twojem, topór Cheruska rozetnie pancerz Arystomacha; wprzódę jeszcze Lucyuszowi Tubero niezłomnej obietnicy dotrzymam!

Chór. Wprzódę jeszcze za każdą krzywdę naszą czasę krwi wychylim, a potem, potem przyjdą nasi dziedzice i z podziemnych dolin zagrzewać ich będziem!

Ulpianus. Bezpotomni jesteście, ostatni z rodu waszego. — Tylko szal i kara wasza jeden kamień węgielny przyrzuci tym wzgórzom.

Irydyon. I na nim będzie napis pogrzebowy Romy!

Ulpianus. Słaby śmiertelniku! ty nie przemienisz tego, co mądrze i święcie opatrzyły nieśmiertelne wyroki! I komuż berło oddać miały, jeśli nie miastu wytrwałości i czynów? Może przedajnej Afryce, może rozwiązłej Seleucyi lub igrającej, śpiewającej Helladzie? Nie! tam potęga się urodziła, gdzie lutnia nie brzmiała nigdy, gdzie na czole zamiast wianka myrtu sprzęgały się twardej miedzi blachy, a w duszach mężów nie było rytmu ni swawoli, jedna była wola jako otchłań wrzącej siły i nad nią rozsądku powaga, niezachwianego opieka rozumu!

Irydyon. Słyszeli męczennicy narodów o rozsądku waszym.

Geniusz Romy z tem słowem na czole stanął u progów Attala i skrzydlaty usiadł przy stopach starca, pochlebiał i łudził, aż z pod zgrzybiałej ręki wyrwał zapisy Pergamu!

Z tem słowem na czole podniósł się wśród istmijskich igrzysk, prosił o posłuchanie i chwalił synów Grecyi! Z tem słowem on po wszystkie czasy uwodził słabych i dusze ludzkie zabijał!

A kiedy kto uwierzył jemu, kiedy nieszczęśliwy przystał na pęta i wyrzekł się domu, ojczyzny, sławy za życia i chwały po zgonie, on wtedy śmiejąc się wołał: „Rozsądny jesteś“ i nogą spychał go z Tarpejskiej skały.

Prawdęś wyrzekł! — Nie, nigdy Hellada takim nie spodliła się rozumem! Jej życie nie było rachubą, jej nadzieje nie spoczęły na kłamstwach! Syn Latony zamieszkał w niej i opromienił ją dokoła. Na piersiach Zeusa, w cieniu puklerza Pallady leżało jej czoło upojone myślami, a morze, a lądy wiosenne, stóp jej były zakochanem podnózem! Zemsta, zemsta za nią!

Ulpianus. Pojrzyj na ramiona naszej potęgi. Wśród gromów ich pędu sława Aten, imię Sparty i Koryntu jak brzęki pszczół giną w oddali. One coraz sięgać będą dalej — od wschodu na zachód; one spocząć nie mogą, aż światu całemu stanie się na imię — Roma!

Irydyon. Ach! ty myślisz tę starą otchłań na nowo bluszczem uzielenić po brzegach, by kości ofiar i łupu kościołów i miecze wydarte zdradą, niewidziane spoczywały na dnie! Ty sądzisz, że ród bez czci i ducha przyuczysz do sił straconych i rozeslesz po wieńce laurowe! Ty i Cezar twój błogo marzycie — jak starcy, czekający na dzień odmłodnienia, a dzień ten będzie śmiercią waszą.

Ulpianus. Wodzu pożarników, technienie twoje kała powietrze cnotliwym! Zbrodnia goreje na czole twojem, opuszczonem od bogów! na jego widok stare lata moje się wzdrygnęły!

Irydyon. Ojczy, ojczy! patrz! Rzymianin usłyszał mowę wolnych i oburzył się cały! Konsulu, odpowiedz mi jeszcze! Cóżście uczynili ze światem, od kiedy bogi złego oddały go w wasze ręce? Stoją łuki tryumfalne i bite drogi edylów, na głazach zapisaliście się krwią i potem umierających! — Ach! kiedy ziemia staczała się w wasze objęcia, kołysały się nad nią dumania Platona i skrzydła Kartaginy lśniły się od Gadesu po *ultima Thule*! A teraz co? Odpowiedz mi, konsulu! W lochach Nazarenów słabowite westchnienia — tu i ówdzie stoików obłąkane cienie i kilka słów Aureliusza wśród żałobnego jęku boleści! Gdzie bujniej od dnia klęski naszej porosły oliwne gałązki? Gdzie pieszczoną pieśnią, gdzie nauką mądrości ukoiły przodki twoje żale podbitych?

O wiem! August zawarł podwoje Janusa! — O zmierzchu życia grały mu lutnie przedajnymi struny! Wtedy milczące pustynie, grodów na piasek rozemlone gruzy on nazwał ciszą swoją, i na mogiłach plemion rzekliście wszyscy: „Pokój synom ludzkim!“.

Ulpianus. Jako ojciec rodziny dzieci, jako patrycyusz plebejów, jako pan niewolników, tak my Kwiryty prowincye dostali w podziale. — Żelazem zdobyliśmy ziemię i prawo żelaza nad nią zawieszane trzymamy!

Irydyon. Bogdajbyście łatwowiernych nigdy nie byli zwodzili tem słowem. — Odwróć się ku bitnym legiom rzeczypospolitej — czy widzisz, jak pierzchają przed słoniami Pyrrhusa, jak korzą się pod widłami Samnitów, jak żniwem kładą się na brzegach Trazymenu, jak w hiszpańskich wawozach wołają miłosierdzia i wody, jak w lasach hercyńskich zbladłe kłękają pod nożem ofiary? — Nie lotnym gromem Aleksandra, nie krótkim mieczem waszym, ale czarą trucizny,

ale garścią złota, ale krzywemi przysięgi. ale pobratymstwem zdrajców dopełzaliście się potęgi! — I orzeł Romy wylągl się na bagnach, nie na szczytach gór!

Ulpianus. Darmo wołasz, bluźnierco: Niewzruszona opoka, na której zgrzytasz, nie słyszy ciebie!

Odrzuciłeś więc miłosierdzie pana twego?

Irydyon. Kto panem moim? na ziemi nie znałem go. — Za stosem jak stada drapieżnych ptaków krążą geniusze śmierci — oni mi powiedzą, czyj poddany jestem! — Ale tu miałem wrogów tylko i braci kilku, co mi wiernie służyli — i jedną chwilę boską, krótką jak szczęk mieczów, co prysną od razu, ale świętą, świętą na wieki!

Nikt z was jej nie podzielił, towarzysze! Ona mną, ja nią byłem cały; pochodnia zemsty gorzała w tych ręku. Miasto poświęcone u stóp moich leżało, tuląc się coraz ciszej pod zawoje nocy. Ach! Nemesis. (*Opiera się na posągu Amfilocha*).

Ulpianus. Zbladłeś!

Irydyon. Całej krwi waszej zabrakło licom moim.

Ulpianus. Wróżbą ostrzegły cię bogi. — Ja raz ostatni z urzędu mojego przypominam ci, że wyrok zapada nad tobą; czas jeszcze przebłagać Cezara — Roma przebacza pokornym!

Irydyon. Takążes naukę z słów moich wyciągnął? Nie odchodź, zatrzymaj się jeszcze!

Euforyon, podaj mi poświęconą czarę!

Amfilochu, śnieżną pianę lesbijską wylewam na stopy twoje; przyjm pierwiosnki zgonu mojego! — Pijcie teraz, bracia, jak męże Leonidasa przed śmiertelnym świtem! Pijcie i bądźcie wolni od złej myśli! (*Zbliża się do ołtarza, palącego się między posągiem a ciałem*).

Znak opiekuńczy państwa, błogosławiony wróżbą augurów i wstalek pieniem, znak od senatu powierzony Cezarowi, tobie, ojczy, poświęcam i tobie, Hellado, matko!

Ulpianus. Nie dopuście zbrodni! wstrzymajcie świętokradcę! — Jeśli jest tu jaki obywatel rzymski, niech głosu mojego usłucha! życie wam darowane będzie, przysięgam na Statora i Kwiryna! Stój, zuchwalcze! W tym pierścieniu zapisane imię tajemnicze Romy!

Irydyon. Słyszeliście, bracia! (*Rzuca pierścień do zgłiszcz*).

Chór. Euge! Euge! Rzymianin togę zarzucił na lica, pierś jego wzdęła się żalem i nie śmie spojrzeć na oblicza nasze!

Irydyon. Nim usta moje zawrą się na wieki, ostatnią wolę moją opowiedzieć chcę. — Słuchajcie mnie i przeklinajcie miasto!

Chór. Patrzcis odbłyśk-li to żaru, czy promień zesłany od bogów tak wspaniale osrebrzył mu lica?

Irydyon. Biada zwycięzcom! — Jako nas chcieli spodlić, tak im podłość narzucona będzie; i dziecię urodzone w Rzymie, i starzec konający w Rzymie, i mąż dojrzały — jedno miano będą nosili: — niewolnik!

Chór. Niewolnik!

Irydyon. O, fatum przedwieczne! Z nad głowy bogów wtedy ty podniesiesz stopy i zejdziesz ku dolnym przestworom i niżej jeszcze ku siedmiu wzgórzom i będziesz jęzłą ich skonu — by one, co wszystko zniszczyły, umierały w obliczu tego, który wszystko stworzył.

Chór. Ród ich przepadnie, język ich niech zatracon będzie!

Irydyon. Ale niech sława o nich żyje w późne wieki; niech powieść o ucisku będzie ich nagrobkiem; niech go ludzie potomni czytają i przeklinają po wszystkie dni swoje aż do końca świata!

Chór. Świata.

Irydyon. Przeszedł czas modlitwy, zgasł płomień ołtarza i skonał bóg Romy! Konsulu, możesz podnieść oczy.

Ulpianus. Złamałeś ustawy ludzi i znieważyłś obrzędy święte. Obyczajem przodków wyjmuję cię z pod opieki prawa, zabraniam ci udziału ognia i wody! Za głowę twoją obiecuję wolność niewolnikowi, wolnemu posąg przy rostrach i miejsce obok konsulów w cyrku.

Bezbożni, czekam na was u progów Mamertyńskiego więzienia. — Skazani, czekam na was u stóp Tarpejskiej skały!

Irydyon. Nikt z nich ręki nie podniesie na mnie. — Idź, starcze, gniew siwej nie przystoi głowie. (*Ulpianus wychodzi*).

Stos twój już gotowy, siostró! Nieście ją i *ultimum vale* powtarzajcie za mną!

Z e p i l o g u.

(Masynissa wprowadza obudzonego Irydyona do Rzymu).

. . . . Bramą Tytusa pękniętą, zlepioną jak ogromna rana, przeszli znów na jasne miejsca, puste i stroskane. — Tu wydało się temu, który zmartwychwstał, że Kolizeum dotąd stoi całe; ale starzec głośniej jeszcze się rozśmiał i wziął go za rękę.

Na milczącej arenie, na piasku srebrnym, wśród arkad przemienionych w dzikie skały, z bluszczami u wierzchołków, z szczelinami w łonie, tyś podziękował losom za spodloną Romę.

Tu miał być koniec pielgrzymki twojej — stąd miałś pójść, kędy miliony.

I wszystko, coś widział niegdyś — wszystko, czego częścią bywałeś, wróciło ci na pamięć — tam był tron Cezarów. — Ozwały się w myśli twojej trąby, piszczałki, poklaski, przekleństwa. — Słońca tylko niema, niema purpurowej obłony, co powiewała na wierzchołkach cyrku. — Księżyc blade świeci nad tłumem wskrzeszonych, przechodzących. niktających.

Z nich wszystkich został się głos hymnu słyszanego niegdyś. To niegdyś, było wczoraj. — Tu, wczoraj skonali Nazareńczycy. Ich twarze były pogodne jak wieczór letni. I otóż na miejscu, na którym padli, krzyż czarny stoi dzisiaj, drewniany, cichy, na środku areny. Od jego spokojnych cieniów odwrócił przewodnik ponure oblicze.

Ale w tobie dziwne uczucie się budzi — nie litość nad Romą — bo jej żałoba ledwo za jej zbrodnie staje; nie strach obranego losu — ty zanadto cierpiałeś, byś mógł się lękać; nie żal matki ziemi — boś miłości życia wśród snu wiekiustego zapomniał: — ale jakieś wspomnienie twarzy dziewiczej, jakiś smutek nad tym krzyżem, którym dawniej pogardziłeś, boś go daremnie chciał zaostrzyć w żelazca!

Ale teraz zdało ci się, że walki z nim nie chcesz; i zdało ci się, że on znużony jako ty — oplakany jak losy Hellady niegdyś; i zdało ci się w promieniach księżyca, że on świętym na zawsze!

Jednak nie uchylisz się od przyrzeczonej wiary, wstaniesz i pójdziesz ku starcowi pustyni. — On się wzdrygnął, on przeniknął duszę twoją — i kołem ramion ogromnych, posępnych, otaczając ciebie, odrywa cię krok za krokiem od zbawienia znaku. — Ty stąpasz za nim zwolna jak ojciec twój w dniu śmierci!

I piękny, gibki, z tuniką czarną, z koturnem argijskim stanąłeś i, ku niebu wyteżając ręce, byłeś wśród gruzów jako dźwięk szybki, ogromny, co połączy tysiąc innych zbląkanych. — Koryneckich festonów szczątki westchnęły za tobą!

„Synu! czas! wypileś napój, który ci wieki sączyły do czary, i kropli nie zostało. — Synu! czas! zorza niedaleka — nam ubiedz długą drogę trzeba.“

Jęki słychać z pod ziemi, tam męczenników dosypiają kości; jęki słychać w powietrzu, tam ulatują duchy Chrystusa: ale od szczytów amfiteatru, ponad te dźwięki żałobne, zabrzmiał głos pełen chwały!

Tam postać bieleje przejrzystą jasnością — tam zebrały się wszystkie miłości księżyca i jak wstęgi powiewne to skupiają się, to rozpuszczają się w promienie około anielskich, cichych, zawartych skrzydeł dwojga!

Ty ku temu słodkiemu licu podniosłeś oczy, poznałeś dawne kształty, ale wyświeżone rosą, wyjaśnione tchnieniem niebios; i spoglądałeś na nie jak ten, co się żegna z pięknością na wieki!

Głos wzywał starca napowrót przed stopnie krzyża, na sąd nierozstrzygniony jeszcze. On pod hymnem anioła opuścił śniade skronie i wrócił do bram cyrku. Zgrzytał i rwał ci ręce i wołał: „Potępiony, potępiony! kto mi wydrze jego?”

Tu u stóp, męki Pańskiej, kiedy do zorzy blisko już było, kiedy miesiąc zapadł niżej amfiteatru, kiedy cała arena świeciła połyskami bijącymi od skrzydeł, brzmiała muzyką niewidzialnego chóru — zaczął się spór ostatni, wyroczny wokoło twojej poświęconej głowy!

A ty powyżej kusiciela, poniżej anioła, stoisz na stopniach krzyża; trwogi nie ma na czole twojem ni modlitwy na ustach — jesteś, jako byłeś zawsze, samotny na świecie!

On, wparłszy stopy w kipiący piasek, głowę schyliwszy na spalone piersi, dopomina się o prawa swoje: „Wrogu nieśmiertelny! on moim, on żył w zemście, on nienawidził Romy“. Lecz Anioł, rozwiązując tęczę skrzydeł, potrząsając złocistymi puklami: „O Panie! on jest moim, bo on kochał Grecję“.

I od walki potęg zamgliło się powietrze. Uczułeś powtórne konanie. — Życie twoje stało się całe oczekiwaniem i rozdarciem, ogień piekieł palił ci stopy, blaski niebieskie raziły ci oczy, tłumy rwały cię na dół i drugie tłumy ciągnęły cię w górę. Wtedy nadzieja Boska wszczęła się w sercu twojem i zemdląła i znów się obudziła jak iskra i znów zagasła — i stało się czarno — pusto — głucho jak w nicości; bolesno — gorzko — nieznośnie jak w rozpacz; i słabo — nikiemnie jak w hańbie.

O godzino, przeznaczona każdemu z żyjących, oddal się od myśli mojej!

Ojczy niebieski! ty raz tylko jeden w wieczności, raz syna własnego opuściłeś, by odtąd już nie opuszczać żadnego z dzieci twoich. Nie! żadne dzieło twoje nie pójdzie w rozsypkę na wieki!

Powstań, o synu Grecyi! Patrz! wróg dłońmi zakrył lica i gmach starożytnych ludzi wstrząsł się od próżnych jego wysień; w mgłę zarannej coraz posępniej mdleją kształty jego. On kona, głowę oparłszy o bramę cyrku; głos jego już teraz, jak szum wód dalekich. Świadectwem Kornelli, modlitwą Kornelli ty zbawion jesteś, boś ty kochał Grecję!

Z Psalmu Dobrej woli.

- Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie!
 Żywot najczystszy — a więc godzien krzyża;
 I krzyż — lecz taki, co do gwiazd twych zbliża, —
 Najwyższe dałeś w czasie powołanie;
 Tchem dzieje świata Tyś przegiał jak kłosy, 5
 Do pełniejszego dla nas wszędzie żniwa!
 Ziemiś nam ujął, a spuścił niebiosy
 I serce Twoje nas zewsząd przykrywa
 Lecz wolną wolę musiałeś zostawić,
 Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić: 10
 Boś tak ugodnił wysoko człowieka,
 I naród każdy, że twój zamiśl czeka
 Zawieszon w górze, aż własnym obiorem
 Człowiek lub naród jego pójdzie torem.
 Teraz, gdy rozgrzmiął się już sąd Twój w niebie, 15
 Ponad lat zbiegłych rozgrzmiął tysiącami,
 Daj nam o! Panie, świętymi czynami,
 Śród sądu tego, samych wskrzesić siebie!
-
 Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
 Przykład nieszczęsnej Twej Hierozolimy, 20
 W której tak długo było Tve kochanie,
 Aż się rozwiała w perzyny i dymy,
 Rozdarta w sobie — a zemstą do końca
 Przeciw ludzkości całej szalejąca!
 I ona kiedyś być miała królową 25
 Pogańskim katom, świecąca w koronie!
 Lecz że wciąż śniła o tych katów zgonie,
 A dość Twych iskier nie miała w swem łonie,
 By nad nich podnieść się życiem na nowo,
 Odkrólewszczona — i stała się wdową — 30
 I dotąd płacze na twojego Syna
 Za to, że plemion toporem nie ścina,
 Jedno krzyż wzięwszy w zmartwychwstałe dłonie
 Światy obala — gdzie tym krzyżem wionie!
 Teraz gdy rozgrzmiął się już sąd Twój w niebie 35
 Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
 Daj nam, o Panie, świętymi czynami,
 Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!
-
 Nie drugich śmiercią — lecz własną bezpłodnie
 Kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie! 40
 Żadna z nich żadnych niema przywilei, —
 Król czy gmin jaki dopuści się zdrady
 Słowu Twojemu — przepada z kolei!
 Aniołów nawet przepadły miriady!

Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie, 45
 Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
 Daj nam o! Panie, świętymi czynami,
 - Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

.....
 Błagamy Ciebie, Ojczy, Synu, Duchu,
 Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze, 50
 Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże,
 A światu męscy — my, co się nie boim
 Od wieków walczyć przeciw wrogom Twoim,
 Błagamy Ciebie razem z naszą Panią,
 Co za nas Twego doprasza się słuchu, 55
 My, zawieszani pomiędzy otchłanią
 A Twem królestwem, Ojczy, Synu, Duchu!
 Błagamy Ciebie, z wrytem w ziemię czołem,
 Skronią już w wiosen Twych kapani dmuchu,
 Czasów pryśniętych otoczeni kołem 60
 I państw ginących — Ojczy, Synu, Duchu!
 Błagamy Ciebie — stwórz w nas serce czyste,
 Odnów w nas zmysły, z dusz wyleń kłakole
 Żłud świętokradzkich i daj wiekuiste
 Śród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę! 65

Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
 Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
 Daj nam, o Panie, świętymi czynami
 Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

Do Kajetana Koźmiana.

Czemu Mistrzowi masz siwiznę,
 Stokroć młodszą mej młodości?
 Boś za młodu miał ojczyznę,
 A ja tylko proch jej kości.

Czemu Mistrzowi dotąd tleje,
 Żar ci w piersiach niezrównany?
 Boś za młodu znał nadzieje,
 A ja tylko zwątpień rany.

Z grubus nieraz wyjrzał w górę,
 Czuł już dreszcze zmartwychwstania; 10
 Jam wciąż patrzył tylko w chmurę,
 Która Boga mi przysłania.

Młodość Mistrzowi jest rzeźbiarką,
 Co wykuwa żywot cały,
 Choć przemienie sama szparko,
 Cios jej dłuta wiecznotrwały. 15

*Wrasimil
 Kalcibrowal
 a Kajetana
 zychowal*

Więc już zwiądnę — gdyś Ty dzielny!
 Gdyś żyw jeszcze, mrę nikczemnie,
 I nie będę nieśmiertelny!
 Ach szczęśliwszysy Ty odemnie.

20

Hieronim Kajsiewicz.

Urodził się w Augustowskim w roku 1812. Do szkół chodził w Sejnach, do uniwersytetu w Warszawie. W powstaniu ranny (szrama przez oko i całą twarz została mu na całe życie), wzięty do niewoli, odbity pod Puławami, po skończonej wojnie poszedł na emigrację. Tu „politykował“ (jak się sam w pamiętniku wyraża), należał do klubów i pisał wiersze. Z jego późniejszych uczuć i przekonań nie znać w tych wierszach ani śladu, owszem zupełnie ich przeciwieństwo.

W roku 1835, jak sam mówi, uczył w sobie powołanie kapłańskie. W tych latach właśnie skupiali się około Mickiewicza wszyscy, którzy przejęci byli katolickimi uczuciami i dążnościami w emigracyi, i mówiono wiele o potrzebie polskiego zakonu, ale nikt w tem gronie duchownego powołania nie miał. Uczucia religijne wszakże rozbudził w Kajsiewiczu Mickiewicz, i jemu pierwszemu zwierzył się Kajsiewicz ze swoim postanowieniem. Takiesamo powziął równocześnie młodszy od niego o lat dwa Piotr Semenenko. W rok później zaczęli chodzić na teologię.

Uznano wszakże i oni sami rozumieli, że powinni odbywać nauki w Rzymie, świadczyć tam o katolickich uczuciach Polski, a w potrzebie dawać wiadomości o jej stanie. Poselstwo rosyjskie otwarcie i skrycie stawiało tysiączne przeszkody przyjęciu ich do któregokolwiek zakładu, niedostatek znosili wielki; wszelako zdołali wszystko przezwyciężyć i wytrzymać, i w roku 1841 otrzymali święcenia kapłańskie. W dzień Wielkiej Nocy 1842 zawiązali się w zgromadzenie zakonne, a od tego dnia nazwali się zgromadzeniem Zmartwychwstania Pańskiego.

Zaraz potem okazała się potrzeba walki z wielkiem religijąem niebezpieczeństwem, z nauką Towiańskiego. Książd Kajsiewicz, wysłany do Paryża, próbował z prawa dawnej przyjaźni otrzeźwić Mickiewicza, ale na próżno. Żeby zaś innych łatwiej w wierze utrzymał, wyrobił z pomocą hr. Montalemberta pozwolenie na osobne nabożeństwa dla Polaków i na tych (nie wiedząc jeszcze o swojej zdolności kaznodziejskiej) zaczął kazać. Pierwsze jego kazanie (i jedno z najpiękniejszych) o Rządach Opatrzności, było odpowiedzią na to samo pytanie, które słyszy się ciągle w naszej poezyi: jak pogodzić zwycięstwo złego ze sprawiedliwością Boską. Tylko on odpowiada na pytanie inaczej niż poeci i przypomina tyle polskich grzechów i zaniedbań, że kara po nich nastąpić musiała, a zwyciężenie złego w sobie musi być warunkiem i początkiem wszelkiego zwycięstwa. Po tem kazaniu nastąpił szereg innych, o walce i żołnierstwie duchowem, o wytrwałości, o cierpliwości, itd. — wszystkie polityczne, jeżeli się można tak

wyrazić, odnoszące się do naszego stanu i położenia, i najpiękniejsze może ze wszystkich, o Pokucie.

Towianizm przestał się szerzyć, służba duchowna polska w Paryżu była urządzona i zapewniona, ksiądz Kajsiewicz odbył misye po różnych miastach francuskich, gdzie było więcej Polaków, a potem wrócił do Rzymu. Trafił tu właśnie na chwilę, kiedy niespodzianie zapowiedział swój przyjazd cesarz Mikołaj (1845). Dostarczywszy wszystkich szczegółów o ostatnich przesładowaniach religijnych, podał ks. Kajsiewicz Grzegorzowi XVI memoriał z wyliczeniem tych praw i swobód, które się kościołowi polskiemu należą, i tych, które jako minimum są mu do życia konieczne. Memoriał ten nie był bez wpływu na stanowisko, jakie względem cesarza zajął Grzegorz XVI i jego sekretarz stanu. Wkrótce potem umarł Grzegorz XVI (1846), a Pius IX otoczył młode zgromadzenie szczególną łaską i opieką. Gdy w r. 1848 Kajsiewicz, wezwany do Poznania przez arcyb. Przyłuskiego, dla zaburzeń dostać się tam nie mógł, przyjechał do Krakowa, gdzie przez kilka miesięcy bawił, często kazał, odbywał konferencye dla księży, zawiązywał bractwa, założył pismo Tygodnik kościelny. Gdy wojska rosyjskie, idące na wojnę węgierską, zbliżały się do Krakowa, przestrzeżony, że będzie uwięziony i wywieziony, wyjechał do Paryża.

Zgromadzenie rozwijało się szczęśliwie (w Bułgarii i w Ameryce), pracy przybywało ciągle. Został w r. 1855 jego generałem, odbył ksiądz Kajsiewicz dwukrotnie podróż do Kanady, Stanów Zjednoczonych i Brazylii, dla zwiedzenia tych domów i zakładania nowych. Starał się także o pozwolenie zakładania domów w Galicyi. Trudności były znaczne. Kilka razy przyjeżdżał w tym celu (i sprawę znacznie posunął), raz ostatni na krótko przed śmiercią. Umarł nagle, w Rzymie, 26 marca 1873.

Oprócz kazań zostawił wiele innych pism treści duchownej, Pamiętnik swego zgromadzenia, i Listy ze swoich podróży do Ameryki.

Ksiądz Kajsiewicz jest postacią znacząca w naszej historii przez to, że jest skutkiem i dowodem, ale zarazem dalszą przyczyną odrodzenia się ducha katolickiego w Polsce.

W literaturze zaś ma on to znaczenie i stanowisko, że jest największym kaznodzieją polskim naszego wieku, a od dwóch wieków przeszło pierwszym prawdziwie wielkim. Jest co do formy jednym z najwyższych, najdoskonalszych w tym wieku prozaików i stylistów polskich.

Jako kaznodzieja ma on dar i siłę wymowy w stopniu bardzo rzadkim, wyjątkowym. Ta właściwość czyniła go szczególnie zdolnym i usposobionym do tego rodzaju kaznodziejstwa, który możnaby nazwać specyficznym polskim, bo nigdzie nie spotyka się go w tej mierze i w tej świetności, do kaznodziejstwa politycznego. Skarga pierwszy mówi o obowiązkach i grzechach obywatelskich przeciw ojczyźnie, jako o obowiązkach i grzechach religijnych przeciw Bogu i chrześcijańskiemu sumieniu. W jego ślady wstępuje Birkowski, Starowolski, Młodzianowski. Potem urywa się ta tradycja: w czasach narodowego upadku niema takich kaznodziejów ani takiego rodzaju kaznodziejstwa. Podejmuje tradycję w półtrzecia wieku po Skardze Kajsiewicz, w czasach nierównie nieszczęśliwszych niż czasy Skargi, a podejmuje z takim ogniem, z taką potęgą Bożego i pol-

skiego ducha, że w całej historii naszej wymowy, naszego piśmiennictwa, naszego kościoła i narodu, nikt nie jest Skargi tak blizkim jak on. Pierwszy po Skardze w rządzie naszych religijnych mowców, podobnym jest do niego Kajsiewicz, i przez to, że połączył w sobie doskonale miłość i służbę Boga i ojczyzny: a obiedwie były w nim tak wysokie, że dorównać mu w nich bardzo trudno.

Z Kazania o pokucie.

(29 listopada r. 1842).

... Uczynię z wami, o bracia, rachunek sumienia narodowego, spowiedź niejako publiczną. Chwalić was nie będę; bo i obcy nas i samiśmy się już dosyć, bodaj nadto może nachwalili, a najczęściej kosztem innych niestety! nieraz odsłaniając przed obcymi domowe nędze nasze. Niech się chwali i weseli, kto może; ja nie widzę z czego. Po chwilach przelotnej i wątpliwej chwały, długie oto lata cierpienia i niesławy; widzę przyszłość zasunioną gęstymi i krwi pełnymi obłoki. Jawne, sterczące grzechy narodu, dotychczas niepoprawione, leżą mi w oczy i serce bodą. Na nie się tedy obracam, na nie, źródło i powód trwania wszystkich nieszczęść naszych; nie sfolguję im, jakiegokolwiek i gdziekolwiek są, otworzę w goryczy usta moje; ja proch i pył kościelny, je dzieciuch Pański, grzeszny i ostatni służka w domu Jego, przeciw mówić będę. Oddawna się już zbierałem na tę wyprawę, i dotychczas serca mi nie stało. O! nie tak to łatwo grzesznemu wytykać grzechy innych; nie tak to łatwo gromić z miłości i żalu, jak z pychy i nienawiści. Miłościwy niech mi Pan będzie w dzień sądu mojego, Jemu samemu polecam pocieszenie dusz pokutujących, a pójdę ściagać zbłąkanych rozprószeńców z domu Izraela; do nich mam sprawę, na nich wołam: Czyńcie owoce godne pokuty, bo już siekiera jest przyłożona do korzenia.

Panie mój; jeżeli Cię kiedy prosił, abyś kierował memi usty, tedyć goręcej proszę dnia tego i godziny, racz sprawiać słowa moje i serca tych miłych braci, aby rany, który im zadać mogę, za wdzięcznem a wonnem namaszczeniem Twojej łaski, stały się im ku zbawieniu. O co cię błagam, za przyczyną świętej a boleściwej Matki Twojej!

Kiedy naród jaki, opatrzony we wszystkie warunki fizyczne, potrzebne do istnienia, i mający za sobą długowieczne doświadczenie, upada, najracjonalniej każdy wniesie: więc musi być w tym narodzie zaród złego, który osłabił lub wytrawił siłę jego żywotną. Ślizga się

bowiem po powierzchni, kto się czepia okoliczności zewnętrznych i na nie wszystko spędza. Cóż dopiero, jeżeli spojrzymy ze stanowiska wiary i Opatrzności! jak wkorzone i uparte być musi zepsucie w narodzie katolickim, gdy go Bóg w gniewie swoim podawał w ręce ludów niekatolickich. Przepowiadał wam to wielki Skarga, przepowiadali inni ludzie z ramienia Bożego. Długo grozili, dziś już grozić nie trzeba, już się groźby spełniły... zostaje jedynie obawa ostatecznej niepokuty, ostatecznego opuszczenia ze strony Bożej. Aby od pierwszego was odwieść, a od drugiego ochronić, jeszcze wołamy na was: Pokutujcie, bo siekiera do korzenia jest przyłożona.

Kiedy choroba jest wewnętrzna, tedy i leki powinny być wewnętrzne; czego dotychczas nie chcieliście zrozumieć i jeszcze nie chcecie. Zawszeście chcieli siłą i przebojem wydobyć się z pod chłosty, nie usuwając jej przyczyn; a przeto wciąż idziecie przeciw woli Opatrzności i zdwajacie wasze cierpienia. Naród, jak człowiek, jest wprawdzie wolny; ale jeżeli nie wczas lub źle użyje swej woli, grzeszy i cierpi karę, aż póki użycie onej nie spotka się z chwilą łaski i wyroków Bożych... Naród nie jeden człowiek; naród podbity, długi stanowi szereg więźniów przykowanych do siebie jednym łańcuchem. Wszelki wysiłek, wszelkie poruszenie nieużyteczne, okropny, bolesny jęk wyrwie z piersi wszystkich współtowarzyszy. Tak człowiek, jak naród, nie tworzą wypadków. W ich odgadnięciu, w ich dobrem użyciu, leży zasługa i mądrość; a do tego trzeba czystego bardzo sumienia, wyrzeczenia się siebie, szukania większej chwały Bożej i pożytku bliźnich. Wolność, nadużycie wolności czyli grzech, i podnoszenie się z grzechu przez pokutę i zadośćuczynienie, oto treść dziejów tak ludzi jak narodów. Nie rozumieją lub nie chcą tego rozumieć drażkowi politycy i dlatego tak krótko widzą; nie rozumieją palca Bożego w kierowaniu narodami i dlatego tyle błędów i tyle cierpienia.

Dlatego i powstanie listopadowe, pomimo tylu najczystszych pojedynczych poświęceń, nie miało za sobą błogosławieństwa Bożego. Nie sił fizycznych, ale siły moralnej zabrakło. Ale Bóg i złe umie na dobre obrócić. Nie wiedząc, co czynicie, odśpiewaliście nieszpory do św. Andrzeja. Czas i dni wielkich wypadków nie są bez znaczenia. Św. Andrzej, pierwowzaniec Chrystusowy, jest Apostołem Słowian i rzecznikiem ich przyrodzonym w niebie. Od dziesięciu wieków prawie straszny dualizm religijny dzieli kraje słowiańskie, a Polska i Moskwa jej wyobrazicielki i zapaśnice. Od dawna już Polska zaniechała swego powołania, jednoczenia odszczepieńców do całości

kościelnej; Bóg dopuścił, iż nacisk zaczepny schizmy wraca nas koniecz-
nie na stanowisko historyczne; bez tego bylibyśmy je ostatecznie
opuścili, a błędzieli po zużytych ścieżkach obcego zachodniego libera-
lizmu. Propaganda schizmatycka na szerszej dziś niż kiedykolwiek
postawiła się stopie; wywiera się na północną i wschodnią Europę,
mniejszą i środkową Azyę, Abissynię i Egipt, Sycylię i Korsykę samą.
Naród nasz pierwsze miejsce ma w tej walce, świat cały zajmującej.
Oby tylko wytrzymał, oby zrozumiał, że się wielka rzecz zaczęła!
Myśleliście wyłącznie o stronie politycznej waszej sprawy, Bóg ją
teraz obrócił na stronę religijną; a człowiek nie jest panem klasę
zadania w ludzkości, musi je przyjąć jak położone. Małostie i złe
chcieli; Bóg może i zdaje się chcieć dać wam więcej, choć inaczej,
abyście mu tylko byli wierni. Broniąc religii, nic nie tracicie, możecie
zyskać tylko.

Religia katolicka, bracia moi! była i jest podstawą całego życia
umysłowego, moralnego i historycznego Polski. Powiecie, że i innych
narodów katolickich; prawda, ale na jednym tle wymalowane różne
młode narodowości europejskie, odmienną przyjęły barwę i kształty.
Życie Polski tem wyłącznie spoczywa w katolicyzmie, iż on jeden
był spójnią tego kruchego ciała, w którym indywidualność zawsze
przemagała, a poza rodzinę nie wychodziła. On zastępował tę sklej-
ność i organiczne instynkta, których zarówno z innymi ludami nie
posiadamy; on zastępował ten zbiorowy rozum narodu publiczny,
który, nigdy weń niebogaci, dziś z osłabieniem wiary zupełniemy
zatracili. Katolicyzm przy tak odrębnem naszym urządzeniu spo-
łecznem, wiązał nas jedynie z resztą zachodniego świata i przyniósł
nam to wychowanie, co nas czyni wyższymi nad wszystkie inne ludy
tegoż plemienia. Bo jeżeli wszędzie i zawsze wielkie myśli z serca
płyną, tedy najbardziej u nas pobożność, zapal płynący z wiary za-
stępował wszystkie niedostatki rządu i rozumu. Narodowość więc
nasza jest jak obraz na murze malowany, weń wpity, wrośnięty. Do-
póki mur cały, jakkolwiekby obraz uszkodzony, wszystko da się
naprawić; ale skoro się mur obali, a dziś już jest podważony,
wszystkie wasze teorye, cały patriotyzm nie zbawi narodu: Polska
przestanie być Polską. A gwałtem chcecie bronić samego obrazu, co
niepodobna: a co najgłówniejszego, bierzecie zawsze za podrzędne.

Wielki Boże! jak dziw potem, że kiedy w tyłu krajach religia
wzrasta, u nas upada. Jaki dziw, że Bóg dopuszcza klęsk i przesła-
dowania. Co Bogu i co ludziom po takich katolikach i po takim
katolicyzmie? Widzimy ich za granicą w tych okropnych czasach,

żyjących z dnia na dzień jak ofiary pod nóż rzeźniczy, nie chcących nawet myśleć o swem położeniu, bawiących się, jak gdyby Sas u nas, tu Ludwik XV panował. I Sasa niema, niema od dawna, a Polska jeszcze nie wytrzeźwiała. Miał Polak zostać mądrym po szkodzie, a tu mniej mądry jeszcze! Widzimy tyle młodzieży zarozumiałej i płochej, ze czczem sercem i umysłem, goniącej za zbytkiem a rozkoszami; widzimy rozstławiających imię Polski za kulisami teatrów, po domach gry i gorzej jeszcze, stawających przed sądem, idących do więzienia nie za wiarę ani za ojczyznę... ale za długi. Jakże wytrzymają tak ciężkie próby! Mówiliśmy o kościele unickim, zostawił trochę nasienia, krwi męczeńskiej, obudził on sumienie dzieci swoich przed kilkudziesięciu laty w podobny sposób nawróconych, nie przystał na schizmę, ale sądził, że mu wolno ugiąć się powierzchnownie. Teraz burza spada na kościół łaciński, już na Rusi blisko przychodzi wybierać między wyrzeczeniem się wiary przodków a małtkiem i ojczyznę; przyjdzie kolej na inne części Polski. Duchowieństwo rozpędzają lub głodem morzą. Mówię o zamiarach targnięcia się na Ostrobramę, na Częstochowę, to ognisko serc, tę stolicę duchową katolickiej Polski i Słowiańszczyzny. Aby wytrwać, trzebaby gorliwości pierwszych chrześcian, gęstej i gorącej modlitwy, uczęszczania do ŚŚ. Sakramentów, żywej pamięci na obecność i sądy Boże, pogardy bogactw i życia. Czy im dostarczy tej siły ów letni, materyalny katolicyzm, jaki sobie stworzyli? Mrowie przechodzi na myśl o liczbie odstępców, o rzadkich wyznawcach i męczennikach. Oto siekiera przyłożona do korzenia...

A wy bracia moi! kótrzyście popchnęli naród do tej toni, który dziś was, nie oszukujcie się, w chwilach rozpaczy, porywania mężów, dziątek, ścięga może nieraz swem złorzeczeniem i przekleństwy — o czem myślicie? Jeżeli macie jakie powołanie, to abyście raz wprowadzili katolicyzm w życie, abyście świecili narodowi przykładem i, kiedy on dzisiaj daje świadcstwo prawdzie, abyście podnieśli błagalne ręce ku Niebu, w skrusze i pokajaniu. Nie żyjąc życiem narodu, jesteście kupą piasku, którą wiatr w rozmaite rozwiewa garstki a piasku mniej coraz i coraz lichszy. Kłóćcie się o zasady. Ale jeśli tymczasem braknie gruntu, na którym je zasiewać chcecie, na co się one wam zdadzą? Cóż tak pilnego — czy zaginą książki, z których je wzięliście i pisma wasze? Czy prócz was i po was nikt się ich nie dopyta? Wolnoż tak myśleć wam, ludziom postępu? Jużeście wszystko powiedzieli, każdy pochwycił jedną myśl, na jednej stronie

gra od lat dziesięciu, jedno ma tylko oko na widzenie co chce widzieć, jedno ma tylko ucho na słyszenie tego, co mu się podoba.

Zdrobnielście, politykując na piasku, w powietrzu zawieszeni bez żadnej podstawy, straciliście już instykt do jakichkolwiek praktycznych rzeczy; w wielu umysłach skrzywionych, śpiących na jawie, prawda marzeniem, marzenie prawdą. Gdybyście czysto szukali dobra powszechnego, nie byłoby tylu ochotników do władzy. Chęć władzy to choroba powszechna, mania emigracyjna; władza nad czem i nad kim? nad pajęczyną? nad dymem? Każdy chce ojczyzny, ale podług siebie i z sobą; zawsze tak u nas bywało. Działacie, jak mówicie, (już ten wyraz jak wiele innych zużyty nadużyciem i w śmieszność podany), działacie, nie ażeby co zrobić, ale aby się krzątać, wołać głośno, podpisać, wydrukować; działacie, aby drugiemu przeszkodzić, aby się nie dać ubiedz wypadkom. Pilno wam o te wypadki, a ja pragnąc ich z jednej strony, z drugiej drzę z obawy, by was niegotowych nie zaskoczyły. Boże mój! jak was takimi znajdują wypadki, czego się tu dobrego spodziewać! O, pokutujcie, póki czas! nie czekajcie, iżby Pan podniósł swą prawicę i oświadczył się, że już nie będzie czasu. A już siekiera do korzenia przyłożona...?

Jest przyrodzona człowiekowi w razach wielkiego nieszczęścia zapominać o przesądach umysłu, o urazach serca. Wszystkie narody, w niebezpiecznych razach uciekały się w duchu pokuty a modlitwie do Boga o pomoc i przebaczenie. Czy to robicie? Niektórzy zapewne. Ale większość jak żyje? Panie! daj mi siłę powiedzieć! Jedni popisują się zbytkiem swoim, urągają się nędzy głodnych i schorzałych braci; brak tylko staropolskich moździerz wiwatowych dla zagłuszenia ich skargi i jęków. Są całe szkoły karciane, tracące czas, sumienie i zdrowie na obdzieraniu wzajemnej nędzy. Dziwny sposób do życia! A o niepowsięgliwości tak powszechnej co powiem? O! niech milczenie moje, wstyd ust moich wszystko powie. I tacy zowią się męczennikami, wyznawcami świętej sprawy, zowią się katolikami, patriotami!

O, skończył się już, skończył taki patriotyzm robaczywy! Nowy się zaczyna, patriotyzm z poświęcenia. Długo Pan pozwolił operować nad biednym narodem ludziom nie mającym w sercu, na czole znamienia krzyża; ale dziś Pan widocznie sam się wdał w rządy. Do szkoły swojej Pan mój naród powołał. Nie znalazł nnego środka na zbawienie człowieka, jedno krzyż: niema środka, prócz krzyża, na opamiętanie grzesznego narodu. Wszystkie uczynki dziś mierzą się krzyżem; gdzie tego piętna niema, to pieniądz fał-

szywy; jakiegokolwiek nosi światowe godła, na nic się nie zda Bogu ni ojczyźnie. Najlepszy dziś patriota, kto jest najczystszym moralnie człowiekiem, najgorętszym chrześcijaninem.

Naciągnął Pan mój naród na krzyż, jak strunę na lutnię — on Boski lutnista, naród mój najmłodszy z katolickich, Benjaminka narodów, i stroi go do Boskiej swej harmonii; coraz to próbuje, struna jęczy przeraźliwie... ach! czuję, jak jęczy; ale jeszcze nie doszła, a dojść musi albo pęknie: Polska wytrzyma próbę albo upadnie, emigracya się nawróci lub marnie zginie. Prorokiem nie jestem; co potem będzie, nie wiem; ale to wiem pewno, że bez poprawy wewnętrznej nic dobrego być nie może lub, co gorsza, a czego nie daj Boże, będzie powód nowych, ostatecznych nieszczęść narodu, bez krzyści i nawet bez chwały. Dlatego nam tak pilno, bracia moi, dlatego mówimy do was, jak gdybyśmy mówili po raz ostatni. Gdyby naród miał obietnicę trwałości jak Kościół, pogwizdywałbym bezpiecznie na wszystkie wysiłki nieprzyjaciół naszej wiary. Gdyby czasy nie były tak ciężkie, bylibyśmy cierpliwszi; ale oto naród się rozkłada, wszystkie w nim zarody śmierci, życie tak słabe. Pytamy się nieraz, czyśmy już opuszczeni Pańscy? czy Bóg nas odepchnął ostatecznie za tak długą niepokutę? Wszystkie nieszczęścia nas otoczyły dokoła, jak wody wielkie przejadają się w trzewia i w kości. Jakby wałem z żaru otoczył Pan jak owada: żadnej pokuty! Tymczasem wiara upada, odstępstw bez liku, między wami już kosztem wiary żebrzą o powrót do domów; dlatego nam pilno — zachodzimy w głowę, jak do was mówić, jak obudzić z letargu; oto już grabarze we drzwiach — a obudzić nie możemy. Biada nam grzesznych: nad tem kwilić i narzekać będę z prorokiem (Mich. 1, 8, 9), uczynię lament jak młode strusięta. Przeto, że nieuleczone są rany jej, gdyż doszły aż do Judy, a dosięgły do bramy ludu mego, aż do Jeruzalem.

Już mi się żyć przykrzy, nie chcę patrzeć na hańbę i utratę wiary i upadek mego narodu. Panie! weź mię z tego żywota, nie jestem lepszy od ludu mojego. Ale póki żyję, wołam i wołać będę: czyńcie godne owoce pokuty, oczyśćcie sumienia wasze w skruszeniu serca i złamaniu ducha, padnijcie na kolana, módlcie się, wołajcie w niebogłosość, może się zmiłuje. Pokutujcie! Pokutujcie!! Pokutujcie!!!

Karol Libelt.

Urodził się w Poznaniu 1807 r. Syn ubogich rodziców, przez cały ciąg nauk gimnazjalnych (w Poznaniu) i uniwersyteckich (w Berlinie) musiał utrzymywać się własną pracą. Oddawał się z największym zapałem nauce filozofii i matematyki: pierwszej pod kierunkiem Hegla. W roku 1829 otrzymał stopień doktora filozofii w Berlinie i wyjechał do Francji na dalsze nauki, przerwane powstaniem roku 1830. Gdy z tego powrócił, zamknięty był do więzienia w Magdeburgu i pozbawiony kwalifikacji na publicznego nauczyciela. Wziął więc dzierżawę, gospodarował na wsi i pracował ciągle w filozofii. Po wstąpieniu na tron króla Fryderyka Wilhelma IV, dostał pozwolenie mieszkania w Poznaniu i posadę nauczyciela matematyki w gimnazjum. Wtedy rozpoczął szereg publicznych wykładów o literaturze niemieckiej i o estetyce: a w pismach publicznych ogłaszał rozprawy naukowej i moralnej treści. Był więziony powtórnie w roku 1846. W roku 1848 czynny w Pradze na zjeździe słowiańskim, we Frankfurcie nad Menem na sejmie rzeszy niemieckiej; odtąd już z małemi przerwami występuje w życiu politycznem Wielkopolski, jako poseł na sejm berliński i przez długie lata przewodniczący koła polskiego posłów sejmowych. Zajęcia te wszakże nie odrywały go od prac naukowych. Był prezesem poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, a oprócz wielu rozpraw pomniejszych wydawał dzieła filozoficznej treści. Młodociane zamiłowanie do nauk matematycznych i przyrodniczych odezwało się w późniejszych latach zapałem do nowych odkryć w dziedzinie fizyki i chemii i gorliwym ich rozszerzaniem. Jego stałym mieszkaniem i własnością była wieś Czeszewo (pod Wągrowcem w W. Ks. Poznańskiem), gdzie też jest pochowany. Umarł 10 czerwca 1875.

Dzieła. 1. Filozofia i krytyka 3 t. (1845). 2. Estetyka czyli Umiejętność piękna 3 t. (1854). 3. Wykład matematyki (1844). 4. Dziewica Orleańska, praca historyczna, napisana w więzieniu w r. 1846. 5. Liczne rozprawy polityczne, krytyczne, estetyczne i literackie, umieszczone w różnych czasopismach, a wydane w Pismach pomniejszych w 6 tomach (1849—1851). Do najcenniejszych należą: O miłości ojczyzny. O odwadze cywilnej. Nauczyciel pod względem narodowym.

Charakterystyka. Umysł potężny, czynny, wielostronny, trzeźwy przytem, odznacza się Libelt na polu filozofii dążnością do organicznego, systematycznego związku i układu, i wreszcie wielką obfitością prac, które razem wydane, złożyłyby kilkanaście tomów. Wszakże jego jak innych współczesnych dążenie do stworzenia nowego, osobnego systemu filozofii nie odnosi zupełnego skutku. Opierając się na Hegla, oni wszyscy wprowadzają w jego system myśli własne i odmienne, ale są przecież tylko jedną odmienną odnogą w jego szkole. Jak zaś w nauce polskiej, a przedewszystkiem w nauce filozofii, zajmował wielkie miejsce, tak w ogólnem życiu narodowem był jednym z ludzi bardzo czynnych i bardzo zasłużonych, a Wielkopolsce jednym z tych, którzy najgorliwiej utrzymywali i umysłowe i polityczne życie. Niezmordowany w pracy, znakomity w nauce, żarliwy we wszystkich uczuciach, a najbardziej

215

w miłości ojczyzny, szlachetny w charakterze, jest Libelt jednym z tych, którzy i świadczą pięknie o żywotności i sile polskiego społeczeństwa i sami zasób tej siły powiększyli.

Nauczyciel pod względem narodowym.

(W skróceniu).

... Naród takim będzie, jakim się wychował, a tak się wychował, jakich miał nauczycieli. I oto niesłychanie ważne i święte powołanie nauczyciela. On wychowuje i wykształca naród; w jego rękę złożona przyszłość, a losy tego narodu na jego nauczycielskiej pracy zawisły. A że niema narodu bez narodowości, którą Bóg jeden naród od drugiego wyróżnił i do różnych przeznaczeń w żywocie ludzkości przechował; nauczyciel jest przeto kapłanem samego Boga, jemu oddana straż ognia narodowego, by nie wygasł, ale jako znicz święty, podsypany kadzidłem oświaty narodowej, a rozdmuchiwany moralną potęgą obowiązku i poświęcenia, palił się i wonił na ołtarzu ojczyzny, Bogu na chwałę, a ludziom na pożytek.

Całe więc poświęcenie nauczyciela z charakteru jego narodowego wypływa. Jako charakter kapłański sakramentem nadany, jest narodowe nauczycielstwo charakterem niewytartym i niezmazanym na duszy, który się z nauczyciela na ucznia przenosi, a tym środkiem w cały naród zaszczepia; chociażby nauczyciel wszystkie nauki posiadał, gdy narodowości nie ma, nie może być narodowym kapłanem Boga, i narodu wychować i kształcić nie może. Owoce nauki jego nie pójdą na pożytek narodowi, a mogą mu się obrócić na chorobę i długie cierpienia, gdy strawione nie zostaną i nie zmieniają się w soki narodowe; albo też gdy strawione, obcym pierwiastkiem te soki zatrują i zepsują.

Nauczycielstwo niosące wychowaniu narodowemu najpotężniejszą pomoc, bo będące jego światłem, jego postępem i rozwojem, nie może się odszczepiać od narodowości, ale musi owszem z niej wszelką naukę czerpać, a przynajmniej do narodowych pojęć ją stosować i z narodowego stanowiska przedstawiać. Zgoła, ten tylko jest nauczycielem w rzeczywistości i wielkim znaczeniu tego wyrazu, kto nosi na sobie charakter nauczycielstwa narodowego.

Jak ciało człowieka, a mianowicie jego oblicze, układa się wedle rozlicznych wpływów z życia wiedzonego wśród miejscowych i społecznych stosunków i stanowi fizjognomię człowieka, którą się jeden od drugiego wyróżnia — jak każdy człowiek wyrabia sobie in-

dywidualność, czyli charakter, będący fizygnomią jego ducha; — podobnie ma się z narodem jednoplemiennym. I w nim także ukształca się pewna wyraźna fizygnomia rodzinna, piętnująca wszystkie narodowe oblicza i postawy; poznasz i odgadniesz po nich od razu krajowca tej lub owej ziemi, albowi rodaka swego.

Żywą fizygnomią ducha narodowego jest język. Do języka staczają się wszystkie duchowe pierwiastki i wszystkie duchowe potęgi. Wszystkie i wszelakie myśli narodu w języku się wyraziły. Zastanówmy się tylko, ile to milionów Polaków, co dzień, co godzinę, językiem czyli mową polską myśli swe wyraża; rozważmy, że tysiąc lat mija, jak dzieje zapamiętały, że Polacy od Lecha począwszy, swoim językiem mówią, a może drugie tysiąc lat przedtem już nim mówili wśród ciemni dziejów, kędy kolebka nasza stała i lud polski ze Słowiańszczyzny się wyłaniał — a pojmiemy, co za ogrom myślenia, co za potęga ducha, z uczuć, z myśli i z iszczyny narodowej płynąca, do języka polskiego stoczyć się musiały i że w nim zawarł się wszystek żywot ducha polskiego.

A że ten język narodu naszego wyosobnił się od wszystkich innych języków, widać, że osobny był duchowy pierwiastek, osobne pojęcia i wrażenia, osobne środki i władze ducha, osobne zapatrywanie się na rzeczy, a stąd osobne cele i dążności dziejowe i społeczne, któremi praojce nasze — owi Polanie i Lechici — w plemię polskie się rozszczepili, a potem w naród Polski rozrosli i rozmogli.

Niema więc narodowości polskiej bez języka polskiego; — niema wychowania, ni nauczycielstwa narodowego, jeśli środkiem ojczyztego języka się nie odbywa; nie może nosić na sobie charakteru nauczyciela narodowego, kto albo polskiego języka nie posiada, albo co gorsza, będąc Polakiem, w obcym języku młodź polską poucza.

O nauczyciele! którzy nie ze złej woli — bo tacy byliby szatanami narodowymi, podnoszącymi rokosz przeciw samemu Bogu, co narodowości do bytu wyprowadził — ale którzy z niezrozumienia tego, co czynicie, albo z konieczności nakazanej, w obcym języku nauczacie młodź polską, pomnijcie, jaką odpowiedzialność bierzecie przed Bogiem i przed ludźmi, przed przyszłością i przed ojczyzną za młodź pieczy waszej poruczoną, którą w obcym wykształcacie języku. Pamiętajcie, że nietylko wąż będą z takiej nauki owoce, ale nawet krajowi w truciznę i choroby polityczne różnego rodzaju zamienić się mogą. A jeżeli w ujarzmionym kraju musicie młodź waszą w panującym języku nauczać; bądźcie jako owa córa z miłości przebiegła, której ojciec do jamy wsadzony z głodu tam miał umrzeć, a ona wy-

W tym jest mój myślenie

blagawszy sobie u króla pozwolenie widywania co dzień uwiezionego i niemogąc donieść mu żywności, bo ją straż jak najściślej obszukiwała, dawała starcowi piersi i tak go przy życiu utrzymywała.

Więc i wy, jeśli pierś wasza pokarmem narodowości nabrana, nadstawiajcie jej młodzi waszej z miłości do niej, aby z was pokarm brała po za szkołą, jeśli w szkole przeznaczono jej, aby tam zmarniał duch jej narodowy z niedostatku narodowego języka. Niech polubi młodzież ten język, co jej będzie tem droższy, jeśli w szkołach zakazany; niech się rozkocha w jego pięknościach, rozpatrzy w jego bogactwach; niech tam jak w zwierciadle pozna fizyognomię ducha narodowego; niech się nim przejmie, aby kiedyś mogła jego potęgami zawładnąć.

// Przemów do młodzi, wykładając jej naukę, a przemów tak, aby w każdym wyrazie tehnęło życie, a myśl jaśniała w narodowym wyrazie, a obaczysz, z jaką uwagą słuchać cię będą, jak ciekawość zaświeci im w oczach, a w dusze ich gąbczaste wsiąkać będzie każde twoje słowo i zostanie tam na długo; a w wyobraźni ich żywej rysować się będzie każda myśl twoja i zostanie tam wryta na całe życie. Bo gdy przemawiasz do młodzi lub do ludu ojczystą mową, bezpośrednio światło twoje zstępuje na nich, myśli twoje bezpośrednio przelewają się w ich umyśle; słuchacze nie słyszą języka, co jako ojczysty jest dla nich przeźroczy, jak światło słoneczne — nic ich tam obcego nie razi, słyszają same pomysły twoje. Stąd ta bezpośredniość i ta siła języka narodowego. W obcym języku gdy mówisz, młodzież naprzód słyszy język jako obcy, a potem dopiero rzecz, a najczęściej nawet rzeczy dla języka nie pojmuje. Jeżeli zaś te trudności początkowe się przełamia, stanie się to kosztem narodowości, bo już młódź przyuczył w obcym języku myśleć, następnie w duchu tego języka czuć i pojmuwać.

A więc nauczyciele, aby charakter nauczycielstwa waszego był narodowy, wykład nauki waszej musi być w języku ojczystym i wykształcenie naukowe na wykształceniu języka tego opierać się.

Nauczyciel dalej, aby odpowiedział powołaniu swojemu, musi być religijnym. — Powiedzieliśmy wyżej, jako religia jest jednym z najważniejszych środków narodowego wychowania ludów, środkiem bezpośredniego wpływu na kształcenie i zachowanie narodowości. Samo się stąd rozumie, że nauczycielstwo, aby było narodowe, nie może być niereligijne, boby stawało w sprzeczności ze środkiem ogólnego ludów w narodowości utrzymania; nie może nawet być nijakiem w przedmiocie religii, boby się wyziębilo z ożywczego narodowości ciepła; boby wprost nie wychodziło z Boga, z którym nas religia

bezpośrednio wiąże, boby ducha oświaty uważało za co innego, niżeli ducha religii i sprawę świecką odłączało od sprawy duchownej, gdy tymczasem powołanie kościoła i szkoły w narodowym względzie jest to samo.

Gdyby tę jedność powołania rozumiano, nigdyby nie zachodziło pytanie o rozłączenie szkoły od kościoła, bo kościół pod względem narodowym i szkoła narodowa mają jeden i ten sam zawód — nauczycielstwo narodu. Obie instytucje postępować powinny społem w harmonii i zgodnie na drodze nauczycielstwa narodowego. Były czasy, kiedy cała oświata świecka leżała tylko w religii, a kościół, jako troskliwa macierz, sam dzieci swoje we wszystkim nauczał. Ale odkąd świeckie wyzwoliło się nauczycielstwo i dojrzało wiekiem i oświatą, na równi stanąć powinno z kapłaństwem kościelnem.

Dla tej jedności powołania potrzeba, aby nauczyciel narodowy był religijnym i potrzeba tem większa a prawie nieodbita, im nauczycielstwo więcej do ludu zstępuje, bo u ludu wychowanie, które daje religia, rozleglejsze i silniejsze, niżeli to, które daje nauka. Nie dla czego innego w Niemczech przeznaczono chrześcian na nauczycieli szkół żydowskich, jeno na to, ażeby żydostwo tem łatwiej prznarodować. Takim samym środkiem do prznarodowania polskości byłoby, gdyby wychowanie młodzi polskiej oddane zostało w ręce nauczycieli Niemców protestantów; Polak z urodzenia i z uczucia, aczby był innego wyznania, niżeli ogół uczniów szkoły, przy której jest nauczycielem, nie wyrze nigdy złego wpływu na ducha narodowego w szkole, dlatego, że z samego przywiązania do kraju i narodu nigdy nie postawi zasad wyznania swojego za modłę nauki i nauczania i nie spaczy narodowego kierunku. Wszakże jeżeli w szkołach wyższych stosunek taki jest znośny, dlatego, że w obliczu wyższej oświaty mniej wydatny, to w szkołach niższych i elementarnych, gdzie i nauka małego jest zakroju, a za to większe między nauczycielem a ludem zbliżenie, stosunek taki musi być nawet szkodliwy — albowiem najsilniejszy węzeł spojony wiarą tą samą, jest zerwany, a na jego miejsce żadne inne potęgi narodowego związku między nauczycielem i uczniem nie są postawiane.

A więc jak się rzekło, potrzeba jest, by nauczycielstwo było w zupełności narodowe, aby szczególnie w niższych szkołach nie było rozdwojenia wiary między nauczycielem a uczniem. Tylko przy jedności religijnych wyobrażeń i religijnej praktyki, jest miłość uczniów zupełna i zupełne ich do nauczyciela zaufanie; — tylko przy tej jedności mocen będzie nauczyciel rozwinąć w uczniach swoje wszystkie

silnie narodowego wychowania, jakie religia daje i wynagrodzić niemi słabe jeszcze pomoce narodowej oświaty, jakie nastrecza elementarna nauka.

Stanowisko nauczyciela niższego może być niesłychanie ważne wśród ludu pospolitego pod względem narodowym, ale pierwszym warunkiem tego wpływu i znaczenia jest, aby nauczyciel na ten sam sposób Boga chwalił co lud, wśród którego żyje i aby przepisy wiary wspólnej pełnił i wykonywał z przekonania i gorliwości. Wtenczas dopiero będzie mógł zbawiennie działać na lud i szkołę, a mianowicie w tych kierunkach i stosunkach, gdzie się pojęcia społecznymi i politycznymi jednoczą, a tem samem, gdzie się wiara w żywot świecki, narodowy przelewa.

Szkoła sama im jest niższa pod względem teoryi, tem powinna być rozleglejsza pod względem praktyki, a nauczyciel dający tylko mały zapas nauki uczniom swoim, jako światło czystego rozumu na drogę przyszłego ich żywota, dać im musi tem więcej poglądu na życie praktyczne, które co dzień ich otacza. To życie narodowe przesiąknięte jest religią, uszlachetnione i uświęcone religią — rzekłbym w warstwach czysto ludowych o tyle prawie jest narodowe, o ile jest religijne; — i jakież, przy takim związku narodowego i religijnego życia, może być wpływ nauczyciela na szkołę, jakie jego narodowe nauczycielstwo, gdy sam nie będzie religijnym?

Wszakże fanatyzm, a stąd prześladowanie religijne i intolerancja, gusła, przesady i zabobony, a stąd ciemnota i obłąkanie, nie są religią; to są narosty skażonej wyobraźni, albo skażonego egoizmu, które na zdrowem i czerstwem drzewie wiary ożywczej przysiadły i które tam ciemnota albo i prywata naniósła. Jako więc nauczyciel narodowy z jednej strony religijnym być powinien, aby dobrym przykładem na lud i na młodzież działał, tak z drugiej strony nauką oczyszczać ich umysły powinien z tego wszystkiego, co jest zakałem wiary, a temsamem i narodowości.

Nauczyciel powinien być w końcu narodowym, w ściślejszem znaczeniu tego wyrazu. To jest powinien znać i kochać naród swój, jego obyczaje i jego ziemię, jego przeszłość i jego przyszłość, bo tylko wtenczas potrafi tę samą znajomość i tę samą miłość ojczyzny przelać w uczniów swoich i dopełnić powołania w nauczycielskim narodowym zawodzie.

Nie każdego starczy na to, aby odbywał podróże i pielgrzymki po kraju, który ojczyzną swoją nazywa; — aby oddychał powietrzem ojczystem i nad Bałtykiem i nad wodami Dniestru; na szczytach gór Karpackich i na nizinach świętej Żmudzi; — aby te wszystkie

obrazy zdjął własnymi oczyma i w pamięci swojej na całe życie pozawieszał; — nie wielom dana jest sposobność widzenia ojczyzny twarz w twarz, oko w oko; najwięcej znamy ją tylko z wizerunku. Tym wizerunkiem są opisy kraju naszego. Dla tego jeografię Polski pod względem politycznym, fizycznym, statystycznym i etnograficznym każdy nauczyciel znać powinien, aby mógł powiedzieć młodzi uczącej się: co to jest polska ziemia, jak wygląda i jakie to ludy na niej się rozsiadły. Inaczej jeżeli wyobraźnia młodego ucznia nie sięgnie dalej, jak za granice wioski, albo powiatu, albo najwięcej miasta prowincjonalnego, podobno i siła jego narodowości rozwiniętej będzie w stosunku średnicy tego kawałka ziemi, który zna i wie, że jest polski.

Zwyczaje narodowe pielęgnować, rozbudzać przez nie narodowe uczucia i narodowe pamiątki, zwłaszcza w młodych umysłach, należy także do narodowego wychowania. Chociaż zwyczajów nikt z urzędu nie poucza, jest zawsze pora przy nauce zwracać na nie uwagę, czy to w porównaniu z obyczajami innych ludów, czy przy wyświecaniu dziejów własnego narodu. Jaka zaś leży potęga narodowości w zwyczajach i obchodach ludowych, dowodzi ich siła niepożyta. One przez wieki całe, przez tysiące lat, niezmiennie przechowują się; przetrwają i przeżyją samą śmierć narodu, są ostatnim pulsującym znakiem życia narodowego. Tak ponad Elbą częścią wytraceni, częścią przenerodowieni zostali Słowianie, ale zwyczaje słowiańskie w wielu okolicach jeszcze się przechowały i świadczą o Wendów i Polaków społecznym żywocie, co się w tych stronach niegdyś rozwijał.

Przeszłość narodu stanowią jego dzieje; przyszłość rozwija się przez jego posłannictwo. Jako człowiek pojedynczy nie znałby sam siebie i nie mógłby mieć żadnych wyraźnych ani uczuć, ani myśli, gdyby nie znał minionej przeszłości swojej; tak naród byłby niczem bez znajomości dziejów swoich, z których się i terażniejszość rozwija i przyszłość wysuwa. Zaś im rozleglejsza w narodzie jest znajomość dziejów, tem silniejsze i rozleglejsze musi w nim być narodowości uczucie, bo z całego ubiegłego żywota narodu płynące.

A więc znajomość historii polskiej jest nieodzownie nauczycielowi polskiemu potrzebna, jeżeli rościć chce prawo do narodowego nauczycielstwa. Bo gdy ta sama znajomość potrzebną jest każdemu Polakowi, jeżeli się ma życie narodowe w nim rozbudzić, nauczyciel mu ją tylko dać może. Dać ją zaś powinien, by też w najniższej elementarnej szkole, choćby działwie tylko powiastki gadał o mężach, w dziejach narodu naszego głośnych i w tradycyi ludu żyjących; —

choćby tylko katechizmowym sposobem dzieci historii polskiej pouczał i na kilka lub kilkanaście pytań ją ograniczył. Wszędzie i zawsze do wykładów narodowych dziejów nastęrcza się nauczycielowi pora. Może to sioło w którem naucza, może okolica, może blizkie miasto stało się w dziejach głośne; może ślady odległych pamiątek pozostały rozsiane na polach w żalach i kurhanach, w mogiłach i wałach. Nic tak młódź nie interesuje jak dzieje.

Przeszłość narodu jest środkiem narodowości, przyszłość narodu jej celem; tamta była żywotem narodu, jako taka była sama celem i dla tego stała się tak potężnym bodźcem do rozbudzenia narodowości; — ta tu jest istniejącym żywotem, celem żyjącym, rzeczywistym z istotnego żywota obecności rozwijającym się, a jako taka jest najwyższym narodowości zakresem. Tylko ten nauczyciel jest w całkowitem znaczeniu narodowym, który młodzię do przyszłości narodu sposobi, przez to że ją z obecnymi stosunkami i potrzebami obeznawa. Tu już nauczyciel jest bezpośredniem narzędziem Opatrzności, bo pracuje w celach posłannictwa narodowego, w dobieraniu się przyszłości narodu.

Naturalnie, że im starsza młodzię i im bliższa dojrzenia i wieku, w którym już do czynu przechodzi, tem praca nauczycielska ku samej przyszłości skierowana będzie usilniejsza i gruntowniejsza, tem potrzebniejsze będzie poznanie dokładne stosunków obecnych tak pod społecznym, administracyjnym, jak politycznym względem.

Byłyby to zakres uniwersytetów, gdyby te nie gubiły się w samych teoretycznych i umiejętnych abstrakcyach, ale umiejętność z życia samego wydobywały. Wszelako nawet po szkołach i instytutach niższej naukowej sfery, potrzebą jest, aby nauczyciel znał potrzeby społeczne i kierunki polityczne i żeby przy sposobności zwracał uwagę na położenie kraju, na jego swobody, na jego niedostatki, na ruchy wielorakie ku reformom i polepszeniom — nie żeby wywoływał sąd o tych rzeczach u młodzię z wieku do sądenia i stanowienia w tych przedmiotach jeszcze niedojrzałej; ale aby jej raz po raz dawał pogląd w to życie polityczne i społeczne, które ich niebawem ogarnie i wytknął im ostateczny cel wszelkiej nauki.

Hannibal stał się pogromcą Rzymian, dla tego, że ojciec jego Hamilkar dziesięcioletniego młodzieniaszka przyprowadził przed ołtarze bogów i kazał mu przysiąc, że pomści hańbę ojczyzny swojej; i młody Hannibal uczył się i ćwiczył w rzemiosle wojennem, jedynie w tej myśli, aby spełnić kiedyś, co przysiągł — i spełnił; i Rzym zdrzął na nowo: Hannibal ante portas. Podobnie szczęście narodu

własnego bliżej oznaczone, wpojone przez nauczyciela w sercu młodzieńca, co już gorąco czuć poczyna, może mu być a nawet powinno być gwiazdą przewodnią, aby do tego szczęścia narodu swojego dążył i wszelkie nauki swoje, całą pracę szkolną na ten jeden wytknięty cel obracał. Szczęśliwy naród, co takich sobie wychowa synów, a wychowa ich, jeżeli takich, to jest narodowych będzie miał nauczycieli.

Ewaryst Estkowski*).

Urodził się w Wielkopolsce w r. 1820. Nauki początkowe odbywał w szkołkach wiejskich, następnie przeszedł do seminarium pedagogicznego w Poznaniu, a ukończywszy je został nauczycielem wiejskim. Po sześciu latach pracy w tym zawodzie, poznawszy niedostatki swego wykształcenia, postanowił je uzupełnić i udał się na uniwersytet wrocławski (1844), gdzie odbył studia filozoficzne, poczem został nauczycielem w seminarium poznańskim. Ale wkrótce wskutek wypadków r. 1848 musiał z tej posady ustąpić i odtąd utrzymywał się z prywatnych lekcji.

W tymże roku powstało w Poznaniu Towarzystwo pedagogiczne. Estkowski był jednym z jego założycieli, sekretarzem i najczynniejszym członkiem. Organem towarzystwa miała być Szkoła polska, czasopismo, które on założył i głównie swemi pracami zasiłał, jednak po czterech latach dla braku poparcia przestał je wydawać. Obok Szkoły wydawał także Szkołkę dla dzieci, a po upadku obu tych pism przez dwa jeszcze lata Szkołkę dla młodzieży. W r. 1853 wybrał się w podróż do Niemiec i Francji celem dokładnego poznania zakładów i urzędzeń szkolnych za granicą. W Paryżu dawny jego znajomy i przyjaciel T. Lenartowicz zaznajomił go z Mickiewiczem i z innymi znakomitymi Polakami. Wróciwszy do Poznania żył już niedługo; choroba piersiowa, ciągłe gryzoty i niedostatek, z którym ustawicznie walczył, były powodem przedwczesnej śmierci (r. 1856).

Dzieła. Oprócz licznych artykułów w wspomnianych czasopismach ogłosił osobno: Elementarz i Książkę do czytania dla pierwszej klasy. Metodę czytania i pisania. Żywot poczciwego człowieka na wzór Reja; a już po śmierci jego wyszły: Nauki wiejskie, Zbiorek rzeczy swojskich i Pisma pedagogiczne.

Charakterystyka. Karol Libelt, który Estkowskiego bardzo wysoko cenił, tak się o nim w przedmowie do Pism pedagogicznych wyraża: „Estkowski Ewaryst posiadał umysł żywy i pojętny, sąd o rzeczach jasny i zdrowy; wyobraźnia płodna i ruchliwa czyniła styl jego obrazowym i malowniczym; serce tkliwe i prawe przelewało się gorącym tchnieniem wszędzie, gdzie myśl trącała o uczuciowe strony. Zdolności jego w peda-

*) Dla seminarjów nauczycielskich.

gogicznym zawodzie były niepospolite, do tego praca wytrwała i natężona, chęć do nauki wielka, skromność wzorowa.

Wszystkie te przymioty mogły być zrobić z Estkowskiego znamenitego nauczyciela, pisarza i obywatela, gdyby w szczęśliwszych był urodził się, w przyjaźniejszych mógł działać stosunkach. Ale i na tem stanowisku, acz nie szeroko zakreślonym, zdobył sobie zasługi literackie i społeczne i zyskał imię znane i szanowane, które i potomni ze czcią wspominać będą.“

Rysunki w szkole elementarnej.

Czy rysunki mają być także przedmiotem nauk w szkole elementarnej? Trzy zwykle powody podają przeciw temu ci, którzy nie są za rysunkami. Najpierw powiadają tacy, że wystarcza dla szkoły elementarnej nauka czytania, pisania, rachunków i religii; powtórę utrzymują, że w szkole elementarnej brakuje czasu do rysunków, a nakoniec, że prostemu, zwyczajnemu człowiekowi nauka rysunków na nic się nie przyda.

Powody te są częścią niedostateczne, częścią nieprawdziwe. Jasna jest rzecz, że religia, czytanie, pisanie i rachunki są najważniejszymi przedmiotami elementarnymi, bo tworzą, że tak powiem, wiązanie w budowie elementarnej wykształcenia. Lecz głos publiczny wyraźnie powiada, że to nie dosyć; głos publiczny nakazuje zapoznać młode pokolenie ludu z ojczyzną ziemią i jej płodami, ze swym narodem i jego dziejami, z całą kulą ziemską i z jej cudami, płodami i bogactwami, z głównymi datami historii ludzkości; głos publiczny nadto wyraźnie się domaga, aby nauczyciele po wsiach uczyli początków rolnictwa, ogrodnictwa, pszczelnictwa i t. p. a po miastach zasad przemysłu, handlu i rzemiosł. I są gorliwi u nas nauczyciele, którzy słuchając tego głosu, skutecznie uczą wymienionych przedmiotów, bynajmniej przez to czytania, pisania, rachunków i katechizmu nie zaniedbując. Sposobią wzrastające pokolenia na światlejszych i cnotliwszych obywateli kraju, którzy poznawszy i nauczywszy się więcej, więcej też dla społeczeństwa i siebie dobrego uczynić są zdolni. Przed 500 lub 600 laty wystarczała w ówczesnych naszych szkółkach parochialnych nauka czytania, pisania, rachunków i katechizmu. Ale o ile od czasu tego naród postąpił w oświacie, o tyle i przygotowanie elementarne rozszerzyło swe granice. Zważmy na postęp oświaty ludu naszego od roku, jaki wyraźny, znaczny. Postęp

ten jawnie domaga się więcej nauk, więcej pożytecznych wiadomości, więcej ukształcenia serca i umysłu dla dzieci ludu. Nie jest więc dostateczny powód wykluczenia rysunków z nauk elementarnych dla tego, jakoby dzieci ludu prócz czytania, pisania, rachunków i katechizmu, więcej nauk, więcej wiadomości i ukształcenia nie potrzebowały.

Słuszniejszym jest drugi powód: brak czasu w szkółce. Rzeczywiście ograniczony czas w szkole elementarnej, tylko na najpotrzebniejsze nauki i wiadomości obrócony być powinien. Dziecko wiejskie całe lato przepędza w polu przy pasance, w tygodniu ledwo przez kilka godzin w szkole się uczyć może. Całą naukę latową w szkołkach wiejskich uważa się więcej jako powtarzanie tego, czego się dzieci przez zimę nauczyły, aniżeli jako ciąg dalszy wykładanych przedmiotów. Z tem wszystkim utrzymuję, i każdy szkółki nasze znający przyzna mi to, że gdyby i w tym czasie, który dzieciom wiejskim do nauk, mianowicie przez całą zimę pozostaje, nie uczono drobnostek, fraszek, gdyby dzieci godzin nie marnowały na mechanicznych zatrudnieniach; nietylkoby jeszcze dosyć pozostało wolnego czasu dla nauk rzeczywiście pożytecznych, ale i na naukę rysunków jedna na tydzień godzina obróconą być mogła. Proszę zważyć tylko na to, ile czasu w szkole elementarnej dzieci marnują nad kaligrafią, nad mechanicznymi rachunkami (nad dodawaniem, odejmowaniem, mnożeniem i dzieleniem milionów), nad tłóczeniu sobie w pamięć nazwisk miast, gór, rzek; nad uczeniem się na pamięć granic Prus, ludności krajów i miast, co po wielu szkołach elementarnych nazywać się ma nauką jeografii. Dzieci jak papugi gadać przymuszane są o rzeczach, o których najmniejszego nie mają wyobrażenia. Ileż to czasu tracą nad podobną historią naturalną. Biedne dzieci! Zamiast uczyć się pożytecznych rzeczy, tresują się, jako nierozumne stworzenia. Przychodzą do szkoły po nauki, po rozum, po światło, po zdrowy pokarm: a tu dają im wiory, każą im żuć opadłe liści, w których niema ani życia, ani siły, ani posilenia; oczy ich zarzucają piaskiem, duszę ich obwijają w pakuły i pajęczynę. Gdybyśmy wypędzili ze szkółek wszystko drobne, zbyteczne, niepotrzebne, umysł nużące, ducha zabijające, pozostałoby nam dosyć czasu na nauki pożyteczne, oszczędziłaby się na tydzień choć jedna godzina dla rysunków.

Najmniej zaś słuszny jest trzeci powód wydalenia nauki rysunków ze szkół elementarnych, jakoby rysunki dzieciom ludu na nie się nie przydawały. Owszem na wiele one im się przydadzą. Pielęgnowujemy w szkołkach śpiew nie dla tego, żeby tenże jak n. p. nauka

o rolnictwie, materyalne dzieciom przynosił korzyści, ale dla tego, że dobra nauka śpiewu spycha surowiznę z nieugłaskanego człowieka, że surowe namiętności i dzikie wybuchy nieugłaskanej natury przemienia w szlachetne uczucia, w pewną rzewność i czystość duszy, otwierając ów zmysł, który lubuje sobie w harmonii, w cichej miłej melodyi. Również nauka rysunków wzbudza i kształci zmysł piękna, kształtu, formy, ładu; uczy kosztować niewinnych uciech, pielęgnuje estetyczną stronę natury ludzkiej, uzacnia zmysły, uduchowia człowieka. Dziecko, które chociaż tylko początków rysowania się uczyło, umie zrobić różnicę między rzeczą kształtną a niezgrabną, przekłada rzeczy foremne, piękne, nad rzeczy surowe, niekształtne, nieładne. Nauka rysunków popiera piękne pisanie i uczy dzieci we wszystkie swe czynności wprowadzać pewien ład. „Śród nauki rysunków — mówi autor Chowanny — nabiera młodzież zwolna smaku do foremności kształtów, a smak ten objawia się natychmiast na piśmie. Rozszerza się wkrótce dalej i widać go nawet na ubiorze, na porządku w sprzętach szkolnych i książkach. Rysunek wprowadza młodzież w kraj estetyczności.“ Sądzę, że umniejszyłoby się wiele niedbalstwa i nieładu pomiędzy ludem naszym zakorzenionego, gdyby dzieci uczyły się początków rysowania, gdyby przez rysunki wzniecano w nich smak porządku i ładu. A porządek i ład jest duszą, każdej czynności człowieka; porządek i ład przysparza człowiekowi czasu i zgromadza rozliczne korzyści; porządek i ład w duszy człowieka sprawia zadowolenie, wesoły humor i jest podniętą do prac pożytecznych. Wzbudzony i do pewnego stopnia ukształcony w dziecku smak, porządek i ład objawi się później u rolnika w polu, w narzędziach rolniczych, w podwórzowym urządzeniu i gospodarstwie, w izbie i rządzie domowym. „Przyjdą i u nas czasy — są słowa przytoczonego autora — że dla ludu wiejskiego wychodzić będą pożyteczne pisma peryodyczne (w których podawane n. p. będą rysunki ulepszonych narzędzi gospodarczych). Kmiotek będąc żołnierzem, lub innym jakim przypadkiem zabłąkawszy się do cudzego kraju i w obce okolice, ujrzy pług nieznaną, nierównie lepszą od używanego w jego stronie. Potrzeba mu więc będzie pług ten wyrysować, żeby go umiał zrobić, skoro wróci do ojczystej zagrody.“ Wspomnieliśmy już raz w piśmie naszym, że Komisya edukacyjna obsyłała po szkołkach elementarnych modele ulepszonych narzędzi rolniczych, ażeby starsze chłopcy modele te naśladować, uczyły się przemysłu, zawczasu sposobiły się do sporządzania sobie o własnych siłach narzędzi, których każdy rolnik

potrzebuje. Nauka rysunków ułatwiałaby niezmiernie wyrabianie takowych modeli i uczyłaby już przemysłiwania.

A jeżeli już wieśniakowi w wielu względach pomocniczymi byłyby początki rysunków, to nierównie więcej potrzebne są rzemieślnikowi. Gdyby w ogóle mieszczanie nasi byli więcej nauk i oświaty odbierali w szkołkach, nie byłby tak bardzo żywioł niemiecki załazł miast naszych, mielibyśmy więcej zdolnych rzemieślników rodaków. Im więcej kto nauk posiada, tem też więcej udoskonalić może swe rzemiosło. Rysunki są niezawodnie taką nauką, która najwięcej udoskonala cieślę, budowniczego, malarza, stolarza a nawet krawca, szewca i innych rzemieślników. Każdy żąda, aby rzecz jaka nietylko trwale, ale i zgrabnie, kształtnie była zrobiona. Żeby zaś zrobić co kształtnie, foremnie, ładnie, trzeba posiadać dobry smak, trzeba znać symetryę, najlepszy stosunek jednej części do drugiej. Smak ten i symetrya głównie kształci się przez rysunki. Aby więc uzdolnić chłopców po miastach na dobrych rzemieślników, ażeby więc podźwignąć podupadłe i zaniedbane rzemiosła nasze, a przez to podźwignąć żywioł polski wśród mieszczan, starajmy się oprócz kształcenia w ogóle najstaranniejszego młodzieży miejskiej, uczyć się także rysunków. Jeżeli dla wzbudzenia dobrego smaku, ładu, porządku i symetryi wystarczy jedna godzina rysunków na tydzień w szkółce wiejskiej, to w każdej szkole miejskiej przynajmniej dwie godziny na tydzień przedmiotowi temu przeznaczyć należy.

Henryk Rzewuski.

Syn Adama, kasztelana witebskiego, urodził się 3 maja 1791. Nauki początkowe u Karmelitów w Berdyczowie, później w Petersburgu, wkończył w Krakowie. W r. 1809 wstąpił do wojska; dosłużył się stopnia oficerskiego, ale wkrótce wystąpił ze służby. Odbył podróż za granicę, potem gospodarował na wsi. W r. 1825 poznał się z Mickiewiczem w Odesie i z nim razem (także ze swoją siostrą Karoliną Sobańską, D. D. z ówczesnych poezyi Mickiewicza) zwiedził Krym. Powtórnie spotkał się z Mickiewiczem w Rzymie w roku 1829 i 1830, i wtedy miał go Mickiewicz zachęcić do spisania różnych szczegółów z XVIII wieku, które Rzewuski znał z ustnego podania. Od roku 1833 mieszkał na wsi w Cudnowie na Wołyniu; w tym czasie zaczął pisać.

Straciwszy przez nieopatrne spekulacye znaczną część majątku, przeniósł się do Petersburga, gdzie wstąpił do redakcyi Tygodnika; od r. 1851 zamieszkał w Warszawie jako redaktor Dziennika Warszawskiego, założonej przez siebie gazety rządowej — i urzędnik do szczególnych poruczeń przy ks. Paszkiewiczu, namiestniku Królestwa Polskiego, a pod-

czas wojny krymskiej przeznaczony był na jej historyografa. W końcu jednak wystąpił ze służby i wrócił na wieś. Umarł w r. 1866.

Dzieła. Pierwszem i najlepszem jego dziełem były Pamiętniki Jmci pana Seweryna Soplicy (1839). Jest to właśnie zbiór opowiadań i anegdot z XVIII wieku, których Rzewuski znał bardzo wiele, a spisał je z takim życiem, z takim epicznym talentem, że pod względem artystycznym te jego powieści są arcydziełem. Stworzył on nowy rodzaj, Gawędę ze staropolskiego szlacheckiego życia: prawie wszystkie, tak liczne gawędy późniejsze, wierszem czy prozą, były z niego naśladowane. Ale pod względem moralnym i obywatelskim wartość Soplicy jest mniejsza, a raczej ujemna. Apoteoza wszystkich, co było w dawnej Polsce: nie męstwa, pobożności i dobrego serca tylko, ale i nieuctwa i pijactwa i burd i pogwałceń prawa, apoteoza księcia Panie kochanku za to, że należał do konfederacji Barskiej, z zapomnieniem tego, że był marszałkiem konfederacji Radomskiej — ta zdrową i dobrą nie była. Ale książka była napisana tak pięknie, że oczarowała wszystkich: mało kto poznał się na tem, co w niej było złego: autor stał się bardzo wziętym i ulubionym.

Niebawem wyszły Mieszaniny obyczajowe Jarosza Beyły, które opinię powszechną gwałtownie przeciw Rzewuskiemu zwróciły. Są to uwagi filozoficzne i moralne o społeczeństwie polskiem. Trafnych spostrzeżeń i uwag rozumnych jest wiele, ale mimo to książka jest istotnie zła. Cała, zdaje się, na to napisana, by nas przekonać szeregiem bardzo naciąganych a płytkich argumentów, że jesteśmy organizmem w rozkładzie, którego pierwiastki i duch sam muszą wejść w skład obcych mu żywiołów. Oburzenie było niezmierne i powszechne.

Listopad (1845) znowu wzbudził podziw powszechny i słusznie. Bohaterami powieści są bracia Strawińscy, przedstawiciele dwóch odrębnych cywilizacji za Stanisława Augusta: Ludwik wykształcony we Francji, obyty na dworze wersalskim, piękny, dowcipny salonowiec — i Michał, wychowany po staropolsku, palestrant, żołnierz i dworzanin nieświeski, pobożny i sumienny, choć w pojęciach trochę zacofany i panu swemu, księciu Panie kochanku, zbyt uległy. Rzecz rozgrywa się za konfederacji Barskiej, a głównem zdarzeniem jest porwanie Stanisława Augusta przez konfederatów w listopadzie 1771 roku (stąd tytuł), w którym Michał wziął udział i przypłacił go życiem. Jako obraz XVIII wieku, z jego życiem i obyczajem, od dworu Stanisława Augusta aż do dworków szlacheckich, ze staropolskimi i nowomodnymi francuskimi pojęciami, Listopad nie ma nic równego sobie w naszej literaturze. Z wyjątkiem scen czułych i dramatycznych, które się nie udały, powieść jest bardzo zajmująca, a figury skreślone z niezmiernem życiem i prawdą. Powodzenie Listopada zachęciło Rzewuskiego do historycznej powieści i napisał Zamek krakowski: bohaterem jest Samuel Zborowski, a treścią romansową jego miłość do Gryzeldy Batorówny. Ale nieporównany znawca wieku XVIII znalazł się na polu nieswojem, kiedy ten wiek porzucił, i ani w charakterze czasu ani w figurach ani w samej intrydze powieści, dawnej fantazyi i sztuki już nie pokazał. Powieść jest bardzo słaba. Wogóle późniejsze powieści, czy większe, jak Rycerz Lizdejko, czy

*Merwyn wychowany
wawrze. c. 1815*

zbiór mniejszych (Nie Bajki) są słabe. Adam Śmigieński (nie romans ani historyczny żywot, raczej powieść dla dorastającej młodzieży) zajmujący i ładny.

Ostatnia jego powieść Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego, długa i nudna, podstawną myślą i wrażeniem, jakie sprawiła, podobna była do Mieszanin Beyły. Bohater przechodzi wszystkie zmiany, jakie się dokonały w Polsce od roku 1788 do 1815, a za każdą zmienia swe przekonanie i stanowisko. Cynizm, a cynizm naiwny, nieświadomy swojej nikczemności, owszem mający się za roztropność i cnotę, w żadnej książce polskiej nie występuje z tak wstrętną otwartością.

Charakterystyka. Jako człowiek rozumny i sławny z wielkiego dowcipu w rozmowie, jako pisarz pokazał Rzewuski talent naprawdę niepospolity w jednym rodzaju, gawędowym i obrazkowym. We wszystkich innych rodzajach talent ten okazuje się zwyczajnym lub nawet słabym.

Stanowisko fałszywe i poniżające, jakie Rzewuski zajął w literaturze i w społeczeństwie, tłómaczy się upartem, fanatycznym ubóstwieniem przeszłości, a wstrętem i pogardą do teraźniejszości za to, że jest inną niż przeszłość. W jego rodzinie przywiązanie do wolnej elekcyi i *liberum veto* było rodzajem politycznego, a nieledwie religijnego przykazania. Jego ojciec należał do najgorętszych i najgłośniejszych przeciwników ustawy 3 maja; krewny ojca, hetman Seweryn, należał do konfederacyi Targowickiej; Henryk odziedziczył ich wyobrażenia i podzielał je szczerze, a widząc, że ogół ich nie podzielał, a ich zwolenników surowo sądził, zaciął się w nich tem bardziej przez dumę i uwziął się dowieść, że tylko tamci mieli rozum i słusność, a ci, którzy chcieli Rzeczpospolitą naprawić, zgubili ją mniemaną naprawą. Stąd nienawiść, z jaką przesładuje ludzi 3 maja i ich spadkobierców, wiara (poniekąd szczerą) w doskonałość i mądrość dawnych instytucyi polskich. Usposobienie złośliwe i ironiczne sprawiło, że im więcej ludzie oburzali się na niego, tem bardziej na przekór drażnił ich i wyzywał. Podziw dla potęgi rosyjskiej, oswojenie się z nią przez wychowanie w Petersburgu, zwracały go w tamtą stronę. Nieszczęścia majątkowe sprawiły znowu, że przyjął posadę, jaka się nadarzyła. Fanatyk dawnej Rzeczypospolitej i konfederacyi Barskiej, a zarazem wyznawca i apostoł przywiązania do Rosyi, legitymista *liberi veto* i zarazem legitymista monarchiczny, katolik szczerzy, a zarazem mimo przesładowań kościoła wielbił cesarza Mikołaja, moralista surowy i czujny stróż narodowego, szlacheckiego i osobistego honoru i godności, a zarazem w życiu przykład cynicznego szyderstwa ze wszystkiego, nawet z siebie samego — jest Rzewuski dziwnym zbiorem sprzeczności, które się tem jednym dadzą wytłómaczyć, że niezdrowe czasy i stosunki muszą wydawać między ludźmi niezdrowe natury i umysły.

S. J. no 10

Z Pamiętników pana Seweryna Soplicy.

Trybunał lubelski.

Ośmdziesiąt lat mija, jak bieduję na tym padole płaczu; ale i drugie i trzecie lat tyle przeżyłbym, a nigdybym nie zapomniał

wrażenia, jakie na mnie zrobił trybunał lubelski, chociaż na nim byłem nie dzieckiem ani młokosem, ale już miałem blisko lat czterdziestu. Lubom starzec, nie zazdrozczę młodzieży naszej, że mnie przeżyje, bo nigdy widzieć nie będzie tego, na cośmy patrzali. Doczeka się i ona swego czasu czegoś dobrego, ale taki to nie będzie, co było. I nasze trybunały były pełne powagi i było na co patrzeć; ale trybunał koronny był nierównie okazalszy, bo starszy był ledwo nie dwoma set laty i więcej narodom sprawiedliwości wymierzał.

Już od lat kilku chodziłem koło pańskich interesów, kiedy ksiązę mi kazał jechać do Białej z częścią swojego dworu i tam na niego czekać. Ksiązę przybywszy do Białej, niedługo w niej gościł i pojechał do Lublina, gdzie finalnie sądzona być miała jego sprawa zadawniona, która różne koleje przechodziła. Siegała ona jeszcze czasów księcia Radziwiłła Sierotki... Jeśli świadomy jestem tego wszystkiego, nie dziw, bo od deski do deski sto razy może przeczytałem wszystkie dokumenta, tyczące się tej sprawy.

Pojechalismy więc do Lublina za księciem. Do bryki, w której siedziałem, dodano mi pana Bartłomieja Chodźkę, dworzanina księcia. Dobry chłopiec, ale paliwoda, jakiego świat nie widział. Ojciec jego, sędzia ziemski upitski, miał piękny majątek i kilka razy deputatował na trybunał. Mógłby on sam wykierować syna, ale rady mu dać nie mógł; taki był zabijaka. Oddał go był do palestry, chcąc go mieć niedaleko oka; ale ten więcej szabli niż pióra pilnując, tyle ponakrawał łbów, że w jednym roku do trzydziestu tysięcy musiał zapłacić za jego burdy. Naprzykrzyło mu się; a że był spadkowiec przyjacielem domu Radziwiłłów, a ksiązę Radziwiłł lubił szlachtę łapczywą do korda, więc go oddał do Nieświeża. Wzrostu był małego i sucherławy, figura niepoczesna — ale mało ludzi równej siły i tak szablą robiących. Miał on pałasz cieniutki, który smyczkiem nazywał. Najmilsza jego zabawka była wpaść między nieznanomych i udając mazgaja, przyjść do zaczepki. Pozwalał naprzód z siebie żartować, potem odciął się czem grubem, żeby być wyzwanym; dopiero minę tchórza przybrawszy, wypraszał się od pojedynku — a nakoniec z musu niby bił się i kaleczył tych, co się na nim nie poznali. Ja, że byłem już ojciec dzieciom, a do tego zaszczycony przyjaźnią W. Sędziego upitskiego, więc miałem przewagę nad panem Bartłojem i wierzył mi. Bywało nieraz umityguje go, kiedy przyjechał do Nowogródka, wpadnie w burdę; bo on zawsze do mnie zajeżdżał, jako do sługi jednego dworu. Więc z nim na bryczce

siedziałem, a on, że nigdy dotąd z Litwy nie wyjechał, wypytywał się mnie w drodze o Koronę.

Razu jednego mówi mi:

— Wybacz, panie Sewerynie, ale taki mój smyczek musi się pobratać z koroniarzami — szczególniej radbym poznać jakiego Łęczycanina.

— A to czemu?

— Temu, że kiedy mnie w szkołach nauką męczono, wyczytałem w Trocu, że Francuzy mówią: bić się po dyabelsku, a Polacy: bić się po łączycku. Tyle mi się zostało z całej francuszczyzny. Otóż radbym się przekonał, czy lepsi gracze w Łęczycy, czy w Poniewieżu.

— Ej, porzuć panie Bartłomieju, pleść takie koszalki opałki. Czy nie wiesz, że pod bokiem trybunału burdę zrobiwszy, można się przed czasem obaczyć z Trójcą Świętą? Waćpan całe życie guza szukasz — a jak staniemy, powiem ja księciu panu, jakie waćpan chcesz kwerendy robić w Lublinie; to ksiązę waćpana nie każe wypuszczać ze stancyi.

— Panie Sewerynie, ja tak żartuję tylko, aby czas prędzej schodził. Ktoby tam o tych burdach myślał! Bądź spokojny, ja pana ciągle się będę trzymał — ale dla Boga! księciu panu o niczem nie wspominaj.

Myślałem, że się panicz utemperował, bo spotykaliśmy po karczmach szlachtę łukowską przy kufiu, a przecie pan Bartłomiej nikogo nie zaczepił. Przyjechaliśmy do Lublina w sobotę wieczór. Ja byłem rad, że nazajutrz była niedziela, bo dojeżdżając do Lubartowa, gdyśmy się spuszczały z góry, naszelniki pękły i konie nas poniosły. Pan Bartłomiej śmiał się, ale ja przeląknęłem się mocno i zrobiłem intencję, że jak Pan Bóg wyratuje mnie z niebezpieczeństwa, przyjechawszy do Lublina, nazajutrz pójde do spowiedzi i do komunii. Jakoż, lubo bryka przewróciła się na grobli, prawdziwym cudem wszyscy wstaliśmy bez szwanku. Ale w niedzielę ledwo przez pół mogłem dopełnić mojej intencji, bo ksiązę kazał z rana przyjść do siebie, aby pomagać panu Radziszewskiemu w tłómaczeniu interesu przed panami Hryniewieckim i Koźmianem, co później zostali jeden wojewodą, drugi kasztelanem lubelskim, a byli pierwszymi mecenasami w Lublinie i księcia pana wielkimi przyjaciółmi. Szczęście, że ksiązę miał kapelana i ołtarz podróżny z wielkimi przywilejami od nuncjusza, bo inaczej byłbym mszę św. przypiekl. W istocie konferencya po dwunastej się zakończyła. Ja

z panem Bartłomiejem poszedłem do OO. Bazylianów i trafiliśmy pod sam koniec nabożeństwa. Uprosiłem księdza, że mnie wyspowiadał, ale komunię do jutra odłożyć musiałem.

Trybunał w tym roku odbywał się pod laską JW. Chołonewskiego, starosty kołomyjskiego, co miał jakąś kolligacyę z księciem panem. Prezydentem był kanonik Wodzicki, opat hebdowski, u którego przez czas urzędowania tyle się starego wina wypilo, że parę niedziel koło młyńskie mogłoby się niem obracać. On to mawiał: że wino przynajmniej jednym rokiem starsze być powinno od uprzejmego gospodarza. Otóż JW. marszałek trybunału tyle miał szacunku dla dostojnego swego kolligata, że pierwszy go nawiedził i zaprosił do siebie na obiad. Księżę pan przyjął go przed kamienicą, żaląc się, iż go uprzedził, a potem z JW. marszałkiem pojechał do przewielebnego prezydenta. Że zaś pan Kozmian zaprosił do siebie na obiad WW. Radziszewskiego i Rupejkę, cywuna ejragolskiego, co z przyjaźni dla księcia urząd marszałka dworu interymalnie sprawował, więc przy mnie, jako plenipotencie specjalnym, zostawało pierwszeństwo nad dworem i u stołu marszałkowskiego byłem gospodarzem. Po obiedzie poszedłem miasto poznać; a jednak nie bardzo dowierzając panu Bartłomiejowi co do obiecanego statku, zaprosiłem go, by mi dotrzymał kompanii. Poszliśmy więc; ale że jako w niedzielę wszystkie jurysdykcyje były pozamykane, a urzędnicy, pacyenci i palestra biesiadowali, okrom tego nie mieliśmy znajomych, więc z panem Bartłomiejem wyszliśmy sobie za miasto od gościńca lwowskiego, aby okolicę obejrzeć. Kilkaset kroków uszedłszy, natrafiliśmy na kilka starych lip, za któremi była karczma, a przed lipami na samym gościńcu leżał wielki kamień młyński. Pan Bartłomiej odezwał się:

— Nie źle byłoby sięść na tym kamieniu pod cieniem i napić się piwka.

— Dobrze mówisz; poczekajże na mnie, a ja pójde do gospody i każe go wynieść.

Przy gospodzie zastałem kilkunastu młodzieży do palestry należącej, jakem wnosił z ich pąsowych lubelskich kontuszów. Ja im się uklonił, oni mnie — i wszedłem do szynku. Żyd poszedł do lodowni natoczyć garniec świeżego piwa, a ja na niego czekając, czytałem po oknach i ścianach różne popisane koncepta. Gdy żyd wrócił z piwem, poszliśmy do lip — widzę pana Bartłomeja siedzącego na kamieniu, jakem go zostawił, a przy nim ci wszyscy panowie, których znalazłem na przyzbie u karczmy. Oni stali kołem przy

nim, a on na nich poglądał jak gap. Jużem poznał, że to będą nie przelewki. Przybliżyłem się do niego — a on mi, mazgaja minę zrobiwszy:

— Panie Sewerynie Dobrodzieju, coś ci panowie do mnie mówią koroniaszowskim językiem, a ja ich nie ze wszystkim rozumiem.

Aż jeden z paśowych panów: Waćpanowie może nie wiecie, że tu się kończy jurydykcyja trybunalska — to jest palestry młyn, oto kamień, a my kołem. Kto się tego kamienia dotyka, musi stąd wyjść albo mąką albo krupami. Waćpanów dwóch: powiedzcie, którego mamy zemleć, a którego skrupić?

Ja im na to:

— Moi panowie, jam już za stary, żebyście ze mnie żartowali, a Bóg świadek, że jutro do komunii przystępuję. Powtóre, będąc w interesie księcia Karola Radziwiłła, wojewody wileńskiego, w którego orszaku przybyłem, nie mogę sobą rozporządzać przed końcem jego sprawy. A to jest pan Chodźko, sędzic ziemski upitski, dworzaniec JO. księcia wojewody. Bądźcie więc łaskawi, panowie, puśćcie nas spokojnie.

Między nimi był, jakem później się dowiedział, dependent pana Koźmiana, nazwiskiem Czarkowski, z Braclawskiego, który wiedział o interesie księcia i że jego mecenas nim się trudni. Ten się odezwał:

— Panowie koledzy! to jest umocowany księcia, ja za nim proszę, zwłaszcza że on się nie dotknął naszego kamienia — ale pana sędzica upitskiego, co tu na tym kamieniu siedzi, będziemy mleć bez ceremonii.

— A czyście mnie ze swego śpichrza wynieśli, żebyście mnie mleć mieli.

— Powiedzno, bracie, czy ty karabelę nosisz tylko dla ozdoby?

— A dla ozdoby.

— To my ciebie wyuczym, jak się z nią obchodzić. Wstawaj i dobywaj szabli.

— A kiedy mi dobrze na tym kamieniu. Nie wolelibyście piwka z nami wypić i odczepić się ode mnie, a mleć kogo z waszych, bo zboże litewskie dobrze ususzone i twarde.

— Obaczymy! odezwał się jeden, czy twardsze od naszego. Ja jestem marszałkiem koła, ze mną trzeba zaczynać: wstawaj więc, bracie!

— A kiedy ja się asandzieja boję: wolę przeprosić niż bić się...

— Już to za późno — bić się musisz; chyba zezwolisz, abyśmy cię wyplazowali.

— No, kiedyście tacy zawzięci, czy niemasz między wami Łęczycanina jakiego? niech się nie męczę! — i zaczął chustką niby ły

z oczu ocierać, dodając: Oj, biedna moja matulo, jakże będziesz płakała po swoim Bartku!

Tak ja: Panowie Dobrodzieje! posłuchajcie mnie, jako wiekiem od was wszystkich starszego. Czyby nie lepiej, na pamiątkę Ludwika, ojca królowej Jadwigi, a teścia naszego Jagiełły, wezwać Węgrzynów, aby nas pogodzili? Dajcie pokój temu spokojnemu chłopcu, a pozwólcie, żebym posłał po wino i was uczęstował w tej gospodzie.

Zaczęła się miękczeć palestra i niektórzy odzywali się do marszałka koła: Puść z Bogiem tego poczciwego Litwosza — on nie wiedział o prawach naszego młyna.

Tu już się zaczął obawiać pan Bartłomiej, aby burda na niczem nie spełzła; i siedząc zawsze na kamieniu, odezwał się drapiąc w głowę:

— A to waćpan jesteś marszałkiem tego młyna? Winszuję; ale na Litwie, to mielnicy i wieprze po młynach siedzą, a nie marszałkowie.

— Słuchaj, bracie gapiu: przez wzgląd na twego poważnego kolegę całego cię puszczam; ale trzymaj język za zębami, a z żarcikami występuj na takich, jakiś sam.

— Nie gniewaj się, W. marszałku, nie będę z tobą żartował, tylko seryo mówię. A wiesz, dlaczego wolałbym z biedy potykać się z Łęczycaninem, niż z waćpanem? bo mówią, że Łęczycanie mają rozum; a oto świadek mój kolega, że kiedym jechał z Litwy do Lublina, cyganka mi wróżyła, że z rąk wielkiego błazna mam zginąć: to jakim spojrział na W. marszałka, bardzom się go przestraszył.

Już tu nie było sposobu poradzić. Marszałek ledwo nie pękł ze złości i, dobywszy szabli, z największym impetem na Chodźkę natarł. Ten tylko miał czas za kamień wyskoczyć — dobył swojego smyczka, a plunawszy w rękę, od pierwszego składu tak marszałkowi dał po łapie, że szabla na ziemię upadła. Obwiązywali mu koledzy rękę; a on, nie tyle z bólu, ile z konfuzyi, stał jak wryty.

— A no! odezwał się pan Bartłomiej: myślałem, że się bić z koroniarzem wielka filozofia, a tu marszałka oporządzić mniej trzeba czasu, niżby butelkę odkorkować.

Poczekaj gburze, dam ja tobie! — zawołał drugi, i z ogromnym pałaszem dalej na niego. Ale ledwo parę razy się złożył, a i ten drugi smyczkiem po łbie dostał.

Staął trzeci: — Chciałeś mieć do czynienia z Łęczycaninem, oto masz go tu. Trochę dłużej trwało, ale i ten po łbie oberwał.

— A to dyabeł, nie Litwin — odezwali się koroniarze. Słuchaj,

panie bracie, tyś zadrwił z nas; udawałeś gawrona, a tyś rębacz czternastej próby. Wedle praw naszego młyna, kto trzy razy zwyciężył, wolnym jest od wszelkiej prepetycyi. Jeżeliś temu rad, ofiaruję ci naszą przyjaźń — jeżeli nią gardzisz, chociażęś tęgi, jeden po drugim wszyscy ci służyć będziemy.

— *Omne trinum perfectum* — odezwałem się; — będzie z waćpana, panie Bartłomeju, a pocałuj się z tymi zacnymi panami.

— Zgoda — odpowiedział Bartłomej. — Jak ja mam sobie za zaszczyt, że m się z wami pobawił smyczkiem, to jeszcze za większy poczytuję sobie waszą przyjaźń.

Zaczął się z nimi całować; przeproszać tych, co obznaczył, a szczególnie marszałka. Ja, aby ich pocieszyć, powiedziałem: Niech to panów nie upokarza, żeście nie byli szczęśliwi z moim kolegą, bo to jest pierwszy rębacz na Litwie.

Jakoż szczerze się pojednali i odprowadziliśmy do kwatery marszałka, jego samego i kolegów rannych, my piechotą, a ranni na furmance u żyda najętej. Palestra fundowała nam hulankę, że dobrze podochoceni wróciliśmy do siebie. Po drodze strofowałem trochę pana Bartłomeja, alem go jeszcze więcej jak wprzód pokochał, bo tak i honor prowincyi litewskiej utrzymał.

Nazajutrz odbywszy się w kościele, poszedłem z panem Bartłomejem na trybunał, gdzieśmy zastali kilku z tych, cośmy poznali dnia wczorajszego przy kamieniu młyńskim. Oni czekali przybycia członków palestry i pacyentów w ustępowej sali — było tego więcej dwóch tysięcy, jakem z oka miarkował. Nasi przyjaciele oprowadzali nas wszędzie, wszystko nam tłómacząc.

Naraz usłyszeliśmy woźnych, różnymi tonami powtarzających: Mości panowie, ustąpcie się, ustąpcie się! JW. Sandomierski idzie! — A potem znowu: Ustąpcie się! JW. Poznański idzie! — i tak ciągle coraz innego jaśnie wielmożnego mianując. My czem prędzej wrócili się do sali ustępnej, przez którą między dwiema liniami palestry i pacyentów, poprzędzani przez woźnych, szli poważnie deputaci do sali trybunalskiej, lekkim skinieniem głowy odplacając niskie ukłony, z prawej i lewej strony odbierane. Aż huk bębnow i gęste wystrzały oznajmiły przybycie JW. marszałka. Tu woźni wszyscy odezwali się jednym głosem: — Mości panowie! uciszcie się! uciszcie się! JW. marszałek najjaśniejszego trybunału idzie! — I prawda, że w tak licznym zgromadzeniu takie milczenie towarzyszyło przybyciu JW. marszałka, że muchę latającą usłyszecby można było. Prawy i lewy szereg, między którymi przechodził, ukłonem ziemi prawie się

dotykał; i dopiero kiedy już był o kilka kroków naprzód, jeden leb po drugim powstawał, a tak regularnie, jakby za pociągnięciem sznurka. Za marszałkiem kilku magnatów przybyło i między nimi JO. księżę wojewoda wileński z JO. marszałkiem wielkim koronnym szli razem, po przyjacielsku rozmawiając.

JW. marszałek trybunału zaprosił księcia marszałka w. k., księcia wojewodę wileńskiego i innych znajdujących się senatorów za kratę, aby raczyli zająć miejsca w izbie trybunalskiej, a woźni im krzesła poustawiali; bo ministrów i senatorów nawet w czasie ustępu nie wypraszano, sami chyba przez delikatność się usuwali. Gdy trybunał zasiadł, JW. przewielebny prezydent zaintonował *Veni creator*, a deputaci duchowni wszyscy i niektórzy świeccy, jakoż wielu z palestry i pacjentów wtórowali, że po całym rynku hymn dał się słyszeć...

Ignacy Chodźko.

Urodził się w r. 1795 na Litwie. Do szkół chodził w Borunach, uniwersytet ukończył w Wilnie w r. 1814; zatem nie był kolegą Mickiewicza i jego przyjaciół, ale był z nimi w ścisłych i serdecznych stosunkach. Całe życie spędził na wsi, w Dziewiętni, zajęty gospodarstwem i ziemskim urzędem podkomorzego (dopóki takie były jeszcze na Litwie). Umarł w Dziewiętni w roku 1861.

Dzieła. Chodźko miał w domu starego przyjaciela, niegdyś konfederata Barskiego, i z jego opowiadań zaczął spisywać Obrazy litewskie (w sześciu seryach 1840—1850), których dalsze tomy zapelniał już własnymi wspomnieniami. Obrazy te, jakoteż Podania litewskie (w czterech seryach 1853—1860) są wielką ozdobą naszej literatury powieściowej. Z wyjątkiem jednego Henryka Rzewuskiego nikt nie opisywał staropolskiego życia i obyczaju z takim życiem i z takim wdziękiem, jak Chodźko: a nad Rzewuskim ma tę wyższość, że w jego pismach niema nic niezdrowego i fałszywego. Najładniejsze są Pamiętniki kwestarza, Boruny, Domek mojego dziadka, i jego Śmierć.

Z „Pamiętników Kwestarza“.

Instrukcja na kwestę i na odjazd z klasztoru.

W kilka dni po rozjechaniu się kapituły, zawołał mnie ks. gwardyan do siebie i rzekł:

— Oto masz, bracie Michale, *obediencye*¹⁾, dziś tu od księdza prowincyała przyslaną, na kwestarza tutejszego klasztoru. Wybieraj się więc, i jutro ruszaj w Imię Boże! Ot co jest.

¹⁾ rozkaz.

— A mnie to na co?

— Na to, abys i sam, i my wszyscy mieli co jeść przez zimę. Wiesz, że z łaski dobrodziejów żyjem. Ojciec prowincyał, poznawszy cię dobrze, i wiedząc, żeś dworak i bywalec, żyłeś na świecie i znasz *mores*, obrał cię do tej posługi, jako najzdatniejszego. Widać w tem życzliwość dla klasztoru; a lubo go wcale o to nie obligowałem, ani tegom sobie życzył, jednak na jego miejscu toż samobym zrobił. Nareszcie, krótka sprawa — *obedientia!* Ot co jest!

— Nie mam co na to odpowiedzieć, ojcze! ależ kiedy kwesta się nie uda i powrócę z niczem?

— To być nie może; żadnemu kwestarzowi jeszcze się to u nas nie zdarzyło. A lubo nie to już teraz co dawniej bywało, kiedy kwestarz ile baranów, tyle we dwoje jeszcze talarów przywoził, kiedy fury za nim i przed nim wlokły pszeniczkę do naszych śpichrzów, wszelakoż i teraz nikt jeszcze kwestarza nie wypędził z domu; jeszcze pobożność, dobroczynność i ludzkość żyją na Litwie. Ot co jest! A mówiąc prawdę, i teraz jak dawniej, jest jakaś powszechna u wszystkich i wszędzie domowa przychylność dla Bernardynów. Dla tego ruszaj waszeć, jak mówiłem, i powracaj przed *porcyunkulą*, ale ani mi się nie pokazuj bez kopy baranów, bo cię na miesiąc w ciupę zasadzę. Ot co jest! — dodał z uśmiechem.

A to mi *pater periculosus!* — pomyślałem.

— Ależ *Reverendissime*, ja nie wilk, chwytac baranów nie będę; ile dadzą, tyle nazbieram.

— *Racya!* Nie jesteś wilkiem, ale nie trzeba być i osłem. Ot co jest! Wiedz, bracie, że pomyślność kwesty najwięcej od kwestarza zależy. *Est modus in rebus*¹⁾, jak to ludzie powiadają. Są ludzie, i takich chwała Bogu więcej, którzy wyglądają i czekają corocznie kwestarza, jak bocianów na wiosnę; tacy obaczywszy cię zdaleka, dawno przeznaczonego barana sami naprzeciw twojej trzodki wypędzą; tacy przyjmą cię serdecznie, uczęstują suto i zatrzymają na noc, dla pocziwej i dobrodusznej gawędki, do której tęsknią przez cały rok; takim na podziękowanie szczere *Deo gratias* wystarczy, bo tacy wierzą we wdzięczność i dla tego radzi na nią zasługują.

Są inni, zupełnie tamtym przeciwni, którzy postrzegłszy cię w bramie, wnet myśleć będą, jakby cię gładko wyprawić, od takich i dobre słowo wiele warte, a prosić i naprzykrzac się nie należy; modlić się za nich owszem potrzeba, aby ich Bóg natchnął łaską swoją świętą i większą chęcią wspomagania bliźnich. Ot co jest!

¹⁾ jest sposób na wszystko.

Ale są jeszcze inni, a to najczęściej wielcy panowie, u których, jak wiesz, hojność od humoru zależy; otóż w tem sztuka, aby ten humor pobudzić mądrym żarcikiem, wesołą dykteryjką, delikatnem przymówieniem się, jakiemu odmówić wstydy im było. Potrzeba, panie bracie, umieć zarzucić, iż tak rzekę, wędę do morza wspaniałości pańskiej, a na haczyku na przynętę *concept* uczepić, i wyciągniesz barana, albo i dukata. Waść dworak, potrafisz więc sobie doradzić! ale i w tem miej uwagę, że inna jest dworszczyzna świecka, a inna bernardyńska; nasza rubaszniejsza wprawdzie, ale jak w tamtej trzeba czasami umieć zatrzymać język za zębami, tak w naszej za habitem. Ot co jest! *Intelligis?* Zresztą *usus te plura docebit*¹⁾.

Wychodziłem zatem, gdy mię jeszcze zatrzymał ks. gwardyan.

— Ale! rzekł on, lubo figura twoja nabywa już *cyrkumferencyi* bernardyńskiej, lecz masz jeszcze ostatki ze światowych nałogów, których koniecznie odrzec się potrzeba. Porzuć waść naprzód ulubioną fajeczkę, bo to nie moda nawet i w klasztorze, a tembardziej na kwescie. Nikt jeszcze kwestarza z fajką nie widział. Natomiast weź dobry zapas tabaki naszej *bernardynki*. Cały świat zażywa tabakę, i *bernardynka* sławna na cały świat. Będziesz więc mógł przysługiwać się tabacznikom i brać za nią barany, a sam łatwo przywykniesz, bo to *trzeźwi i rzeźwi*. Spróbuj waszec. — Gdym zażył i kichnął — Ot co jest! — wykrzyknął ks. gwardyan. — A co? *Vale!* Daruję ci i tę tabakierkę na początek. Powtóre, mówisz waść zawsze: *Panie Dobrodzieju! Mości Dobrodzieju!* a u nas niema ani *Mości*, ani *Panów*; wszyscy zarówno są nasi *Dobrodzieje* tylko, i czysto bez dodatków *Dobrodzieje*. Gdybyś z nowemi *denominacyami* i obyczajami wyjechał na świat, kwestaby ci się pewnie nie powiodła. Kwestarz bez mowy i głowy kwestarskiej, a co gorsza, z mową światową i modną wyszedłby jak *Zabłocki na mydle*. Tak, bracie, pokornie i wesoło, choćby i mądrze nawet niekiedy, ale zawsze po prostu, po dawnemu, to grunt! Takim obyczajem poprzednicy nasi zasłużyli zakonowi łaskę Boską i miłość ludzką. Trzymajmy się tej drogi, bracie! a kiedy ona chybiać już zacznie, kiedy szczerłość, prostota i pokora nie będą już trafiać do serc, zły to będzie znak, bracie, nie tylko dla nas, ale i dla wszystkich, bo natenczas jad niedowiarstwa i pogardy naszej świętej religii, który teraz po kropli spada między nas gdzieniegdzie, rozszerzy się jak plaga egipska między narodem!.. Daj Boże tego nie dożyć!

¹⁾ Rozumiesz? . . . z praktyki więcej się nauczysz.

— A zkądże te nieszczęśliwe wróżby? *Reverendissime!*

— Oho! bracie! nie taki ja głupi, jak waszeć myślisz. Ot co jest! Przechodziłem ja różne stopnie zakonne; jestem nie chwając się *Doktorem św. Teologii*, której byłem lat kilka profesorem w Wilnie, i razem kaznodzieją tamże, a nakoniec *Lektorem* przez czas niemały. Znam ja i rozważałem zkąd zło idzie; umiem ja, a przynajmniej rozumiem i francuzczyznę, bodajby jej u nas nigdy nie było... w niej arsenał szatana, i z niej on bierze truciznę, którą na nas biednych garściami rzuca. Ale w Bogu nadzieja! Ot co jest! Nie czas o tem myśleć. Smutno mi będzie bez ciebie, bracie, bom do ciebie serdecznie przywykł; zimę za to przepędzimy razem i nagramy się wieczorami w warcaby i w maryasza.

Masz starego klasztornego furmana, Marcina, który kilku już kwestarzy odwoził, masz dwa wozy, dwa stare konie, dwa barany *prewodyry*, i psa wiernego na stróża twojej przyszłej trzody, i wozów; ot cała twoja drużyna. A więc *Deus te benedicat, ducat et reducat*¹⁾. Ot co jest.

Poszedłem więc do stajni i poznałem się z moim towarzyszem podróży, Marcinem, który porządkował się do drogi. Nazajutrz zatem, wysłuchawszy rano mszy świętej i wzięwszy benedykcję kochanego mego ks. gwardyana, siadłem na wóz.

Na przodzie Eliasz i Barabasz, dwa piękne rogate barany z dzwoneczkami na szyjach, przy nich pies *Pamfil*, za nimi Marcin na kałamaszce, wielkim a chudym koniem dropiatym, i nakoniec ja na drugiej, siwą i trochę chromą kobyłą. W bramie Marcin przeżegnał się i zaintonował „*Zawitaj ranna jutrzeńko!*“⁴ ja mu zawtórowałem, i tak pobożnie śpiewając, przebyliśmy z naszą kalwakatą miasteczko.

Legendy starego Marcina.

— Gdzież pojedziem? Marcinie! — zapytałem, przejechawszy miasteczko.

— Gdzie oczy poniosą, mój Jegomość!

— Tyś nieraz z kwestarzami jeździł, więc prowadź, jak znasz lepiej.

— Już to, mój Jegomość, do blizkich tu dworów niema po co zajeżdzać: bo panowie z sąsiedztwa co niedziela bywają w kościele i u ks. gwardyana, to on i sam u nich najlepiej wykwestuje; nam

¹⁾ Niech cię Bóg błogosławi, prowadzi i powróci.

więc potrzeba odsadzić się dalej trochę od gniazda. Na obiad zaprowadzę Jegomością do mojego starego przyjaciela, p. Jana Bielewicza, strażnika lasów książęcych, stąd o mil trzy. Zawsze od niego zaczynamy kwestę; jego baran szczęśliwy, bo pocziwą ręką i nie żałując daje; a choć powiadają o nim, że umie strzelby zamawiać i zwierzynę na swoją cel ściągać, ale to nie prawda, bodaj im takie zdrowie! Zwierzyny u niego huk, cóż to dziwnego? zna pole i wie kiedy na jakiego zwierza czy na ptastwo najlepszy czas, a uczył się do tego rejestru u sławnego pana Wołodkiewicza, którego zastrzelili w Mińsku. Potem książę przyjął go do siebie i dał mu porządne podłowiectwo; ożenił się zatem, już ma synów jak dębów i córeczkę jak jagodę; owdowiał, prawda, ale cóż robić? taka była wola Boska i siedzi sobie teraz spokojnie, jak daj Boże do wieku każdemu pocziwemu.

— Dobrze, jedźmy, rzekłem, do p. Bielewicza.

Wlekliśmy się więc noga za nogą, mówiąc po cichu paciorki. Mój pan woźnica stawał niekiedy, dozwalając baranom poskubać trawki i potrząsając tabakę z rożka, a oglądając się na mnie niekiedy z jakąś skrzywioną miną; ja wzajemnie rozważałem jego *posturę*. Stary ale czerstwy, wąs i czupryna siwe i gęste, twarz i nos czerwony, oko żywe, jak u młodego; miał na sobie habit przekrojony na kapotę, na nim szarą płócienną czujkę, z kapiszonem z tyłu dla okrycia od deszczu głowy, na której teraz wysoka czapka z czarnego barana sterczała, na płaszczu zawieszona koronka, a po kapocie spięty szerokim skórzanym pasem, z za którego rożek z tabaką wyglądał.

Po kilku takich popasach i poglądach na mnie, przerwał on nakoniec długie nasze, a widać uprzykrzone jemu *silentium*.

— Ależ Jegomość milczysz jak pień.

— A cóż mam gadać? mój kochany Marcinie!

— A to Jegomościu trzeba było zostać kapucynem, bo kapucyni podobno nic nie gadają. Może Jegomościu zdaje się, że gadać z furmanem, to na godność Jegomością nie przystało; ale ja i prowincyałów wozili, a brat za brat ze mną dyszkurowali.

— I owszem, panie Marcinie, i ja chętnie będę z tobą dyszkurował, tylko że ja pierwszy raz w tych stronach, więc o niczem nie wiem, chyba ty mnie rozpowiadać będziesz, a do tego, jedziem pojedynczo, więc trudno rozhovor.

— Na wszystko jest sposób. Ja wyuczyłem moje konie regu-larnie; można jak chcąc puszczać ich, i na przód i w tył, a kieruję

głosem. Dropiaty jeszcze rozumniejszy, bo sam do dworów zawraca się, i nawet kiedy on zawróci się, to śmiało zajeżdżaj... z próżnemi rękami nie odjedziesz. Więc ja siądę z Jegomościem i będzie nam obudwom weselej, a przesiadając pośniadamy sobie. Dobądź tylko dobrodziej puzderko — rzekł złażąc z wozu.

— A czy jest i puzderko?

— Oho! znać, że Jegomość pierwszy raz kwestujesz. A jakżeż? i nie próżne: bo nim kto nam naleje, swój zapas na początek mieć potrzeba.

Dostał więc Marcin z podemnie puzderko, o którym nie wiedziałem, i chleba bułkę. — Czekam z rąk Jegomości — rzekł do mnie; potem, wychyliwszy miarkę, która się także w puzderku znalazła, kroił zakąskę. Eliasz i Barabasz przysli także po swoją porcyę; w długich wędrówkach przyswoił on ich do rąk; znali się z nim, jak towarzysze. Pamfil też zjadł śniadanie, a Marcin, usiadłszy ze mną — *Hej! dropiaty!* — krzyknął, i dropiaty powlekł się na przód, a siwa za dropiatym.

— Czy wiesz Jegomość, jakie to na prawo nieznanome miasteczko?

— To *Mir*. A wiesz Jegomość, jaki tam jest dzwon?

— Nie wiem.

— Otóż ja Jegomościu powiem, bo o wszystkim i wszędzie wiem cokolwiek. Człowiek to jakoś urodził się ciekawy, mowny, łowny i *gadatiwus*, więc lubię posłuchać i rozpowiadać, kiedy co warte. Otóż o tym dzwonie jest taka *dykteryjka*:

Nasz książę Panie kochanku, jeździł dawniej po cudzych krajach i wojował z poganami; sam to często opowiada; więc tak mu raz przyszło kuso i niebezpieczno, że różne czynił *wota* pobożne, aby cudem Boskim ująć pewnej zguby. Otóż szlubował wtenczas kościołowi *mirskiemu* taki dzwon, aby gdy w *Mirze* na rezurekcyę zadzwonią, w *Nieświżu* słyhać było; a to cztery mile mój Jegomość!

Więc jak tylko powrócił do *Nieświża*, kazał zaraz lać dzwon w *Mirze*, wyleli jeden, dzwonią na próbę — nie słyhać w *Nieświżu*. Panie kochanku dodaje złota i srebra do materyału, każe wylewać drugi większy; znowu leją i znowu dzwonią cały dzień — nie słyhać! a trzeba koniecznie wypełnić *votum* co do joty; leją więc dzwon trzeci...

Tymczasem jednego wieczora, Panie kochanku w dobrym będąc

humorze, baraszkował sobie między swoimi i łąał na czem świat stoi: bo to już jego taki zwyczaj. At, zwyczajnie panu wielkiemu wszystko wolno. Prawi cudactwa i każe wszystkim wierzyć. Kiedy jednak przebrał miarke, nie dotrzymał pan Michał Chodźko, który był pierwiej koniuszym u księcia, kiedy ja byłem masztalerzem, a potem on wyszedł na pana, a ja na furmana, i jest zawsze faworytem księcia; powiedział więc — Mości książe! dzwon mirski sły-chać! — Wszyscy nadstawili uszy, ale nikt nie słyszał. Książe tylko potakiwał panu Chodźce i mówił — A widzicie waszec, jaki głośny mój dzwon! Dopełniłem *votum* regularnie. — A jakże nie ma być głośnym, podchwycił Chodźko, kiedy książe pan cały dzień kłamiesz, zapewne na jego głos i pamiątkę?

Bo Jegomość musisz wiedzieć, że kiedy gdzie dzwony leją, trzeba łąać różne nowiny; gdyby daleko się rozchodziły, to i głos od dzwonów tak rozchodzić się będzie.

Książe nie rozgniewał się jednak, tylko śmiejąc się powiedział do Chodźki — Wasan sam taki Panie kochanku! — ale już dzwona nie przelewał; owszem ochrzcili go Karolem, zawiesili na dzwonicy, i książe zawsze powiada — *Słyhać Karola w Nieświżu!* — A kiedy kto zaprzeczy, to on mówi: — Co ja winien, Panie kochanku, że waść nie masz takiego słuchu, jak pan Michał Chodźko? — a prawdę mówiąc, nie kłamie, bo i sam ma imię Karol, a kiedy zacznie hu-czeń po swojemu, to *słyhać Karola w Nieświżu* — i pokręcał głową Marcin.

— A czy nie wiesz co, Marcinie, o tych sławnych złotych apostołach księcia?

— Oto, nie wiem! jakże nie wiem? pan Bukowski, szatny księ-cia, rozpowiada o nich każdemu, bo ich widział i woził. Szczerozłote były, mój Jegomość! a wielkie jak chłopczyki od lat sześciu.

— Ej czy nie mniejsze?

— A kto ich tam mierzył? dość, że książe wybierając się na wojnę z poganami do cudzych krajów, wziął z sobą i apostołów; zawiózł ich najpierw do Gdańska, a potem gdzieś dalej. A jak nie stało pieniędzy... A hej! dropiaty! na prawo! a hej!

Józef Korzeniowski.

Urodził się w Brodach w roku 1797. Szkoły przechodził w Zbarażu, w Czerniowcach, później w Krzemieńcu. W roku 1818 przeniósł się do Warszawy, gdzie był (przez krótki czas) nauczycielem małego Zygmunta

Krasińskiego. W roku 1823 powołany do Krzemieńca na profesora języka i literatury polskiej po Felińskim, zostawał tam aż do zamknięcia liceum wołyńskiego. Następnie był profesorem języka łacińskiego i historii w uniwersytecie kijowskim, skąd przeniesiono go do Charkowa na dyrektora gimnazjum. W roku 1846 powrócił do Warszawy; został wkrótce wizytatorem szkół. W roku 1861 przy nowej ich organizacji przez margr. Wielopolskiego, został dyrektorem wydziału w komisji wyznań i oświecenia. Umarł w Dreźnie, w podróży do kąpiel dla poratowania zdrowia, 17 września 1863 roku.

Dzieła. Zawód pisarski Korzeniowskiego obejmuje trzy rodzaje: dramat, komedię i powieść.

a) Dramat był wcześniejszym. Po kilku młodzieńczych próbach (n. p. Aniela, Klara, Piękna kobieta) w roku 1830 wyszedł Mnich. Jest to fragment tragedji o Bolesławie Śmiałym. Bolesław już w Ossyackim klasztorze, szarpany między skruczą a tęsknotą za władzą i koroną, nakreślony jest z pewną dramatyczną siłą; wiersz piękny. Rokował on nadzieje, jakich późniejsze utwory Korzeniowskiego nie ziszcily. Czy że nie czuł w sobie dość poetycznej wyobraźni i siły, czy dał się wprowadzić na inny tor przykładem współczesnych Francuzów, dość że zarzucił Korzeniowski wielką tragedję (raz tylko jeszcze powrócił do niej w Andrzej u Batorym, ale bez świetnego skutku) — a przerzucił się na pole potocznego, domowego dramatu. Zachęciło go do tego może wielkie podówczas (nietrwale) powodzenie Alexandra Dumasa lub Fryderyka Soulié: przynajmniej można tak wnosić z treści małych dramatów, takich jak Piąty akt, Okno na pierwszym piętrze, których kolizye wypływają z małżeńskich stosunków i nieporozumień. Z takich dramatów najżywszym, najbardziej wzruszającym i przez sytuacją i przez osoby są Karpaccy Górale, rzecz osnuta na prawdziwym zdarzeniu we wsi Żabim na Pokuciu (Antoś Rewizorczuk, młody szlachetny góral, ma narzeczoną Praksedę i zamierza ją poślubić. Ale w Praksedzie kocha się strzelec mandataryusza, Prokop, który chcąc usunąć Antosia, w porozumieniu z mandataryuszem oddaje go w rekruty, mimo, że jako jedynak u matki wolny jest od służby wojskowej. Prakseida wraz z wujem swym Maksymem udaje się w drogę, aby go odszukać; odnajdują go stojącego na warcie. Po krótkiej walce wewnętrznej Antoś porzuca karabin, przywdziewa gunię i ucieka w góry. Zabiwszy wroga swego Prokopa, staje się hersztem opryszków. Matka jego umarła, Prakseida obłąkana spoczęła na dnie rzeki — on schwytyany przez oddział wojska idzie na stracenie).

b) Komedię ze swoim charakterem potocznym, codziennym, bardziej realistycznym niż u Moliera i jego następców albo u Fredry, należą do tego typu, jaki między rokiem 1830 a 1850 miał wielką wziętość, a reprezentowany był przez Eugeniusza Scrib'ego. W Żydach są niektóre typy dobrze uchwycone i skreślone: nieszczęściem, zdroźnością lub śmiesznością przedstawione są z taką przesadą, że tracą charakter prawdy, a cnoty przemawiają tonem płacziwym i kaznodziejskim, ale współczucia nie budzą dosyć. W komediach z potocznego towarzyskiego życia, figury podrzędne, uboczne, miewają nieraz fizyognomię i życie:

głównym zwykle na nich zbywa. Akcyi zazwyczaj mało, nawet w tych, które jak Młoda wdowa, Wasy i peruka lub Majątek albo imię w swoim czasie najwięcej miały sławy i powodzenia. Z dawniejszych Doktor medycyny, z późniejszych Podróżomania mają najwięcej może numeru i życia.

Dramata i komedye Korzeniowskiego miały tę niezaprzeczoną załugę, że teatrom dostarczały sztuk coraz nowych, tworzyły zapas sztuk polskich, a od komedyi dawniejszych (z wyjątkiem Fredry, ma się rozumieć) były znacznie lepsze. Wszelako, czy w smutnym czy w wesołym rodzaju, pierwiastku dramatycznego w nich wiele nie ma. W dramatach bywają czasem sytuacje bardzo zawikłane, ale akcyi z małymi wyjątkami niema: w komedjach znajdzie się czasem obserwacya, humor, ale rzadziej vis comica. W jednych jak w drugich figury, zwłaszcza szlachetne, choć mają być poetyczne, a przynajmniej sympatyczne, są stereotypowe i martwe. W komedjach prócz tego, nauka moralna, zamiast przemawiać do widza wprost ze sztuki samej, dawana mu jest w dość ciężkich przemowach działających osób. Dyalog zaś jest często nienaturalny: osoby mówią takim językiem, jak żeby pisały książkę, a nie jak żeby swobodnie rozmawiały.

c) Powieści. Jeszcze za młodu pisywał Korzeniowski małe powiastki, ale w większych powieściach próbował się dopiero od roku 1846. Niektórzy żalowali, że poświęcił dla nich swój zawód dramatyczny (choć go nie zaniedbał zupełnie). Żal nieusprawiedliwiony. Właściwe Korzeniowskiemu przymioty miały w powieści więcej niż w dramacie lub komedyi pola do pokazania się, strony słabsze jego talentu na tem polu były mniej widoczne.

Powieści wcześniejsze, Spekulant i (Kolokacya), należą do najładniejszych. Późniejsze mają szerszy zakres, większą ilość postaci, akcyę bardzo zawikłaną; przez to robią więcej efektu, ale nie mają może więcej rzeczywistej wartości. Tadeusz Bezimienny i Garbaty mają z tych powieści późniejszych najwięcej może zalet i pięknych rozdziałów. Krewni, Wdowiec, Wędrowki oryginala, Stolnikowicz wotyński, uzupełniają szereg większych jego powieści.

Jako pisarz powieści Korzeniowski ma wielkie zalety. 1. Naprzód bardzo ładny, poprawny, staranny język; styl i sposób pisania żywy i przyjemny, który sprawia, że jego powieści czytają się zawsze z zajęciem, nawet kiedy są słabsze i mniej zajmują swą treścią. 2. Dalej, niema on wiele wyobraźni, ale ma bystry zmysł spostrzegawczy i dar trafnego, żywego przedstawienia charakterów i typów. Zwłaszcza typy komiczne (w najrozmaitszych rodzajach) kreśli z humorem, nie bez ironii, ale bez złośliwości i żółci. Postaci i sceny z wiejskiego życia i obyczaju są nieraz bardzo zabawne, a zwykle pełne życia i ruchu. Czasem obrazki wcale wdzięczne ze spokojnego rodzinnego życia. Figury uboczne, kreślone z humorem, i zbiorowe obyczajowe sceny lub obrazki, to zwykle strona najsilniejsza jego powieści; figury z zakrojem wyższym i szlachetniejszym udają mu się gorzej. Charakter miejscowy scen i okolic, w których powieść swoją mieści, oddaje Korzeniowski bardzo wiernie i ładnie: wieś czy miasteczko, dwór czy dworek, ze swoją ludnością, starzy ludzie od

poważnych do głupich i śmiesznych, młodzi od sympatycznych do próżniaczych i gburowatych, rezydenci, guwernantki, słudzy, żydzi, to co stanowiło powieści, maluje bardzo ładnie. 3. Sam będąc człowiekiem usposobienia spokojnego i łagodnego, oddaje lepiej sytuacje takiego rodzaju, niż zawikłane i ponure: te ostatnie najczęściej są przesadzone, a przez to zepsute. 4. Nauki moralne daje Korzeniowski zbyt wyraźnie; czasem zbyt mocno pobłaża swoim bohaterom lub bohaterkom i sądzi łagodnie lub uniewinnia postęпки niepiękne. Nie wynika to wszakże ze złego zamiaru autora, tylko raczej z pewnej nieuwagi. Ma on swoją własną filozofię życia, która mu każe zawsze i we wszystkim trzymać się w mierze, dla zdrożności ludzkich być wyrozumiałym i pobłażliwym. Charakterystycznym jest, że ceni i zaleca najczęściej cnoty praktyczne: pracowitość, rzadność, oszczędność, przeczność i t. p. Średnia miara dobrego, a wyrozumiałość na konieczne złe, to jest cecha jego stanowiska moralnego i obywatelskiego i dążność jego powieści.

Stanowisko i znaczenie w literaturze. W latach, kiedy najwięksi pisarze byli za granicą, kiedy cenzura nie dopuszczała do rozwoju piśmiennictwa w kraju, powieść miała to znaczenie i tę zasługę, że utrzymywała ciągłość i życie literatury w kraju. Korzeniowski utrzymywał je i przez powieść i przez swoje sztuki teatralne. W obu kierunkach oznaczał on postęp. Pomiędzy prozaikami polskimi swego czasu należy do najlepszych; gdyby nie małe niedbałości (jak zdarzające się wyrazy przyswojone z francuskiego zamiast polskich), możnaby go nazwać wzorowym. W historii zaś polskiej powieści i sztuki dramatycznej ma miejsce i pamięć zapewnioną na zawsze.

M n i c h.

Tragedya w trzech aktach.

Treść. Bolesław Śmiały, pozbawiony tronu, uszedł z kraju i schronił się w klasztorze Osyaku. Tu nieznany od nikogo pędzi życie pustelnicze. Dopiero rycerz Śreniawita, niegdyś jego doradca, trapiiony wyrzutami sumienia i szukający go po świecie, domyśla się w tajemniczym mnichu swego króla i zwraca nań uwagę zakonników. Ale wkrótce ponim przybywa do tego samego klasztoru ksiądz, przez biskupa wysłany, z kłutwą na króla wygnańca. Zebrany w celi przeora mnichom ogłosił ksiądz wyrok biskupa, a gdy wszyscy zwrócili się do nieznanego Mnicha, żądając, ażeby odkrył, kim jest, on wolał raczej opuścić klasztor, niż odsłonić swą tajemnicę. Lecz w chwili wyjścia jego z celi zachodzi mu drogę Śreniawita, a poznawszy go, wita go jako swego króla.

Odtąd ukrywa się Mnich w odległej grocie skalnej, a na nowo w sercu jego obudzona nienawiść ku Śreniawicie, który niegdyś był jego doradcą i pomocnikiem, a teraz odkrył przed światem jego tajemnicę, odbiera mu spokój i udaremnia pokutę. Tutajto przybywa do niego Śreniawita, ażeby wyblagać u niego dla siebie przebaczenie. Zrazu

niewzruszony jest Bolesław, ale duch św. Stanisława wzywa go, ażeby mu przebaczył. Słucha tego głosu król wygnaniec i przebacza Śreniawicie, — a wtedy Bóg i jemu odpuszcza winę: Bolesław umiera spokojnie u stopni ołtarza.

AKT III, SCENA 2.

Grota ciemna i głęboka.

Bolesław (*wchodzi szybko z płonącym drzewem i rozżarza ogień w miejscu, które dawniej za ognisko służyło — po chwili*)

Nie gaśnij, droga iskro! Tyś mi cudem
Dana; natura myśli jeszcze o mnie,
I uschłe drzewo gromem swym zapala,
Bym się miał przy czem ogrzać.

(*poprawia i rozżarza mocniej*). Tu cię karmić 5
Będę, dopóki czas mię nie zabije.

(*odstępuje i patrząc na ogień*)

Twoje mi światło porozpędza owe
Postaci mściwe i przerażające,
Które mi w cieniach nocy przed oczami
Stoją i grożąc koło mnie przechodzą. 10
Dziki to widok, smutne towarzystwo!

(*siada na kamieniach*)

Tu moja twierdza, stąd nikt nie ruszy,
Nikt tu przystąpić nie śmie; bo to miejsce
Obwarowała bojaźliwość ludzka.

Przyjdzie tu wprawdzie gość nieodwołany, 15
Przyjdzie głód blady. Ręką swą żelazną
Ściśnie wnętrze moje i mem ciałem
O te kamienie rzuci. I to słusznie!

Tu je za karę dziki wilk rozszarpie,
I kruk kawałki jego poroznosi; 20

Tu reszty moje, zgniłe, pobutwiałe
I w proch zmienione, wicher porozmiata.
Takbym już dawno skończyć był powinien,
Gdyby natura podłych zjadliwych
Chwastów pod słońcem swoim nie cierpiała. 25

Ale to serce, niegdyś tron zepsucia,
Siedlisko chęci podłych wyuzdanych,
Jeszcze uderza. Ale ten zdradziecki
Wąż, który dzisiaj pełzał przy mych nogach
Przebywa z ludźmi pełen czci i chwały! 30

A piorun bije tylko w suche drzewa,
A żaden sztylet piersi naszych nie tknął,
Żadna trucizna trawiącego ognia
Po żyłach naszych nie porozsełała!

Któż poszanuje bóstwo to, naturę, 35
Gdy tak cierpliwie swe zniewagi znosi?

(po chwili)

Stój! stój, bluźnierco! Oh! natura zna się
 Na prawach swoich. Biada, biada temu,
 Kto jej majestat tak, jak ja, znieważył!
 Surowa w gniewie — najstraszliwszą karę
 Dla mnie wybrała — ona życie mi każe.

40

SCENA 4.

Bolesław, Szreniawita, Adalbert.

- Szren. (*wchodzi nieśmiało, Bolesław się odwraca*)
 Przecież znajduję ciebie, panie! Przecież
 Pozwalać raczysz, abym ujrzał drogie
 Oblicze twoje, w sercu mem wyryte! (*milczy*) 45
 Lecz ty odwracasz oczy swe odemnie. (*milczy*)
 Skłoń ku mnie wzrok swój, byś mój żal obaczył!
 (*po chwili*)
 Ach! jak okropnem jest milczenie twoje!
- Bol. Czego chcesz?
- Szren. (*nagle zbliża się z pokornem nachyleniem*)
 Królu, panie mój! 50
- Bol. Nie jestem
 Ani twym królem, ani twoim panem.
 Tyś zacy rycerz, tyś wojownik wielki,
 Którego czyny mają cześć u świata.
 Ja — czemże jestem? Patrzaj! Wszakżeś widzisz, 55
 Co mię otacza? Patrzaj! Wszakżeś po to
 Przyszedł, byś widział, jak tu nędzny żyję?
 Gdzie dwór mój? gdzie mój zamek? gdzie ten naród,
 Któremu władam? Ściany te nie świecą
 Królewskim zbytkiem? na skinienie moje 60
 Żaden nie błysnie oręż; nikt mię rano
 Nie wita podłą czynów mych pochwałą;
 Nikt tu nie wznieca żądź mych, coraz nowy
 Cel im wskazując. Zimno, głód, pogarda:
 To dwór mój cały. Ziemia, którą swoją 65
 Stopą zajmuję, całe państwo moje.
 Jestemże królem?
- Szren. Jakżem nieszczęśliwy!
 O! ty nie silniej czujesz stan swój srogi,
 Niż ja, com w części stał się jego sprawcą.
- Bol. W części? Bezczelny kłamco! w części tylko? 70
 Czyjaż mi, przebóg! ręka pokazała
 Te chytre wdzięki, co mię osidliły?
 Czyj ślizki język wmówił we mnie miłość,
 Zatlił w mych żyłach pożar krwi gorącej? 75
 Kto na rozpusty przepaścistej drodze

- Krok mój postawił? Któż to był? odpowiedz!
 Gdybyś był zgoła więcej nie uczynił,
 Jużbyś dokonał piekielnego planu;
 Już cnota moja przysła w twojem ręku; 80
 Jużes mi odjął chwałę i odebrał
 Największe dobro królów: miłość ludu!
 Przestałeś na tem? Nie, boś dobrze wiedział,
 Że chwila, coby rozum mi oddała,
 Tobie śmierć nosła. Zręcznies mi więc zamknął 85
 Powrót do cnoty, chwały i ludzkości.
 Krętym manowcem sztuki twej zbłąkany,
 Tam iść musiałem, gdzie mię nić twa wiodła
 Byłś wymownym, gdyś mym żądzom wtórzył,
 Lecz rzekłes słowo, by mój gniew potłumić? 90
 Wstrzymałes rękę, gdy szalonem cięciem
 Świętego męża głowę rozbić miała?
 Jeśli śmiesz — broń się, daj mi jaki dowód,
 Że poniżenie moje w części tylko
 Twojem jest dziełem! 95
- Szren. Panie! Przywalony
 Wyrzuty twymi, cóż powiedzieć mogę?
 Nie mam i słowa na obronę moją.
 Jam to niestety! Jam największy zbrodniarz,
 A tyś ze wszystkich król najniezszczęśliwszy. 100
- Bol. Nie potrzebuję, byś mię uniewinniał.
 Nie mam tu żadnych łask do rozdawania,
 Nie kłam więc próżno. Nie chcę się udawać
 Lepszym niż jestem. Wartem swego losu.
 Większym od ciebie zbrodniarz; ale niech ci 105
 Sumienie powie: kto mię nim uczynił?
 Idź! mnie tu zostaw! *(po chwili)* Ale czekaj jeszcze!
 Cóż się w ojczyźnie naszej dzieje?
- Szren. Panie!
 Nie pytaj o to, dosyć i tak cierpisz. 110
- Bol. Chcę wiedzieć. Powiedz!
- Szren. Nazbyt srogie ciosy
 Dotknęły kraj nasz. Nierząd i rozpusta
 Szarpia wnętrznosci jego. Książę ruski
 Spustoszył żyzne pola nasze. Węgrzy, 115
 Chytrym podstępem pokonawszy Kraków,
 Siedzą w stolicy twojej.
- Bol. O! szkaradna,
 O niestychana hańbo! Nikczemnicy!
 Gdybym ja władał, któryżby zuchwalec 120
 Śmiał nogą stanąć na mych ojców ziemi?
 Wy! orły moje! którem był przyuczyl
 Na cudzych polach szukać sobie karmi,
 Wyż to nie mogłyście obronić sobie

- Własnego gniazda? Ale gdzie jest syn mój? 125
(Szreniawita milczy)
- Bol. Dla czegoż milczysz? Powiedz!
 Szren. Daruj, panie!
 Pozwól zamilczeć!
- Bol. Czy nie żyje? 130
 Szren. Lepiej,
 O! lepiej gdyby nie żył.
- Bol. Powiedz śmiało?
 Nigdyś trucizny dla mnie nie żałował.
- Szren. Muszę, gdy każesz. Z jego to namowy 135
 Węgry panują w kraju naszym.
- Bol. Dosyć!
 Jużes mój kielich po sam brzeg napelnił,
 Więcej nie przydasz. Oddał się!
- Szren. Nie, panie! 140
 Nie na tom błąkał się po tylu krajach,
 Bym obarczony wyrzutami twymi
 Z niczem stąd odszedł.
- Bol. Czegoż chcesz odemnie?
 Szren. Królu! Ach nie wiesz może, jak stanowcza 145
 To dla nas chwila. Nie wiesz, z czyjej woli
 Szukam cię, panie, i padając na twarz
 Przy nogach twoich przebaczenia żądam.
(pada do nóg jego)
- Bol. Dobrze. Lecz oddaj, com przez ciebie stracił. 150
 Uśpij tu węża, który ciągle czuwa;
 Zmyj tę krew, która ręce moje plami;
 Wróć mi szacunek świata, niech na nowo
 Na czole mojem laury me zakwitną:
 I wtenczas prosź mię, abym ci przebaczył. 155
- Szren. Bóg sam nie wróci, co już raz minęło.
 Bol. Proś zatem Boga, aby ci przebaczył;
 Jam tylko człowiek.
- Głos. *(pochodzący z głębi jaskini)* Przebacz mu!
 Bol. *(obracaając się ku miejscu, skąd głos wychodził)*
 Czy znowu? 160
 Ach! uchodź raczej do twojego grobu,
 Nie patrzaj na nas, pozwól dwom szatanom
 Rozstać się z sobą podług ustaw piekła.
- Szren. Panie! na imię Boga, co nas widzi: 165
 Na cień szanowny tego, co nas słyszy,
 Błagam, zaklinam, przebac i zapomnij! *(po chwili)*
 Nieporuszony stoisz? O! dla czegoż
 Nie możesz czytać w głębi mego serca?
 Czemuż łyzy moje, których widzieć nie chcesz,
 Próżno padają na nieczuły kamień...? 170
 Niema nikogo, coby wsparł me prośby,

Żaden się anioł, żaden duch nie jawi,
Co głębiej widząc, niż śmiertelne oko,
Męczarnie duszy mejby ci opisał.

(Duch pokazuje się i przybliża ku Bolesławowi)

Trwaj więc w twym gniewie, ja tu leżeć będę, 175
Póki ta skała lez mych nie poczuje.

(pada na twarz przy nogach jego)

Bol.

(cofa się i spostrzega ducha)

Ukryj mię, ziemio! Tyżes to, straszliwy?
Oh! nie przesywaj mię tak wzrokiem swoim,
Zamknij te oczy, które śmierć zamknęła!

Duch.

Przebacz mu!

180

Bol.

(drżącym głosem) Każesz... dobrze... niech tak będzie...
Wstań Szreniawito!

(bierze jego rękę i przykładu do piersi)

Wszystko ci przebaczam

Szczerze, jak pragnę, by mi Bóg zapomniał.

Duch.

Idź za mną...

185

Bol.

Idę, prowadź mię!

(wychodzą, duch naprzód, Bolesław za nim)

Szren.

(patrzy na około z wyrazem przerażenia)

Gdzież jestem

Co się tu stało?

Adalb.

(który przez całą scenę stał z boku w niemem zadziwieniu)

O nic mię nie pytaj!

Włosy mi wstają, krew się w żyłach ścięła.

190

Szren.

Ach! uciekajmy! *(porywa go za rękę)*

Pójdź, pójdź z tego miejsca.

(odchodzą)

SCENA 6.

(Kościół, w głębi wielki ołtarz, z boku drzwi, bliżej sceny zakonnicy po obu stronach stoją.)

Przeor, zakonnicy, Duch i Bolesław *(później)* Szren., Adalb.)

(Duch wchodzi boczniemi drzwiami i postępuje ku ołtarzowi)

Bolesł.

(zatrzymuje się na progu)

Gdzie mię prowadzisz? dalej nie postąpię!

Zakon.

(porywają się z przestrachem) Ratuj nas Boże!

Przeor.

Bracia na kolana!

195

Szanujcie rękę, która nas przeraża. *(Kłękają)*

Bolesł.

Cieniu szanowny! jeśli jesteś duchem

Świętego męża, co padł pod mym ciosem:

Wstrzymaj twe kroki... Ach! ta krew, co dotąd

I z twojej szaty i z mych rąk nie znikła,

200

Błyskiem piorunu oczy me przeraża.

Nie wstępuj na te stopnie! nie pomnażaj

Katuszy mojej miejsca przypomnieniem.

- Duch. (*wstępuje na stopnie*), Zbliż się tu!
- Bolesł. (*przystępuje do ołtarza*).
Jestem... Głos twój wszechmogący. (*kłęką*).
- Duch. (*uroczystym głosem*). Jużes zakończył dni swe
[opłakane! 205
Jakeś przebaczył, tak ci przebaczone.
(*Do zakonników*) Módlcie się Panu! (*Znika*).
- Przeor. (*powstawszy*) Cud się tu niepojęty i wielki uczynił;
Zbliżcie się ludy! patrz, ziemio zdumiona!
Świat go odrzucił, ludzki sąd obwinił! 210
Bóg dla grzesznika, co swej łaski dożył,
Groby otworzył
I przyzwał do swego łona.
(*Szreniawita wchodzi nagle i widząc Bolesława kłęczącego przy ołtarzu, staje zdumiony; za nim Adalbert*).
- Przeor. Ach! wzbij się duszo! świętem uniesieniem
Zalewajcie się, oczy, radosnemi łzami; 215
Niech zabrzmi powietrze słodkimi dziękczynieniami!
Niechaj człowiek w nadziejach swoich nie upada!
Gdy taki król niemi włada,
Gdy Ojciec czuwa nad nami! 220
(*Bolesław upada bez życia twarzą na stopnie ołtarza; Adalbert i Szreniawita przystępują do niego*).
- Przeor. (*zbliża się*) Nie przerywajcie: niech się modli, moment
To jest najdroższy.
- Adalb. (*wziąwszy jego rękę*) Skończył już modlitwę.
Żadne westchnienie z ust tych już nie wyjdzie.
- Przeor. I lepiej nie mógł skończyć. Wielki Boże! 225
Daj mi śmierć taką i w podobnej chwili.

Ogólny pogląd na czasy po roku 1831.

Poezya. Jakkolwiek główne ognisko literatury w tych czasach było na emigracyi, jednak i ci, co pozostali w kraju, choć nie mogli pisać o tem, o czemby byli chcieli, ani tak, jakby chcieli, — przecież pozostali i pisali; nowi dorastali i rozpoczynali swój zawód, życie szło swoim torem i przynosiło nowe potrzeby, nowe kierunki, nowe rodzaje piśmiennictwa; i literatura polska w kraju, choć przyćmiona blaskiem emigracyjnej, nie usycha, lecz żyje i rozwija się między rokiem 1831 a 1848.

Część jej najsłabszą stanowi zapewne poezya, skoro wielcy poeci żyli za granicą. Z pozostałych młodych najwięcej talentu miał niezawodnie Wincenty Pol, który w *Pieśniach* Janusza okazał się, jak żaden inny może, poetą roku 1831, poetą żołnierzy, wojska, wojennych zapałów i czynów. Wziętość i sławę, którą sobie zjednał tym zbiorem

wierszy, podniosła jeszcze wyżej Pieśń o ziemi naszej. Oprócz tego wydał Pol w owych latach Obrazki z życia i podróży i Przygody Benedykta Winnickiego, pierwszą swoją szlachecką gawędę. Wszystkie inne większe poemata W. Pola należą już do lat późniejszych.

Obok niego była poezya naśladownicza, mianowicie dalszy ciąg romantyzmu, który opuszczony przez wielkich poetów, wpadł w ręce mniejszych i wydawał znaczną liczbę wierszy, a nawet poematów (powieści, dramatów fantastycznych i t. d.) Ich myśl była pożyczona (z małą odmianą), a forma naśladowana (rzadko kiedy szczęśliwie) z wielkich poetów swoich lub obcych. Romantyzm to wyrodzony, usychający, często aż śmieszny w swoich pomyłkach i przesadach (na przykład Jordan Antoniego Sowy), ale przyjmowany i uważany dobrze tak przez publiczność chciwą poezyi, trzymającą się jeszcze przesad i przesądów romantycznej mody, jak i przez krytykę, zwykle u nas nieśmiałą, pobłażliwą, przestającą na małym, a w owych latach dużo mniej jeszcze niż dziś wyrobioną. Do takich poetów hyper-romantycznych a słabych należy Magnuszewski, Żegliński, Norwid, Zmorski, Zieliński (którego Kirgiz do dziś dnia jeszcze bez dobrego powodu i prawa bywa wspomniany). Ostatnim w szeregu tych spóźnionych romantyków i byronistów, tylko już odmiennym i wyrodzonym, z odcieniem rzeczywistego czy udanego sceptycyzmu, a nawet cynizmu, był Ryszard Berwiński. Nie należy do tego szeregu Edmund Wasilewski (1814—1846), który w swoim zacięciu ludowem i miejscowem krakowskiem ma właściwą cechę i oryginalność, w swoim talencie pewien wdzięk rzewności i prostoty, wszelako bez większej siły.

Odyniec, oderwany od dawnych towarzyszy, zostawiony własnym siłom, pozostał na dawnej drodze, tłumaczył (bardzo dobrze) Walter-Scotta, Byrona, Schillera i innych; a kiedy pokusił się o drogi nowe i własne, to próbował dramatu (Felicyta). Starzy klasycy, Koźmian i Wężyk, pisali ciągle, i pisali lepiej niż za młodu i lepiej od romantyków w kraju pozostałych, ale nie ogłaszali nic; Morawski jeden między nimi, jak przed rokiem 1830 odmiennych pojęć, tak teraz nie uważający się za pobitego, nie waha się drukować tego, co pisze, i znajduje zawsze dobre, sympatyczne przyjęcie. Fredro, jak przedtem do literackich walk i obozów, tak teraz (i do śmierci) do literackiego cechu nie należący, stoi na uboczu, ale po roku 1831 pisze i daje na scenę kilka ostatnich, najznakomitszych swoich komedyi; nieszczęściem, zamyka się rychło w upornem milczeniu, z którego już do śmierci nie wyszedł.

Z młodych zaczyna pisać (a wyjątkowo ogłaszać) swoje pierwsze wiersze Lenartowicz, a Korneli Ujejski rozpoczyna świetnie swój zawód poety Skargami Jeremiego, które wychodzą w ostatnich latach tego okresu, odpowiadają jego ostatnim wypadkom i są wiernym wyrazem uczuć i usposobień ówczesnych. Wreszcie Lucyan Siemiński, porwany jak inni poetycznym prądem, widzi w poezyi swój główny zawód i powołanie, ale daje już poznać na swoich ówczesnych wierszach tę łatwość formy i wykuintność smaku, które z czasem zrobią go znakomitym krytykiem i świetnym, doskonałym tłumaczem Homera i Horacego.

Z poetów emigracyjnych zasługuje na wzmiankę: Stefan Garczyński (1805—1833), żołnierz z r. 1831, przyjaciel Mickiewicza, który jego *Wacława dzieje*, poemat wysnuty z trzeciej części *Dziadów* do arcydzieł zaliczył; przyjaciel Krasieńskiego Konstanty Gaszynski (1808—1866) piszący ładne wiersze, sympatyczne szlachetnem uczuciem, z formą na Mickiewiczu wyrobioną; — w końcu Maurycy Gosławski (1808—1834), którego *Poezye Ułana polskiego* (1833) patryotycznym nastrojem i żołnierskiem zacięciem przypominają *Pieśni Janusza*.

Proza. Bujniej za to rozwijała się literatura prozaiczna, przedewszystkiem powieść.

Romans francuski. Jest to czas, kiedy potężny popęd romantyczny obudził w umysłach wielki ruch wyobraźni, potrzebę i namietność tworzenia. Poetów było wielu w całej Europie, ale obok nich były talenta innej natury, innego zakresu, niezdolne może włączyć poetyczną formą, ale (jak poeci) wyobraźnią zwłaszcza czynne, i te talenta wydały nigdy przedtem niewidzianą liczbę powieści, a zarazem nadały im większe niż kiedykolwiek znaczenie. Francuskie — choć angielskie nie były od nich gorsze — były najbardziej pożądane i czytane. W niezliczonym mnóstwie pisarzy i rodzajów francuskiego romansu trzy były talenta najpotężniejsze: Balzac przez znajomość i niezmiernie trafną i dosadną charakterystykę natury ludzkiej w jej przeróżnych objawach i odcieniach (z realizmem surowym, nieraz nieprzyjemnym w wykonaniu) — George Sand (Aurora Dudevant), z usposobieniem niezmiernie artystycznym, z wyobraźnią poetyczną, z niezwykłą siłą uczucia i namietności, z formą wreszcie bardzo powabną i pociągającą — Alexander Dumas, z niewyczerpanem (zbytecznym) bogactwem pomysłów i łatwością pisania, z niewyczerpanem także życiem i darem żywego, ludzkiego przedstawienia osób lub wypadków. Zaczęło się panowanie powieści, rozpowszechnienie i naśladowanie jej w całej Europie.

Powieść polska. U nas, jak wiadomo, było jej pragnienie od pierwszych lat naszego wieku, ale skutek do roku 1830 był dość słaby. Teraz ten wzmagający się prąd powieściowy doszedł i do nas: czytanie i roztrząsanie powieści zagranicznych, powszechne niemi zajęcie przygotowywało sposobny grunt pod uprawę tego rodzaju piśmiennictwa, a ułatwiało zadanie tym, którzy w nim próbować się chcieli. Zaczyna się zawód literacki Kraszewskiego (pierwsze próby w roku 1829 jeszcze), zawód przeszedł pół-wieczny, znaczący w literaturze mnóstwem i różnaitością dzieł wpływem, jaki one wywierały, świadectwem, jakie dawały o usposobieniach społeczeństwa, które je z zapalem czytało.

Józef Korzeniowski, usposobieniem i talentem od niego zupełnie różny, jako artysta od niego wyższy, jako pisarz w języku i stylu nie tylko staranny i poprawny, ale wzorowy, w karceniu i satyrze łagodniejszy, w dowcipie mniej ostry a świetniejszy i weselszy, w uczuciu spokojniejszy — był drugim znakomitym pisarzem obyczajowej powieści w tym okresie.

Pomijając wielu innych, mniej znacznych pisarzy powieści obyczajowych, jednego wymienić trzeba, który wyróżniał się i rodzajem swoich powieści i prawdziwym w tym rodzaju talentem: to August Wilkoński,

którego Ramoty i ramotki, zbiór małych, zabawnych powiastek i szkiców, należą do dziś dnia do rzeczy najlepszych w naszej literaturze humorystycznej.

Michał Czajkowski miał talent niemały, a był w powieści odbiciem i dalszym ciągiem ukraińskiego kierunku naszej poezji. Jego powieści współczesne, mniejsze czy większe, odbywają się zawsze na Podolu lub Ukrainie; z tych *Gawędy* (1840), obrazki i anegdota z życia tamtejszej szlachty, mają niekiedy dużo życia i humoru. Powieści z dawniejszych czasów mają zawsze za bohaterów Kozaków, za tło zaś walki kozaczyzny przeciw Rzeczypospolitej lub za nią. Z większych powieści historycznych najwięcej rozgłosu i powodzenia miał Wernyhora (1838), Stefan Czarniecki (1840), z współczesnych *Owruczanin* (1841). Obok niego była cała grupa ukraińskich powieściopisarzy (Michał Grabowski piszący pod pseudonimem Edwarda Tarszy).

Ale w powieści historycznej palmę otrzymał Henryk Rzewuski. *Pamiętniki Soplicy* są w swoim rodzaju arcydziełem, źródłem i wzorem całej późniejszej gawędowej i starszszlacheckiej literatury w prozie jak w poezji. *Listopad*, powieść historyczna z czasów konfederacji Barskiej, jest pod względem znajomości ówczesnej Polski i kreślenia jej typów istotnie znakomitą i uchodziła słusznie przez długie lata za najpiękniejszą powieść polską historyczną. Wdziękiem, prawdą i życiem najbardziej zbliżył się do Rzewuskiego w tym rodzaju Ignacy Chodźko w *Obrazach litewskich*.

Teatr. Wielką zasługę koło rozwoju literatury i utrzymania umysłowego życia polskiego miał teatr. Mieliśmy w tym czasie trzy stałe sceny: we Lwowie, w Warszawie i w Krakowie. Dyrektorem teatru lwowskiego był zawsze jeszcze J. N. Kamiński.

Ten, słaby jako poeta, ale doskonały do kształcenia aktorów i prowadzenia sceny, utrzymał ją na stopniu dziwnie wysokim, zważywszy tak niepomyślne warunki. Jego wychowancami byli znakomici aktorowie Benza, Smochowski, Nowakowski, Starzewska, sławny w Niemczech Dawison i jedyna dziś z nich żyjąca pani Aszpergerowa. W Warszawie, pomimo, że nie wolno było grać tragedyi, pomimo że rządowi zawiadowcy teatrów dbali głównie o balet: teatr rozwijał się bardzo dobrze dzięki aktorom wielkiego talentu, jak Halpertowa, a zwłaszcza Żółkowski. Kraków, choć tak mały, miał także w owym czasie teatr bardzo dobry; w nim kształcili się i rozpoczynali swój zawód niedawno zmarli znakomici aktorowie, Rychter i wyższy od niego Jan Królikowski.

Piśmiennictwo naukowe nie ustawało w tych latach, ale owszem rozwijało się i postępowało, ile mogło, w niekorzystnych warunkach. Uniwersytety warszawski i wileński były zniesione; ten sam los spotkał i liceum krzemienieckie; lwowski uniwersytet był czysto niemiecki. Zostawał polski jeden tylko, w Krakowie, małej stolicy maleńkiego krainu, który przez to już musiał być ograniczonym do bardzo szczupłej liczby uczniów, do bardzo skromnych środków. Rzecz prosta, że ten stan rzeczy dla nauk pomyślnym nie był. A jednak okres ten nie był dla nich nie-szczęśliwym, owszem przeciwnie. Wszystkie nauki były uprawiane; wiele z nich zrobiło postępy bardzo znaczne. W Krakowie służyło do tego

oprócz uniwersytetu Towarzystwo naukowe, z nim złączone i pielęgnujące starannie zarówno ściśle jak wyzwolone nauki. We Lwowie Zakład Ossolińskich był ogniskiem, skupiającem i rozwijającem naukowe zdolności i prace. Zresztą w Galicyi, oprócz opłakanego u ogółu skażenia języka (skutkiem nauk i wszystkich spraw urzędowych w języku obcym), była powszechna gnuśność i obojętność dla nauki i literatury: tem większa zasługa i cnota tych, którzy tu i nauce się poświęcali i posunęli ją naprzód, i w dziełach swoich tradycyę czystego języka i dobrego pisania utrzymać zdołali. Kiedy zaś Królestwo Polskie i kraje zabrane, zostawione same sobie, nie miały żadnej styczności ze światem zewnętrznym i żyły z własnego zasobu wiedzy i myśli, lub, co najwięcej, śladem dawnej literatury i nauki polskiej, znały tylko dzieła francuskie i zostawały pod ich wpływem: to w Galicyi znowu wpływy niemieckie, znajomość tej literatury, działały silnie na kształcenie się i rozwój pojęć, na uprawę i kierunek nauki, wreszcie na pojęcia estetyczne i na sposób pisania.

W Wielkopolsce, (która w owym czasie najwięcej używała wolności, a najmniej doznawała przeszkód) mogli znakomici i zasłużeni ludzie otwarcie i skutecznie oświatę i naukę utrzymywać i posuwać naprzód, przez zakładane w tym celu stowarzyszenia (Pomoc naukowa — Towarzystwo przyjaciół nauk) i przez wydawnictwa (Marcinkowski, Edward Raczyński. Tytus Działyński etc.). Ale podobnie, a może jeszcze silniej niż w Galicyi, działał tam wpływ niemiecki. Że zaś w Niemczech (a za ich przykładem w całej Europie) jest to czas przeważnego zajmowania się filozofią (przedewszystkiem filozofią Hegla), więc naturalną było rzeczą, że w Poznaniu ten kierunek odbił się najsilniej, nietylko na polu filozofii, uprawianej tam liczniej i dzielniej niż w Królestwie lub w Galicyi, ale w najrozmaitszych gałęziach nauki, a nawet w piśmiennictwie lżejszem.

Z natury rzeczy ruch i postęp naukowy musiał być najślabszym pod rządem rosyjskim. Stąd może poszło, że tam powieść rozwijała się najbujniej, a pracom naukowym brakło silnej i pewnej podstawy, którą umysły głębsze i zdolności wyższe umiały sobie zdobyć same, ale której brak musiał źle wpływać na umysły słabsze i na ogół, pogrążyć je w pewnej powierzchowności wiedzy i myślenia. Naturalnie każda z tych części dawnej Rzeczypospolitej, żyjąc w innych stosunkach i prawach, ucząc się w innych szkołach, musiała kształcić się inaczej, nabierać przez to pewnych cech osobnych, co się też i w literaturze odbijać musiało.

Jeżeli aż do roku 1830 nasze prace naukowe swoją metodą i filozoficzną podstawą, pojęciem swego zadania łączą się jeszcze z wiekiem XVIII, to teraz znikają wszelkie ślady tego podobieństwa, a każda praca naukowa opiera się na innych i pewniejszych podstawach, a ściślejsem, gruntowniejszem badaniu.

W historii rozpoczął ten zwrot i dał przykład Lelewel. Obecnie na emigracyi, (największy z naszych tam uczonych) do samego końca długiego żywota, z energią godną podziwienia, z bystrością nie mniejszą ciągnie dalej swoje prace. W kraju najdzielniejszym (przez długi czas jedynym) takim historykiem-badaczem jest August Bielowski

(1806—1876). I on (jak tyłu w jego pokoleniu) rozpoczynał swój zawód od poezji i sądził się do niej powołanym: ale niebawem odezwało i odkryło się powołanie prawdziwe, któremu towarzyszyła ogromna erudycja i równa jej ścisła sumiennosc. Być może, że stan ówczesny, nie dopuszczający swobodnego mówienia o bliższych nam wiekach historii polskiej, przyczynił się po części do tego, że Bielowski poświęcił się badaniu wieków najdawniejszych, pierwotnych. Ale niewątpliwie pchała go w tamtą stronę sama natura jego umysłu logicznego i ścisłego, mniemanie i nadzieja, że przez prawdziwe poznanie samych początków Polski dojdzie się do prawdziwego poznania i rzetelnego zrozumienia dalszych jej dziejów i losów. Obok tego badacza początkowej historii samej staje pierwszy po Czackim, a do dziś dnia największy badacz i znawca dawnego prawa polskiego i jego historii, Zygmunt Helcel (1808—1876): a każdy z nich ma pod sobą (choć z sobą niezłączonych i od siebie niezależnych), sobie nierównych, ale dzielnych i pożytecznych pracowników na tem samem polu. Tak Kazimierz Stadnicki na przykład prucuje nad wzajemnymi stosunkami i dziejami Piastów, później książąt litewskich przed Jagiełłą; Wacław Aleks. Maciejowski nad *Historją prawodawstw słowiańskich*. Pod koniec tego okresu zaczyna występować Szajnoch, który od Bielowskiego, od historyków niemieckich nauczył się cenić i badać źródła historyczne, a przynosił do prac historycznych ten zasób uczucia i wyobraźni, ten dar żywego przedstawienia rzeczy, w którym mu mało kto dorównał.

Rozwijają się także boczne, pomocnicze gałęzie historii i składają się wszystkie na lepszą znajomość przeszłości. Kiedy Mickiewicz w *Collège de France* daje ogólny i pobieżny, ale świetny i nieraz genialny obraz dziejów literatury polskiej, to Wiszniewski z ogromną nauką i pracą zbiera materiały do całkowitego i szczegółowego jej obrazu, zakreśla ten obraz na wielkie rozmiary, wykonywa go w jednej części za ledwo, ale tem, co wykonał, jak tem, co przygotował, podnosi tę naukę na stanowisko wyższe, od dawniejszych (Bętkowski, Brodziński, Euz. Słowacki) bardzo odmienne, daje jej prawdziwie umiejętny kierunek. Wydawnictwa źródła i dokumentów (Bielowski, Muczkowski, Ryszczewski, Działyński) odpowiadają tej pracy historycznej, jak wydawnictwa pisarzy i pisma naukowe (Roczniki Towarzystwa naukowego krakowskiego, Biblioteka Ossolińskich) odpowiadają pracy około literatury. Umiejętnemu badaniu zaś towarzyszy rozpowszechnienie nauki przez dzieła lżejsze, do potocznego, podręcznego użytku przeznaczone. Lucyan Siemiński w opowiadaniach Grzegorza z pod Racławic dał mylną nieraz, ale pięknie i żywo napisaną historję polską dla młodego wieku i (jak mniemał wtedy) stosowną dla wiejskiego ludu.

Mnożą się też i podręczniki historii literatury (Wójcicki, Major-kiewicz, Łukaszewicz, Dembowski), dalekie naturalnie od powagi i wartości Wiszniewskiego, zwykle (z wyjątkiem pierwszego) zbyt pobieżne i krótkie, czasem z pewną szumną a czężą przyprawą filozoficzną, jednak pożyteczne. Krytyka literacka ma reprezentantów może najpoważniejszych w Michale Grabowskim i w Aleks. Tyszyńskim; obok nich

ukazują się (w pismach poznańskich) rozprawy Stanisława Koźmiana (tłomacza Szekspira) i młodego, zaledwo poczynającego Antoniego Małeckiego.

Lingwistyka także nie leży odłogiem, a umiejętne badanie języka polskiego właściwie teraz dopiero zaczyna się zjawiać (ks. Malinowski, Deszkiewicz, Łazowski, Suchecki). Na tych badaniach opiera się (i podług nich dzieli się w swoich zasadach) liczba dość znaczna gramatyk podręcznych (Muczkowski, Łazowski, Sierociński i inni).

Nauki ścisłe, przyrodnicze i lekarskie, szczycą się w tym czasie licznym (jak nigdy może przedtem) szeregiem imion znakomych lub przynajmniej zasłużonych.

W botanice po Jundzille i Szubercie (dyrektorze ogrodu botanicznego w Warszawie) odznacza się Wojciech Jastrzębowski, Antoni Andrzejowski, Ignacy Czerwiakowski, a Warszewicz (w tym czasie w Ameryce zostający) zdobywa sobie sławę w całym świecie. Zoologia w różnych swoich działach ma badaczy równie uczonych jak zamiłowanych: Jarocki (w zoologii ogólnej), Antoni Waga w entomologii, Tyzenhauz w ornitologii. Mineralogia i geologia ma Ludwika Zeisznera, i Ignacy Domeyko, organizuje w Chili razem uniwersytet i kopalnię kruszców, oświatę i bogactwo tego kraju, a do ostatniego dnia życia zostaje w żywym związku z ojczyzną i nauce polskiej służy pismami, radą, opieką nad młodymi badaczami na drugiej półkuli.

Nauki lekarskie nigdy przedtem nie miały u nas tylu głównych i znakomych reprezentantów, a wielkiego w nich postępu dowodzi choćby to, że nauka ta uprawiana jest w każdej swojej gałęzi z osobna, a każda z nich przez ludzi bardzo znaczących. (Józef Majer, Wiktor Szokalski, Skobel, Malcz).

Podobnież filozofia nigdy nie była u nas uprawiana z takim zamiłowaniem i skutkiem, jak w tym okresie. Skutkiem zapewne w znacznej części powszechnego jej podówczas panowania nad umysłami, ale skutkiem także tej pracy przygotowawczej, jaka się na tem polu odbyła w okresie poprzednim przez Szaniawskiego i Śniadeckiego, w okresie o którym mowa, była filozofia uprawiana u nas liczniej, a dodajmy głębiej i skuteczniej niż kiedykolwiek. Ludzie, którzy ją uprawiają (Gołuchowski, Libelt, Cieszkowski, Trentowski, Kremer), w żadnym kraju nie uchodziliby za pospolitych i niższych, a niektórzy z nich musieliby uchodzić za umysły bardzo niezwykłe.

Natomiast słabiej rozwija się literatura pedagogiczna. W szkołach publicznych uczą przeważnie obcy w obcym języku, więc nic dziwnego, że mało mając praktyki w wychowaniu i nauczaniu, a mniej jeszcze wpływu na kierunek publicznej edukacji, nie mogliśmy i teorii należycie rozwijać. Z prac gruntowniejszych zasługują na uwagę Bronisława Trentowskiego (1807—1869) Chownanna (1842), tudzież rozprawy Libelta (Pomysły o wychowaniu ludów. Nauczyciel pod względem narodowym. O szkole realnej i t. d.). Na polu wychowania elementarnego niemale położył zasługi Ewaryst Estkowski; książki dla dzieci i młodzieży pisali: Stanisław Jachowicz (1796—1857), Anna Nakwaska, Paulina Kraków, Karolina Wojnarowska, T. Nowosielski i i.

Dziennikarstwo. Za Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego pism treści politycznej nie mamy prawie wcale. Teraz się to zmienia. W kraju wprawdzie pod cenzurami (bardzo surowemi) ta gałąź piśmiennictwa rozwijać się nie może, ale w swobodzie emigracyjnych stosunków dzienniki i broszury polityczne powstają nader licznie. Z natury rzeczy wynika, że przeznaczone na chwilowe wrażenie, wywołane chwilowymi stosunkami lub uczuciami, pisma takie mają też chwilowe tylko życie i rzadko które, dzięki imieniu autora lub szczególnie ważnemu przedmiotowi, zdoła się utrzymać w ludzkiej pamięci. Ale choć pisma te jednodniowe do literatury właściwie nie należą, a obchodzą raczej tylko przyszłych historyków, którzy szukać w nich będą śladów naszych ówczesnych usposobień i opinii, to niemniej wspomnieć i zapamiętać należy sam fakt bytu tej literatury. Oznacza on bowiem poczęcie się i działanie czynnika dziś bardzo ważnego w życiu wszystkich narodów europejskich, dziennikarstwa. Przed rokiem 1830 zaledwo istniejące i nie wywierające wpływu, później w kraju tłumione i mówiące tylko o rzeczach obojętnych, na emigracji wydaje ono pisma różne, mówiące o wszystkich sprawach europejskich i zamiarach polskich, i rozwija się tak, że później, po roku 1848 przeniesie się do kraju jako rzecz gotowa i przyjmie się jako potrzeba społeczeństwa.

W kraju codzienne pisma polityczne były zupełnie czcze i bez znaczenia: były też (nawet w Warszawie) bardzo nieliczne. Z miesięcznych i naukowych (oprócz mniejszych i zwykle krótkotrwałych) ważniejsze były: — Kwartalnik w Krakowie, *Ateneum* (Kraszewskiego) w Wilnie, *Rok* i *Orełdownik* w Poznaniu, *Rozmaitości* we Lwowie; dwa miały i dłuższe życie i poważną, niepospolitą wartość, *Biblioteka Warszawska* i *Przegląd Poznański*. Wydawany w Lesznie *Przyjaciół Ludu*, pismo lżejsze, (w rodzaju dzisiejszych illustrowanych), był bardzo dobry, zajmujący do czytania a rozumny.



V. Tablica porównawcza do historii literatury polskiej. Wiek XIX (od r. 1831—1865).

Rok	Dzieje oświaty europejskiej	P o l s k a	Dzieje literatury polskiej	
			autorowie	d z i e ł a
1831	Balzac.	Upadek powstania. Emigracya.		Brodziński. Posłanie. Lelewel. Nowosilców w Wilnie.
2	George Sand.	Zniesienie uniw. warsz. i wil.		<i>Mickiewicz. Dziady III</i> , Słowacki. Poezye, 2 tomy.
3	Alfred Musset.	Liceum krzem. przeniesione do Kijowa.		<i>Mickiewicz. Księgi pielgrz.</i> Garczyński. Waclawa dzieje. <i>Pol. Pieśni Janusza</i> Słowacki. Lambro.
4	Bulwer.	Prześladowanie Unii.	Mochnacki †	<i>Mickiewicz. Pan Tadeusz.</i> Słowacki. <i>Kordyan.</i>
5	Dumas (ojc.) Morse (telegraf)		*Szujski. Brodziński †	<i>Krasiński. Nieboska kom.</i> Fredro milknie
6	Gogol.			<i>Krasiński. Irydyon.</i> Lelewel. Polska odradzająca się. Witwicki. Wieczory.
7	Dickens.			Czajkowski. Pow. koz. Grabowski. Liter.
8	Daguerre (fotografia).			<i>Zaleski. Poezye.</i> Odyniec. Tłómaczenia. Czajkowski. Wernyhora.
9	A. Comte.	Zniesienie Unii w krajach zabranych.		<i>Słowacki. Ballad., Trzy poem.</i> <i>Rzewuski. Soplica. Pol. Przygody Winnick.</i>
1840	Szewczenko.		Mickiewicz w Coll. de France.	<i>Słowacki. Lilla W. Mazepa.</i> Chodźko Obrazy litewskie.
1841		Towiański w Paryżu.	Biblioteka warsz.	<i>Słowacki. Beniowski. Zaleski. Duch od stepu.</i> Czajkowski. Owruczanin.
2	Mayer (teorya ciepła).	Zakon Zmartwychwstańców.		Korzeniowski. Karpaccy Górale. Gończyński. Król zamczyska.
3				<i>Krasiński. Przedświt. Pol. Pieśni o ziemi naszej.</i> Kremer. Listy z Krakowa.
4				<i>Słowacki. Księżę niezłomny.</i> Sen srebrny Sal. Ujejski. Maraton.
5			Hofmanowa †	<i>Krasiński. Psalm.</i> Rzewuski. Listopad. Libelt. Filozofia.
6	Pius IX	Rzeź gal. Kraków przydzielony do Austrii.	* Sienkiewicz.	Korzeniowski. <i>Spekulant. A. Wilkoński. Gaszyński.</i>
7	Macaulay. Turgieniew.			<i>Ujejski Skargi Jer. Słowacki. Król Duch.</i>
8	Dumas (syn).	Zniesienie pańszczyzny w Galicyi.	Mickiewicz w Rzymie.	<i>Słowacki. Do Aut. 3 psalm.</i> Kajsiewicz. Kazania. Cieszkowski. Ojciec nasz.
9	Chopin †	Organizacya gimn. w Austrii.	Słowacki †	Szajnocha Bolesław Chr. Łukasiewicz. Hist. szkół. <i>Wasilewski.</i>
1850				<i>Dzieduszycki. P. Skarga. Bielowski. Anczyc</i>
1851	Helmholz.			Morawski. Dworzec mojego dziadka. Lelewel. Polska.
2				Ujejski. Melodye biblijne. Kraszewski. Kordecki.
3		Towarzystwo hist. liter w Paryżu.		<i>Syrokomla. Gawędy.</i> Korzeniowski. Garbaty. <i>Kaczkowski.</i>
4		Wojna krymska. Mikołaj † Aleksander II.		<i>Syrokomla. Dębóróg.</i> Libelt. Estetyka. Szajnocha. Szkice hist.
5			Mickiewicz †	<i>Lenartowicz. Lirenka. Zachwycenie. Pol. Mohort.</i>
6			Estkowski †	<i>Szajnocha. Jadwiga i Jag. Wilczyński.</i>
7		Towarz. przyj. nauk w Poznaniu.		<i>Korzeniowski. Krewni. Pol. Wit Stwosz</i>
8				<i>Wiszniewski. Hist. liter.</i>
9	Darwin.	Wojna włoska. [w Król.	Krasiński †	Szajnocha. Lechicki początek Polski. <i>Romanowski.</i>
1860	Geissler (rurki).	Pierwsze objawy ruchu		Lenartowicz. Bitwa racław. Kremer. Podróż do Włoch. Encyklop. powsz. <i>Szajnocha. Mściciel. Zacharjasiewicz</i>
1861	Buckle. Momsen. Sardou.	Wielopolski. Sejm gal.	Lelewel †	Bartoszewicz. Hist. lit. pol. <i>Żmichowska</i>
2	Ibsen. Kirchof (anal. sp.)	Szkoła gł. w. Grottg.	Syrokomla †	<i>Szujski. Dz. Pol. Klaczko. Poeta bezim.</i>
3	Bismarck. Renan.	Powstanie styczniowe. Murawjew.	Korzeniowski † Romanowski †	<i>Matecki Gram. polska.</i> Kraszewski. Dziecię st. m.
4	Taine.	Znies. zakon. Uwłasz. włoś.		Kraszewski. Szpieg.
5		Zakaz nabywania ziemi.		Kraszewski. Brühl. Siemiński. Portrety lit. Kolberg. Lud.

OKRES ÓSMY.

(Od roku 1850 do naszych czasów).

Ogólne znamiona.

1. Przewaga poezji kończy się. Wielcy poeci umilkli: Słowacki nie żył, Mickiewicz nie pisał nic, Krasiński prawie nic. Nie zagasła przez to ich poezya ani nie zeszła z tej wysokości, na której oni ją postawili. Owszem działała ona na pokolenia następne, zachowała swój wpływ i swój urok, jest zawsze (i zapewne na długo) szczytem polskiej literatury, najwyższym wyrazem polskiego ducha. Ale między żyjącymi i piszącymi następcami nie było już takich talentów wyjątkowych, takich głów genialnych, a przez to ten nowy okres w stosunku do tylko co skończonej wielkiej epoki przedstawia widok pewnego osłabienia twórczości. Zjawisko to zresztą powszechne i powtarzające się we wszystkich literaturach świata.

2. Rozrost powieści. W miarę jak twórczość w poezji słabnie i obniża się, rozwija się powieść, z literatury prozaicznej najbliższa poezji; a że forma jej łatwiejsza, więc nie dziw, iż szybko na szkodę innych działów belletrystyki wybujała i obok dzieł znakomitych wydaje utwory miernej bardzo wartości.

3. Ilość czasopism i ich wpływ również wzrastają. Przez dzienniki i pisma zbiorowe dostają się do ogółu wiadomości polityczne, ale także literackie i naukowe: przez wykończoną już, regularną i coraz szybszą komunikację ze światem zagranicznym zapomocą kolei żelaznych, książki i pisma zagraniczne, wiadomości o nich, dochodzą nierównie łatwiej, prędej i liczniej niż przedtem. Przez to szybciej też szerzy się i rozchodzi ogólne wykształcenie, ogólna znajomość wielu spraw i rzeczy. Ale obok pożytku jest w tym fackie i zła strona, ta mianowicie, że te ogólne wiadomości o wszystkim są powierzchowne, pobieżne. W pismach peryodycznych, pośpiesznie na termin układanych, a dopiero w pismach codziennych, wiadomości te nie mogą nawet być innemi; a stąd wynika, że wykształcenie i oświata, tą drogą szerzone, mogą rozlać się dość szeroko, ale muszą rozlać się płytko. Ogół, który dawniej czerpał swoją oświatę z książek, z dzieł pisanych z rozmysłem, gruntownie i pracowicie, teraz przywyka przestawać na wiadomościach, jakie bez trudu czyta w dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach. Nie u nas tylko, ale w całej Europie cechą oświaty w drugiej połowie XIX wieku jest wykształcenie dość powszechne i na pozór nawet dość wysokie, ale raczej lekkie, nie głębokie i niezawsze prawdziwe. Umysły potężne, dzieła mądre lub piękne, jednym słowem literatura poważna i długotrwała, mimoto w całej Europie jest; ale ogół czytających czerpie swoje wiadomości i wykształcenie wygodniejszym, a mniej skutecznym sposobem, z drugiej ręki, z dziennikarskich sprawozdań i artykułów.

4. Emigracya, która w ogólnem życiu narodu znaczyła wiele, a w literaturze jego zajmowała stanowisko przeważne, teraz w zmienionych stosunkach nie mogła ani pola działania przed sobą widzieć, ani wpływu takiego wywierać. To przeniesienie wielkiej części polskiego życia za granicę, które się dokonało po roku 1831, teraz ustało.

5. Zmiana wielka, sięgająca do samych podstaw naszego działania, zaszła w naszym usposobieniu, w naszym pojęciu obowiązku służby publicznej i patriotyzmu. Wypadki roku 1863 przekonały nas ostatecznie, że jesteśmy za słabi na to, by odnieść zwycięstwo nad wielkiem mocarstwem, a wszelka pomoc obca, na którą liczyliśmy dawniej, jest złudzeniem. Stąd wniosek, że powinniśmy zmienić drogi postępowania: nie zbrojne ruchy układać i przygotowywać, ale we wszystkich kierunkach życia wyrabiać i ćwiczyć w sobie siły, zrozumieć dobrze swoje położenie, wiedzieć, czego nam niedostaje, a całą siłą woli, sumienia i miłości ojczyzny pracować na to, by się stać społeczeństwem prawem, rozumem, bogatem i silnem — wbrew nieszczęściu, w jakie nas pogrążyły wypadki (i własne błędy) — zachować w sobie, rozwinąć i podnieść zasób narodowego życia i ducha. W takiej formie pokoleniom obecnym okazuje się miłość ojczyzny i jej służba w chwili, kiedy to życie rząd rosyjski otwarcie skazuje na zagładę.

To wypadkami zmienione położenie w świecie i zmienione pojęcie obowiązku musiało odbić i objawić się w literaturze. Znika też z niej ów niedawno tak nam drogi patriotyzm mistyczny: tłumaczenie swego losu ofiarą za grzechy świata; obietnice rychłego i niechybnego zwrotu w tych losach. Z nauk naszych wielkich poetów zostaje zawsze wiara w sprawiedliwość Boską, wiara, że naród musi być prawym i szlachetnym, jeżeli ma być godnym swojej sprawy i jeżeli jego odrodzenie ma być szczęściem i postępem dla ludzkości; zostało to samo wzniosłe pojęcie ojczyzny. Ale zamiast mistycznego a dumnego pojmowania siebie jako narodu wybranego i lepszego od innych, przyszło trzeźwe pojęcie siebie samych jako narodu, który miał w przeszłości i ma dotąd wiele wad i błędów, i w wielkiej części skutkiem tych błędów upadł i dotąd podnieść się nie zdołał. Zamiast śmiałej nadziei rychłego, doraźnego podniesienia z upadku, przyszło doświadczenie i przekonanie, że z wielkim tylko, ciągłym i wszechstronnym trudem dźwigać się można.

6. Skoro kierunkiem i pierwiastkiem głównym literatury w tym okresie miało być dążenie do trzeźwego, krytycznego i politycznego sądu nad sobą: to znowu nie mogło być inaczej, tylko że **historya**, do tego sądu pierwsza powołana i usposobiona, musiała rozwinąć się bujniej, niż inne gałęzie piśmiennictwa. Tak się też stało; i to jest znamieniem naszej literatury w dzisiejszym okresie jej dziejów, że największa liczba i największa siła pisarzy niepospolitych skupiła się na polu dziejopisarstwa.

7. W filozofii objawił się zwrot ważny i walka dwóch sprzecznych kierunków. Dawna filozofia sensualistyczna Lockego i materialistyczna (encyklopedystów francuskich) z XVIII wieku, odżyła z nową siłą w drugiej połowie naszego wieku. Daje sobie nazwę pozytywnej, bo to tylko chce uznawać za prawdziwe, co się pozytywnie zmysłami (lub

rachunkiem) da dociec lub stwierdzić. Dusza ludzka, jej nieśmiertelność, Bóg i wszystko, co się nie daje widzieć, jest według niej nieprawdziwym, a w najlepszym razie niepewnym. Takie stanowisko filozofii nie jest nowem: zajęli je już niektórzy ze starożytnych (Lukrecyusz). W naszym wieku odnowił je Francuz August Comte (niepospolicie bystry i uczony), a w jego ślady poszli inni: Anglicy, jak Spencer, Mill i t. d.; Niemcy, jak Büchner, Vogt, Moleschott, Hartmann i t. d. Liczne i nader ważne odkrycia na polu nauk przyrodniczych (Darwin), na pierwszy rzut oka stwierdzające niby te filozoficzne pojęcia, posłużyły do ich rozszerzenia. Dostały się one i do nas. Przyjęły i rozszerzyły się w Warszawie szybciej i więcej niż gdzieindziej, a skupiały się nie w dziełach poświęconych wyłącznie filozofii, ale w pismach peryodycznych, które artykułami wszelkiej treści pojęcia te krzewiły i szerzyły. Rzecz jest prosta, że te (jak wszystkie inne) pojęcia filozoficzne, nie zamykają się w obrębie tej jednej nauki, ale przenikają różne nauki i różne gałęzie piśmiennictwa. Człowiek innego zawodu, hołdujący tym pojęciom, mimowolnie wyraża je w swoich zawodowych pracach. Mamy też tak zwanych pozytywistów pośród naszych przyrodników, lekarzy, historyków, nawet pisarzy powieści i poetów.

Z drugiej strony, była już w starożytności i później zawsze, i jest dziś, filozofia tamtej przeciwna, zasadzająca się na istności ludzkiej duszy i jej nieśmiertelności, na jej Boskim początku i na możności jej poznania. Im większy był wzrost i wpływ tak zwanej filozofii pozytywnej (czyli materyalistycznej), tem więcej musiała naturalnie objawiać się i podnosić energia tej drugiej. Zaczęto też w całej Europie zbijać systematycznie i umiejętnie system pozytywistów i dowodzić, że jest on tylko powierzchownie naukowym, a na prawdę płytkim i bezpodstawnym. Oprócz samego zaś zasadniczego fałszu, wykazywano szkodliwe następstwa tej filozofii, zaprzeczenie wszelkiej moralności, wszelkiego prawa, wszelkiej różnicy pomiędzy złem a dobrem. Jeżeli bowiem człowiek jest istotą fizyczną tylko, to w logicznym następstwie nie jest odpowiedzialnym za swoje uczynki (tak, jak nie odpowiadają za nie zwierzęta), czyli życie człowieka byłoby pozbawione moralnej podstawy i kierunku, uczynki godziwe i niegodziwe miałyby tę samą wartość, skoro jedne i drugie zależałyby nie od woli i sumienia człowieka, ale od jego fizycznej organizacji; w życiu zaś społecznym i politycznym nie byłoby prawa ani jego różróżnienia ani jego przestrzegania, byłaby tylko siła, niczem nie trzymana na wodzy i uprawniona z góry do wszelkiej przemocy i gwałtu.

Stan polityczny.

Po r. 1848. Zawichrzenia i wstrząśnienia r. 1848 sprowadziły w samej połowie wieku pewien zwrot w stosunkach i sprawach politycznych w Europie; dawne występują w nowych formach, poczynają się i otwierają nowe. W czasie wojny wschodniej umarł car Mikołaj I. (1855), a zmiana panowania w Rosyi nie była bez skutków dla Polski. Aleksander II. nie miał twardej natury i silnej woli ojca; łagodniejszy a chwiejny, zasiadał na tronie z zamiarami (nieokreślonymi)

reform w Rosyi; zniesienie poddaństwa wykonał rzeczywiście. Względem Polski miał te same co ojciec uczucia i to samo pojęcie swojego do niej stosunku, ale w sposobie postępowania (aż do roku 1863) różnica była znaczna. W Królestwie i krajach zabranych rząd złagodniał, ucisk sfolgował. Między innymi oznakami tej zmiany było i to, co na literaturę wywarło wpływ niemały, zwolnienie cenzury. Przez to wzmożło się i wydawnictwo książek (w Warszawie, w Wilnie, w samym Petersburgu), i ich przywóz (polskich jak obcych) z zagranicy, i wreszcie liczba, wpływ i znaczenie pism peryodycznych. W Warszawie zwłaszcza zaczęły one się mnożyć, a że mogły swobodniej o sprawach i wypadkach europejskich mówić, więc stały się dla ogółu i więcej zajmujące i więcej potrzebne.

Po wojnie włoskiej (r. 1859) zaczął się stan rzeczy zmieniać. W Austrii nadana przez cesarza Franciszka Józefa konstytucya, wprowadziła w życie (1861) sejmy krajowe i dała początek tym stosunkom, w których żyjemy. W Królestwie Polskiem zaniósł się (w r. 1861) na ważniejsze wypadki. Doszły one (w styczniu 1863 r.) do zbrojnego powstania, z którego wynikał dzisiejszy znowu stan społeczeństwa i piśmiennictwa polskiego pod rządem rosyjskim.

Po roku 1863 zaczęło się w całym zaborze rosyjskim prześladowanie, które pod rządem rosyjskim od tego czasu nie ustaje, owszem systematycznie się wzmacnia i rozszerza, jest nie tylko politycznym i religijnym, ale dąży do tego, by wyrwać z korzeniem całą cywilizacyę polską i zagładzić wszelkie jej ślady. Na Litwie i Rusi, oprócz wszelkich innych środków tępienia (n. p. zakaz nabywania ziemi przez Polaków i katolików), jest zakaz mówienia po polsku na miejscach publicznych; dla młodzieży szkolnej zakaz mówienia tym językiem w szkole i nawet poza szkołą między sobą. W Królestwie Polskiem, po wyrzuceniu języka polskiego ze wszystkich szkół, urzędów, sądów, po wyrzuceniu Polaków z posad, po ograniczeniu liczby uczniów polskich mogących mieć przystęp do szkół, znikły w ostatnich czasach napisy polskie nawet na stacyach kolei żelaznych. Cenzura książek, a zwłaszcza pism peryodycznych, posuwa się tak daleko w prześladowaniu wszystkiego, co polskie, że nie przepuszcza nawet gramatyce i wyrazy lub zwroty czysto polskie poprawia na obce, rosyjskie.

Te i tysiączne inne środki, obliczone na złamanie polskiego ducha narodowego i obniżenie polskiej cywilizacyi, zamierzonego skutku nie odniosły; ale odniosły zawsze ten, że mnóstwo umysłów i talentów nie zdołało rozwinąć się tak, jak w innych warunkach rozwijać się mogły; że mnóstwo innych do skromnego nawet wykształcenia dojść nie zdołało; że pewna liczba umysłów i charakterów (choć szczęściem niewielka) musiała się skrzywić i zepsuć; że literatura i nauka, kępowana w swojej koniecznej swobodzie, nie mogąca zajmować się wszelkimi przedmiotami i kwestyami ani obrabiać ich tak, jak je rozumiała i jak chciała, musiała być wstrzymaną w swoim naturalnym postępie i nie mogła stanąć tak wysoko, jakby bez tych przeszkód była stała.

Prześladowanie języka polskiego w Wielkopolsce, które za rządów ks. Bismarcka doszło tak daleko, że nauka czytania w szkołach

wiejskich i sama nauka katechizmu udzielana była dzieciom w języku niemieckim, praktycznie wydało skutki mniej złe, bo naprzód obejmowało daleko mniejszą przestrzeń kraju, a powtórę spadało na ludność ogółem więcej oświeconą i zdolniejszą radzić sobie ubocznymi środkami, bo wreszcie było jednak ograniczone cokolwiek formami i przepisami praw pruskich, które zostawiały przecież jakąś sposobność i możność obrony, a piśmiennictwu i dziennikarstwu zostawiały większą swobodę.

W Galicyi zato zaszyły zmiany nader pomyślne. Ustawa konstytucyjna przyznawała i poręczała swobody obywatelskie każdej jednostce, swobody i prawa narodowe ludom, należącym do państwa austriackiego. Na tej zasadzie opierają się nasze instytucje krajowe: sejm czyli władza prawodawcza (w pewnym zakresie), sprawowana przez posłów z zastrzeżeniem sankcyi monarszej; samorząd czyli zawiadowanie niektórymi sprawami przez ludzi na to wybranych, przez gminy (Rady gminne), powiaty (Rady powiatowe) i Sejm (Wydział krajowy, najwyższą z tych krajowych władz wybieralnych). Przyznana każdemu narodowi wolność używania własnego języka pociągnęła za sobą tę zmianę, że skoro czynności urzędowe, administracyjne i sądowe, miały dotąd odbywać się w języku polskim (względnie ruskim), to urzędnikami mogli być tylko ludzie w tych językach biegli, czyli krajowcy.

Stan szkół.

W Królestwie Polskiem. Margrabia Wielopolski, kiedy stał na czele cywilnego rządu Królestwa (1861—1863), zajmował się gorliwie i umiejętnie wychowaniem, podniósł stan szkół średnich, a pod nazwą Szkoły Głównej przywrócił dawny, po roku 1831 zniesiony uniwersytet warszawski. Szkoła ta, świetna doborem najlepszych profesorów i wielką liczbą uczniów, przez siedm lat swego bytu oddała niezmierne usługi. Organizacya jej była podobna do dawnej uniwersytetu wileńskiego. Wydział filozoficzny mianowicie dzielił się na dwa: historyczno-filologiczny i fizyko-matematyczny. We wszelkich zawodach i naukach najteżsi z dziś żyjących ludzi w niej się uczyli i wyrobili. Po stłumieniu powstania z r. 1863 i wprowadzeniu języka rosyjskiego do szkół, rząd rosyjski wziął się do Szkoły Głównej. Nie zniósł jej, owszem nadał jej tytuł uniwersytetu, ale usunął z niej polski język i zrazu tylko wielu a z postępem czasu prawie wszystkich profesorów Polaków. Liczbę uczniów ograniczył, przyjętym utrudniał i naukę i egzamina wymaganiami umyślnie przesadnemi z rosyjskiego języka. Historia, wykładana (po rosyjsku jak wszystko), przekrecona i fałszowana jest umyślnie, tak, że młodzież polska o swojej historii nie może nabrać prawdziwego wyobrażenia. Literatura polska ma swoją katedrę w uniwersytecie warszawskim, ale (od r. 1883) wykładana jest po rosyjsku.

W Galicyi. Wielką wagę i wpływ miała dokonana w roku 1849 reorganizacya gimnazyów. Językiem wykładowym pozostawał zawsze język niemiecki (a do gimnazyum krakowskiego wprowadzono go teraz po raz pierwszy), ale plan nauk i sposób udzielania ich był od dawnego

tak znacznie lepszy, że na poziom wykształcenia musiał wpłynąć korzystnie. Uniwersytet lwowski dostał w tym okresie po raz pierwszy katedrę literatury polskiej, a ta, zajęta chlubnie przez Ant. Małeckiego (1858) miała także swoje szczęśliwe i dobroczynne skutki.

Ale prawdziwy postęp w wychowaniu publicznem liczy się dopiero od r. 1867, t. j. odkąd wszystkie nauki (z wyjątkiem języka niemieckiego) odbywają się w języku ojczystym. Do uniwersytetów wprowadzany on był stopniowo, tak, że w krakowskim wcześniej, w lwowskim cokolwiek później (1871), język polski przywrócony został w zupełności do swoich praw. (W tym ostatnim niektóre przedmioty wykładane są po rusku).

Nauka elementarna rozszerzyła i podniosła się przez tysiące nowo założonych lub poprawionych szkół początkowych i przez szkoły osobne (seminarya), sposobiące nauczycieli dla tych szkół. W szkołach średnich, gimnazjach i szkołach realnych powiększyła się liczba uczniów niemal nadmiernie, tak, że zakładów i budynków (ze szkoda dla nauki) nastarczyć nie można, a siły nauczycielskie są ogółem wzięwszy bez porównania wyższe od tych, jakie były przed laty trzydziestu. Nadzór i władza nad tymi dwoma stopniami wychowania zostaje w ręku Rady szkolnej, magistratury złożonej częścią z urzędników państwa, częścią z osób wyborem do niej powołanych. W obu krajowych uniwersytetach liczba katedr i potrzebnych zakładów pomocniczych pomnożyła się bardzo znacznie, a staranny dobór profesorów, powoływanie na każdą katedrę kandydatów najzdolniejszych i najbogiejszych, jakich znaleźć było można, podniósł i wartość i znaczenie tych uniwersytetów i ich dobrą sławę w świecie. Z tych nowo utworzonych katedr jedną wymienić i zapamiętać należy, jako szczególnie dla nauki i dla społeczeństwa ważną, i jako jedno z największych dobrodziejstw Cesarza. Jest to osobna katedra historii polskiej, której przedtem nigdy (ani za dawnej Rzeczypospolitej) nie było, a którą Najjaśniejszy Pan przy uniwersytecie krakowskim w roku 1869, przy lwowskim w 1885 utworzył. Ostatni otrzymał w r. 1894 wydział medyczny. Dalszym szczęśliwym nabytkiem i silną dźwignią dla postępu nauk przyrodniczych i matematycznych, stała się reorganizacja dawnej szkoły technicznej lwowskiej, i jej podniesienie na stopień szkoły politechnicznej (1872), co ją zrobiło niejako uniwersytetem nauk ścisłych. Skutki tej zmiany dają się czuć bardzo wyraźnie i dobroczynnie w zakresie tych nauk.

Uzupełnieniem tych dzieł, przedsięwziętych dla podniesienia nauki i oświaty polskiej, była założona przez Cesarza w Krakowie (w r. 1873) Akademia umiejętności. Pierwsza to polska instytucja tego rodzaju. Wszystkie większe narody zagraniczne mają takie akademie, na wzór najdawniejszej francuskiej utworzone, a przeznaczone na to, by wspólną pracą uczonych, odznaczających się w różnych zawodach, posuwać naprzód wiedzę we wszystkich kierunkach, a rezultaty badań w rozprawach członków, jako też materiały naukowe w wydawnictwach swoich ogłaszać. Akademia umiejętności przez kilkanaście lat swego istnienia wiele istotnie zrobiła (w naukach zwłaszcza historycznych, przyrodniczych, w lingwistyce i w archeologii); znajomość fizycznej natury kraju i jego zasobów, znajomość jego przeszłości i jego artystycznych zabytków

znacznie podniosła, a tem i nauce polskiej i sobie zjednała rzeczywistą u obcych powagę i dobrą sławę. Że te pomysły dla nauki i oświaty warunki musiały wpływać dobrze i na literaturę także, zbytecznie byłoby tłumaczyć.

Prywatnymi środkami, ale bardzo dzielnie, pomagają do tego dzieła szerzenia oświaty liczne stowarzyszenia naukowe, w tym okresie czasu powstałe, jako to towarzystwo lekarskie, techniczne, pedagogiczne, towarzystwo nauczycieli szkół wyższych, towarzystwo imienia Mickiewicza, itd. W Poznaniu Towarzystwo Przyjaciół Nauk ciągnie dalej, zawsze z doskonałym skutkiem, swoją wielostronną i niezmordowaną czynność.

W i n c e n t y P o l .

Urodził się w Lublinie w roku 1807. Nauki pobierał (przeważnie prywatnie) we Lwowie i (przez jeden rok) w Tarnopolu, na uniwersytet uczęszczał we Lwowie. Wakacje i oprócz nich dużo czasu spędzał u krewnych i przyjaciół na wsi, i tam z towarzystwa i opowiadań starych ludzi, szlachty konfederatów, kozaków, księży, zaczął od młodości wciągać w siebie staropolskie podania i zamięłowanie dawnych czasów. Czytający z wielkim zapalem i zajęty szczerze historią i literaturą, z trudnością zmuszał się do nauk przepisanych: stąd niepowodzenie w egzaminach. Gdy bez nich żadnej posady dostać nie mógł, a jakiejś potrzebował, zaczął jej szukać poza granicami Galicyi. Uniwersytet wileński potrzebował właśnie lektora języka niemieckiego: tam więc udał się Pol z listami polecającymi pod jesień roku 1830. Czy otrzymał nominację i czy rozpoczął wykłady, rzecz niepewna; w każdym razie, jeżeli się zaczęły, to nie trwały długo, bo z wiosną roku 1831 wyszedł Pol z Wilna z garstką towarzyszy, po długim błądzeniu przedarł się do korpusu Giełguda i w nim służył aż do wyparcia tego korpusu za pruską granicę. Wtedy udał się z wielu innymi do Drezna: (tu znajomość z Mickiewiczem i stąd wycieczka do Weimaru dla widzenia Goethego). Z końcem roku 1832 dostał pozwolenie powrotu do Galicyi. Wrócił, ale znowu pozbawiony wszelkiej możności otrzymania stałej posady, szukał jej napróżno przez lat kilka, a zostając w ścisłych stosunkach ze znakomitszymi pisarzami i uczonymi we Lwowie, wydawał pierwsze swoje poezye i prozaiczne rozprawy (Pieśni Janusza 1833). W roku 1837 ożenił się i znalazł jakiś obowiązek u swego starego przyjaciela, Ksawerego Krasickiego (z którego opowiadań napisał później Mohorta), i w Sanockiem mieszkał lat kilka.

W roku 1846 mieszkał już w własnym majątku, pod Krosnem i tu, podczas wypadków ówczesnych napadnięty w domu, pokaleczony, zaprowadzony był do więzienia i trzymany we Lwowie do roku 1848.

W roku 1850 powołany na profesora geografii fizycznej do uniwersytetu Jagiellońskiego, osiadł Pol w Krakowie; niedługo jednak tę posadę zajmował, gdyż w roku 1853 otrzymał dymisję (razem z Helclem, Małeckim i Zielonackim). Pozostał jednak w Krakowie, zajęty pisaniem

i wydawaniem coraz nowych dzieł. W r. 1857 obywatele lubelscy odkupili dla niego ze składek wieś Firiejówkę pod Lublinem, która niegdyś była własnością jego rodziców. W r. 1859 przeniósł się do Lwowa, gdzie mieszkał do r. 1867. Potem osiadł na resztę już życia w Krakowie. W ostatnich latach ociemniał. Mianowany członkiem powstającej Akademii umiejętności nie doczekał jej otwarcia; umarł 2 grudnia 1872. Pochowany w „grobie zasłużonych“ na Skałce.

Dzieła. Pol pisał do końca życia i zostawił znaczną ilość dzieł wierszem i prozą. W jego poetycznym zawodzie rozróżniamy dwa okresy, oddzielone od siebie wypadkami z r. 1846.

W okresie pierwszym — Januszowym — powstały: *Pieśni Janusza* zbiór drobnych wierszy, piosenek, prawie wyłącznie patryotycznych, żołnierskich. Mają one tyle życia, tyle śmiałego zacięcia i tęgości, inne tyle rzewności i smutku, że ze wszystkich drobnych wierszy, natchnionych wojną roku 1831, one najwierniej może i najzupełniej oddawały ton powszechnego uczucia i są niezaprzeczenie szczytem naszej patryotycznej poezji piosenkowej.

Niektóre z nich, jak *Stoczek*, *Obóz pod Kownem*, *Rocznica* i t. p. należą obok mazurka Dąbrowskiego do najpopularniejszych w narodzie.

Pieśń o ziemi naszej (1843) podniosła jeszcze jego sławę i miłość, jaką miał u publiczności polskiej. Właściwie jest ona pieśnią o zewnętrznej, geograficznej i etnograficznej stronie tej ziemi, i to niezupełną, bo Wielkopolska pominięta jest zgoła. Strona historyczna — dawne dzieje i walki lub późniejsze klęski i uciski — nie występuje tam wcale: w rzadkich tylko ustępach trafia się jakiś zwrot myśli do rzeczy głębszych. Pierwiastek uczuciowy, tak powszechny i górujący w naszej poezji, a przy takim przedmiocie tak usprawiedliwiony i prawie konieczny, odzywa się rzadko i tonem cichym, jak żeby umyślnie stłumionym. Ton i charakter poematu jest raczej potoczny, gawędowy.

Obrazy z życia i podróży (1846) były owocem dłuższego pobytu w okolicach górskich, szczególnie w Tatrach, gdzie poeta poznał z bliska obyczaje górali, nasłuchiwał się ich podań i pieśni, zachwycał się uroczymi widokami — i to wszystko przedstawił w piosnkach pełnych wdzięku i uczucia. Do najpiękniejszych zaliczają: „Hej turnie moje!“ „Co wy chwalicie dzisiejszych górali!“

Jedyną kompozycją Pola z pierwszego okresu jego zawodu były *Przygody Benedykta Winnickiego* (1839), mały obrazek ze szlacheckiego życia XVIII wieku, ułożony z opowiadań bohatera samego, dobrze pocie znanego. Było wtem dużo życia i homoru: a choć srogość ojca niedorzeczna, bo do małej winy syna nie zastosowana, ukazywała tę przeszłość w świetle raczej przykrem (zatem nie takim, jak poeta chciał), to jako jeden obrazek, jako wyjątek, w swoim rodzaju mogło być dobrem i podobać się.

Okres drugi. Dotąd przeważnie liryk, uczuciem obejmujący wszystkie warstwy narodu, — po wypadkach 1846 r. stanął Pol na stanowisku wyłącznie szlacheckim; typy ludowe znikają, a poeta w rozlicznych gawędach zajęty przeważnie odtwarzaniem i uwielbianiem tra-

dycy i obyczajów dawnej szlachty. Już w poprzednim okresie wykroił ze wspomnień Benedykta Winnickiego obrazek, przyjęty przez ogół sympatycznie; teraz prawie wyłącznie temu rodzajowi się poświęcił i stworzył poetyczną gawędę ze staropolskiego, szlacheckiego życia. Ale rozmiłowany w staropolskich cnotach (pobożności, dobroduszości, prostocie serca etc.), nie dość pamięta o złych stronach ówczesnego życia i w poematach swoich wystawia je, albo nie domyślając się, że są złe i sprawie publicznej szkodliwe, albo przynajmniej uważając je za drobne usterki i upatrując w nich wdzięk sympatyczny.

Pod względem artystycznym znowu wpada w ten wielki błąd, że te stare anegdoty i tradycje podaje bez braku i przerobienia, wiernie, jak mu były opowiedziane; swoją wyobraźnią nic nie dopełnia, żywych figur nie kreśli, akcyi nie rozwija i nie prowadzi — słowem układa tylko w wiersz, ale zresztą podaje *in crudo* surowy materiał, jak mu był opowiedziany. Ta sama treść, opowiedziana prozą, dałaby może obrazki tak dobre jak Rzewuskiego; podniesiona wierszem do godności poezyi, a bez jej koniecznych warunków (twórczej wyobraźni i sztuki), zostaje w sprzeczności ze swoją formą i stanowi rodzaj niewątpliwie nowy i oryginalny, ale rodzaj dotąd przynajmniej w poezyi nieświatny. Taka jest Senatorska zgoda i Sejmik w Sądowej Wiszni (1855), które dodane do dawnych Przygód Benedykta Winnickiego, składają niby jego Pamiętniki.

Ze Polowi brakło wyobraźni twórczej i epickiej zdolności, dowodzi następujący, dotąd najslawniejszy z jego poematów, Mohort (1855). I ten z ustnych opowiadań wzięty, jako materiał na poemat wdzięczny, mimo swego tytułu „Rapsodu rycerskiego“, został znowu gawędą tylko, dlatego, że do tego materiału wyobraźnia nie nie dodała, nic z niego nie wysnuła. Kresowy rycerz, niegdyś konfederat barski, ginący bohaterską śmiercią w wojnie roku 1792, mógł być stać się w poemacie postacią naprawdę bohaterską. Ale na to trzeba było, żeby był coś robił i działał. Tymczasem w opowiadaniach pana Ksawerego Krasickiego nic takiego nie było: on znał Mohorta w latach spokojnych, kiedy ten bawił się stadem i doglądał pasiek. Jest więc figura postawiona jako rycerska i bohaterska, a w dalszym ciągu są tylko drobne, potoczne sprawy anegdotyczne, do których dodana jest wiadomość o młodocianej niegdyś miłości Mohorta. Niektóre ustępy ładne, ale tego bohaterskiego charakteru, jaki Pol chciał nadać swemu poematowi i jego głównej postaci, niema; niema też epickiej żywości i wyrazistości. Sama śmierć Mohorta, istotnie bohaterska i poetyczna, opowiedziana jest znowu sucho i po kronikarsku i wrażenia nie robi.

Wogóle jest w talencie Pola ten niedostatek, że kiedy wymyśli postać poetyczną, to nie umie wprawić jej w ruch i kazać jej działać. Tak jest z Mohortem, tak w Pacholęciu hetmańskim (1862) z hetmanem Tarnowskim, którego drobne tylko sprawy i zwyczaje Pacholę zapisuje w swoim pamiętniku. Poemat ten ma być staropolskim dyaryuszem podniesionym do poetycznej formy. Piszący go Maciej Różanka jest zrazu pacholęciem, później dworzaninem hetmana, po jego śmierci doradcą żony i syna, później dostaje się do niewoli tureckiej, na

starość wraca do ojczystej wsi. Najdłuższy to z poematów Pola, a mimo treści z odległych czasów, mimo poważnego tonu i niektórych wypadków smutnych, zawsze w tym samym gawędowym rodzaju.

Wit Stwosz (1857), owoc lat i wrażeń krakowskich, zamiłowania do tego miasta i jego zabytków, jest opowiadaniem starego, ociemniałego i w Norymberdze srodze skrzywdzonego snycerza o szczęśliwej młodości w Krakowie. Tłómaczy on w tem opowiadaniu, jakie miał natchnienia i zamiary, kiedy robił ołtarz Panny Maryi, nagrobek Kazimierza Jagiellończyka itd. Całe religijne natchnienie artystów średnio-wiecznych ma przebiegać przez jego słowa, a późniejsze nieszczęścia przedstawione są jako kara za dumę i zarozumiałość.

Wrażeń i wspomnień miejscowych, z Krakowa i jego okolic znajduje się wiele w zbiorach mniejszych wierszy: — Z klasztoru i z boru, i Przebolało. W tych drobnych rozmiarach i formach jest Pol wogóle szczęśliwszym aniżeli w większych: różnym rodzajom uczucia, pogodnym czy smutnym, rzewnym czy wzniosłym, daje często wyraz bardzo piękny; czasem wdzięk prostoty i tęsknoty, czasem powagę wysokiego poetycznego natchnienia. Podobnie Kilka kart z krwawego rocznika, na tle wypadków roku 1863. Z większych poematów Powódź, dramat, a właściwie dyalogowana powieść, jest raczej słaba. Stryjanka i Starosta kiślacki, obrazki staro-szlacheckiego życia, pogodne i wesołe, są w swoim gawędowym rodzaju wcale udatne. Mniej Legendy o śłym Janie Kantym i Dyaryusz z wyprawy wiedeńskiej (1865). Zato Pieśń o domu naszym (1866) dzieło starości, napisane do pary niby z młodzieńczą Pieśnią o ziemi naszej, ma więcej niż tamta poetycznego ducha i uczucia.

Prozą napisał Pol kilka dzieł naukowych (geograficznych), między któremi artystycznym obrazowaniem odznaczają się Obrazy z życia i podróży, — tudzież dwie rozprawy literackie i estetyczne.

Charakterystyka. Od innych współczesnych poetów różni się Pol przedewszystkiem zupełną niezależnością od obcych czy własnych wzorów. Niema on nic wspólnego w usposobieniu ani w formie z całym europejskim romantyzmem; niema w swoich uczuciach polskich nic mistycznego, w swoim sposobie myślenia i tworzenia nic mglistego, allegorycznego, jak wszyscy niemal nasi poeci jego czasu. Czysto-polski, staro-polski i staro-szlachecki charakter jego poematów, widoczny i w wyborze przedmiotów i w formie jaką im nadawał, jest nawet zjawiskiem dziwnem, jeżeli zważymy, że Pol był synem Niemca, że przez matkę znowu miał krew francuską; i jest pięknym przykładem tej zdolności przyswajania sobie pierwiastków obcych, jaką ma naród polski. Ta jego zupełna oryginalność i staro-polszczyzna niekoniciecznie wychodziła na dobre jego poezji: talent gdyby był więcej kształcony na różnych wzorach, myśl i wyobraźnia, gdyby była przestawała w szerszych zakresach, byłyby zapewne wyrobiły się piękniej i dzielniej.

Był to w każdym razie talent niezwykły, niezaprzeczenie oryginalny, któremu (podobnie jak Zaleskiemu) zbywało do wielkości tylko na potężnej wyobraźni, może poniekąd na artystycznym wykształceniu. Jak Zaleski, tak i Pol, przez to, że zostaje zawsze

w zakresie tych samych form i pomysłów, staje się jednostajnym, a nawet w stylu swoim dochodzi do pewnej manieri. U Zaleskiego wyradza się ona z dźwięczności i ukraińskiej tęsknoty, u Pola jest starszszlachecką, niekiedy przesadnie i niezrozumiale archaistyczną w wyrażeniach. Mimo tych wad, jest on w tym okresie przejściowym, między następcami wielkich poetów, niezawodnie najzdolniejszym. Stworzył nową osobną formę poetyczną, której można wiele zarzucać, ale której tego odmówić nie można, że była własną i oryginalną. Zrazu nad miarę może chwalony, później znowu poniżany nad miarę (za swoją pobożność i swoje przywiązanie do staropolskiego życia i obyczaju), okrzyczany był niesłusznie, jakoby chciał być świat dzisiejszy podług tamtego zmieniać.

Że z dawnego ducha chciał utrzymać i utwierdzić wiarę, prostotę obyczaju, prawość i miłość ojczyzny, to za zaszczyt tylko i zasługę polityczną należy i jego rozumowi i jego obywatelskiemu duchowi.

Z Obrazów z podróży i życia.

- Hej! turnie moje, wy hale moje!
 Jakoż was cudne wychwałą słowa!
 Widno z was, widno na dwoje,
 Bo i do Śpiżu i do Krakowa!
- Kiedy nad Śpiżem węgierka świeci, 5
 Orły się nasze w chmurach weselą;
 A kiedy mgły się nad Babią ścielą,
 To nawet orzeł na gniazdo leci.
- I tylko góral, co się nie boi
 Burzy na niebie, niby Łomnica, 10
 Chłop jak toczony, prosty jak świeca,
 Bo jeden tylko burzy dostoi!
- A pod nim szumią dokoła wody,
 I biją gromy i deszcze chłodne:
 Lecz zanim zbiorą na Lachach brody, 15
 Już nad Tatrami niebo pogodne;
 I znów po halach gwiżdżą juhasy
 I grają kobzy, i szumią lasy.
- Gdy się przed człkiem świat ten rozłoży,
 I tak wesoło i tak szeroko, 20
 Aż serce skacze, że też Bóg tworzy
 I góry takie i w głowie oko!
- Kiedy toporkiem człowiek wywinie,
 To się aż stracha, żeby nie zmacił
 Jasnej chmureczki w orlej dziedzinie, 25
 Albo o samo niebo nie trącił —
 Bo odrobina tylko do nieba,
 Gdzie z aniołami sam Pan Bóg mieszka:
 To jużciż Lachy do was zająć trzeba,
 Bo wam za ostra góralska ścieżka. 30

Niech się wam wszystko pomyślnie rodzi!
 Bo tam ja nigdy chleba nie prosił,
 Kiedym na Lachach bywało kosił.
 Choć u nas niema żytniego chleba,
 Przecież czem można pogościć trzeba — 35
 I ufam sobie, żeby nie pościł
 Lach, chociaż tutaj ziemia jałowa:
 A kto ma rolę, niech Bóg zachowa,
 Żeby też komu chleba zazdrościł.

Czasem się do nas zbłąka panisko, 40
 Czasem i kilku — toć z nimi chodzimy,
 I do Morskiego Oka ich wodzim,
 Do Zakopanej i w Kościelisko.
 A gdy ich wiedziem za kozią drogą,
 Kędy na górach Bóg chmury złożył, 45
 Tam to wydziwić już się nie mogą,
 Jaki góralom Pan Bóg świat stworzył!
 Boć srebro, złoto jest w górach naszych,
 I na świat widno z halu dokoła;
 Tylko nam wr Tatrach tych dzwonów laszych, 50
 I Panny Małyi brakło kościoła.
 I ciągnie czeka coś do Krakowa —
 Ale co ciągnie? nie wiedzieć zgoła —
 Jednak coś nęci, jak do kościoła!
 I miło spojrzeć na Lacką stronę, 55
 I miło wspomnieć one gościnki:
 Tam-to pod kosą łąki zielone,
 Tam-to do grabki, tam-to wyżynki!
 Gdyby nie lata i kości stare,
 Zaniósłbym Lachom kwiczołów parę. 60

Z Pieśni Janu sza.

Powrót konia.

Kurz się drogą bałwani,
 Świat tumany ciemią;
 Jada, jada ułani
 Sandomierską ziemią.
 Białe na nich wyłogi: 5
 „Dyc to pułk nam znany!
 „A gdzież Jonek z Ożogi?
 „Gdzie nasz brat kochany?
 „Wszyscy święci anieli!
 „Cały pułk już minął — 10
 „Gdzieście brata podzieli?“
 Zginął! — rzekli — zginął!

- A wtem znowu ktoś jedzie:
 Dwóch ułanów czesze;
 Jeden konia z nich wiedzie,
 Drugi ognia krzesze. 15
- Koń się szarpnął przed górką,
 Zarżał, urwał wodze
 I co wyskok w podwórko
 Poleciał po drodze. 20
- „O dla Boga! dla Boga!
 „Skądże go to macie?
 „Wszak to konik z Ożoga,
 „Konik po mym bracie!
 „Oj sierotę już chata,
 „Kiedy on zabity 25
 „Gdzieżes podział mi brata,
 „Koniu jabłkowity?“
 A obadwa ułani
 W podwórku przybyli 30
 I obadwa stroskani
 Na dziewczkę patrzyli:
 „Zatrzymajcie go sobie!
 „Nikt go wam nie bierze;
 „Oj wasz Jonek już w grobie —
 „Tu jego szkaplerze! 35
 „Jam je zabrał w szczerości,
 „Bo legł od Moskala,
 „A tych naszych świętości
 „Niechaj wróg nie kała!
 „Możeć moje szkaplerze 40
 „Da tam kto ojcowi!
 „No, niech Bóg was tu strzeże —
 „Bywajcie nam zdrowi!“

Z G a w ę d .^a

Wieczór przy kominie.

- No moi panowie! gdy mowa o wojnie,
 A propo napadu i ja coś opowiem;
 I jam to za młodu nie siedział spokojnie;
 Z innemi siłami i z innym to zdrowiem
 Służyło się niegdyś ojczyźnie wojskowo, 5
 Bo w Polsce bój z Moskwą nie rzeczą to nową.
- Nie było tam wprawdzie ni sztabów, ni zborów,
 Ni piątki rządowej, ani dyktatorów;
 Bo macie to wiedzieć: kto w Polsce dyktował,
 Niedługo tam jemu brat szlachcic czapkował, 10

Nie jemu to było dochować się syna,
 I stada, i sada, i starego wina.
 Tam z prawa i z miecza był każdy z nas równy,
 A ktoby nierówny, braterstwa wróg główny,
 Kraj zwano naówczas rzeczpospolitą, 15
 A człowiek żył jakoś poszyto i syto,
 A chociaż nam nieraz wróg zalał i sadła,
 Nie jedno upadło, a czapka nie spadła.
 Stanisław był królem — kiej, odpuść mu Panie!
 I takie to było jego panowanie; 20
 Bo ani do tańca, ani do różańca:
 Nie miał też afektu u szlachty, bo z pruska
 Miał czuby strojone, a westy z francuska;
 Pokażny to niby na oko, a tchórzyl;
 Łaskawy to niby, a naród oburzył. 25
 Gdy włożył koronę, wnet szlachta w krzyk panie:
 „Król nowy — las goły — to goły kraj stanie!“
 I zgadła; bo chociaż zaprzysiął nam pakta,
 Nuż dalej z moskiewską carycą w konszaktą.
 Ou! burzy się szlachta; bo czyż to słychanie? 30
 Kraj napaść, lud więzić, to owo, mosanie?
 I w rządach i w sądach nad szlachtą przewodzić,
 I króla tumanić, a panów podchodzić?
 „Hej, bracia! — jak huknął Pułaski nam w Barze —
 Nuż bronić ojczyzny, bo Pan Bóg nas skarże! 35
 Nuż na koń!“ Aż w Polsce się całej rozległo,
 I w chwili trzydzieści tysięcy się zbiegło.
 Ja byłem już wówczas na mojej zagrodzie,
 I żyłem z sąsiedztwem w szczerości i zgodzie;
 A była tam, panie, szlachcianka uczciwa, 40
 Ba, dziewczka by rzepka, figlarna i żywa!
 Więc miałem się żenić; lecz coś mnie ubodło:
 Ej! miłsza ojczyzna! Wskoczyłem na siodło.
 Przyjeżdżam; bądź zdrowa! ha! darmo się smucić,
 Żal było, lecz umiał człek jakoś to rzucić, 45
 I dalej na czyste, na tany sierdziste!
 Co komu się godzi?! kto kogo podchodzi?!
 Ha! różnie bywało, jak zwykle w obozie,
 Był człowiek pod wozem, lecz częściej na wozie.
 Nie znano naówczas, co to być odciętym 50
 Na koniu, z czetnikiem i wzrokiem napiętym;
 Pocięta gadzina i w sztukach się wije,
 Więc każdy z nas, panie! gdzie stoi tam bije.
 Tu migniem, tam wpadniem i trwozę rozszerzem,
 Ci z tyłu, ci z przodu, w dwa ognie ich bierzem: 55
 Czasami nas zesзли, lecz częściej tak było,
 Że gracko się kurtę kozuniom kroilo;
 Bo dzielnie na koniu tatarskim człek związał,

I wódkę z manierki kozackiej zapijał.
 Na ostro kochano ojczyznę, nie płazem, 60
 Broń tylko składano z żywotem zarazem.
 Pamiętam jak dzisiaj: ot w naszych tu górach,
 Staliśmy za Sanem z Pułaskim obozem,
 Moskale za Słonem pokryli się w dziurach,
 Ja patrzę, aż jedzie ktoś ku nam wawozem. 65
 Był, panie! to szlachcic z pobliskiej dziedziny,
 Zsiadł z konia i prosił hetmana na chrzciny.
 Pułaski go szczerze, jak brata, przywitał,
 „Cóż? synek? czy dziewczka?“ z uśmiechem zapytał.
 — Nadzieja ojczyzny, syn, mości hetmanie! 70
 Ksiądz czeka na chrzciny, na gościa śniadanie.
 „Więc służę, bo z bracią pokumać się godzi,
 A mogę dom zacny nawiedzić bez szkody;
 W obozie spokojnie, opadły z gór wody,
 I najmniej do jutra nikt Sanu nie zbrodzi“. 75
 I rzekł mi: „Czechowski! no, siadaj i wasze!
 A weźmiem go przy chrście na krzywe pałasze;
 To będzie tam z niego chłopaczek czej dziarski,
 Gdy do chrztu go trzymał konfederat barski“.
 I kazał dać konia — a konia miał Turka, 80
 A szablę demeszkę, a człeka Mazurka.
 Chce siadać mosanie! a basza się zżyma:
 Mazurek go głaszcze, i syka i trzyma,
 Lecz ani weź, panie! mój rumak się dąsa,
 I skacze, i furka, i wierzga, i kąsa. 85
 „Wie djabeł, co się z tym koniem dziś święci!
 Daj siwkę! bo jeszcze człek karku nakreći“.
 A siwka tak samo. „To nie bez kozery!
 Daj wilczka!“ a wilczek uklęknął na cztery.
 Ja chciałem mu podać mojego stępaka; 90
 Lecz rzekł mi: „wolałbym twój kord, niż rumaka;
 Bo kary — a żaden Pułaski z pradziada,
 Bez szwanku, na konia karego nie wsiada“.
 I jakoś tam w końcu już wilczka schwycili,
 I wszyscyśmy społem działami ruszyli. 95
 Lecz jeszczem przepomniał: Nim ruszył Pułaski,
 Nadjechał oboźny, a zwał się Czerkaski.
 Pan hetman mu kiwnął: „ja będę za borem —
 Jeżeli tu do was nie wrócę wieczorem —
 Rozumiesz?“ — Rozumiem. — „Miej Słonne na oku, 100
 Pistolet na smyczy, a konia przy boku!“
 I ruszył — a ruszać on umiał nieszpętnie,
 Bo nieraz, jak panie, w ciasnocie się zetnie,
 Nim jeszcze krew pluśnie, już on się wyslizgnął,
 I znowu z szturmaka pomiędzy nich bryzgnął. 105
 O! wiele to mówić! — Dziś piszą i siedzą,

A jedni o drugich o miłą nie wiedzą;
 Lecz wczoras bez pisma na ludziach się znano,
 A więc nas uczciwie i szczerze witano.
 Nuż w kumy... ba, dalej afekta, śniadanie, 110
 A były tam gładkie i panny i panie,
 I człowiek był młody, i także nie z lodu,
 Bo mówią: i djabeł był piękny za młodu!
 Dopieroż Barszczanin przy kitce i z szablą?
 Ot, było to jakoś uczciwie a djablo! 115
 Nasz szlachcic toż samo niezgorzej wystąpił,
 Sąsiadów pospraszal i sreber nie skąpił,
 Nie było tam wiele wymysłów... cekaty...
 Bo było na łyżce i było za łyżką,
 A wino na piękne trąciło już myszką. 120
 Szedł kielich kolejno — a mówią: przy winie
 I miłej drużynie czas jakoś to plynie;
 Więc dalej i wieczór. Pod koniec już stoła
 Ja patrzę, a szlachcic ciągnie apostoła.
 Ba! leje... butelka... i druga bez mała, 125
 Niech żyje Pułaski! krew we mnie zawrzała;
 Bo razem na wiwat z moździerzy wypalą;
 Wtem patrzę, aż we drzwi... kozacy się walą.
 Ou! kręto mospanie! strach, popłoch dokoła!
 „A wam tu hultaje!! — Pułaski zawoła, 130
 I odwiódł pistolet, i chwycił za szablę —
 Wszak masz mnie już przecie? kozacze czy djable!
 Lecz jam tu w gościnie — a kto się z was ruszy
 Przed końcem objadu, nie zbawi ten duszy!
 Nie zbawi, powiadam!!“ I nabiegł krwią cały, 135
 Aż nogi ze strachu pod czernią zadrżały.
 I cisnął im kiesę: „tu na-m ci kozacze!
 Kto bierze Pułaskich, nad dolą nie płacze“.
 I usiadł, i gości solennie przeprosił,
 I zdrowie dziecięcia i matki ogłosił. 140
 Nalano — podano — „do ciebie kozacze!
 Nie czynem, to winem przynajmniej uraczę;
 A wypij je duszkiem! bo dziecię zapłacze“.
 I podał, jak gdyby nic nigdy nie było,
 A przy drzwiach kozactwo na piękne już piło, 145
 I jeden z nich krzyknął: Na zdrowie carowej!
 I wzięcie hetmana! „I wasze tu łowy! —
 Odkrzyknął Pułaski — wszak wiecie, jak biję?
 Polska krew wrogom wbrew! niech ojczyzna żyje!
 A lichu na Moskwę i głowę carycy!“ 150
 I palnął dwa razy przez okno z krucicy,
 I we drzwi jak szatan demeszka potoczył.
 Mnie nie czas już do drzwi, przez okno-m wyskoczył.
 „Czechowski! nuż plecy!“ i rąbiem się młyńca,

Plecyma jak skuci dokoła dziedzińca,
 O! ciasno bój chodził — wtem utknął Pułaski,
 Upada — a w bramie jak huknie Czerkaski!
 Jak wpadnie z naszymi! w kapustę nuż siekać!
 Sąd Boży! nie było już kędy uciekać...
 Kozactwo do nogi z pradziada wybito,
 I zdrowie przybyłych na trupach wypito.
 Moździerze zagrzmiały: Niech żyje Pułaski!
 A hetman zawołał: niech żyje Czerkaski!

155

160

Polska cnota!
 Wolność złota!
 I Rzeczpospolita!!!

165

Władysław Syrokomla.

(Ludwik Kondratowicz).

Urodził się na Litwie w r. 1823. Do szkół chodził w Nieświeżu (u Dominikanów) i w Nowogródku, ale dla ubóstwa rodziców musiał poprzestać na klasie piątej. Zrazu przyjął miejsce w zarządzie dóbr Radziwiłłowskich w Nieświeżu, następnie ożeniwszy się, osiadł przy rodzicach na wsi, na dzierżawie Załucza i gospodarował. Tu zaczął zawód pisarski od przekładów poetów łacińsko-polskich. W r. 1852 po stracie dziecka przeniósł się do Wilna, gdzie zawiązał stosunki ze światem literackim i artystycznym, długo jednak nie mógł oddychać atmosferą miejską. Po jakimś czasie wziął znowu w dzierżawę wieś Borejkwoszczynę niedaleko Wilna. Ale na gospodarstwie nie wiodło się, prace literackie, choć ich wiele wydawał, opłacały się skąpo, a rodzina była liczna; więc ciężko biedował i umarł przedwcześnie w r. 1862.

Dzieła. Poeta bardzo płodny. Liczba jego dzieł poetyckich jest znaczna, zbiorowe ich wydanie obejmuje dziesięć tomów. Do ważniejszych należą: Gawędy i rymy ulotne (1853—1861) Urodzony Jan Deboróg (1854), Margier (1855), Zgon Acerna (1856), Stare wrota (1857), Nocleg hetmański, Kanonik przemyski, Janko cmentarnik, Staropolskie roraty i t. d. Są to po większej części powieści z dawnych czasów, niekiedy o historycznych ludziach (Skarga, Klonowicz, Orzechowski), czasem wysnute z miejscowych podań.

Dramata, których Syrokomla napisał kilka (Karlińscy, Wyrok Jana Kaźmierza itp.) słabsze są od powieści. Miedzy drobnymi wierszami zdarzają się ładne, rzewne uczuciem albo ujmujące pogodnym wdziękiem. Przekłady z poetów łacińsko-polskich (Krzyckiego, Dantyszka, Janickiego, Kochanowskiego, Klonowieza, Sarbiewskiego), jakkolwiek niezawsze wierne i niezawsze oddające klasyczny charakter oryginałów, miały tę wielką zasługę, że publiczności nie umiejącej po łacinie, dostępną robiły tę gałąź naszej poezyi. Łatwość zaś i dobry wiersz tłómacza sprawiły, że przekłady te czytają się przyjemnie i mają niezaprzeczoną wartość.

Charakterystyka. Ulubioną formą utworów Syrokomli była gawęda, którą głównie zapewnił sobie trwałe w literaturze stanowisko. Rodzaj ten zbliża go do Pola: ale gawędy Syrokomli są treścią od nich zwykle poważniejsze, smutniejsze; myślą i dążnością różne; bo kiedy Pol rozmilowany jest w świecie i obyczaju staropolskim, to Syrokomla szuka w nim losów i cierpień ludzi ubogich, zapomnianych, upośledzonych; talentem są te poemata od Polowych niższe. Widać w nich przymiot łatwości wierszowania, aż zbyt uczucia i chęci, żywe przywiązanie do ojczyzny i do pięknych chwil i postaci przeszłości. Ale ani głębszej myśli ani stylu jędrnego i własnego, ani wyższych poetycznych darów, wyobraźni i natchnienia w nich niema. Pogodne, potoczne i w mniejszych rozmiarach, udają się zazwyczaj lepiej (n. p. Dębóróg) od większych i zakrojonych na poważne epickie dzieła (n. p. Margier).

Księgarz uliczny.

Aksamitem i złotem świetnieją księgarnie;
Aksamitna publiczność po książki się garnie,
A księgarz ceniąc towar jako mu się zdawa,
Złocistymi wyrazy sypie jak z rękawa;
I nam, którzy do druku gotujemy skrypta, 5
Do spartańskiej polewki dana soli szczypta.
Dzięki Bogu i za to!... a czy pamiętacie,
Kiedy w pańskim pałacu i w szlacheckiej chacie,
Starczył za wszystkie książki wileński kalendarz,
A za wszystkie gazety wioskowy arendarz? 10
Dziś cała Litwa czyta, dziś wszystko jej znane,
Więc pytasz sam u siebie, kto sprawił tę zmianę?

Patrzcie! ja go wam wskażę; przyparty do ściany,
Stoi żyd siwo-brody, okryty w łachmany;
Oczy krwawe, zamdlone, zgrzybiałość na twarzy, 15
Pod pachą kilka książek — to Nestor księgarzy.
Nie szydźcie z tej postaci! lat sześćdziesiąt blisko,
Jak zajął przy tej ścianie swoje stanowisko;
Przechodniom zalecając bibułę i szmaty,
Za miedzianą monetę dał złoto oświaty. 20
Gdy wielka pieśń i mądrość Hellady i Romy
Górowała nad naszej mądrości atomy,
Kiedy w słowie Platona w Horacego nucie
Znajdowano Wielkości i Piękna poczucie —
Tu sprzedawał łańską książeczkę in quarto, 25
Zabrudzoną z początku, a z końca odartą.
Sprzedał za kilka groszy i w dodatku powie:
„Niech pan czyta szczęśliwie, niech służy na zdrowie.“

Zdrowieź było w tych książkach! słowo wrzące czynem:
 Naczytawszy się Rzymian byłeś Rzymianinem; 30
 Duch olbrzymiał w potęgę, opływał w rozkoszy,
 Za ubogą zapłatę kilkunastu groszy.

A nędzarz, co to sprzedął, patrz jak błogo leci.
 Kupić czarnego chleba dla żony i dzieci;
 Jak za ten czarny chlebek, plon swojego żniwa, 35
 Panu Bogu dziękczynne psalmy wyspiewywa!

* * *

Pogadajmy z nimi sami: wspomniał czasy młode,
 Westchnął, oparł na kiju osiwiałą brodę,
 Otarł czerwone oczy:

„Panicze, panicze! 40
 Tyle dobrego zdrowia i setnych lat życzę,
 Ile przez moje ręce przeszło za lat dawnych
 Prawdziwych Elzewirów w pergamin oprawnych.
 Czy to raz profesorska figura zgarbiona 45
 Płaciła po dukacie listy Cyclerona;
 Za Plautusa, choć prawda inkunabał stary,
 Pan Groddeck mi zapłacił aż cztery talary.

A ja tylko sprzedając ściskam ramionami,
 Bo na co im te książki, kiedy piszą sami? 50

„Rarytne były czasy, a książek ogromy,
 Groddeck, Czacki, Śniadecki popisali tomy.
 Dzieła choć naukowe — szły jak asygnata,
 Dużo ich sprzedawałem w staroświeckie lata.

„No!... pana Mickiewicza zabłysnęła chwała; 55
 Ale już postarzałem... broda posiwiała,
 Ręce znużone dziełami Tacyta, Plutarcha —

Wsparłem ot na tym kiju stary patriarchy,
 I nieraz gdy książeczkę roznosiłem małą,
 Samemu na ten towar patrzeć się nie chciało, 60
 Bo do czego to warto? tom taki niespory,
 Jam przywykł do in folio lub quarto majori.

„Co w tem, to pobłądziłem, bo to dobre dzieła!
 Wallenrodom i Dziadom Litwa przyklasnęła.

Czy pan wiesz? były cuda co i sen nie marzy:
 W pół godziny sprzedałem — dziesięć egzemplarzy; 65
 A wzięwszy dziesięć złotych raduje się dusza:

„Ha! to musi być większe od Horacyusza!!
 Pamiętam jakby dzisiaj, gdy w rzewnej podzięce,
 Autorowi Grażyny całowałem ręce.

„Lecz począłem ubożec, czas płaci, czas traci, 70
 Nowe kramnice książek otwarli bogaci,
 A w każdej pełno ludzi, ciekawość ich zdjęła,
 Każdy się dopytuje o najnowsze dzieła;

- A ja najstarszy księgarz, com sprawił tę zmianę,
 Stoję zgarbiwszy plecy i podpieram ścianę. 75
 „Co staremu do tego czy wilgoć czy słota?
 Zalecam przechodzącym romans Walter - Skota.
 Egzemplarz niekompletny, cóż ja biedny zrobię?
 Pan Joachim wyjechał — pan Mickiewicz w grobie.
 Pamiętam ich... pamiętam... ja żyłem z ich darów. 80
 Teraz już nie sprzedaję tak dobrych towarów.
 Skarłał czas, pokarleli nasi literaci,
 Ale jak mówią ludzie — czas płaci czas traci.
 Bóg mi czterdziestoletnią wynagrodzi pracę,
 Odzyskam na Kraszewskim, co na innych stracę. 85
 Kupujcie go panowie! sprzedaję niedrogo,
 Bo biedne moje wnuki z głodu pomrzeć mogą.“

* * *

- Wtem karetą księgarza po bruku się toczy,
 I błotem zabryzgała ślepe starca oczy.
 Otarł zbolale oczy i podniósł je w górę: 90
 „Och! na co ja stworzyłem tę literaturę?!“

M a t y s e k.

- Był Matysek chłop przed laty,
 Jak drugiego nie znajdziecie,
 I przystojny i bogaty
 I szczęśliwy na tym świecie:
 Był kochany, nie znał biedy, 5
 Zazdrościli mu ludziska;
 Nikt nie wierzył, aby kiedy
 Przyszła kryska na Matyska.
 Krasawica — cud — dziewoja
 Zakochała w nim się skrycie: 10
 „Mój Matysku! jestem twoja,
 „Będę twoja całe życie!“
 Lecz ktoś inny sypnął grosza
 I wzajemność dziewki zyska,
 I Matysek wziął odkosza — 15
 Przyszła kryska na Matyska.
 „Mój Matysku, niedbaj o to,
 „A miłośne rzuć zachody!
 „Lepiej z nami użyj złoto;
 „Pójdziem hulać do gospody!“ 20
 Tak go sąsiad cieszył w biedzie
 I całuje i uściska.
 „Dobrze mówisz, mój sąsiedzie!“
 Przyszła kryska na Matyska.

Pił z rozpaczy dobę całą, Na pociechę pół - tygodnia, Poił wszystkich, co się wlało, I sąsiada i przychodnia: A gdy przyszło do zapłaty, Toć ostatni grosz wyciska — Jak niepyszny szedł do chaty: Przyszła kryska na Matyska.	25 30
I od tańca i od trunku Zachorował tejsze doby; Lekarz przybył dla ratunku I napędził trzy choroby. A za recept i za leki Wziął ze stajni dwa koniska, I odjechał w świat daleki: Przyszła kryska na Matyska.	 35 40
Więc przed śmiercią myśli sobie: „Niechże wspomną towarzysze! „Ja testament dla nich zrobię „I każdemu coś zapiszę“. Ale w chacie nic nie było Prócz starego w proggu psiska, — Westchnął biedak całą siłą: Przyszła kryska na Matyska.	 45
Umarł tedy, jak ów święty, Co tureckim ludzie zową, A odzieży lichej szczęty Położyli mu pod głowę, A na pogrzeb nikt z sąsiadów: Nie popatrzył nawet zblizka, Trumnę niosło czterech dziadów: Przyszła kryska na Matyska.	 50 55
Pod darnią, pod zieloną, Zajął miejsce nieprzestronne: Na pogrzebie nie dzwoniiono, Bo niestało na podzwonne. Przy kapliczce tuż pod ścianą Jedlinowy krzyżyk błyska. A na krzyżu napisano: Przyszła kryska na Matyska.	 60

Stary kapral.

Naprzód! naprzód! marsz rębacze!
Broń na ramię! wszak nabita!
Dajcie fajkę! precz te płacze!
Pożegnajcie mię i kwita!

- Osiwiłem w służbie włosy; 5
 Czym źle zrobił — trudno dociec;
 Lecz na musztrach — ej, młokosy!
 Byłem dla was jako ojciec...
- Naprzód, wiara!
 Iść przytomnie, 10
 Tylko wara
 Płakać po mnie!
- Obraziłem porucznika,
 Bo młodziczek zbyt pozwala,
 Ot i z rzeczy rzecz wynika 15
 Ostry nabój dla kaprała!
 Tak potrzeba, na przestroagę...
 Zawiniłem, prawda szczerą;
 Lecz obelgi znieść nie mogę;
 Jam był w służbie bohatera! 20
- Naprzód, wiara!
 Iść przytomnie,
 Tylko wara
 Płakać po mnie!
- Bądźcie mężni, o kamraci! 25
 Nieście w służbie krew i zdrowie:
 Choć się noga, ręka straci,
 Krzyż ozdobi honorowie.
 Jam go zyskał w dobrej sprawie...
 Ej, bywało, bracia mili, 30
 Ja wam stare boje prawię,
 Wy gorzałkęście płacili!
- Naprzód, wiara!
 Iść przytomnie,
 Tylko wara 35
 Płakać po mnie!
- Robert! chłopcze z naszej wioski,
 Wracaj do niej paść twe trzody;
 Patrz, jak piękne klony, brzozki!
 Teraz na wsi kwiecień młody, 40
 Ja bywało o tej porze
 Wdziękiem sioła oczy pieszczę...
 O mój Boże! o mój Boże!
 Moja matka żyje jeszcze!
- Naprzód, wiara! 45
 Iść przytomnie,
 Tylko wara
 Płakać po mnie!
- Kto tam szłocha? znam po jęku:
 Żona trębacza hussarzy; 50
 Niosłem syna jej na rękę,
 Idąc z Moskwy w przedniej straży;

Jej by przyszło w dzikim stepie
 Zginać w śnieżnej zawierusze, —
 Dziś niewiasta pacierz trzepie, 55
 Niech się modli za mą duszę!
 Naprzód, wiara!
 Iść przytomnie,
 Tylko wara
 Płakać po mnie! 60
 Tam do licha! — fajka zgasła...
 O! nie jeszcze — już my w kole.
 Do szeregu! czekać hasła!
 Oczu wiązać nie pozwolę!
 Ej, kamraci! ej najszczerzi! 65
 Wara płakać! broń gotowa;
 Strzelać celno — w same piersi —
 I niech Pan Bóg was zachowa!
 Naprzód, wiara!
 Iść przytomnie, 70
 Tylko wara
 Płakać po mnie!

Teofil Lenartowicz.

Urodził się w Warszawie w roku 1822, nauki tamże. Po ich ukończeniu wstąpił do urzędu. W roku 1848, pociągnięty ówczesnymi wypadkami, wyjechał z Królestwa: udał się do Poznania, do Krakowa; potem bezpiecznie już wrócić nie mógł i został emigrantem. Zrazu mieszkał w Paryżu, w zażyłości z wielu znakomitymi Polakami — z Mickiewiczem między innymi. Po kilku latach przeniósł się do Włoch; zamieszkał naprzód w Rzymie, następnie we Florencyi. W roku 1861 ożenił się z Zofią Szymanowską, młodszą siostrą (zmarłej od r. 1855) żony Mickiewicza. Stracił żonę po niedługim pożyciu, a od jej śmierci żył we Florencyi samotny, z ciągłą myślą o ojczyźnie, z głęboką pobożnością w sercu, z budującą rezygnacją i niezwykłą siłą duszy, znośjąc samotną starość i dolegliwości wieku cicho, łagodnie, bez skargi, z wiarą w Boga i przyszłość, z miłością i dobrocią dla ludzi. Oprócz talentu poetyckiego odkrył się w nim w latach późniejszych talent rzeźbiarski (obudzony, a w każdym razie wykształcony widokiem i wpływem dzieł sztuki, któremi był otoczony we Włoszech). Rzeźba stała się (obok poezyi) jego zajęciem i pocięcią; a znawcy przyznają tym jego dziełom wiele zalet i wartości. — Umarł we Florencyi w r. 1893; pochowany w Krakowie w grobie „zasłużonych“ na Skałce.

Dziela. Lenartowicz zaczął pisać bardzo wczesnie, bo jeszcze w r. 1841. Pierwszy ogłoszony zbiór jego poezyi, Polska ziemia (1848—1850), miał już ten charakter uczuciowy, patriotyczny i wiejski, jakim się odznaczają wszystkie jego poezye; drugi, Lirenka, wydana

w roku 1855, okazywała talent więcej wyrobiony, ale miała tę samą cechę. Pod wpływem pobytu we Włoszech i odbieranych tam religijnych i artystycznych wrażeń, na które poeta bardzo był czuły, zjawiają się nowe i odmienne przedmioty poematów (na przykład Gładyatorowie) i otwierają się nowe źródła natchnienia, z historycznej lub artystycznej przeszłości Włoch, z natury lub potocznego ich życia. Wszelako i w takich odzywa się zawsze patryotyczna struna i tęsknota. Takie na przykład jest wydane w roku 1870 Album włoskie.

Z rzeczy osnutych na pojęciach i podaniach ludu (i może z całej poezji Lenartowicza) najpiękniej udało się Zachwycenie, rozmowa, w której przebudzona z letargu matka opowiada małemu synkowi, co przez czas tego snu widziała w czyscu i piekle. Podług wyobrażeń ludu dusza osoby uspioanej snem letargicznym przebywa w niebie. Parą do Zachwycenia jest Błogosławiona, dusza (zapewne tejsamej osoby), po śmierci ciała przyjęta już na całą wieczność do nieba i oprowadzana po niem przez swoje święte patronki.

Pobyt we Włoszech nie wstrzymał wcale patryotycznych i wiejskich natchnień Lenartowicza. Z takich powstały Racławice, większy poemat, którego sam tytuł wskazuje treść, a kłóremu to jedno można zarzucić, że krótki wiersz i skoczny, mazurkowy rytm w dłuższym utworze wydaje się jednostajnym i cokolwiek nużącym.

Do tego samego zakresu, z dawniejszych tylko czasów, należy Ze starych zbroic (1870). Ostatniem ogłoszonym dziełem Lenartowicza (1881) są Rytmy narodowe (o Sobieskim i Kościuszcze), w tym samym zawsze ludowym i pieśniowym tonie i rodzaju.

Charakterystyka. Właściwą i odrębną cechą Lenartowicza, która go odróżnia od wielu innych współczesnych poetów, jest wiejskie ludowe zacięcie jego poezji. Jak w wierszach Zaleskiego na formie znać rytm i dźwięk dumki, a w usposobieniu rzewność i tęsknotę ukraińskiego ludu, tak u Lenartowicza wiersz ma charakter, a często rytm wiejskiej śpiewki — a jego natchnienie znajduje często popęd i przedmiot w życiu, w uczuciach lub w wyobrażeniach wiejskiego ludu. Ta jest wszakże różnica, że kiedy Ukrainiec Zaleski ma w naturze i w poezji swojej wiele pierwiastków ruskich, to Lenartowicz, Warszawiak, na Mazowszu chowany, ma sam i w poezjach swoich zachowuje charakter rdzennie i czysto polski. Wiersz jego sam miewa często rytm krakowiaka albo wiejskiego obertasa. Podobnie jak Zaleski, ma usposobienie łagodne, czule a ciche: ma głęboką wiarę i rzewną pobożność; kiedy znowu zamiłowanie wsi, żywe uczucie wdzięku, jaki tkwi w ludzie i jego życiu, ma Lenartowicz wspólne z Brodzińskim. Tylko, kiedy u tamtego chowanego jeszcze pod wpływem dawnych form poezji, zamiłowanie to przybrało formę konwencyonalnej sielanki i wydało Wiesława, to Lenartowicz młodszy i na romantykach kształcony, ma (pomimo usposobienia także w gruncie sielankowego) więcej rzeczywistości i prawdy, więcej życia. Słuszność każe wyznać, że u niego także — znowu jak u Zaleskiego lub Brodzińskiego — przestawanie zbyteczne w zakresie tych samych form i pomysłów sprowadza pewną jednostajność.

M a z u r.

Hej! do tańca, dziewuchy!	Oj ta dana, oj dana,	35
Zagraj, dudko Jaśkowa! —	Doloż moja kochana!	
Cóżto, grajku, czyś głuchy,	Co mam nie być wesoly?	
Co tak siedzisz jak sowa?	Mój majątek dwa doły,	
Ano! żywo do licha!	5 A w onych dołach żona	
Cóżto wam się przydało?	Z małym dzieckiem złożona..	40
Każdy siedzi a wzdycha —	Oj ta dana, oj dana,	
Czy złe ludzi spętało?	Doloż moja kochana!	
Bartek z boku spoziera,	Grajże, dudko wesola,	
Łzy rękawem ociera,	10 Toć na mnie nikt nie woła,	
A dziewuchy, parobcy —	Nikt nie czeka stęskniony	45
Jak nie swoi, jak obcy.	W mej chałupie spalonej..	
Gdy tak Maciek ochoczy,	Oj ta dana, oj dana,	
Każdy przetarł swe oczy,	Doloż moja kochana!	
A Jan stary z za stoła:	15 Żywa dusza nie żąda,	
Grajże, grajku — zawoła.	Próżno człek się ogląda,	50
Chwycił Józef za basy,	Więc tańcuje najszczerzej,	
Żwawo smykiem potoczył;	Jutro pójdę w żołnierzy.	
Maciek w taniec wyskoczył,	Oj ta dana, oj dana.	
Ognia dały obcasy.	20 Doloż moja kochana!	
Oj ta dana, oj dana.	Gdy tak tańczy ochotnie,	55
Doloż moja kochana!	Cóżto grajko tak potnie?	
Cóżto grajko tak smutnie?	Kropla w kroplę przez oczy	
Wesołego niech utnie,	Z twarzy grajka się toczy.	
Bo mnie na złość kapeli	25 Czy się zmachał od grania?	
Jakoś coraz weselej!	Skrzypki rzucił, podeptał,	60
Oj ta dana, oj dana,	Otarł lice sukmanem	
Doloż moja kochana!	I coś mruzczał i szeptał;	
Co mam nie być wesoly?	A dziewczki się spłakały,	
Spaliły się stodoły,	30 Że skrzypki grać przestały.	
Kłopot sobie nie zadam,	Bądźcie zdrowi, wy starzy,	65
Kędy zboże poskładał:	Niechaj Pan Bóg wam darzy!	
Bo je grady złożyły,	A gdy skrzypków nie stało,	
Pocięły i zmłóciły.	By się w karczmie hulało,	
	Śpiewam sobie: Oj dana,	
	Doloż moja kochana!	

K a l i n a.

Rosła kalina z liściem szerokiem,
 Nad modrym w gaju rosła potokiem,
 Drobną deszcz piła, rosę zbierała,
 W majowym słońcu liście kąpała.
 W lipcu korale miała czerwone
 W cienkie z gałązek włosy wplecione.

Tak się stroiła jak dziewczę młode
 I jak w lustro patrzyła w wodę.
 Wiatr co dnia cesał jej długie włosy,
 A oczy myła kroplami rosy. 10
 U tej krynicy, u tej kaliny.
 Jasio fujarki kręcił z wierzbiny
 I grywał sobie długo żałośnie,
 Gdzie nad krynicą kalina rośnie,
 I śpiewał sobie: dana! oj dana! 15
 A głos po rosie leciał co rana.
 Kalina liście zielone miała
 I jak dziewczyna w gaju czekała,
 A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
 Pod czarny krzyżyk Jasia złożono, 20
 Biedna kalina znać go kochała,
 Bo wszystkie swoje liście rozwiała,
 Żywe korale wrzuciła w wodę.
 Z żalu straciła swoją urodę.

Wiecznie to samo.

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody.
 I rzeka porusza się gładko;
 Jaskółki szczebiocąc wybiegły z pod wody,
 Całe ich unosi się stadko. 5
 Kręcą się, wiją się, to niżej, to wyżej,
 Nad czystą jak kryształ rzeczulką,
 I coraz to szybciej a coraz to chyżej,
 A w kółko, a w kółko, a w kółko.
 Na brzegu zielonym, na bujnej, na trawce 10
 Pasą się dwie krówki, baranek,
 A pastuch przygrywa na długiej ligawce,
 I słonko przygrzewa w poranek.
 Przelotny wiaterek to trawką zawichrzy,
 To w trzcinę, w tatarak się wkradnie, 15
 Zakłóci, zamąci, i cichszy, i cichszy
 W zielonym gaju przepadnie.
 Ligawka przycichnie — to dzwonek z kościółka,
 Na ranne modlitwy zadzwoni;
 A dzwonek zamilknie, to złota mi pszczołka, 20
 Zabrzęczy na kwietnej, na błoni;
 Ach! pszczołka przysiedzie na świeży sasanek,
 To piosnka dziewczęcia drży w wietrze.
 A! Boże mój drogi — w wiosenny poranek,
 Jak wszystko i świeższe i letsze.

Ja siedzę pod lipą odwieczną, schyloną, 25
 Co ledwie że w pączki rozpuka;
 I słucham jak w lesie pod sosny koroną
 Kukułka wciąż kuka i kuka.
 Kukułko! kukułko! a dużo tam jeszcze,
 A dużo naliczysz mi latek?... 30
 O ptasze ty moje! o ptasze ty wieszczę,
 I kiedyż tam będzie ostatek?...
 Już dziesięć, dwanaście i jeszcze wciąż dzwoni.
 Za wiele moja ty ptaszyno...
 „Nie bój się, nie wiele — w ojczystej ustroni 35
 Twe lata jak woda przepłyną!“

* * *

Wychodzim na kośbę wesołą gromadką,
 Chłopaki, dziewczęta jak róże;
 O! chwałaż ci Boże za nowe za latko,
 Hej! chłopcy, dziewczęta, a nuże. 40
 Brzęk brzęku, brzęk brzęku, pospiesznie a chyłkiem,
 Śmiech słyhać, spłoszyli zająca,
 I oto się bielą nad rannym posiłkiem
 Pod gruszą, co chroni od słońca.
 A niebo tak równe jakby je wygładził, 45
 A słońce tak jasne choć małe;
 A w łąkach tak kwiecica jak gdyby nasadził,
 Czerwone, niebieskie i białe.
 Jabłonka i grusza podpórek aż proszą,
 Tak na nich i jabłek i gruszek; 50
 Podpórki dziewczątka z podwórka przynoszą,
 Gdzie struże dziadulo staruszek.
 Gdy spojrzę na dziadka jak z niemi się bawi,
 Jak zawsze szczęśliwy jednako,
 To cichą modlitwą żrenica się łzawi. 55
 O! Boże daj starość mi taką.

* * *

Na polu omglonem jak oko zasięga,
 Skończone ostatnie roboty;
 I cisza w około, a gąsior gdzieś gęga,
 I ziemia już tylko a płoty; 60
 Po drodze to wózek podróżny zadudni,
 To bydle się przemknie u rowu;
 To żuraw wysoki zaskrzypi u studni,
 I spokój rozsiada się znowu.
 Brat w małym ogródku motyką wciąż kopie. 65
 Dziadulo jak struże tak struże,
 Dwie siostry przed chatą trą białe konopie,
 A klekot odbija podwórze.

I jakoś nam błogo, choć chmurno na dworze,
 Nam woda do chaty nie leci, 70
 Człek żyje jak może, i robi co może,
 Dla ojca, dla żony, dla dzieci.

Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie co nasze,
 I ludzie mi drodzy i mili;
 I nie wiem, co miłsze nad wiejskie poddasze? 75
 Nad ptaka — co w krzakach wciąż kwili?
 Nad żonę — co w białej len przedzie świetlicy;
 Nad ziemię — co zboże mi rodzi?
 Nad gwiazdkę — co w czystej kąpie się krynicy?
 Nad miesiąc — co z lasu wychodzi? 80
 I nie wiem, co miłsze nad ludzkie wejrzenie:
 Co czystsze nad wodę przeczystą?
 Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie?
 Co droższe nad ziemię ojczystą?
 I nie wiem, co szybsze nad myśl niezgonioną 85
 Nad serce pocziwe gorętsze?
 Co bardziej smutniejsze nad młodość straconą?
 Nad pracę i miłość co świętsze?
 Nad krzywdę rodaka co bardziej porusza?
 Co lepiej nad kosę uzbraja? 90
 Co prędzej nad wiarę łyż z oczu osusza?
 Co więcej nad radość upaja?

Są różni na świecie, są tacy i tacy,
 Są dobrzy, niedobrzy — któż nie wie?
 Ja o tem nie myślę; co zbywa od pracy, 95
 To spędzam przy dzieciach, przy śpiewie,
 To z ojcem, to z dziadkiem, to z dziećmi się bawię;
 To niby na niczem, tak oto;
 Jak teraz, gdy stojąc przy złętej otawie,
 Patrę się na zorzę, na złotą... 100

Kornel Ujejski.

Syn Erazma i Ludwiki z Wolańskich, urodził się w r. 1823 w Beregnianach w obwodzie czortkowskim w Galicyi. Szkoły odbył w Buczaczu, uniwersytet we Lwowie. W tych latach młodzieńczych zaczął pisać swoje pierwsze poezye i to z niepospolitym talentem. Wypadki roku 1846 zmusiły go do wyjazdu za granicę; tu poznał się z Mickiewiczem, zaprzyjaźnił ze Słowackim.

W roku 1848 wrócił do kraju, ożenił się i osiadł we Lwowie, następnie na wsi w Zubrzy pod Lwowem jako dzierżawca. Zaniechawszy

gospodarstwa zamieszka na wsi, częścią w Pawłowie koło Radziechowa, częścią w Wygnance, w powiecie czortkowskim. W roku 1893 obchodzone we Lwowie uroczyste jubileusz 50 letniej jego działalności autorskiej. Umarł w Pawłowie r. 1897.

Dzieła. Już *Maraton*, napisany, kiedy poeta miał lat zaledwo dwadzieścia, ma taką siłę uczucia i wyrażen, taką sztukę układu i taką żywość przedstawienia, że zapowiadał wielkiego poeę. Forma też bardzo piękna, wiersz i język niezmiernie poprawny i czysty, a przytem żywy, jedrny i dźwięczny, styl własny, z nikogo nie naśladowany, to były przymioty, które młody poeta pokazał przy pierwszym wystąpieniu i które mu zostały na zawsze. Drugiem dziełem jego były *Skargi Jeremiego* (1847). Wrażenie zrobiły one wielkie. Oprócz wyżej wskazanych zalet, miały jeszcze tę, że w wielu swoich ustępach dawały wiary, gorący, potężny wyraz uczuciom i usposobieniom ówczesnym. Rzadko kiedy pierwszy występ młodego poety był tak szczęśliwy, tak wiele obiecujący. Słuszność każe nie zapominać o tem, że przez poetów starszych (a zwłaszcza trzech wielkich) strona techniczna poezyi była doskonale wyrobiona, a w tem dla następnych było wielkie ułatwienie. Ale niemniej mało kto z tych następnych umiał tak dobrze jak Ujejski korzystać z tych wielkich poprzedników, nie naśladowując ich. Na Ujejskiego formę, jak na jego pojęcia i uczucia, najsilniej działał Słowacki, i wpływ jego daje się rozpoznać wyraźnie — ale wpływ tylko, nie naśladowanie. W rytmie i dźwięku, w budowie strof działał niekiedy i wpływ Zaleskiego, ale znowu bez naśladowania. W latach następnych wydawał szybko i obficie nowe zbiory poezyi. (*Kwiaty bez woni*, 1848. *Zwiedle liście*, 1849. *Melodye biblijne*, 1852). Zachował w nich właściwe sobie przymioty: język i wiersz miał zawsze śliczny, nieraz wielki popęd i siłę uczucia, którą w swoich młodzieńczych dziełach okazał w stopniu może najwyższym.

W latach dojrzałych i w wieku już późnym mało dodał Ujeski do swoich dawniejszych zbiorów, ale i w tych późniejszych poezjach są zalety podobne jak w dawnych. Jedyną różnicą jest pewien realizm, jakiego dawniej nie bywało, a który teraz zjawia się w niektórych wierszach i wcale szczęśliwie (na przykład *Za służbą*). Ilustracje do niektórych kompozycji Chopina, w których tłomaczy słowami myśl muzycznego utworu i oddaje jego charakter, a nawet rytm naśladowuje, przez niektórych cenione bardzo wysoko, są w każdym razie godne uwagi, a nieraz pełne wdzięku i zadziwiające lekkością.

Charakterystyka. Ujejski odrazu, jednym skokiem stanął na szczycie swojego zawodu, a później już się nie rozwijał i nie postępował. Talent, nie zasilany nowymi zasobami myśli i pracy, nie mógł wydobyc z siebie tych wszystkich sił, jakie miał z natury. Nie wyczerpał się, bo poeta pisał mało i nie wpadł w powtarzanie siebie samego, ale stanął na miejscu. Uczuciowy przedewszystkiem, miał szczęśliwą znajomość swego talentu i pisał same wiersze liryczne. Raz jeden spróbował się w dramacie (*Samson*), ale napisał tylko akt pierwszy, w którym daje się widzieć właściwe mu usposobienie liryczne; talent dramatyczny musiał być słabszy, skoro ten pomysł Samsona został tylko próbką i fragmentem.

Między naszymi lirycznymi poetami będzie Ujejski miał zawsze miejsce wysokie, a w niniejszym okresie był pod tym względem niezawodnie pierwszym. Niektóre wiersze ze Skarg, z Melodyi biblijnych i z późniejszych jeszcze, należą do najpiękniejszych rzeczy, jakie w tym rodzaju ma nasza poezya.

Z melodyi biblijnych.

Jeremiasz.

Przyszedł Chaldeczyk, jak tygrys krwi chciwy,
I powlókł Judzki lud do Babilonu,
A Jeruzalem rozburzył i spalił.
Zamilknął prorok jak łuk bez cięciwy,
Usiadł, dumając na gruzach Sionu
I jęknął czasem, gdy go ból rozżalił. 5

I zdjął dłoń z oka i w niebo zapłakał :
„Ludu mój, ludu! gdzieżeś ty się podział,
„Jakaż cię przepaść przedemną schowała?“
A nad nim orzeł libański zakrakał, 10
Co krwią ociekłem piórem się przeodział,
A w dzióbkie kawał niósł ludzkiego ciała.

I rzekł Jeremiasz : „Gdzie źródła Hesbonu,
„Wieczorna schadzka Izraela córek,
„Kędy płąsały one jak gazele?“ 15
I u ustóp jego żalobnego tronu
Wybiegło w słońca blask dwoje jaszczurek
I wszczęło taniec w rozgrzanym popiele.

I zmartwiał prorok i dalej narzekał :
„O, Panie! w czynach Swych bądź pochwalonym, 20
„Lecz gdzież twój kościół, gdzie kapłanów hymny?“
A szakał w gruzach świątyni zaszczekał,
I na ołtarzu usiadłszy spalonym
Zawył. Z ołtarza jeszcze szedł słup dymny.

I rzekł Jeremiasz : „Gdzież są wojownicy,
„Gdzieżeś ty królu, gdzie twoje hetmany,
„Czy i w twej piersi tkwią wrogów oszczepy?“
A w tem nietoperz z przelomu ciemnicy
Wyleciał piszcząc i tłukł się o ściany
I rwał się w pętach, jak Judzki król — ślepy! 30

A prorok twarzą upadłszy na ziemię,
Ciałem złamany i duszą złamany,
Nie chciał już Boga o nic więcej pytać.
I w swoim sercu uczuł straszne brzemię —

I zdało mu się, że wszystkie szatany
Zaczęły nad nim i śmiać się i zgrzytać. 35

I odstąpiła go wszelka pokora,
I krzyknął w grozie: „Tyś ojcem Jehowo!
„A własne syny wytepiłeś z szczętem!“
I spojrział w górę. Zeschła sykomora 40
Z podartą korą, z potarganą głową,
Nad nim węglanym wahała się prętem.

A latorośli mnóstwo z jej korzenia
Pięło się w słońce zielono i zdrowo,
I ziemię, którą zniszczyła pożoga 45
Znów świeżych liści wieńcami ocienia,
I przyozdabia ją nadzieją nową —
Ujrzał to prorok i pojął myśl Boga.

Z a s ł u ż b ą .

Przyszło bose, w brudnej koszulince,
I stanęło spokojnie u progu —
Chłopskie dziecię, dziewczę pięcioletnie,
Złotowłose, w twarzy żółte szpetnie, 5
Oczka żywe, choć pół-płaczu w mince;
Wnet je ujrzał anioł mego domu.
— Co chcesz dziecię moje?

— Sława Bogu!
— Na wieki wieków — co chcesz dziecię moje?
— Ta, za służbą... o pies! ja się boję!... 10
— Pies ten złego nie robi nikomu —
Chodź tu bliżej, bliżej — a czyja ty?
— Ta niczyja —

— A gdzież matka?
— Zmarła maty. 15

— A twój ojciec?
— Ojciec w karczmie siedzi.

— Cóż ty robisz?
— Żywią mnie sąsiedzi 20

Czasem dadzą, a czasem nie dadzą;
W zimie często do pierza posadzą,
Teraz nie... Pan Bóg mnie hoduje
Jagodami... ot! człowiek bieduje...

— Jaki człowiek?
— Ta ja, pani miła — 25

Źle na wierzchu ziemi być sierotą —
Ciężkie życie — lepiej gdzie mogiła,
Tam gdzie matka...

— O, moje ty złoto!

Takie małe! tak mówi rozumnie — 30
 To ty dziecko, ty chcesz służyć u mnie?
 Cóż ty umiesz?

— Ta, chatę zamiatać,
 Wodę przynieść...

— Figle umiesz płatać? 35
 (Ono myśli długo) — Także umiem,
 A i gęsi ludzkie paść rozumiem...
 — Czy ty głodna?

— O! o! bardzo głodna...

O ty ziemio polska! ty zawodna! 40
 O ty ziemio polska! tak bogata,
 Że wyżywić mogłabyś pół świata,
 A dla własnych dzieci nie masz chleba!
 Bujne twoje łąki, żyzne niwy,
 Zawsze pełne rosy twoje nieba, 45
 A podobnaś do popiołów urny,
 I twój naród chodzi smutny, chmurny,
 Często grzeszny, ach! bo nieszczęśliwy!

O ty ziemio polska! ty zawodna!
 Taka strojna licem i swobodna -- 50
 Grzybne twoje lasy, wody hojne,
 Kwietne twoje sady, pszczoły rojne,
 A dla większej części swego rodu
 O! nie owoców już, ani miodu,

Ale nie masz nawet chleba, chleba!... 55
 Oto dziecko ledwie nie z kołyski,
 Smutne patrzy na twoje połyski,
 Już dojrzało, już nieszczęściem stare,
 Rozwinęła już jemu potrzeba
 Myśl i serce — i już traci wiarę; 60
 Ledwie mówić umie, już się skarży,
 I o grobie niby starzec marzy...
 O ty ziemio! ty macocho gminu!...

Gdzie me dzieci? chodź tu, chodź mój synu!
 I ty drobny w pieluszkach — tu chodźcie! 65
 Usta wasze uśmiechem osłódźcie,
 Powitajcie tę siostrzyczkę waszą,
 Ta, co zmarła, równie była małą!
 Niech was plamy w koszulce nie straszą,
 Bo jak waszem białem jest jej ciało; 70
 No, rączkami twarz jej pogłaskajcie,
 Ale najprzód jeść, o! jeść jej dajcie!!

Józef Ignacy Kraszewski.

Syn Jana i Zofii z Malskich, urodzony w Warszawie w roku 1812. W dzieciństwie chował się przy babce i prababce w Romanowie nad Podlasium. Do szkół chodził naprzód w Białej, następnie w Lublinie i Świśloczy. W roku 1829 poszedł na uniwersytet w Wilnie i wtedy zaczął pisać pierwsze swoje powieści i rozprawy. W r. 1831 dostał się do więzienia i cały czas wojny przebywał w szpitalu. Za staraniem krewnych uwolniony musiał mieszkać w Wilnie. Od roku 1833 przesiadywał najwięcej na wsi, na Podlasiu i Wołyniu, pisząc zawsze wiele i w różnych kierunkach (powieści, prace historyczne, rozprawy językowe). W r. 1837 mianowany był profesorem języka polskiego w uniwersytecie kijowskim, ale katedry tej nie objął, gdyż ją przed otwarciem skasowano. Ożenił się w roku 1838 (z Zofią Woroniczówną), mieszkał i gospodarował w Gródku, później w Hubinie na Wołyniu. Pisał zawsze bardzo wiele, a powieści jego budziły coraz więcej zajęcia. Dla skupienia ruchu umysłowego w krajach zabranych założył i wydawał w Wilnie pismo zbiorowe *Ateneum* (1841). Po roku 1850 działalność jego i wpływ jeszcze się rozszerzyły. Mieszkając zawsze na Wołyniu, zostawał w ciągłych i ścisłych stosunkach z piśmiennictwem warszawskim; w Żytomierzu (gdzie osiadł w roku 1858) objął kuratoryę szkół, a zarazem kierownictwo teatru. Gdy po śmierci cesarza Mikołaja zmieniły się stosunki cenzuralne, a przez to ożywił się ruch piśmienniczy i dziennikarski w Warszawie, Kraszewski osiadł tam i objął redakcyę *Gazety codziennej* (później zwała się *Gazetą polską*). Po pierwszych wypadkach warszawskich w r. 1861 należał do delegacyi, która utrzymywała porządek w mieście i była jakoby pełnomocniczką ludności wobec rządu. Gdy stosunki te wikły się i naprężyły coraz bardziej, Kraszewski na rozkaz rządu wyjechał do Drezna (w roku 1862) i tam już miał stałe mieszkanie (własny dom) do śmierci.

Po roku 1863 znaczną część dzieł swoich wydawał pod przybranem nazwiskiem Bolesławity; pisywał do wielu pism krajowych; zjeżdżał do Galicyi i do Poznania, gdzie miewał czasem publiczne odczyty. Gdy w roku 1879 kończyło się pięćdziesiąt lat jego autorskiej pracy, powstała myśl uczczenia go uroczystym obchodem jubileuszowym, który się odbył w Krakowie, w październiku rzonego roku. Zjazd był bardzo liczny ze wszystkich części Polski; sędziwemu pisarzowi składano publicznie adresy i dary pamiątkowe. Przy tej sposobności złożono znaczny fundusz, którym on miał według swego uznania rozporządzić na cele publicznego użytku. Z tego funduszu powstała instytucya wydawnicza *Macierzy polskiej* we Lwowie.

W parę lat później rząd pruski oskarżył Kraszewskiego o tajne stosunki z francuskim ministeryum wojny i o dostarczanie temuż raportów o stanie i rozłożeniu wojsk niemieckich. Aresztowany w Dreźnie, przewieziony do Berlina, zostawał Kraszewski pod śledztwem przez lat blisko dwa (1882—1884). Wyrok sądowy skazał go na półczwarta roku więzienia w twierdzy. Osadzony w Magdeburgu, więzieniem i zmartwieciem doprowadzony do bardzo smutnego stanu zdrowia, Kraszewski tu

jak i przedtem w więzieniu śledczem) pracował i pisał ciągle. Zdrowie jednak podupało tak oczywiście, że w jesieni roku 1885 pozwolono mu wyjechać za kaucją. Udał się do Szwajcaryi, stamtąd do Włoch; zdrowie jednak nie mogło się poprawić. Zeszedł tak cały rok 1886. W początkach 1887 zamieszkał w San Remo, gdy nagle w nocy 23 lutego zawałił się sufit w jego pokoju wskutek trzęsienia ziemi. Wtedy chory starzec miał tylko jedno gorączkowe pragnienie: uciekać z tego miejsca. Wyjechał też do Genewy, ale podróż wyczerpała ostatek sił i nabawiła go nowej choroby, zapalenia płuc. W cztery dni po przyjeździe do Genewy umarł 19 marca 1887. Pochowany kosztem kraju w Krakowie na Skałce (w grobie „zasłużonych“).

Dzieła. Kraszewski był najpłodniejszym ze wszystkich pisarzy polskich, jacy kiedykolwiek byli: prace jego liczą na 300 dzieł, a 600 tomów. Jest też jednym z pisarzy najbardziej wszechstronnych. W powieściach, które stanowią część największą jego pracy, dotyka najrozmaitszych zjawisk i stosunków obyczajowego i społecznego życia; a prócz tego pisze poezye, dramata i komedye, zajmuje się nadto historją, literaturą, sztuką, archeologją, filozofją, nieraz też bieżąciami sprawami politycznemi.

1. *Powieść obyczajowa.* Pierwsze jego powieści są słabe. Jest w nich jakieś umyślne sadzenie się na szyderstwo, błędne szukanie energii i dosadności w przesadzie: a obok tego skłonność do naśladowania francuskich i niemieckich romansów (Pan Karol, Cztery wesela). Następnie bierze górę pierwiastek chorobliwie romantyczny. Poeta lub artysta, w niezgodzie ze światem, staje się częstym bohaterem powieści Kraszewskiego (Poeta i świat 1837).

Jako nowość zaczęły się pojawiać powieści z życia ludu: *Ułana* (1843), *Ostap Bondarczuk* (1847), *Jaryna* (1850). *Zamłowanie* w sztuce i pojęcie (mylnie) artysty jako istoty skazanej z góry na to, by była niezrozumiana przez ludzi, a prześladowana od losu, wydały Sfinksa, najświetniejszą może z jego dawniejszych powieści.

Ostatnie lata pobytu na Wołyniu (1850—1858) były może najświetniejsze w jego zawodzie. Z tego czasu pochodzą powieści: *Interesa rodzinne*, *Powieść bez tytułu*, *Dwa światy*, *Chata za wsią* (1854), *Dziwadła* (1853).

Lata pobytu w Warszawie (1858—1862), zajęte pracą redaktora dziennika, a później zapełnione ważnymi wypadkami, były mniej obfite w literacką produkcję. Zato po roku 1863 ożywia się ona na nowo, i to w najrozmaitszych kierunkach. Powstają powieści (pod imieniem Bolesławity wydane), z tych wypadków wzięte (*Dziecię starego miasta*, *Szpieg*, *Moskal*, *My i oni*, *Czerwona para* i t. p.) Twórczość na tem polu nie ustaje do końca życia; z powieści powstałych po r. 1863 do celniejszych należą: *Morituri*, *Resurrecturi*, *Ada*, *Na tułactwie* i t. d.

2. *Powieść historyczna* podobnie jak obyczajowa zajmuje Kraszewskiego przez całe życie; odtwarza on w nich całą naszą przeszłość, od czasów przedhistorycznych do najnowszych (*Lublana*, *Kunigas*, *Powrót do gniazda*, *Kordecki*, *O Janaszu Korczaku*,

Dyabeł itd.), niekiedy sięga czasów starożytnych (Caprea i Roma, Rzym za Nerona). Pobyt w Saksonii i łatwy stąd zwrot myśli do czasów saskich w Polsce, łatwość także poznania wielu szczegółów z tych czasów, wydały powieści takie, jak Hrabina Cosel, Brühl i t. p. Te zaś powieści z XVIII wieku naprowadziły Kraszewskiego na pomysł śmiały, ujęcia całej historii polskiej (jej chwil i epok głównych) w powieści. Pierwszą z rzędu (i najświetniejszą) była Stara baśń. Autor, bardzo do tego swego zamiaru przywiązany, pracował nad nim niezmordowanie i doszedł w tych powieściach do połowy wieku XVIII. Czynność nie ustaje do końca: w samym więzieniu Kraszewski pisał ciągle i nowe plany układał; ale dzieła jego z tego cyklu, a zwłaszcza z ostatnich lat, są słabsze; co się tłumaczy naturalnie i wiekiem i zdrowiem i przygnębieniem moralnem.

Jako pisarz powieści Kraszewski miał talent ogromny. Właściwą jego siłą jest obserwacja i wyrazista, energiczna charakterystyka postaci, zwłaszcza śmiesznych lub zdrożnych; szlachetne, zbliżone do ideału udają mu się zwykle gorzej. Świetna bywa niekiedy charakterystyka czasów, zwłaszcza wieku XVIII. Treść często bardzo zajmująca, zawikłania i sytuacje wzruszające, czasem znowu komiczne i bardzo zabawne. Sposób pisania, kiedy nie zbyt pośpieszny i zaniedbany, jest żywy, energiczny; nieraz wielka siła uczucia. Słabą stroną tego talentu, a raczej stroną odrotną jego przymiotów jest pośpiech, niedbałość, zdarzające się powtarzanie tych samych pomysłów i postaci w kombinacjach cokolwiek zmienionych, wreszcie smak niedość wyrobiony, skłonność do przesady, czy to w tonie potocznym, czy w tonie podniosłym i patryotycznym.

3. *Poezycy*. W pierwszych latach swego zawodu próbował Kraszewski sił swoich w poezji i napisał wierszem białym rapsody z czasów pogańskich Litwy p. t. Anafielas, trylogię złożoną z trzech poematów: Witolorauda, Mindows i Witoldowe boje (1840).

4. *Dramata i komedye*. Zajęty żytomirskim teatrem, zaczął wtedy Kraszewski pisać komedye, do których wszakże nie miał szczególnego daru. Później wracał od czasu do czasu do tego rodzaju, kreśląc najchętniej obrazy dramatyczne z końca XVIII wieku, jak Miód kasztełański (1860), Panie Kochanku, Radziwiłł w gościnie, Trzeci Maja (1876), które dotychczas utrzymują się na scenie.

5. *Historya*. Oprócz licznych pamiętników, dokumentów, listów, które przerobił lub wydał, napisał Kraszewski kilka dzieł historycznych, jak Dźwoje Litwy i Wilna i — Polską w czasie trzech rozbiorów (1873).

6. *Literatura i sztuka*. Z pomiędzy rozpraw i monografi literackich i artystycznych zasługują na uwagę: Studya literackie, Gawędy o literaturze i sztuce, Sztuka u Słowian, Studya nad Boską komedją, o Władysławie Syrokomli i Ignacym Krasickim. Nadto pisywał w ostatnich kilkunastu latach korespondencye do pism warszawskich o ruchu artystycznym i umysłowym w Europie, a zwłaszcza w Niemczech.

7. *Publicystyka*. W ciągu życia założył i wydawał kilka czasopism, jak Ateneum w Wilnie, Gazetę polską w Warszawie, Hasło we Lwowie;

Omnibus i Tydzień w Dreźnie. W latach 1866—1869 wydawał Rachunki, roczne sprawozdania z różnych kierunków polskiego życia.

Charakterystyka. Tak ogromny zakres pracy, w połączeniu z żywym, zawsze przystępnym, nieraz świetnym sposobem pisania sprawiał, że i wpływ jego był bardzo wielki. Pracowitość jego jest zdumiewająca: nie osłabił jej ani wiek, ani złe zdrowie, ani więzienie. Musiał Kraszewski oczywiście mieć wielką łatwość pracy — bez tej nie byłby mógł tylu dzieł napisać; ale ta łatwość była pomocą tylko, a nie główną sprężyną jego czynności. Ta mnogość pism i różnaitość kierunków miała wszakże tę nieuniknioną złą stronę, że Kraszewski musiał pisać pospiesznie, pobieżnie; że dzieła jego są często zaniedbane w wykonaniu, a niedostatecznie rozważone w treści. Jego talent, rzeczywiście wielki, byłby zapewne wydawał dzieła znakomitsze, gdyby więcej skupiony, był ich wydawał mniej. Ale taka już była natura i talentu i usposobienia Kraszewskiego, której zmienić nie było w jego mocy.

Właściwą cechą i zasługą zawodu Kraszewskiego jest to, że jego książki treści najrozmaitszej, ponętne dla czytelnika jako powieści, przystępne i łatwe jako rozprawy naukowe, rozpowszechniły wielce zwyczaj i potrzebę czytania. W zakątkach wiejskich lub w małych miastach, gdzie przed rokiem 1830 i jeszcze po nim przestawano na małej liczbie książek czytanych przez całe życie, nauczono się pożądać ich i czytać więcej, pragnąć wiadomości o wielu rzeczach, szerszego zakresu myśli. Powieść, przed Kraszewskim uboga, nie obfita na ilość dzieł, ani bardzo świetna na ich jakość, przez niego podniosła się na stopień daleko wyższy, nabrała znaczenia, stała się codzienną potrzebą społeczeństwa. Aż dotąd potrzebę tę zaspokajały (u ludzi wykształconych, zwłaszcza u kobiet), niemal wyłącznie powieści francuskie. Teraz książka polska potoczna, do codziennego użytku i rozrywki, zaczęła się szerzyć i zakorzeniła się jako konieczny w życiu czynnik. Gdy zaś Kraszewski i w powieściach swoich i w rozprawach i w artykułach dziennikarskich dotykał mnóstwa stosunków obchodzących ogół i podawał wiadomości o mnóstwie rzeczy i kwestyi (literatura, sztuka, historia, filozofia, archeologia itp.), więc przez niego dochodziły te wiadomości aż do takich, którzy przedtem mieli o nich bardzo małe pojęcia. Tym sposobem działał on cywilizacyjnie, rozszerzał zakres myślenia i wiadomości, podnosił stopień oświaty.

Ale rzecz jest naturalna i nieunikniona, że wiadomości w ten sposób udzielane, musiały być powierzchowne. Kraszewski sam miał umysł pojętny, chwytny, ale więcej żywy niż głęboki.

Jak zaś jego wykształcenie i jego wiadomości były więcej rozległe niż głębokie i pewne, to znowu jego pojęcia i zasady były niestałe, chwiejne. Umysł ciekawy i pojętny przestawał na encyklopedycznym przyswojeniu sobie wiadomości, których nie zgłębiał; podobnie charakter uczuciowy i wrażliwy, przystępny był wszystkim pojęciom lub ideom, wciągał je w siebie, ale z nich stałych przekonań i zasad nie wyrobił.

Ma zato przymiot u nas rzadki, przez który może nam być doskonałym przykładem pracowitości wielkiej i niezmordowanej i nieustającej, w której jest naturalnie i cnota wytrwałości i wielka miłość swego narodu. Przez talent niepospolity, przez wyjątkową płodność tego

talentu, przez wpływ, jaki wywierał, przez to wreszcie, że jego dzieła mogą kiedyś potomnym służyć za średnią miarę umysłowego i cywilizacyjnego stanu naszego społeczeństwa, Kraszewski choćby z czasem przestał być czytany, zostanie zawsze w literaturze jako pisarz wielkiego znaczenia.

Z e S f i n k s a .

(Jan Rugpiutis, syn żmudzkiego zagrodnika, zdolnością swą do rysunków zwrócił na siebie uwagę dziedzica; dzięki jego pomocy przez pięć lat kształcił się w Wilnie, następnie wybrał się w podróż do Warszawy. Po drodze spotkał się z wojewodzicem S..., którego tak zachwyił wyrysowanym na prędce szkicem jakiegoś zamku, iż ten dał mu list polecający do Bacciarellego, nadwornego malarza króla Stanisława Augusta).

Do Bacciarellego nie wiedział jak dojść, ani nawet jak trafić. Wyszedł zamyślony błądzić po mieście. Szedł, topił się w tłumie i błądził w nim długo. W blaskach jasnego dnia wydało mu się miasto wielkiem, pięknem; lecz wielość ludzi, ścisk ich, zgiełk, wrzawa, ruch niepojęty męczyły go jeszcze. Powtarzał sobie:

— Jak tu dać radę wśród tylu? jak się odznaczyć? jak dojść do czegoś?

Potem przychodziły mu na myśl wyrazy, nieraz słyszane:

„Miasto wielkie tysiące dla malarza nastęrcza pomocy: wzory żywe, ryciny, obrazy w wielkiej ilości; współubieganie się z innymi podsyca i zachęca. W tłumie można być jak na pustyni, kto zechce i potrafi. Ale pamiętaj naprzód — mówił mu niegdyś nauczyciel — wyrzec się świata i pokus jego; stłum w sobie żądzę, poświęć się cały sztuce, miej ją za cel jedyny dla siebie.“

Ta rada była mu przytomną, ale nie wiedział, czy potrafi jej sprostać. Pomodliwszy się u Kapucynów, gdzie jeszcze mszę zastał, długo wymęczywszy się niespokojnem oglądaniem miasta, odważył się nareszcie szukać Jan Bacciarellego. Powiedziano mu, że stoi w zamku, bo król musi go mieć pod ręką, i pracownia własna ulubionego artysty łączy się nawet z apartamentami królewskimi. Często do niej schodzi Najjaśniejszy, nie gardząc pędzlem i paletą. Malarz musiał być dumny, słysząc to: — król sam, król zajmuje się malarstwem, los malarza może pod takim panującym być świetny! Serce poruszyło się nadzieją.

Z bijącą jeszcze marzeniami piersią posunął się Jan drogą wskazaną do zamku, ale już w ulicy wiodącej ku niemu z tylu się

powozami mijał, tyle osób spotykał, potem w podwórzu ogromnym w taki wpadł zgiełk ludzi, z których żaden mu odpowiedzieć nie chciał, bo wszyscy czemś zajęci byli, że całkiem głowę stracił. Spojrzawszy na czarne zleżale ubranie chłopca, nikt nawet nie raczył go objaśnić. Chodził od jednego do drugiego; kłaniał się, prosił i wytykany palcami, popychany od drzwi do drzwi, wkońcu całkiem głowę stracił i nie wiedział, co począć.

Nazajutrz o południu, Jan potrafił docisnąć się aż do przedpokoju Bacciarellego. Przez drzwi wpeł otwarte ujrzał stąd ogromne pracownie, szeregiem idące za sobą, i wiele a wiele pokoiów wysokich, w których kręcili się młodzi ludzie około płócien i stolików. Wnijsć mu dalej nie dozwolono.

Z dumną a kwaśną miną spotkał go czarno ubrany siwawy już człowieczek, sekretarz artysty, poczynając rozpytywać po francusku; Jan nie umiał po francusku, zamknięto mu drzwi przed nosem. Wyszedł znów służący, dopytując się, czego chce?

— Chcę się widzieć z p. Bacciarellim.

— Interes jaki?

— Interes.

— Od kogo?

— Jakto od kogo? Od siebie. Mam prócz tego list do p. Bacciarellego.

— Proszę mi go oddać.

— Sam w ręce muszę go oddać. Kiedy widzieć go mogę?

— Pan Bacciarelli widzieć się daje tylko na chwilę, i to jeśli jest co bardzo pilnego, między czwartą a piątą po południu.

To rzekłszy, zamknął mu znów przed nosem drzwi służący. O naznaczonej godzinie stawił się Jan, ale Bacciarellego nie było; malował panią G.... Czekał do samej piątej, aż nareszcie schwycił wracającego do domu z sesji malarskiej, znużonego i kwaśnego.

Włoch przyjął go, zacierając ręce i ukośnem mierząc wejrzeniem, w przedpokoju, nie zdejmując szuby, którą był okryty.

Jan skłonił się i podał list w milczeniu.

Bacciarelli począł go czytać, skrzywił się, zmierzył oczyma nowoprzybyłego, pokiwał głową i począł zrazu mówić coś złą francuszczyzną. Jan odpowiedział mu po polsku. Ruszył ramionami i zawołał złą polszczyzną:

— No, czegoż chcesz?

— Chcę mieć szczęście korzystać z jego nauki.

Bacciarelli udobruchał się i rozśmiał.

— Ja nie daję lekcyi, rzekł; mam uczniów, ale im płacę, nie oni mnie. Wojewodzie S... chce, bym wam pomógł i nagli mnie o to. Chodź waćpan.

I wprowadził go do wielkiej malarni, pracowni na ogromną skalę, której ściany okrywały od góry do dołu obrazy, po większej części portrety różne w całej postaci, popiersia i t. p. Portrety Stanisława Augusta, którego co roku przez ciąg panowania malowano i sztychowano, były tu w największej liczbie, w różnych mundurach, strojach, postawach; najwięcej wyobrażały króla w granatowym generalskim ubiorze, z piórem za uchem, u stołu, na którym stał kałamarz i karta biała leżała. Piękne ręce królewskie, pulchniutkie, białe, obie były na widoku; wyraz znużenia i przymuszonej wesołości może mimowolnie przebijał się z fizygnomii królewskiej. Innego rodzaju utworów było mało.

Kilku uczniów ciągle kopiowało portrety najjaśniejszego pana, podmalowywało, zarzucało draperye, wykończyło koronki i t. p.

— Gdzie pan byłeś? — spytał Bacciarelli, spoglądając na Jana z uwagą.

— W Wilnie u Batraniego.

— Co to Batrani? A! a! Włoch, Florentczyk, povero! — Skrzywił się. — Co umiesz? robiłeś z natury? malujesz z natury? malujesz olejno?

— Trochę, odpowiedział Jan skromnie.

— Chciałbym coś zrobić dla wojewodzica, rzekł Bacciarelli: *c'est un charmant garçon*... ale tyłu już mam w swojej malarni... Weź waćpan kredę — dodał od niechcienia — i odrysuj mi co chcesz na tem płótnie.

To powiedziawszy, stanął i ciekawie przyglądać się począł.

Jan, pomimo przełknięcia, rzucił kilku śmiałymi rysami głowę starca (w rodzaju świętego Hieronima), oznaczył piersi i ręce złożone, potem główne plany torsu.

— Nieźle, rzekł zakąsując usta Bacciarelli. Lecz możesz malować? długo malowałeś?

— Rok.

— A! tylko rok!

I zazdrosny Włoch, który się zdziwił śmiałemu rysunkowi Jana, znów pogardliwą zrobił minę. Jan zawstydził się i smutnie rzekł w duszy: „Na nic mu się nie przydam!“

— Jeśli pan pozwolisz — dodał -- ja o to tylko proszę, żebym

mógł przyjść czasem i służyć mu na rozkazanie. Żadnej nagrody nie będę żądał. A gdybym mógł mieć kątek jaki i kawałek chleba . .

— Każdy z moich uczniów, prócz jednego, stoi w mieście. Dam waćpanu na to pieniądze, ale... — dorzucił niedbale — mało mam czasu, ściemnia się, pokaż mi jak malujesz. Umiesz się obejść z brossą?

W czasie rozmowy poprzedzającej kilku młodych ludzi nadeszło z drugiej sali i postawało dokoła, ciekawie wpatrując się w obcego. Bacciarelli dał znak, aby mu przyniesiono paletę i pędzle. W chwili spełniono rozkaz, ale najgorsze brossy naturalnie podstawiono umyślnie. Jan stanął u płótna, czując, że tu o los może jego chodzi. Nie wiedział on, że Bacciarelli zazdrosny wszystkie wielkie odpychał talenta, że przysyłane z Rzymu (jak twierdzą) obrazy Smuglewicza psuły umyślnie, aby króla ku niemu zrazić.

Głowa starca, już rzucona na płótno, w chwilę poczęła się cieniować, nabrała wypukłości i ożywiła cudownie. Wyraz jej, koloryt, półcienie, w których cała zatopiona była, prócz części czoła i jednej strony twarzy, zdradzały talent silny i oryginalny. Obrisy może były trochę za ostre, zbyt wyraźne, ale zresztą nic jej zarzucić nie było można. Szybkość wykonania, pewność ręki, zdumiewały przytomnych uczniów. Bacciarelli to bladł, to czerwieńiał.

— Che diavolo! precedził przez zęby: wcale nieźle! Biorę waćpana na takich warunkach jak innych. Będziesz pracował pod moją dyrekcją, dla mnie i dla nikogo więcej.

— Jak to? spytał nieśmiało.

— Tak, rzekł malarz. Co zrobisz, będzie mojem, a roboty u mnie nie zabraknie. Robię to dla wojewodzica. Od jutra proszę być na miejscu. O ósmej schodzą się wszyscy i pracują do obiadu, czasem po obiedzie, ale teraz dni krótkie. O reszcie koledzy go nauczą.

To rzekłszy, obrócił się i wyszedł, ale ze drzwi zawołał do ucznia:

— Zetrzeć tę głowę, bo płótno mi potrzebne na jutro.

I natychmiast mokra ścierka z terpentyną nielitościwie przesunęła się po ślicznym szkicu Jana. Głowa znikła jak senne marzenie. Jan ujrzał się otoczony ludźmi, którzy mieli być towarzyszami jego: młodzieżą wesołą, żartobliwą, któraby była niechybnie rzuciła się na niego jak na pastwę, gdyby jej nie dał próbki tak dalece zastanawiającego talentu, że najzłośliwsi upokorzonymi, a co gorsza wzruszonymi się uczeni.

— Jak się nazywasz, kolego? i skąd przybywasz? rzekł jeden.

Jan dopiero po tem pytaniu rzucił okiem na towarzyszy. Było ich pięciu. Okryci zielonymi bluzami, różnych wzrostów i postawy, otaczali go ciekawi. Ten, który pytanie rzucił, słuszny, czarnooki, piękny i całkiem już mężczyzna, bladej twarzy, rysów szlachetnych, zdał mu się najsympatyczniejszym. Ogień błyskał w jego oczach: ruchy, postawa, wszystko mówiło o szlachetnym charakterze, o duszy dumnej, ale czystej. Drugi, za nim stojący, mały blondynek, z zadartym noskiem, niebieskimi a bladymi od śmiechu oczyma, także się wszystko w nim śmiać zdawało, opierał się na malsztoku, a rękę trzymał w bok wspartą. Trzeci mały także i trochę ułomny, seryo poważny, włos miał ciemny, rozczochrany, ręce silne i ogromne, czoło chmurne, brwi zmarszczone, usta zapadłe, nosił ślady schorowania, boleści, strapiień! stał z boku i nie mieszał się do szeptów i rozmowy. Czwarty cienki, smukły, piękny jak anioł, mający coś wyrazu i rysów twarzy Rafała, w berecie aksamitnym na ucho, z włosem blond długim, ubrany był wytwornie; szeroko wyłożony kołnierz koszuli dawał mu coś dziecinno niewieściego. Był to faworyt Bacciarellego. Ostatni, najświeższy przybylec, wzrostu słusznego, pospolitych rysów twarzy mężczyzna, nie miał wybitnego wyrazu, obojętnie spoglądał, bez ciekawości, bez zajęcia, bez ognia, ruszał machinalnie pędzlem po palecie, którą trzymał w rękę. Myśl jego widocznie była gdzieindziej.

Na zapytanie pierwszego Jan odpowiedział:

— Jestem Litwin, uczyłem się w Wilnie, miałem list od wojewodzica S. . . Chcę się uczyć. Jestem ubogi, a kocham sztukę. Was, panowie i przyszli towarzysze, proszę usilnie o przyjaźń, a sam starac się będę na nią zasłużyć.

Te kilka słów prostych, przerywanych, bo z uczuciem powiedzianych, dobre zrobiły wrażenie. Ostatni z uczniów, obojętny i faworyt Bacciarellego w aksamitnym berecie, poszli zaraz do sąsiedniej sali, spiesząc zapewne do roboty. Jan pozostał ze trzema, z owym figlarnym śmieszkiem, z pierwszym co go był zapytał, i z smutnej twarzy ułomnym.

— Daj ci, Boże, szczęście! mój Żmudzinie, mój Litwinie, rzekł żartowniś; — ale czy wiesz, co cię czeka? Całemu światu wiadomo, że Litwa, jest dotąd pogańską i że czei żaby i węże; musimy cię więc naprzód ochrzcić.

— Widzisz, że to ubogie chłopię, przerwał ponuro ułomny; daj mu pokój ze chrztem i bierzmowaniem. Może przybył tu o ostatnim groszu, spiesząc jak do portu ocalenia.

— Więc już niema zaco nawet towarzyszom chrztu sprawić? spytał młody chłopak.

— Znajdę, rzekł Jan; ale będzie ci smakował, kolego, grosz ubogiego, choćbyś go w najlepsze wino zamienił?

— Za tę odpowiedź niech cię uściskam! zawołał wesoło chłopiec. Darujemy ci chrzest. Dowiedziona, że byłeś ochrzczony za Władysława Jagiełły, przez biskupa Dobrogosta, a chrzest się nie powtarza. *Dixi.*

To mówiąc porwał go za szyję i ucałował serdecznie. Pierwszy, co Jana zapytał, i ułomny, zbliżyli się do niego z zajęciem, ścisnęli go za dłoń i prawie razem szepnęli: „Poczekaj, pójdziemy razem“.

— Słuchaj, rzekł mały ułomny, którego zwano Feliksem; jaki zły duch zagnał cię do Bacciarellego?

— Zły duch? spytał Jan: ja to miałem za największe szczęście.

Drugi, w malarni przezwany Longinem, i wabiący się na to narzucone nazwisko, dorzucił:

— Oj! śliczne szczęście! sprzedać się z duszą i ciałem człowiekowi, co ci każe pracować jak machince, pracować dla niego ze swej myśli, niewolniczo, bezimiennie.

— Chodźmy do Saskiego ogrodu, przerwał Feliks, zwany Chmurą; opowiesz nam, jaka cię tu burza zagnać mogła.

Jan po prostu opowiadać zaczął wszystko o sobie: młodość swą, naukę u Batraniego, pobyt u matki, podróż, spotkanie z wojewodźcem.

— Wojewodźcie S..., rzekł Chmura, zarekomendował cię Bacciarellemu na twoją zgubę.

— Nicze się tu nie nauczę? spytał Jan.

— Widzieliśmy próbkę tego, co umiesz, rzekł żywo Longin. Bacciarelli bladł i czerwieniał, patrząc na twoją robotę. Rad cię użyje, ale nie spodziewaj się nic prócz wprawy mechanicznej ręki. Może napatrzwszy się na nasze roboty, stracisz śmiałość linii i cieniów, nabędziesz miękkości i mglistości, zlania tonów cudownego, którem celujemy. Ale głowa ci się nie rozwinie, bo u nas nie mówi się o sztuce, nie tłumaczy żadnej czynności, bo sam może mistrz jest tylko zręczną machiną. Zato używać cię będziemy bez litości!

— Ja miałem nadzieję, że stąd po jakimś czasie do Włoch się dostanę.

— Nadzieja każdego z nas! żaden przecież tego nie dopiął, prócz Smuglewicza, o którego już Bacciarelli jest zazdrosny. On niewiele dba o rysunek, chociaż ma go, jeśli o to się stara; niewiele stoi o wyraz, trochę więcej o miły, harmonijny koloryt, a nade-

wszystko o podobanie się królowi i tym, przed którymi dworuje, Najwięcej robi portretów. Jeśli kogo wyśle do Włoch, to chyba w przekonaniu o niewielkiej jego zdatności i zmuszony. Ciebie zaś nigdy.

— Pochlebiasz mi, rzekł Jan; ale ja czuję, jak mało umiem.

— Pełen jesteś prostoty lub wielki z ciebie figlarz! dodał Chmura.

— Bierzcie mnie, jak widzicie. Wolę być oszukany, niż oszukiwać. Radźcie mi, co mam począć?

— Stało się; wpadłeś w kleszcze Bacciarellego i niełatwo z nich wynijdziesz. Wprawdzie nie miałeś może nic do wyboru, chybabyś...

— Chyba co?

— Chyba cię król postrzeże i wyróżni. W takim razie Bacciarelli, pod jakimkolwiek pretekstem, usunie cię z przed jego oczu. Wolno ci naówczas będzie osiąść samemu, żyć z pracy i zająć się malarstwem swobodnie.

Tak rozmawiając, chodzili długo, a dwa poczciwe serca wylały swój smutek w duszę Jana, który postrzegł, że wielkie szczęście, jakiego dostąpił, na oko tylko było wielkiem szczęściem, a w istocie wielkiem na drodze postępu opóźnieniem. U Bacciarellego bowiem prawie nic nie mógł się nauczyć, a bardzo wiele zapomnieć.

Gdy się trzech towarzysze rozstawać mieli, Chmura niektóre jeszcze dobre rady dał na pożegnanie temu, którego już uważał za pokrewnego w nieszczęściu i przysłego przyjaciela.

— Zdaje mi się i chcę na to rachować, żeś niezezpsuty i poczciwy, rzekł powolnie; przyjmijże niektóre rady, mogące ci bardzo w nowem życiu posłużyć. Nie mów prawdy zbyt porywco, a gdy komu niemiła, zamilez ją całkiem. Niepotrzebnie narobiłbyś sobie nieprzyjaciół. Nie pokazuj swojej wyższości. Strzeż się pięknego kolegi, co ma minkę Rafaela. Strzeż się milczącego słupa, który jest także zausznikiem Bacciarellego. Wesoły chłopiec, co się chciał ochrzcić, dobre dziecko, ale dziecko. Nam zaufać możesz. Ja i poczciwy Longin wdychamy tu jak Izraelici na pustyni. Tamtym chce cię pieniędzy, chce się świata i gotowi spodzić się, aby je mieć: my myślimy, że sztuka jest rodzajem kapłaństwa, jak mówił twój nieoszacowany stary Batrani. Bądź zdrow! Lecz gdzie ty mieszkasz?

Jan ze wstydem wyjąknął.

— Słuchajże, przerwał Chmura; przenoś się zaraz do mnie. Mam mieszkanie obszerne, jasne, gdzie można pracować, gdzie

będziemy we dwóch. Stoję niedaleko zamku, bliżej nam będzie chodzić. Wspólnie opłacimy mieszkanie i zaraz gospodarować w niem będziemy: obu lżej nam będzie. Jeśli później nie okażesz się tak dobrym chłopcem, jakim mi się dziś wydajesz, no to się bez ceremonii rozstaniemy.

Ofiarę tę z radością Jan przyjął i tegoż dnia przeniósł wieczorem rzeczy swoje do Feliksa, którego mieszkanie czyste, widne, wygodne, rajem mu się wydawało po smrodliwej izdebce w żydowskiej gospodzie.

Nazajutrz i następnych dni kazano Janowi podmalowywać portrety, które on sobie właściwym kolorytem nabranym u Batraniego, szerokim pędzlem, szybko i grubo odszkicowywał. Nie podobała się ta maniera mistrzowi, i pierwszy ulubieniec Włocha począł ją wysmiewać, wskazywać na nią. Kazano Janowi zastosowywać się do manieri miejscowej i robić jak wszyscy. Praca była niesłychanie jednostajna, niewolnicza i bynajmniej nie nauczająca. Bacciarelli rzadko przychodził i poprawiał, a najłżejsze odstępianie od swego sposobu karcił jak przestępstwo. On, jak wszyscy ciasnej głowy ludzie, widział tylko jedną doskonałość — swoją. Nie pojmował, żeby piękność mogła rozlicznymi środkami i w różny coraz sposób być wyrażana. Jan spostrzegł wkrótce, że zamiast uczyć się, cofał. Dusza jego wzdychała do Włoch, ale jak mu się tam dostać?

Chmura boleśnie żartował z nadziei.

— Wpadłeś w studnię, mówił, siedźże w niej spokojnie. Pracujmy cicho u siebie: mamy całą niedzielę, a czasem i święta; możemy mieć wzory, używajmy resztek zbywającego czasu, abyśmy się doskonalili sami. A nadewszystko chcieli być artystą, unikaj miasta... To Sodoma i Gomora!

Żyjąc tylko jedną rozmową z przyjaciółmi i pracą domową, którą sam wedle swej myśli kierował, Jan począł nareszcie rozpaczać nad sobą. Nie było promyka nadziei dostania się do Włoch, nawet wyróżnienia się od drugich i okazania talentu.

Szczególny traf pomógł mu do podróży upragnionej i dziwnie spełnił życzenia, gdy się już był wyrzekł długo karmionych chimer młodości.

W chwilach wolnych malowali oni obaj z Feliksem w domu u siebie, chociaż to zdawało się przeciwne umowie z Bacciarellim, który ich całkiem chciał mieć sobie zaprzędanych. Roboty te wszakże nie wychodziły z malarni.

W czasie sławnego karuzelu na pamiątkę zwycięstwa Jana III. pod Wiedniem, karuzelu, który tyle kosztował króla, a z tak śmiesznym odprawiony był przepychem, Jan dostawszy bilet i pozwolenie, był przytomny. Wszyscyście pewnie słyszeli o tej Stanisławowskiej zabawie, na którą z zagranicy zjeżdżali się ciekawi, gdzie damy zwycięzcom turniejów przypinały złote i srebrne na niebieskich wstęgach medale, a zwycięzcami byli ośmnastoletni chłopcy, co drewnianych kiereszowali Turków, kółka łapali w pędzie koni na kopie lub włócznie łamali nadkruszone.

Przypatrywał się Jan walkom liliputów i świetnym zwycięstwom, będącym najsroźszą krytyką panowania tego, i całej przepysznej uroczystości, takimi na ówczas okrytej oklaskami, i cudnemu nakoniec fajerwerkowi, który zielonym ognistym laurem oświecił kamienną twarz bohatera.

Nazajutrz, gdy z dowcipnym dwuwierszem przylepiano kartki:

Sto tysięcy karuzel! jabym dwakroć łożył,
By Stanisław skamieniał, a Jan III ożył. —

gdy król uśmiechał się przyniesionemu conceptowi, mówiąc na niego: — „A to wcale dowcipnie!“ (ale z gorzkim ust skrzywie niem); — Jan rysował z pamięci widok dość malowniczy gonitw, w chwili gdy paziowie, gwardyacy i kadeci z szablami na siebie nacierają (gdzie Lipiński dostał taki raz od Nakwaskiego przez gębę, że od niego na całe mu życie szram pozostał).

Rysunek ten zrobiony w domu, naprędce, przyniesiony został do malarni i porzucony na krzesło. Jan niedbale go wprowadznie wykonał i masy tylko poznaczał, ale w obraniu punktu widzenia, grupach, pojedynczych postaciach, znać było malarza. Konie narysowane były z ogniem i wybornie, jeźdźcy cięli się serdecznie, co na obrazkach rzadko. Dla znawcy rysunek ten wart był wiele. Król, tego dnia opatrujący malarnię Bacciarellego, chodził od trójnoga do trójnoga, a przechadzając się postrzegł zamazany arkusz niebieskiego papieru.

Z ciekawością wziął go w ręce.

Bacciarelli szeptał:

— To bazgraniny moich uczniów.

— A! to karuzel, rzekł Stanisław August — i wybornie schwycony. Co za rysy pewne! jaka śmiałość ręki! jakie grupowanie! Któż to rysował?

Jan pobladł, milczał, nie śmiejąc się odezwać.

— Nie wiem, który z nich, rzekł Bacciarelli, ale niby mimowolnie i z roztargnienia wskazał na faworyta swego w aksamitnym berecie.

— Winszuję ci, mój chłopcze! odezwał się król, wpatrując się coraz uważniej w rysunek; prawdziwie wybornie. Chciałbym, żebyś spróbował odmalować to dla mnie pod okiem Bacciarellego.

Ładny chłopiec, nie śmiejąc brać dla siebie niezасłużonych pochwał, już miał usta otworzyć i odezwać się, że nie on to rysował, bo i na karuzelu nawet nie był — gdy Bacciarelli zagadał najjaśniejszego znawcę, który odszedł do jakiegoś obrazu, a nieco później wrócił do swoich pokojów. Jan odebrał swój rysunek i schował go.

W kilka godzin potem wbiegł do mieszkania Feliksa i Jana ulubieniec malarza, prosząc o rysunek karuzelu, wedle którego każano mu widok gonitw malować.

— Maluj, rzekł Jan, jeśli chcesz i jeśli ci kazano; ale maluj sobie z głowy, z pamięci, bo ja swego rysunku ci nie dam.

— Proszę do pana Bacciarellego, kwaśno odpowiedział wychodząc faworyt.

Jan poszedł natychmiast. Bacciarelli przyjął go blade i gniewny, mówiąc na wstępie:

— Proszę o rysunek karuzelu, Rudolf będzie go malował.

— Rysunek jest moją własnością, odparł Jan.

— Wszystko, co pan robisz, jest moje, zato mu płacę, rzekł w gniewie Włoch, miotając oczyma. Taka była umowa nasza. Podobaj mi się kazać Rudolfowi malować i malować będzie.

— Być może, ale nie z mojego rysunku. Jest to pamiątka, którą chcę zatrzymać dla siebie.

— Maluj więc razem z Rudolfem, wyjąknął malarz szybko.

— Nie mogę, bo wiem, że to tylko jemuby na coś posłużyło, jemu sławę, nie mnie przyniosło. Nie chodzi mi o nagrodę żadną, ale o własność pomysłu, której nie dam wziąć sobie.

— Waćpan jesteś uparty i zarozumiały, zawołał Bacciarali, ściskając ramionami i ostrem wejrzeniem ścigając Litwina. Waćpan wiesz, że śmiesz się sprzeciwiać woli królewskiej?

Ja!! z rozkoszą woli naj. pana będę posłuszny, jeśli mi się pracy mojej wyrzec rozkaże.

— Wolą jest jego, aby Rudolf malował.

— Niechże maluje, odrzekł znużony naleganiem Jan, ale pracując nad sobą, aby się nie poddać.

— Waćpan mu będziesz pomagał? dodał tryumfujący Bacciarelli.

- Nie.
- Stanowczo?
- Stanowczo nie.
- Proszę więc nie powracać do mnie.

Jan skłonił się i wyszedł.

Ta scena, która w niepojęty gniew wprawiła Bacciarellego, rozeszła się od ucha do ucha podawana po zamku, od uczniów z malarni do paziów j. k. mości i dalej. Król dowiedział się o tem.

Nie bardzo lubiony Bacciarelli, powszechnie wysmiewany był przez wszystkich...

Tegoż dnia było posiedzenie w malarni dla portretu nowego j. kr. mości, corocznie się malującego. Po krótkiej chwili wyszedł Stanisław August do innych sal zobaczyć roboty poczęte: zbliżył się do Rudolfa i zapytał, wpatrując się w niego:

— A co? mój karuzel?

— Najjaśniejszy panie, podchwycił Włoch szybko — jeszcze się do malowania go przygotowujemy.

— Wszakże to Rudolf go rysował? dodał z intencją król, mierząc go oczyma.

Ten spostrzegł, a raczej przeczuł z wyrazu twarzy królewskiej, że się coś święci niedobrego, i chciał wyprzeć się nie swojej roboty, ale Włoch przerwał, nie dając mówić:

— Zdaje mi się, rzekł żywo, żem się omylił, mówiąc w. kr. mości, iż on rysował. Ale to pewna, że tak drobnego przedmiotu o tysiącu szczegółach nikt nad niego lepiej wykonać nie potrafi. *Il a une touche très spirituelle*; pod mojem okiem były się dobrze z włożonego na niego polecenia wywiązał.

— Któż przecię rysował? spytał król obojętnie.

— Niema go tu, odrzekł Bacciarelli; nie wiem, czemu od kilku dni nie przychodzi, musi być chory.

— Niech maluje karuzel ten, co pierwszy miał myśl szczęśliwą rysować go, proszę cię, mości Bacciarelli.

To rzekłszy król się odwrócił i poszedł. Po południu Włoch posłał po Jana, ale Jan z razu przyjść nie chciał. Wysłano z naleganiem raz drugi i przyszedł nareszcie. Bacciarelli przyjął go zimno, udał, jakby nie wiedział, dlaczego tyle dni niepokazywał się w pracowni i nakazał brać się do karuzelu. Jednakże chcąc sparaliżować efekt obrazka, wyznaczył rozmiar tak mały, że przy mnóstwie osób niepodobieństwem prawie było wybrnąć zwycięsko z tak trudnego zadania. Jan, podżęgnięty trudnością, w kilka dni prawdziwe stworzył

arcydzieło: drobniutkie figureczki, wykonane lekko, łatwo a z duszą, żyły; wszystko było wyraźne, choć drobne, a nie twarde; egzekucya zachwycała barwą i światłocieniem. Pod pretekstem poprawek, Bacciarelli popsuł obrazek. Jan zobaczył to i, zebrawszy się na odwagę, potajemnie starł świeże jeszcze poprawki cierpliwie i przywrócił robotę do pierwszego stanu. Malarz nic o tem nie wiedział, a szpiegi pracowni nie dojrżeli tego i nie donieśli. Obrazek wysychał w kącie. W kilka dni król zapytał o karuzel. Przyniesiono mu go; ale jakież było zdziwienie Bacciarellego, gdy na nim roboty swej nie mógł znaleźć! Oczy mu zaszyły krwią od gniewu, zagryzł wargi, ale zmilczał w początku.

— Che bestia! mruknął tylko przez zęby.

Stanisław August tak był kontent z roboty, tak się nią bawił, że w uniesieniu chwilowem, nie zważając na kwaśne uwagi i krytyki Włocha, rozkazał zawołać Jana i spytał go, czego by sobie życzył.

Ośmielony łagodnem i wesołem wejrzaniem króla, Jan rzucił mu się do nóg, w kilku słowach opowiedział biednego swego życia historję, a z piersi wyrwał mu się ów wyraz żądań niepoohamowanych każdego artysty: — Włochy!

— Jedź, rzekł król — a wracaj nam mistrzem! Jest już tam nasz Smuglewicz, po którym wiele się spodziewam. Wiele ci dać na podróż nie mogę, ale artysta obejdzie się małym. Wyznaczę ci pensyjkę i na podróż pieniądze. Przysyłaj mi roboty swoje. Prócz tego — dodał cicho — nie masz tu podobno przyjaciół.

Jan w uniesieniu radości powtórnie upadł do nóg królowi i rozplakał się w zbytku niespodziewanego szczęścia. W kilka dni potem, opatrzony w pieniądze, paszport, listy polecające, napisawszy kilka słów dla pocieszenia matki, Rugpiutis dążył już do wrót nieśmiertelnego Rzymu.

Antoni Edward Odyniec.

Urodził się w Giejsztunach (pow. oszmiańskim) na Litwie w roku 1804. Szkoły odbył w Borunach. W roku 1821 przeszedł na uniwersytet wileński. Mickiewicz był już wtedy w Kownie, Odyniec zatem jego kolegą nie był; ale poczęty kierunek romantyczny był właśnie w całej pełni i młody Odyniec dostał się pod wszystkie jego wpływy. (Mickiewicza samego poznał przy sposobności filareckiej majówki, co szczegółowo w swoich wspomnieniach opowiada). Zaprzyjaźniony z całą romantyczną i piszącą młodzieżą wileńską, sam z wielkim zapalem zaczął pisywać ballady, romance, wiersze miłosne i t. d. Kiedy Nowosilcow rozpoczął

prześladowanie uczniów wileńskich, Odyniec jeden z pierwszych dostał się do więzienia, a to z powodu, że przy rewizji znaleziono u niego jakieś wiersze i sprawozdanie z (dawniejszego) posiedzenia grona literackiego Filaretów (podówczas już rozwiązanych). Więzienie trwało kilka miesięcy, ale skazanym i wywiezionym do Rosyi nie był. Uwolniony, pojechał do Warszawy, zaczął pisać coraz więcej, a nawet drukować swoje poezye. W przyjaźni z młodymi romantykami, był przeciw w stosunkach i z klasykami i przed tymi (jak opowiada sam, jak też Koźmian w listach i pamiętnikach wspomina) zacięcie bronił romantyzmu, a zwłaszcza Mickiewicza. Sam wydawał wtedy zbiorowe pismo *Melitele* i napisał dramat (bardzo słaby) pod tytułem *Iz ora*. Gdy Mickiewicz w roku 1829 otrzymał pozwolenie wyjazdu za granicę, Odyniec szczęśliwym zbiegiem okoliczności mógł mu towarzyszyć i był z nim razem w całej podróży, od Weimaru począwszy, w Niemczech, Szwajcaryi i Włoszech. Po roku 1831 on także zrazu nie mógł powracać na Litwę. Przebywał w Dreźnie (znowu z Mickiewiczem aż do jego wyjazdu do Francyi). W roku 1835 pielęgnował w Dreźnie chorego Brodzińskiego. Dostawszy pozwolenie powrotu, osiadł na wsi i ożenił się. Po kilku latach przeniósł się do Wilna i wydawał literackie pismo peryodyczne *Kuryer wileński*. Starał się usilnie wspólnie z innymi utrzymywać literackie i umysłowe życie na Litwie.

Po wypadkach r. 1863 zamieszkał w Warszawie. Lubił i umiał do śmierci skupiać około siebie piszących, odkrywać i zachęcać młode talenta i był wśród nowego pokolenia i zmienionych stosunków żywym pomnikiem dawnych wileńskich czasów. Bardzo miły i dobry, z umysłem żywym, z pamięcią przechowującą wiernie mnóstwo szczegółów i zdarzeń ciekawych, był bardzo i powszechnie lubiony i poszukiwany. Pociąg, jaki miał od młodości do literackich pism peryodycznych, sprawił, że teraz czynnie i pilnie zajmował się i opiekował nimi, a zwłaszcza *Kroniką rodzinną*. Umarł w Warszawie w r. 1885.

Dzieła. 1. W młodości, otoczony pierwszym romantyzmem wileńskim i nim zachwycony, ze swoją miarą talentu i łatwością pisania, tworzy na wzór uwielbianych podówczas ballad, romanc, sonetów zagranicznych, a zwłaszcza na wzór Mickiewicza. Pierwsze te *Poezye* ogłosił drukiem w r. 1825.

Do celniejszych zaliczają ballady: *Branka Litwina*, *Wesele*, — tudzież legendy (pierwsze u nas), *Pacierze*, *Świat duchów*. Po roku 1831, kiedy wielcy poeci zmienili kierunek i nawet pierwiastki swoich natchnień, on, oddzielony od nich całą szerokością Europy, sam jeden na Litwie, zostaje na dawnym stanowisku i zajmuje się *Byronem* i *Moorem*, o których inni dawno już myśleć przestali.

2. *Tłumaczenia* (1838—43) w 6 tomach. Dobre przekłady *Byrona* są wielką ozdobą każdej literatury i wielkim dla niej pożytkiem, a jego przekłady są bardzo dobre.

3. Później, kiedy zapragnął stanąć o własnej sile i poprobować się w większych i trudniejszych formach, siła nie dopisała. Należą tu trzy dramata: *Felicyta* (1849) z czasów pierwszych prześladowań kościoła,

Barbara Radziwiłłówna (1858) i Jerzy Lubomirski. Jest w nich dużo szlachetnego uczucia, są piękne ustępy, ale dramatycznego pierwiastka, akcji i żywej charakterystyki osób jest mało.

4. Większą wartość miały jego utwory pisane prozą, mianowicie pamiętniki z czasów podróży z Mickiewiczem, które ogłaszał w Kronice rodzinnej p. t. Listy z podróży (osobno wydane w 4 tomach r. 1875).

Ślicznie pisane, bardzo zajmujące, Listy te mogłyby być źródłem pierwszego rzędu do historii Mickiewicza, młodzieży wileńskiej i polskiego romantyzmu. Nieszczęściem, choć pisane na podstawie rzeczywistych ówczesnych listów Odyńca do przyjaciół, układane były do druku i uzupełniane w wiele lat później, a stąd wkradł się w nie nie tylko późniejszy sposób widzenia rzeczy, ale nawet wiele spostrzeżeń i uwag, wiele szczegółów należących do późniejszych lat i zdarzeń. Wartość źródłowa Listów jest przez to znacznie zmniejszona; ale przyjemne i ciekawe do czytania są zawsze, a baczny czytelnik, umiejący rozróżnić współczesne wrażenie od późniejszego dodatku, znajdzie w nich wielki zawsze zasób prawdziwych i pewnych wiadomości. Uzupełnieniem Listów są Wspomnienia z przeszłości, pisane na prośbę Deotymy, z którą Odyńca łączyła wielka przyjaźń wzajemna. Są to dzieje jego młodości, poprzedzające ową jego podróż z Mickiewiczem, lata szkolne i uniwersyteckie; że zaś nie mają tej formy listów, tego pozoru współczesnego dokumentu, tylko są szczerze i otwarcie pamiętnikiem, wspomnieniami później spisaniem, więc nie budzą takich jak tamte obaw, nie podlegają takim zarzutom.

Charakterystyka. Odyńca ma bardzo dobry język i wiersz (na Mickiewiczuz kształcony). ma dużo uczucia, które zwykle rzewne i miękkie, czasem miewa nawet siłę i powagę; wyobraźni, twórczości, oryginalności ma niewiele. Słowem posiada przymioty, z którymi można być dobrym i pożytecznym pisarzem, doskonałym tłumaczem, poetą sympatycznym i przyjemnym, ale z którymi w pierwszym rzędzie poetów stanąć nie można. Odyńca zresztą wiedział o tem sam doskonale; rozumny i skromny, nie był zarozumiały i talentu swego nie przeceniał. Wierny wspomnieniom swojej młodości, zachował do końca nie tylko cześć i miłość dla swoich przyjaciół, a głównie dla Mickiewicza, nie tylko ówczesny język i sposób pisania, ale także rodzaj i ton uczuć młodych romantyków wileńskich. Był w nim szlachetny idealizm Zana, ale była i pewna sentymentalność, przypominająca Dударza, Kurhanek Maryli i t. d. Rzecz oczywista, że te własności nie ujmują mu bynajmniej talentu ani zasługi tylko owszem, jak w życiu stanowiły jego wdzięk, bo robiły go żywym zabytkiem i typem tej minionej epoki, tak w literaturze nadają mu odrębną i ciekawą cechę, kiedy talent i rzetelna wartość jego dzieł zapewniają mu w niej poważne i trwałe stanowisko.

Na obchód rocznicy śmierci

Adama Mickiewicza (1881).

- Jak stary Guślarz wezwany na Dziady,
 Myślą i duszą staję wpośród was,
 I ku uczczeniu żałobnej biesiady
 Radbym z przeszłości wskrzesić dawny czas,
- By w nim, jak z grobu, wywołać przed oczy 5
 Tego, któremu dziś składacie cześć,
 A cała Polska z wami się jednoczy,
 By w dniu tym wszędzie równy hołd Mu nieść.
- Ale niestety, co pomogą chęci,
 Kiedy mi na to nie stać ducha sił? 10
 Więc patrząc chyba w obraz swej pamięci,
 Poprostu tylko powiem — jakim był.
- Co czuł, co myślał, gdzie wiódł, co zwiastował,
 To wie z was każdy — nawet obcy świat.
 Pod wpływem jego rozwił się i chował 15
 Duch z was każdego, jak paproci kwiat,
- Co tajemniczym tchem gwiazd rozwinięty,
 W świętą, cudowną, świętojańską noc,
 Wskazuje drogę, gdzie jest skarb zaklęty,
 I ku zdobyciu jego wlewa moc. 20
- Toż jako Polska długa i szeroka,
 Pieśń Jego w sercach jednym echem brzmi;
 I nie sztukmistrza arfy, lecz proroka,
 Naród w Nim czuje, uznaje i czci.
- Ale czy wiecie, w czym On za żywota 25
 Sam czerpał światło i skąd siły brał?
 Bóg — Wiara — Miłość Ojczyzny i Cnota,
 To były struny, na których duch grał.
- Boga nie badał, lecz przy świetle Wiary
 W Ojczyźnie szukał woli jego dróg. 30
 Znał błędy ojców, znał braci przywary:
 Lecz jak syn tylko, jak brat, — nie jak wróg . . .
- A cobądź cierpiał, cobądź sam doświadczał,
 Krzywd i boleści — czy z dołu czy z wyżej?
 Że nie rozpaczwał nigdy, a przebaczał, 35
 W tem już podporą był mu tylko krzyż.
- O bracia moi! i gdyby w tej chwili
 Widomie jego objawił się duch,
 Kto wie — lecz ktoby śmiał zaprzeczyć — czyli
 Nie temiż słowy zabrzmiałby wasz słuch: 40

„Albowiem wiedźcie i zważcie u siebie,
 Że kto chce Polski wiernym synem być,
 Światła i siły szukać musi w Niebie,
 W Ojczyźnie matkę — ojca w Bogu czcić.“

Z Listów z podróży.

XVII.

W Weimarze, dnia 28 sierpnia 1829.

„Otóż i dzień nad wszystkie uroczystszy świątki!“
 Wstawaj, ku czci Goethego lat osiemdziesiątki!

Tą parafrazą wiersza Trembeckiego dobudziłem się dziś na dzień dobry Adama, gdy się już sam poruszył i ocknął. A było to jeszcze przy świetle

„Gońca złotego słońca, różanej jutrzeńki“,
 pogodnie w okna nasze świecącej, a o której jedna z najlepszych festynowych piosenek dzisiejszych w ten sposób z wdzięcznością wspomina:

„Diese schöne Morgenröthe
 Hat einst unsern — ja, unsern Goethe
 An des Tages Licht gebracht“.

Obudziłem się zaś sam tak wcześniej dlatego, że wczorajsze czarnoksiężstwo Adama, enigmatyczne zagadnienie Goethego i różne jeszcze inne reminiscencje wieczorne, tak się zwały jakby w jeden koszmar, że trapiiony przezeń noc całą, skoro raz otworzyłem oczy, już *da capo* skleić ich nie mogłem. Ledwo zaś przez połowę byliśmy ubrani, wszedł do nas wół także ubrany David, sąsiad nasz przez korytarz, aby kończyć sylwetkę Adama, i wkrótce po nim z wizytą Holtei, drugi też sąsiad przez ścianę. Szkoda, że ci nie mogę powtórzyć długiej, bo przeszło dwugodzinnej rozmowy, która, gdyby ją kto stenografował, złożyłby mogła szeroki historyczny obraz bieżącej literatury, a zwłaszcza poezji europejskiej, i to pod najciekawszym i najżywotniejszym względem, to jest osobistości, charakteru, stosunków, stanowiska i wpływu autorów, którzy ją wszędzie w tej chwili w rękach piastują. David bowiem zna wszystkich najdoskonalej w Paryżu, Holtei wszystkich w całych Niemczech. Adam ma także mnóstwo znajomości podobnych w Petersburgu i Moskwie; a już ciż nikt pewno nade mnie nie zna lepiej obu przeciwnych obozów, klasyków i romantyków, w Warszawie i w Wilnie, z których się tylu jednych po bratersku kochało, z tylu

drugimi po szermiersku walczyło. A walka ta na polu literackiej idei toczy się dziś również i gdzieindziej; tylko, że nie na same słowa i języki, ale na myśli i pióra. Dość tylko, że walka trwa wszędzie. Wszędzie treść dopomina się o pierwszeństwo przed formą, prawda przed sztuką. Ale czy prawda zwycięży w istocie, czy sztuka formę tylko przemieni? to już przyszłość chyba osądzi...

Było już po pół do pierwszej, gdyśmy stanęli u progu Goethego, spotkawszy mnóstwo wracających po drodze, którzy już swoje powinszowania złożyli. — Przez drzwi sieni, otwarte na oścież, blask słońca padał wprost na wyraz *Salve*, wyłożony mozaiką w podłodze. Adam wziął to za dobry prognostyk uprzejmych usposobień gospodarza. Jakoż skoro nas ujrzał wchodzących, z pośrodku koła mężczyzn, którem był otoczony, postąpił ku nam, podał rękę i na króciutkie słowa życzeń odpowiedział:

„Je vous remercie, Messieurs, je vous remercie sincèrement“. Poczem wmieszałyśmy się w tłum gości płci obojej, ruszających się i napełniających salon w apartamencie samego Goethego. Na stoliku pod zwierciadłem leżały rozłożone różne roboty damskie i spory stos powinszowań piśmiennych, wierszy i listów, które dziś solenizant odebrał. Ale głównym przedmiotem ciekawości i rozmów był list króla-poety, to jest króla bawarskiego Ludwika, który koleją z rąk do rąk, zwłaszcza damskich, przebiegał, i który mi dopiero pani Teresa łaskawie do przeczytania podała. Zaczyna się od słów: „Panie Ministrze!“; wspomina o pamiętnej dla piszącego chwili, gdy sam przed dwoma laty dom Goethego odwiedził; życzy mu, aby stu lat doczekał, i prosi o przyjęcie na wiązanie załączającej się kopii nowo odkrytego starożytnego posągu, mającego wyobrażać jednego z synów Nioby. Kończy prośbą o wskazanie domu, gdzie Goethe mieszkał kiedyś, bawiąc za młodu w Rzymie, dokąd i król się wybiera; „bo wszystkie najdrobniejsze rzeczy, tyżące się ludzi wielkich, są ważne“. Podpis: „Ihr bewundernder Ludwig“.

Posąg, o którym mowa, uwieniczony girlandą z kwiatów, umieszczony był na pięknej podstawie w przyległej sali biustów, wprost naprzeciw otwartych drzwi salonu, aby go stamtąd wszyscy widzieć mogli. Nikt jednak nie poprzestał na tem i wszyscy go kolejną oglądali z blizka. Davida, a i nas przy nim, sam Goethe zaprowadził ku niemu, unosząc się nad harmonijną pięknością szczegółów i całości. Potem zaś widziałem z daleka, jak sam znowu przystąpiwszy ku niemu, przypatrywał mu się z uwagą, ruszając przytem ręką i palcami, jakby w myśli z kimsiś rozmawiał. W ogólności dziś w nim

więcej bez porównania niż wczoraj widać było ożywienia i uczucia; i kto wie, czy ten martwy posąg, bądź jako dzieło sztuki bądź jako dar z ręki królewskiej, nie więcej go niżli żywi goście ożywiał.

Przed drugą my z Davidem wyszliśmy prawi ostatni Damy tylko niektóre zostały; inne poszły się przebrać na obiad. Bo solenizujący dziś Papa z samemi tylko damami obiadował u pani Ottilii, i najpiękniejsze tylko, obok najznakomitszych w Weimarze, dostąpiły, jak mówią, tego zaszczytu. Wszyscy zaś bez wyjątku mężczyźni, biorący udział w dzisiejszym festynie, zebrali się przed trzecią na składkowy obiad w oberży „zum Erbprinzen“. Cudzoziemcy tylko, jako goście w Niemczech, to jest David, Quetelet, p. Wiktor i my, zostaliśmy zaproszeni gratis, na koszt uprzejmych mieszkańców weimarskich. Sala jadalna nie nazbyt obszerna. Stół i ściany ubrane w kwiaty i girlandy z liści laurowych. Osób musiało być przeszło czterdzieści. Ale jak ci opisać to właśnie, co składało główny charakter i niewypowiedziany urok tej biesiady; to połączenie razem wesołości i rozrzewnienia; to przejęcie się wszystkich jednym uczuciem, zjednoczenie się w jednej myśli, z zupełnem zapomnieniem o sobie. Wszystko pośredniczyło tu zda się między zabawą a uroczystością świąteczną, jakby jaki wesoły religijny obrzęd domowy. Wszystkie inne, wspanialsze nawet i liczniejsze od dzisiejszej uczy, na których kiedykolwiek być mi się zdarzyło, mogłyby tylko posłużyć za dowód, jak często rzeczy najpodobniejsze z pozoru, jak np. obiad i obiad, różnić się mogą w istocie, jak niebo od ziemi, i jak nie samem chlebem, ale raczej słowem i duchem człowiek się tylko nasycy i żyje prawdziwie. To też i ucztą dzisiejsza zaczęła się na-przód od słowa; a było niem przemówienie kanclerza Müllera, który jako gospodarz fety, cel jej i znaczenie wymienił. Następnie, po każdej potrawie szły kolejają: to pieśń przy towarzyszeniu muzyki. to czytanie adresów lub wierszy, które delegowani z rozmaitych stron Niemiec dziś już rano solenizantowi złożyli.

Pomiędzy innemi delegowany od uniwersytetu w Bonn odczytał wiersz tamecznego profesora, sławnego Wilhelma Schlegla, z piosnek zaś, napisana i odśpiewana przez sąsiada mego u stołu Holteia, wydała nam się najlepszą i najżywsze obudziła współczucie. On sam tak był wzruszony, że ledwo się mógł wstrzymać od łkania; a wzruszenie to było powszechnem. Pan August — ku któremu się wszyscy mowcy i śpiewacy, jako ku reprezentantowi ojca zwracali — przyjmował to z rozrzewnieniem prawdziwie synowskiem; i trzeba było nie mieć chyba serca, żeby ogólnego wrażenia nie dzielić. Przy uro-

czystym toaście Adam i David, w stopniu cudzoziemców, przemówili każdy słów kilka po francusku, które wdzięcznie przyjęte zostały. Kielichy krążyły obficie, i biesiada z poważnej i uroczystej z początku stała się wkońcu wesołą i gwarną. Przed zaczęciem zaś jeszcze obiadu, my byliśmy powodem wesołości ogólnej. Pan kanclerz, jako gospodarz, uprzedził mię, że kartka z napisem nazwiska, przywiązana do krzesła, wskazuje każdemu z gości miejsce, które ma zająć u stołu. Aby więc wiedzieć wcześniej przeznaczone dla nas, obszedłem stół raz i drugi, ale z niemałym podziwieniem i ambarasem nigdzie ani mojego ani Adama nazwiska nie znalazłem. Adam był także nieco w kłopotcie, gdy mu to powiedziałem. Nie było więc innej rady, jak odwołać się do pana kanclerza. Ten również był tem zdziwiony, i zwrócił się z kolei do kogoś, któremu widać było to powierzonom. Pokazało się wreszcie, że zamiast nazwisk naszych, trudnych zapewne do napisania dla Niemca, były tylko kartki z napisem: der Pole Nr. 1, der Pole Nr. 2; i taksamo stało też w rejestrze, z którym gospodarz hotelu zasiadł po obiedzie przy wyjściu, aby odbierać zapłatę od gości za wino, które kto sobie oddzielnie podczas obiadu dać kazał. My, jak to już powiedziałem, byliśmy wolni od wszelkiej opłaty; a i do głowy namby nie przyszło, aby sobie wino u stołu można było, w ten sposób extra składki, kupować. Ale ta okoliczność z kartkami dała właśnie ów powód do śmiechu; i na wieczorze potem, znajomsze damy nazywały nas żartem po numerze, pytając naprzód, kto był Herr Eins, a kto Herr Zwei?

Wieczór ten, a raczej raut balowy, z którego właśnie wróciwszy list ten do ciebie zacząłem, był u jednej ze znakomitszych dam weimarskich, pani Melos, a przybyły nań i piękne biesiadniczki, po obiedzie u solenizanta. Obiad ten miał być bardzo wesoły, a gospodarz w tak doskonałym humorze, że sam jeden, jako reprezentant płci swojej, wszystkie je dowcipem ubawił, a grzecznością i uprzejmością zachwycił. Wieczór też był bardzo liczny, świetny i ożywiony, ale nic na nim szczególnego nie zaszło. Odczytywano tylko wiersze i pieśni obiadowe, a Holtei, chociaż, jak sam wyznawał, ledwo się mógł utrzymać na nogach, odśpiewał jeszcze, na żądanie dam, piosnkę swoją, i powtórne otrzymał oklaski. Toast za zdrowie solenizanta, spełniony doskonałem winem reńskim, jako narodowem niemieckiem, przyjmowała w zastępstwie jego pani Ottilia, do której każdy przystępował z kielichem. My znowu jutro obiadujemy u niej, a to jako satellite pana Quetelet, dla którego ma być właśnie ten obiad — incognito, jak nam zapowiedziała sama gospodyni: to jest złożony

tylko z najbliższych miejscowych przyjaciół domu i cudzoziemców. Dla gości zaś niemieckich, których wszystkich na obiad sprosić niepodobna, a wybierać pomiędzy nimi nie wypada, będzie znów jutro *grande soirée* po Fauscie. — I cóż ty na to wszystko, grykosieju?

Czy nam zajrzysz, stękając z pod trosk gospodarskich,
 Tych biesiad poetycznych i tych Muz weimarskich,
 Co jakby przez Nazońskiej cud metamorfozy,
 Wszystko w nas na *poesis* przemieniają z prozy?
 Czy w kołuszku, z fajeczką, siadłszy na przypieku,
 Wolisz sobie bez Niemców drzemać po niemiecku,
 I z Krasickim nam jeszcze gotówbys powiedzieć:
 „Że jeśli dobrze jeździć, lepiej w domu siedzieć?“
 Siedz więc zdrów, śpij spokojnie! — a pisz nie zwlekając!
 Choćby, jak ja w tej chwili, drzemając i ziewając.
 Zatoż list się mój każdy o to hędzie trudzić,
 Aby, jak niuch tabaki, z tej cię drzemki budzić.

Lucyan Siemieński.

Urodził się w Magierowie (w Galicyi) w roku 1809. Szkoły odbył w Lublinie. Po ich ukończeniu wysłany był przez opiekuna do Odessy, gdzie miał się uczyć języków wschodnich, w zamiarze wstąpienia do służby konsularnej. Ale gdy wybuchło powstanie roku 1830, Siemieński pokryjomu opuścił Odessę i wstąpił do wojska. Wzięty do niewoli, dzięki usilnym staraniom przyjaciół, uniknął zesłania w głąb Rosyi lub na Sybir. Dostał się do Galicyi. We Lwowie, w ścisłej przyjaźni z Bielowskim, Szajnochą, Goszczyńskim, Polem, Józefem Borkowskim, wspólnie z nimi zajmował się literaturą i starał się o jej ożywienie w Galicyi. Ale przy ówczesnej cenzurze drukować było trudno. Ledwo udało się im otrzymać pozwolenie na pismo zbiorowe pod tytułem *Ziewonia*, ale i tego wydawnictwa musieli niebawem zaprzestać.

W roku 1838 Siemieński (jak wielu innych) dostał rozkaz wyjazdu. Udał się do Francyi (naprzód do Strasburga); tam wszedł w stosunki ze znakomitszymi ludźmi emigracyi i pisał (zawsze głównie poezye). Nauka Towiańskiego i jego pociągnęła do siebie zrazu silnie, ale nie na długo. Lata 1844 i 1845 przepędził w Poznańskim. Wydalony z Poznania, udał się do Brukseli. Tu zaczęły się ścisłe przyjazne stosunki z generałem Skrzyneckim (zostającym w służbie belgijskiej), który wpłynął znacznie na wyrobienie pojęć i przekonań Siemieńskiego, a przede wszystkim wyleczył go do reszty z pociągu do nauki Towiańskiego. W roku 1848 powrócił Siemieński do kraju i osiadł w Krakowie. Znany i słusznie ceniony jako krytyk i znawca literatury powszechnej a przede wszystkim polskiej, powołany był na jej katedrę w uniwersytecie Jagiellońskim; ale niebawem z niej usunięty, zamknąć się musiał w tem polu działania, jakie mu otwierał dziennik *Czas*, którego był jednym

z założycieli i pierwszym redaktorem. Pole to wszakże było bardzo rozległe, a Siemieński rozwinął na niem czynność wieloraką i skuteczną.

Po wypadkach roku 1863, w których stracił jedyne syna, stawał się coraz smutniejszym. Wrodzona wesołość i bystry dowcip błyskały jeszcze czasem, ale rzadko, a w ich miejsce występuje ciężka tęsknota i rozczarowanie; ciągła i wielostronna czynność utrzymywała się do ostatka. Zdrowie psuło się nieznacznie od kilku lat, ale nie zapowiadało wcale blizkiego końca, który przyszedł prawie nagle, w Krakowie roku 1877

Dzieła. Siemieński pisał wiele, zarówno wierszem jak prozą. W poezyi szczególnie zasłużył się i zaśląnął jako tłumacz. Najpierw przetłumaczył Krółodworski rękopism, o którym podówczas nie było wiadomo, że jest podrobiony, lecz uchodził za autentyczny zabytek odwiecznej bohaterskiej poezyi czeskiej. Siemieński okazał się w tym przekładzie biegłym wierszopisem i stylistą, nadał językowi swemu tok archaistyczny i umyślnie szorstki, a rapsodowi koloryt poważny, ponury, trochę dziki, doskonale zastosowany do tych odległych czasów, ich cywilizacji i burzliwych usposobień. Oprócz Rękopismu tłumaczył wiele mniejszych pieśni słowiańskich, romańskich a nawet celtyckich ludów.

W młodości zapalony romantyk jak wszyscy ludzie jego pokolenia, w dojrzałym wieku zaczął czuć żywiej i lepiej rozumieć wdzięk poetów starożytnych. Przetłumaczył wybór niektórych Ód Horacego; jest to niewątpliwie najpiękniejszy polski przekład tego poety. To tłumaczenie rzeczy klasycznych służyło mu za wprawę i przygotowanie do wielkiego dzieła jego starości, do przekładu Odysei. W przekonaniu, że przekład powinien być jak najwierniejszym, ale zarazem swobodnym i w swoim języku pięknym, tak, żeby dla polskiego czytelnika był i powabnym do czytania, i żeby miał prawo liczyć się do dzieł sztuki i poezyi, Siemieński nie zmuszał siebie i polskiego języka do heksametrowej formy oryginału; przełożył Homera utartym, powszednim w naszym języku wierszem trzynasto-zgłoskowym. Ale odstępując od formy Homera, tem bardziej czuł się obowiązany do oddania jego prawdziwego charakteru, jego plastycznej żywości: a z tego zadania wywiązał się tak świetnie, że jego Odyseja (1873) jest niezaprzeczenie jednym z najpiękniejszych na świecie przekładów Homera, a najpiękniejszym jego przekładem polskim.

W ostatnich latach życia pod wpływem religijnego nastroju tłumaczył pieśni mistyków i poetów religijnych: św. Teresy, św. Jana od Krzyża i i.

Oryginalne jego poezye, zarówno drobne liryczne, jak i poematy większych rozmiarów (Trąby w Dnieprze, Trzy wieszczby) dowodzą, że miał smak i zmysł artystyczny, choć zakres jego talentu niezbyt był szeroki. Sam o tem dobrze wiedział i dlatego nie porywał się na wielkie oryginalne dzieła, którymby nie sprostał; wołał za to odtwarzać dzieła prawdziwie wielkie.

Równie rozległą czynność rozwinął Siemieński jako prozaik, wydając dzieła historyczne, powieści, krytyki literackie i artystyczne, pisząc wreszcie liczne artykuły w dziennikach. Do ważniejszych należą:

1. Wieczory pod lipa (1845), historia polska dla młodego wieku, która, mimo pomyłek wspólnych całej ówczesnej historyografii polskiej, a później wykrytych i sprostowanych, sposobem pisania, prostotą i żywością opowiadania jest do dziś dnia najlepszą, jaką w tym rodzaju posiadamy.

2. Portrety literackie, czterotomowa publikacja, obejmująca krótką, ale dosadną i prawie zawsze bystrą i trafną charakterystykę wielu pisarzy polskich, od najdawniejszych aż do najmłodszych.

3. Jako fejttonista i krytyk literacki *Czasu* miał sposobność i obowiązek mówienia o wszystkich bieżących zjawiskach i kierunkach literatury własnej i obcej. Były to (z natury rzeczy) rozprawy małych rozmiarów — co zresztą do rodzaju jego talentu było najlepiej zastosowane — ale mieściły w sobie tyle nauki, wykształcenia i smaku, że roznosiły mnóstwo wiadomości i trafnych pojęć; pisane z rzadkim darem i wdziękiem prostoty, żywości i dowcipu, były bardzo ponętne; a powtarzające się często, niemal codziennie, nieznacznie jak kropla wody na kamień działały, podnosiły wyżej ogólne wykształcenie publiczności polskiej. Artykuły te i rozprawki, razem zebrane, składają kilka większych całości, jak *Pogadanki literackie*, *Kilka rysów z literatury i sztuki* (i t. d.), które przy treści rozmaitej, a lekkim sposobie pisania, mają wielką wartość.

4. Utwory powieściowe, obrazki, podróże i t. p. wydawał p. t. *Muzamerit*, *Mozaika*, *Wieczornice*, *Varia*. Jako pisarz prozaiczny jest on przedewszystkiem wzorowy pod względem języka i stylu, a pod względem jednego ich przymiotu, to jest lekkości i żywości, może u nas nie dościgniony przez nikogo.

Charakterystyka. Z usposobienia pogodny i wesoły, niezwykle dowcipny, Siemieński jest jedynym z nader rzadkich u nas pisarzy, którzy umieją być wesołymi, zabawnymi, naturalnymi, a nie wpaść nigdy w rubaszność i zły smak. Niezmiernie przystępny wrażeniom sztuki i wrażeń takich chciwy, bystry przytem, wiele i łatwo obejmujący, doszedł do bardzo wszechstronnego i poważnego artystycznego wykształcenia. Przez swój sposób pisania zaś, prosty, przystępny, a bardzo powabny, stworzony był jak umyślnie na to, żeby lepsze pojęcia, lepszą znajomość rzeczy poważnych i artystycznych szerzył, i wykształcenie ogółu na wyższy stopień podnosił. Jego rola i stanowisko jako krytyka i znawcy literatury są bardzo znaczące: można powiedzieć, że na tem polu nie miał sobie równego między poprzednikami, a ze współczesnych Klaczko jeden przewyższał go głębokością umysłu i świetnością pióra; — jednak mało piszący i mało znany, nie mógł tak działać i wpływać na ogół czytelników jak Siemieński.

Pracując najwięcej dla pism peryodycznych, zatem w pośpiechu, musiał Siemieński zamykać się w rozmiarach małych rozpraw, a często-kroć nie mógł przedmiotu swego zupełnie zgłębić lub sam siebie starannie poprawić. Stąd, po części może i z natury jego umysłu, więcej rozległego i świetnego niż głębokiego, największa (może raczej jedyna) wada jego pism, którą jest zdarzająca się czasem pobieżność i powierzchowność. Ale bystrość jego spostrzeżeń i sądów, rozległość i rzetelność

jego wiedzy wynagradzają tę wadę w mierze bardzo szerokiej. W historii polskiej oświaty, ogólnego wykształcenia naszego społeczeństwa, Siemieński ma niezaprzeczone i wielkie zasługi, jak ma piękną i trwałą kartę w dziejach naszej literatury.

Z wierszy drobnych.

Wiejski kościółek.

Jakież to wdzięczne wita mię ustronie!
 Śród lasu łąka, przez łąkę rzeczułka,
 Wzgórek, — lipami wieńczone ma skronie,
 Nad wieńcem liści błyszczą krzyż kościółka.

Tutaj konają świata dźwięki próżne, 5
 Jakoś na duszy ochoczo i lekko;
 Szały namiętne, zapędy bezdrożne,
 Zostańcie za mną daleko, daleko!

Aż wtem śród wiernych zagrzmiął hymn niedzielny;
 Głos mój połączę z tych prostaczków pieniem: 10
 „O święty Boże! święty nieśmiertelny!
 Zmiłuj się!“ — Łzy mi pociekły strumieniem.

Och! bo lat wiele, upłynęło wiele,
 Jak ucho moje tych pień nie słyszało
 W ustach współbraci, i w takim kościele: 15
 Młodszem wspomnieniem serce zapłakało.

Bo któż bez żalu może w przeszłość patrzeć?
 Kto wolen cierpień goryczy tajemnych?
 W obliczu Pana ktoby nie chciał zatrzeć 20
 Łzami na karcie życia rysów ciemnych?

I Pan przemówił do mnie w owym śpiewie
 Wiarą, nadzieją i miłości mocą;
 Pan mię uczynił liściem na tem drzewie,
 Co świeżym wiankiem połyska nad nocą.

Komu w drogę — temu czas.

Wdzięczne dnia światło, niebios wydęty błękit,
 Gwiazd stada z swoim pasterzem — księżycem!

Tyle już, tyle lat na mnie patrzycie
 Wesółem lub chmurnem licem!

Jutro już może nie powitam was: 5
 Komu w drogę — temu czas!

Pieśni słowicze, ptaków powietrzne chorały,
 Boru mistyczne szumy w nocną ciszę,

- Śpiewne jeziora, mrużące kryształ,
Rozmyślań mych towarzysze! 10
Jutro już może nie usłyszę was:
Komu w drogę — temu czas!
- Wonnych balsamów z czeremch, bzów, wiśni, jabłoni,
Majowy wietrzyk dla mnie nie pozbiera,
Ni technień żywicznych od lasów nagoni 15
I róż mi nie pootwiera.
Jutro nie przyjdę piersią chwytać was:
Komu w drogę — temu czas!
- Wy, uskrzydłone duchy, z dżutem, pędzlem, piórem,
Coście od ziemi rwali mię do siebie, 20
Żem się nie toczył po niej suchym wiórem,
A częściej chodził po niebie!
W górnej pracowni ducha spotkam was:
Komu w drogę — temu czas!
- O złote myśli, w pasmo powplatane zgrzebne, 25
Marzenia wieszczą, zapachu ekstazy!
Życia rozkosze już mi niepotrzebne,
Rzeczywistsza milion razy
Jutro mię wieczność oddzieli od was:
Komu w drogę — temu czas! 30
- O mgły fantazyi! z gliny waszej gdy lepiłem,
Twórca był ze mnie! — Twórczość to nieplodna;
Bo choć z waszego źródła ciągle piłem,
Nigdy nie dopił się do dna. 35
Bezsilne... więcej grób powie od was...
Komu w drogę — temu czas!
- Snem wszystko! Mleczną drogą, z gwiazd wybudowaną,
Pójdę ku słońcom, w przestwory szafiru!
Gdzie czysta prawda będzie mi podana,
Wykuta, jakby z porfiru. 40
Żal mi serc kilku... Moi! żal mi was!...
Komu w drogę — temu czas!

Z obozu klasyków.

Spór między starożytnymi a nowożytnymi, którzy z nich lepsi — nie od dziś się datuje.

Jeszcze za Rzymian pod Augustem, starzy poeci mieli swoje stronnictwo prześladowające i oczerniające nowych poetów. Horacy, należący do tych ostatnich, był jakby romantykiem ówczesnym; dość przeczytać list jego do Augusta (I. księga II), aby się przekonać

jak sobie drwi ze starożytnych, zapytując, czy wiersze tak jak wino im starsze, tem lepsze? a pisarz, żyjący przed stu laty, czy ma być policzony do starożytnych, to jest wzorowych, czy między partaczów, to jest nowych pisarzy?

Sławny siedemnastego wieku filozof Kartezjusz poruszył to pytanie w dowcipny sposób: „Nie mamy żadnej rozumnej przyczyny — mówi on — przyznawać tak wielką zasługę starożytnym za ich starożytność. My to raczej powinniśmy nazywać się starożytnymi; świat bowiem starszy dziś niż za ich czasów, a doświadczenia nierównie więcej mamy, niż oni.“

Argument ten, w którym filozof daje znaczenie wyrazom odnośnie do wszechświata a nie do człowieka dziś żyjącego, pochwycono przed stukilkudziesięciu laty we Francji i zaczęto zapuszczać się w coraz głębsze rozumowania, dowodząc, że jak dla jednych uznana powaga wszystko rozstrzyga, tak dla drugich własny rozum służy za powagę. Jedni też lubią powoływać się na starożytnych i dają się jak dzieci ojcom prowadzić; drudzy utrzymują, że starożytni, należąc do młodego świata, właśnie są nowożytnymi, a nowożytni, jako żyjący w starym już świecie, mają prawo nazywać się starożytnymi i stanowić właściwą powagę.

Pocieszne te subtelnosci, czepiające się znaczenia wyrazów, służyły potem za punkt wyjścia w długiej wojnie piórowej między stronnikami wzorów greckich i rzymskich a obrońcami nowożytnej literatury.

Walka ta przeniosła się i do Włoch i do Anglii, gdzie najnudniejszymi rozprawami spierano się o pierwszeństwo to dla starożytnych, to dla nowożytnych. Pope najtrafniej godził kłócących się, powiadając: „Nie przywiązujcie się ani do tego, co stare, ani do tego, co nowe; ale umiejcie odrzucić fałszywe piękności, a podziwiać utwory z piętnem prawdy.“

W rzeczy samej, wszystkie te spory rozstrzyga to wyborne zdanie; zapomniano jednak o niem, kiedy przed pięćdziesięciu laty wytoczyła się wojna klasyków z romantykami.

Jest to pierwszy spór literacki, jaki przeniósł się z zagranicy i do naszej literatury. Dawniejsze spory z XVII i XVIII wieku nie dostały się do nas. Czemu? bo ani czasopism literackich nie było ani też literaci nie tworzyli osobnego ciała. Nawet nie istniało nazwisko literata. Ten był ziemianinem, ten księdzem, ten kanclerzem, ten hetmanem — a jeśli pisał, to nie w zamiarze, żeby być policzonym do tej lub innej szkoły. Właściwe koło literatów sformowało

się dopiero na dworze Stanisława Augusta i utworzyło nową szkołę, która nie potrzebowała z literatami, reprezentującymi dawną epokę republikańską, staczać walki na polu teorii, z prostej przyczyny, że zastawszy przysposobione umysły, miała opinię po sobie Tamci szli w zapomnienie, ci używali wziętości i protekcyi, dopóki przeciw tym nowatorom, wyczerpanym już i zużyтым, nie zaprotestował w pierwszych dwudziestu latach XIX wieku romantyzm.

Tradycya literatury Stanisławowskiej najuparciej przechowywała się w Warszawie i miała tam główny swój obóz, nad którym powiewała chorągiew dobrego gustu. Jak Turcy koran, tak oni narzucali swój kodeks gustu, którego cała estetyczna tajemnica zasadzała się na tem, żeby nic takiego nie powiedzieć, czegoby się nie znalazło w pisarzach podawanych za wzór dobrego smaku. Ktokolwiek zdobył się na niezwykle wyrażenie lub z śmielszą, a mniej spowszedniałą myślą wystąpił, srodze bywał karcony przez tych arcykapłanów świątyni gustu, wprawdzie nie po pismach publicznych (nie lubili bowiem wdawać się w drukowane rozumowania), lecz na koteryjnych zebraniach, gdzie niemiłosiernie przedrwiwano wykraczających przeciw kodeksowi, a głównie w poufnych literackich korespondencyach, tworzących nieoszacowany materyał, dający poznać ich sposób sądzenia utworów romantycznej szkoły, a wogóle stan literackich pojęć.

Szcześliwy przypadek rzucił w moje ręce kilkaset listów, obejmujących peryod najzwawszej walki między klasykami a romantykami, to jest od r. 1823 do 1830. Są to korespondencye samych koryfeuszów tak zwanego klasycznego obozu, a zatem wcale nowy dokument do tej epoki, którą gdyby chciał kto opowiedzieć, musiałby uciec się jedynie do broszur i artykułów dziennikarskich stronnictwa romantycznego — bo jak wyżej rzekłem, klasycy, osobliwie główne ich powagi, miały sobie za ujmę wstępować na polemiczną arenę. Prelekcye literatury Ludwika Osinińskiego, tego Ulissesa klasyków, mogłyby także posłużyć za materyał; ale szanowny profesor nie wdawał się w żadne rozbiory ani w sądy o duchu i dążności nowej szkoły, tylko dowcipnymi sarkazmami odprawiał tak Szekspira, Schillera, Byrona i wszystkie literatury obcych narodów, jak świeżo jawiące się płody litewskiego wieszczca. Pochwyciwszy dwa wiersze z *Dziadów*, sparodyował je:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Głupstwo było, głupstwo będzie!

i był przekonany w zarozumieniu swoim, że już na wieki zabił i dzieło i autora.

Rzecz godna zastanowienia się, że między klasykami ludzie nawet wyżsi charakterem i czytani uznawali powagę tej lekkiej głowy, mającej jedyny talent dobrego deklamowania wierszy, i wierzyli w jego zdanie, chociaż nie miał żadnego, jak w sybilińską wyrocznię. Z tej uważani strony, przedstawiają się oni, nie jako klasycy zentuzyazmowani dla arcydzieł Grecyi i Rzymu, których nawet dobrze nie znali, ale jako stronnictwo walczące pod sztandarem tradycyjnej powagi przeciw nowemu stronnictwu, które z razu innym wzorom przyznając pierwszeństwo, dążyło do oswobodzenia się z wszelkiej tradycyi i powagi, co — jak wytłumaczył Mochnacki, pierwszy z romantycznych estetyków — miało być uznaniem się w swoim jestestwie. Ale, gdy wtenczas nie było mowy o dalszych następstwach tego prądu objawiającego się w młodem pokoleniu, cały spór ograniczał się w szrankach literatury i na tem polu tak zwani klasycy przy bardzo miernych zasobach nauki, a przy ogromnej dozie rozumienia o swojej nieomyłności, potrójną ponieśli klęskę; pobiły ich utwory romantyków, którymi entuzyazmowała się opinia, pobiły polemiczne i estetyczne pisma, pobiły wypadki...

Epokę tej walki literackiej usiłują we wspomnieniach swoich łagodnie przedstawiać stronnicy niegdyś klasycznego obozu, dowodząc, że umiano odrazu ocenić talent autora Dziadów, Ballad, Sonetów, Wallenroda, tylko powstawano na niefortunnych naśladowców litewskiego poety. Następnie, że choć się toczyły po salonach rozprawy o klasyczność i romantyczność, nieraz aż do łajañ i gniewów dochodzące, to rozprawy te, nie wychodziły za obręb salonu, nie miały rozgłosu i wpływu na zdanie powszechnie, chyba o tyle, o ile młodszy romantycy chcieli sami robić je przedmiotem gazetowych artykułów.

Tymczasem rzeczy szły nie tak gładko, jakby się zdawało z powyższych słów. Koterya kilku poetów z czasów księstwa Warszawskiego składająca się z ludzi zajmujących wysokie urzędy, głośnych dawniej nabytą sławą, miała się za jedynie godnych i uprzywilejowanych mieszkańców Parnasu, tak dalece, że wprzód jeszcze nim romantyzm u nas się zjawiał, oni stojąc na szczycie rymotwórczej góry, każdego śmiałka wdzierającego się w ich szaniec niemiłosiernie spychali na łeb na szyję. Przywłaszczywszy sobie monopol rymów, przedrzwali całą generację młodych pisarzy i potępiali ryczałtem, nie od różniając nawet tych, co zaświecili lepszym talentem...

I śmiano się, i dowcipkowano, nicując każde słowo, każdy niezwykle rym, każde silniejsze wyrażenie, każde nowe dla nich porównanie, wzięte z natury i życia, a nie z którego dawnego poety, okradzionego już z milion razy. — Kiedy tak poważne wyrocznie w rzeczach gustu odzywały się z potępieniem, publiczność, także nieobeznana z nowością, wierzyła w słowo mistrzów, i stąd czy to w miejscach publicznych, czy w mniejszych lub większych towarzystwach, czy nawet w kółku domowym, wszędzie wrzał bój zacięty starszych idących za powagą klasyków uprzywilejowanych, z młodszymi stawającymi w obronie romantyzmu. Myliłby się, kto by tę wojnę lokalizował tylko do stolicy i do osób bawiących się literaturą i piórem; nie było bowiem tak zapadłego kąta, gdzieby nie stawały przeciw sobie dwa te obozy, gdzieby obok argumentów, w ogóle i z jednej i z drugiej strony bardzo słabych, nie ciskano sobie w oczy jakim dowcipnem słówkiem Osińskiego roznoszonem po kraju, lub jaką ciętszą jeszcze repliką romantyków.

Starzy, wychowani w tradycyi epoki Stanisławowskiej, która stworzyła u nas oświatę nowożytną, widzieli zamach na świętości narodowe, jeżeli kto śmiał uwłaczać zasługom Krasickich, Trembeckich, Naruszewiczów i nowszych, jak: Dmochowski, tłumacz Iliady, Osiński, Koźmian, Molski, Wężyk, Kropiński, Feliński, których uważano jako kontynuatorów tego wieku odrodzenia, tem bardziej, gdy z tymi pisarzami łączyły się wspomnienia Napoleońskie, uchodzące wówczas za rodzaj liberalnej opozycji. Przypominam sobie nieraz, z jaką litosną wzgardą cedzono przez zęby, jakby trudno było przełknąć nazwisko romantyków objijające się po pierwszy raz o uszy starszych, a przez zapał młodzieńczy podnoszone do wysokości cudów świata. Gdy zaś dla poparcia twierdzeń przyszło do prezentowania dokumentu romantycznego, była nim zwykle jaka ballada wzięta z gminnego podania, pełna upiorów i duchów, gminnych wyrażeń i porównań, co wszystko dawało pole wyznawcom klasycyzmu do żartów i szydzeń z tej karczemnej, podkadzielnej, jak ją nazywano, poezyi.

— Jeżeli to ma być romantycznością — mówił raz poważny jeden obywatel, radca wojewódzki i członek jakiegoś prowincjonalnego Towarzystwa przyjaciół nauk — to proszę zajrzeć wolnym czasem do mojej piekarni, i posłuchać, co między sobą gwarzą Bartosze i Kaśki. Jak pan Jourdain dopiero na stare lata dowiedział się, że gadał prozą, tak widać i ja dowiaduję się na starość, że moja czeladź nie tylko kartofle, ale i romantyzm uprawia. Na tym koncepcie najczęściej jeżdżono; sam Koźmian nie pominął go w wierszu do Morawskiego:

„Precz więc Grecy z Parnasu, precz Rzymian prawidła,
Nasz Helikon za piecem, a muzy u bydła“.

Młodzież była więc celem szyderczych pocisków starszyny; a choć się odcinała — przedrwiwając nawzajem wiersze klasyków i pokazując ich stronę czczą i deklamacyjną — nie miała jednak ani dosyć wiadomości, ani wytrawnego zdania, aby mogła rozumnymi argumentami przekonać przeciwników. Zapał i uczuciowość — to był cały jej arsenał. Wreszcie choćby się i znalazł był taki, coby dobrze rzecz zgłębiwszy, umiał ściśle wykazać przyczyny i dążenia tej rozwijającej się epoki nowych wyobrażeń w literaturze — to nie byłby przekonał przeciwników, tak samo nierozumiejących klasycyzmu, jak ci nie rozumieli romantyzmu. W dzisiejszym czasie takie stronnictwo klasyków, jak było wtedy, niezawodnie założyłoby zaraz dziennik, lub kilka dzienników mających być jego organem; lecz przed laty czterdziestu mieć swój dziennik, było aktem nadzwyczajnego wysilenia i odwagi, a na tej zupełnie zbywało klasycznym koryfeuszom. Poprzestawali więc na ustnej propagandzie i walce, na znoszeniach się listownych, na wierszykach czytanych w poufnym kole zgromadzeń herbacianych, gdzie się wzajemnie admirowano, i na czwartkowych obiadach u generała Wincentego Krasińskiego, który jako gospodarz zachowywał rolę neutralną, i zapraszał do swego stołu tak powagi klasyczne, jak odznaczające się talenta z obozu romantycznego.

Na tych, głośnych w swoim czasie obiadach, bywał zwykle Niemcewicz, Koźmian, Osiński, niekiedy generał Franciszek Morawski, Brodziński, Salezy Dmóchowski, Dominik Lisiecki, Witwicki, Odyniec, Gaszyński i wielu innych młodych romantyków, w miarę jak który dawszy się już poznać, przybył do stolicy. Wszakże główny zastęp współbiedników generała składał się z falangi klasyków, których łączyła z nim dawna znajomość lub przyjaźń, niemniej odpowiednie w świecie towarzyskim lub urzędowym stanowisko. Dla uciechy tych nowoczesnych Rzymian, lubiących facecyami zaprawiać poobiednie godziny trawienia, znachodziła się regularnie na każdym obiedzie komiczna figura parazyta i wierszoklety, Jaksy Marcinkowskiego. Można o nim powiedzieć, że to była żywa parodia pseudoklasycznej literatury; o ile koryfeusze powagi ubiegali się o poprawność, jasność, harmonię stylu i rymów, o tyle on pisał liche wiersze i zawieżywał je tak łatwo rymami, jak „kozom ogony“. Stąd pole do niewyczerpanych żartów i drwin, tem uporzeczywszych i zjadliwszych, że Jaksza nie grzeszył potulną skromnością, owszem odcinając się biorącym go na fundusz, często wyrzucał, że on sam więcej napisał już i wydru-

kował, niż oni wszyscy razem wzięci przez całe życie. Gdy po kilku lecjach wyczerpały się żarty z tej ofiary rymoklectwa, której dano chleb łaskawy, robiąc inspektorem szkoły wojewódzkiej w Płocku, przysłała kolej na romantyków. Gospodarz uczonych obiadów wierny zasadzie neutralności, zapraszał reprezentantów obu szkół i zwykle podjudzał jednych przeciw drugim, z czego wszczynaly się z początku żwawe dysputy przeplatające każdą potrawę, a na wety zażywała się zajadła kłótnia ubliżająca nieraz dostojenstwu i powadze tego lub innego klasyka, który sobie poprzysięgał więcej nogą nie wstąpić w dom generała.

Zdarzało się często, iż w samym głównym sztabie klasyków zakradała się taka niezgoda, jak między greckie wodze w obozie pod Troją. W wyobrazeniach ich i skłonnościach były liczne cieniowania. Jeżeli Kajetan Koźmian i Osiniński stali na czele wyprawy, jak Agamemnon i Menelaos, niewzruszeni i poważni, jak wyrocznia gromiący, — to Franciszek Morawski, najzdolniejszy i najpochopniejszy z nich do pióra, najśmielszy i najwięcej mający poetycznych instynktów, miewał swoje humory jak Achilles, i często dla romantycznej Brizeis pałał nieudaną miłością. Byłby może nawet przeszedł do przeciwnego obozu, ale osobiste stosunki łączyły go z głównymi wodzami, którzy ze swej strony umieli go trzymać zakłębem w imię dobrego gustu, a przywiązywała nawyczka do manieri szkoły francuskiej, której zawdzięczał pierwsze swoje powodzenie na polu literackim.

Karol Szajnocha.

Urodził się w r. 1818 w Komarnie. Nauki pobierał naprzód w Samborze, potem we Lwowie, ale już w siedemnastu latach musiał je przerwać. Dostał się bowiem do więzienia, z którego wyszedł po dwóch latach; ale gdy chciał się zapisać na uniwersytet, nie został przyjętym. Więzienie to pozbawiło go nie tylko zawodu, ale i zdrowia; w niem bowiem poczęła się ta choroba, która w późniejszym życiu rozwijana niezmierną pracą i długim niedostatkiem, nie opuściła go już do końca. Wzbroniono mu mieszkać we Lwowie; tułał się więc po różnych miejscach, szukając utrzymania; zarazem kształcił się i uczył jak mógł, ze środkami i książkami, jakie znajdował pod ręką, ale z zapalem i wytrwałością niepokonaną. Po paru latach pozwolono mu osiąść we Lwowie. Zarabiał na życie prywatnymi lekcjami, drobnymi artykułami do pism peryodycznych, a pracował nad sobą i swoim wykształceniem prawdziwie po bohatersku. Jest podanie, że nie mając za co kupić świecy, czytywał i pisywał po nocach przy księżycu; i to miało być powodem osłabienia

i późniejszej utraty wzroku. W tych latach wszakże nie czuł w sobie jeszcze swego prawdziwego, historycznego powołania; rwał się do literatury, a przede wszystkim do poezji. Napisał parę powieści i dramat *Stasio* (r. 1843), któremu słusznie wiele można zarzucać, ale nie można autorowi odmówić siły i poetycznego usposobienia. Cokolwiek już więcej znany, znalazł nareszcie skromne miejsce w redakcji (w roku 1843) „Gazety Lwowskiej“, a właściwie przy tygodniowym dodatku do *Gazety, Rozmaitościach*. Gdy w roku 1846 miejsce to utracił, ratował się znowu nauczycielstwem domowym. W roku 1847 wydał dramat: *Jerzy Lubomirski* (w Bibliotece Ossolińskich zeszyt 3ci). Ale z tą historyczną tragedią równocześnie zaczęła się i jego historyczna naukowa praca, trafił nareszcie na swoją właściwą drogę. W roku 1848 wydał dwie prace historyczne: *Bolesław Chrobry i Pierwsze odrodzenie się Polski* (za Łokietka). Dzieła te zwróciły na niego uwagę, i obok ogromnej erudycji i umiejętnego opanowania źródeł i przedmiotu, dały w nim poznać i wielkiego pisarza, wielkiego mistrza stylu i historycznego kunsztu, a zarazem wielki umysł, zdolny dawno przeszłe stosunki przeniknąć, odtworzyć, przedstawić i sądzić. Sława i stanowisko historyka były zrobione. Podstawą materialnego bytu była redakcja *Dziennika literackiego* (r. 1852). Prace historyczne tymczasem szły swoim trybem, jedne za drugimi wychodziły niezrównane Szkice historyczne (1854—1869).

Historyk i pisarz tej miary nie mógł dłużej bez wstydu dla społeczeństwa zostawać bez pewnego miejsca na świecie; Szajnocha znalazł je nareszcie przy Zakładzie Narodowym imienia Ossolińskich, jako zastępcą kustosza. Wtedy napisał *Jadwigę i Jagiełłę* (r. 1855).

Wkrótce potem (r. 1858) wydał *Szajnocha Lechicki początek Polski*, hipotezę może mylną, ale z wielkim zasobem erudycji postawioną i bronią (o normandzkim podboju i normandzkim pochodzeniu szlachty polskiej). Niestety choroba oczu robiła groźne postępy, praca stawała się niemożliwą, Szajnocha złożył swój urząd. Wzrok mimo to nie poprawiał się, owszem (w roku 1858) przyszła zupełna i nieuleczalna ślepotą. A i wtedy jeszcze nie ustała jego praca. Pisał zapomocą przyrzędu lub dyktował żonie (Joannie z Bilińskich), która była nie tylko uczestniczką i pomocą w pracy, ale aniołem opiekuńczym i szczęściem jego życia; dokumenta kazał sobie czytać przez młodego ucznia (Bernarda Kalickiego). Zwrócił się w tych latach z całą umiejętnością badacza, z całą siłą uczucia i głębokością sądu, z całą także poetyczną wyobraźnią jaką miał, do czasów bolesnych, do przełomu dziejów i losów Polski w wieku XVII. Wtedy powstał przepyszny *Mściciel*, wtedy szkice takie jak *Miecznik Jabłonowski*, *Krzysztof Opaliński*, *Hieronim Radziejowski*, i wtedy najgłębsze może z jego dzieł, Dwa lata z dziejów naszych, w którym tragedia tych czasów przedstawiona jest z największą siłą, z najgłębszą przenikliwością historycznego i politycznego sądu. W stanie zdrowia coraz gorszym, w cierpieniach coraz boleśniejszych, przeżył Szajnocha ostatnie lata życia. Umarł we Lwowie, 10 stycznia 1868 r.

Charakterystyka. 1. Szajnocha był między dziejopisami XIX wieku pierwszym, który miał zdolność składania i przedstawiania całości; a miał ją w stopniu tak wysokim, że pierwszy w tym rodzaju co do czasu, jest także jednym z pierwszych i największych co do wartości. Doskonale znawca i sumienny badacz źródeł, miał to wykształcenie zawodowe, które się zowie krytyczną metodą historyczną, a uważane jest słusznie za konieczną, rzeczywistą podstawę wszelkiej poważnej, naukowej pracy historycznej. Przymiot ten konieczny, u niego jest dziwnym z tego względu, że kiedy inni nabywają go ćwiczeniami, uczą się go w szkołach (seminaryach) historycznych, on doszedł do niego sam, własnym popędem i móżolem, bez pomocy nauczycieli.

2. Ale na tej podstawie umiejętnego przygotowania i traktowania rzeczy, opierał się właściwy mu szczęśliwy dar zrozumienia, przeniknięcia całości we wszystkich jej szczegółach i stosunkach, i dar żywego, jasnego jej przedstawienia. Szajnocha ma tę bystrość i logikę umysłu, która widząc jakiś skutek, umie dojść jego przyczyny; na odwrót mając daną przyczynę, poznaje trafnie skutki. U niego każdy fakt historyczny wywieziony jest trafnie i głęboko ze swoich najistotniejszych przyczyn, a ukazany w związku ze swojemi logicznymi następstwami. Tej zaś wielkiej zalecie towarzyszy u niego druga, niemniej ważna i potrzebna: zdolność poznania i opisanego pewnego faktu lub okresu wszechstronnie, w całej mnogości i różnorodności jego stosunków. Jego historia opowiada przebieg zdarzeń, ale zarazem objaśnia polityczne położenie kraju, tłumaczy względy, które nakazywały w pewien sposób postąpić, i powody, które sprawiły, że faktycznie postąpiono inaczej. On kreśli i odtwarza skład i stan społeczny kraju w danym czasie; zna i opisuje prawa, dążności, potrzeby, interesa, różnych części składowych społeczeństwa, jego stan ekonomiczny, jego usposobienie religijne, jego oświatę i naukę, jego obyczaj i życie domowe. Stąd wynika, że jego historia jest nie tylko przedstawieniem faktów, ale i obrazem całego cywilizacyjnego i politycznego stanu epoki.

3. Ta zaś bystrość i przenikliwość, ta rzadka zdolność odtwarzania przeszłości, łączy się u niego z dalszym a niemniej cennym przymiotem, z duchem publicznym i patrioetycznym. Miłość ojczyzny — tem dziwniejsza u niego, a dla nas tem droższa, że ze krwi i pochodzenia nie był Polakiem i miał prawo jej nie mieć — przejmując na wskroś i ożywia swoim ogniem i duchem każdą kartę dzieł Szajnochy. Nikt z większym od niego zapałem i zachwytem nie kocha wielkich czynów i wielkich ludzi przeszłości, nikt nie rozumie lepiej i nie podziela żywiej ich trosk i cierpień; nikt także nie boleje srożej nad tem, co w dawnej Polsce było złego i co ją do upadku przywiodło. To ostatnie zaś stanowi nową zasługę, nową i piękną cechę jego dzieł. Dawna historyografia polska miała zazwyczaj (nawet u wielkich historyków) rodzaj patriotyzmu panegiryczny; sławiła wielkie i dobre czyny lub strony narodowego charakteru, zle zbywała pobieżnie lub zwałała na indywidualia. Szajnocha pierwszy z naszych historyków współczesnych wydobyl na wierzch i ukazywał związek między psychologicznym usposobieniem narodu a jego

politycznem życiem; śmiało i surowo odkrywał różne złe skłonności polskie i wskazywał, jakie one pociągały za sobą złe skutki.

4. Wreszcie jego sposób pisania, jego dar plastycznego przedstawienia wypadków i ludzi. Kiedy za młodu sądził się powołanym do poezyi, mylił się; wielkich poetycznych darów nie miał. Ale miał poetyczne usposobienie, miał wyobraźnię dla poety nie dość twórczą, ale doskonale wystarczającą na to, by historyk przy jej pomocy widział wyraźnie ubiegłą rzeczywistość i malował ją lub opowiadał o niej z życiem. Ten przymiot życia, kolorytu i nadawania życia kreślonym postaciom czy wypadkom, nie wielu historyków świata miało w tym stopniu co Szajnocha, a z historyków polskich żaden nie dorównał mu pod tym względem.

Ze wszystkich naszych historyków Szajnocha jest najpowabniejszym, najponętniejszym do czytania, prędzej i silniej niż każdy inny zajmie czytelnika, opanuje jego wyobraźnię, zapali go szlachetną ciekawością własnych dziejów i ich miłością. Że zaś czytelnikowi temu podaje tylko rzetelną prawdę, więc daje mu i prawdziwe wyobrażenie o dziejach, istotną ich znajomość. Zajęcie wyobraźni i poruszenie uczucia służy i pomaga do tego, żeby w umyśle wiedzę zaszczerpić i złożyć jej pierwiastki i zarody.

Jakiegokolwiek będą dalsze losy historyografii polskiej, Szajnocha jak jest dotąd, tak zostanie w niej zawsze jedną z największych postaci, jedną z jej świetnych chwał, ozdób i względem narodu zasług.

Z e s z k i ó w h i s t o r y c z n y c h .

Zdobycze pluga polskiego.

Z dwóch przeciwnych rysów charakteru narodowego lubili zawsze chwaleni być Polacy — z rycerskości i z zamiłowania w rolnictwie. Jakoż panowały w istocie obydwie te zalety bardzo widocznie w historii i w codziennem życiu narodu, ale nie zostawiły obie równie widocznych rezultatów po sobie. Ochota rycerska przyozdobiła szlachtę polską wawrzynami wielu głośnych po świecie zwycięstw, ocaliła niejednokrotnie kraj i sąsiadów, czyni po dziś dzień każdego z Polaków cząstkowym spadkobiercą wielkiej niegdyś sławy wojennej. Jakież godne pamięci rezultaty przyniosło tak powszechne u nas rozmiłowanie w życiu wiejskiem i zajęciach rolniczych?

Najbliższą tego wynikiłością byłoby znaczne udoskonalenie rolnictwa jako sztuki — lecz w tej mierze historia wcale smutnej uczy nas prawdy. Pomijając czasy i marzenia starosłowiańskie, nie byliśmy nikomu mistrzami w sztuce rolniczej, a dwa ostatnie wieki Rzeczypospolitej przedstawiają rolnictwo w nader opłakanym stanie upadku. Jeżeliby nasz przyrodzony pociąg do pracy około ziemi miał nas znie-

chęcać do zatrudnień innego rządu, mianowicie odejmować nam serce i uzdolnienie do zajęć przemysłowych, natenczas ta skłonność sielska okazałaby się w ostatnich wynikłościach raczej szkodliwą niż zaletną. Nawet wychwalane nieraz zaopatrywanie głodnych ludów zamorskich płodami ziemi polskiej nie rozstrzyga stanowczo powątpiewania. Umniejszony bowiem w dwóch ostatnich wiekach handel zbożowy sprowadzał w rzeczywistości bardzo mało złota do skarbców naszych, a niezasilone rolnictwem ubóstwo materyalne po zejściu dynastji Wazów przyczyniło się w wysokim stopniu do katastrofy późniejszej. Przy tylu zaś przeciwnych rolnictwu naszemu względach czemuż ono ostatecznie zasłużyło się dziejom?

Aby odpowiedzieć na to, wypada przedewszystkiem przypomnieć z historyi wielką niejednostajność, jaką pod względem uprawy ziemi i zaludnienia przedstawiały w różnych epokach dawnego państwa polskiego różne jego prowincye. Rzecz to równie powabna jak trudna do podjęcia, i dopiero w połowie historycznego istnienia naszej ojczyzny, t. j. około czasów Kazimierza W., mnożą się rysy do takiego obrazu.

Wówczas cała przestrzeń szerokiego państwa Piastów i Jagiellonów dwa dziwnie różnobarwne ma lica. Zachodnie strony: Krakowskie, Sandomierskie, Mazowsze, Wielkopolska i Prusy zasiane są wsiami i miasteczkami, roją się tłumną ludnością, brzmia gwarem pracy we wszystkich zawodach życia. Starożytne nadania i konfirmacye kościelne z wieków XII i XIII wyliczają nam prawie tężsamą ilość wiosek w dobrach arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, biskupstwa krakowskiego, opactw tyńckiego, jędrzejowskiego i innych, jaką tamże widzimy we wszystkich czasach następnych. W porównaniu z odwieczną mnogością tych zachodniopolskich siól i miasteczek cóż za pustynia we wschodnich stronach państwa — w tak zwanej Rusi Czerwonej, na Podolu i w Ukrainie!

Tam oprócz kilkunastu starodawnych grodów stołecznych zaledwie tu i ówdzie rzadkie miasta i zamki, opasane niewielkimi wyspami nieco osiadlejszej krainy. Zresztą puste wszędzie obszary, nieprzejrzane błonia o czerwcowym krzewie w Rusi halickiej, odludne jary z tatarskimi gdzieniegdzie zgliszczami na Podolu, i trawne oczerety a stepy ukraińskie. Stąd kiedy władającym tu królom polskim przyszło wydzielać darowiznę ziemską w tych stronach, był to zazwyczaj ogromny kawał pustego kraju, na którym później stanąć miały przemnogie wsie i miasteczka.

Nieznany w dziejach sługa Kazimierza W. Stanisław ze Strozysk otrzymał od pana swego w r. 1362 Rzeszów z całym obszarem ziemi dookoła. Nieco dalej nad Dniestrem, wojewoda krakowski Spytko z Melsztyna posiadał około 1390 r. darem Władysława Jagiełły całą późniejszą Samborszczyznę od Dobromila aż ku Stryjowi. Syn Jagiełłów Władysław obdarzył w r. 1441 zasłużonego w walkach z Tatarstwem rycerza Janna z Sienna starodawnym Oleskiem z całym przyległym powiatem, roszczącym sobie w następnych czasach prawo do godności i nazwy księstwa. Ów Samborszczyzną uzamożniony wojewoda Spytko Melsztyński wziął następnie prawdziwe księstwo podolskie z dalekimi ziemiami i grodami, za które wzajem położył niebawem życie w zapasach z Ordą. Lada chudopachołek z Mazowsza lub Wielkopolski dosługiwał się kawałka ziemi na Rusi albo kupował go za bezcen i osiadał na nowym gruncie.

Tylko nadania w okolicach ludniejszych i uprawniejszych budziły zazdrość dawnych krajowców — darowizny pustych obszarów bywały istotnem dobrodziejstwem dla sąsiadów i całej ziemi. Dzięki bowiem gospodarczemu zmysłowi nowych osadników polskich, szły nietknięte stopą ludzką zarosła copędzej pod uprawę, gromadziła się zwołana zewsząd czeladź do pracy około nowego gospodarstwa, przymnażało się całej okolicy rąk do pomocy i ratunku w razie potrzeby. Puste niedawno przestrzenie zaczęły porastać zwolna wsiami i miasteczkami.

Takim sposobem osiedlili się z kolei Rus Czerwona, Podole i Ukraina. Dopomagała temu dziełu ludność najrozmaitsza, różnemi drogami i sposobami garnąca się w bezludne pustkowia Rusi. Na gęsto rozdawanych jej łanach osiadali pomiędzy krajowcami Wołosi, przybysze z Węgier, Ormianie, nawet Serbowie. Największa jednak liczba nowych właścicieli i uprawiaczów ziemskich składała się z Polaków. Przybywali oni jako wielcy donataryusze rozległych włości i jako szlachta uboga, pragnąca osiedlenia się na lada chudopacholskiej zagrodzie.

Zwłaszcza z przepelnionego drobną szlachtą Mazowsza napłynęły na Rus z Jagiełłą i panującym na Bełzie Ziemowitem Mazowieckim roje takich chudopacholskich osadników. Wszystkie dokumenta ówczesne poświadczają niezmierną ich mnogość i skrętność w ziemiach ruskich. Oni też głównie rzucili się do rolnictwa, uprawiali ziemię ruską do wydania złotego plonu czasów późniejszych. Kiedy reszta współmieszkających tu ludów zazwyczaj czem innem się trudniła, kiedy Niemiec najchętniej wójtował po miastach i miasteczkach,

Ormianin wypasał trzody, Tatarzyn rzemiosłami się bawił, Żyd ulubioną prowadził lichwę — sami Polacy z rzadką ludnością rodzimą pracowali w pocie czoła około roli.

Wielcy panowie polscy folgowali swojemu zamiłowaniu w rolnictwie, gospodarując na wielką stopę, zwołując zewsząd gromady osadniczej ludności, wydzielając mniej zamożnej szlachcie pomniejsze posiadłości, zakładając wsie i miasteczka. Drobną szlachtą własną ręką grzebała w ziemi, karczowała zarośla, tylko swoim obowiązkiem do obrony kraju wyróżniona od chłopca. Wiele z owych wiosek drobnoszlacheckich wzdłuż całego pogórza Karpat powstało z wydzielonych pojedynczym żołnierzom kawałków ziemi, na których rozrodzona z nich dziatwa rozbudowała się później w dzisiejsze wsie szlacheckie. Zapewne nieporównanie większa liczba osad województw ruskiego i bełżkiego urosła pod ręką takich wielkich i małych miłośników rolnictwa z dalszych stron Polski, przez stopniowe rozszerzenie się zajętych uprawą gruntów, zakładanie nowych folwarków, rozsadanie ludności rolnej na coraz odleglejszych pustkowiach.

Ale historii takiego uprawienia i zaludnienia naszych stron ruskich łatwiej życzyć sobie niż doczekać się rychło. Prawie żadna z dzisiejszych wsi i wiosek nie zna daty założenia swojego. Napróżno pytałbyś dzisiejszych jej mieszkańców i właścicieli, kiedy powstała, kto ją założył, skąd się wzięła jej nazwa? Tylko niektóre miasteczka posiadają dokumenta fundacyi i jakątąk znajomość swoich początków. One też jedynie mogą posłużyć za wskazówkę w badaniach stopniowej uprawy okolic naszych. Nim to lub owo miasteczko nastąpiło, nie było też wsi dokoła. Dopiero przymnożenie się ludności i osad w pewnym okręgu wywołuje potrzebę miasteczka z odbywającymi się w niem targami, z jego przemysłem i rzemiosłami. Skoro w której okolicy lokuje się miasteczko, znak to urośnięcia sąsiedniej ludności i uprawy ziemi do tego stopnia, iż osadnicy mają coś sprzedać na targu i potrzebują kupić czegoś w miasteczku. Dopóki wymagania tego rodzaju nie dadzą się uczuć mieszkańcom, trudno spodziewać się miasteczka w okolicy. Przynosiło wprawdzie zakładanie miasteczek znaczne korzyści założycielom i bywało niekiedy z tej przyczyny podejmowane nazbyt skwapliwie. Nigdy jednak nie można było myśleć o założeniu miasteczka bez dostatecznej ludności sielskiej w pobliżu.

Stąd mnożenie się osad miejskich jest nam bardzo wiarogodną miarą wzrastania wiejskich i uprawy rolnej całego kraju. Przypatrzmy się zaś dzisiejszym miastom i miasteczkom czerwonoruskim, jakże późno powstały prawie wszystkie z małym wyjątkiem! Z trzynastu

większych miast dzisiejszej austriackiej Galicyi, które niegdyś należały do województwa ruskiego, bełzkiego i podolskiego, tylko trzy stare grody: Lwów, Przemyśl i Sanok, znane były jako miasta za Kazimierza W. Wszystkie inne nastąpiły dopiero za dalszych rządów polskich, po większej części na całkiem pustym gruncie.

I tak Rzeszów i Stryj były małemi osadami, z których ostatnia dopiero za Władysława Jagiełły w r. 1431 nową otrzymała lokacyę. W miejscu dzisiejszego Sambora stało spustoszone sioło Pohonicz, na którego gruncie wojewoda Spytko z Melsztyna około roku 1390 założył miasto Sambor. Złoczów należał w wieku XV-m jako wioska do dóbr oleskich, i wznosił się dopiero za Sienieńskich, Górków, Sobieskich Tarnopol winien swój początek sławnemu hetmanowi Janowi Tarnowskiemu, założycielowi miasta w r. 1540. Brzeżany urosły w miasteczko dziesięciu laty pierwej za staraniem Sieniawskich. Żółkiew założył hetman Żółkiewski, około roku 1597 na gruntach wsi Winniki. Trzeci z hetmanów-założycieli Stanisław Rewera Potocki, około r. 1654 zbudował na gruntach wsi Zabłocie miasteczko Stanisławów. Za Czartkowskich nastąpił Czortków roku 1522. Zaleszczyki wzniosły się dopiero w ciągu wieku XVIII, pod rządem rodziny Poniatowskich.

Ledwie też nie każdy z dawniejszych rodów polskich przyczynił się do uprawienia i zabudowania ziem ruskich fundacyą jakiegoś miasteczka. — Tęczyńscy np. w r. 1605 założyli Toporów, około 1560 Podgrodzie w pobliżu Rohatyna. — Sieniawscy oprócz Brzeżan r. 1552 wzniesli Prokopów czyli Wojniłów, 1549 Kałusz, 1578 Tustań czyli Chorostków, 1576 Oleszyce, około 1676 Sieniawę. — Zamoyscy r. 1580 Zamość, 1615 Tomaszów, niegdyś Rogoźno, 1588 Krzeszów. — Tarnowscy oprócz Tarnopola zbudowali około roku 1548 Tarnogorę. — Żółkiewscy przed założeniem Żółkwi dali około roku 1584 początek Brodom. — Potoccy oprócz Stanisławowa założyli 1553 Suchostaw czyli Jabłonów, około roku 1570 Potok, 1676 Tartaków, około 1692 Krystynopol, 1715 Kuty. — Herburtowie ufundowali 1515 Podkamień, 1538 Kukizów, 1566 Dobromil. — Żórawińscy 1489 Bukaczowce, 1563 Jaryczów, około 1563 Żurawno. — Lipsy 1607 Bełzec, około 1620 Lipsko w Żółkiewskim. — Łaszczowie 1503 Strzemilcze, 1549 Łaszczów, niegdyś Domanysz. — Tarłowie 1570 Mikołajów. — Fredrowie 1580 Niemirów. — Firleje 1570 Firlejów. — Reje 1547 Rejowiec — Jordanowie 1595 Mikulińce. — Sienieńscy 1504 Pomorzany. — Jazłowieccy 1559 Barysz. — Miełecy 1548 Ujście nad Dniestrem. — Strusiowie Strusów. — Opa-

lińscy 1638 Opalin. — Maciejowscy 1557 Maciejów. — Płazowie 1615 Płazów. — Pileccy 1569 Sokołów.

Pozostawałoby jeszcze do wymienienia kilkadziesiąt innych fundacji miejskich między Sanem, Bugiem a Zbruczem za rządów polskich. Z tych przynajmniej znamienitsze niech nam wolno będzie przypomnieć w porządku chronologicznym. Roku 1397 powstał Leżajsk, 1400 Hrubieszów, 1420 Dunajów, 1424 Sokal, około 1431 Mrzygłód, 1431 Radymno, 1455 Rawa, 1471 Komarno, 1471 Kamionka Strumiłowa, 1510 Żurów, 1515 Uhrynów, 1516 Założce, 1525 Husaków, 1530 Borek, 1538 Waręż, 1549 Budzanów, 1549 Mosty wielkie, 1559 Husiatyn, 1571 Rozdół, 1588 Dubienka, niegdyś Dębno, 1588 Korytnica, niegdyś Wręby, 1591 Magierów, 1610 Baligród, 1611 Janów, 1615 Sasów, 1619 Kasperowce czyli Lutomirsk, po 1665 Uściczko nad Dniestrem, 1672 Wielkie Oczy i t. p.

Tyle miast i miasteczek przybyło województwom: ruskiemu, bełzkiemu i jednemu powiatowi Podola w przeciągu trzech wieków pod rządem nowych dziedziców polskich. Zenitem tej skrętności kolonizacyjnej był wiek XVI, wzmagająca się ona w wieku XV, upadła w wieku XVII. Każde z licznie powstających miasteczek urastało z zasiłku i podniety nierównie liczniej powstających wiosek dokoła. Ież tych osad wiejskich mnożyło się wówczas tysiącami po całym kraju, lubo żadne dokumenta fundacyjne nie podają nam ani daty ich nastania ani nazwisk założycieli. Byli nimi w największej części owi zamiłowani w rolnictwie przybysze szlacheccy z dalszych stron Polski, którzy nie tyle z ubóstwa, ile raczej z niechęci ku innym zajęciom życia, a z wrodzonego pociągu do pracy na zagonie cisnęli się tłumnie w strony województw ruskich, i zapewne w nierównie większej połowie rękoma swojemi je przeorali, sprowadzoną przez siebie czełdzą zaludnili, założonemi swoim staraniem wsiami i miasteczkami zabudowali.

Co więcej — gospodarcza ta przedsiębiorczość nie ograniczyła się na poblizsze Wiśle województwa ruskie i bełzkie, czyli na dawną Ruś Czerwoną. W miarę jak ona coraz ciaśniejszą i mniej wygodną stawała się dla osadników, zaczęto zwracać uwagę na puste jeszcze ziemie dalszej Rusi, podolskiej i ukraińskiej. Jakoż w tym samym czasie, kiedy kolonizacya stron naddunajskich znacznie mniejsze czyniła już postępy, rozwinął się na całej przestrzeni między Zbruczem a Dnieprem nadzwyczajny ruch osadniczy, przeciągający się od początków wieku XVII aż w drugą połowę XVIII. Dokonane wówczas dzieło zagospodarowania bezludnej Ukrainy było w głównej części

podobnie szlachty polskiej zasługą, i jeszcze dobitniej niż uprawa Rusi Czerwonej świadczy o historycznych rezultatach jej gorącego zamiłowania w rolnictwie. Osiedlenie bowiem Podola i Ukrainy miało do zwalczania nierównie większe trudności niż rolnictwo w ziemiach województwa ruskiego. Jedną z głównych przeszkód była sama bliskość Tatarstwa. Jeżeli daleka Wielkopolska nie знаła wcale zagonów krymskich, jeżeli powiaty województwa ruskiego tylko co lat kilka doznawały tej plagi, tu na kresach ukraińskich toczyła się nieustająca walka między nowymi osadnikami, a najeżdżającym ich z pobliza Tatarstwem pogranicznym. Były to napady każdodziennie, w małych zwyczajnie podejmowane garstkach, często przez kilku albo jednego opryszka tatarskiego na tyłuż chrześcian. Nie mogli z tej przyczyny osadnicy ukraińscy wychodzić po jednemu do pracy w polu, lecz musieli stawać gromadnie, nigdy bez rusznicy lub innej broni. Nadaowało to osobliwszego uroku tej rolniczej zabawie ukraińskiej, zaprawiającej w równym stopniu do pługa jak do oręża. Ostatecznie atoli doznawało osiedlenie Podola i Ukrainy niezmiernego stąd utrudnienia i musiało nawet dwukrotnie być ponawianem.

Pierwszy raz ukolonizowali nasi miłośnicy rolnictwa szeroką Ukrainę w kilkudziesięcioletnim przeciągu czasu przed wielką wojną kozacką za Chmielnickiego — drugi raz po zupełnem spustoszeniu Ukrainy wskutek tej wojny, w drugim kilkudziesięcioletnim okresie między rozejmem andruszowskim roku 1667 a połową następnego stulecia. Pierwsza z tych pamiętnych, lub niedość powszechnie znanych epok kolonizacyjnych przypadła w porę ubezpieczenia wschodnio-południowych stron Polski od zagonów tatarskich orężem kilku walecznych wojowników, mianowicie nieśmiertelnej pod tym względem pamięci Stefana Chmielnickiego i hetmana koronnego Stanisława Koniecpolskiego. Pod ich potężną opieką, za pieczołowitem staraniem króla Zygmunta III, a jeszcze bardziej jego syna Władysława IV, zaczęły pustkowia ukraińskie z trudną do pojęcia szybkością napełniać się ludem i osadami. Składały się na to usiłowania wielu najrozmaitszych żywiołów, gospodarza ochota szlachty z Polski i z Litwy, napływ wabionego przez nią ludu wiejskiego ze wszystkich okolic kraju, praca zawezwanych ku pomocy cudzoziemców uczonych. „Ja sam“ — mówi w swoim opisie Ukrainy zatrudniony tam przez króla Władysława inżynier francuski Beauplan — „założyłem na Ukrainie przeszło 50 wsi, z których następnie do 1000 osad urosło“.

Na każdym pustkowiu zakładano z niezmierną skwapliwością nowe wsie i miasteczka, nie zważając, na czym właściwie gruncie,

nie otrzymawszy upoważnienia od króla. Bywało to powodem wielu nadużyć i odbywały się w pismach i na sejmie głosy doradzające, „aby prawem zakazane były wszelakie osady w dzikich polach, tj. wszelkim ludziom prywatnym, bez danego przywileju na to“. Nastąpił wkrótce osobny rodzaj procesów o dorywcze zakładanie osad na cudzym gruncie. W jednej z takich spraw trybunalskich hetman w. koronny Koniecpolski, zapozwał księcia Wiśniowieckiego o 40 miasteczek, zbudowanych przez księcia na pustej przestrzeni ziemi, która później okazała się przyległością hetmańskiego starostwa Perejasławia.

Cały owszem nieszczęsny bunt Chmielnickiego wynikał pierwotnie nie z odjęcia mu jego ojczyznej wsi Subotowa, lecz ze sporu o taką nowo przezeń założoną osadę, czyli slobódkę, której jako na gruncie niewłasnym osiedlonej, pozbawił go chciwy podstarości Czaplński. Procesy takie toczyły się swoim torem, a Ukraina aż do krwawej wojny Bohdana — „wszystka niemal w polach dzikich i na samych szlakach tatarskich wsiami i miasteczkami pozasiadywała“ — mówi współczesny Jerlicz. „Niegdyś za królów Kazimierza i Alexandra Jagiellończyków“ — czytamy w jednym z dzisiejszych pisarzy małosyjskich, Kuliszu — „kiedy komu posiadłość ziemską wydzielano na Ukrainie, wymieniały dokumenta nadawcze na całej przestrzeni między Siniuchą a Tykiczem, tudzież od brzegów Rosi aż do ujścia Taśmina, nie więcej jak jednego lub dwóch poddanych; w dalsze zaś 100 lub 150 lat znajdujemy całą tę stronę już wielce zaludnioną“.

Tenżesam pisarz rosyjski daje nam bardzo zajmujący obraz powtórnego osiedlenia Ukrainy przez szlachtę polską po zaburzeniach kozackich za Chmielnickiego. Kilkunastoletnia wojna domowa w spółce z Ordą tatarską, równie ciężką Ukrainie w roli sprzymierzeńców, jak niegdyś w roli najeźdźców, przywiodła całą od niedawna zabudowaną krainę napowrót do zupełnego opustoszenia. Wielokrotnie przez wojska polskie i Kozaków zdobywane miasta i zamki legły w gruzach, sioła zamieniły się w zgłiszcza. Sami Tatarzy przeszło milion spokojnego ludu rolnego uprowadzili w jasyr do Krymu. Nadto osobnym punktem rozejmu andruszowskiego zawarowano, aby pewną przestrzeń pogranicznej ziemi między Polską a Rosją pozostawić na zawsze pustką. Takim sposobem najpiękniejsze wybrzeża Dniepru, wzdłuż dzisiejszych powiatów: czechryńskiego, czerkaskiego i kaniowskiego, skazane zostały na wieczystą bezludność. Dalsze rysy tego smutnego obrazu i nowych na jego tle usiłowań kolonizacyjnych naszej szlachty na Ukrainie, bierzemy z samejże książki przytoczonego tu pisarza rosyjskiego.

skiego, który niepodejrzaniem świadectwem swoim najlepiej poprze nasze twierdzenie.

„Wszystek tedy kraj ukraiński“ — opowiada dalej p. Kulisz — „obrócił się w pustynię. Wiemy to z kroniki Wieliczki, który ciągnąc w r. 1705 z Kozakami od Korsunia i Białej Cerkwi na Wołyń, przerażony był bezludnością zachodniej Małorusi... Nie zgadzałoby się przecież z porządkiem rzeczy w naturze, gdyby ziemia tak szczerze uposażona od Boga miała zostać długo pustkowiec. Skoro też ucihły w niej burze wojenne, skoro tylko zazieleniła się trawa na popieliskach, natychmiast znowu zjawił się na nich człowiek. Wszyscy dawniejsi mieszkańcy zachodniej Ukrainy, których nie przedzielały od niej brzegi Dnieprowe ani powstrzymywała przemoc człowieka. Wszyscy cali na drogą sercu ojcowiznę i macierzyzną. Posiadacze ukraińskich starostw i dóbr prywatnych przypomnieli sobie dawne prawa swoje i nadsyłali ze swego ramienia urzędników, podstarościch, ekonomów, leśniczych — z początku jedynie dla objęcia osierociałych ziem, później dla zakrzatnienia się około nowej uprawy i kolonizacji. Wiele rodzin szlacheckich miejscowego pochodzenia, ocalonych bądźto w głębokiej Polsce za Wisłą, bądź w spokojnem Polesiu, przyprowadzało z sobą w strony rodzinne poddanych, którzy po części składali się z ukraińskich wychodźców na Polesie, po części zaś z rodzinnych Poleszuków, i ich-to wioseczki pojawiły się najpierw na pobrzeżu Dnieprowem. Mowa tu głównie o stronach wyższej Ukrainy, około Kijowa i Berdyczowa, gdzie od dawna trzymała ziemię szlachta średniej fortuny, jak Zalescy, Bieżyńscy, Proskurowie, Olizary, Tyszowie, Bykowsy i inni. W południowych zaś i wschodnich częściach przednieprskiej Ukrainy, rozciągały się prawie bez wyjątku ziemie starościńskie i szerokie włości magnackie. Humaniejszyzna poszła od Strusiów do Potockich, Śmiliańszczyzna od Koniępcolskich do Lubomirskich, a w tych ogromnych posiadłościach, gdzie panowie i właściciele nigdy osobiście nie przebywali, osiedleniem ziem i urządzeniem gospodarstwa zajmowali się oficjaliści i pełnomocnicy, podobnie jak właściciele górnych powiatów, sama szlachta herbowa. Do starostw, królewszczyzn i dóbr szlacheckich południowej i wschodniej części Ukrainy przednieprskiej napływała ludność zwolna tymczasem sposobem, bądźto z różnych kryjówek dotychczasowych, bądź z dóbr szlacheckich północnej Ukrainy. Dowiadujemy się o tem z mnogich procesów, które pod owe czasy toczyły się tu z przyczyny chłopów od pana zbiegłych“.

„Kulminacyjnym punktem tej kolonizacji ziem ukraińskich była połowa wieku XVIII, a najsilniej działała ona w Humanińszczyźnie pod bezpośrednim zarządem Salezego Potockiego, wojewody kijowskiego. W dobrach Lubomirskich i w starostwach Sanguszków, Jabłonowskich, Potockich, tudzież innych, najskuteczniejszym środkiem osiedlenia ziem pustych okazało się rozdawanie szlachcie praw i gruntów na zakładanie osad. Otrzymywano prawa takie bez najmniejszej trudności i ubiegało się o nie niemało ochotników, bądźto z pomiędzy samychże rządców tych włości, bądźteż z dzierżawców części pomniejszych, wreszcie z różnej przedsiębiorczej szlachty, garnącej się na Ukrainę z głębokiej Polski. Zgłaszali się nadto o takie ziemie wojskowi z oddziałów, stale na kresach Ukrainy konsystujących, a stąd partya ukraińską nazwanych. Ci wojenni ludzie, nawykawszy do stron tutejszych, pozbywali się chęci powrócenia do domu i, korzystając ze swobody zajmowania się czemkolwiek obok swoich obowiązków wojskowych, zakładali pospolicie zagrody i zaprowadzali w nich stałe gospodarstwa, niezdała od stanowisk chorągwi swoich. Wszyscy założyciele osad winni byli przedewszystkiem myśleć o zwabieniu ku sobie ludzi, po których zebraniu się nowa osada nie wzrastała nigdy inaczej jak na prawach slobody, to jest uwolnienia od wszelkich powinności i danin na pewną liczbę lat. Zazwyczaj obwoływali założyciele taką nową slobodę na różnych miejscach tłumnego zgromadzenia się ludu, na jarmarkach, u przepraw rzecznych, na cerkiewnych i klasztornych praznikach — gdzie różnemi obietnicami przynęcali do siebie ludzi. Rozumie się, iż gospodarz zamożny nie dał się uwieść wołaniem na slobodę. Lecz w każdym siole bywały sieroty pokrzywdzone od starszego rodzeństwa — byli utratnicy, którzy ostatni szczątek mienia z rąk wypuścili — byli kochankowie obawiający się rozłączenia lub doznający prześladowania, było nakoniec wiele ludzi pragnących zmienić tryb życia. Wszystko to nadsluchiwało z radością obietnicom nowozakładających się slobód, jako hasłom do uwolnienia od wszelkich nędz i utrapień żywota codziennego. Zachowało się podanie z czasów osiedlenia Śmilańszczyzny, jakoby książe Ksawery Lubomirski kazał obwoływaczom slobód ogłaszać na jarmarkach, iż ktokolwiek przybędzie do niego z cudzymi wołami, on i takiego nie wyda i stanie za nim do prawa“.

„Kiedy takim sposobem wzdłuż całego Dniepru, na starych popieliskach i rozwalinach, w zacienu spokojnych, licznymi strumieniami zroszonych dolin, stanęły nowozałożone baraki, lepianki

i od ręki ciosane chaty, znalazło się także i za Dnieprem niemało ludzi, którzy zapragnęli korzystać z nieporównanie lepszych warunków poddaństwa u nowych właścicieli zachodniej Ukrainy. A ci nawzajem ślali ku nim przywabiające odezwy i ułatwiali im środki do przesiedlenia się. W ówczesnym stanie zarządu i pogranicznej kontroli na lewym brzegu Dniepru przechodzenie na polską stronę rzeki było wcale łatwym, jak teraz z gubernii do gubernii, a w następstwie tego kaniowskie, czerkaskie i czehryńskie pustynie napełniały się coraz bardziej i bardziej wychodźcami z przeciwnych siół i grodów rosyjskiej hetmańszczyzny. U rybaków dniewprowych przechowała się podziśdzień pamięć figur i krzyżów z zawieszonym na nich snopem żyta, cepem i sierpem. Wystawiano takie krzyże na wynioślejszych miejscach pobrzeża, a miały one znaczyć, iż ktoś zakłada tu slobodę i przywoływa osadników na pewnych warunkach i wolnościach. W moc takowych warunków uwalniano osadników zwyczajnie od wszelkich czynszów i powinności na pewien przeciąg lat, co właśnie nazywało się *slobodą* czyli *swobodą*. Aby każdemu przechodzącemu lub przejeżdżającemu jawno być mogło, na ile lat dana jest swoboda takiemu siólu, wbijano na wygonie słup na podobieństwo krzyża, w którego belce poprzecznej tkwiły kołki drewniane. Po upływie każdego roku wytrącano jeden kołek, a gdy wszystkie lata minęły, winni byli osadnicy płacić czynsz właścicielowi ziemi i odbywać niektóre powinności“.

„Obowiązki ukraińskich poddanych były nader łagodne. Do skarbu wnoszono tylko podymne, pańszczyznyznaczono najwięcej 12 dni do roku z każdej chaty, co ówczesnemu trybowi gospodarstwa aż nazbyt wystarczało. Zboża zasiewano bardzo mało, gdyż czarnomorski handel zbożowy nie istniał wcale podówczas, a dochody pańskie płynęły głównie z chowu bydła, z miodu, wosku, sadła, pędzenia wódki na małą skalę i t. p. Podstarościowie i inni oficyaliści pańscy wzbogacali się podarkami, które starodawnym zwyczajem składali im poddani, ilekroć jakakolwiek potrzeba powoływała kogo do dworu. Wzbogacano się także różnego rodzaju handlem, mniej lub więcej godziwym, osobliwie dostawianiem furazu wojskom rosyjskim, które natenczas stały bez przerwy wzdłuż granic Dniepru albo u samych kresów Turcyi. Prowadzono wreszcie handel wysyłanemi na Zaporozie w kraju prawie bajecznie urodzajnym, a szły drogo w zamian za konie i ogromne przynosiły korzyści. Takim sposobem szlachta sama sobą się bogaciła i ani w obyczajach ani w czemkolwiek innym

nie znajdowała pobudki do obciążania poddanych robocizną. Stąd w nader szybkim czasie dochodziły nowe sioła do stanu nadzwyczaj kwitnącego, a w następstwie tego kolonizacya kraju wzrastała jakby cudem. Wszystkie okoliczności współdziałały ku ubłogosławieniu doli mieszkańców. Ale jak każde młode społeczeństwo tak i Ukraincy nie znali troski o jutro, nie zbierali zapasów chleba i, ufając żyzności gleby, nie orali wcale na zimę. Zaczem zdarzało się nierzadko, iż nieurodzaj jednego roku nabawiał mieszkańców straszego głodu. W historyi uprawy ziemskiej i gospodarstwa na Ukrainie przedstawiają się nam dwie ostateczności — albo niezwykajnie nizkie ceny, albo całkowity brak chleba, głód, a nawet pomorek z głodu. Wszakże te nieszczęścia chwilowe pochodziły jedynie z ówczesnego stanu ziem ukraińskich i żadną miarą nie mogą być policzone na karb szlachty polskiej, która już po raz drugi uprawiała i zabudowała te strony⁴.

Toż samo powtarza p. Kulisz dwukrotnie w dalszym ciągu swego opowiadania, mówiąc o spustoszeniu kraju kozackimi wojnami za Chmielnickiego i burzą hajdamacką w drugiej połowie wieku XVIII.

„Kilkunastoletni okres niepokojów kozackich, nazwany u dziejopisarzów polskich *hosticum*, u naszego zaś ludu *ruiną*, obrócił zachodnią Ukrainę w istną pustynię, a w ciągu lat pięćdziesięciu polska i już całkowicie katolicka natenczas szlachta zamieniła ją znowu w ludną krainę. . . . Aż oto po niedługim czasie nowe najazdy zaporozkie, znane pod nazwą Hajdamaczyzny, zawichrzyły napowrót ziemię ledwie co tylko staraniem szlachty polskiej zagospodarowaną“.

Mniej wyraźnie zachowała się pamięć dawniejszego osiedlenia stron naddniestrzańskich przez ziemian polskich, ale sama istota czynu niemniej przeto jest pewną. Jak Ukraina tak i bliższe ku zachodowi ziemie halickie winne były największą część swej uprawy zamiłowanemu w rolnictwie szlachectwu koronnemu. Jak Ukraina tak i Ruś naddniestrzańska nie raz, nie dwa razy, lecz kilkakrotnie na nowo osiedlone zostały przez szlachtę polską. Ile razy bowiem częste zagony tatarskie, czyto na Ukrainie, czy na Podolu i w Haliczu, spustoszyły ze szczeniem kraj, rozpędziły lub w jasyr zabrały ludność, uprowadziły wszystko bydło z dobytkiem, w perzynę obróciły mieszkania — tylokrotnie potrzeba było nowego osiedlenia, nowych ludzi, nowych trzód bydła, nowej pracy około odbudowania spalonych chat i dworów. Wszystko przecież przemogła owa gorąca miłość zajęć rolniczych — wszystkiego dokazał ów pracowity pług

polski, który wraz z mieczem tak żywo ku sobie pociągał serca szlacheckie. Cześć więc orężowi i cześć pługowi naszemu, oba z chwałą dopełniły zadania i oba też zarówno na uznanie zasługują w historii.

Zastanawiając się nad tem historycznym powinowactwem polskiego miecza i pługa, lubimy przypominać sobie charakterystyczne słowa owego syna mieszczańskich rodziców z Biecza, który w szacie biskupiej posłował tyle razy od królów polskich do monarchów zachodnich.

„W stronach południowej Rusi“ — pisze nasz Marcin Kromer w drugiej połowie XVI stulecia — „już prawie więcej w używaniu jest dyalekt polski niż ruski, gdyż dla żyzności gleby i harców z Tatarami, chętnie tam osiadają Polacy“.

W jakże braterskiej zgodzie idzie tu zamiłowanie w rycerskości z zamiłowaniem w rolnictwie — oręż z lemieszem! Szabla czyniła sobie zadość, broniąc Rusi od Tatarów, lemiesz uprawiał ją i osiedlił. Oba żelazca okryły się w równej mierze wawrzynami w tych stronach, a zasługa lemiesza przyniosła nawet trwalsze owoce od orężnych.

Waleryan Kalinka.

Syn Andrzeja i Maryanny z Brzeskich, urodził się w Bolechowicach pod Krakowem w r. 1826. Szkoły i uniwersytet w Krakowie. Po ukończeniu nauk wstąpił jako aplikant do służby sądowej wolnego m. Krakowa i gotował się do egzaminów doktorskich, kiedy zaszły wypadki roku 1846. W tym skompromitowany, musiał uciekać za granicę. Przebył dwa lata w Brukseli; stosunki najbliższe miał z Lucyanem Siemieńskim i z generałem Skrzyneckim. W roku 1848 powrócił do Krakowa; dostał skromną posadę przy bibliotece Jagiellońskiej, a równocześnie wstąpił do redakcyi Cza s u. Było to pierwsze pole, na którym pokazała się jego zdolność publicystyczna. W roku 1851, zagrożony nowem prześladowaniem policyi, wyjechał powtórnie za granicę, a mianowicie do Paryża. Gdy wybuchła wojna krymska, postanowiono i zaczęto formacyę pułków polskich. Pułkownik Władysław Zamoyski pojechał w tej sprawie do Stambułu i nad Dunaj, a z nim Kalinka jako sekretarz. Jako skutek praktyczny z tego pobytu na Wschodzie przywiózł Kalinka znajomość cokolwiek lepszą Słowian południowych i myśl wprowadzenia unii kościelnej (z obrządkiem wschodnim) do Bułgarii. Starania, rozpoczęte już wtedy na miejscu i w Rzymie, miały ten skutek, że część Bułgarów połączyła się z kościołem (w roku 1860).

Po powrocie do Paryża zamyslał Kalinka pisać historję emigracyi i robił wstępne do niej studia, kiedy uznał (w porozumieniu z Julianem Klaczka), że pilniejszą potrzebą jest dokładne zbadanie stanu

różnych części Polski, dokładne o nim powiadomienie publiczności, wytykanie złego, a wskazywanie obowiązków i trafnych sposobów postępowania. Z tej myśli powstały Wiadomości polskie, pismo tygodniowe, którego naczelnym redaktorem był Feliks Wrotnowski, a głównymi współpracownikami Klaczkowski i Kalinka. Po r. 1863, kiedy wszelka czynność polityczna polska za granicą była niemożliwą i skończyć się musiała, zaczął studiować czasy Stanisława Augusta: a gdy szczęśliwym trafem znalazły się właśnie przywiezione do Paryża ważne do tego panowania dokumenta, Kalinka postanowił wydać je i opatrzyć stosownym wstępem. Tym sposobem powstało dwutomowe dzieło Ostatnie lata Stanisława Augusta (1868). Czując w sobie oddawna powołanie do stanu duchownego, zaraz po napisaniu Ostatnich lat wstąpił Kalinka do nowicyatu Zmartwychwstańców w Rzymie. Wyświęcony na księdza, zostawał tamże, zajęty sprawami zgromadzenia, z krótkimi tylko pobytami w Galicyi. W roku 1874 na 1875 wysłany do Bułgarii dla zwiedzenia szkół i misji katolickich, zostających tamże pod kierunkiem Zmartwychwstańców. W roku 1877 był w Jarosławiu kapelanem przy klasztorze zakonnicy; i tu zaczął pisać Sejm czteroletni, którego tom pierwszy wyszedł w roku 1880.

Po wydaniu pierwszego tomu, ksiądz Kalinka niespodzianie odwrwany został od tej pracy, a powołany do innej. Oddawna w życiu religijnem i politycznem Polski ze szczególną uwagą i troskliwością wskazywał unię kościelną, jako kwestyę jedną z najważniejszych dla obu tych życia kierunków. Zajmował się nią jeszcze jako człowiek świecki i dziennikarz, później jako zakonnik praktycznie w Bułgarii, a słowem i piśmem, gdzie tylko mógł. Gdy więc na życzenie Leona XIII, a z pozwoleniem Cesarza Franciszka Józefa, ksiądz Zmartwychwstańczy założyli we Lwowie zakład wychowawczy dla młodych Rusinów, ksiądz Kalinka jako najbardziej spraw ruskich świadomy, został przełożonym tego domu. Nowy ten obowiązek i neodłączne od niego trudy i troski, oprócz tego liczne posługi duchowne i miłosierne, zabierały mu bardzo wiele czasu. Tylko tak niezwalczona energia i pracowitość jak jego mogła wystarczyć na to, by oprócz tych zajęć rozlicznych pracę historyczną przeciw dalej prowadzić. Sejm czteroletni postępował mimo tych przeszkód; w r. 1886 wyszedł tom drugi, doprowadzający opowiadanie aż do ostatnich dni przed sesyą 3. maja.

Na tem też skończyła się praca księdza Kalinki, tak niezmiordowana i namiętna przez lat przeszło trzydzieści, że wyczerpała jego siły i złamała zdrowie. Od lat paru często cierpiący, w listopadzie r. 1886 zapadł na zapalenie mózgu, które skończyło się śmiercią 16 grudnia tegoż roku, we Lwowie.

Dzieła. Kalinka rozwinął działalność autorską w dwóch kierunkach: najpierw jako publicysta, następnie jako historyk.

1. Pierwszem dziełem, które zwróciło na niego uwagę ludzi znaczących na emigracyi, było: Galicya i Kraków (1853). Jest to obraz stosunków poddańczych, kościelnych i sądowniczych od roku 1772 do połowy naszego wieku, praca publicystyczna, napisana z talentem, lecz bez obiektywności historycznej. Tom drugi miał obejmować admini-

stracę, wychowanie publiczne i stan ekonomiczny. Generał Władysław Zamoyski, zachęcał autora do wykończenia tej książki i do opisanie w podobny sposób innych części Polski, kiedy wypadki udaremniły ten zamiar, a obu zwróciły do innych spraw i zajęć.

2. Do tego działu należy współpracownictwo Kalinki w Wiadomościach polskich. Artykuły jego poświęcone najczęściej wewnętrznym stosunkom i sprawom narodu, odznaczały się szczególną znajomością jego usposobień i jego stanu, znajomością praktyczną urządzeń i praw, wreszcie historyczną (a w potrzebie i statystyczną) dokładnością. Do cenniejszych należą: Listy o Królestwie, Listy o Rusi, Rząd rosyjski, Polityka rosyjska w Polsce, i Polska pod trzema rządami. Do historyi naszej w tym okresie czasu są to źródła i materiały nieocenione.

3. Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta (1764—1795). Tom drugi jest zbiorem dokumentów, odnoszących się istotnie do końcowych lat tego panowania (1787—1795) — ale pierwszy jest treściwym opowiadaniem tego panowania aż do roku 1787 (do zjazdu króla z Katarzyną w Kaniowie).

Kalinka przez to dzieło objawił się odrazu jako historyk pierwszego rzędu. Podał w niem w krótkości samą esencję tych dziejów, wszystko, co w nich ważne, stanowcze, rozstrzygające w położeniu narodu, wszystkie zwroty i zmiany, w tym przeciągu czasu dokonane, z powodami i wpływami, które je sprowadziły, ze skutkami, jakie one znowu w położeniu Rzpltej wywołały. (Strona dyplomatyczna historyi zwłaszcza, polityka zagraniczna, traktowana jest ze znajomością rzeczy i bystrością przedtem w naszej historyografii niewidzianą). Na tem tle dopiero rysują się postaci i charaktery ludzi, kreślone z dziwną przenikliwością i mocą; między tymi na szczególną uwagę zasługuje wizerunek Katarzyny i Stanisława Augusta.

Była też ta książka i oznaką nowego zwrotu w historyografii polskiej — tego, który chce wysledzić i wskazać bez wahania, co w przeszłości było złem, na to, by w terażniejszości z tego złego się leczyć, a w przyszłości w sobie go nie mieć. W tym samym czasie, nie znając się jeszcze i o sobie nie wiedząc, Kalinka i Szujski jednakowo zadanie historyi pojmowali i spełniali. Zarzucano im obu, że narodowi odbierają ufność w siebie, upokarzają go przed obcymi, cześć przeszłości i ojczyzny podkopują. Na te zarzuty odpowiedział Kalinka z góry przedmową do Ostatnich lat, której konkluzya jest ta, że żaden Polak nie czuje się mniej Polakiem, choć się dowie, co w jego ojczyźnie było złego; owszem każdy w tej boleści uczuje się tembardziej obowiązany służyć ojczyźnie i podnosić ją; a jak „całe prawo mają za sobą, tak potrzeba, aby całą prawdę stawiali przy sobie Polacy“.

4. Sejm czteroletni (1788—1791). W całej naszej literaturze historycznej niema książki boleśniejszej jak ta, ale też niema podobno takiej, któraby była doskonalej napisana. Bolesna jest nie tylko przez sam swój przedmiot i treść (dążenie narodu do dźwignięcia się z upadku, nadzieja a prawie pewność szczęśliwego skutku, i potem nagle upadek tych nadziei i drugi rozbiór) — ale boleśniejsza jeszcze przez to, że

WWEK

pokazuje otwarcie i bez ogródki wszystko złe, jakie było w ówczesnej Polsce pod względem moralnym i politycznym. Nie tylko zaś stwierdza to złe, które było zawsze znane i wiadome, ale wykrywa i dowodzi, że w najlepszych i najrozumniejszych ludziach tego czasu były wady charakteru, a w ich postępowaniu błędy polityczne. Tom drugi zupełnie jest pierwszego godzien, może od niego wyższy. Mianowicie cała strona dyplomatyczna ówczesnego położenia, przymierze pruskie, stosunek Rzpltej do Austrii, i zamiary Katarzyny, a oprócz tego wizerunki osób głównie działających, sprawiają, że nie wartość tej części dzieła, ale jej ciekawość jest może największa.

Po śmierci znalazły się w jego papierach pierwsze rozdziały rozpoczętego trzeciego tomu Sejmu. Jest w nich opisany sam dzień 3. maja 1791 i pierwsza po nim sesya, 5 maja. Jeżeli już nie mogło być, żeby historję sejmu doprowadził do końca — a sam mówił nieraz, że nie czuje się na siłach pisać o wypadkach roku 1792 jako zbyt bolesnych — to szczęście przynajmniej, że dzieje te doprowadzone są do stanowczej i napiętniejszej swojej chwili. Jasny rozkład i grupowanie faktów, oznaczenie każdego z nich w Jego doniosłości i stosunku do innych; sztuka pisania wreszcie i prawdziwy historyczny styl, który nigdy nie jest szumny a zawsze poważny, zawsze równie poprawny i szlachetny, rzadko kiedy dają się widzieć w tym stopniu doskonałości. Doskonała jako historia, jest ta książka zarazem jedną z najgłębszych nauk politycznych i moralnych, jakie mamy w naszej literaturze.

5. W ciągu pracy nad Sejmem powstał Żywot generała Chłapowskiego, biografia doskonała i rzecz można arcydzieło w swoim rodzaju, a prócz tego przyczynek ważny i nauczający do naszych porobiorowych dziejów.

6. Również w tym czasie napisana, lecz wydana dopiero w r. 1895 (w Przeglądzie polskim) rozprawa p. t. Królestwo kongresowe i związki tajne odznacza się temi samemi zaletami, co wszystkie dzieła Kalinki, a zawiera między innymi szczegółami wyborną charakterystykę Aleksandra I.

Charakterystyka. Jako umysł polityczny jeden z najgłębszych i najtęższych, jako historyk jeden z najlepszych, jako kapłan jeden z najgorliwszych, jakich mieliśmy kiedykolwiek, Kalinka w tych trzech kierunkach działający, a we wszystkich trzech znakomity, jak miał wielostronny i szeroki zakres działania i wpływu, tak może służyć za wzór doskonałego pełnienia wszystkich obowiązków, i być przez dzieła swoje dla potomnych radą, podporą i nauczycielem.

Z Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta.

Przedmowa (skrótowa).

Dzieło niniejsze, którego tom pierwszy czytelnikom podajemy, złożone z dokumentów dotąd nieznanych, dostarczyć może wiele światła do historii upadku Polski; objąć ma bowiem szereg zdarzeń

nierozzerwanym ciągiem po sobie idących, od zjazdu kaniowskiego aż do ostatniego podziału. Ważność tych pism czytelnik osądzi, spostrzegłszy, z czyjej wyszły ręki: są to korespondencye Stanisława Augusta, Katarzyny II i wiele najcelniejszych osób, w Polsce i w Rosyi naówczas żyjących; świadectwa tem szacowniejsze, że nie są opowiadaniem ułożonem po czasie, ale związane z życiem politycznym narodu, przedstawiają dokładnie myśl, zamiar i charakter piszących i działających razem. Jest więc ta publikacya znacznym nabytkiem historycznym i dla nauki korzyść przyniesie.

Ale inaczej może wypaść odpowiedź w umyśle niejednego czytelnika, jeśli stawi sobie pytanie, czyli druk dokumentów, wyjaśniających przyczyny upadku państwa polskiego, w dzisiejszej chwili również jest korzystny pod względem moralnym i politycznym, jak nim jest niewątpliwie pod względem naukowym? Nad tem pytaniem zastanowić się tutaj musimy, tem więcej, żeśmy i sami długo je w sumieniu ważyli i że od ludzi, których wysoko cenimy, z którymi łączy nas wiele wspólnych przekonań i uczuć i wiele lat wspólnej poświęconych pracy, słyszeliśmy zdania naszemu przeciwne. Sądzimy, żeśmy winni sobie, a bardziej jeszcze tym, których rady z żalem usłuchać nie mogliśmy, iżby wyraźnie powiedziane były powody, dla których te dokumenta ogłaszamy.

Ostatniem słowem świadectw historycznych, które z tej epoki były lub będą jeszcze ogłoszone, jest: że upadku swego Polacy sami są sprawcami i że nieszczęścia, które na nas spadły wówczas lub później, zasłużoną są przez naród pokutą. Ta prawda, aczkolwiek bolesna i wobec nieprzyjaciół naszych tak upokarzająca, była już nieraz powiedzianą; ale powtórzona dzisiaj, w chwili największego ucisku, jakiego naród doznał od dziesięciu wieków, nie na rozumowaniu pisarza oparta, ale nasuwająca się sama z dokumentów niewątpliwych i swą jasnością aż rażących, nabiera większego nierównie znaczenia i głośniejszem staje się wyznaniem. I te właśnie okoliczności, przydające wagi takiemu wyznaniu, były powodem zarzutów, które nas dochodziły i które zapewne jeszcze się odezwą.

„Szczerzy i zupełny obraz Polski pod koniec XVIII wieku (mówiono nam) może być pożyteczny jedynie dla tych, którzy tak gorąco pragną naszą przeszłość zbezczeszczyć i złamać nas widokiem naszych błędów; dostarczy broni przeciwko nam, a ich usprawiedliwi i stanie się (wedle pospolitego wyrażenia) wodą na ich młyn. Nie wszystkie prawdy można powiedzieć, nie każdy je zniesie i nie w każdym czasie; a jeśli przyznanie się do grzechów, w skrytości ducha czynione,

człowieka podwyższa, to jawne z nich oskarżenie się, prócz tego, że nigdy szczerem nie będzie, graniczy z bezwstydem i złością być może. Dziś naród potrzebuje wiary w siebie, nadziei w przyszłość, i wyrozumiałej dla wszystkich miłości; z wieków minionych nie jad gryzący, ale kojący balsam dziejopisowie dobywać powinni; a toby dowiódł, że upadku naszego przyczyną były własne i to wszystkich grzechy, ten odejście narodowi wszelką otuchę, ten go w oczach własnych zdepcie i poniży, ten go doprowadzi do rozpacz. Jesteśmy jakoby dzieci których matka śmiertelną złożoną chorobą. Choćby ta choroba z jej uchybień powstała, czyż to czas w tych uchybieniach się rozpatrywać? czyż samo uczucie synowskie nie nakaze raczej odwrócić od nich oczu, a o to tylko starać się, aby jej życie utrzymać? Rozbiór przeszłości trucizną będzie, a nie lekarstwem; odłożmy go do chwili wyzdrowienia. Wówczas on będzie pożądany, a nawet konieczny, aby ustrzec od powtórnej niemocy; dziś tylko matkę dobije! A wreszcie próżnem jest staraniem i czczą pretensją chcieć dzisiaj całą wykrywać prawdę. Jakiegokolwiek mogą być wagi ogłoszone dokumenta, więcej ich pozostanie w ukryciu, czekając właściwszej do druku pory. Zabraknie więc w tym procesie aktów i to najważniejszych może — i sąd taki w miejsce wiernego przedstawienia przeszłości stworzy tylko jeden więcej obraz żółciowy i fantastyczny!

Przy rozdarciu wewnętrznem, jakie w społeczności naszej panuje, książka podobna — mówiono nam z innej strony — stać się może nie nauką i upomnieniem, lecz źródłem kwasów i niechęci, otwartą kopalnią dla ducha stronniczego, który z luźnych dokumentów i oderwanych ustępów wyprowadzi wnioski, o jakich wydawca nie myślał. Wykazanie grzechów rodzin dawniej naczelnych posłuży za nowe do walki zarzewie i utrudni, może nawet niepodobną uczyni pracę publiczną dzisiejszym potomkom. Znajdą się ludzie, o jakich w partyach politycznych nietrudno, których głównym nieraz bodźcem w działaniu była zazdrość do swoich. Tacy pochwycają skwapliwie plamiące wspomnienia i w oczy je rzucają tym, którym dorównać nie mogą. A tak ostatniem słowem tej pracy może być skandal publiczny!... Lecz niedość na tem; zawiść możnych ku sobie, dziś szczęśliwie przygasa, odżyje na nowo i ci, co tak zacień podali sobie ręce w niektórych ziemiach polskich, rozejdą się po dawnemu, na swoje i kraju nie-szczęście. Tylko wyższe prawdziwie dusze czują się powołane wielkimi cnotami odbudowywać swe imię; większość ze zwyczajnych składa się ludzi; wznowiony obraz zeszlowiecznych płam odstręczy ich, zniechęci, do nieczynności sprowadzi, a może jeszcze w obce obozy przerzuci.

Dość już podobnych strat mieliśmy w latach dawniejszych; nie godzi się ich dzisiaj pomnażać i z pola służby narodowej spędzać, choćby najłżejszych pracowników! — Jeżeli zaś przeciwnie wypadkiem studyów będzie, że nie kilkanaście historycznych rodzin, jak dotąd mniej więcej utrzymywano, ale cała klasa, niegdyś w narodzie wszechwładna, przyczyną była naszej zguby, to ów wyrzut bolesny w tych właśnie ugodzi, których obecnie najbardziej ściga wróg zawzięty. Było pożytecznem, koniecznem nawet przypominać jej błędy w czasie, kiedy ta klasa używała i nadużywała całej pełni swych praw. Można jeszcze zrozumieć i później rzucane na nią pociski, dopóki dłużnikiem była niższych warstw narodu. Ale dzisiaj, gdy jak Łazarz odarta nie wie, co jej pozwoli z ojczyściej dochować spuścizny; gdy z starych szlachty polskiej przywilejów jeden tylko został przywilej męczeństwa; gdy dawną swą odkupując wyłączość, zdobywa ona blisko już od wieku własnem cierpieniem coraz to nowe obrońców narodowych rzesze: dzisiaj nie tylko roztropność, ale wdzięczność sama nakazywać powinna jej stare i nowe zasługi podnosić, a epokę skończoną i grzechy skończone jednym zresztą pokryć przebaczeniem!... .

Takie uwagi i zarzuty dochodziły nas w czasie, kiedy ta książka przygotowywała się do druku. Zbytecznem może dodać, że znajdowały w piszącym te słowa echo donośne i zaostrzały przykrość tych studyów, dość już z siebie bolesnych. Trudno rozbierać na zimno, z czem dusza zrosła od kolebki. Trudno też było ukryć przed sobą, że niejedno z tych wspomnień, które nanowo wydobywamy, zrani dotkliwie jakieś serce szlachetne, co może tajemny już ślub z Bogiem uczyniło i dobrowolną pokutą grzechy swych dziadów odplaca!... A jednak po walkach wewnętrznych i długich namysłach przyszliśmy do przekonania, że dokumenta wszystkie, skoro niewątpliwe i skoro służą do wyświecenia prawdy historycznej, drukować nie tylko można, ale i potrzeba.

Wyliczając powody, na których oparliśmy to nasze mniemanie, może nie od rzeczy będzie przypomnieć nasamprzód, do czego doprowadził system przeciwny i dążność tak długo u nas panująca zakrywania błędów, a podnoszenia nad miarę naszych cnót i zasług. Był czas, gdy pod bolesnem wrażeniem upadku Rzeczypospolitej naród, świeżym widokiem własnego nierządu zmęczony, przygnieciony słuszną naganą całej zachodniej Europy, zwątpił o sobie, o swym patryotyzmie, o swoim nawet męstwie wojennem, i w własnych przedewszystkiem oczach potrzebował się odrodzić. Stąd, gdy jedni na zachodzie, obok Francuzów, starą szablę polskiej odzyskiwali chwałę, drudzy widokiem

dawnej mądrości i zacności narodu usiłowali go pokrzepić. Wówczas to Czacki układał swą książkę o polskich i litewskich prawach, aby pokazać, że i w naszym prawodawstwie była niejedna rozumna ustawa, „którą możemy się chlubić“; wówczas Niemcewicz swem piórem malowniczym opisywał dzieje Zygmunta III, aby przypomnieć, że „i my także czemś byliśmy“: *et nos fuimus*; wówczas też poważne grono uczonych mężów, rozbierając między siebie historię szczęśliwszych Polski epok, pominęło z umysłu dzieje wieku XVIII. Ale szukając w przeszłości pokrzepienia, mężowie ci ani przed sobą ani przed narodem nie ukrywali ciężkich błędów i nierozumu, „co świetność minionych wieków splamiły“. — „Historya, pisał kilkoma laty wprzód Naruszewicz, ma ten przywilej, że umarli mogą mówić prawdę, żyjący słuchać jej bez urazy“; Czacki płakał, dyktując swe uwagi nad życiem ostatniego z Jagiellończyków, i w każdej podobnie książce ówczesnej, dawną opisującej potęgę, obok wytrawności sądu z głęboką nauką połączoną, czuć ból zacny a stłumiony, że tyle niegdyś cnót, tyle wysień, tyle wreszcie zasobów — wszystko tak marny wzięło koniec; żeśmy mogli być wielkim narodem, lecz dobrowolnie, zamiast wielkości, przodkowie nasi zostawili swym wnukom poszarpaną dziedzinę. — Wszakże wkrótce potem wyszły z pamięci te przestrogi. Jak po stracie drogiej nam osoby (że tu zacytuję słowa niedawno powiedziane) rychło ginie pamięć jej wad, a w duszy zostaje tylko żal niewysłowiony, tak i przeszłość nasza okazała nam się kochanką idealną, zakrwawioną, białym śmierci całunem okrytą. W jednej chwili zrodziła się nowa szkoła historyczna, której mistrzami byli odtąd poeci, słuchaczami dusze rozdarte boleścią. Przeniesiona do historii poezya krytyce już niedawała przystępu i złym musiała być doradcą w nauce, której odwiecznym warunkiem jest: *sine ira et studio*. Zawsze tylko przed oczy stawiając wielkie wspomnienia, a na epokę upadku rzucając zasłonę, owa poezya historyczna w coraz to wyższe, nadeuropejskie cnoty ubierać nas zaczęła, coraz to fantastyczniejsze naszej przeszłości nadawać kształty, kolory i blaski, aż skończyła na bluźnierstwie, zowiąc nas Chrystusem narodów! Słyszano i powtarzano takie zdania, że nie mogąc z całym światem wytrzymać zbrodni spółnictwa, sama święta i niepokalana, Polska w wieku XVIII dobrowolnie zstąpiła do grobu. — Kto sam się bóstwi na świecie, rzekł poeta, ten na odwrót swego szалу, odczłowiecza się pomału. Tak i my, podniósłszy zasługę narodu ponad wszelką miarę słuszności i rozsądku, bo aż do ubóstwienia własnego, póty nie zatrzymaliśmy się na tej drodze, dopóki nie zostały usprawiedliwione wszystkie nasze błędy, wszystkie instytucje

któremi państwo upadło, te właśnie instytucje, które naród, doświadczeniem ostrzeżony, sam pod koniec wieku zeszłego potępił najmocniej i stanowczo odrzucił. Dość przypomnieć, że i *liberum veto* i elekcyja królów, swawola szlachty i niemoc trybunałów kryminalnych, która w dawnej Rzeczypospolitej bezkarność, a z nią nowe nadużycia rodziła, znalazły swych apologistów. Za hasłem przez wielkich mistrzów danem, którzy w historii zamiast prawdy i rzeczywistości szukali ideału, znaleźli się niższego rzędu prozą i wierszem pisarze, którzy wielkość i czystość, *a priori* przyjęte, tam nawet ukazywać poczęli, gdzie ich najmniej być mogło. Bez krytyki politycznej, bez studyów, bez zagładania do krajowych źródeł, bez porównania dziejów naszych z obcemi. tworzone teorye szkołą się stały zarozumienia i zamętu wszelkich politycznych pojęć; sięgały nawet poza politykę, dotknęły najgłębszych moralnych i religijnych zasad. Bo gdy jedni twierdzili, że Polska jest Chrystusem narodów, drudzy z tem większą śmiałością twierdzić mogli, że jej powołaniem jest uzupełnić, wydoskonalić i nanowo objawić chrześcijaństwo!

I tak, gdy ciągle brzmiały tezsame pochwały, ciągle tezsame powtarzaliśmy błędy i, zanim znikły ślady jednego spustoszenia, już nowe na przyszłość zasiewaliśmy burze! Zaprawdę, w tem naszym gospodarstwie narodowem podobni jesteśmy do człowieka, co układając swój budżet nie tylko niewątpliwe, ale i spodziewane dochody jak najwyżej naznacza, a nie chce wcale spisać swoich długów ani przewidzieć wydatków: i cóż dziwnego, że nim rok upłynie, spotka go niedobór i że co rok część jego majątku przejdzie w obce ręce? Tak i nas od lat stu spotyka wciąż polityczny niedobór; a nie inna podobno tego przyczyna, jak ta, że wielbiąc zapał, męstwo i ofiarność narodu, ujemnym jego stronom przypatrzeć się nie chcemy...

Jak wydobędziemy się z tej ciasnoty, w którą zabrnęliśmy, kiedy brak nam odwagi otworzyć oczy? Tylko szczere w sobie samym rozpatrzenie się może nas ostrzec skutecznie i, co najpilniejsza, nowym stratom zapobieży. Tylko prawda od złudzeń nas uchroni i od rozczarowania; ona jedna da siłę potrzebną do walki z nieprzyjacielem i silniejszą od niego pokusą. A tym, co tak bardzo dla narodu lękali się prawdy i ostrożnie, w niedostrzeżonych w swej małości dozach, radzili jej choremu udzielać, odpowiemy, że właśnie ta osobliwsza homeopatya, przez naszych moralistów używana, może była przyczyną, że naród dotąd jest chory...

Ale (zapytują nas) jakież wrażenie robi ta prawda, z taką szorstkością wypowiedziana, dla wielu osobiście nieprzyjemna, dla

wszystkich bolesna? Azaliż nie zrazi, nie zniechęci, i już bardzo nieszczęśliwych do rozpaczcy nie przywiedzie? Azaliż godzi się dodawać otuchy wrogom Polski widokiem dawnego jej zepsucia? — Odpowiadając na te pytania, przedewszystkiem zaprzeczyć musimy, żeby jakiegobądź Polaka można dziś jeszcze od polskości odstręczyć czy widokiem plam, jakie ciężą na jego przodkach, czy też bardziej upokarzającym wyznaniem, że naród przy wadach, które miał w wieku przeszłym, nie mógł się ostać jako państwo niepodległe. Bezwątpienia, musiał ciężko przeboleć każdy, kto się o tem przeświadczył, ale nikt dlatego nie czuł się mniej Polakiem, mniej obowiązany służyć Ojczyźnie.

A w takim usposobieniu narodu polskiego niewątpliwem, niezachwianem i któremu żaden człowiek sumienny nie zaprzeczy, czy nie jest rzeczą pożądaną rozpatrzeć się w naszych błędach i w ich nieustannie bijącym źródle, w wadach naszego charakteru: rozpatrzeć się spokojnie, bez fałszywej a tak zgubnej dla nas samości? I czyż studjum to może być obojętne albo i szkodliwe? Jeżeli przed podobnym z sobą samym rachunkiem cofały się poprzednie pokolenia, to nasze od nich nieszczęśliwsze, a w swej wierności zaciętsze, może go odbyć z pożytkiem. Żelazo długiem wypróbowane ogniem wytrzyma uderzenia, którychby krucha nie zniosła ruda — i jeszcze twardszem się staje. — I czy doprawdy względ na Moskali ma nas wstrzymać? Mybyśmy przeciwnie myśleli, że nagłcem jest odjąć nieprzyjaciołom tryumf, że to oni dopiero ukazują nasze błędy i z ślepoty naszej mają nas wyleczyć. W owym sporze odwiecznym Polski z Moskwą jak całe prawo mają za sobą, tak potrzeba, aby prawdę całą stawiali przy sobie Polacy, choćby to w chwilową miało się zmienić niekorzyść i chwilowe przynieść poniżenie.

Ważniejszym wydaje się nam zarzut, że ogłoszenie dokumentów zeszłowiecznych pomnoży rozstrój w społeczeństwie polskiem. Gdyby w istocie tak być miało, bez wahania i na długo odłożylibyśmy całą pracę naszą. Bo lepiej nie znać przeszłości, niż przez nią przyszłość zamącać; bo próżną jest wszelka budowa i na nic się nie zda wszelki materyał tam, gdzie między robotnikami niema harmonii i pokoju; bo wreszcie najgorszą by to było dla narodu wróżbą, gdybyśmy z studyów nad historią upadku Rzpltej, zamiast upamiętania, mieli wynosić pochop do wzajemnych skarg na siebie. Ale i tutaj trzeźwy pogląd do innych wniosków doprowadzi niewątpliwie. Jak w całej Europie trudno byłoby znaleźć jakąś rodzinę świetniejszą, w którejby dziejach nie było przymroku — a to jej nie przeszkadza odbierać

od ludzi czci, na jaką obecnie zasługuje — tak i u nas, choć wiele imion przyćmił wiek XVIII, nie masz dzięki Bogu żadnego, któreby w naszym stuleciu nie odświeżało się i nie podnosiło pracą dzisiejszych potomków. Więc jak śmieszną byłoby rzeczą bez zasług osobistych szukać dla siebie uznania w moc wątpliwej po dziadach spuścizny, tak równie śmiesznem byłoby a nawet niecnem bez win osobistych potępiać ludzi, którzy krajowi służą pocziwie.

Błędem jest wreszcie mniemanie, iżby przedajność była tak przeważną naszych nieszczęść przyczyną. Zbyt niska to zbrodnia, i przy najmniejszym moralnem podniesieniu, prędko się naród z niej otrząsa i staje się niedostępnym dla wpływów tak nikczemnych. Nie jest też prawdą, aby u nas tylko była ona tak rozpowszechnioną. Przedawali się obcym Niemcy i Anglicy; przedajniejszymi byli od nas Szwedzi, a w Rosyi dziś jeszcze przekupstwo panuje tak wielkie, jakiego w Polsce nie było nigdy, nawet za najgorszych czasów. Nie upadły jednak te państwa; muszą więc być insze, głębsze przyczyny złego, które nas obaliło. Historycy, którzy tych przyczyn wciąż szukają w przedajności, którzy ten zarzut nieustannie, a z pewną uciechą podnoszą, świadczą tylko o sobie — że nic więcej nie powiemy — iż sami ani dziejów ani spraw publicznych ani serca ludzkiego nie rozumieją.

Źródłem naszej niemocy politycznej, a zatem i głównym, jeśli nie wyłącznym powodem upadku, były (wspomnieliśmy to już wyżej i każda karta niniejszej książki świadczy o tem wyraźnie) owe rozliczne niedostatki charakteru narodowego, które całej klasie wówczas rządzącej właściwe, znajdowały swój typ skończony w tylu głośnych pyszałkach od Zborowskiego i Zebrzydowskiego począwszy, a skończywszy na ostatnich Rzpltej hetmanach. W różnych czasach i w różnych ludziach ten sam charakter u nas się powtarza i już przez to samo zasługuje na rozbiór uważny. A nie powiemy, żeby to były studia należące jedynie do przeszłości, albo żeby się tyczyły jednej tylko klasy, dawniejszej szlachty: owszem, historyk sumienny, wciąż musi sobie stawiać pytanie, ażali te wady, które przez dwa wieki grób pod stopami naszej Ojczyzny kopały, dziś jeszcze nie utrudniają jej odrodzenia? Było to zasługą szlachty polskiej, że swą gorącą miłość Ojczyzny, swą rycerskość i do ofiar gotowość umiała przelać, wśród walki pogrobowej, w inne warstwy narodu; i widzimy też do lat z górą sześćdziesięciu z tych warstw podnoszące się bez przerwy postaci tak wysokie, że najczystszy typom polskiego niegdysz szlachectwa w niczem nie ustępują. Każdy dziesiątek lat ich przy-

mnażał, w każdej wojnie ich widziano, i dzisiaj na każdym polu służby publicznej jest ich tak wiele i tak znacznych, że nikomu już na myśl nie przyjdzie odróżnić: tyś syn szlachecki a tyś miejski! Ale szczepiąc cnoty swoje w klasach niższych, szlachta polska zaszczerpiła także swoje wady. Te w mniejszych rozmiarach i przy zmienionych okolicznościach znajdują dziś wyobraziciele z niejednej miary dawniejszym podobnych. Każdy ruch narodowy wyrzuca teraz, z niższych czy wyższych klas, cały szereg nowych ludzi; a patrząc na nich, rzekłbyś, że to z grobu powstały antenaty, znane tak dobrze choć bez karmazynu pyszałki, którym tylko pola i środków brakuje, by po staremu wszystkie zebrania publiczne swoją osobą zapełniać, zagłuszać, by w całym kraju na swoją rękę zawiązywać konfederacje, by w swym kącie powiatowym o całej decydować Rzpltej! Rzadko w którym narodzie, mimo klęsk i strasznych odmian, dochowała się, jak u nas, taka przez długie pokolenia jednostajność usposobień; co się działo w XVII i XVIII stuleciu, to i dzisiaj bez mała powtórzyłoby się mogło — gdyby nie ostrzegały sumienie i przeszłość! Kto więc chce rzucić potępienie na przestępców z wieków minionych, niech je rzuca: ale zarazem niech przyłoży rękę do własnej piersi i posłucha, ażali w niej się nie odezwą podobne dawnym rokoszowej pychy drgania! Jeśli przeto po wszystkie czasy i dla wszystkich ludzi nauka przeszłości uważana była za najlepszą mistrzynią, to u nas epoka tak bliska, jak koniec Rzpltej, najsilniejszą powinna być przestroga dla nas i dla naszych następców, najwięcej dostarczyć wątku do badań i rozmyślań.

Przestroga dla społecznych i dla następców, oto — w ostatecznym zestawieniu wielostronnych względów i rozumowań — powód stanowczy, dla którego pragnęlibyśmy widzieć ogłoszony jak najpełniejszy zbiór świadectw historycznych z czasów naszego upadku; powód zdaniem naszym tak ważny, że wobec niego prawie z oczu uchodzą wszystkie niedogodności, jakkolwiek niezaprzeczone i w podobnych publikacjach nieuniknione. „Poznacie prawdę, mówi Pismo, a prawda was wyswobodzi“. I gdyby w istocie był w narodzie naszym wstręt tak powszechny do szczerego w swej przeszłości rozpatrzenia się, wtedy dopiero możnaby już zrozpaczyć, bo wtedyby należało zwątpić o jego życiu i wyswobodzeniu. Zdrowych to organizmów jest cechą, że łakną prawdy, i te tylko odrodziły się i podniosły narody, które prawdę sobie mówić pozwalały: Włosi, których od początku bieżącego stulecia tacy mężowie jak Alfieri, Azeglio, a przedewszystkiem Cezar Balbo gromili ostro za ich gnuśność,

rozwiązłość, bezcelowość życia, polityczne fantazyje i miękczący artyzm; Niemcy, którzy siebie tak twardo potępiali, że nawet w swej bogatej literaturze dowód własnej widzieli słabości, i którym pisarze jak Schlosser, Menzel, Gervinus, Hausser, wyrzucali głośno brak patriotyzmu, brak zmysłu politycznego, życie czysto naukowe, wygodne, przy lampie i w ciszy rodzinnej prowadzone, wreszcie zbytnią przed wielkimi uniżonością i biurokracją. A któż sobie powiedział tyle słów gorzkich co Anglicy podczas ostatniej wojny wschodniej, że już dalszych nie sięgniemy epok? Ci nawet z tego szydzili — co każdy naród u siebie szanuje — z własnego wojska, i za wzór dla siebie stawiali swych odwiecznych współzawodników, Francuzów. I kiedy te narody, w cierpkiej prawdzie na każdą niemoc szukając lekarstwa, nie obawiały się uchodzić za lichsze nawet i słabsze niż były nimi w istocie: my tylko jedni, wspinając się na paluszkach wzdętej pychy, własną, od nikogo nie przyznaną pojąć się chwałą, głosiliśmy siebie narodem wybranym, a każde choćby najłżejsze upomnienie straszne odrzucaliśmy słowem: Brzydki ptak, co własne swe gniazdo kala! Jakby prawda kalać mogła! jakby upojenie było siłą! jakby sąd surowy o sobie nie przynosił zaszczytu i jakby nie ten dopiero w oczach drugich się poniżał, co sobie przyznawał cnoty, których nie posiada!

Ogłaszając dokumenta w niniejszym tomie zawarte, chcieliśmy ułatwić ich zrozumienie czytelnikowi mniej z szczegółami historycznymi obeznanemu, i poprzedziliśmy je wstępem obejmującym epokę Stanisława Augusta od jego wyboru aż do zjazdu kaniowskiego. W tym wstępie nie mieliśmy zamiaru z kolei wszystkich opowiadać faktów, ograniczyliśmy się raczej na krytycznym ocenieniu ważniejszych; przytem staraliśmy się naznaczyć tak dobrze zachowanie się każdego z osobna rządu zagranicznego w stosunkach z Polską, jak postępowanie ówczesnego rządu polskiego i opozycyi. Pilnując się źródeł, byliśmy nieraz zmuszeni odstąpić w tej pracy od przyjętych po dziś dzień sądów i wyobrażeń. Zanim to wszakże nam wiadomo, jak trudno jest przy źródłach tak niedostatecznych, przy namietnościach wzburzonych i interesach tak z sobą krzyżujących się, dotrzeć do istoty rzeczy, abyśmy z całą pewnością na własnych polegali sądach i nie mieli przypuścić, że one niejednej odmianie ulegną. Za to tylko możemy zaręczyć, żeśmy wszędzie i dla wszystkich szukali prawdy.

Józef Szujski.

Urodził się w Tarnowie w r. 1835. Szkoły tamże do klasy siódmej, potem w Krakowie. Po egzaminie dojrzałości (1854) uniwersytet w Krakowie, zrazu na wydziale prawa, później na filozoficznym; jeden rok (1858/59) w Wiedniu. Od dzieciństwa pisywał wiersze, a przez wszystkie lata nauki widział przed sobą zawód poety jako główny. Kształcił się przytem nie tylko usilnie, ale z zapałem. Z ciekawością namiętną poznawał wszystkie literatury obce, a przed nimi oczywiście własną. Historję polską (choć się wtedy na historyka powołanym jeszcze nie czuł) poznawał ze starych kronik. Szukał w nich materyału i przedmiotu do dzieł poetycznych, a znajdował bez swojej wiedzy przygotowanie do tego głębokiego poznania i zrozumienia dawnej Polski, jakiem się później odznaczał.

Po ukończeniu nauk (1858) mieszkał na wsi. Następnie ożeniwszy się, przesiadywał w roku 1862 we Lwowie, gdzie znajdował miłe i pożyteczne otoczenie ludzi naukowej i literackiej pracy, i zaczął pisać Dzieje Polski.

Od roku 1861 zaniosło się w Warszawie na ważne wypadki. Szujski wstrząśnięty nimi do głębi duszy, spodziewał się, jak prawie wszyscy podówczas, pomyslnego ich obrotu. Dowodzi tego wiele jego ówczesnych wierszy. Jeszcze wybuch powstania w roku 1863 zastał go pełnym nadziei. Ale w miarę jak te nadzieje okazywały się złudnemi, począł się i dokonał w jego duszy przełom najboleśniejszy, a na całe życie stanowczy. Młodzieniec pełen szlachetnych uczuć i zdolności, ale nie ustalony jeszcze, w tej boleści dojrzał i wyrobił się na męża i wyszedł z nich jako wielki umysł, zgłębiający powody dawnych i świeżych nieszczęść narodu, jako wielki charakter, wskazujący te powody śmiało i bez wahania. W dalszej i w bliższej przeszłości ujrzał te same powody złego, które niegdyś Rzeczpospolitą ze szczytu powodzeń i potęgi zniżyły do upadku, a po rozbiorach narodowi podźwignąć się nie dały.

Sądził tedy, że naród nie zdola odrodzić się i podźwignąć, dopóki tych powodów złego w sobie nie przełamie i z siebie nie wyrzuci. Te powody wskazywać i nawoływać w imię ojczyzny i przyszłości do ich poskromienia i wyrzucenia, to jest odtąd cała treść jego pracy i jego życia.

W r. 1866 założył Szujski wspólnie z innymi Przegląd polski, pismo zbiorowe miesięczne, w którym ogłaszał odtąd większą część swoich rozpraw literackich i politycznych. Te ostatnie otworzyły mu wstęp do sejmu, w którym zasiadał już zawsze, i do rady państwa, do której mandat poselski złożył po roku. Gdy w uniwersytecie krakowskim utworzono osobną (przedtem nie bywała) katedrę historii polskiej, Szujski, uważany słusznie i powszechnie za najwłaściwszego do jej objęcia, został na nią powołany i rozpoczął wykłady w półroczu zimowym roku 1869. Ten nowy obowiązek dodał mu nowego bodźca do historycznej pracy, a otworzył szerszy zakres wpływu i działania. Oprócz wykładów, obejmujących koleją całe pasmo dziejów polskich, i wyjaśnia-

jących najważniejsze ich zagadnienia, oprócz sposobienia uczniów do historycznego zawodu (w seminaryum historycznym), przyczynił się Szujski wielce do odrodzenia i podniesienia uniwersytetu samego, przez wpływ, jaki wywierał na swoich kolegów, i przez usilne starania o pozyskanie młodych zdolnych profesorów na katedry opróżnione. W roku 1872, gdy Cesarz oświadczył już stanowczo zamiar założenia Akademii Umiejętności w Krakowie, Szujski należał do wszystkich narad przygotowawczych, przyczynił się wielce do określenia jej zadań i do jej organizacji, a przy otwarciu wybrany jej generalnym sekretarzem. Zostawał nim aż do śmierci, i był duszą tej instytucji, wskazując coraz nowe zadania, rozszerzając ich zakres, układając plany wydawnictw, a niektóre z nich (historyczne) sam w znacznej części prowadząc.

W roku 1878/79 był Szujski rektorem uniwersytetu Jagiellońskiego; niedługo potem mianowany członkiem Izby Panów. W r. 1880, w czterechsetną rocznicę śmierci Długosza, urządził pierwszy zjazd historyków polskich, na którym roztrząsano potrzeby i ułożono systematyczny program dalszych prac i wydawnictw. Umarł w roku 1883.

Dzieła. Szujskiego praca piśmiennicza rozpoczyna się od wczesnej młodości i trwa do ostatnich chwil życia, — a rozwija się w trzech kierunkach: poetyckim, historycznym i politycznym.

a) Poezye. Już w latach uniwersyteckich pisał wiele wierszy lirycznych, tudzież dramata (Samuel Zborowski, Halszka z Ostroga). Z tych lat pochodzi także przekład Agamemnona z Eschyła i wiele małych powieści, szkiców obyczajowych lub charakterowych. Chociaż liryki nie zarzucił nigdy, a czasami próbował sił w poematach opisowych (Sługa grobów, Obrona św. Częstochowy), głównie jednak miłował dramat i w tym też dziale poezyi najwięcej i najlepsze dzieła tworzył. Obok dawniej ogłoszonych powstawały kolejno: Wallas (1861), Jerzy Lubomirski (1863). Twardowski (1865), Królowa Jadwiga, Zborowscy (1869), Maryna Mniszchówna (1876), Dwór królewicza Władysława (1876), Śmierć Władysława IV (1876) i dwie sztuki okolicznościowe Kopernik i Długosz. W jego dramatach występuje zawsze walka tych różnych sił i prądów politycznych, które działały w ważnych chwilach naszego życia. Z wyjątkiem dzieł młodości, jak Samuel Zborowski i Halszka z Ostroga, mają ten charakter wszystkie jego tragedye, nawet (choć najmniej) Jadwiga. Zarzut najcięższy, jaki im zrobić można, i powód najistotniejszy ich niedoskonałości, jest właśnie to, że pisane są przez historyka i zbyt historyczne. Wszystko, co w rzeczywistości należało do sprawy obranej za przedmiot dramatu, to wszystko chciał w nim Szujski zmieścić, nie bacząc, że poetyczne tworzenie wymaga przebrakowania przedmiotu, wyboru niektórych tylko chwil i pierwiastków i dokładnego ich przedstawienia, z pominięciem innych. U niego jest zawsze za wiele dramatycznego materiału, a stąd rozwinięcie jego niezawsze dostateczne.

Choć Szujski nie rozwiązał wielkiego zadania naszej poezyi i nie postawił tragedyi na tym szczycie, do którego ona zawsze jeszcze dąży, przecież krok ku temu zrobił znaczny i w historii polskiego

dramatu ma wielkie znaczenie i zasługę. Uchwycił w historii najgłębiej ukrytą tragiczność spraw lub postaci, pokazał ją w tem świetle ponurem, groźnem, a uroczystem, które takim sprawom tragedji przystoi.

Należy się wzmianka i tłumaczeniom, przedewszystkiem tłumaczeniom z Eschyla. Biegły w greckim języku, a zamiłowany w arcydziełach greckiego ducha, Szujski już za młodu przełożył Agamemnona, ale na tym znać jeszcze brak wprawy, niezupełne władanie polskim językiem i wierszem. W Prometeuszu już widoczny jest postęp, a Błagalnice, Eumenidy, zwłaszcza Persowie, należą do najświetniejszych przekładów w naszej literaturze.

b) Dzieła historyczne. Pierwszą pracą na tem polu były Dzieje Polski (1862—1866), podręcznik dla dojrzalszej młodzieży. Brak takiej książki dawał się wtedy czuć dotkliwie, a Szujski mniemał, że łatwo i szybko potrafi na podstawie dzieł obcych napisać dobry podręcznik. Tom pierwszy (1862) i jeszcze drugi (w tymże roku) były pod rednictwem tylko, opartym głównie na dawniejszych pracach cudzych. Ale w miarę jak pisał, przekonywał się, że chcąc dojść do rzetelnej prawdy i taką podać, musi sam na własną rękę źródłowe badania przedsięwziąć. Stąd opóźnienie dwóch tomów następnych, stąd ich objętość daleko większa, a zwłaszcza nierównie większa wartość. Już tom trzeci zwrócił na niego uwagę ludzi oświeconych i zrobił mu poważne miejsce między historykami polskimi; czwarty obejmujący czasy coraz bliższe upadku Rzeczypospolitej, więcej z naszymi późniejszymi losami związane, a po raz pierwszy zbadane źródłowo i krytycznie osądzone, postawił go w rzędzie historyków najdzielniejszych i oznaczał zwrot w dziejach naszej historyografii. Coraz pilniejsze i coraz umiejętniejsze rozpoznawanie przeszłości stało się odtąd potrzebą jego życia, wydawało szereg coraz nowych historycznych rozpraw, które wydał razem jako Opowiadania i Roztrząsania historyczne w 2 tomach. Z tych niektóre są ostatniem po dziś dzień słowem nauki o wewnętrznej organizacji Rzeczypospolitej (sejmy, elekcyja i t. d.); inne są wspaniałą charakterystyką osób, ich stanowiska i dążności (na przykład Zygmunt August); jeszcze inne opowiadają i rozświecają dyplomatyczne Polski położenie i stosunki (na przykład Starania księcia de St. Paul o koronę polską); jeszcze inne dają analizę i obraz umysłowego, cywilizacyjnego i religijnego stanu Polski w pewnej epoce, i tłumaczą, jak ten stan wpływał na jej stan polityczny. Taką jest jedna z prac jego ostatnich a najznakomitszych, Odrodzenie i reformacyja, studjum tej przemiany, jaką Polska przeżyła od jedności wieku XV do stopniowego rozprzężenia w wieku XVI. — Historya polska w dwunastu księgach, także z ostatnich już lat życia, jest krótkiem i zwięzłym streszczeniem rezultatów jego na tem polu badań.

Badał i pisał historję Szujski jak rzetelny i umiejętny dziejopis, bez uprzedzeń, bez żadnych z góry powziętych zdań i sądów, bez naciągania historycznych faktów do swoich upodobań lub przekonań; ale gdzie badanie samo wyraźnie wskazywało związek przyczyn ze skutkami, a zatem, gdzie historyczne wypadki lub postacie, objaśnione badaniem, same wyznawały niejako polityczny błąd i wypowiadały polityczny sąd

o sobie: tam sądu tego Szujski nie tail, ale wypowiadał go tak śmiało i mądrze, jak żaden z historyków polskich przed nim. Umiejętne, ściśle badanie prawdy w historii, na tem oparte umiejętne składanie całości i umiejętna, naukowa, a zarazem polityczna krytyka, to jest w najogólniejszych wyrazach wartości i zasługa Szujskiego jako historyka.

c) W ścisłym związku z poprzednim stoi kierunek pism jego politycznych przez to, że wszystkie uwagi i sądy o sprawach dzisiejszych, były zawsze poparte doświadczeniami i naukami z naszej przeszłości, fakta i działania, ich pobudki i następstwa, zestawiane z tamtymi. Podobieństwo zjawisk, tożsamość skłonności i błędów, służyła za dowód i za przestrogę, że należy postępować inaczej, jeżeli się chce równie złych skutków uniknąć. Z tych jego rozpraw politycznej treści pierwszą (i jedną z najważniejszych) było Kilka prawd z naszych dziejów (1867). Treść tego pisma małej objętości, ale wielkiej wagi, jest ta, że naród żaden bez własnej winy upaść nie może, ale podnieść się może tylko własną pracą, własnym rozumem, własnym duchem. Winą narodu za czasów jego niepodległości było pogardzanie rządem, pogardzanie bliźnim (uciemnienie poddanych), i odstępowanie od wiary i kościoła, z czego zrodziło się w wieku XVI to rozprzężenie polityczne, które się już naprawić nie dało. Dziś mamy obowiązek zachować nasz kapitał moralny i materyalny, naszą przyszłość w ludzie, aby się stał narodem — naszą przeszłość, aby z jej nauk korzystać. Cały szereg podobnych rozpraw zasadniczo roztrząsających dzisiejsze położenie narodu i znaczna liczba innych, obrabiających bieżące praktyczne sprawy i potrzeby, poszły w ślad za tą pierwszą, która oznaczała zwrot w dotychczasowej polityce narodu, w jego świadomości swego położenia i swoich względem przyszłości obowiązków.

Charakterystyka. Wielki historyk, poeta wzniosłych natchnień i myśli, niezawsze był zupełnie poprawnym, wybornym pisarzem. Często zdania i okresy jego są zawile, obciążone wtrąconemi nawiasowemi, czasem wymagające ścisłej uwagi i natężenia, a nie odrazu zrozumiałe. Ale obok tego błędu, który się zdarza w wierszach jak w prozie, ma Szujski taką w swoim języku i stylu siłę i jędrność, taki ogień uczucia, taką moc wyrażen i zwrotów, że choć w swoim sposobie pisania nierówny, bywa przezeń często porywającym, a choć nie jest pisarzem zupełnie poprawnym, jest mimo to wielkim pisarzem.

W nauce, w literaturze swego czasu wywierał on wpływ bardzo znaczny i zbawienny, ale w tym obrębie nie zamykała się jego praca i zasługa. Niezmordowana czynność umysłu, uczucie obowiązku, posunięte do nieustannego poświęcenia siebie samego dla umiłowanej sprawy, rozum potężny i znajomość niezrównana swego narodu w jego przeszłości i terażniejszości, sprawiała, że gdzie było coś dobrego i potrzebnego do zrobienia, tam Szujski był i działał, albo przynajmniej działać pomagał i uczył. W politycznym życiu, w dzisiejszym stanie naszego kraju wpływ jego myśli, skutek jego pracy jest tak widoczny, jak w naszym stanie umysłowym a nawet moralnym.

Historyczny profil Nerona.

(Wyjątek).

... Ktokolwiek widział biusty, posągi, bodaj monety imperatorów, tego musiały uderzyć te twarze tak próżne, a przecież tak wybitne, wyczerpujące niejako rysunkiem swoim całą charakterystykę najpotężniejszego indywidualizmu, w jaki świat ówczesny wyrabiał ludzi, postawionych ponad wszelki wzgląd ludzki — imperatorów Rzymu. Znajdzie tam wszelkie odcienie, od pozującej, teatralnej mądrości i spokoju pełnej głowy Augusta, do pogrążonej w cielesnej najniższego zwierzęcego użycia, głowy żarłoka Viteliusza; od imperialistycznego spojrzenia pełnej porządku i rozumu fizyonomii Trajana, do rozbójniczej na pół głowy Verusa i Karakalli; od pedanteryi i systematyczności Marka Aureliusza do ponurej, mądrej, a strasznej głowy samotnika Kaprei, Tyberyusza. Pewna olbrzymiość cechuje każdy z tych dominujących typów, wszystkie głowy razem układają się w jakiś dziwny, straszny zbiór osobliwości, jakby prób wielkich zadziwienia świata przesadą w złem lub afektacją w dobrem, nikczemnością człowieka wyniesionego kaprysem fortuny lub nadzwyczajnymi jego wysileniami, aby sprostać tej fortunie, bodaj szaleństwem. Ale w szeregu tych biustów i profilów jeden nad inne uderzy każdego, uderzy odbieżeniem od tego, co ludzki typ przeciętnie zawiera, nie brzydota — owszem, na tle pięknych rysów dozwolił sobie wybryku imperializm; nie głupstwem — owszem, twarzy tej nie brak znamienia rozumnej; — uderzy jakimś spotwornieniem motywów szlachetnych, pięknych, rasowych, przygnieceniem ich najgrubszą cielesnością i chucią. Z pod włosów gęstych i rozkładających się w krzaczystą lwią grzywę, dobywa się czoło szerokie, równe, lecz niskie — czoło Antinousa, niewyrobione pracą i myśleniem; pod wysokimi a pięknymi łukami kości czołowych oczy wgłębione, spokojnego i nieruchomego wyrazu, gnieźdzą się jak dwa śpiące tygrysy w jamach; nos regularny, posagowy, zbiega ku ustom małym, rozkosznie wyciętym, przeznaczonym dla słów pełnych pieśczęoty. Ale oto cała ta twarz wdzięczna lekkiego, pustego, rozkosznego, młodego człowieka, utopiona w potężnie, nadludzko, potwornie wyrobionych szczękach zwierzęcia, w policzkach i brodzie ogromnej, naprzód wysuniętej, mięsistej, świadczącej o zmysłowości pożerającej całą istotę ludzką. Głowa ta osadzona na karku grubym, doprowadzającym pełnymi strumieniami gęstą i wrzącą krew do mózgu, aby zaświeciła oczyma, wzdęta żyły na czole, nabiegła w czerwone usta. Takim jest profil

fizyczny Nerona, uderzający oryginalną potwornością wśród innych, budzący ciekawość, jaki się pod nim ukrywał człowiek, obiecujący pewną kolosalność złego, której też synowi Agryppiny i Domicyusza Ahenobarba odmówić nie można...

Jeżeli kto, to Nero mógłby gniazdo, w którym się wylał jako ptak drapieżny, powołać na swoje usprawiedliwienie. Matka jego Agryppina, córka Germanika i Agryppiny, dumnej siostrzenicy Augusta, była potworem dumy, zepsucia i zbrodni. Żądza panowania jest jedyną tej kobiety namiętnością, rozpusta tylko środkiem do tego celu. Okropnym jest i dom ojcowski Nerona. Ród plebejski Domicyuszów, wielekroć pokalany zdradą i okrucieństwem; a ojciec ten, Domicyusz Rudobrody, zwykł był mawiać, że z takiej matki i z takiego ojca straszdyło tylko wyjść może na świat. Wdowa po Rudobrodym, matka Nerona, bliska rodziny panującej, czyha, aby najwyższą chwycić władzę; wyzwoleniec Pallas toruje jej drogę do komnat Klaudyusza; po upadku i śmierci Messaliny zostaje Agryppina żoną Cezara i w niesłychany dotąd sposób bierze udział w rządach państwa. Klaudyusz ma własne dzieci, Brytannika i Oktawię: Brytannika ma pozbawić następstwa młody, ale starszy od niego Nero, ożeniony z Oktawią. Agryppina nie przebiera w środkach, morduje nieprzyjaciół, jedna przyjaciół hojnością. W chwili, gdy Klaudyusz spostrzega, co się dzieje, gdy do zapomnianego i na pokrzywdzenie skazanego syna zwraca się z miłością — Agryppina, nie wahająca się nigdy, sprząta go ze świata trucizną w grzybach zadaną. Trupa Cezara okładają jeszcze okładami, aby młody Nero miał czas pozyskać gwardę pretoryanów i z krzywdą Brytannika objąć imperatorską władzę... Obejmuje ją z teatralnością właściwą epoce imperializmu, maryonетка wszechwładnej matki, pokazywana senatowi i ludowi rzymskiemu. W wyuczanej mowie do senatu poczyna skromnie, odsuwa od siebie nazwę ojca ojczyzny; wyjednywa ojczymowi cześć boską, a matce kapłański nieboszczyka urząd; hasło, które daje pretoryanom, brzmi: Najlepsza z matek!... W innej do senatu mowie zwiększa Nero zakres jego działania, powściąga nadużycia sądownictwa, kreśli program lepszej przyszłości. Na srebrnych tablicach każe senat ryc tę nową konstytucję Rzymu.

Agryppina nie tylko jest żądną władzy, ona jest i głęboko rozumną. Dwaj znakomici ludzie mają zastąpić dotychczasowe gospodarstwo wyzwolenców i żołdaków. Afranius Burrus zostaje prefektem pretoryanów, człowiek wierny, rozumny i energiczny; Annaeus Seneka, stoik, nauczyciel młodego Nerona, ma razem z Burrusem objąć reży-

serstwo politycznej komedyi, w ścisłem z Agryppiną porozumieniu. Profil jej figuruje na monetach obok profilu Nerona; za kotarą ukryta, słucha ona obrad senatu, przy uroczystościach w jednej występuje lektyce z synem, dwaj liktorowie niosą przed nią pęki lasek z toporem, zagraniczni posłowie składają jej gzołobitność.

Wśród tych dwóch wpływów, na najwyższym stanowisku świata dojrzeła młoda, tygrysia natura Nerona. Stoicki filozof, Seneka, autor wielu szerokich traktatów moralnych, w których na skrzydłach teorii miał się podnosić aż do wysokości myśli św. Pawła, w życiu własnem praktyczniejsze ma zasady: kształci drobne zdolności pupila w dziedzinie wymowy, poezji, sztuki; stara się pilnie o poprawność i popularność jego występów publicznych, ale mruży oczy mędrca na wybryki krwi młodej, na awantury i orgie, wyprawiane nocą po ulicach Rzymu; wszakże to oddala umysł cesarski od przedwczesnej rządzenia samodzielności, wszakże jedna względy za pobłażliwość. I Agryppina znosi do czasu te burze młodości, znosi, dopóki syn wszechwładzy jej nie narusza. Ale milcząca zgoda na złe nie trwa długo, była ona tylko środkiem dla stron obu: między Agryppiną z jednej, a Seneką i Burrusem z drugiej, powstaje rywalizacja. Chłód i zimne obrachowanie pierwszych staje oko w oko rosnącej namiętności Agryppiny. Kilka słów szepniętych Neronowi w obronie jego samodzielności i powagi budzi w nim podejrzliwość i niechęć do matki — ale wyuczony w fałszu i komedyi, umie on panować nad sobą. Armeńscy posłowie sprawiają się z swojej misji przed Neronem w senacie — Agryppina wchodzi, aby demonstrując równość atrybucji, zasiąść trybunę. Syn schodzi z własnej i obejmując matkę w ramiona, zagradza jej drogę — stojąc, kończy ceremonię. Scena milcząca a pełna znaczenia na przyszłość. Syn dojrzał do wysokości wymagań fałszu — obudził się. Agryppina traci równowagę; na przemian oburza się na rozpustę syna lub wydrzeć pragnie jego nauczycielom monopol zbrodniczej tolerancji — gniew straszny porusza jej duszą, nie znającą granic dumy; dar który jej przesyła syn, przyjmuje z sarkastyczną uwagą: Dzieli się ze mną tem, co ma ode mnie! Syn odpowiada rozporządzeniem, sięgającym głęboko w najślabszą jej stronę: oddala wyzwolenca Pallasa od zarządu skarbu — Pallasa, który był Agryppiny faworytem.

Namiętna kobieta wybucha potokiem groźb: Jest prawy syn Cezara Klaudyusza, jest! dorósł właśnie Brytannik, ona mu przywróci prawa, ona go zrobi Cezarem! Groźba a wykonanie, to u niej jedno — ona nie grozi daremnie. Wie to Seneka i Burrus, nie waha się Nero.

Wśród biesiady pada młodziuchny Brytannik pod ciosem piorunującej trucizny, pada w obliczu siostry Oktawii i brata przyrodniego Nerona. — „To napad epileptyczny, który przemienie“, odzywa się chłodno zbrodniarz — a oto stos już przygotowany i gotowa na jutro przemowa do senatu, pełna morałów, jak teraz kochać i ochraniać trzeba ostatniego z domu Cezarów, Nerona. . .

Pokrzywdzony przez Agryppinę, a zamordowany przez jej syna Brytannik, staje teraz jako straszna groźba przed macochą. Wie ona, co ją czeka, zbiera skarby i stronników, a chociaż współcześni historycy nie podają tego za pewność, gotuje nowy wywrót na rzecz Rubeliusza Plauta, potomka Augusta po kądzieli. Donoszą o tem synowi wśród biesiady; żąda on śmierci matki. Burrus zaledwie powstrzymał potwora, uważając dowody za niedostateczne. Po tej burzy wygląda się stosunek między matką i synem: stosunek straszny, gdzie syn na matkę, matka na syna patrzyła, czytając w oczach, kiedy błysnie cios morderczy. Kto się przeląkł — nie wiadomo — przypuścić raczej, że Agryppina. Nic o jej dalszych knowaniach nie mówi Tacyt i Suetoniusz; wyniosła się na wieś, zapragnęła może ciszy i bezpieczeństwa.

Zgubę ostateczną przyniosła jej kobieta podobna do niej, Poppaea Sabina, dama wielkiej rodziny i wielkiego świata, bogata, wykształcona, piękna, lecz zepsuta, jak zepsutym był wyrafinowany świat ówczesnych rozkoszników i zbytkowników Rzymu. Poppaea nie chce być czemś mniej jak imperatorową! W drodze stoi jej Oktawia i Agryppina, broniąca tym razem Oktawii z instynktem zachowania samej siebie. Zgubić więc Agryppinę, oto dążenie Poppaei, dążenie nietrudne: wszakże tak łatwo było przedstawić Neronowi, że matka dąży do jego zguby! Postanawia więc syn potworną spełnić zbrodnię, spełnia ją zdradziecko — zwabiając matkę na przejażdżkę morską i odsyłając ją okrętem o zapadającym się w głębie morza pokładzie. Ale Agryppina wychodzi cało; płynąc, dobją brzegu — chroni się do willi swojej — chwila jeszcze, a użyje wszystkiego, aby zdemaskować skrytobójcę. Od czegoż siepacze Nerona? stać ich na wszystko — Agryppina ginie od żelaza!

Ale nawet w tych czasach okropnych, gdzie zdeptano wszystkie prawa natury i prawa Boże, nie wymyślono środka na głos sumienia, na furye mszczące najstraszniejszą ze zbrodni. Pod ich wpływem, pod wpływem strachu, co powie Rzym, Nero ucieka do Neapolu. Stamtąd śle do senatu pismo usprawiedliwiające mord matki jako konieczność polityczną — senat i lud witają powracającego w świątecznej szacie — tryumfowi równa się ten powrót — statuy jego stawiają obok posągu

Minerwy — dzień urodzin Agryppiny dekretem kapłanów do dni feralnych policzony . . . Tylko furye mściwe wracały nocą i nie powściągnąły ich żaden dekret senatu! . . . Wtedy Nero wedle świadectw dziejopisarzy rozpoczyna epokę szaleństw swoich, szaleństw bez miary i granic; szaleństw zmierzających do podwójnego celu: zagłuszenia głosów wewnętrznych i deptania społeczeństwa, które nie miało odwagi powiedzieć mu: matkobójca!

Ku pierwszemu celowi służy szukanie gwałtownych wrażeń, popisy teatralne, poetyczno-muzykalne, hippiczne. Z wychowania i wykształcenia niedostatecznego, jakie otrzymał, pozostało jedno: wspomnienie zapasów greckich w Olimpii, Nemei, na Istmie korynckim; z dni dziecięcych obrazy gonitw i wyścigów dla ludu rzymskiego, ukochanych nadewszystko przez ten lud. Co u poprzedników polityką, u Nerona stało się instynktem, namiętnością, rodzajem pijaństwa — najrozkoszniejszym środkiem zapomnienia. Więc grać i śpiewać i oklaski niezmiernego zbierać tłumu, więc zaprząwszy do cesarskiego wozu dzikie rumaki, gonić z wściekłością wokoło olbrzymiego cyrku, napiętrzonego tysiącami głów; więc uciec od myśli i zajęć Cezara i stworzyć na chwilę sztuczny świat śpiewaka, aktora, woźnicy; więc mieć obawy podobania się i dreszcze karyery artystycznej, i używać, gdy masy frenetycznie klaszczą! . . . Ale i na tem użyciu spoczywa piętno zbrodniarza, piętno matkobójcy . . . Najmilszą rolą dlań, rola Oresta, który zabił matkę — a którego Eumenidy gonią . . . Bezcelny, on wie, że to zaostrzy ciekawość, on wie, że w grę jego mimowoli wejdzie piętno prawdy, że się wmiesza w nią coś z tego strachu, który go trapi nocami; on wie, że klaskać mu będą senatorowie, którzy pochwalili śmierć jego matki — i oto aktor Orestes łączy się z Cezarem mszczącym podłość społeczeństwa.

Orgii artystycznej towarzyszy orgia morderstw, zaprawionych ironią i kaprysem szaleństwa. Myśli jego zabójcze nie mają konsekwencji: ba! czasem zdaje się, że szlachetny jakiś motyw każe mu ochraniać długo jednych, pogarda bez granic, szyderstwo z niekzemności ludzkiej wybierać drugich na ofiary. Tak zemsta jego omija długo Traseę, który sam jeden z senatu miał odwagę nie pochwalić zabójstwa Agryppiny; omija Silana, męża podobnych przekonań co Trasea. Natomiast jedną z pierwszych ofiar jego pada Burrus, prawdopodobnie otruty, który wedle opinii powszechnej zgodził się wkońcu na śmierć Agryppiny. Wylękniony Seneka pragnie zachowania życia, rzuca u stóp Cezara darowizny jego i bogactwa, chce dymisji. Nero zatrzymuje go, ściska i całuje filozofa, „który go, jak mówił, nauczył

stawiać czoło nie tylko przewidzianym, ale i nagłym niebezpieczeństwom⁴. Ale Seneka ucieka, kryje się w ciszy wiejskiej, ofiaruje później jeszcze po raz drugi bogactwa swoje Neronowi. Daremnie! Sprzysiężenie Pizona jest hasłem wydania nań wyroku śmierci. — Seneka ginie, otwierając sobie żyły w kąpieli. Procesem o złamanie wiary usuwa Nero znenawidzoną żonę, Oktawię; ale i Poppaea Sabina niedługo cieszy się owocem swych intryg i zbrodni; brutalnem kopnięciem nogi wyzbywa się tyran przewrotnej kobiety. Przedmiotem jego wściekłości jest przedewszystkiem senat; z grona jego nikogo on nie wita i nie żegna, z modlitw publicznych wypuszcza jego nazwisko, rycerzom i wyzwolencom obiecuje rządy Rzymu. Mordom senatorów i bogaczy towarzyszy sroga ironia, Burrusowi śle lekarstwo na gardło, które go dobija, ciotce bogatej lekarzy z rozkazem, aby gwałtownymi lekami przyspieszyli jej koniec; inni giną w rękach chirurgów, puszczających im krew niezdrową.

Dopiero gdy wielkie sprzysiężenie Pizona odkryte zostało, nie zna Nero granic okrucieństwa — najpodlejsze pełzanie nie zdoła ratować wplątanych senatorów: Nero odrzuca świątynię, którą mu jako bóstwu chce stawiać blady od trwogi senat; brat wydaje brata, rodzice synów, posągi siepaczy stają za uchwałami przełęczonych Rzymian — wszystko napróżno: — Cezar nie zna przebaczenia; a gdy ofiary giną od samobójczych ciosów lub od ciosów pretoryańskich — bogactwa ich skonfiskowane płyną do skarbu Cezara, aby zasilić wydatki na jego szaleństwo.

To szaleństwo pogardy, kapryśnego i wymyślnego terania potężnych i bogaczy Romy — szaleństwo, złączone tym razem znowu z polowaniem na wrażenia, z zachciankami piękna, z pragnieniem zadziwienia świata przepychem i wytwornością, znajduje swój szczyt — w spaleniu Rzymu. Rzym od wieku stawał się cudem świata, napełniał budynkami najwytworniejszego smaku, ale ulice jego były wąskie, a obok wspaniałych gmachów wznosiły się uświęcone tradycją świątynie i domy dawnych czasów. Wywłaszczenie normalne celem przebudowania byłoby trafiło na opór i niechęć; zniszczenie ogniem łamało przeszkody, otwierało szerokie pole gospodarstwu budowniczemu Cezara, spełniało jego tajemnicze słowo: Aż do moich czasów nie wiedziano, dokąd panujący posunąć się może. Pewną rzeczą jest, że Nero podczas wybuchu pożaru w Rzymie nie był, pewną, że wiadomość Euzebiusza, jakoby, przypatrując się mu, śpiewał pożar Troi — jest niezgodna ze świadectwem współczesnych — ale pewną także, że powszechna opinia współczesnych oskarża Nerona o autorstwo

pożaru, że ten pożar wybuchał na kilku miejscach naraz, że żołnierze i strażnicy podniecali go, zamiast stłumić, że na ruinach rozpoczął Nero zabudowania „złotego domu“, zajmującego ogromną przestrzeń od Palatynu do Esquilinu, z sadzawkami, które wydały się małemi morzami, z gajami, w których igrały trzody i gnieździły się dzikie zwierzęta, a odumał planów dalszego szerzenia swojej rezydencji.

Tu wszakże po raz pierwszy spotkał się zbrodniarz z mściwą Nemezą. Ogromna klęska stolicy poruszyła do gruntu społeczeństwem rzymskiem, rozjuszyła lud, wznieciła dokoła tronu tyрана owo szermowanie groźne, które mu zapowiadało wybuch długo tajonej zemsty... Brytannika i Agryppiny śmierć mógł pochwalić spodlony senat — pożar Rzymu dobrał się do szpiku kości społeczeństwa... Demonstracyjnie, groźnie przesuwaly się przed pałacem Cezara procesy religijne, poświęcone expiacji występku... Wszakże wedle pojęć tradycyjnych potrzeba było innego *piaculum*, potrzeba było winowajcy, aby zażegnać złe, aby przebłagać zagniewanych bogów. Chwila jeszcze, a z głębi społeczeństwa mogła dzwignąć się dłoń, wiodąca rozwścieklone tłumy na pałac Cezara, lub co gorsza, umiejąca zręcznie pozyskać gwardyę pretoryanów... Groźniej niż kiedykolwiek unosiły się furye nad Neronem — groźniej niż kiedykolwiek zagłędała mu w oczy śmierć, śmierć okrutna...

Wtedy, jak trafnie przypuszcza jeden z autorów, piszących o tej epoce — przyszła mu myśl straszna, podła, podlejsza niż inne zbrodnie jego życia, bo ratująca go bezczelnem kłamstwem, myśl pociągnięcia chrześcijan do odpowiedzialności. Mógł mu ją poddmuchnąć jeden z jego zauszników, mogli poddmuchnąć żydzi, łatwy przystęp do ucha jego mający; Poppaea, o której przechowała się wieść, że była żydowskiego pochodzenia; mogła ona urodzić się sama na wiadomość o nabożeństwie i obyczajach chrześcijan, których kryjówki katakumbowe zapełnił tłum ludu, uciekający przed pożarem i w podziemiach szukający schronienia... Z wysokości tronu Cezarów padło słowo wskazujące winowajcę pożaru — chrześcijan. Było ich podówczas, wedle Tacyta słów, 31 lat po śmierci Zbawiciela, wielkie mnóstwo w Rzymie. Dowodów nie było trzeba; raz rzucone oskarżenie stało się dla pogańskiego świata dowodem. Każdy, od senatora do proletaryusza, przypomniał sobie, że raz, drugi raz w życiu spotkał człowieka lub kobietę, w niczem do innych niepodobnego ludzi... człowieka, który unikał jego bogów i jego orgii, człowieka, który wśród pożaru sam jeden spokojnem okiem oglądał gniew Boży

schodzący na ziemię, nie rozpaczał i nie złorzeczył, ale w tajemniczym związku modlitwy stał z innymi podobnymi do siebie. Jego zbrodnia — to, że go nic z rodzajem ludzkim nie łączyło, a więc wedle logiki pogańskiej był mu nieprzyjacielem, był gotów zadać mu złe wszelkie... Nero miał rację. Nero niepotrzebował dowodu — siepacze jego nie potrzebowali szpiegów — palcem wskazywało chrześcijan pogaństwo.

Na drugim brzegu Tybru, wśród ogrodów Cezara, stał cyrk ozdobiony obeliskiem z Heliopolis — dzisiaj to plac św. Piotra, Kapitolium chrześcijaństwa — a na temże samem miejscu stoi jeszcze obelisk egipski. Tam postanowił Nero wyprawić pogańskiemu Rzymowi orgię nad orgiami, dać mu zadośćuczynienie za pożar... połączyć zaś widowisko znowu z użyciem artystycznym, po swojemu pojętem. Histryon, chociażby najznakomitszy, udający męki konania i śmierć samą, pozostanie zawsze histryonem, który eklektycznie zebrał rysy i ułożył je w rutynę cierpienia i umierania; najwyższy realizm będzie fikcją łagodną, przyswojoną, obraną z tej nadzwyczajności, z tych epizodów niespodziewanych, jakie wyprawi publiczności ofiara, przybrana w szatę postaci dramatycznej i rzucona, aby być rzeczywiście pożartą przez lwa, rozszarpaną przez byka, spaloną na powolnym ogniu, zrzuconą z wysokości, przywaloną skałami! Taki los zgotował Nero chrześcijanom i chrześcijankom w cyrku, na sławnych igrzyskach porannych (*ludi matutini*). A gdy rozwścieklił, odczłowieczył się na taki widok tłum patrzący, gdy Cezar rozkoszował w niespodziewanych komplikacjach gry o życie, trzymając w nerwowo drżącej ręce zielony przeźroczysty szmaragd, który mu służył za szkło powiększające i zbliżające — wieczór czekała lud i Cezara nowa orgia, wyścigi konne, oświecone żywymi pochodniami męczenników, owiniętych w t. z. *tunica molesta*, w palny materiał, pozwalający dochwycić momentu, jak wyglądać będzie twarz oświecona ogniem, jak zamierać będzie dusza w krzyku niezmiernej, niesłychanej boleści...

Ale nie... lud pogański Rzymu był lepszym od swego Cezara. Czyli wstrętem go przejął ohydny realizm tych przedstawień, czy wypadły one inaczej, niż się mógł spodziewać i niż spodziewał się Cezar — rezultatem ich, wedle lapidarnych słów Tacyty, była litość dla mordowanych... Litość i owo potracenie nieznanego przedtem uczucia, jakie budziło się na widok ludzi umierających inaczej, niż ci, którym chodziło tylko o życie; na widok ludzi, którzy cierpieli spokojnie i widzieli otwierające się przed nimi niebo, na widok

ludzi, którzy z pod szaty mitologicznej wyłaniali się, jak postacie Rafaelowskiego pędzla, na widok tego, co niestychane, niebawale, niepojęte dotąd!.. Ale jak odwieczną własnością złego, że ono samo instynktownie, zakamieniałością i zazdrością szatańską najlepiej pojąć zdoła dobre, aby je znieńawidzić; jak odwiecznym udziałem wszystkich katów jest, że zaostrza się ich okrucieństwo, im ofiara ich szczytniejszą i szlachetniejszą: tak psychologicznie pewnem jest, że owe arcydzieła wyrafinowanego okrucieństwa Neronowego rosły w miarę, jak przez szkło zielone szmaragdu więcej dobrego i wzniosłego dostrzegł w swoich ofiarach, jak zadziwiły go i upokorzyły niezrównaną cierpliwością i godnością, jak w realizm śmierci, którego pożądał, wniósł więcej — chrześcijańskiego heroizmu śmierci...

Okrucieństwa wyprawiane z chrześcijanami przeszły wszystko, co dotąd straszego podał gawiedzi rzymskiej Nero; rok 64, pożaru Rzymu i męczeństwa chrześcijan, jest zenitem jego twórczości szaleńca, zenitem, z którego spada, powtarzając się, tracąc grozę, a przechodząc w błazenstwo. Ale na resztę panowania pozostaje zawsze jedna ku chrześcijanom nienawiść, po prowincjach tysiące ofiar zabierająca — i od tego roku do jego śmierci trwa epoka, objęta w dziejach kościoła pod nazwą pierwszego prześladowania, którego ofiarą padli dwaj książęta Apostołów, św. Piotr i św. Paweł...

Polegli — kościół prześladowanie przetrwał i zwyciężył... A ów potworny Cezar artysta?... Jaki jego koniec? jakie rozwiązanie tragedii jego żywota, bądź co bądź, pociągającej kolosalnością złego, przymieszką szlachetniejszego motywu miłości sztuki, pogardy do spódlonego społeczeństwa?...

Cztery lata oddziela tylko pożar Rzymu od śmierci Cezara Nerona. Lata te wypełniają: zdzierstwo bez miary, mające na celu przebudowanie Rzymu i wystawienie Złotego domu — Pizońskie sprzysiężenie, utłumione krwawą ręką — zabójstwo najnotliwszych Trasei i Sorana — przyjęcie wspaniałe Tiridatesa, króla Armenii — w maskaradzie Apollina, z śpiewakiem Apollodorem u boku... Wyczerpanie, powtarzanie się, oglupienie charakteryzuje te ostatnie lata Nerona — orgia tyloletnia doprowadziła powoli do idiotyzmu, do zniewieściałości Sardanapala, do poszarpania wszystkich sił duszy i ciała... Depcący świat zbrodniarz i swawolnik stał się sam zwolna przedmiotem ostatniej pogardy, obrzydzenia, sponiewierania... Ateny miały odwagę nie zaprosić go w swoje mury... krzyki, którymi go witał tłum rzymski za powrotem: niech żyje tryumfator śpiewem

i głosem, niech żyje mistrz peryodów i strof, wyglądały na ironię! Godzina zemsty zbliżała się. Nie w Rzymie, ale w Gallii stanął na czele legionów G. Siliusz Vindex propretor... w rocznicę śmierci matki otrzymuje o tem wiadomość Nero... Nie czyni ona na nim wrażenia: obiecuje sobie złupić Gallię. Ale w proklamacyi swojej nazwał Vindex Nerona lichym śpiewakiem... i to skłoniło Nerona do uroczystej protestacyi, którą przesłał senatowi rzymskiemu.

Mnożyły się wiadomości coraz gorsze. Vindex zginął wprawdzie, ale Virginius Rufus, ale Sulpicyusz Galba, namiestnik Hiszpanii, zbliżali się na czele zbuntowanych legionów. Bezradnie, fantastycznie, kapryśnie tłoczą się postanowieniem za postanowieniem w duszy Nerona... Zrazu zrywa się jak lew ranny... pieni się od wściekłości... grozi wymordowaniem senatowi i Gallom obecnym w Rzymie... chce wzywać lud i stanąć na jego czele.. Gdy ten lud się nie spieszy, chodzą mu po głowie myśli nowego pożaru i puszczenia na ulicę lwów i tygrysów, chowanych po cyrkach... I znowu zwycięża w nich niewieściuch... uciekać chce na wschód, zatrzymać część państwa, lub żyć... żyć tylko... zadziwiając świat talentem swoim... Grając komedję odwagi, mówi więcej o sztuce niż o buncie; narzeka, że mu bunt przeszkadza, że mu zabiera drogi czas.. bo oto on zaśpiewa tylko legionom w czarnej żałobnej szacie pieśń swoją cudowną... a legiony z nim się połączą i odbędzie się najpiękniejszy tryumf... tryumf sztuki...

Ale czas leci, i nocy jednej, gdy Nero komponuje swoje pieśni i mowy, mające wzruszyć buntowników... odbiegają go najwierniejsi, odbiega gwardya pretoryańska — senat ogłasza zbliżającego się Galbę imperatorem. Na lichym koniu, w towarzystwie kilku wiernych wyzwolenców, nocą, bosko ucieka Cezar do podmiejskiej willi Faona. Po drodze słyszy okrzyki na cześć Galby. Wierni chcą go ukryć w jamie ziemnej — Nero broni się cytacyą poety... Wierni jego doradzają mu samobójstwo — Nero cytuje Sofoklowego Edypa: Moja żona, moja matka, mój ojciec wydają na mnie wyrok śmierci... Przynoszą mu wiadomość, że senat wydał już wyrok, że będzie zasieczonym różgami na śmierć i rzuconym do Tybru — Nero próbuje sztyletu, ale nie ma odwagi zabić się. „Niech mi kto z siebie da przykład, niech mnie na sobie nauczy“. Ale zbliżają się jeźdźcy Galby, tentent koni każe mu cytować Iliadę...

„Słuch mój uderzon głuchym ciężkich rumaków tententem“.

Epafrodyt, jeden z wyzwolenców, ponurza mu wreszcie sztylet w gardło: O, jakież we mnie umiera artysta!... miał zawołać

konając. Trupa już tylko zastano... I, o dziwo! znaleźli się tacy, którzy z miłością przybyli go uczcić pogrzebem. Nieznane ręce składały wieńce na jego grobie, a wizerunkami jego obwieszały kolumnę rostrów starożytną (*Columna rostrata*)... Nie wierzono w jego śmierć i spodziewano się, że uratowany wróci z pomocą Partów i Armenów objąć rządy Rzymu... Viteliusz, chcąc się przypodobać gawiedzi, głosił szeroko, że wstąpi w jego ślady... Wschód kochał pamięć Cezara, który mu pochlebiał, który go nad Rzym wynosił, który deptał tyranów prowincjonalnych i prześladował senat...

Ostatecznie krwawy dramat rządów Nerona był tylko ciekawym epizodem w życiu potwornego olbrzyma, jakim było rzymskie państwo. Samowola Cezara dotknęła na miliony tysięcy, a na tysiące mordowanych, którzy mu złorzeczyli. Ale znalazły się tysiące takich, którzy żyli i wynosili się złem jego żywota, i mnodzy znowu, których nigdy, w dobry lub zły sposób, dłoń Cezara dosięgnąć nie mogła... Dla tych nie dotkniętych przesunął się on jak legenda, każdemu inaczej... Chrześcijanie widzieli ducha jego pokutującego w pałacach Cezarów — gawiedz pogańska imperatora, który jej na pastwę rzucał możnych, mędrców i cnotliwych — awanturnicy i szarlatani całego świata, tego, który wynosił i bogacił ludzi z ich grona... doskonałość organizmu państwa rzymskiego, jego wielkość, jego umiejętność, z jaką uchylał kwestye niebezpieczne, sprawiała, że zaszkodzić mu nie mogła nawet najwyższa samowola cesarzy; dobry budował państwo, wzmacniał, utwierdzał — zły szalał przeciwko jednostkom, ale państwu zaszkodzić nie mógł. W wybrykach Nerona, Karakalli, Heliogabala nikt przyczyn upadku Rzymu szukać nie będzie. Ale dobry jak Marek Aureliusz i zły jak Nero, wskażą oba, gdzie była pęknięta tarcza tego cudownego organizmu, której ani najlepsza administracya, ani najbystrzejsze prawo, ani najobszerniejsza wiedza mędrców złożyć już nie mogły.

Była ona w nierozwiązaniu kwestyi podstawnej każdego społeczeństwa — kwestyi jednostki ludzkiej. Lat sto, lat dwieście wstecz, jednostka najdoskonalsza pogańskiego świata, jednostka rzymska, stała, żyła i rozwijała się zasobem prawd religijnych i tradycyjnych, jakie wyniosła z kolebki swojej, tem tajemniczem coś, co ducha ludzkiego wypełnia, wiąże i podnosi — a co Rzymianie zwali *religio!* Za dni Cezarów, gdy nastąpiła *pax Romana*, próżno granic i podstawy tej jednostki szukał prawodawca i mąż stanu — próżno mędrzec i mag, próżno artysta i zbrodniarz Nero i filozof cnoty, Marek Aureliusz...

U szczytu państwa, tam gdzie Cezar samowładny — toczył się najstraszniejszy bój o zagadkę jednostki ludzkiej — a Cezarowie pozostali monstualną wystawą faz wewnętrznych, jak ten bój przechodził.

Rozwiązało ją chrześcijaństwo, łącząc człowieka napowrót z prawami Bożemi...

Antoni Małeckie.

Urodził się w Obiezierzu w Wielkopolsce w roku 1821. Do gimnazjum uczęszczał w Poznaniu, na uniwersytet w Berlinie, gdzie oddawał się studyum filologii, literatury i historii (Ranke). Uzyskawszy stopień doktora filozofii, był przez pięć lat nauczycielem w gimnazjum poznańskim. W r. 1850 powołany na profesora filologii klasycznej w uniwersytecie Jagiellońskim, musiał po trzech latach ustąpić wraz z Polem, Helclem i Ziślomackim. Zrazu otrzymał taką katedrę w Inspruku, ale już w r. 1856 mianowany profesorem języka i literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim. Tutaj rozwinął nader skuteczną działalność, rozbudzając gruntownymi pracami a jasnym i zajmującym wykładem zamiłowanie do ojczyźnej literatury i głębsze jej zrozumienie. Był także przez parę lat członkiem Rady szkolnej krajowej, a jako rektor uniwersytetu brał udział w pracach sejmowych nad ułożeniem ustaw szkolnych.

W r. 1873 ustąpił z uniwersytetu i odtąd zarządza Zakładem im. Ossolińskich jako zastępca kuratora, nie przestając pracować na polu naukowem, przeważnie w historii.

Dzieła. W ciągu przeszło półwiekowej działalności napisał Małeckie znaczną ilość dzieł. W latach młodszych zajmował się literaturą piękną i napisał dramat p. t. List żelazny, którego treść wzięta z podań, opowiedzianych w „Pamiętkach starego szlachcica“ i Grochowy wieniec, komedye, osnutą na Pamiętnikach Paska. Jego Elektra Sofoklesa należy do najlepszych przekładów tego tragika w naszej literaturze.

Główne jednak zasługi położył Małeckie na polu gramatyki, literatury i historii polskiej. Każdą z tych nauk badaniami swemi rozwinął i posunął naprzód, a niektóre jego dzieła stanowią epokę w ich rozwoju. Jego Gramatyka języka polskiego (1868) oparta na gruntownej znajomości dawnych pisarzy polskich, tudzież pobratymczych języków, zwłaszcza starosłowiańskiego, jest pierwszym u nas w tej umiejętności dziełem, mającym wartość naukową i otwiera szereg prac dalszych i cennych badań. W kilkanaście lat wydał Gramatykę historyczno-porównawczą, dzieło pełne nowych poglądów, zdobytych na szerszej podstawie lingwistyki porównawczej.

Historye literatury wzbogacił kilku cennymi rozprawami, jak o Modrzewskim, Morsztynie i Ostrorogu. Ale największem jego dziełem, znowu pierwszym w tym rodzaju i dotąd największem jest

Jan Krytyka
 Juliusz Słowacki, żywot jego i pisma (1866), monografia osnuta na dziełach i listach poety do matki. Żaden z naszych poetów czy pisarzy nie jest dotąd tak doskonale opracowany pod względem czy biograficznym czy krytycznym. Książka ta stała się typem i wzorem dla następców, a w szczególności dała pochop do dalszych studyów nad Słowackim. Równocześnie zajął się krytycznem wydaniem Pośmiertnych pism tego poety.

W ostatnim okresie zwrócił się Małecki do studyów historycznych. Przedmiotem jego badań są dzieje pierwotne i czasy Piastowskie do połowy XII wieku, a w nich zwraca szczególną uwagę na stosunki wewnętrzne. Najważniejszą na tem polu pracą są Studya heraldyczne (1890) dzieło nagrodzone przez Akademię Umiejętności.

Charakterystyka. Badacz wszechstronny i samodzielny, posiada Małecki ostrożność i rozważność w zdaniu, nie daje się unosić wyobraźni ani skłonności do śmiałych, efektownych pomysłów i przypuszczeń. Trafność sądu, rozważa i miara cechują również jego rozbiory estetyczne. Styl wreszcie, w najsubtelniejszych i najtrudniejszych kwestyach zawsze jasny i prosty, sprawia, że dzieła jego są dostępne dla szerszego ogółu; więc i wpływ wywierają niemały. Pisarz to wyborny, krytyk łączący gruntowną naukę z doskonałym smakiem i bystrym sądem, uczony w zupełnem, najpoważniejszym znaczeniu tego słowa, we wszystkim co pisze pełen i rozumu i najzdrowszego publicznego ducha.

Z dzieła p. t. Juliusz Słowacki.

Tom I. rozdz. 3.

(Stosunek poezji polskiej do literatur zachodnich — jej główne wewnętrzne znamię. Odrębność wyobrażeń Juliusza Słowackiego — niepopularność jego pierwszych publikacji.)

Jednym z głównych następstw wystąpienia Mickiewicza i innych jemu współczesnych było podniesienie poetyckiej literatury polskiej na wysokość europejskiego znaczenia. Od tego dopiero czasu weszła poezya nasza znowu w bezpośrednie zetknięcie z tradycjami postronnych literatur, zajmujących odpowiednie wiekowi stanowisko. Pisarze nasi dawniejsi z małym wyjątkiem byli więcej naśladowcami, i to wzorów, które i same słabo, nawet koszlawo już tylko odtwarzały starożytny klasycyzm. Świat starożytny zbyt się już był odsunął; studya nad nim w przeszłym wieku, mianowicie we Francyi, zeszyły do nicości zapomnianej prawie nauki. Najzagorzalsi niby wielbiciele mistrzów rzymskich i greckich nie mieli trafnego wyobrażenia o istotnych warunkach wielkości tych niegdyś niedościgłych potęg artyzmu. Pomimo nieustającej gadaniny o konieczności trzymania się

we wszystkim przekazanych przez starożytność przepisów — literatura francuska nigdy nie zbliżyła się do tych wzorów choćby tyle tylko, ile się u nas w XVI wieku zbliżyć do niej potrafił Kochanowski. Śmiech wzbudza patrzeć na lekliwość i zarozumiałość tych dworaków wersalskich, kiedy na usprawiedliwienie swoich małodusznych nowostek odwołują się ciągle to do Arystotelesa, to do Horacego lub Quintyliana, to wreszcie do tragiczków greckich, których dzieła znane im były chyba tylko z urywków, z przekładów lichych, a najczęściej zaledwie pewnie z powieści. Literatura poetycka Francuzów była więc właściwie tylko karykaturą klasycyzmu; stanowiła począwszy mianowicie od połowy przeszłego wieku w obszarze nowoczesnej europejskiej poezji, jakiś zacofany, wyjątkowy zaścianek; i nie byłaby mogła ani na chwilę nosić nazwy wielkiej literatury, gdyby nie była własnością narodu, który pod innym względem nadawał ton całemu społeczeństwu i imponował.

Mimo to wszystko — kierunek tejto właśnie literatury wytykał więc drogi naszym pisarzom z epoki księstwa warszawskiego i poprzedzających ją czasów stanisławowskich, którzy po większej części na tej roli naśladowców i cudzego powodzenia wielbicieli poprzestawali. Nie ściągam tego, co tu mówię, oczywiście do Krasickiego, który zatrzyma w piśmiennictwie na zawsze niepoślednie znaczenie; ale Krasicki góruje tylko albo dowcipem albo rozumem — nigdy uczuciem i wyobraźnią. Inni jego współcześni, lubo czasem nie bez znamion wyższej poetyckiej zdolności, wystarczali — że tak powiem, na miejscowe i tylko tymczasowe potrzeby. Naród własny nucił ich piosnki: dalszy świat i wtedy i potem mało kiedy co o nich słyszał. Nie miano bo też u nas wtedy jeszcze żadnych do szerszej sławy uroszczeń i chętnie poprzestawano na chlubie, że się komu zdarzyło coś takiego, co żywo przypominało jakiego zawołanego rymotwórcę z za Renu, albo w razie szczęśliwszym jaką tiradę z umianej wtedy przez wszystkich literatów naszych na pamięć Eneidy...

Od roku 1820 począwszy, wszystko się zmieniło. Poeci nasi młodszy, dostrajając — pod artystycznym względem — lutni swoich na wysokość tonu, jakim brzmiała wtedy prawdziwa poezja w krajach postronnych, zaczęli czerpać natchnień z własnej krynicy narodu. Po raz pierwszy w mowie polskiej odżyły wtedy postaci dawno minionych wieków, wskrzeszone z całą świeżością narodowej prawdy i siły; pieśń gminna — ta skromna, ale wiekuiście zielona bluszczu gałązka, wiążąca dzień dzisiejszy z epoką pierwszych pokładów rodzimej cywilizacji, rozwinęła się w poemat i wyśpiewała nie-

jedną z tajemnic sztuki, o których się dawniej nie marzyło poetom. Wróce uczucia piersi własnej teraz dopiero znalazły wyraz, rymujący i z stanem duszy poety i z wyjątkowem położeniem narodu. Pękły skrzeple skorupy bezdusznej konwencyjności — natura wzięła górę nad sztuką — retoryzm ustąpił miejsca sile połączonej z prostotą — sentymentalną czułość zastąpiła rzewność i lzy gorące: po raz pierwszy od czasu Kochanowskiego stała się pieśń polska znowu prawdziwem zwierciadłem doli społecznej, i dyktowały ją idee w narodzie naszym wykołysane i będące dzisiaj pokarmem, wiarą, przyszłością naszą...

Właśnie z tego powodu zajęła poezya polska względem współczesnej europejskiej stanowisko nie tylko równej między równemi, ale co większa: okazała się jej najistotniejszym dośpiwem i niejako uzupełnieniem. Jest to jakby ton w akordzie niezbędny dla dokonania jego harmonii — ton trzeci, ostatni...

Pierwszorzędne potęgi poetyckie w dawniejszych epokach pojawiały się prawie zawsze z osobna Społeczeństwa całe, wieki całe składały się na wydanie mistrza, któryby uwagę więcej niż swego tylko narodu zwrócił na siebie. W trzynastym wieku Dante, w czternastym Pertrarka, na początku dopiero szesnastego Ariosto. O pół wieku później słynęli trzej prawie równocześni mistrzowie, lecz każdy z innego był narodu: Kamoens Portugalczyk, Tasso Włoch, Kochanowski Polak. Zajaśniał w kilkadziesiąt lat po nich Szekspir Anglik. Na przestrzeń siedmnastego wieku przypadają Calderon i Milton — każdy znowu z innego końca świata. Potem nastąpiło w literaturze powszechnej milczenie, pozornie tylko przerywane płonną gędźbą dworaczych, małodusznych, szkolnie udresowanych rymotwórców. — Od połowy dopiero osmnastego wieku daje się widzieć jedyne w swoim rodzaju zjawisko. Poezya prawdziwa odżyła. Powstał cały zastęp poetów, rówieśnych i coraz młodszych, którzy się do jej chóru jeden po drugim łączyli. Najprzód widzimy ich w Niemczech: Klopstock, Lessing, Herder, Wieland, Bürger, Goethe i Schiller. Ci siedmiu, otoczeni całą drużyną mniejszych talentów, zapełniają wiek osmnasty i podnoszą w kraju swoją sztukę na coraz wyższe szczeble potęgi. A kiedy w roku 1805 zabrakło Niemcom Schillera, kiedy Goethe już więcej aniżeli poezją, zajmować się zaczął teoryami światła i metamorfozy roślin: odezwał się od gór szkockich głos nowy, powszechną na się zwracający uwagę, godny tamtych antecedeny i z natchnienia i z całego kierunku. I tutaj znowu działało całe grono współczesnych, przodowali mu zaś ci trzej europejskiego rozgłosu, wielcy poeci: Walter-scot (od roku 1805), Tomasz Moore (od 1806), Byron (od 1808).

To był więc drugi ton w akordzie nowoczesnej europejskiej poezji. Między 1824 (zgon Byrona) a 1830 (ostatnie prace Waltera Scotta) dogasa i w angielskiej literaturze głębsze natchnienie. Lecz płonie ono świętym ogniem gdzie indziej. — Brodziński, Mickiewicz i ci wszyscy, którzy ich otaczali, dzierżyli w rękach swoich już lutnie.

W chwilach, kiedy to piszę, zamiera zdaje mi się i ten ton trzeci. A nie słyhać niestety nigdzie w świecie, żeby się ten akord dalej rozwijał. Na wierszokletach i rymotwórcach nie zabraknie w żadnym języku. Będzie sobie rzempoliła muzyczka, bez której obejść się już ludkowie nie mogą. Ale co się tyczy prawdziwych poetów, to się zdaje, że na długie czasy w bieżącej dziejów epoce zamknięta została złota ich księga. W rachunkach zatopiły się dni obecne; społeczeństwa tegoczesne pozbyły się nawet biernej zdolności pojmowania wielkich idei. Turkot fabryk przegłusza wszystko na świecie, a posunięta do cynizmu poziomność terażniejszych instynktów wybornie rymuje z rytmem tego turkotu. Kto wie, czy ów zbieg tyłu naraz pierwszorzędných zdolności w literaturach ostatniego stulecia, nie był oznaką, jakiego przesilenia w duchu społeczeństw? Może się poezya rozstawała z rzeczywistością życia na dłuższe czasy, i właśnie przeto, jak ta lampa zgasnąć mająca, chciała na pożegnanie zabłysnąć jaśniejszem światłem...

Wskutek takiego właśnie, jakżeśmy go w powyższem określili, stosunku między literaturą naszą a powszechną, poezya polska — mimo całej swojej skądinąd odrębności — okazuje się, zwłaszcza też w pierwszych czasach, w pewnej zawisłości od tradycyi celniejszych mistrzów postronnych. Dla tej też to właśnie przyczyny nazywała się ona wtedy *romantyzmem*. Sama nie wiedząc, jak przychodziła do tej nazwy, składała ona mimowolnie przez to jakby świadectwo swojej solidarności z angielską i niemiecką poezją, które u nas w owych czasach uważano za romantyczne. Okoliczność ta nie dowodzi jednak niczego przeciw oryginalności naszego piśmiennictwa. Oryginalność bezwarunkowa w ogóle może być tylko przymiotem albo literatur tak niepiśmiennych i że powiem samorodnych, jak naprzykład ludowe pieśniarstwo serbskie z czasu walk narodowych z Turkami, albo też takiej wyjątkowej literatury, jak starożytna grecka. Tamte nic jeszcze nie wiedzą o sztuce dalszego świata. Grecka zaś będąc w dziejach naszej cywilizacji pierwszą artystyczną literaturą, musiała się z konieczności i sama z siebie i samodzielnie rozwijać. Ale o żadnem z późniejszych a większego znaczenia piśmiennictwie europejskiem tego już powiedzieć nie można; gdyż każde z nich mniej lub więcej posił-

kowało się zasobami poprzednich. Podobnie też więc i nasi poeci brali z zewnątrz i popęd i pierwszy kierunek w swoim, że się tak wyrażę, uzdolnieniu technicznym; czerpali z studyów obcych wzorów świadomość artystycznych wymagań i t. p. Po za te zewnętrzne względy nie posuwa się jednak u nich to ich pokrewieństwo z obcymi pisarzami. Nie sięga ono prawie nigdy aż do istotnej dzieł osnowy, która nie tylko brana jest zawsze z obrębu rzeczy ojczystych, ale nawet tonem, barwą i dążnością odpowiadała jak najwierniej powszechnemu nastrowi ducha narodowego, jakim ten nastrój był wtedy. Prace naszych poetów są to prawie zawsze dzieła tchnące jakąś błogą, serdeczną i miłościwą pogodą ducha. Ton pieśni polskich wprawdzie jest przeważnie smętny i łzawy; mimo to jednak widać tu wszędzie silną wiarę w opiekę Opatrzności nad światem — w grunt natury ludzkiej ostatecznie szlachetny — w prędkiej czy później zapewniony tryumf idei dodatnich nad potęgami fałszu i złego, przeczącymi im i czasowo tłumiącymi ich panowanie nad światem. To też zwątpienie, rozpacz, bunt ducha, przekleństwa odtrącające, te tak przeważne znamiona poezji nowoczesnej angielskiej, równie wtedy były nam obce, jak metafizyczna mglistość, właściwa niejednemu z pisarzy niemieckich, i ta skłonność do gubienia się w nieznurtowanej zadumie. Nasze ideały mają zawsze coś realnego — wydobywamy je z pod serca naszego, cierpimy za nie; a po nad wszystkim unosi się religijna miłość Ojczyzny, głębiej i czystiej pojęta, niż w którejkolwiek innej literaturze.

Na takięto zatem czasy, wśród takiej w literaturze dążności i po tych zdarzeniach, stanowiących jej odrodzenie — przypało wystąpienie Słowackiego jako autora dwutomowej jego publikacji z r. 1832. Nim przystąpię do szczegółowego przeglądu rzeczy w tychże tomach zawartych, uważam za potrzebne rzucić najprzód i o nich także kilka ogólnych spostrzeżeń. Określenie to stanowiska Słowackiego wobec innych pisarzy wyjaśni nam najdokładniej, dlaczego te pierwsze dzieła jego nie zostały tak przez naród przyjęte, jak się tego autor spodziewał.

Zacznijmy mówić o tem, poczynając od dobrej strony. — Znamieniem znakomitej jego i pierwszorzędnej zdolności, choć nierozwiniętej jeszcze zupełnie, jest w dziełach tych przedewszystkiem zewnętrzna forma. Mimo tak młodego wieku poety — język, styl, wiersz, koloryt, obrazowanie i co tylko stanowi zewnętrzną szatę poezji, dosięgło już tutaj takiego wydoskonalenia, że pod tym względem nie ustępował początkujący ten pisarz żadnemu z ówczesnych poetów

naszych. — Niemniej świadczy o rzetelnych zaletach już tych młodocianych jego utworów ta okoliczność, że takowe na dłuższej z nimi znajomości nie tracą. Roboty miernych talentów zwykle najwięcej się podobają przy pierwszym czytaniu. Biorąc je po raz drugi do ręki, ogarnia czytelnika nuda — i nie podobna już wtedy pojąć, że się to mogło za pierwszym razem podobać. Z pismami Słowackiego ma się rzecz po większej części przeciwnie. Im się dłużej nad nimi zastanawiasz, im je częściej odczytujesz, tem więcej w nich wykrywasz niezaprzeczonych zalet. Zalety te są w znacznej mierze na pierwsze spojrzenie jakby niewidzialne dla czytelnika. Zdaje ci się, jakby one dopiero zwolna z dzieła występowały i odsłaniały się w miarę zajęcia, z jakim na nie spoglądasz. Najwięcej jednakże to w pracach Słowackiego podnieść należy, że je owiewa jakiś urok tonu, jakiś czar kolorytu dziwnie poetycznego, który się zresztą usuwa z pod analizy. Nie jest to myśl głęboka, nie jest to owa wieszczka mądrość i intuicyjne znanstwo serca ludzkiego, nie jest to wreszcie ani też siła woli męskiej, skłaniająca do podziwu w tworach mistrzów pierwszego rzędu. Z tego wszystkiego mało znajdziesz w dziełach, które mamy przed sobą. Ale uderza cię w nich natomiast jakiś wdzięk nieopisany, jakiś dziwnie melancholijny urok poetycznego na świat spojrzenia. Jest to zdaniem mojem, właśnie strona talentu Słowackiego, która go najwybitniej odróżnia od wszystkich innych naszych poetów, która stanowi najistotniejszą cechę jego oryginalności, która mu zapewnia nawet wobec większych od niego mistrzów stanowisko wyjątkowe w literaturze. Przed jego okiem widne są wszystkie barwy tęczowe poezji rozlanej po rozłogach życia ziemskiego. Najniklejsze, najtajemniejsze objawy jej przytomności pomiędzy nami, mówią do jego wyobraźni: jesteśmy! Gdzie wzrok zwyczajnego usposobienia nie widzi nic, jak pospolite kształty żywota, gdzie ucho najczulsze nie słyszy, jak tylko rytm powszechnego toku wydarzeń: Słowacki tam umie dopatrzeć i dosłuchać się jakby ostatnich tęsknych westchnień owej melodyi, która w poranku dziejów ludzkości była regulatorem życia na ziemi, a dziś już prawie zupełnie się wyniosła z obszarów bytu rzeczywistego. To też za dotknięciem jego ręki, przemienia mu się wszystko jakby w jakiś eter powiewny. Nie tyle jeszcze przekonują o tem autorskie jego utwory, ile listy tak zresztą od niechcienia pisane, że co tylko po imieniu nazwie co tylko wedle sposobu swego opowie, na czem tylko spocznie okiem: wszystko to przyobleka się w barwy, w kształty, w tony, o jakich drugim, na tosamo codzień patrzącym ani się marzy. Owoż więc, co nazywam spojrzeniem na

świat — nie z woli, nie przez sztukę, lecz z bezpośredniej natury poetycznym, w ściślejszem słowa tego znaczeniu.

Lecz właśnie ten dar oglądania wszystkiego jedynie w cudownych światłach poezji przyprawił poetę naszego o stratę zdolności pojmowania rzetelnych świata tego stosunków w ich warunkach rzeczywistych. Jest on na podobieństwo owych wieszczów mitycznej starożytności, którym bogowie w zamian za lutnię do rąk podaną i za poetyckie jasnowidzenie, odjęli widzenie przyrodzone i zamknęli oczy na wszystko, co ich zewnątrz otaczało. Słowacki nie miał zmysłu dla niczego, co się tylko zowie rzeczywistością. Zrażała go ona, bo mu nie była piękna; oburzała go, bo nie była mu zrozumiała. Stanowisko jego względem warunków, w jakich żyć ludziom wypadło, ponieważ je sobie sami tak a nieinaczej, stosownie do natury swej ustanowili, było najzupełniej ujemnem, wszystkiego odmawiającem, zaprzecznem. Nie przyznając im uprawnienia do bytu, uważając je za bezwarunkową negacyą tego, co być ma: w konsekwencyi też upatrywał we wszystkim, co ten normalny porządek świata naszego wstrząsa, zakłóca i targa, eo ipso za piękność, za poezyą, słowem za przedmiot godny współczucia poety. Nie zdając sobie sprawy ani z pobudek ani też z godeł, w imieniu których jedynie wolno jest w danej chwili wyzywać do walki ten ład normalny, na zbudowanie którego składały się pokolenia, narody, wieki całe trudu, cierpień i ofiar, poświęcał on pióro swoje najczęściej i najchętniej takim to właśnie walkom rozpacznym, bez względu czy je wszczynają siły do tego upoważnione, czy też raczej grzeszna i zbląkana tylko niemoc duchowa, w złudne przyodziana pozory bohaterstwa i poświęcenia. I oto właśnie, w czem się pomylił, w czem się rozminął nie tylko z duchem poprzedniej poezji naszej, ale i z instynktem lepszej części społeczeństwa narodowego.

Nie tylko w tej młodzieńczej życia jego epoce ale i później dążność ta, choć potem nieco złagodzona, nieraz się przebija w jego pismach. Nawet kiedy pracował nad Królem-Duchem, ostatniem swoim dziełem, widzimy go stojącego twardo przy takim przekonaniu. Oto je w tym poemacie wręcz wypowiada w następujących wierszach, które tem chętniej tu przytaczam, że nie mogły one znaleźć pomieszczenia w drukowanym kontekście tego utworu, z powodu, iż były rzucone luźnie gdzieś na brzegu jednej z kart manuskryptu.

„Ujrzałem wtenczas straszną tajemnicę,
Że duchy wszystkie lecą tam, gdzie boje,

Gdzie się trzaskają serca i przyłbice;
A z miejsc, gdzie ducha sen ma łożę swoje,

„Uchodzą: dziwna w pośmiertnych różnica
Z tymi, co wieczne tu marzą pokoje
I chcieliby mieć świat opasły, zdrowy —
Piekielni, z których drwi anioł grobowy!

„O! fałszu, ludziom z ciała niewiadomy,
Tęsknoto, królów spokojnych płacząca!
Wiedz, że ten lepszy, co na krew łakomy
Zda się jak orzeł, lud o lud roztrąca... i t. d.

Nie podlega wątpliwości, że w tych strofach jest wiele prawdy. Spokój, sen ducha, nieczynność — to martwość. Bój, ruch, prąd naprzód — to przyrodzone prawo duchowe. Ale gdyby to zdanie Słowackiego postawić w jego sposobie na czele wszelkich prawd innych i zrobić zeń regulatora postępków dla wszystkich ludzi: w co by się to wtedy zamieniła ta ziemia nasza i życie na niej?

Ale to jeszcze nie wszystko. Na tem tle wyobrażeń, stanowiących u Słowackiego przez cały jego zawód to co nazywamy pospolicie filozofią poety, daje się widzieć w młodzieńczych jego latach jeszcze jedna doktryna, a dzieła jego z roku 1832 są prawie wszystkie właśnie manifestacją takowej. Słowacki przypuszczał dwie niejako natury ludzkie. Zwyczajny ogół — mniejsza o to, czy z głów koronowanych, czy z nędzarzy złożony — to gawiedź, to „tłum“. Po za tym tłumem zdarzają się, wprawdzie rzadko i wyjątkowo, ludzie całem niebem różni od zwyczajnych kreatur ludzkich. Są to wedle poety duchy wyższe, jakby przez przypadek tylko i nieporozumienie przysłane na ten nasz padół. Czy to są istoty dobroczynne dla rodzaju ludzkiego? Czy oni odsłaniają tu bliźnim swoim lepsze drogi żywota? Czy zostawiają po sobie w czynach, w śladach lepiej przepędzonego życia, wdzięczną pamięć o sobie? — Bynajmniej! Nasz autor pojmuje tę ich wyższość, tę ich demoniczną wielkość, w zupełnie przeciwny sposób. Są to duchy, z którymi on wprawdzie sympatyzuje całem sercem i aż zanadto, które jednakże mimo tego i same są najnieszczęśliwsze i dla drugich złowrogie. Między warunkami ich szczęścia, a tem co świat zwyczajny poczytuje sobie za szczęście, nie ma żadnej wspólności. Co ludzi cieszy, dla nich jest niczem; co ludzi zaprzęta i zaspakaja, ich nudzi; a czego oni pragną, to przy tych okolicznościach, jakie są, wcale nie może być osiągniętem na ziemi. Są to więc otchłanie uczuć gorejących. góry woli, trawiącej się w sobie; są to

tytany: ale postawione po za wszelkim stosunkiem ze światem i z tem, co na nim jest. Wielkości takie nazwałaby matematyka nieobliczonymi, niewymiernymi wielkościami (*irrationales, incommensurabiles*) Ich życie między resztą rodu ludzkiego — jest to zdaniem autora, jedno pasmo cierpień, zawodów, jęków, krzywd, zbrodni, przekleństw i wszelkiego rodzaju rozdzwięków. Jest jakby jakiś wiszący nad ich głowami fatalizm, który wszelkiej ich styczności z ludźmi taki zawsze nadaje obrót, że oni sami celu swego nie osiągną, niweczą wszystkie warunki spokoju i szczęścia drugich. To też marzą oni ciągle o samobójstwie, narzekają na przesyć życia, celu żadnego przed oczyma nie mają, nic ich nie wiąże do świata, gardzą ludźmi, nienawidzą wszystkiego, na czem świat stoi: i narobiwszy zamętu i klęsk na całej drodze swego żywota, przeklinani, przeklinając, kończą marnie jako niby ofiary przewrotności świata i zwyczajnej natury ludzkiej. — Do tego typu odnieść należy i Araba i Mnicha i Mindowę i Bieleckiego i Żmiję i Botwela w Maryi Stuart. Tak rozmiłowany był nasz autor w ideałach tego rodzaju, że ciągle więc jednego człowieka w dziełach swoich wprowadza, pod zmienionem tylko zawsze nazwiskiem! Wielka musiała być w nim wtedy gorycz dla ludzi, kiedy ten temat mizantropii i zwątpienia nie ustępował mu z oczu!

Rzecz oczywista, że tego rodzaju doktryna, pozbawiona wszelkiej podstawy, nie mogła trafić do przekonania powszechnego, kiedy się ukazały te pierwsze tomy poezji Słowackiego. Ogół nie mógł wcale rozumieć, o co autorowi chodzi? Dzieła poprzednich poetów były im zrozumiałe, bo tchnęły miłością ku ludziom. Społeczeństwo polskie jest z natury dobroduszne, optymistyczne. Nieraz ono aż zbyt daleko się posuwa, spodziewając się wszystkiego, co dobre; wierząc w dobrą wolę wszystkich; kochając to co swoje, co ludzkie — nawet z błędami! W tem się więc aż do owego czasu dążność poezji, która pragnęła podnieść ludzi, ale ich wzgardą nie odtrącała, z usposobieniem społeczności naszej spotykała na jednej drodze. Punkt wyjścia Słowackiego wcale nie był z takich przypuszczeń. Miłość ludzi, jakimi oni są stworzeni, nie należała wcale do jego przymiotów. Stawał jako ideały, jako bohaterzy w swoich dziełach takiej natury, które (choćby ubocznie) dowodzić miały, jakie to życie jest nędzne, a my sami jacy małuczcy i podli! Choćby to była i prawda: — to i jakież skutek być może takich dowodzeń? Uderzać na błędy, na głupstwa ludzkie... rozumiem. Ale cóż pomoże utyskiwać nad naturą człowieka? My tego nie odmienimy! Wyrzekać na to — jest to samo, jak kiedyby kto

wyrzekął, że w styczniu jest bardzo zimno, a w lipcu znowu zbyt gorąco. — I społeczeństwo nasze wie o tem, że bywają pomiędzy ludźmi natury wyjątkowe, że się zdarzają czasem duchy potęgi i zdolności większej, aniżeli zwyczajna. Ale wystawiamy sobie stosunek onych do reszty ludzi zupełnie inaczej. Prawdziwie wielki człowiek — to chluba wieku, to największy dar boży, jakiego dostępują narody, to dobroczyńca społeczności, która go ma...

Julian Klaczko.

Urodził się w Wilnie w roku 1823. W dzieciństwie już okazywał niezwykle zdolności. Nauki odbył w Królewcu. Po ukończeniu uniwersytetu w r. 1848 skompromitowany przed rządem pruskim w ówczesnych wypadkach poznańskich, udał się do Heidelberga, tam się dalej kształcił pod kierunkiem Gerwinusa i był jego ulubionym współpracownikiem w redakcyi pisma *Deutsche Zeitung*. Po r. 1850 przeniósł się do Paryża. Po wojnie wschodniej założył razem z Kalinką *Wiadomości polskie*. W tych okazał się odrazu pisarzem pierwszego rzędu, umysłem politycznym niezmiernie bystrym, znawcą i sędzią w rzeczach literatury i sztuki, zarówno wyborynym przez wielką naukę jak przez wrodzony smak; stylistą niezrównanym. Każdy jego okres jest doskonały; a siła uczucia dochodzi u niego do takiej wymowy, dowcip do takiego blasku, jakich żaden z współczesnych mu prozaików nie dosięgnął. Z politycznych jego rozpraw najświetniejszą jest *Katechizm Nierycerski* (przeciw Mierosławskiemu); z krytycznych *Sztuka polska*, jakkolwiek (mylnie) nie wróży tej sztuce przyszłości.

W myśli zapoznania zagranicy z literaturą polską napisał Klaczko rozprawę o Zygmuncie Krasińskim po francusku, pod tytułem *Le Poète anonyme de la Pologne*. Ogłoszona *Revue des deux mondes* (1862) praca ta zjednała mu u Francuzów sławę wielkiego pisarza: mówili znawcy, że mało liczy Francya pisarzy tak w swoim języku doskonałych, jak Klaczko. W treści była rozprawa ta wspaniałem, a choć krótka, zupełnie wystarczającym, objaśnieniem poezyi Krasińskiego.

Wypadkami roku 1863 przygnębiony, milczał Klaczko przez lat kilka. Po r. 1866, chwycił znowu za pióro i wykazał na wojnie duńskiej i austriacko-pruskiej związek tych niepowodzeń polityki francuskiej i austriackiej z błędami popełnionymi w sprawie polskiej. Pisząc dla świata zagranicznego, musiał posługiwać się językiem francuskim. *Deux Etudes de diplomatie contemporaine* zrobiły wielkie wrażenie: podniosła takowe jeszcze druga praca *Les deux Chanceliers*, zestawienie Bismarka z Górczakowem. Polityczny rozum i pisarska zdolność tak uderzyły wszystkich, że ówczesny minister spraw zagranicznych w Wiedniu, hr. Beust, zaprzagnął przywiązać człowieka tej wartości do swego Ministerjum. Klaczko wstąpił w służbę austriacką; został posłem na Sejm i do Rady państwa: ale gdy podczas wojny prusko-francuskiej wypowiedział mowę pełną obu-

rzenia na Prusy, sprzeczną z widokami swego zwierzchnika, podał się do dymisji.

Żył potem przez lat kilka we Francyi, później powrócił do Austrii. ale zboleały smutnym obrotem spraw politycznych nie miał serca o nich pisać. Niechęący prawie, żeby myśl od tych smutków jako tako oderwać, zaczął się zatapiać na nowo w przedmiocie swoich młodocianych uniesień, w Dantem. Owozem tych studyów były ogłoszone w r. 1880 w *Revue des deux Mondes*, Wieczory florenckie (*Causeries Florentines*) rzecz rzucająca niezmiernie wiele nowego światła na tę wielką postać a napisana przepysznie (na polskie przetłumaczona przez St. Tarnowskiego).

Obecnie mieszka Klaczko w Krakowie i pracuje nad studjum o epoce odrodzenia, w szczególności o Papiestwie w tej epoce. Niektóre rozdziały tej zaczętej pracy ukazywały się już w *Revue des deux Mondes* i były z uniesieniem przyjęte przez znawców. (Juliusz II.)

Z Wieczorów florenckich.

Komandor. Imię Michała Anioła oznacza zawsze i we wszystkim walkę, nieustanne naprężenie i sprzeczności najostateczniejsze. Żeby zacząć od zewnętrznych okoliczności jego życia, zapytam, czy nie znać w nim ciągłej rozterki pomiędzy religijnymi i politycznymi przekonaniem chrześcijanina i patrioty, a koniecznościami nieprzelamanymi jego artystycznego zawodu i powołania. Uczeń Savanaroli, uczeń Danta, natura surowa i ascetyczna, dostaje się do Watykanu w chwili powszechnego rozpasania, w chwili, kiedy po żelaznym i wojowniczym Juliuszu nastala miękka zniewieścialsłość dworu i czasu Leona. Republikanin zacięty, z duszą pełną marzeń o dawnej wielkości i dawnej wolności Florencyi. musiał przyjmować opiekę Medyceuszów, i mieć wdzięczność dla ujarzmieli, ciemniejszych swej ojczyzny. A w jego zawodzie artystycznym co za niezliczone sprzeczności, jaka uieubłagana ironia losu. On wiedział — mówił to przy każdej sposobności — że malarstwo nie było jego właściwym polem, że tylko z dłutem w rękę czuł się swobodnym, sobą samym, panem, i trzeba było całego despotyzmu Juliusza II, całej stanowczej energii Pawła III, żeby gwałtem wetknąć pędzel w tę rękę, która tylko marmur kuć chciała. A tymczasem w malarstwie jedynie, we freskach, danem mu było stworzyć dzieła skończone i zupełne, a nie mógł nigdy wykonać ani mauzoleum z kościoła San Lorenzo, ani tego nagrobka Juliusza II, który w starości nazywał wielką tragedją swojego żywota. Nie dość na tem: nawspak zwyczajnemu normalnemu rozwojowi sztuki, w którym architektura naprzód, rzeźba po niej,

a malarstwo na ostatku, rozwijają się w następstwie czasu: w nim malarz Sybill i Proroków wyprzedził rzeźbiarza Mojżesza i grobu Medyceuszów, a jeden i drugi ustąpił miejsca budowniczemu śgo Piotra. Nawspak także zwykłej powszechnej historii ludzkiego serca, uśmiech i wdzięk kobiety rozjaśnia nie młodość Michała Anioła, lecz jego starość. Vittoria Colonna była jego pierwszą i jego jedyną miłością; zakochanym i poetą widzimy go dopiero w sześćdziesiątym piątym lub siedemdziesiątym roku życia. Jeszcze jeden szczegół dziwny: ten niespracowany robotnik, co przez pół wieku z nadludzką prawie siłą dzierżył pędzel, dłuto i cyrkiel, o którym Błażej de Vigenère mówi, że widział go, jak „w latach przeszło sześćdziesięciu „w ćwierć godziny więcej odłupał kawałów bardzo twardego marmuru, „niż trzech młodych kamieniarzy razem w trzy razy dłuższym „przeciągu czasu, a odbijał je z takim zamachem i siłą, że się bałem, „by cały marmur nie rozleciał się w kawały“, — ten robotnik żelazny a tak wzniosły, był mańkutom! I tak wszystko w tym nadzwyczajnym człowieku i życiu jest jakieś przekręcone, przewrócone, inne niż być miało

A jeżeli teraz przejść zechcemy do zewnętrznych okoliczności jego artystycznego żywota, do tego, co było jego istotą samą, jego wewnętrznym utajonym i najcięższym trudem, znajdziemy tam dopiero rozterk nierównie boleśniejszy jeszcze, fatalność jakąś przyniatającą i nieubłaganą. Kto bowiem obejmie całe dzieło Michała Anioła i zda sobie z niego sprawę, ten zobaczy jasno, że mistrz nosił w duszy cały jakiś świat nieograniczony i nieokreślony, dla którego szukał przez całe życie słowa twórczego, tego stań się, które z zamętu wprowadza ład; że przez całe życie dręczył go jakiś ideał nieznan, nieprzeczuwany przez nikogo, niezależny od wszystkich odziedziczonych pojęć i tradycji sztuki, leżący gdzieś po za klasyczną i po za chrześcijańską tradycją. Próżno szukałby kto w jego freskach czy w jego marmurach olimpijskiego odblasku rzeźby greckiej jaki spada na Psyche, na Galateę, na Herodiadę i Roksanę, i na same nawet Madonny Leonarda, Rafaela, Luiniego Sodomy lub Andrzeja del Sarto. Nie znać go nawet na tych jego kreacyach, które powinnyby być w pokrewieństwie z Olimpem i ze starożytną sztuką, jak Bachus, jak Cupido, jak Apollin lub te alegoryczne figury z grobów Medyceuszów, do których tak widocznie z mytologii czerpał natchnienie. Aurora i Noc o formach tak potężnych a tak surowych i twardych, w postawach tak gwałtownie wykręconych, tak niespokojnych, nie przypominają wcale bóstw Homera i Praksitelesa. Nikt lepiej od Michała

Anioła nie czuł, nie podziwiał starożytnej rzeźby, nikt się na niej więcej nie uczył. A przecież ze wszystkich tych arcydzieł starożytnych, które tak kochał i wielbił, przejął jeden tylko ich warunek, i to czysto zewnętrzny, tę nagość, którą tak lubił przedstawiać zawsze i wszędzie, że jej nieraz nadużył. Ale tego, co jest duszą samą starożytnej sztuki, pogody myśli i harmonii wyrazu, tego Michał Anioł nie przejął i tem ani jedno z dzieł jego nie jest natchnione. On z umysłu, z postanowienia, nie troszczył się o plastyczną piękność sztuki greckiej, jak z umysłu także i do końca nie dbał o mistyczny wdzięk sztuki chrześcijańskiej. Nie znam drugiego geniusza, któryby tak jak Michał Anioł zerwał był gwałtownie z całą hieratyczną tradycją swojej sztuki, któryby tak był się oderwał od całego jakiegoś historycznego kierunku i od jego rezultatu, na który przez całe wieki składała się wiara i wyobraźnia europejskich narodów. Nieśmiertelni mistrze odrodzenia nie zapierali się tej przeszłości ani ją zaniedbywali. Przyjęli jej tradycję z uszanowaniem; oni ją tylko wyzwolili, i w tem dali sobie pewną miarę wolności, że chcieli ją odmłodzić zapomocą większej biegłości i znajomości rzeczy, zapomocą smaku wykształconego na doskonałych wzorach sztuki starożytnej Leonardo, Rafael, Luini, Fra Bartolomeo, del Sarto, mają sferę natchnień tę samą, co ich średniowieczni poprzednicy: malują te same zawsze sceny z Ewangelii, te same legendy świętych, te same postaci Zbawiciela, Matki Najświętszej, Apostołów, z ich raz na zawsze przyjętym uświęconym typem, z ich symbolami i godłami; zostają w tym samym cyklu religijnych i poetycznych przedmiotów i natchnień. Więcej biegłości w układzie, kompozycya prostsza a swobodniejsza; objawiony świeżo świat klasyczny owiał swoim tchnieniem te ciała niegdyś chude, wątłe, wymacerowane, i przywrócił im zdrowie, piękność i okazałość. Symbolika dawniejszych wieków, dziwaczna często a ciężka i bez polotu, wyszlachetniała pomału, stała się lekką i subtelną. Te byzantyńskie złote tła naprzykład, jednostajne i gładkie, ta złota płaszczyzna, którą lubi jeszcze Cimabue i jego szkoła, rozdziela się pomału, zniejsza się stopniowo, i zostaje tylko jako aureola około świętych lub boskich postaci; a sam ten nimbus, który zrazu jest szerokim złotym jaskrawym kręgiem lub koroną o mnóstwie promieni i zębów, schodzi w końcu, w obrazach z XVI wieku na światłość delikatną i przejrzystą, która otacza głowy wybranych, a przypomina te lekkie i lotne płomienie, jakie rzeźba grecka kładła czasem nad czołem niektórych posągów. Podobnie wszystkie te małe *putti* z epoki odrodzenia, których lekkie skrzydełka i figlarne uśmiechy przypominają

starożytne amorki, pochodzą przecież w prostej linii od tych niebieskich posłańców, którym pędzel Giotta dawał skrzydła tak wielkie, że od stóp do głów całą postać zakrywały; a te same chóry anielskie, które Fra Angelico malował zbite, ściśnięte i wygrywające na trąbkach, cymbałach i przeróżnych instrumentach, te same ukazują się nam jak za mgłą lub lekkim obłokiem, w tem tle złożonem z niezliczonych główek anielskich, na którym w swoim majestacie niezrównanym stoi Syxtyńska Madonna. I tak co chwila, na każdym kroku wychodzi na wierzch złota nić tradycyi w tej wielkiej wspaniałej tkaninie wieków: pomiędzy freskami w *Stanzach* a freskami w Padewskim kościółku *Areny* nie ma przerwy, nie łamie się ciąg i pochodzenie jednych od drugich, a za tą samą nitką idąc w górę, można ten sam zawsze wątek znaleźć w miniaturach naszych najstarszych mszałów, i w samych nawet Raweńskich mozaikach.

Od tej ogólnej cechy wspólnej wszystkim mistrzom epoki odrodzenia, jedna tylko odstępuje i wyzwala się, jedna systematycznie stanowi oczywisty i w oczy bijący wyjątek, sztuka Michała Anioła. On, występuje sam jeden, dumny w swojej samotności, bez związku i pokrewieństwa ze szkołami współczesnemi, bez pochodzenia od dawnych. Odrzuca całą tę wielką spuściznę wieków: cały ten bogaty skarb wierzeń, podań i fantazyi, uważa za niebyły: nie chce wiedzieć o całym (jeżeli się tak wyrazić można) rytuale estetycznym i obchodzi się bez jego przedmiotów, jego typów i jego form. W całym nieprzeliczonem mnóstwie jego dzieł, nie przypominam sobie ani jednej głowy otoczonej aureolą, ani jednej postaci skrzydlatej (z jednym wyjątkiem Bonońskiego Anioła, dzieła młodości); i tak samo ma się rzecz z wszystkimi innymi symbolicznymi przyborami sztuki. Żaden znak zewnętrzny i stale przyjęty nie odznacza u niego Apostołów świętych lub wybranych, i nie odróżnia ich od potępieńców: a tem mniej jeszcze szanuje on i zachowuje tę modłę, podług której ludowa i artystyczna tradycja odlewała ewangeliczne postacie i ustaliła ich rysy. Samowolę swoją w tej mierze posuwa tak daleko, że pozwala sobie naruszyć najświętszy i ze wszystkich najbardziej tradycyą uświęcony typ Chrystusa, przerabiać tę twarz, która od tylu wieków od biła się na wszystkich sercach chrześcijańskich, jak na tyłuż chustach Weroniki i pośród aniołów bez skrzydeł i świętych bez aureoli maluje w Watykańskiej kaplicy Boga-Człowieka bez brody! Piekło jest tam bez ognia, ciała potępionych nie okrążają płomienie, nie liżą ogniste języki, pośród których malowali ich zawsze mistrze dawniejsi, w tem jak we wszystkim wyobraziciele wierni pojęć i wierzeń swego

czasu. Michał Anioł tymczasem z umyślną i obrachowaną śmiałością, jako artysta ani się pyta o te wierzenia, a przedmioty swoich natchnień bierze zawsze i nieodmiennie z po-za sfery już przez poprzedników wyczerpanej, z tych nieznanych i nieokreślonych regionów, w których jego twórcza potęga może bujać swobodnie jak i gdzie tylko zechce. Kiedy Juliusz II polecał mu po raz pierwszy ozdobić freskami Syxtyńską kaplicę, chciał, żeby mu Buonarotti wymalował dwunastu apostołów; przedmiot ten był doskonale dobrany tak do stanowiska Papieża Mecenas, jak i do treści tych malowideł, któremi mury były już w znacznej części pokryte. On tymczasem zamiast Apostołów wymalował Proroków i Sybille, kreacje kolosalne, niezrównane, ale które na tem miejscu nie mają żadnego powodu ni prawa bytu, prócz jednej tylko absolutnej woli artysty. A to były dopiero jego pierwsze kroki na tej wspaniałej a samotnej i strasznej drodze, po której miał iść przez pół wieku z górą, deptając tradycją. Mojżesz, Dawid, Sybille i Prorocy, wszystkie te kreacje oryginalne Michała Anioła, czyż nie dowodzą właśnie, jak on we wszystkim chciał wyzwolić się od tradycyi i oddalić od tego, co było przyjęte, dane, ustalone zwyczajem? Proszę uważać, że wszystkie te postacie należą do świata leżącego odłogiem, zaniedbanego przez artystów średniowiecznych, którzy w prostocie ducha trzymali się zawsze postaci, które znali, do których się przywiązali z Ewangelii. Michał Anioł pierwszy, śmiem twierdzić bez wahania, zajrzał do starego Testamentu i szukał natchnienia w jego wielkich i groźnych postaciach. Cóż on wymalował na sklepieniu Syxtyńskiej kaplicy? Upadek człowieka, potop, śmierć Goliatha, ukaranie Amana, srogi czyn Judyty: a ani to sklepienie ani żadne inne dzieło Michała Anioła nie mówi o Zwiastowaniu, o Narodzeniu, o Ostatniej Wieczery, o ukochanym Zbawiciela uczniu, o świętych niewiastach, ani o przypowieściach, o żadnym zgola z tych obrazów pełnych miłości i wdzięku, które w duszach swoich nosili mistrze chrześcijańscy. Żaden z tych naodwrot, nie myślał nigdy o Mojżeszu, o prorokach, ani o Sybillach. A między temi biblijnemi natchnieniami malarza Syxtyńskiej kaplicy, jakże nie wspomnieć o najpotężniejszym, najbardziej może zdumiewającym ze wszystkich, o Bogu, Stworzycielu świata i człowieka? Pięć czy sześć razy powtórzył Michał Anioł na sklepieniu ten typ Ojca Przedwiecznego, pokazał go w różnych chwilach Genezy i w całej różnaitości wyrazów, od twórczego popędu aż do patryarchalnej powagi, a twarz, jaką on Mu nadał, stała się kanonem dla całego chrześcijańskiego malarstwa, arcytypem na wszystkie przy-

szłe wieki, wyobrażeniem najdoskonalszem Boga Ojca, którego sam Rafael w Loggiach tknąć i zmienić się nie poważył. Ci nawet, którzy względem Dawida, Mojżesza, lub tego czy owego Proroka mieliby jakieś wątpliwości i robili jakieś zastrzeżenia, nawet ci muszą przyznać, że przez swoją Genezę Buonarotti uzupełnił nasze religijne malarstwo kartą jedną z najszczytniejszych i wzniesionych nad wszystkie zmiany czasów czy cywilizacji, kartą, której jak nowość i oryginalność, tak i prawowierność nie podlega żadnej wątpliwości. Ale czy nie jest to dziwnem i charakterystycznym, że ten, który nigdy prawie nie zdołał wymyśleć i wykonać Chrystusa, znalazł od pierwszego razu i ustalił typ Jehovy?

Był jakiś pociąg wrodzony, jakaś, powiedziałyby Goethe, *Wahlverwandschaft*, między ponurym i namiętym malarzem a pojętymi zawziętymi bohaterami Izraela. Oprócz tej wewnętrznej sympatii był w tych postaciach ten jeszcze dla niego urok, że sztuka średniowieczna nie była ich na swój sposób ukształciła, że przez nikogo nietknięte poddawały się łatwiej natchnieniom jego geniuszu, nieznoszącego żadnej zależności od chrześcijańskiego, jak i od klasycznego ideału, od prawdy w naturze, jak od prawdy historycznej...

Przez śmiałość i pewność siebie w sposobach robienia, przez ideał niezupełnie jeszcze określony i wyrobiony, dzieła Michała Anioła są w historii sztuki czemś wyjątkowem, fenomenalnem, jedynem; nic drugiego, nic równego, nic podobnego ani pokrewnego. I napróżno szukałby kto w sztuce starożytnej czy nowszej drugiego przykładu, drugiej takiej próby stworzenia nowej sztuki, próby z cechą tak wyłącznie osobistą, tak kolosalnej w rozmiarach, i tak, niech się godzi dodać, zuchwałej.

Że ta próba stała się dowodem jednym z najchlubniejszych ludzkiej siły i twórczości, że wydała dzieła, które wieki po wiekach kornie będą podziwiałały, prawda to, której dowodzić nie trzeba. A jeżeli nawet usiłowanie było zbyt samowolne i zbyt nadzwyczajne, to miało przecież niezaprzeczenie swoją stronę dobrą, i wywarło zrazu wpływ dobroczynny w całym przestronnym zakresie fantazyi i sztuki. Bez tego silnego wstrząśnienia, jakie przyszło od dzieł i geniuszu Michała Anioła, kto wie, czy sztuka XVI wieku nie byłaby rychło zleniwiała i rozpieściła się pod działaniem łagodnych miękkich prądów i powiewów odrodzenia; a sam Rafael nawet — któż nie przyzna, że jego dusza czulsza i miększa, nabrała nowego i silnego popędu z fresków kaplicy Syktyńskiej. Dość przejść w Watykanie z jednej Stanzy do drugiej, od kamery della Segnatura do

Heliodora, by się przekonać, że posunęły się dalej granice twórczości, że rozszerzył się horyzont, a sam wzrok artystyczny zaczął sięgać dalej pod wpływem tej rewolucji, którą usiłował zrobić Michał Anioł i jej skutkiem. Ale i to zaprzeczyć się nie da, że ta rewolucja jak niejedna inna, nosiła w sobie pierwiastki niebezpieczne i chorobliwe, że z tego, co obiecywała, niewiele miała dotrzymać, a zważyć więcej daleko niż zbudować. Nigdy nie zrywa się bezkarnie z tradycjami i spuściznami przeszłości, nigdy bezkarnie nie zrywa się człowiek na przerabianie tego, co zrobił czas i Bóg. W zakresie sztuki naprzykład, która nas tu jedynie obchodzi, uporczywa gonitwa za tem co nowe, doprowadziła rychło do tego co dziwaczne; a żądza nadzwyczajności doprowadzić musiała koniecznie do potworności. Przedsięwzięcie Michała Anioła nie mogło także wyłamać się z pod tego nieubłaganego prawa, które starożytni ze swoim delikatnem uczuciem miary nazywali zemstą bogów. Nadzwyczajność, dziwactwo, potworność, oto są cechy jego dzieł, które zaraz na pierwszy rzut oka uderzają prostodusznego nawet widza; i przez rozwagę dopiero, przez przyzwyczajenie, przez studia dochodzimy do tego, że się z temi dziełami godzimy, że w nich znajdujemy upodobanie i źródło zamąconych zawsze ale wielkich rozkoszy. Niejeden pomysł Buonarrottego, niejedna jego kompozycja, niejedna chęć lub zachcenie, są tak dziwne, że każą myśleć o rozkielznanej wyobraźni i szalonych wymysłach najdziwaczniejszych z rzymskich cesarzy. Ten kolos, który on chciał wykuć z jakiejś góry koło Carrary, to jeszcze nic; ale nie wierzy się własnym oczom, czytając ten sławny list, w którym on podaje myśl wzniesienia we Florencyi posągu, w którego wnętrzu miałyby się mieścić sklepienie, którego ręka z rogiem obfitości byłaby kominem, a którego głowa ogromna, służyłaby za dzwonicę kościołowi Śgo Wawrzyńca. „Głos dzwonów wychodziłby przez usta, „a wtedy zdawałoby się, że ten olbrzym woła litości, zwłaszcza „w dnie świąteczne, kiedy bitoby we wszystkie i w największe „dzwony“. O ileż słuszniej dałby się do niego zastosować ten przydomek *molium avidus*, który współcześni dawali jego protektorowi Juliuszowi II, zwłaszcza, gdyby rozumieć to słowo w jego podwójnem łacińskiem znaczeniu, w znaczeniu wielkich ogromów i wielkich udręczeń zarazem.

... W jego przeznaczeniu czy może w samej istocie jego geniuszu było to, że cały zawód jego zamykał się w nieustających początkach czegoś, w szczytnych pomyłkach, z których przechodził w rozczarowania i zwątpienia bez miary. W swoich natchnieniach i ze swojemi

poczetami ideałami miewał on takie same roztargnienia myśli i wyobraźni, jakie miewał nieraz, jeżeli mamy dać wiarę świadkom, przy materyjalnej robocie z bryłami marmuru. Brał się do nich z niesłychanym popędem i zapałem, zaczynał ciosać, a nie wymierzył ich przedtem dokładnie, nie obliczył proporcji, i spostrzegał się po czasie, że jego pomysł nie mógł się zmieścić w rozmiarach danego materyału. Nie zachwiała to nigdy jego wiary w prawdę własnego ideału, ani szlachetnej pewności z jaką polegał na swoim geniuszu; ale nie śmiałbym ręczyć, czy w pewnych chwilach on nie przestawał wierzyć w swoją sztukę. Nie miał się naprzykład za malarza; powtarzał zawsze, że architektura to nie jego rzecz, a choć lubił zwykle, żeby go nazywano rzeźbiarzem, to w pewnych chwilach i ten tytuł z gniewem odrzucał. W jednym ze swoich listów upomina, że adres Michelangelo scultore jest niewłaściwy: „jego nazwisko“ — mówi — „jest Michelangelo Buonarotti, a żadnych „obstalunków posągów czy obrazów nigdy nie przyjmował. Pracował „tylko dla trzech Papieży bo nie mógł się im wymówić“... A więc ani malarstwo, ani rzeźba, ani architektura, nie mogły zda się wystarczyć mu jako wyraz tego, co miał w głowie: zdawałoby się, że chciało mu się jakiejś sztuki jeszcze innej, nowiej, nieistniejącej, sztuki tak nieznannej, tak niezmierzonej i tak wyłącznie jego własnej, jak ten świat, który żył w jego duszy.

To w każdym razie jest zupełnie pewnem, że nie wysoko wcale cenił sztukę współczesną, a do wielkich mistrzów Odrodzenia miał wstręt nieprzezwyciężony. Miał on jedną z tych natur potężnych i namiętnych, które bywają wyłączne i absolutne we wszystkich swoich uczuciach, w miłości tak samo jak w odrazie. Rafael był w jego oczach „zazdrośnikiem“ i miał daleko więcej „usilności i pracy niż geniuszu“. Czemże zresztą być miały freski wspaniałe Sykstyńskiej kaplicy, i to od początku, ze świadomym jego zamiarem, jeżeli nie głośnem i uroczystem wypowiedzeniem wojny całemu malarstwu, jak je aż do tej chwili pojowano i uprawiano? Prawda, że w pierwszej chwili nikt się nie spostrzegł, i że nie widziano ani nawet małej rewolty w tem, co było ogromną rewolucją. Olsnieni, zachwyceni, stali ludzie przed tem sklepieniem, i na to tylko, żeby użyć wyrażenia Göthe'go „mieli oczy, żeby podziwiać wielkie oczy Michała Anioła“, to oko duszy, ten zmysł nowy, którym on na naturę patrzył i objawiał ją zdumionej ludzkości.

Rafael z młodzieńczą dobrą wiarą i prostotą, i z tym niezrównanym a wdzięcznym instynktem pszczoły, jaki mu był właściwym,

zaczął się zaraz uczyć na Prorokach i Sybillach, i szukał w nich natchnień nowych, których ślady znajdują się od tej chwili w niejednych jego freskach, a wyraz najdoskonalszy i najbardziej niezależny może w jego kartonach z Hampton-Court. Niejeden mógł wtedy uwierzyć dobrodusznie w połączenie obu mistrzów i obu kierunków, tak jak sam łączył w jednym uwielbieniu groźną *Terribilità* Michała Anioła, i niebiańską Rafaela gracyę. Ale Buonarotti pozostał głuchym na wszystkie takie mowy i namowy, i zamknął się w uporczywym ponurem milczeniu — z którego wyszedł po latach trzydziestu dopiero.

Mało znam widoków tak przejmujących, tak pełnych głębokiej nauki, jak widok Michała Anioła i jego zaciętego milczenia w ciągu tych lat pamiętnych. Skończył Proroków i Sybille, swoje dzieło najdoskonalsze, swoje arcydzieło, rzucił to śmiało wyzwanie całemu malarstwu swego czasu, i wyjechał z Rzymu. Osiadł stale we Florencyi i przez dwadzieścia pięć lat nie tknął się pędzla. Przez całą tę ćwierć wieku nie znalazł ani jednego słowa zachęty dla mistrzów, których w Rzymie zostawił, ani dla tych, co po różnych miejscach błyszczeli w tym zawodzie i wreszcie jedni po drugich schodzili do grobu. „Wiesz zapewne Mistrzu, jak skończył ten biedaczysko Rafael (*quel povero di Raffaello*), który cię nie jednej przykrości nabawił, co niech mu Bóg przebaczy“, pisze do niego wierny Sebastiano del Piombo: a on nie protestuje wcale. Nie ma on ani jednej łzy dla Rafaela, tak samo jak dla Leonarda, Luiniego, Andrzeja del Sarto, Correggia: jak nie ma jednego spojrzenia dla ich najpiękniejszych obrazów. Pracuje nad grobowcem Medyceuszów, i myśli niekiedy o grobowcu Juliusza II i o swoim Mojżeszcu: a ten Moyses surgens skupiony w sobie i groźny, podobny jest nieco do niego samego jakim był w tej chwili. Bo i on także ma w duszy gniew i oburzenie, kiedy widzi, że ludzie fałszywym bóstwom palą ofiary: on się miarkuje i siedzi spokojnie, ale czuć, że lada chwila podniesie się i wybuchnie. I podniósł się pewnego dnia pamiętnego. Po upływie ćwierci wieku wrócił do Rzymu, chwycił nanowo za pędzel od tak dawna zarzucony, i zamknął się znowu na lat siedem w swojej Sykstyńskiej kaplicy. W tem zamknięciu, przez ten czas, maluje Sąd Ostateczny: w nim wypowiada swoje ostatnie słowo, a to słowo jest... przekleństwem! W sześćdziesiątym roku życia wypisał na tej ścianie nad ołtarzem całemu Odrodzeniu straszne *Mane Thecel*, rzucił wyrok potępienia na cały świat piękności i gracyi, którym zachwycały się pokolenia, a który teraz miał zginąć.

Proszę naprzód uprzytomnić sobie tę chwilę w historii malarstwa, jedyną a tak krótkotrwałą, która zaczyna się od Leonarda, a kończy ze śmiercią Rafaela, chwila tak jaśniejąca i świetna, a tak rozkosznie ujęta jak w ramy w dwa cudowne uśmiechy, uśmiech Giocondy, i Galatei. Albo przypomnijmy sobie ten okres jeszcze krótszy, trzy lustra ¹⁾ zaledwo, w ciągu których Rzym był ogniskiem i środkiem całej artystycznej czynności całych Włoch, a przez to zerwał kwiat i owoc, na który pracowała wegetacja kilku wieków. Jestto bowiem jednym z dziwnych zrzążeń w losach naszej włoskiej sztuki, że ona rozwijała się stopniowo pomału w cieniu różnych szkół Umbryjskich, Florenckich, Medyolańskich, ale do ostatecznego i najwspanialszego rozkwitu doszła dopiero w Rzymie, w tym Rzymie, który długo jakby o niej nie wiedział, nie dostarczał jej przytułku ani szkoły, aż dopiero w tej stanowczej chwili wspomógł ją dwiema siłami, które on jeden posiadał, siłą wielkiej tradycyi chrześcijańskiej i wielkiej tradycyi klasycznej. Nie co innego wyrażał głębokim symbolizmem boski Rafael, kiedy zaraz w początku swojego pobytu w Rzymie, i w pierwszej zaraz Stanzy, której ściany miał ozdobić freskami, wymalował Szkołę Ateńską naprzeciw Dysputy o Najświętszym Sakramencie. Na najwyższym szczeblu swojego rozwoju i w swojej doskonałości skończonej, Odrodzenie było harmonijnem połączeniem wzniosłości chrześcijańskiego uczucia z pięknoscią klasycznej formy. Nie chcę się rozwodzić nad rzeczą tak znaną i tyle już razy powtórzoną: jedno tylko przypomnę, to wykwintny zmysł i rozum, jakiego dowiedli wielcy mistrze tej epoki w wyborze swoich przedmiotów. O ile mogli, trzymali się oni zdaleka od smutnych scen Ewangelii, a przestawali wśród takich, które ich pociągały wdziękiem słodyczy, blaskiem chwały, pełnią życia i ruchu Święte Dzieciństwo, święta Rodzina, Trzej Królowie, Przypowieści, Ostatnia Wieczerza, Przemienienie, Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie Chrystusa Pana, Zaślubienie lub Wniebowzięcie Maryi Panny, uwolnienie św. Piotra z okowów, św. Paweł nauczający, oto ich ulubione przedmioty. Kiedy przedstawiają Mękę Pańską, omijają nieznacznie to co najboleśniejsze, jak Biczowanie, Koronowanie cierniem, Ukrzyżowanie; wolą malować Złożenie do Grobu, bo w tej chwili już śmierć straciła swój oścień i ustąpiła miejsca miłości wiernej, ale boleści już opanowanej i powstrzymywanej. A jeżeli *Spasimo di Sicilia* zdaje się zaprzeczać temu twierdzeniu, to zapominać nie

¹⁾ lustrum = pięć lat.

trzeba lub dowiedzieć się warto, że główna jego grupa wzięta jest z Męki Pańskiej Dürera. Zdaje się, jakoby Rafael chciał być pokazany przez to, że jego naturze ten przedmiot był przeciwny. I z tem samym znowu uczuciem miary umieli mistrze tej epoki z mnóstwa katolickich legend i cudów wybierać takie, które najmniej obrażały smak, a najbardziej mogły być miłe nie dla duszy tylko, ale i dla oka. Wzięli oni od klasycznego Olimpu formy jak najidealniejsze, a z chrześcijańskiego nieba, to co ono miało w sobie najprostszego, najbardziej ludzkiego. Szczęśliwy kompromis, który sam jeden tylko mógł przywrócić równowagę między skończonością a nieskończonością, i zaprowadzić zgodę między dwoma pierwiastkami tak sobie nawzajem sprzecznymi — *res dissotiables* — jak plastyczna piękność i spirytualizm chrześcijański.

Jakże inaczej niestety wygląda nasze malarstwo w drugiej połowie tego samego XVI. wieku! Mówię tylko o następcach bezpośrednich i naturalnych niby spadkobiercach tego bohaterskiego pokolenia wielkich, którem jaśniały czasy Juliusza II i Leona X, o tych manierzystach, naturalistach i elektykach, jak ich później nazwano. Same te nazwy wskazują, że już się była rozpadła ta jedność ducha i sztuki, która sprawiała, że pomimo całej rozmaitości uzdolnień i kierunków, mistrze poprzedni mają jakieś rodowe między sobą podobieństwo i jakieś piętno szlachetne niezrównanej dostojności. Teraz w tych latach późniejszych, nie ma już dla wszystkich najwyższego prawa ni prawidła, nie ma dla artystycznych pomysłów kanonu piękności: zaczyna się panowanie samowoli i zachcenia; zachcenia nie samego malarza tylko, ale tego amatora, który każe obraz robić, tego publicum, które malarzowi narzuca swój smak i swoje upodobanie, a żąda od niego tylko sztuk lub sztuczek zamiast sztuki. Proszę uważać, jak Vasari naprzykład, Michała Anioła uczeń, a historyograf sztuki tego czasu, starannie i z upodobaniem zapisuje każdą trudność przewyżzoną, każde zręcznie rozwiązane zagadnienie techniczne, jakby w niem widział najwyższy cel artysty i najlepszy dowód jego talentu. Jedni po drugich sadzą się na wymyślanie coraz nowych *atti* i *academie*, to jest na rysowanie ludzkiego ciała w postawach wymuszonych, teatralnych bez żadnej przyczyny, w ruchach nie naturalnie a niepotrzebnie gwałtownych. W kompozycjach na wielkie rozmiary zdaje im się, że wymalują coś wielkiego kiedy namalują bardzo wiele, kiedy zapchają obraz mnóstwem figur, bez celu, zajęcia, i znaczenia. Talent mają nieraz ogromny, biegłość prawdziwie zdumiewającą: ale nie mają już najmniejszego starania o idealną prawdę,

najmniejszej dbałości o harmonię i równowagę między uczuciem a formą, poświęcają wszystko gonitwie za patetycznością. Ewangelia przestaje być ziemską lub niebiańską, rzewną lub wzniosłą, idyllą jaką była w obrazach wielkich mistrzów Odrodzenia, a staje się jakimś dramatem złowrogim, albo melodramatem nawet o mnóstwie scen przerażających a czasem i odrażających. Zaczynają się te Biczowania, Krzyżowania, Rzezie Niewiniątek, w których artysta chce przede wszystkim pokazać okrucieństwo oprawców, — i ich żelazne muszkuły. Z żywotów świętych wybierają z zamiłowaniem zachwyty najbardziej konwulsyjne, cuda nieładne, męczeństwa odrażające, a malarz tak nawet pogodny i pełen wdzięku jak Dominichino, umie w takich okazyach zdobyć się na taką zdolność i taką skłonność wymyślania strasznych tortur, że nieraz trzeba ze strachem odwrócić się od jego obrazu. Kiedy po watykańskich Stanzach, albo po portyku Annunziaty we Florencyi, albo po refektarzu Medyolańskiej Santa Maria delle Grazie, stanie się zniecałkowany przed tem co malowali Caracci, albo Caravagio, albo Guercino, albo Dominichino, wtedy dopiero można poznać i ocenić jak wiele nasza sztuka straciła ze swojej szlachetności i pogody, jak się zasepił i obniżył jej widnokrąg. Wtedy przychodzi się zapytać, czy to naprawdę tasama sztuka, ten sam kraj, ta sama religia, a kiedy śledzić skąd się bierze ten silny porywający czarny prąd, i chcieć dojść do tego źródła, dochodzi się prosto do Sykstyńskiej kaplicy, i staje przed Sądem Ostatecznym.

Wszystko, co tylko powiedziec się dało, to powiedziano już o nim w rozprawie ciągnącej się od trzech wieków, a kto wie, czy poczciwy Vasari nie wyczerpał przedmiotu od pierwszej chwili, kiedy opowiadał dobronudownie, że „fresk nad ołtarzem Sykstyńskiej kaplicy „odsłonięty był 25. Grudnia 1541 r. con stupore e maraviglia „di tutta Roma“. Podziw i osłupienie, oto istotne uczucia, które będą do końca powstawały w duszy na widok tego straszego Sądu. Do końca będzie świat podziwiał umiejętność i biegłość mistrza, i to, jak się ktoś wyraził „Prometeuszowe szczęście“, z jakim on, jak kuglarz, robił co mu się podobało z ludzkim ciałem i jego ruchami, postawami, skurczeniami, z jakim nadawał mu postawę i układał w grupy bądź możliwe w rzeczywistości, bądź jej przeciwne Ale tak samo do końca pytać będzie świat w osłupieniu, czy to taki ma być Sąd Ostateczny w pojęciu chrześcijańskim, a dopieroż katolickim? Czy to takim światem straszliwym i rozpaczliwym rządzi, jak mówi Dante, „Potęga Boska, Mądrość Najwyższa i Miłość Przedwieczna?“. A kiedym już wspomniał Dantego, niechże mi wolno będzie skorzystać

ze sposobności, by zaprotestować przeciw mniemaniu tak utartemu, tak często przez wielkie nawet powagi powtarzanemu, a przecież tak fałszywemu, jakoby w Sądzie Ostatecznym był Dantejski duch i natchnienie. Ci, którzy tak myślą, dali się uwieść podrzędnymi i zewnętrznymi szczegółami, łodzią Charona naprzykład, albo węzłem okręconym około jakiegoś potępieńca; szczegóły te same znajdują się zresztą w niejednym malowidle dawniejszem od Michała Anioła i Sądu. I w tychto dawniejszych raczej, we freskach z XIV i XV wieku, łatwo jest poznać wpływ i cechę Dantego; nosi ją Giotto i Oreagna i Fiesole. Oni mają tę ustawiczną skłonność do allegoryi, ten symbolizm na wielką skalę, to mistyczne pojęcie całego stworzenia, tę religię łaski, tę cześć Najświętszej Panny, jednym słowem te wszystkie pierwiastki, z których się składa charakter poezyi Dantejskiej, ale których najmniejszego śladu próżnoby szukać w dziełach Michała Anioła. Boską Komedję znał on i zgłębił z pewnością lepiej, niż którykolwiek z jego poprzedników czy współzawodników; czytywał ją i rozważał przez całe życie, illustrował ją nawet rysunkami w osobnym kartularzu, którego niepowetowana strata nigdy odżałować się nie da. Wszelako mamy prawo mniemać, że obchodził się z Boską Komedją zupełnie taksamo, jak z zabytkami starożytności, jak z księgami świętymi Wiary i z księgą świecką Natury, to jest, że je wszystkie podziwiał, zgłębiał i komentował właściwem sobie i własnem zrozumieniem, ale miał postanowienie stałe i niewzruszone nie zważać na nie w swojej pracy tworzenia, i iść jedynie za tem, co mu podda własny, od nikogo niezależny geniusz. Jest w Boskiej Komedyi ustęp jeden, na który nie dość może zwracano uwagę: ten, w którym poeta nagle urywa opowiadanie o oczyszczowych cierpieniach, a upomina czytelnika, żeby nie tracił odwagi, nie dał się zachwiać w swoim dążeniu do dobrego widokiem kar, które wola niezbadana naznacza tym nawet, którzy żalowali za grzechy. Zaklina on, żeby nie zważać zbyt wiele na „formę męczeństwa“, ale myśleć o jego skutku, o wiecznem zbawieniu, końcu wszystkich tych prób i cierpień. Michał Anioł przeciwnie, w tym Dies Irae, jaki nam stawia przed oczy, zajęty jest cały i przedewszystkiem „formą katuszy“. Świat jego cały pełen jest rozpaczy i strachu, jego niebo woła o pomstę i wystawia na widok same tylko narzędzia zelżywości, które służyły człowiekowi do biczowania i ukrzyżowania Boga; jego Chrystus podnosi rękę na to tylko, by odepchnąć i ukarać, a sama Matka Najświętsza tak jest strachem zdjęta, że już i wstawiać się zapomina, i o tem tylko myśląc, żeby nie patrzeć, płaszczem twarz sobie zasłania.

W Sądzie Ostatecznym Michała Anioła jest tak mało inspiracji Dantejskiej, jak inspiracji ewangelicznej w Sybillach i Prorokach.

Dziwne to zrządzenie, dziwne jakieś fatum, że te dwa dzieła, z których jedno oznacza brzask a drugie zmierzch geniusza, jakiemu równego ludzkość nie widziała, miały tak nierówny zakres wpływu. Począwszy od drugiej połowy XVI wieku, już chyba dla pamięci tylko wspomina się o Prorokach i Sybillach, a dla Sądu przeciwnie zapał największy: on staje się wzorem, on tworzy szkołę. Wielkie postacie na sklepieniu, tak potężne, tak wiekuiście młode, nie przemawiają wcale do serc ani do wyobraźni, a uczniowie i mistrze wielbią na kolanach tylko jeden fresk nad ołtarzem, i szukają w nich wzorów do swoich akademii i do swoich atti, natchnień do kompozycyi zawiłych, gwałtownych i ponurych... Pomiedzy temi sprzecznościami i opacznościami, których tyle jest w przeznaczeniu Michała Anioła, nie najmniej dziwną, ani najmniej tragiczną jest ta niesprawiedliwość losu względem tych jego dwóch dzieł nieśmiertelnych. —

... Geniusz bez poprzedników i bez następców, który kusił się wywieść z głębi swojego ja cały jakiś nowy świat nieznan: który zerwał z wszystkimi pojęciami i tradycjami przeszłości, a we wszystkim szedł jedynie za natchnieniem swojej myśli samowładnej: który zbadał aż do ostatnich tajników całą dziedzinę plastyki, ale który uderzył się zaraz i potłukł o jej niewzruszone szranki: umysł, który zostawił po sobie same tylko, choć wzniosłe ułamki i kawały i którego imię oznacza sam szczyt i zarazem upadek nowożytnej sztuki, — oto jakim się ukaże Michał Anioł każdemu, kto się nie boi zajrzeć mu dobrze w oczy i wznieść się ponad te utarte konwencyonalne sądy, które od czasów Vasarego są między nami w obiegu...

Henryk Sienkiewicz.

Pochodzi z rodziny litewskiej, osiadłej w Królestwie polskiem. (Stąd pseudonim Litwos). Urodził się w Woli Okrzejskiej niedaleko Łukowa w roku 1846. W Warszawie uczęszczał do gimnazjum realnego, następnie do Szkoły Głównej, gdzie oddawał się studjom filozoficznym. Zawód literacki rozpoczął jako współpracownik pism peryodycznych, umieszczając w feljtonach nowelle, obrazki i sprawozdania z „chwili obecnej”. W r. 1876 wybrał się w podróż do Niemiec, Włoch, Francji a następnie do Ameryki, gdzie bawił blisko dwa lata. Bezpośrednim owocem tej podróży były jego Listy z Rzymu i Paryża a następnie z Ame-

ryki, drukowane w „Gazecie polskiej“, które mu zjednały sławę znakomitego pisarza. Jeszcze kilka razy potem puszczał się w dalsze podróże i zwiedził Grecyę, Konstantynopol, Palestynę i wschodnią część Afryki (Listy z Afryki). Stale mieszka w Warszawie, miesiące letnie spędza w miejscach kąpielowych, najczęściej w Zakopanem w Tatrach. Od r. 1893 jest członkiem Akademii Umiejętności. W r. 1900 mianowany honorowym doktorem filozofii uniwersytetu Jagiellońskiego.

Dzieła. Już pierwsze jego powiastki i nowelle (Stary sługa, Hania, Orso, Przez stepy) zadziwiały siłą wyobraźni, żywością charakterystyki i uczuciem poetycznym, choć im słusznie zarzucano, że były pisane w usposobieniu nieco chorobliwym, nerwowem, pesymistycznym. Poruszał w niektórych sprawy społeczne i narodowe, nie szczędząc ostrego dowcipu i gorzkiej niekiedy ironii; dola ludu wiejskiego, jego opuszczenie, niezaradność i ciemnota jest przedmiotem kilku najlepszych może nowel (Szkiecy węglem, Janko Muzykant, Za chlebem, Bartek z wycieczką). Niespodzianie młody pisarz rzucił się na inne pole, i w wielkiej historycznej powieści *Ogniem i mieczem* pokazał się talentem tak wyjątkowym, że powieści tej wiersza tylko brak, a byłaby prawdziwym bohaterskim poematem. W ślad za nią poszły dwie inne (jako jej dalszy ciąg poniekąd), *Potop* i *Pan Wołodyjowski*. Następnie z rzutkością i elastycznością talentu zdumiewającą, znowu Sienkiewicz zmienił przedmiot i pole, w powieści *Bez dogmatu* dał głębokie studium człowieka dzisiejszego, który przez wpływ dzisiejszej filozofii i literatury, przez zbyt wyostrzone nerwy i zmysł estetyczny, przez brak zajęcia i obowiązku (pośrednio przez krajowe nieszczęścia) dochodzi do rozprzężenia swojej moralnej istoty, do przytępienia sumienia, niedołęstwa woli, a braku wszelkich przekonań i celów. Odmiennym zupełnie typem, choć równie głęboko wystudjowany, jest bohater *Rodziny Połanieckich*, następnej trytomowej powieści.

Jak *Niewola tatarska* była niby przygotowaniem i próbą do wielkich historycznych powieści z XVII wieku, tak obrazek historyczny na tle czasów Chrystusowych: *Pójdźmy za nim*, poprzedził utwór z epoki Nerona p. t. *Quo vadis?* (Dokąd idziesz?) Ostatnią wielką powieścią historyczną są *Krzyżacy* (1900 r.).

Sienkiewicz jest nie tylko znakomitym pisarzem powieści — jest wielkim, wzorowym pisarzem, mistrzem języka i stylistą, jakiemu dziś równego nie mamy (z jednym wyjątkiem Klaczki, który od dawnych lat nic po polsku już nie napisał). Jak wszystkie nowe a znakomite zjawiska w literaturze, tak i Sienkiewicz wywołał zaraz naśladowania i wpływ jego jest bardzo widoczny w sposobie pisania, w stylu, w samym tworzeniu innych.

Z „Wycieczki do Aten“. Akropolis.

... Idzie się wężowatą drogą, pod górę, zarośniętą agawami i kaktusami. Przed sobą i nad sobą widzisz tylko olbrzymi mur, szary, pokruszony, który częściowo tylko jest zabytkiem helleńskim,

częściowo zaś wznosili go łacinnicy, lub nawet Turcy. Z poza zrębu wyglądają trójkątne szczyty i wydłużone przecznice świątyń Pusto było, gdym szedł; naokoło ani żywej duszy, bo godzina była południowa i upał, pomimo, iż poczęły się już pierwsze dni listopada. W bocznej bramie drzemie stary weteran, mijasz go, przechodzisz obok domu, przy którym nagromadzono stopy marmurowych obłamków. Droga zakręca się raz jeszcze, wchodzisz schodami na górę i jesteś w Propyleach, przez które obejmujesz okiem całe szczytowe płaskowzgórze. Pierwsze wrażenie: ruina! ruina! cisza, śmierć! Niektóre zewnętrzne doryckie i wewnętrzne jońskie kolumny Propyleów, porzuswane, trzymają się tylko ciężarem głazów; ściany strzaskane, wyszczerbione, przeświecające na wylot, poobłamywane; nigdzie poza tą sławną bramą łokcia swobodnego gruntu. Cała przestrzeń płaskowzgórza zarzucona i zawalona trzonami kolumn, zrębami przecznic, fryzów, obłamami metopów, kapiteli, kostkowymi głazami ścian. Wszystko to, prócz kilku świątyń, narzucone jedno na drugie, obsuwające się, zwieszane pochyłe, spiętrzone, leżące w dzikim bezładzie, o którym nawet forum rzymskie nie może dać pojęcia. Podróżnikowi przychodzi do głowy, że się tu odbyła jakaś straszliwa walka olbrzymów, lub olbrzymich sił, od których góra się trzęsła, pękały mury, aż wreszcie runęło wszystko i pozostało tylko zniszczenie.

Więc pierwszym wrażeniem, jakie się otrzymuje po przejściu Propylei — jest wrażenie katastrofy.

Chodzi się cicho, bo wszystko, co nas otacza, tak doskonale umarłe, że się nam nasze własne życie, nasz własny ruch, wydaje czemś obcem i niewłaściwym w tych miejscach

Gdyby się spotkało znajomego, wołałoby się z nim nie mówić, tylko spojrzeć mu pytająco w oczy i przejść i sięść gdzieś w cieniu i patrzeć: jak słońce zatapia w blaskach rumowisko.

Bo tu światło, jak już mówiłem, nie pada, ale, zwłaszcza o tej godzinie, leje się potokiem. I zdawaćby się mogło, że te gorące, żywe źródła są czemś przeciwnem ruinie, temu zniszczeniu i tej śmiertelnej ciszy. Gdzietam! I ruina i zniszczenie zyskują tylko przez nie większą wyrazistość — niemal nieubłaganą.

Więc siedzisz, patrzysz na te kamienne uroczysko, na zatopione w świetle marmury Parthenonu i Erechtejonu, aż wreszcie coś wstaje od ruiny, idzie i wstępuje w ciebie. Zaczynasz się jednać z tym światem, później bratać. Wtedy ci jest dobrze, bo wchodzi w ciebie ogromny spokój, ale to taki ogromny, jaki tylko może mieć kamień i ruina.

Ich cisza staje się ciszą wędrowca. A przypuszczam, że im więcej kto ma duszę obolałą, tem mu tam musi być lepiej. Chciałoby się głowę oprzeć o pilastr kolumny, zamykać i otwierać naprzemian oczy — i koić się. Coraz bardziej robi się swojsko, coraz przyjaźniej spogląda wędrowiec na te rozległe linie Parthenonu, na biały Erechtejon i na leżące niżej Propyleje. A trzeba to chyba widzieć, aby pojąć, jak się owe złotawe ze starości budowle rysują w słońcu i błękicie, jaki spokój tych architrawów, tych szeregów kolumn i frontonów! Prostota, spokój, powaga i prawdziwie boski ład — oto one. Odrazu trudno tego dostrzedz: czas działa zwolna, ale tem mocniej przenika i w końcu upaja. I poznajesz, wędrowcze, że nie sam tylko spokój dały ci te arcydzieła, ale że cię upoiły własną pięknnością, a co za tem idzie: i słodyczą. — I oto są stopniowe wrażenia, przez jakie się przechodzi na Akropolu. Gdy jesteś tam na miejscu, działają one tak silnie, że nikomu do głowy nie przyjdzie otworzyć drukowany przewodnik i szukać w nim szczegółów. W domu dopiero wyczytasz, że świątynka Nike Apteros, niedawno z gruzów została na nowo złożona, że lord Elgin zabrał do British Museum jedną z precudnych karyatyd, podpierających prawy portyk Erechtejonu; że tamże powędrowały metopy parthenońskie; że wybuch prochów tureckich był przyczyną ruiny środkowej części celi tej świątyni; że odlewy metopów można widzieć w muzeum, na tejże skale leżącym; że w Erechtejonie był harem baszów itp.

W pierwszej chwili również wszystko ci jedno, że Parthenon jest zbudowany w czystym stylu doryckim, Erektion i Nike Apteros są jońskie, a w Propyleach znajdują się kolumny obydwóch porządków. Wiedziałeś to już przed przybyciem do Aten. Tu wieje na cię przedewszystkiem ogólny duch, a raczej geniusz dawnej Hellady — i tchnienia tego rozpraszać, ani analizować nie chcesz.

I wnet wyobraźnia poczyna pracować, zaczem przedstawia sobie, jak taki Akropol wyglądał za czasów Periklesa, gdy wszystko stało na miejscu, gdy istniały świątynie, po których już niema śladu, a między niemi las posągów; gdy Parthenon nie był obdarty ze wszystkich swych ozdób; gdy z dołu można było oglądać w jego frontonach narodziny Ateny, i po drugiej stronie spór jej z Neptunem — a włącznie Ateny Promachos widać było aż z morza. Wyobraźmy sobie zwłaszcza taką procesję Panathenów, kapłanów, archontów, wojowników, lutnistów, lud, byki o złoconych rogach, prowadzone przed ołtarze opistodomu, i wieńce kwiatów i te draperye klasyczne, układające się posągowo. Ale prawie wolę jeszcze przedstawić

sobie w myśli noc i jasno zielone światło księżyca na marmurach. Aż trudno uwierzyć, żeby ludzie mogli stworzyć taką górę arcydzieł, a jednak można to sobie wytłumaczyć. Mitologia grecka była wciąż siłą przyrody, czyli elementarnym panteizmem. Ale w duszy Greka artysta przeważał zawsze nad filozofem, więc naprzód poeci ubrali zjawiska w ciała i uczucia ludzkie, później przyszła sztuka plastyczna i stąd narodziła się taka cudowna baśń kamienna.

Atena umiała też sobie wybrać miejsce na stolicę, bo cóż to za tło dla tych świątyń i posągów! Z jednej strony widać morze, które w tem przeźroczem powietrzu wydaje się tuż; z drugiej całą Attykę, jak na dłoni: góry Hymetu, dalej Pentelikon, na północ Parnas, a ku południo-zachodowi, ku cieśninie salamińskiej, Dafni. Nad wszystkim niebo ciągle pogodne i orły, których krakanie przerywa do dziś dnia ciszę na Akropolu.

Wrażenia, jakich doznaje się na widok innych ruin, są tylko słabszem odbiciem tych myśli i uczuć, które rodzą się w duszy na widok zabytków akropolskich. Dziełom Muesiklesa, Iktinosa i Kallikratesa nie wyrównał już nikt, ani przed Periklesem, ani po nim. Oni stworzyli nie tylko Parthenon, Erechtejon lub Propylee, ale zarazem ustalili architektoniczny dogmat, którego odtąd będą się trzymać wszyscy budowniczowie świata starożytnego. Rzymianie pozwolą sobie dorzucić łuk swój własny, będą wznosić colosea, termy, cyrki, okrągłe świątynie, nakształt panteonu Agryppy, ale oto wszystko. Zresztą pójdą śladem owych nieśmiertelnych poprzedników i od dogmatu nie odstąpią. Mogą tylko przesadzić arcydzieła akropolskie ogromem i czynią też to w samych nawet Atenach.

Poniżej Akropolu, na wschód od urwiska, wznosiła się nad Illisem świątynia Jowisza olimpijskiego, wykończona ostatecznie dopiero za czasów cesarza Hadriana. Dziś, ze stu dwudziestu kolumn, które ją składały, pozostało tylko 16, mianowicie 13 z jednego końca, a 3 z drugiego. Kolumny owe, czysto korynckie, mają po sześć stóp średnicy i po 60 wysokości. Była to największa świątynia na równinie, skrapianej przez Cefizus i Illisus. Titus Livius, mówiąc o niej, powiada, że była jedyną godną rozmiarami wielkości boga, któremu została poświęconą. I być może, Zews, jako ojciec Ateny i najpotężniejszy z bogów, zasługiwał na potężniejszą świątynię, ale Atena, będąc patronką Aten, była zarazem boginią mądrości, więc Zews mógł mieć tylko zolbrzymione odbicie pierwowzorów i pierwoksztaltów, które wyszły bezpośrednio z myśli przez „siwooką“ natchnionej.

Nie wypada z tego bynajmniej, abym miał twórców akropolских świątyń uważać za pierwszych wynalazców greckich porządków. Przeciwnie, rzekłem tylko, że oni ustalili dogmat, bo umieli stać się ostatnim i najwyższym wyrazem architektury greckiej, jak Fidias był swego czasu najwyższym wyrazem rzeźby. Ale przecie świątynia Tezeusza, tak podobna w mniejszych rozmiarach do Parthenonu, stała przed Parthenonem, równie jak zapewne i wiele innych, po których zostały jeno gdzieniegdzie osamotnione kolumny. Ów Tezeion jest najlepiej zachowanym zabytkiem przeszłości. Na Akropolu była forteca, więc gmachy, tam stojące, narażone były na wszelkie ciosy wojny, a w nowszych czasach na bombardowanie. Tezeion stał w środku miasta. Ulegał on raczej zmianom tylko wewnętrznym, gdy ze świątyni pogańskiej przerabiano go na chrześcijański kościół. Zburzono wówczas kolumny wewnętrzne pronaosu, a natomiast zbudowano półkolistą niszę, w której mieścił się ołtarz; wybito wielką bramę w murze oddzielającym cellę od opistodoma i oczywiście wyrzucono wszelkie posągi ze środka świątyni. Dziś, w środku widać tylko cztery nagie ściany. Światło z trudnością przenika do wnętrza, które zamieniono na rodzaj muzeum, albowiem ustawiano w niem bądź odlewy gipsowe, bądź okruchy rzeźb, zdobiących dawniej świątynię. Jak mówiłem, przypomina ono Parthenon, ale stojąc na płaszczyźnie, nie sprawia tego imponującego wrażenia, zwłaszcza, że i rozmiary jej są daleko mniejsze. Parthenon miał w długości po siedmnaście kolumn, Tezeion, ma ich tylko po trzynaście i daleko drobniejszych. Parthenon miał w szerokości ośm kolumn, Tezeion jest hexastylem. Wreszcie był daleko mniej ozdobny, bo Fidias wypełnił oba fronty akropolitańskiej świątyni posągami i wszystkie metopy płaskorzeźbą. Tezeion miał tylko fryz na zewnętrznym murze celli, a metopy tylko na wschodnim boku, pokryte płaskorzeźbą, przedstawiającą czyny Tezeusza, dokonane przy pomocy Heraklesa. Wschodni fronton posiadał także rzeźby, z których się nic nie zostało.

Ale to są szczegóły, które miałyby wartość wówczas tylko, gdybym mógł dodać do nich przynajmniej rysunki tych gmachów. Świątynka Tezeusza dlatego jest ciekawą, że zachowała się dobrze i że daje nam zatem najdokładniejsze pojęcie o architekturze doryckiej, zarazem tak poważnej i pogodnej. Stoi ona na obszernym placu, na którym nie masz ni drzewa, ni żdźbła trawki, więc jej złotawe ze starości kolumny odbijają się z jakimś melancholijnym wdziękiem na owem szarem tle.

Z placu widać skały Pnyxu. Było to niegdyś miejsce zgromadzeń ludowych. Schody kamienne, powykuwane tu i ówdzie w skałach, wskazują, któredy przechodziły gminy, aby się dostać na najwyższy taras, z którego widzi się pod stopami Ateny, po prawej ręce Muzeion, wprost Akropolis. Budowli nie ma tu żadnych, są tylko ślady olbrzymiej trybuny, zwanej w starożytności Bema, na której zasiadał lud podczas obrad. Skały te, całkowicie ogołoczone z roślinności, stoją wiecznie pustką: nie spotkałem na nich żywego ducha, gwar miejski tu nie dochodzi, ciszę przerywa tylko czasem krakanie orłów. Mimowoli przychodzi na myśl wiersz Słowackiego:

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
 Klóci się wietrzyk i rwie jej przedziwo,
 Tu cząbry smutne gór spalonych pachną,
 Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
 Napędza nasion kwiatów, a te puchy
 Chodzą i w grobach latają, jak duchy.

Zatrzymałem się głównie na Akropolu, który najsilniej przemawia do duszy, bo streszcza w sobie wszystko, co najpiękniejszego wydała cywilizacja helleńska w zakresie sztuki plastycznej i całą potęgę greckiego geniuszu. Tucydides zapewne Akropol miał na myśli, mówiąc, że gdyby Ateny klęsce uległy, sądzonoby z ruin pozostałych, że były miastem dwakroć potężniejszym, niżeli są w istocie. Ateny jednak były jeszcze czterokroć razy potężniejsze, niż to przypuszczał Tucydides.

Oto dawne miasto klęsce uległo i leży w gruzach, ale geniusz miasta stworzył zbyt wiele, aby ludzkość mogła kiedykolwiek zapomnieć, ile mu winna. Zapominała i tak zbyt długo, ale takie obowiązki narzucają się zarówno pamięci, jak sumieniu. Dzięki tym uczuciom wydarto ową sławną ziemię Turkom. Nie sam tylko interes polityczny nakazywał wskrzeszenie Grecyi, ale dla Europy był to dług do spłacenia, była to kwestya poprostu wstydu. Są rzeczy, których najbardziej nawet rozluźnione sumienia ścierpieć nie mogą i oto nadeszła chwila, w której zahuczały armaty pod Nowarinem. Ale bądźmy pewni, że gdyby nie owo olbrzymie credit, które na rachunek Grecyi zapisała cywilizacja, gdyby nie jej sława i czyny, gdyby nie pieśni Homera, nie wspomnienia Maratonu i Salaminy, nie te ruiny akropoliskich arcydzieł, baszowie do tej pory mieliby swoje haremy w Erechteonie, a ze szczytów Akropolis powiewałaby chorągiew proroka. Więc gdy powiem, że Grecyę dzisiejszą odbudowali Homer, Milcyades, Leonidas, Temistokles, Fidas, Perikles i inni bohaterowie lub ge-

nusze tej miary, nie będzie to figurą retoryczną, ale dziejową prawdą. Pracując dla sławy swego narodu, pracowali, nie wiedząc o tem, dla jego odrodzenia — i tacy nieśmiertelni agenci sprawili, że Grecya żyje.

Ogólny pogląd na okres osmy.

Poezya. W okresie przejściowym (między r. 1850 a 1863) głównem znamieniem poezyi zostało uczucie patryotyczne. W pojęciu dzisiejszego położenia, w nadziejach przyszłości, poezya ta zostaje w zakresie myśli i natchnień wielkich poetów, i te najczęściej innymi słowami powtarza. W formach, w rodzajach i kierunkach tworzenia jest od nich odmienna, próbuje niektórych dróg nowych i własnych, nie bez powodzenia i skutku; ale to nawet, co wydaje najlepszego, nie dochodzi pod żadnym względem dzieł Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego. Wybitniejszych jej przedstawicieli: Pola, Syrokomlę, Lenartowicza i Ujejskiego poznaliśmy bliżej. Obok nich stanęli znakomici tłumacze: Odyniec (Byrona), Siemieński (Homera) i Stanisław Koźmian (ur. r. 1811 zm. 1885, Szekspira).

Mniejszych epigonów dawnej romantyczności lub dawnego patryotycznego mistycyzmu było kilku (Roman Zmorski, Włodzimierz Wolski, Cypryan Norwid itp.). Jeden (Ryszard Berwiński) zapadł w sceptycyzm, przypominający lub może umyślnie naśladowający Heinego. Ale talenta te i dzieła małego są znaczenia. Więcej zwracały na siebie uwagę ogółu dwie kobiety. Narcyza Żmichowska (pisząca pod imieniem Gabryeli), w wierszach jak w powieściach prozą okazywała dużo uczucia, wyobraźnię żywą, niezaprzeczony talent pisarski i śmiały popęd do stawiania i dotykania zawiłych i trudnych kwestyi moralnych lub filozoficznych (czasem politycznych), które jednak, wyznać należy, niezawsze jasno rozwiązywała. Druga, Jadwiga Łuszczewska (Deotyma), jako młodzianka panienka, zdziwiła Warszawę wyjątkową łatwością i zdolnością improwizowania. Na zadany temat, po niedługim namyśle, wypowiadała bez przygotowania wiersze, które później z pamięci spisywała i ogłaszała.

Z młodszych, z tych, którzy przed rokiem 1850 byli dziećmi, a rośli i kształcili się pod wpływem wielkich poetów epoki poprzedniej, i pod wpływem wypadków takich jak wojna wschodnia i włoska, dwaj odznaczyli się wyższą, prawdziwą zdolnością. Jeden z nich, Mieczysław Romanowski, poległ w roku 1863 chwalebnie, ale tak młodo, że talentu swego w zupełności rozwinąć nie miał czasu. Drugi, Józef Szujski, w tych latach uczeń jeszcze, próbował się niemal od dzieciństwa w różnych poetycznych formach (dramat, liryka, powieść bohatera).

Po r. 1863 nowych poetów zjawia się wielu, a wielkie wyrobienie formy przez poetów epoki poprzedniej ułatwia im zadanie. Strona techniczna, mechanizm wiersza, bywa zazwyczaj dobry. Z talentów prawdziwych wymienić należy Adama Asnyka (piszącego pod pseudonimem El...y). W młodszych latach był on jednym z ostatnich epigonów dawnego byronizmu, ale byronizmu już w formach i w natchnieniach

zdrobniałego w głowach i pod ręką poetów późniejszych, jak Heine na przykład, którego sceptycyzm (w tym razie sprowadzony krajowemi nieszczęściami) odzywa się niekiedy w Asnyku. W początkowych jak i w późniejszych swoich poezyach ma on zaletę niezwykłej gracy, lekkości, dźwięczności wiersza, a usposobienie melancholiczne, tęskne, nerwowe i miękkie. Stąd wiersze drobne a smętne, udają mu się najlepiej, czasem bardzo świetnie. Tragedya Kiejstut ma piękny wiersz i wiele szlachetności uczucia, dramatycznej akcyi i siły nie dosyć. W licznym zastępie poetów od niego młodszych odznacza się Marya Konopnicka; talent w rodzaju podobnym do Asnyka, w stopniu zapewne niższym, z naśladowaniem (zbyt wyraźnem) Słowackiego, i ze skłonnością, do poruszania w poezyi stosunków i kwestyi społecznych. — W ogóle przypuszczać można, że jak długo społeczeństwo nasze zostanie w swoim dzisiejszem położeniu, z temi uczuciami i dążeniami, które z tego położenia wynikają, to poezya wyżej nie wyjdzie, bo grunt i źródła natchnień są tesame, a z tych trudno wydobyć coś wyższego i piękniejszego, jak wydała wielka epoka naszej poezyi. — Z dawniejszych poetów kończą w tym okresie żywot: Bohdan Zaleski, Odyniec, Fredro, Lenartowicz, Ujejski.

Faktem najbardziej charakterystycznym w poezyi tego okresu jest jej dążenie do dramatu. Zupełnego skutku jeszcze dążenie to nie wydało, ale za szczęście uważać należy, że ono jest; może z czasem po usiłowaniach i próbach poprzedników przyjdzie jakiś talent potężny i stworzy nareszcie prawdziwie wielką polską tragedye. W okresie niniejszym najwięcej dramatów i (pomimo wielu niedoskonałości) z największą siłą, z najlepszym skutkiem, napisał Szujski. Przez or Paulinów (bezimienny), Mieczysława II Adama Bełcikowskiego, należą do najlepszych rzeczy, jakie się na tem polu w tym przeciągu czasu ukazały.

Dramat z potocznego domowego życia i komedya uprawiane są liczniej i z większem powodzeniem. Stan — zawsze jeszcze bardzo dobry — sceny warszawskiej, a znacznie poprawiony, chwilami świetny, sceny krakowskiej i lwowskiej, potrzeba nowych sztuk, mogły także przyczynić się do tego wzrostu komedyi. Nie jest to postęp w znaczeniu doskonałości, bo ani jeden z młodszych nie dochodzi wielkiego talentu Aleksandra Fredry; ale jest mnogość, rozmaitość, i są nierzadko udatne, ładne, wesołe, niekiedy nawet głębsze komedye. W budowie i układzie ich, w prowadzeniu dyalogów, znać wpływ najnowszej komedyi francuskiej (Dumas syn, Augier, Sardou): znać tę dążność, żeby akcyi komicznej nadać pozór zwykłego codziennego życia w jego powszedniej prawdzie i rzeczywistości. W każdym razie, od poprzedniego okresu, od Korzeniowskiego, różni się komedya dzisiejsza większem życiem, większą swobodą i naturalnością dyalogu, większą wesołością, głębszą charakterystyką figur. Rodzaje tych komedyi są liczne i różne. W pomienionym wyżej francuskim, najbardziej wpływem tym przejęci i korzystający z niego najumiejtniej (choć przedmioty ich komedyi są zawsze z polskiego życia wzięte), są: Władysław Okoński (Niewinni, Antea) i Kazimierz Zalewski (Po ślubie. Złe ziarno). Pierwszy obok talentu niezwykłego

okazuje w swoich dziełach pojęcia moralne niejasne i niezdrowe. W. L. Anczyc († 1883) pisywał z wielkim talentem komedye z życia wiejskiego ludu wyłącznie (Chłopi arystokraci, Emigracya chłopska i inne; ostatnią jego pracą jest Kościuszkę pod Racławicami). Józef Narzyski kreślił dosadnie i poważnie różne dzisiejsze zdrożności (Epidemia czyli gra na giełdzie i Pozytywni), nieszczęściem umarł młodo († 1872). Michał Bałucki bierze zwyczajnie za przedmiot swoich komedyi drobne śmieszności, najczęściej z życia miejskiego (Radcy pana Radcy, Grube ryby), Jan Aleksander Fredro (syn Aleksandra, zmarły 1891), nie odziedziczył wielkiego talentu ojca, ale odziedziczył część jego humoru i jego zmysł sceniczny (Posażna jedynaczka, Consilium facultatis). Józef Bliziński († 1893) miał dużo humoru, dużo życia i akcji, a przytem dar nadawania figurom komicznym sympatycznego charakteru i wdzięku (Pan Damazy, Marcowy kawaler). Maryan Gawalewicz pisze po większej części komedyjki małe, nie dba o zawiłane sytuacje, ale pisze po prostu, z życiem, a zabawnie. Oprócz wymienionych pisarzy mamy na polu komedyi jeszcze wielu innych.

Powieść. W powieści do roku 1863 pierwsze miejsca zajmują Kraszewski i Korzeniowski; obok nich talent istotny okazał Zygmunt Kączkowski (Powieści ostatniego z Nieczujów), którego pierwsze powieści zaczęły się ukazywać po r. 1850; wcześniej zmarły Walery Łoziński (Czarny Matwij, Zaklęty dwór) i Jan Zacharjasiewicz (Na kresach. Św. Jur. W przededniu). Po roku 1863 zrobiła powieść niespodzianie wielki i świetny krok naprzód. Mnożąca się ciągle liczba pism peryodycznych wpływała stale na obfitą produkcję powieści, ale między temi rzadko zdarzały się rzeczy z prawdziwą wartością. Kraszewski stał zawsze na czele tej gałęzi piśmiennictwa, i w tym ostatnim okresie — w niektórych powieściach historycznych zwłaszcza — okazywał niepospolitą siłę, ale w swoim wieku rozwijać się i postępować już nie mógł. Kączkowski milczał; w ostatnich latach dopiero wydał *Olbrachtowych rycerzy*. Z młodszych jeden tylko Jan Lam, humorysta wielkiego dowcipu, napisał od niechcenia powieść humorystyczną *Panna Emilia*, w której pokazał talent niezaprzeczone i niezwykle. Było więc na ilość dużo, na jakość niewiele; i powieść zdawała się być w upadku, a przynajmniej w zastoju, kiedy zaczął pisać Henryk Sienkiewicz i podniósł ją do niebywalej świetności. Oprócz niego z licznych pisarzy powieści wymienić należy jako talenta wybitne i niezwykle: Elżę Orzeszkową (główne dzieło *Nad Niemnem*), Adama Szymańskiego (*Szkice*), *Rodziewiczównę* (*Dewajtys*), Bolesława Prusa (*Placówka*, *Emancypantki*, *Faraon*) i Władysława Łozińskiego, który napisał powieści mało, ale dawniejsze (jak *Opowiadania Narwoja*) miały wiele zalet, a najnowsza *Madonna Busowska* należy do najpiękniejszych powieści polskich w małych rozmiarach. Do poczytniejszych zaliczają się także *Sewer* (Maciejowski), *Jordan* (Więniawski), *Wilczyński*, *Kl. Junosza* (Szaniawski), *A. Dygasiński*.

Dziejopisarstwo. Dążność do wszechstronnego i trzeźwego poznania naszej przeszłości, do bolesnego, ale odważnego wykazania przyczyn na-

szego upadku połączona z umiejętną metodą i krytyką, wydała w naszych czasach taki stan i rozkwit tej nauki, jakiego przedtem nigdy u nas nie było. Wspaniałym był widok tej historyografii polskiej, kiedy żył jeszcze Szajnocha, dłużej od niego Helcel i Bielowski, Szujski i Kalinka już zrobili sobie wielkie imię i stanowisko, a liczny zastęp młodszych wstępował na scenę. Do tych należał Ksawery Liske (profesor historii powszechnej w uniwersytecie lwowskim, † 1891), który zasłużył się około historyografii polskiej wydawnictwem źródeł, szczególnie zaś wyjątkowym darem kształcenia i sposobienia młodych historyków i zapalem do nauki, jakim ich umiał przejać. Podobnie Adolf Pawiński w Warszawie przez liczne wydawnictwa źródeł, a zwłaszcza przez badanie i doskonałe określenie skarbowości polskiej, oraz instytucji sejmików i sejmów posunął bardzo znacznie znajomość naszych dziejów i ułatwił ich zrozumienie. W Poznaniu Kazimierz Jarochoński (zmarły 1888 r.) oddał się studjom nad najsmutniejszą częścią historii polskiej, nad epoką saską, i pierwszy, rzecz można, wprowadził w nią światło historii. Leon Wegner (zmarły 1873 r.) pracował usilnie i z talentem nad latami czteroletniego sejmu i ostatnich rozbiorów. Z młodszych Michał Bobrzyński kilku mniejszemi rozprawami objaśniał prawne i polityczne stosunki XV i XVI wieku, a w ogólnym Zarysie dziejów Polski wystawiał wewnętrzny stan Rzeczypospolitej i wpływ, jaki ten stan wywierał na jej rozwój i stopniowy upadek. Wincenty Zakrzewski zwrócił się w badaniach głównie do drugiej połowy wieku XVI. Stanisław Smolka zaczął od jego połowy pierwszej, zwrócił się potem do epoki podziałów (Mieszko Stary), a obecnie przeszedł do pierwszych czasów epoki Jagiellońskiej, mianowicie do religijnych i politycznych stosunków Litwy i Rusi. Na tem ostatniem polu ważne odkrycia zrobił Anatol Lewicki, profesor historii austriackiej w uniwersytecie krakowskim. Ludwik Kubala zajmuje się głównie czasami Jana Kazimierza (Szkieci, Ossoliński); Tadeusz Wojciechowski (pierwszy profesor historii polskiej w uniwersytecie lwowskim) badał ze szczególnem zamiłowaniem początkowe dzieje, wyrabianie się Polski z chrobackich początków, albo trudne zagadnienia z zamierzchłych Piastowskich czasów. Na bliskiem polu badania pierwotnych stosunków stoi Franciszek Piekosiński, jako wydawca i znawca dawnych polskich stosunków prawnych, jako specjalista w rzeczach sfragistyki, numizmatyki i paleografii, liczący się do bardzo około historii zasłużonych. Z nader rzadkich historii wieku XIX wymienić należy pierwszą, dotąd jedyną, bardzo nauczającą Historię księstwa warszawskiego Fryderyka Skarbka, za którą poszła Historia Królestwa kongresowego.

Obok tej nowej szkoły historycznej były jeszcze zabytki dawnego zwyczaju podkładania własnych pojęć, doktryn i dążeń pod historyczne wypadki. Takim był Antoni Walewski († r. 1872), profesor historii powszechnej w uniwersytecie krakowskim, autor bardzo zresztą cennego dzieła: *Historia wyzwolenia Rzpltej za Jana Kazimierza*, opanowany doktryną monarchiczną; i w kierunku wprost przeciwnym, Henryk Szmitt († 1883), który pracował głównie nad historią XVIII wieku.

Odrębne stanowisko usiłuje zająć, odmawiając historii znaczenia „*magistrae vitae*”, Tadeusz Korzon w Warszawie, autor bardzo pożytecznego dzieła w czterech tomach „*Wewnętrzny stan Rzpltej za Stanisława Augusta*”, które oparł na przechowywanych w Warszawie archiwach koronnych.

Cała ta praca historyczna, której głównem ogniskiem były pomienione katedry historii polskiej i komisya historyczna Akademii Umiejętności, miała ten skutek, że przez dokonane wydania wielu materyałów źródłowych i przez dzielne, czasem niezmiernie bystre i głębokie opracowania, znajomość historii polskiej we wszystkich jej epokach, a głównie w wieku XII, XV, XVI i XVIII, zrobiła ogromne postępy, stała się dokładniejszą i głębszą, a sam kunszt dziejopisarski wzniósł się pod wszystkimi względami na stopień wyższy, bez przesady rzec można, równy temu, na jakim stoi historyografia w krajach najbardziej oświeconych.

Historya literatury, nauka języka, archeologia, historia sztuki.

Historya literatury nie posiada dotąd doskonałej, wyczerpującej całości, lecz dąży do niej drogą rozpraw, lub dzieł poświęconych częściom (epokom, kierunkom lub pisarzom). Najpierwsze w tym kierunku miejace zajmuje Józef Łukaszewicz (1799—1873), którego dzieło *Historya szkół w Koronie i W. K. Litewskiem* (1849—1851) w 4 tomach, źródłową ma wartość. Na wzmiankę zasługują jeszcze: Maurycy Dzieduszycki (pseud. M. J. Rychcicki), który między innymi wydał pracę: *Piotr Skarga i jego wiek* (1850 i 51, 2 t.), i Julian Bartoszewicz († 1870), pisarz bardzo sumienny i nadzwyczajnie pracowity; K. Wł. Wójcicki, długoletni redaktor Biblioteki warszawskiej, i Karol Mecherzyński († 1881), prof. hist. lit. pol. w uniwers. Jagiell. — autorowie bardzo wielu rozpraw literackich; Józef Przyborowski, który zaczął swoje prace pierwszym krytycznem zbadaniem wiadomości o życiu Jana Kochanowskiego (1857) i Aleks. Tyszyński, prof. hist. lit. pol. w Szkole Głównej w Warszawie († 1880), który odznaczył się głównie jako estetyk; wreszcie Wojciech Cybulski († 1867) prof. literatur słowiańskich w uniwersytecie wrocławskim.

W Paryżu, w emigracyjnym tygodniku *Wiadomości polskie*, zaczęły się ukazywać od roku 1857 obok politycznych literackie i krytyczne artykuły Juliana Klaczki, nacechowane wyjątkową bystrością sądu i świetnością stylu. Z dzieł późniejszych tego pisarza najznakomitszem jest głębokie studyum o Dantem (*Wieczory florenckie*).

W drugiej dobie tego okresu występują na tem polu nowi, znakomici pracownicy. Do nich należy Antoni Małecki, autor wybornej monografii *Juliusz Słowacki, jego żywot, dzieła* (1866). Gruntownym rozbiorem tego dzieła (w *Przeglądzie polskim* r. 1867) zwrócił na siebie uwagę Stanisław Tarnowski, prezes Akademii Umiejętności i profesor literatury polskiej w uniwersytecie krakowskim, który wydał: *Studia do historii literatury polskiej: Pisarze polityczni XVI wieku, Jan Kochanowski i Zygmunt Krasiński* (1893); oprócz tego znaczną liczbę mniejszych rozpraw i publicznych odczytów. Następują po nich: Piotr Chmielowski, który dostał nominację na profesora literatury polskiej w uniwersytecie war-

szawskim (r. 1881), ale jej się zrzekł, gdy mu kazano wykładać po rosyjsku; ma zaletę ścisłego i skrzętnego zbierania faktów, sądu ogółem trafnego i wielkiej pracowitości. Jego *Żywot Mickiewicza* jest najobszerniejszym i najdokładniejszym, jaki posiadamy. Osobne dzieło większych rozmiarów poświęcił Kraszewskiemu. W mniejszych rozprawach — które składają kilka tomów — zajmował się pisarzami ze wszystkich okresów literatury. Władysław Nehring, ogłaszał dotąd mniejsze tylko, ale bardzo cenne rozprawy i rozjaśniał niemi różne epoki i kwestye; najcenniejsze może odnoszą się do wieku XVI. Józef Tretiak, obecnie profesor literatury ruskiej w uniwersytecie krakowskim, napisał oprócz wielu rozpraw mniejszych, ale odznaczających się bardzo trafnym sądem, większe dzieło o młodości Mickiewicza (*Mickiewicz w Wilnie i Kownie*), rzecz najlepszą, jaką posiadamy o tym okresie życia wielkiego poety. Roman Pilat, profesor literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim, pierwszy złożył całkowity obraz literatury politycznej z czasów czteroletniego sejmu. Adam Belcikowski (w Krakowie), oprócz wielu rozpraw z najnowszej literatury poetycznej, zwracał się do wieku XVII, a w szczególności napisał najobszerniejsze i najlepsze dotąd studjum o Wacławie Potockim. Pomiędzy pracami, poświęconemi Mickiewiczowi, na uwagę zasługują studia krytyczne o Panu Tadeuszu Henryka Biegeleisena i Walerego Gostomskiego.

W liczbie dość znacznej podręczników, zawierających całe dzieje literatury polskiej, odznacza się dzieło Włodzimierza Spasowicza (z Petersburga), który choć prawnik z zawodu zajmuje się czynnie literaturą i wzbogacił ją wielu cennymi rozprawami, treści krytycznej i estetycznej. Pracujący w tym kierunku pisarze bardzo wielką znajdują pomoc w dziele Karola Estreichera (ur. 1827), dyrektora biblioteki Jagiellońskiej: *Bibliografia polska* (w 14 tomach). Jest to jakby inwentarz literatury polskiej, bez którego praca literacka byłaby niedokładną i bardzo utrudnioną.

Postępy znakomite zrobiła w tym okresie sama nauka języka polskiego i jego umiejętne badanie. Nowa metoda porównawcza nadała w całej Europie lingwistyce kierunek głębszy i popęd potężny. U nas reprezentują i wysoko posuwają tę naukę Małecki, Lucyan Malinowski Baudouin de Courtenay, (w Krakowie), Brückner (w Berlinie), Karłowicz i Kryński (w Warszawie), Kalina (we Lwowie) i przedwczesnie młodo zmarły, szczególnie bystry i zdolny Jan Hanusz (uczeń L. Malinowskiego). Słownik synonimów polskich wydał Adam Krański, wygnany biskup wileński, zmarły w Krakowie 1891.

Wielkie postępy zrobiła archeologia i historia sztuki, w znacznej części skutkiem utworzonych dla nich katedr i komisji w łonie Akademii Umiejętności. Do starszych na tem polu należą: prof. Józef Łepkowski i Władysław Łuszczkiewicz. Po nich następują: Maryan Sokołowski, Jan Nep Sadowski, Izidor Kopernicki, Zygmunt Gloger, M. Bersohn i Władysław Łoziński (we Lwowie), którego najnowsze dzieło „*Mieszczanństwo i patrycyat lwowski*“, przekracza zakres historii sztuki samej, a wchodzi w dziedzinę istotnej historii cywi-

lizacyi. Na polu etnografii z pomiędzy wielu zasłużonych pracowników na szczególną wzmiankę zasługuje Oskar Kolberg (1817—1891), którego dzieła w dwudziestu kilku tomach opisują zwyczaje i obyczaje ludu polskiego we wszystkich prawie dzielnicach dawnej Rzpltej.

Filozofia. Naukę tę reprezentują w pierwszych latach tego okresu, jak dawniej Cieszkowski, Trentowski, Kremer i Libelt. Z tym dawnym, idealnym kierunkiem występuje do r. 1863 do walki nowy pozytywwny. Jego przedstawicielami są Aleksander Świętochowski, A. Marburg i Ochorowicz, do ich przeciwników zaliczają się: prof. Henryk Struve w Warszawie, ks. Pawlicki (niegdyś profesor filozofii w Szkole Głównej warszawskiej, dziś w uniwersytecie krakowskim), ks. Morawski i prof. Straszewski w Krakowie, i t. d.

Z zakresu historii filozofii wymienić należy księdza Pawlickiego *Historję filozofii greckiej* (pierwszą w polskim języku), profesora Straszewskiego książkę o Janie Śniadeckim (jako o filozofie), i t. d.

Nauki przyrodnicze i matematyczne. W naukach przyrodniczych, które w pierwszych 25 latach tego wieku tak znakomicie się rozwinęły, nastąpił był zastój we wszystkich dzielnicach naszego kraju. Świetne czasy Śniadeckich, Jundziłłów, obu Wagów, Andrzejowskiego i wielu innych, którzy umiejętności przyrodnicze u nas dzwignęli, prędko przeminęły. Szczupła przyrodników garstka, jaka jeszcze w drugiej ćwierci tego wieku pozostała, wobec niekorzystnych stosunków krajowych była za słabą, aby utrzymać krajowe przyrodnictwo na tym samym co przedtem stopniu. W drugiej jednak połowie bieżącego stulecia obudził się ponownie ruch ożywiony na polu nauk przyrodniczych.

Na polu zoologii zasłynęli: Konstanty Pietruski (um. 1873), przed r. 1850 jedyny zoolog w Galicyi, badacz samodzielny, doskonały znawca krajowych zwierząt kręgowych, szczególnie ssących i ptaków (*Historja naturalna zwierząt ssących*). Własnym kosztem założył u siebie w Podhorcach zwierzyniec i bogaty zbiór okazów przyrodniczych. Kazimierz Wodzicki (1816—1889), gruntownie uczony a namiętnie zamięlowany ornitolog, w monografiach swoich o różnych rodzajach krajowych ptaków, ma tę własność i cechę osobną, że prace jego, przez uczonych wysoko cenione i uważane za poważnie naukowe, są przytem bardzo zajmujące i powabne dla niezawców przez bystry zmysł spostrzegawczy i często dowcipne przystosowania spostrzeżeń ze świata przyrody do skłonności i usposobień ludzkich. (*Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty; O sokolnictwie i ptakach myśliwskich; Zapiski* (8) ornitologiczne, 1882). — Antoni Wałęcki, znakomity zoolog warszawski, wyborny znawca zwierząt kręgowych, szczególnie ryb, płazów i gadów, które pod względem systematycznym i faunicznym wzorowo opisał (*Materyały do fauny ichtyologicznej Polski*). Z pomiędzy innych zoologów odznaczyli się jeszcze: Teofil Żebrowski (*Owady łusko-skrzydłe*), Gustaw Belke (*Rys historii naturalnej Kamieńca podolskiego*), Antoni Waga, entomolog; Maksymilian Nowicki (*Kozica. Ryby i wody Galicyi*).

W dziale botaniki na początku drugiej połowy bieżącego stulecia pierwszorzędne zajmuje stanowisko jako systematyk Rafał Czerwiakowski (1808—1882), prof. uniwers. Jagiellońskiego. Najznakomitszem jego dziełem jest: *Botanika szczegółowa*, w 6 tomach, należąca w swoim czasie do najpierwszych dzieł o literaturze botanicznej. — Do zasłużeńszych na polu botaniki należą jeszcze: Hyacent Łobarzewski, prof. uniw. lwowskiego, który pracował szczególnie na polu geografii roślin krajowych, Feliks Berdau (*Flora okolic Krakowa*), Jakób Waga (*Flora polska*) i Józef Rostafiński prof. botaniki w uniw. Jagiellońskim (*Ze świata przyrody*).

W mineralogii i geologii pierwszorzędne stanowisko zajmuje Ludwik Zejszner (1801—1871), którego prace odznaczają się wielostronnością i gruntownością (*Paleontologia polska*, *Rzut oka na Podhalan*. *Geologia do łatwego zrozumienia zastosowana*). — Na tem polu odznaczał się także: Ignacy Domejko, rektor uniwers. w St. Jago, Alojzy Alth († 1886) prof. mineralogii w uniw. Jagiellońskim (*Zasady mineralogii*) i Władysław Szajnocha (*Źródła mineralne Galicyi*).

W dziedzinie fizyki i nauk jej pokrewnych pracowali: Wojciech Urbański (*Fizyka umiejętna* 1866) i Edward Wł. Skiba (*Teorya zjawisk włoskowatości*). Samodzielnym badaczem był Zygmunt Wróblewski († 1888), który zajmował się skraplaniem gazów trwałych i użyciem gazów skroplonych do wytwarzania nadzwyczaj niskich temperatur. Prace jego w tym dziale zdobyły sobie rozgłos w naukowym świecie europejskim. Badania Wróblewskiego rozwija dalej jego współpracownik K. Olszewski; nad własnościami gazów czynią doświadczenia A. Witkowski i Wład. Natanson. Z młodszych pracowników zajął stanowisko jedno z najpoważniejszych nie tylko w naszej, lecz w powszechnej nauce (chemii organicznej) Marceli Nencki.

W naukach matematycznych osobnym systemem i nową metodą wykładu zjednał sobie poważne imię i po za granicami Polski Wawrzyniec Żmurko († 1889); niepospolitą wartością odznaczają się prace na tem polu Henryka Niewęgłowskiego († 1881), Wład. Folkierskiego (w Limie), Władysława Zajączkowskiego (†) (*Zasady Algebry wyższej*), Adolfa Sagayły (*Wykład geometrii wykreslnej*), J. N. Frankego (*Mechanika teoretyczna* 1889).

Pedagogia. Literatura pedagogiczna pod zaborem rosyjskim i pruskim nie może się rozwijać normalnie podobnie jak w okresie poprzednim i z tych samych powodów. Owszem warunki edukacyi od roku 1868 znacznie się tam pogorszyły. W Wielkopolsce do ostatnich czasów uczono w szkołach ludowych nawet religii po niemiecku; w Królestwie system rusyfikacyjny dochodzi do ostatnich granic: nawet nauka języka polskiego odbywa się po rosyjsku. A gdy na wychowanie publiczne wpływać ani nawet o niem rozprawiać nie wolno, więc dzieła pedagogiczne obejmują ogólne tylko zagadnienia albo też kwestye wychowania początkowego. Przecież Królestwo i tego pola nie zostawia odłogiem. Dość wymienić prace Ignacego Boczylińskiego,

H. Wernica, Adolfa Dygasińskiego, Augusta Jeskiego († 1875) a przedewszystkiem Encyklopedyę wychowawczą (od r. 1889 wydawaną w Warszawie) dzieło pomnikowe, na które składają się najlepsze siły pedagogiczne polskie. Tam też wychodzi najwięcej książek dla dzieci i młodzieży, tudzież czasopisma: Przegląd pedagogiczny, Wieczory rodzinne i Przyjaciel dzieci.

W Galicyi odkąd publiczne wychowanie dostało się pod zarząd autonomicznej Rady szkolnej a w ręce nauczycieli krajowców, odkąd w sejmie, w stowarzyszeniach i czasopismach wolno o niem swobodnie rozprawiać, — podniosło się zamiłowanie do zawodu nauczycielskiego i rozumienie jego obowiązków. Sprawa organizacji szkół i kierunku wychowania publicznego jest od r. 1861 przedmiotem troskliwej opieki sejmu. Na każdej prawie sesji toczą się w komisji edukacyjnej i w pełnej Izbie gruntowne i zajmujące rozprawy, a biorą w nich udział najwybitniejsi posłowie; z dawniejszych: Dietl, Majer, Szujski, Zyblikiewicz, Czerkawski i Sawczyński, w nowszych czasach ks. Jerzy Czartoryski, ks. Adam Sapieha, Bobrzyński, Stanisław Badeni, Wojciech Dzeduszycki, Rutowski, Rej i inni. Ogniskiem prac i usiłowań nauczycielstwa w Galicyi jest Towarzystwo pedagogiczne, założone we Lwowie w r. 1868. W całym kraju istnieją jego oddziały, w których jak również na dorocznych walnych zebraniach, na konferencyach okręgowych i w organie towarzystwa Szkoła są roztrząsane bądź ogólne myśli w sprawie wychowania i nauczania, bądź szczegółowsze pytania i projekta, odnoszące się do poprawy stanowiska i bytu nauczycieli. Pierwotnie zajmowało się towarzystwo pedagogiczne sprawami wszystkich szkół, zarówno ludowych jak średnich; jednak rozrost towarzystwa, tudzież potrzeba bardziej skupionego działania spowodowały w roku 1885 założenie Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych i nowego organu Muzeum. Towarzystwo to ma również w większych miastach swoje filie t. zw. Koła, a zajmuje się wychowaniem średnim. Jedną z ważnych i nader pożytecznych czynności obu tych towarzystw jest wydawnictwo podręczników szkolnych. Komisya naukowa, z łona Rady szkolnej wybrana a wzmocniona znawcami z każdej gałęzi nauk, czuwa bacznie tak nad doborem i układem ich treści, jak nad czystością i poprawnością języka. Powyższe towarzystwa wydają także książki do czytania dla dzieci i dojrzałszej młodzieży a pragnąc utrzymać związek z przeszłością rozpowszechniają zapomocą przedruków dzieła dawniejszych polskich pedagogów.

Nie dziw zatem, że wobec tak ożywionej działalności i literatura pedagogiczna znaczne w tym okresie poczyniła postępy. W Szkole i w Muzeum pojawiają się nieraz bardzo gruntowne i cenne rozprawy; nie brak też osobno wydawanych dzieł, oryginalnych i tłómaczonych. Pracami w tym kierunku odznaczyli się między innymi: Zygmunt Sawczyński (ur. 1826 † 1893), Andrzej Józefczyk, Enzebiusz Czerkawski, Bronisław Trzaskowski, Edward Hüchel, Antoni Łuczkiwicz.

Czasopisma. Czasopisma w tym dopiero okresie zdobyły sobie znaczenie i wpływy we wszystkich gałęziach życia publicznego, a choć wpływ ten nie zawsze bywa dodatni, zaprzeczyć jednak nie można, iż ruch na tem polu coraz żywszy jest objawem zdrowego postępu. Ilość

pism czasowych polskich wzrasta z każdym rokiem; w r. 1894 doszła poważnej cyfry 272. Wiele z nich zajmuje się literaturą i nauką; do ważniejszych należą:

W Warszawie Biblioteka warszawska, Ateneum, Niwa.

W Krakowie: Przegląd polski, Przegląd powszechny, Przewodnik bibliograficzny.

We Lwowie: Przewodnik naukowy i literacki, Kwartalnik historyczny, Kosmos, Muzeum, Eos.

W Petersburgu: Kraj.

Na osobne wspomnienie zasługują liczne pisma ludowe tak w Galicyi i w Poznańskim, jak na Szlązku i w Prusach, wreszcie nagły wzrost dziennikarstwa polskiego w Ameryce, gdzie w roku 1894 wychodziło 36 czasopism.

Z a k o ń c z e n i e.

Taki jest po czterech wiekach istnienia dzisiejszy stan literatury polskiej. Bez zarozumiałości możemy sobie przyznać, że nie jest on zły. W ciągu ostatniego wieku, pomimo tylu ciężkich przejść, literatura polska nie tylko nie upadła, ale owszem rozwijała się i podnosiła, co jest dowodem niezaprzeczonej i bardzo pocieszającej żywotności piśmiennictwa i narodu. W ostatniej ćwierci wieku, pomimo że zaledwo czwarta część narodu może swobodnie kształcić się i pisać, literatura przecie nie upadła, ale owszem w niektórych kierunkach postąpiła bardzo znacznie. Fakt ten wreszcie, że po wielkim i nigdy przedtem niewidzianym rozkwicie poezyi, nastąpił silny i świetny rozwój prozy w różnych kierunkach i nauki, jest dla literatury dobrem świadectwem, dobrą wróżbą i otuchą. Rzecz jest pewna, że ani literatura ani nauka ani cywilizacja polska w ogólności nie gaśnie, tylko owszem utrzymuje się i rośnie, a swój własny charakter wyraźny i nietknięty zachowuje.

W chwili obecnej grozi jej jedno niebezpieczeństwo, na które bacznie mamy zwracać uwagę i szukać rady, a tem jest skażenie i zepsucie języka. W Galicyi zwolna tylko wydobywa się język z obcych zwrotów, wyrażeń i składni, któremi przez wiek cały był przesiąknięty. Pod rządami rosyjskim zaczyna się zato język wykrzywiać i szpecił rosyjskimi formami, z któremi młodzież oswaja się w szkołach, a ogół w czynnościach urzędowych. Wszędzie znowu pisanie szybkie, do dzienników, sprowadza nieuważę, niedbałość, a wskutek tego wzrastające zanieczyszczenie i niemal wyradzenie się języka. Od tego bronić się mamy wszelkimi siłami, a zwłaszcza młodzi, którzy mają jeszcze czas wykształcić się w dobrem i pięknym władaniu mową ojczystą. Mowa bowiem jest formą myśli, ale może mieć na nią wpływ taki, jak ma ludzki organizm fizyczny na umysł i duszę. Jak *mens sana in corpore sano*, tak i mowa jasna, czysta, prosta, jędrna, szlachetna, jest obrazem takiejże myśli, ale i środkiem, iżby myśl zachowała te przymioty. Język gruby, nieszlachetny, niestaranny, niepoprawny, oswaja stopniowo myśl z temi wadami i może ją nieznacznie prowadzić do zglupienia i zdziczenia.

Z rozpoznania naszej literatury wynosi się to spostrzeżenie, że prawosć i szlachetność ducha była istotną cechą i wielką jej chwałą przez

wszystkie wieki jej istnienia. Miewała ona w tym ciągu czasu chwile wielkiej świetności i wzniosłości, jak miewała i chwile upadku. Ale nawet w swoich najgorszych czasach miała przecież ludzi, którzy nie zapominali o tem, co jest jej obowiązkiem pierwszym i głównym, o tem mianowicie, żeby narodu swego nie psuć, nie krzywić jego sumienia i nie mącić jego rozumu. Prawo Boskie, obowiązek względem bliźniego, obowiązek względem ojczyzny i społeczeństwa, rozumiała i wskazywała literatura polska z małymi wyjątkami trafnie i mądrze, od Długosza aż do dni naszych. Nie psuła ona narodu, owszem robiła co mogła na to, by go kształcić, poprawiać i podnosić. Ten przymiot najcenniejszy, ta największa zasługa względem narodu i rzetelnej, uczciwej chrześcijańskiej cywilizacji, powinny utkwąć nam w pamięci jako szlachetna cecha naszego piśmiennictwa i jako przykład obowiązujący na przyszłość.

Tam - Sup.
 rozprawy
 wybrano do
 niechęć

nowość jako
 hist. i pol.
 Spojrzenie G. Suplicy
 względem Przemyskiego
 krytyki bulki
 w m. do m.
 i dworaki
 element
 Socjal

* Benigno
 walczy z mick
 144 pisan

VI. Tablica porównawcza do historii literatury polskiej. Wiek XIX (od r. 1866—1900).

Rok	Dzieje oświaty europejskiej	P o l s k a	Dzieje literatury polskiej	
			autorowie	d z i e ł a
1866	Maszyna dynamo-elekt.	Matejko.	Rzewuski †	<i>Słowacki</i> , Pisma pośm. <i>Małcki</i> , O Słowackim. — <i>Orzeszkowa</i> .
7	Ustawy zasadnicze w Austrii.	Rada szkolna. Język polski w Galicyi. Grottgger †		<i>Szajnocha</i> , Dwa lata. <i>Szujski</i> , Dramata. Kilka prawd.
8	Fr. Coppée.		Szajnocha †	<i>Kalinka</i> , Ostatnie lata Stanisł. Aug.
9	Secci (Słońce).	Uniw. ros. w Warszawie.		<i>Asnyk</i> , Poezye.
1870	Sobór Watykański Dickens.			<i>Estreicher</i> , Bibliografia. <i>Jeż</i> T. T.
1871		Seminaria naucz. w Galicyi.		<i>B. Prus</i> . <i>J. Lam</i> .
2	J. Brandes.	Politechnika we Lwowie.	Pol †	
3	Maxwell (teoria elektryczności).	Akademia Umiejętności w Krakowie.	Kajsiewicz †	<i>Siemieński</i> , <i>Odyssea</i> . <i>Fredro (syn)</i> .
4				<i>Kraszewski</i> , <i>Morituri</i> . Hr. Cosel.
5			Libelt † Kremer †	<i>Odyniec</i> , Listy z podróży.
6			Fredro † Goszczyński †	<i>Kraszewski</i> , <i>Stara baśń</i> . <i>Spasowicz</i> .
7	Bell (telefon). Wróblewski (skroplenie gazów).		Siemieński †	<i>Sewer</i> . <i>Zalewski</i> .
8	Leon XIII. Edison (fonograf).			
9	Crooks (Radiometer).		Jubileusz Kraszewskiego.	<i>Bliziński</i> .
1880	Sardou. Ohnet. Zola. Bourget.	Podróż cesarza do Galicyi.		<i>A. Fredro</i> , <i>Komedye pośm</i> . <i>Sienkiewicz</i> , <i>Nowelle</i> . <i>Kubala</i> , <i>Szkice</i> . <i>Kalinka</i> , <i>Sejm 4-letni</i> .
1	Ibsen.		Encyklopedia wychowawcza.	<i>Smolka</i> , <i>Mieszko St.</i> — <i>Klaczko</i> , <i>Wieczory florenckie</i> .
2	Darwin †	Macierz polska.		<i>Szujski</i> , <i>Opow. histor.</i>

1883		<i>Asnyk</i>	Szujski †	<i>Korzon</i> , <i>Wewn. dzieje Polski</i> . <i>Kubala</i> , <i>J. Ossoliński</i> . <i>Sienkiewicz</i> , <i>Ogniem i mieczem</i> .
4		<i>Asnyk</i>		
5	V. Hugo †	<i>Asnyk</i>		
6	L. Tolstoj.	<i>Asnyk</i>	B. Zaleski † Kalinka †	<i>Sienkiewicz</i> , <i>Potop</i> . <i>Tarnowski</i> , <i>Pisarze</i> polit. <i>Chmielowski</i> , <i>Mickiewicz</i> .
7	Taine.	<i>Asnyk</i>	Kraszewski †	<i>Sienkiewicz</i> , <i>P. Wołodyjowski</i> . <i>Tarnowski</i> , <i>J. Kochanowski</i> . <i>Chmielowski</i> , <i>Kraszewski</i> .
8	Maeterlinck.	<i>Asnyk</i>		<i>Eoziniński Wł.</i> , <i>Lwów staroż.</i> — <i>Rodziewiczówna</i> .
9		<i>Asnyk</i>		<i>Deotyma</i> , <i>Branki w Jasyrze</i> .
1890		Sprowadzenie zwłok Mickiewicza do Krakowa.		
1891				<i>Sienkiewicz</i> , <i>Bez dogmatu</i> .
2				<i>Tarnowski</i> , <i>Z. Krasiniński</i> . <i>Orzeszkowa</i> <i>Bene nati</i> .
3		Matejko †	Lenartowicz †	<i>Kalinka</i> , <i>Królestwo kongresowe</i> <i>Sienkiewicz</i> , <i>Rodzina Połanieckich</i> .
4		Wystawa lwow. Podróż Cesarza. Wydział medyczny we Lwowie.	Cieszkowski †	<i>Sienkiewicz</i> , <i>Quo vadis</i> <i>Choiński</i> , <i>Ostatni Rzymianie</i> .
5	Promienie Röntgena.			<i>Prus</i> , <i>Faraon</i> .
6	Hauptmann.		Ujejski †	<i>Kallenbach</i> , <i>A. Mickiewicz</i> .
7	Kinematograf.	Pomnik A. Mickiewicza w Warszawie.		
8	Szczepanik (fotografia w tkactwie).			<i>Sienkiewicz</i> , <i>Krzyżacy</i> . <i>Tarnowski</i> , <i>Historia liter. pol.</i>
9				
1900		Jubileusz Uniwersytetu Jagiellońskiego.		



Długość w dachem parsi przynajmniej
 1000. pod spodem było -
 w Wawrowie - Loring była z
 - chłabakowa - jest jej woi wokoło
 obydwóch toleń. Wprawdzie - 1. 1. 1.
 aby to zobaczyć, dzielom - głęboke w 10
 manki - proce chęta upiwno wazy śród.
 samitowane.

wyomy Laczkowski
 2 przytykował Ojciec
 i Mianem
 nie stosownie sara
 sienkiewicz. ze fałs
 przedstawil Ps. Janina
 1 Zamiatro go. Nidkaliz

Jones me przeje
 z lot do morza w
 do huku woto
 wchodne słow wiodące
 opowiesci obywatel
 some post. Rew. 1000. Wyg.

Niekiedy, z gura wogonno
 wczuch to by. megawspolita
 niotwie. Wznowyżenie. do jej
 mialuzi maske mawerowa
 woda wrog mianem. ale jest
 samitowane mawerowa. z mawerowa
 w konflikt mawerowa. mawerowa
 samitowane mawerowa.

Handwritten text, possibly a name or title, located in the upper left quadrant.

Handwritten text, possibly a name or title, located in the upper middle section.

Handwritten text, possibly a name or title, located in the upper right section.

Large handwritten text block, possibly a name or title, enclosed in a rectangular border.

Handwritten text, possibly a name or title, located in the lower right section.

Biblioteka WSP Kielce



0332304

W KRAJACH
WIELKOPOLSKICH
KRAJACH
18